ILUSTROWANY
KALENDARZ ZWIĄZKOWY



P.N.A. ALMANAC

NA ROK 1957

K.M

CENA $1.50

27,000,000 Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze



FRANK NOWAK
Były DYREKTOR Z.N.P.
przez 13 lat.

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (3½% bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

6644

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności.

Płacimy 3½% Bieżąca Rata Dywidendy

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i NIGDY nie była Zamknięta



Udzielamy Pożyczki Na Domy Na Łatwe Miesięczne Spłaty

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASS'N OF CHICAGO



LIBERTY BUILDING

2056 N. Damen Ave.
Chicago, Ill.
Phone EVerglade 4-4000

F. J. STERMER, Przewodniczący Dyrekcji
FRANK NOWAK, Prezes — J. R. GURBACKI, Wiceprezes
GERTRUDA POLASIAK, Sekr. Skarbnik — CHESTER SMIGIEL, Adwokat

Liberty Służy Swoim Akcjonariuszom Przez 58 Lat.

GODŻINY BIUROWE:

Poniedziałki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem. W piątki od 9-ej rano do 7-ej wieczorem.
Wtorki, Środy, Czwartki i Soboty od 9-ej do 1-ej po poł.

CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW.

PYTAJCIE SIĘ O SŁYNNE POLSKIE LIKIERY

Monastery
BRAND

Mamy 60 gatunków różnych likierów, wódek robionych na sposób wódek europejskich.





70 proof



80 & 100 proof



50 proof



70 proof



50 proof

JEDYNA POLSKA WYTWÓRNIA POLSKICH LIKIERÓW W AMERYCE ZAŁOŻONA W ROKU 1902

★ **KRUPNIK** Staropolski Wyborny Trunek Wyrabiany z Miodu, Korzeni i Ziół. Mocny, Rozgrzewający. Doskonały Na Słotne i Mroźne Dnie.

★ **MALINOWA:** Znakomity Likier o Smaku i Aromacie Prawdziwych Świeżych Malin. Spróbujcie i Przekonajcie Się Sami.

★ **WIŚNINOWA:** Wyrabiana z Świeżych Dojrzałych Wiśni Zbieranych w Michigan. Kolor Naturalny — Smak Wyśmienity.

★ **WÓDKA** "Monastery" Brand & White Eagle

Uwaga:—O ile Nie Możecie Dostać Naszych Wyrobów — Piszcie Wprost Do Firmy

NATIONAL CORDIAL CO. INC.

WYTWÓRCY MONASTERY BRAND LIQUEURS AND HENRI-C BRANDY

2129-35 N. WESTERN AVE. CHICAGO 47, ILLINOIS

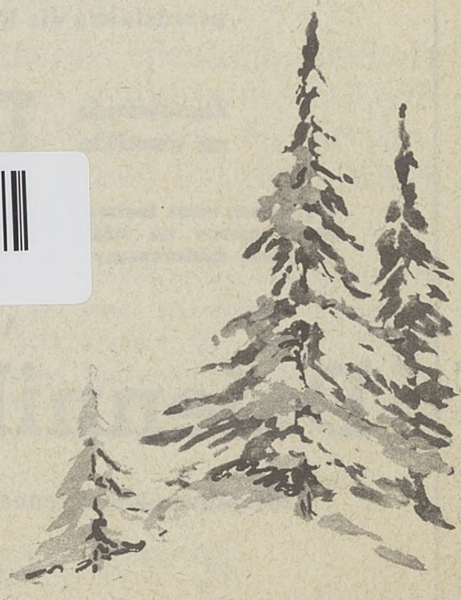




Kalendarz Związkowy

Na Rok 1957





WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

Graficzne Zakłady Pism Związkowych



GMACH WYDAWNICTW ZWIĄZKOWYCH

w którym mieszczą się biura administracji, redakcji, zakłady graficzne, gdzie na pospiesznych maszynach drukuje się ZGODA TYGODNIOWA I DZIENNIK ZWIAZKOWY, zaś na litograficznej maszynie drukują się książki i na której był drukowany kalendarz ścienny i książkowy.

DRUKI Dla kupców i przemysłowców, dla poszczególnych osób i towarzystw wykonujemy szybko, gustownie i tanio, ponieważ nowoczesne urządzenia nam na to pozwalają. Jeżeli zatem potrzebujecie jakichkolwiek druków, jak: papiery listowe, koperty, zaproszenia na wszelkie okazje, pamiętniki, programy, konstytucje, cyrkularze, pamflety, formularze, bilety i t. d., w języku angielskim lub polskim, zamawiajcie u nas z całem zaufaniem, pisząc na adres:

DRUKARNIA PISM ZWIĄZKOWYCH

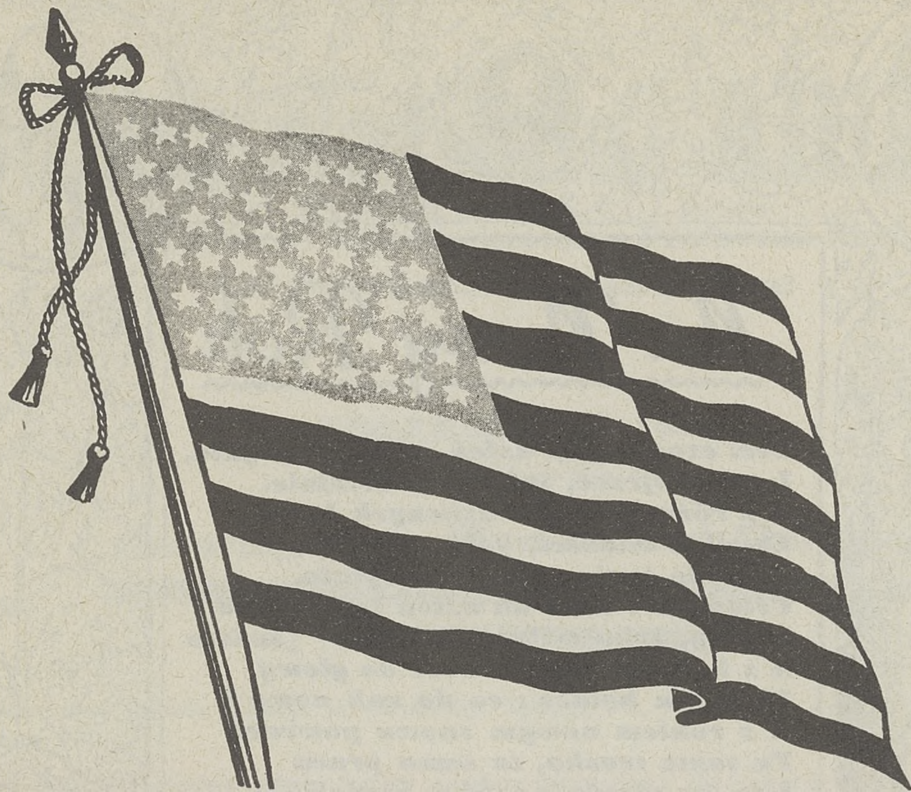
1201 N. Milwaukee Ave. Chicago, (22) Illinois

Na Nowy Rok

Leci czas chyży, dzień za dniem płynie,
I ani spojrzeć, już rok przeminie.
A z różnorodnych dziwnych kolei,
Chwilek radości, bólu, nadziei,
Całe się życie człowieka splata.
Człowiek z dnia na dzień żyje wśród
I liczy, jako mijają lata, [świata
A z końcem roku zawsze do głowy
Myśl mu kołace : co da rok nowy ?
A z rokiem nowym znowu powraca
Ta sama troska, ta sama praca
I ta, co nie da upaść w niedoli,
Błoga nadzieja jaśniejszej doli.
A w tej nadziei po rocznym trudzie
Nawzajem sobie mawiają ludzie,
Z otuchą w sercu, z łzą rzewną w oku,
Starym zwyczajem: dosiego roku !
Więc życzymy sobie: niech w przyszłej
[wiośnie
Ludzkość odetchnie znowu radośnie
W trwałym pokoju na całym świecie !
Więc życzymy sobie: niechaj
[w przyszłym lecie
Ziarno, posiane w zeszłej jesieni,
Pan Bóg w obfite kłosy rozpleni !
Więc życzymy sobie: niechaj się
[zdrowa
Rodzina nasza cały rok chowa !
Niech trwa w miłości, zgodzie i wierze
I niech do Boga modli się szczerze,
Aby odwracał kielich goryczy,
A dał każdemu, co serce życzy.

NA ROK PAŃSKI 1957

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

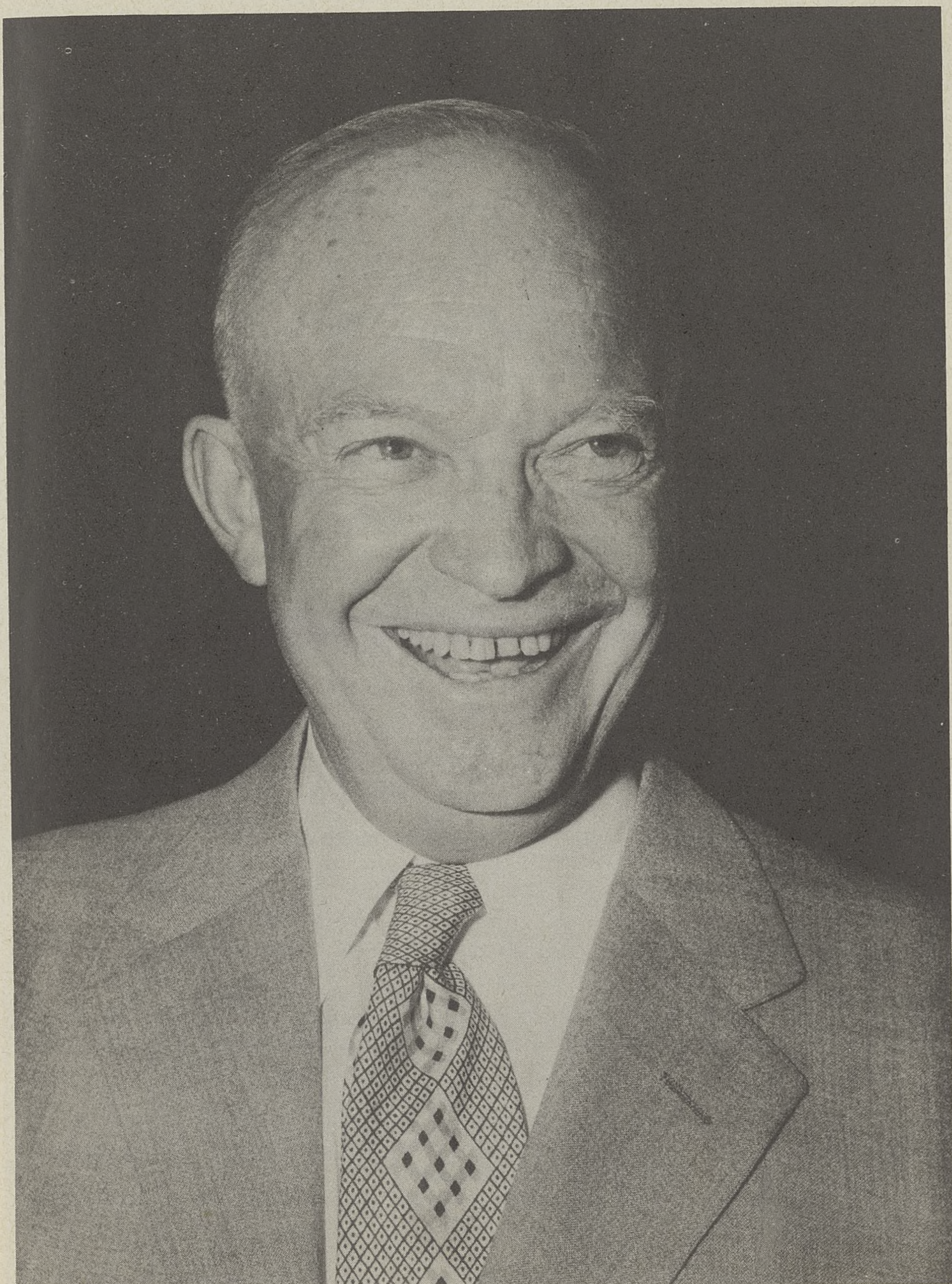
Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!



DWIGHT DAVID EISENHOWER

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA



Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

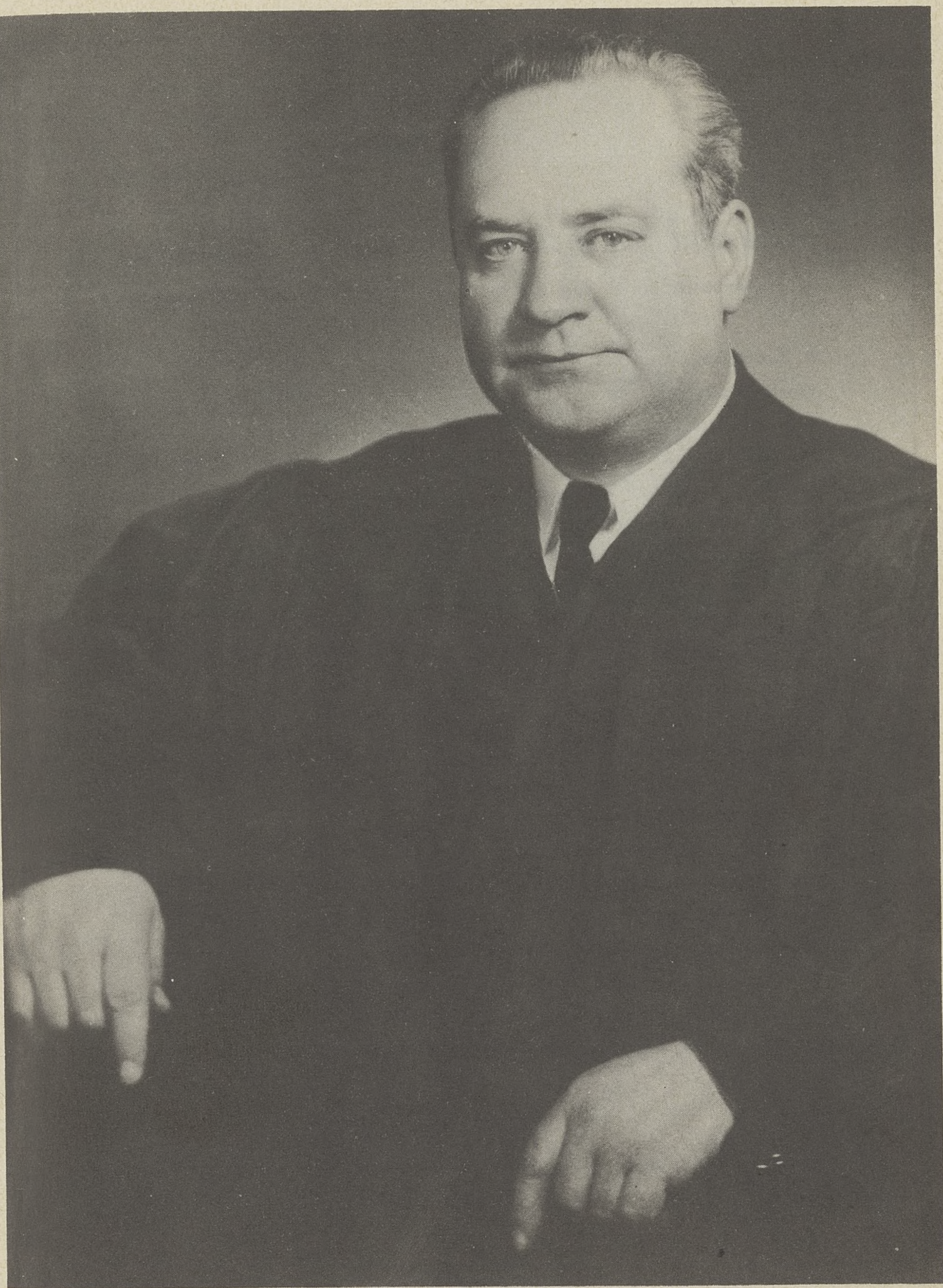
Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz etc.

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz etc.

Mówi ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz etc.

Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tej niewoli —
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli.



Sędzia B. F. Gunther
Cenzor Z. N. P.



Zarząd Związku Narodowego Polskiego

Wybrany Na Sejmie 32-gim Związku Narodowego Polskiego w Minneapolis, Minnesota

B. F. Gunther, Cenzor Z. N. P., 810 City County Bldg., Pittsburgh 19, Pa.

Edward Kozmor, Wicecenzor Z. N. P., 76 Corbin Ave., Jersey City, N. J.

Karol Rozmarek, Prezes Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Franciszka Dymek, Wiceprezeska Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Dr. Stefan F. Lisowski, Wiceprezes Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Józef F. Foszcz, Sekretarz Generalny Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Adam Tomaszkiewicz, Skarbnik Z. N. P., 1514 W. Division St., Chicago 22, Ill.



DYREKCJA Z. N. P.:

Henryk Dudek, 137 Hermit, Philadelphia 27, Pa.

Katarzyna Ziemba-Dienes, 11935 Emerald Ave., Chicago 28, Ill.

Bronisława Helkowska, 4305 N. Austin Ave., Chicago 34, Ill.

Karolina Spisak, 5610 So. Seeley St., Chicago 36, Ill.

Dr. M. W. Majchrowicz, 4645 S. Ashland Ave., Chicago, Ill.

Adolf Pachucki, 1080 Forest Rd., Schenectady 3, N. Y.

Bonawentura Migała, 1506 N. Kedzie Ave., Chicago 51, Ill.

Jan Ulatowski, 1104 N. Ashland Ave., Chicago 22, Ill.

Franciszek Odrobina, 14633 Westpoint, Wyandotte, Mich.

Henryk Spindor, 3800 S. Kedzie Ave., Chicago, Ill.

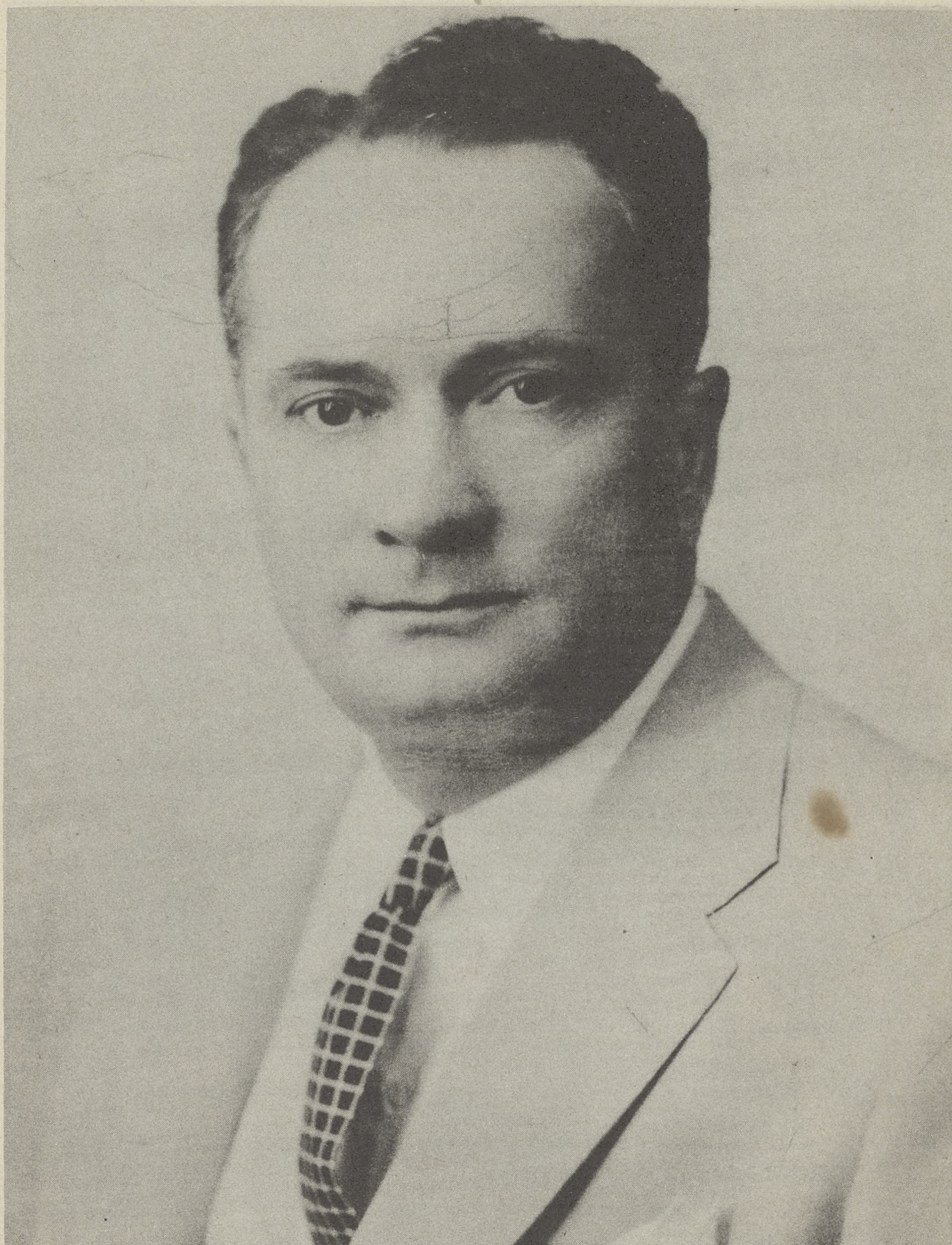
Dr. W. L. Sadlek, Lekarz Naczelny, 1514-20 W. Division St., Chicago 22, Ill.



Rzecznik Z. N. P., Leon Małłek, 1514-20 W. Division St., Chicago 22, Ill.

Zarządca Wydawnictw, J. Stanisław Świerczyński, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.

Naczelny Redaktor, Karol Piątkiewicz, 1201 N. Milwaukee Ave., Chicago 22, Illinois.



EDWARD KOZMOR
Wice-Cenzor Z. N. P.

KOMISARZE I KOMISARKI OKRĘGÓW ZWIĄZKU NAR. POLSKIEGO

OKRĘG 1. Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire —
Józef Dancewicz, 333 Union St., New Bedford, Mass. Tel. 6-9187.
Blanche F. Niemyska, 150 Willow, West Roxbury 32, Mass.

OKRĘG 2. Stan Connecticut —
Stanisław Niedźwiecki, 10 Moulthrop Street, Ansonia, Conn.
Teodora Drozd-Żegota, 2480 Corbin Ave., New Britain, Conn.

OKRĘG 3. Wschodnia Część Stanu New York —
Leopold Karol Babirecki, 339 East 18th St., New York 3, N. Y. SPring 7-2752.
Anna Tuman, 1309 Schuyler St., Utica, N. Y.

OKRĘG 4. Zachodnia Część Stanu New York —
Jan F. Nowak, 90 Rejtan St., Buffalo 6, N. Y.
Maria Tuchewicz, 956 Emerson Ave., Syracuse 9, N. Y.

OKRĘG 5. Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)—
Tadeusz Giergielewicz, 140 Carlton Ave., Jersey City, N. J.
Felicja Zochowska, 23 Ferry St., So. River, N. J.

OKRĘG 6. Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. — Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida —
Władysław Szczygieł, 2428 E. Hazzard St., Philadelphia, Pa.
Leokadia Misiora, 6201 Carter Ave., Baltimore 14, Md.

OKRĘG 7. Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania —
Ludwik Śliwiński, 462 Main Street, Kingston, P. O., Edwardsville, Pa.
Helena Rozajewska-Dworczak, 604 Dundoff St., Dickson City, Pa.

OKRĘG 8. Zachodnia Część Stanu Pennsylvania—
Michał L. Hołodnik, 1015 Wallis Ave., Farrell, Pa.
Emilia Janowska, 295 Broadway, McKees Rocks, Pa.

OKRĘG 9. Stany Ohio, West Virginia i Virginia —
W. L. Dworakowski, 606 Akron S. L. Bldg., Akron 7, Ohio.
Irena Wallace, 536—6th St., Campbell, Ohio.

OKRĘG 10. Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu —
Jakub Lewandowski, 5145 Mitchell Ave., Detroit 11, Mich.
Józefa Wolas, 9461 Charest, Hamtramck 12, Mich.

OKRĘG 11. Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado —
Franciszek P. Kawa, 5064 So. 37th St., Omaha 7, Nebr. Tel. Market 3344.
Maria Godlewska, 1307-A Missouri Ave., East St. Louis, Ill.

OKRĘG 12. Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachodnia Część Stanu Illinois —
Franciszek Jendryaszek, 10407 So. Forest Ave., Chicago 28, Ill.
Maria L. Gierut, 5746 So. Newland Ave., Chicago 38, Ill.

OKRĘG 13. Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois —
Walenty Kożuch, 826 N. Ashland Ave., Chicago 22, Ill.
Rozalia Wójcik, 2804 Logan Blvd., Chicago 47, Ill.

OKRĘG 14. Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba —
Józef T. Tobola, Thorp, Wis.
Władysława Podkomorska, 1700 W. Lincoln Ave., Milwaukee 15, Wis.

OKRĘG 15. Północna Część Stanu Indiana —
Jan Ziemba, 3880 Jefferson St., Gary, Ind.
Konstancja Czarnecka, 328—157th St., Calumet City, Ill.

OKRĘG 16. Stany California, Oregon, Washington —
Konstanty Dombrowski, Komisarz Okr. 16, 1508 Aberdeen Ave., Aberdeen, Wash.
Bronisława Czarnecka, 14807 Sylvan St., Van Nuys, Calif.



KAROL ROZMAREK,
Prezes Z. N. P.

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

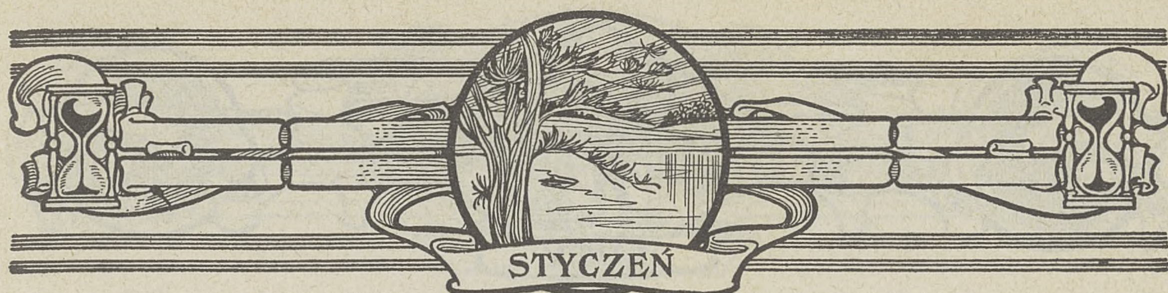
SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI — Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS, Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ, Rosyjski JANWAR — 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1szy Tydzień		
1	Wtorek	**NOWY ROK**, Mieczysław
2	Środa	Makary, Bazyli
3	Czwartek	Daniel, Genowefa
4	Piątek	Eugeniusz, Tytus, Aniela
5	Sobota	Telesfor, Emilian, Edward
2gi Tydzień		
6	**Niedziela**	TRZECH KRÓLI
7	Poniedz.	Łucjan, Julian
8	Wtorek	Seweryn, Mścisław
9	Środa	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Czwartek	Agaton, Wilhelm
11	Piątek	Feliks, Honorata
12	Sobota	Arkadiusz, Ernest, Tacjana
3ci Tydzień		
13	**Niedziela**	Weronika
14	Poniedz.	Hilary, Feliks
15	Wtorek	Paweł, Marek
16	Środa	Marceli, Włodzimierz
17	Czwartek	Antoni
18	Piątek	Kat. Św. Piotra w Rzymie
19	Sobota	Henryk, Mariusz, Marta
4ty Tydzień		
20	**Niedziela**	Fabian i Sebastian
21	Poniedz.	Agnieszka, Jarosława
22	Wtorek	Wincenty, Anastazy
23	Środa	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Czwartek	Tymoteusz, Felicjan
25	Piątek	Nawr. Św. Pawła
26	Sobota	Polikarp, Paulina
5ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Jan Złotousty, Agnieszka
28	Poniedz.	Karol, Walery, Piotr
29	Wtorek	Franc. Salezy, Zdzisław
30	Środa	Felicjan, Martyna, Hiacynta
31	Czwartek	Jan Bosko, Ludwik, Marcela

KALENDARZYK HISTORYCZNY

STYCZEŃ

1. 1807. Przybycie Dąbrowskiego do Łowicza i zaprzysiężenie pospolitego ruszenia polskiego.
3. 1795. Zawarcie Traktatu rozbiorowego między Rosją a Austrią.
4. 1797. Napoleon poleca Dąbrowskiego lombardzkiemu kongresowi stanu.
6. 1573. Zwołanie pierwszego sejmu konwokacyjnego.
7. 1429. Zjazd Jagiełły, Witolda i Zygmunta węgierskiego w Łucku.
8. 1633. Władysław IV przybywa pod Smoleńsk.
9. 1797. Podpisanie konwencji między Dąbrowskim a generalną administracją Lombardii, w sprawie legionów.
10. 1569. Otwarcie sejmu dotyczącego Unii Lubelskiej.
12. 1831. Wojska moskiewskie wkraczają do Królestwa Polskiego.
13. 1793. Prusacy wkraczają do Polski.
14. 1807. Utworzenie tymczasowego rządu w oswobodzonej Warszawie.
15. 1863. Początek "branki" w Warszawie.
16. 1832. Mikołaj I znosi konstytucję Królestwa Polskiego.
17. 1649. Koronacja Jana Kazimierza.
18. 1831. Chłopicki składa dyktaturę w ręce sejmu.
19. 1831. Zebranie sejmu ciągłego.
19. 1846. Początek rzezi w Galicji.
20. 1797. Ogłoszenie odezwy Dąbrowskiego do Polaków.
20. 1320. Koronacja Władysława Łokietka.
21. 1633. Jerzy, książę brandenburski, składa hołd Władysławowi IV.
22. 1863. Wybuch powstania.
23. 1440. Węgrzy oddają koronę królowi Władysławowi Warneńczykowi.
23. 1793. Zawarcie konwencji prusko-rosyjskiej o drugi rozbiór Polski.
25. 1588. Zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną.
25. 1610. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Moskwą pod Ułą.
25. 1831. Sejm detronizuje Mikołaja I.
26. 1507. Koronacja Zygmunta Starego.
28. 1819. Zgon Kilińskiego.
29. 1831. Sejm ustanawia Rząd Narodowy.
30. 1667. Traktat Andruszowski z Moskwą.
31. 1610. Poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem zaprasza Władysława IV na tron carski.
31. 1816. Otwarcie 1go Sejmu Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25 stycznia



28 DNI — Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS — 28 DNI
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	Ignacy, Brygida
2	Sobota	M.B. Gromnicz., Mirosław
6ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Błażej, Wawrzyniec
4	Poniedz.	Andrzej, Weronika
5	Wtorek	Izydor, Albin, Agata
6	Środa	Bogdan Tytus, Dorota
7	Czwartek	Romuald, Ryszard
8	Piątek	Jan z Malty, Emilia
9	Sobota	Cyryl, Apolonia
7my Tydzień		
10	**Niedziela**	Jacek, Scholastyka
11	Poniedz.	NMP. z Lourdes, Honorata
12	Wtorek	**Ur. Lincolna i Kościuszki**
13	Środa	Grzegorz, Katarzyna
14	Czwartek	Walenty, Zenon
15	Piątek	Faustyn, Klaudiusz
16	Sobota	Bernard, Julianna
8my Tydzień		
17	**Niedziela**	Donat, Wincenty, Julian
18	Poniedz.	Symeon, Marianna
19	Wtorek	Konrad, Marceli
20	Środa	Leon, Zenobiusz, Eustachy
21	Czwartek	Feliks, Robert, Eleonora
22	Piątek	**Ur. Washing. i Pułaskiego**
23	Sobota	Piotr, Roman, Marta
9ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Maciej, Cezary
25	Poniedz.	Wiktor, Izabela, Anastazja
26	Wtorek	Aleksander, Mirosława
27	Środa	Gabriel, Nestor
28	Czwartek	Teofil, Antonina

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LUTY

1. 1717. Sejm “niemy” w Warszawie.
2. 1675. Koronacja Jana III w Warszawie.
2. 1421. Czesi ofiarowują tron Władysławowi Jagielle.
3. 1772. Zajęcie Zamku Wawelskiego przez konfederatów barskich.
4. 1633. Władysław IV wjeżdża do Krakowa na koronację.
4. 1633. Pogrzeb Zygmunta III.
5. 1831. Dybicz wkracza z wojskiem moskiewskim do Królestwa Polskiego.
6. 1296. Zabójstwo króla Przemysława w Rogoźnie.
7. 1633. Koronacja Władysława IVgo.
8. 1863. Bitwa pod Węgrowem.
8. 1863. Tajna konwencja Prus z Rosją, celem stłumienia powstania polskiego.
9. 1454. Ślub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą austriacką.
10. 1564. Pożar Jasnej Góry.
11. 1798. Śmierć Stanisława Augusta.
12. 1386. Wjazd Jagiełły do Krakowa.
13. 1609. Chodkiewicz odbiera Szwedom Parnawę.
13. 1831. Pierwsze starcia z armią rosyjską nad Liwcem.
14. 1386. Chrzest Jagiełły w Krakowie.
15. 1574. Pogrzeb Zygmunta Augusta.
15. 1831. Zwycięstwo Dwernickiego pod Stoczkiem.
16. 1758. Urodziny Juliana Niemcewicza.
17. 1386. Jagiełło poślubia Jadwigę.
18. 1574. Wjazd Henryka Walezego do Krakowa.
19. 1472. Urodziny Mikołaja Kopernika.
21. 1846. Wybuch powstania w Krakowie.
21. 1846. Potyczka pod Narajowem.
22. 1846. Ustąpienie Austriaków z Krakowa.
23. 1807. Zajęcie Tczewa przez Dąbrowskiego.
23. 1859. Zgon Zygmunta Krasińskiego.
24. 1831. Bitwa pod Białołęką.
25. 1493. Koronacja Anny Cylejskiej, drugiej żony Jagiełły.
25. 1831. Bitwa pod Grochowem.
26. 1831. Powołanie Skrzyneckiego na wodza naczelnego.
27. 1839. Stracenie Szymona Konarskiego.
27. 1864. Ponowne ogłoszenie przez Austriaków stanu oblężenia w Krakowie i Galicji.
28. 1812. Zgon ks. Hugo Kołłątaja.
28. 1768. Zawiązanie konfederacji w Barze.

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22 lutego



31 DNI — Angielski MARCH—Litewski KOVAS / Niemiecki MAERZ—Rosyjski MART / Ruski BEREZEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	Albin, Antonina
2	Sobota	Helena, Amelia
10-ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Kunegunda, Teresa
4	Poniedz.	Kazimierz
5	Wtorek	Wacław, Euzebiusz
6	Środa	POPIELEC, Wiktor, Róża
7	Czwartek	Tomasz z Akw.
8	Piątek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Sobota	Franciszka, Mścisława
11-ty Tydzień		
10	**Niedziela**	40 Męczenników, Cyprian
11	Poniedz.	Konstantyn, Pelagia
12	Wtorek	Grzegorz
13	Środa	Marek, Krystyna, Sabina
14	Czwartek	Leon, Matylda, Bożenna
15	Piątek	Klemens, Longin
16	Sobota	Hilary, Eufrozyna
12-ty Tydzień		
17	**Niedziela**	Jan, Patryk, Zbigniew
18	Poniedz.	Cyryl, Edward
19	Wtorek	Józef, Bogdan
20	Środa	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Czwartek	Benedykt
22	Piątek	Oktawian, Katarzyna
23	Sobota	Feliks, Wiktor, Pelagia
13-ty Tydzień		
25	Poniedz.	ZWIASTOWANIE N. M. P.
26	Wtorek	Teodor, Emanuel, Tekla
27	Środa	Jan Dam. Ernest, Lidia
28	Czwartek	Jan Kapistr. Sykstus
29	Piątek	Cyryl, Eustazy, Jonas
30	Sobota	Jan Klimak, Aniela
14-ty Tydzień		
31	**Niedziela**	Benjamin, Balbina

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MARZEC

1\. 1634. Wojska moskiewskie poddają się pod Smoleńskiem Władysławowi IV.
3\. 1846. Zajęcie Krakowa przez wojska trzech państw zaborczych.
4\. 1386. Koronacja Władysława Jagiełły.
5\. 1569. Przywileje zatwierdzające Unię Lubelską dla Podlasia.
6\. 1454. Kazimierz Jagiellończyk wciela Prusy i Pomorze do Polski.
8\. 1799. Kniaziewicz składa Dyrektoriatowi zdobyte sztandary.
9\. 1579. Maksymilian austriacki zrzeka się praw do korony polskiej.
10\. 1604. Dymitr Samozwaniec na audiencji u Zygmunta III na Wawelu.
10\. 1863. Langiewicz zostaje dyktatorem.
11\. 1039. Banicja Bolesława Śmiałego.
12\. 1333. Śmierć Władysława Łokietka.
13\. 1600. Zygmunt III. nabywa prawa do Estonii.
14\. 1801. Śmierć Ignacego Krasickiego.
15\. 1848 Rozruchy w Krakowie.
16\. 1329. Król czeski Jan Luksemburski odstępuje bezprawnie Krzyżakom Ziemię Dobrzyńską.
17\. 1832. Założenie na emigracji Towarzystwa Demokratycznego.
18\. 1863. Zwycięstwo Langiewicza pod Grochowicami.
19\. 1877. Śmierć Józefa Ignacego Kraszewskiego.
20\. 1849. Utworzenie w Poznaniu Komitetu rewolucyjnego przez Mierosławskiego.
23\. 1935. Sejm uchwalił nową Konstytucję.
24\. 1794. Przysięga Kościuszki w Krakowie.
25\. 1831. Wybuch powstania na Litwie, Żmudzi, Ukrainie i Podolu.
26\. 1799. Legiony w walce pod Weroną i Legnano.
27\. 1809. Zaszczytny udział Legionów w bitwie pod Ciadad-Rael w Hiszpanii.
28\. 1657. Wjazd Rakoczego do Krakowa.
29\. 1790. Zawarcie traktatu polsko-pruskiego.
30\. 1831. Bitwa pod Wawrem.
31\. 1831. Bitwa pod Wielkiemi Dębami.

Post obowiązuje: 1, 6, 8, 13, 15, 16, 22, 29 marca



30 DNI — **Angielski APRIL—Litewski BALANDIS**
Niemiecki APRIL—Rosyjski APRIEL
Ruski KWITEŃ — 30 DNI

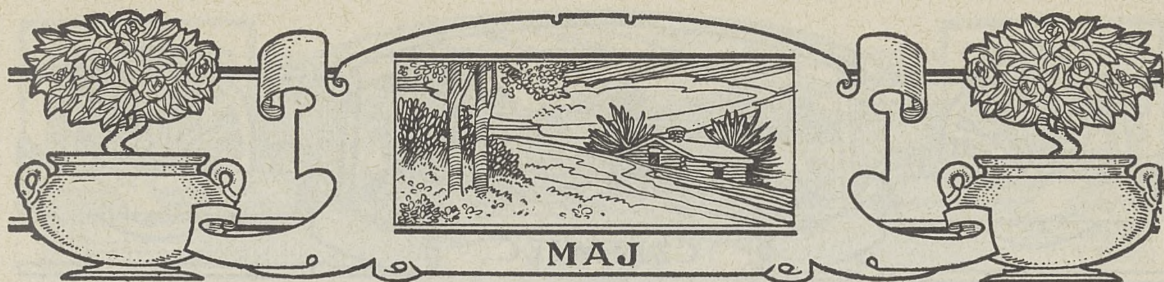
Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Poniedz.	Hugon, Teodor
2	Wtorek	Franciszek, Leopold
3	Środa	Ryszard, Pankracy
4	Czwartek	Izydor, Benedykt, Ambroży
5	Piątek	Wincenty, Irena
6	Sobota	Celestyn, Julianna
15-ty Tydzień		
7	**Niedziela**	Herman, Saturnin
8	Poniedz.	Dionizy, January
9	Wtorek	Hugon, Maria
10	Środa	Michał, Apoloniusz
11	Czwartek	Filip, Leon
12	Piątek	Juliusz, Wiktor, Zenon
13	Sobota	Hermenegilda, Krystyna
16-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	NIEDZIELA PALMOWA
15	Poniedz.	Bazyli, Anastazja
16	Wtorek	Benedykt, Marcelian
17	Środa	Inocenty, Robert
18	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
19	Piątek	WIELKI PIĄTEK
20	Sobota	WIELKA SOBOTA
17-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Anzelm
22	Poniedz.	Soter i Kajus, Leon, Łukasz
23	Wtorek	Wojciech, Jerzy
24	Środa	Fidelis, Grzegorz
25	Czwartek	Marek, Jarosław, Grzegorz
26	Piątek	Marcela
27	Sobota	Teofil, Piotr, Zyta
18-ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Witalis, Paweł, Waleria
29	Poniedz.	Piotr, Robert, Bogusław
30	Wtorek	Marian, Katarzyna

KALENDARZYK HISTORYCZNY

KWIECIEŃ

1. 1566. Śluby Jana Kazimierza we Lwowie.
2. 1817. Kościuszko znosi pańszczyznę w Siechnowicach.
3. 1849. Zgon Juliusza Słowackiego.
4. 1794. Bitwa pod Racławicami.
4. 1814. Ostatni dekret Napoleona dla Polaków z nominacją W. Krasińskiego wodzem po ks. Józefie.
5. 1799. Bohaterska śmierć jenerała Rymkiewicza w ataku na Weronę.
6. 1364. Kazimierz W. zakłada w Krakowie Akademię.
7. 1656. Bitwa pod Warką ze Szwedami.
8. 1861. Strzały na ulicach Warszawy.
9. 1241. Bitwa pod Lignicą z Tatarami.
10. 1864. Aresztowanie Traugutta.
12. 1457. Krzyżacy wydają Malborg Polakom.
14. 1809. Wojska austriackie wkraczają do Księstwa Warszawskiego.
15. 1861. Pierwszy Sejm polski w Galicji we Lwowie.
16. 1794. Powstanie na Żmudzi.
17. 1577. Stefan Batory karze Gdańszczan.
18. 1791. Sejm czteroletni nadaje nowe prawa miastom.
18. 1884. Pogrzeb Kraszewskiego na Skałce w Krakowie.
19. 1773. Rejtan protestuje przeciw I. rozbiorowi Polski.
21. 1490. Elekcja Władysława Jagiellończyka na króla węgierskiego.
22. 1828. Ukaz cara Mikołaja I. przeciw unitom.
23. 1794. Jakób Jasiński zaczyna powstanie w Wilnie.
24. 1863. Śmierć poety Romanowskiego w bitwie pod Józefowem.
25. 1333. Koronacja Kazimierza Wielkiego.
27. 1831. Dwernicki przekracza granicę austriacką pod Chlebanówką i składa broń.
30. 1632. Śmierć Zygmunta III.

Post obowiązuje: 5, 12, 17, 19, 20, 26 kwietnia



31 DNI

Angielski MAY—Litewski GEGUŻIS
Niemiecki MAI—Rosyjski MAJ
Ruski TRAWEŃ

31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Środa	Filip, Jakub
2	Czwartek	Zygmunt, Anastazy
3	Piątek	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Sobota	Florian, Monika
19-ty Tydzień		
5	**Niedziela**	Pius, Izydor, Irena
6	Poniedz.	Jan w Oleju
7	Wtorek	Florian, Domicela, Ludmiła
8	Środa	Stanisław, Michał, Joanna
9	Czwartek	Grzegorz
10	Piątek	Izydor, Antoni, Małgorzata
11	Sobota	Mamert, Ignacy, Adolf
20-ty Tydzień		
12	**Niedziela**	DZIEŃ MATEK, Pankracy
13	Poniedz.	Robert, Serwacy
14	Wtorek	Bonifacy
15	Środa	Jan, Izydor, Zofia
16	Czwartek	Jan, Andrzej Bobola
17	Piątek	Paschalis, Brunon
18	Sobota	Feliks, Bogdan
21-szy Tydzień		
19	**Niedziela**	Piotr, Mikołaj, Celestyn
20	Poniedz.	Bernardyn, Zuzanna
21	Wtorek	Wiktor, Julia
22	Środa	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Czwartek	Dezydery, Jan
24	Piątek	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Sobota	Grzegorz, Urban
22-gi Tydzień		
26	**Niedziela**	Filip, Augustyn
27	Poniedz.	Jan
28	Wtorek	German, Augustyn
29	Środa	Magdalena
30	Czwartek	**MEMORIAL DAY** / **WNIEBOWSTĄPIENIE**
31	Piątek	Aniela, Petronela

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MAJ

1. 1576. Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.
2. 1848. Potyczka pod Wrześnią — koniec powstania.
3. 1791. Uchwalenie Konstytucji 3. Maja.
4. 1505. Król Aleksander wydaje nowe prawa.
5. 1821. Zgon Napoleona na wyspie św. Heleny.
7. 1810. Król Saski przybywa do Krakowa.
8. 1079. Śmierć św. Stanisława biskupa.
9. 1794. Lud warszawski stawia szubienice Targowiczanom.
9. 1809. Wojsko Księstwa Warszawskiego wkracza do Lublina.
10. 1808. Konwencja bajońska między Napoleonem a królem Saskim.
12. 1935. Zgon Marszałka Piłsudskiego.
13. 1588. Pogrzeb Stefana Batorego.
13. 1813. Moskale zajmują Kraków.
14. 1792. Targowiczanie zawiązują konfederację.
15. 1811. Zwycięskie starcie lansjerów polskich z Anglikami nad rzeką Albuhera.
15. 1815. Ustanowienie W. ks. Poznańskiego z zapewnieniem przez króla pruskiego swobód polskiej narodowości.
16. 1429. Urodziny Kazimierza Jagiellończyka.
16. 1861. Zniesienie pańszczyzny według projektu Wielopolskiego.
17. 1773. Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy.
17. 1810. Król Saski przybywa do Warszawy.
17. 1944. Zdobycie Monte Cassino.
18. 1674. Elekcja Jana Sobieskiego na króla.
18. 1802. Wysłanie Legionów na San Domingo.
18. 1809. Generał Sokolnicki i Różniecki zajmują Sandomierz.
19. 1809. Szturm na Zamość i upadek twierdzy.
20. 1648. Śmierć Władysława IV. w Mereczu.
21. 1863. Bitwa w puszczy Łabonarskiej.
22. 1609. Zygmunt III. oblega Smoleńsk.
23. 1647. Klęska Polaków pod Żółtemi Wodami.
24. 1543. Śmierć Mikołaja Kopernika.
25. 1371. Władysław Jagiellończyk królem czeskim.
26. 1831. Bitwa pod Ostrołęką.
27. 1569. Wcielenie Ziemi bracławskiej do Korony.
28. 1793. Zajęcie Gdańska przez Prusaków.
29. 1861. Śmierć Joachima Lelewela.
30. 1434. Śmierć Władysława Jagiełły w Gródku.
31. 1364. Kazimierz W. nadaje przywileje Akademii.

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31 maja



30 DNI | Angielski JUNE—Litewski BERŻELIS
Niemiecki JUNI—Rosyjski JUŃ
Ruski CZERWEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Sobota	Jakub, Konrad
23-ci Tydzień		
2	**Niedziela**	Erazm, Marcelina
3	Poniedz.	Leszek, Klotylda
4	Wtorek	Franciszek, Teodora
5	Środa	Bonifacy, Maria, Waleria
6	Czwartek	Norbert, Łucja
7	Piątek	Robert, Wiesław
8	Sobota	Medard, Seweryn, Elżbieta
24-ty Tydzień		
9	**Niedziela**	**ZIEL. ŚWIĘTA**, Felicjan
10	Poniedz.	Jan, Bogumił, Małgorzata
11	Wtorek	Barnaba, Feliks
12	Środa	Jan, Onufry
13	Czwartek	Antoni z Padwy, Łucjan
14	Piątek	**DZIEŃ FLAGI**, Bazyli
15	Sobota	Wit i Modest, Jolanta
25 ty Tydzień		
16	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, św. Trójcy
17	Poniedz.	Adolf, Inocenty, Marian
18	Wtorek	Marek, Elżbieta
19	Środa	Gerwazy, Julianna
20	Czwartek	BOŻE CIAŁO, Juliusz
21	Piątek	Alojzy, Janusz, Bogumiła
22	Sobota	Paulina
26-ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Zenon, Wanda, Agrypina
24	Poniedz.	Jan Chrzciciel
25	Wtorek	Wilhelm, Łucja
26	Środa	Jan, Paweł
27	Czwartek	Władysław
28	Piątek	Ireneusz, Leon
29	Sobota	PIOTR i PAWEŁ
27-my Tydzień		
30	**Niedziela**	Ernest, Lucyna, Emilia

KALENDARZYK HISTORYCZNY

CZERWIEC

2. 1624. Urodziny Jana Sobieskiego.
3. 1605. Śmierć Jana Zamoyskiego.
4. 1872. Zgon Stanisława Moniuszki.
5. 1569. Wcielenie Kijowszczyzny do Korony.
5. 1794. Bitwa pod Szczekocinami.
6. 1818. Śmierć Henryka Dąbrowskiego.
7. 1492. Śmierć Kazimierza Jagiellończyka.
8. 1862. Nadanie autonomii Królestwu — Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego.
9. 1815. Kongres Wiedeński uchwalił utworzenie Królestwa Polskiego.
10. 1863. Bitwa pod Ignacowem koło Gopła.
12. 1893. Pogrzeb Lenartowicza na Skałce.
13. 1611. Zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III
14. 1807. Bitwa pod Frydlandem.
15. 1809. Wojska polskie wkraczają do Krakowa.
17. 1696. Śmierć Jana III. Sobieskiego w Wilanowie.
18. 1434. Pogrzeb Władysława Jagiełły.
18. 1574. Henryk Walezy opuszcza Polskę.
18. i 19. 1799. Walki nad Trebbią. Zaszczytne odznaczenie się Dąbrowskiego i Chłopickiego.
19. 1205. Leszek Biały zwycięża Romana halickiego pod Zawichwostem.
20. 1815. Ogłoszenie Królestwa Kongresowego.
21. 1768. Ogłoszenie Konfederacji barskiej w Krakowie.
23. 1818. Pogrzeb Kościuszki w Krakowie.
24. 1768. Rzeź humańska.
24. 1812. Przejście Niemna przez Napoleona.
25. 1447. Kazimierz Jagiellończyk wstępuje na tron.
26. 1812. Zwołanie nadzwyczajnego Sejmu w Warszawie.
27. 1794. Zaburzenia w Warszawie.
28. 1812. Napoleon wjeżdża do Wilna.
29. 1470. Władysław Jagiellończyk królem Węgier.
30. 1651. Bitwa pod Beresteczkiem.
30. 1657. Szwedzi ustępują z Krakowa.

Post obowiązuje: 7, 8, 12, 14, 15, 21, 28



31 DNI

Angielski JULY—Litewski LIEPOS
Niemiecki JULI—Rosyjski JIUL
Ruski ŁYPEŃ

31 DNI

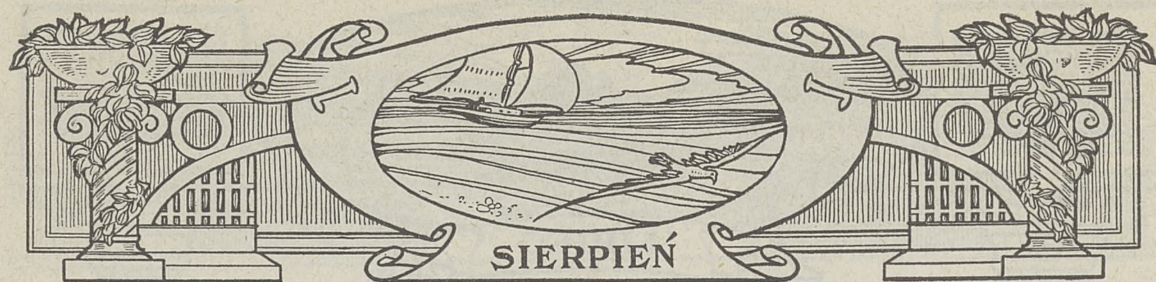
Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Poniedz.	Przen. Krwi P. J., Juliusz
2	Wtorek	Nawiedz. N.M.P., Urban
3	Środa	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	Czwartek	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5	Piątek	Antoni, Filomena
6	Sobota	Dominik, Romuald, Łucja
28-my Tydzień		
7	**Niedziela**	Cyryl i Metody
8	Poniedz.	Prokop, Elżbieta
9	Wtorek	Tomasz, Weronika, Mikołaj
10	Środa	7 Braci Męczen., Amelia
11	Czwartek	Pius, Olga, Pelagia
12	Piątek	Jan, Gwalbert
13	Sobota	Eugeniusz, Małgorzata
29-ty Tydzień		
14	**Niedziela**	Bonawentura, Marceli
15	Poniedz.	Henryk, Wit
16	Wtorek	N.M.P. Szkapl., Andrzej
17	Środa	Aleksy, Bogdan
18	Czwartek	Kamil, Szymon
19	Piątek	Wincenty a Paulo
20	Sobota	Czesław, Hieron., Małgorz.
30-ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22	Poniedz.	Maria Magdalena
23	Wtorek	Apolinary
24	Środa	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25	Czwartek	Jakub, Krzysztof
26	Piątek	Anna, Mierosława
27	Sobota	Pantaleon, Natalia
31-szy Tydzień		
28	**Niedziela**	Innocenty, Wiktor
29	Poniedz.	Urban, Fel. Marta Beatr.
30	Wtorek	Abdon, Donat, Rufin
31	Środa	Ignacy L., Justyn, Helena

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LIPIEC

1. 1569. Sejm w Lublinie.
2. 1849. Rozwiązanie Legionu Mickiewicza.
3. 1655. Wkroczenie Szwedów do Polski.
4. 1890. Pogrzeb Adama Mickiewicza w Krakowie.
6. 1607. Bitwa pod Guzowem i stłumienie rokoszu Zebrzydowskiego.
7. 1572. Śmierć Zygmunta Augusta.
7. 1807. Utworzenie Księstwa Warszawskiego traktatem w Tylży.
9. 1330. Krzyżacy palą Nakło.
10. 1685. Zwycięstwo nad Tatarami pod Jazłowcem.
11. 1649. Bitwa z Kozakami pod Zborowem.
12. 1704. Pierwsza elekcja Stanisława Leszczyńskiego na króla.
13. 1666. Bitwa pod Mątwami między Janem Kazimierzem i Jerzym Lubomirskim.
15. 1410. Zwycięstwo pod Grunwaldem.
15. 1794. Wojska rosyjsko - pruskie otaczają Warszawę.
16. 1631. Konfederacja warszawska po śmierci Zygmunta III.
17. 1399. Śmierć królowej Jadwigi.
18. 1863. Bitwa pod Janowem.
19. 1525. Hołd księcia Alberta pruskiego.
20. 1570. Zygmunt August nadaje przywileje Gdańskowi.
20. 1794. Wypędzenie Moskali z Wilna.
21. 1440. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla Węgier.
22. 1807. Nadanie konstytucji Księstwu Warszawskiemu.
23. 1683. Wyjazd Jana III. na odsiecz Wiednia.
24. 1792. Stanisław August przystępuje do Targowicy.
25. 1434. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla polskiego.
26. 1295. Przemysław wznawia Królestwo Polskie.
27. 1697. Elekcja Augusta II. na króla.
28. 1914. Wybuch wojny światowej.
29. 1799. Kapitulacja Mantui i zniszczenie Legii drugiej.
30. 1838. Urodziny Jana Matejki.
31. 1847. Powieszenie Wiśniowieckiego i Kapuścińskiego.

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26 lipca



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS / Niemiecki AUGUST—Rosyjski AWGUST / Ruski SERPEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Czwartek	Piotr w Okowach
2	Piątek	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Sobota	Znal. Relikwii św. Szczep.
32-gi Tydzień		
4	**Niedziela**	Dominik
5	Poniedz.	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Wtorek	Przemienienie Pańskie
7	Środa	Kajetan, Donat
8	Czwartek	Cyriak, Emilian, Justyn
9	Piątek	Roman, Jan
10	Sobota	Wawrzyniec, Bogdan
33-ci Tydzień		
11	**Niedziela**	Tyburcjusz, Zuzanna
12	Poniedz.	Hilary, Klara
13	Wtorek	Hipolit, Jan, Helena
14	Środa	Euzebiusz
15	Czwartek	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
16	Piątek	Roch, Joachim, Ambroży
17	Sobota	Jacek, Paweł, Julian
34-ty Tydzień		
18	**Niedziela**	Agapit, Włodzimierz
19	Poniedz.	Bolesław, Ludwik, Marian
20	Wtorek	Bernard, Samuel
21	Środa	Daniel, Joanna
22	Czwartek	Tymoteusz, Hipolit
23	Piątek	Filip, Apolinary, Wiktor
24	Sobota	Bartłomiej, Jerzy
35-ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Ludwik, Grzegorz
26	Poniedz.	N.M.P. Jasnog., Konstant.
27	Wtorek	Józef Kalasanty
28	Środa	Augustyn
29	Czwartek	Ścięcie Św. Jana, Sabina
30	Piątek	Feliks, Róża z Limy
31	Sobota	Rajmund, Marek

KALENDARZYK HISTORYCZNY

SIERPIEŃ

1. 1944 Wybuch Powstania Warszawskiego.
1. 1520. Urodziny Zygmunta Augusta.
2. 1897. Śmierć Adama Asnyka.
3. 1831. Świetny odwrót Dembińskiego z Litwy.
4. 1310. Rzeź w Gdańsku, dzieło Krzyżaków.
5. 1772. Traktat pierwszego rozbioru Polski.
6. 1914. Wymarsz Kadrówki.
9. 1650. Śmierć kanclerza Józefa Ossolińskiego.
9. 1849. Gen. Bem, mianowany naczelnym wodzem wojsk węgierskich.
10. 1107. Bolesław Krzywousty bije Prusaków pod Nakłem.
11. 1569. Zawarcie Unii w Lublinie.
11. 1702. Wojska Karola XII, zajmują Zamek Wawelski.
12. 1794. Moskale zajmują Wilno.
13. 1773. Pogrzeb konfederatów barskich w Krakowie.
14. 1018. Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa.
15. Sierpnia—Święto Żołnierza.
16. 1680. Jan Sobieski wjeżdża do Jass na Multanach.
17. 1812. Wojska Księstwa Warszawskiego w szturmie na Smoleńsk.
18. 1812. Zdobycie Smoleńska przez korpus polski.
18. 1849. Legion polski biorący udział w powstaniu węgierskim, przenosi się z Węgier do Serbii.
19. 1587. Elekcja Zygmunta III. Wazy.
20. 1672. Zdobycie Kamieńca przez Turków.
21. 1649. Zbaraż uwolniony od oblężenia Tatarów i Kozaków.
22. 1795. Akt zawiązania Deputacji polskiej we Francji dla starań w sprawie polskiej.
23. 1794. Ogłoszenie powstania Kościuszki w Wielkopolsce.
23. 1809. Urodziny J. Słowackiego.
24. 1656. Stefan Czarniecki bije Szwedów pod Strzemesznem.
25. 1526. Zygmunt I. wjeżdża uroczyście do Warszawy.
26. 1601. Karol Chodkiewicz uwalnia Rygę od oblężenia Szwedów.
29. 1656. Wyparcie Szwedów z Krakowa.
30. 1794. Kościuszko odpiera nowe szturmy Prusaków na Warszawę.
31. 1579. Stefan Batory zdobywa Połock.

Post obowiązuje: 2, 9, 14, 16, 23, 30 sierpnia



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS Niemiecki SEPTEMBER—Rosyjski SIENTIABR—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
36ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Idzi, Bronisława
2	Poniedz.	**ŚWIĘTO PRACY**, Stefan
3	Wtorek	Szymon, Zenon, Izabela
4	Środa	Rozalia, Róża
5	Czwartek	Wawrzyniec, Justyna
6	Piątek	Zachariasz, Eugeniusz
7	Sobota	Melchior, Regina
37my Tydzień		
8	**Niedziela**	Narodzenie N. M. P.
9	Poniedz.	Piotr, Sergiusz
10	Wtorek	Mikołej, Łukasz, Łucja
11	Środa	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Czwartek	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Piątek	Filip, Eugenia
14	Sobota	Podw Św. Krzyża, Kalikst
38my Tydzień		
15	**Niedziela**	M.B. Bolesnej, Nikodem
16	Poniedz.	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Wtorek	Blizny Św. Fran. Jacek
18	Środa	Józef, Tomasz, Irena
19	Czwartek	January, Gustaw, Teodor
20	Piątek	Eustachy, Filipina
21	Sobota	Mateusz
39ty Tydzień		
22	**Niedziela**	Tomasz, Maurycy
23	Poniedz.	Tekla, Boguchwała
24	Wtorek	N.M.P. od Wyk. N. Gerard
25	Środa	Władysław, Kleofas
26	Czwartek	Cyprian, Justyn
27	Piątek	Kosma i Damian
28	Sobota	Wacław, Marek
40ty Tydzień		
29	**Niedziela**	Michał Archanioł
30	Poniedz.	Hieronim, Grzegorz

KALENDARZYK HISTORYCZNY

WRZESIEŃ

1. 1675. Jan III. oswobadza Trembowlę.
2. 1793. Sejm w Grodnie uchwala drugi podział Polski.
3. 1612. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Moskwą.
4. 1656 Wjazd Jana Kazimierza do Krakowa po wypędzeniu Szwedów.
5. 1794. Prusacy odstępują od oblężenia Warszawy.
6. 1580 Stefan Batory zdobywa Wielkie Łuki.
7. 1764. Ostatnia elekcja: wybór Stanisława Augusta Poniatowskiego.
8. 1883. Ugoda mocarstw rozbiorowych w Muenchengraetz przeciw Polsce.
9. 1814. Wprowadzenie zwłok ks. Józefa do Warszawy.
10. 1794. Dąbrowski z powstańcami pod Kołem nad Wartą.
11. 1683. Sobieski na Kahlenbergu.
12. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem.
13. 1820. Car Aleksander I. zagaja Sejm w Warszawie.
14. 1484. Książę mołdawski składa hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi.
15. 1697. Koronacja Augusta II.
16. 1668. Jan Kazimierz składa koronę.
17. 1462. Zwycięstwo wojsk Kazimierza Jagiellończyka nad Krzyżakami pod Puckiem-Żarnowcem.
18. 1454. Bitwa z Krzyżakami pod Chojnicami.
19. 1861. Zamach na hr. Berga w Warszawie.
20. 1492. Koronacja Jana Olbrachta.
21. 1699. Turcy oddają Polsce Kamieniec Podolski.
22. 1703. Konfederacja jeneralna sandomierska za Augusta II.
24. 1621. Zgon Karola Chodkiewicza.
25. 1793. Delegacja Sejmu w Grodnie podpisuje akt zgody na drugi rozbiór z Prusami.
27. 1331. Łokietek zadaje Krzyżakom klęskę pod Płowcami.
27. 1605. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Szwedami pod Kirchholmem.
27. 1612. Śmierć ks. Piotra Skargi w Krakowie.
28. 1648. Bitwa pod Piławcami.
28. 1651. Ugoda białocerkiewska z Kozakami.
29. 1669. Koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.
30. 1657. Przymierze Polski z Danią przeciw Szwecji.

Post obowiązuje: 6, 13, 18, 20, 21, 27 września



31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS / Niemiecki OKTOBER—Rosyjski OKTIABR / Ruski ŻOWTEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Wtorek	Jan z Dukli, Remigiusz
2	Środa	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Czwartek	Teresy od Dziec. Jezus
4	Piątek	Franciszek z Asyżu
5	Sobota	Placyd, Apolinary
41szy Tydzień		
6	**Niedziela**	Brunon, Artur, Emil
7	Poniedz.	N. M. P. Różańcowej, Marek
8	Wtorek	Brygida, Pelagia
9	Środa	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Czwartek	Franciszek Borg. Paula
11	Piątek	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**
12	Sobota	**COLUMBUS DAY,** Serafin
42gi Tydzień		
13	**Niedziela**	M. B. z Fatima, Edward,
14	Poniedz.	Kalikst
15	Wtorek	Jadwiga, Teresa
16	Środa	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Czwartek	Wiktor, Małgorzata, Maria
18	Piątek	Łukasz Ewangelista
19	Sobota	Piotr, Pelagia
43ci Tydzień		
20	**Niedziela**	Jan Kanty, Irena
21	Poniedz.	Hilarion, Urszula
22	Wtorek	Filip, Salomea, Kordula
23	Środa	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Czwartek	Rafał Archanioł, Marcin
25	Piątek	Kryspin, Bonifacy
26	Sobota	Ewaryst
44ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Sabina
28	Poniedz.	Szymon, Tadeusz
29	Wtorek	Abraham, Narcyz, Euzebia
30	Środa	Alfons, Edmund
31	Czwartek	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla

KALENDARZYK HISTORYCZNY

PAŹDZIERNIK

1. 1794. Dąbrowski zajmuje Bydgoszcz.

2. 1413. Unia Horodelska z Litwą.

5. 1831. Przejście armii jen. Rybińskiego do Prus.

7. 1620. Klęska pod Cecorą.

9. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami pod Parkanami.

10. 1796. Memoriał Dąbrowskiego do Dyrektoriatu z projektem formacji Legionów.

11. Rocznica zgonu Gen. Kazimierza Pułaskeigo pod Savannah w r. 1779.

12. 1617. Królewicz Władysław zdobywa na Moskwie Drohobuż.

13. 1282. Wielkie zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami w okolicach Narwi.

15. 1817 Śmierć Tadeusza Kościuszki.

16. 1861. Moskale katują w Warszawie lud w kościołach.

17. 1863. Powstanie Rządu Narodowego z Trauguttem na czele.

19. 1818. Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego w rzece Elsterze.

24. 1795. Przystąpienie Prus do konwencji rozbiorowej.

26. 1497. Klęska Jana Olbrachta w lasach bukowińskich.

30. 1609. Oblężenie Smoleńska przez Zygmunta III.

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25, 31 października



30 DNI — Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS — 30 DNI
Niemiecki NOVEMBER—Rosyjski NOJABR
Ruski PADOŁYST

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
2	Sobota	DZIEŃ ZADUSZNY
45ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Hubert, Sylwia
4	Poniedz.	Karol Borom., Witalis
5	Wtorek	Zachariasz, Elżbieta
6	Środa	Leonard, Feliks
7	Czwartek	Arnest, Antoni, Salomea
8	Piątek	Bogdan, Sewer, Ida
9	Sobota	Teodor, Orest
46ty Tydzień		
10	**Niedziela**	Andrzej, Lubomir
11	Poniedz.	ŚWIĘTO NIEP. POL.
12	Wtorek	Mateusz, Witold
13	Środa	Stanisław Kostka
14	Czwartek	Józafat
15	Piątek	Leopold, Wojciech
16	Sobota	M.B. Ostrobram., Edmund
47my Tydzień		
17	**Niedziela**	Grzegorz, Salomea
18	Poniedz.	Katedry Św. Piotra, Roman
19	Wtorek	Felicjan, Elżbieta
20	Środa	Feliks, Edmund, Anatol
21	Czwartek	Ofiarowanie NMP., Janusz
22	Piątek	Marek, Cecylia
23	Sobota	Klemens, Felicyta
48my Tydzień		
24	**Niedziela**	Jan od Krzyża, Aleksander
25	Poniedz.	Katarzyna, Erazm
26	Wtorek	Konrad, Leonard, Jan
27	Środa	Walerian, Jakub
28	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Grzegorz
29	Piątek	Błażej, Saturnin
30	Sobota	Andrzej, Zbysława

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LISTOPAD

1. 1769. Bitwa pod Lanckoroną.
1. 1905. Rzeź na Placu Teatralnym w Warszawie.
2. 1814. Memorandum Metternicha do Kongresu wiedeńskiego, celem odbudowania Polski.
3. 1806. Dąbrowski i Wybicki przed Napoleonem w Berlinie w sprawie powstania Wielkopolan.
4. 1794. Rzeź Pragi.
5. 1370. Śmierć Kazimierza Wielkiego.
6. 1799. Zwycięski udział dywizji Dąbrowskiego w bitwie pod Novi.
8. 1412. Zygmunt Luksemburski oddaje Polsce ziemię Spiską w zastaw.
9. 1673. Zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem.
10. 1794 Korpus Dąbrowskiego składa broń pod Raszycami.
11. 1444. Bitwa pod Warną, śmierć króla Władysława.
13. 1783. Washington mianuje Kościuszkę generałem brygady.
14. 1803. Rozkaz generalny Dąbrowskiego do byłego wojska polskiego, wydany w Poznaniu.
16. 1808. Dekret Dąbrowskiego o poborze rekruta w Wielkopolsce.
17. 1796. Car Paweł wypuszcza Kościuszkę z więzienia.
18. 1655. Wojska szwedzkie oblęgają Częstochowę.
18. 1776. Kościuszko mianowany pułkownikiem wojsk amerykańskich.
19. 1794. Armia Rzeczypospolitej przestaje istnieć.
19. 1807. Deputacja Polaków przed Napoleonem w Berlinie.
21. 1893. Rzeź w Krożach.
23. 1794. Zamknięcie Sejmu grodzieńskiego.
23. 1805. Legioniści polscy pod Castel Franco.
25. 1795. Koniec panowania Stanisława Augusta.
26. 1806. Wojska Napoleona zajmują Warszawę.
26. 1855. Śmierć Adama Mickiewicza.
27. 1806. Cesarz Napoleon w Poznaniu.
27, 28. 1812. Przejście przez Berezynę.
28. 1907. Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.
29. 1466. Krzyżacy zwracają Polsce Pomorze i część Prus.
29. 1830. Wybuch powstania w Warszawie.
29. 30. 1808. Walki i wzięcie wąwozu Somosiera przez szwoleżerów polskich.

Post obowiązuje: 8, 15, 22, 29 listopada



31 DNI — Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS — 31 DNI
Niemiecki DEZEMBER—Rosyjski DIEKABR
Ruski HRUDEŃ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
49ty Tydzień		
1	**Niedziela**	**Adwent**—Eligiusz, Natalia
2	Poniedz.	Hipolit, Balbina
3	Wtorek	Franciszek, Ksawery
4	Środa	Piotr, Barbara
5	Czwartek	Anastazy, Saba, Krystyna
6	Piątek	Mikołaj, Emil
7	Sobota	Ambroży
50ty Tydzień		
8	**Niedziela**	NIEP. POCZ. N. M. P.
9	Poniedz.	Piotr, Wiesław, Leokadia
10	Wtorek	N. M. P. Loret. Julia
11	Środa	Damazy, Sabina
12	Czwartek	Aleksander, Konstanty
13	Piątek	Władysław, Łucja, Otylia
14	Sobota	Teodor, Alfred
51szy Tydzień		
15	**Niedziela**	Walerian, Wiktor, Celina
16	Poniedz.	Euzebiusz, Adela
17	Wtorek	Łazarz, Florian, Olimpia
18	Środa	Gracjan, Bogusław
19	Czwartek	Grzegorz, Urban
20	Piątek	Teofil, Juliusz, Bogumiła
21	Sobota	Tomasz, Jan
52gi Tydzień		
22	**Niedziela**	Zenon, Leon, Honorata
23	Poniedz.	Wiktoria, Sławomir
24	Wtorek	WIGILIA, Adam, Ewa
25	Środa	**BOŻE NARODZENIE**
26	Czwartek	Szczepan
27	Piątek	Jan Ewangelista
28	Sobota	Młodziankowie, Teofil
Ostatni Tydzień Roku		
29	**Niedziela**	Tomasz
30	Poniedz.	Eugenia, Sabina
31	Wtorek	Sylwester, Melania

KALENDARZYK HISTORYCZNY

GRUDZIEŃ

1. 1830. Chłopicki obejmuje naczelną komendę armii.
2. 1413. Sejm horodelski.
3. 1830. Gen. Szembek z I pułkiem strzelców łączy się z powstaniem.
4. 1796. Pierwsze spotkanie Dąbrowskiego z Napoleonem.
5. 1830. Chłopicki zostaje dyktatorem.
6. 1387. Kraków składa hołd królowi Jagielle.
7. 1806. Wezwanie ks. Józefa do objęcia czynności naczelnego wodza.
8. 1506. Zygmunt Stary królem.
10. 1857. Śmierć generała Józefa Bema w Aleppo.
12. 1501. Koronacja Aleksandra Jagiellończyka.
13. 1587. Śmierć Stefana Batorego.
13. 1867. Zgon Artura Grottgera.
15. 1828. Tajny związek w Szkole Podchorążych.
17. 1530. Elekcja Zygmunta Augusta.
18. 1830. Sejm uznaje powstanie za narodowe.
19. 1812. Napoleon w Warszawie.
20. 1830. Sejm powierza dyktaturę Chłopickiemu.
21. 1658. Zwycięstwo Czarnieckiego nad Szwedami pod Goldyngą.
23. 1595. Zawarcie Unii w Brześciu.
24. 1798. Urodziny Adama Mickiewicza.
24. 1815. Uroczyste zaprowadzenie Konstytucji nadanej Królestwu kongresowemu.
25. 1806. Uniwersał Radzimińskiego, zwołujący pospolite ruszenie pod Łowicz.
26. 1655. Jenerał szwedzki, Mueller zwija oblężenie Jasnej Góry.
27. 1587. Koronacja Zygmunta III. w Krakowie.
28. 1800. Legia Kniaziewicza w walce pod Hohenlinden.
30. 1855. Przewiezienie zwłok Mickiewicza z Turcji do Francji.
31. 1657. Rakoczy siedmiogrodzki wkracza do Polski.

Post obowiązuje: 6, 13, 18, 20, 21, 24, 27 grudnia

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Październ.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Październ.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Październ.
Florentyna Bisk. 16 Październ.
Fortunata Męcz. 26 Listopada
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Październ.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Nazjańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Październ.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Październ.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Październ.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Paździer.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska — 3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

Odległość Pomiędzy Miastami w Stanach Zjednoczonych

Najkrótszą linją kolejową w milach. Według tabeli departamentu wojny.

Z / Do	New York	Chicago	Philadelphja	St. Louis	Boston	Baltimore	Cleveland	Buffalo	San Francisco	Pittsburgh	Cincinnati	New Orleans	Washington	Minneapolis
Albany	145	832	236	1,028	202	333	480	297	3,106	567	724	1,517	1,142	1,252
Atlanta	876	733	785	611	1,106	688	736	919	2,805	805	492	496	648	1,158
Baltimore	188	802	97	934	418	......	474	398	3,076	334	593	1,184	40	1,222
Bostonu	217	1,034	321	1,230	......	418	682	499	3,308	674	926	1,602	458	1,454
Buffalo	442	525	416	731	499	398	183	......	2,799	270	427	1,256	438	945
Chicago	912	......	821	284	1,034	802	357	525	2,274	468	298	912	790	420
Cincinnati	757	298	666	341	926	593	244	427	2,572	313	......	829	553	718
Clevelandu	584	357	493	548	682	474	......	183	2,631	135	244	1,073	437	777
Columbus, Ohio	637	314	546	428	820	511	138	321	2,588	193	116	935	471	734
Denver	1,934	1,022	1,843	916	2,056	1,850	1,379	1,537	1,371	1,490	1,257	1,347	1,810	884
Detroit	693	272	669	488	750	649	173	251	2,546	321	263	1,092	655	692
Duluth	1,391	479	1,300	728	1,513	1,281	701	1,004	2,238	947	777	1,447	1,269	162
El Paso	2,310	1,465	2,219	1,245	2,414	2,179	1,703	1,915	1,287	1,866	1,586	1,195	2,139	1,521
Galvestonu	1,792	1,144	1,691	860	2,012	1,594	1,408	1,591	2,157	1,481	1,157	410	1,554	1,340
Grand, Rap's, Mich.	821	178	815	462	878	796	332	379	2,452	462	308	1,090	764	598
Helena	2,452	1,540	2,361	1,549	2,574	2,342	1,897	2,065	1,250	2,008	1,838	2,152	2,320	1,119
Indianapolis	825	183	734	240	965	704	283	466	2,457	381	111	888	664	603
Jacksonville, Fla.	983	1,097	892	975	1,213	795	1,085	1,193	3,098	1,057	841	618	755	1,517
Kansas City	1,342	458	1,251	277	1,466	1, 211	755	967	1,981	898	618	880	1,171	573
Los Angeles	3,149	2,265	3,058	2,084	3,273	3,018	2,562	2,774	475	2,705	2,425	2,007	2,978	2,301
Louisville	871	304	780	274	1,040	703	358	541	2,468	427	114	778	663	724
Memphis	1,157	527	1,066	311	1,387	969	738	921	2,439	807	494	396	929	897
Milwaukee	997	85	906	369	1,119	887	442	610	2,359	553	383	997	875	335
Minneapolis	1,332	420	1,241	586	1,451	1, 222	777	945	2,096	888	718	1,285	1,210	......
Mobile	1,231	929	1,140	647	1,461	1,043	1,029	1,212	2,623	1,098	785	141	1,003	1,233
Montreal	386	841	477	1,051	330	574	623	434	3,115	704	826	1,655	614	1,125
Newark, N. J.	9	903	82	1,056	226	179	575	405	3,177	435	748	1,363	219	1,323
New Haven	76	980	167	1,141	140	264	628	445	3,254	520	833	1,448	304	1,400
New Orleans	1,372	912	1,281	699	1,602	1,184	1,073	1,256	2,482	1,142	829	......	1,144	1,285
New Yorku	......	912	91	1,065	217	188	584	442	3,186	444	757	1,372	228	1,332
Ogden	2,496	1,494	2,315	1,414	2,528	2,296	1,851	2,019	780	1,962	1,792	1,891	2,284	1,316
Omaha	1,405	493	1,314	413	1,527	1,295	1,750	1,018	1,781	961	791	1,080	1,283	381
Philadelphia	91	821	......	974	321	97	493	416	3,095	353	666	1,281	137	1,241
Pittsburgha	444	468	353	621	674	334	135	270	2,742	......	313	1,142	302	888
Portland, Maine	332	1,149	436	1,345	115	533	797	614	3,423	789	1,041	1,717	573	1,569
Portland, Ore.	3,204	2,292	3,113	2,212	3,326	3,094	2,649	2,817	772	2,760	2,590	2,746	3,082	2,042
Providence	190	1,034	281	1,230	45	378	682	499	3,308	634	926	1,562	418	1,454
Quebec	530	1,013	621	1,343	402	718	795	612	3,287	876	1,039	1,827	786	1,438
Richmond, Va.	343	879	252	918	573	155	553	553	3,153	417	581	1,046	115	1,299
Rochester, N. Y.	373	603	361	799	430	354	251	68	2,877	338	495	1,324	394	1,023
St. Joseph, Mo.	1,392	470	1,301	327	1,474	1,261	875	1,058	1,867	948	668	941	1,221	485
St. Louis	1,065	284	974	......	1,230	934	548	731	2,194	621	341	699	894	586
St. Paul	1,322	410	1,231	576	1,444	1,212	767	935	2,086	878	708	1,275	1,200	10
San Antonio	1,943	1,204	1,852	920	2,150	1,755	1,468	1,651	1,911	1,541	1,217	571	1,715	1,320
San Francisco	3,186	2,274	3,095	2,194	3,308	3,076	2,631	2,799	......	2,742	2,572	2,482	3,064	2,096
Seattle	3,151	2,239	3,060	2,332	3,273	2,941	2,596	2,764	957	2,707	2,537	2,931	3,029	1,818
Spokane	2,812	1,900	2,721	1,932	2,934	2,702	2,257	2,425	1,205	2,368	2,198	2,535	2,690	479
Springfield, Mass.	139	935	230	1,131	99	327	583	400	3,209	583	827	1,511	367	1,355
Tampa, Fla.	1,195	1,309	1,104	1,187	1,425	1,007	1,297	1,405	3,310	1,269	1,053	828	967	1,729
Toledo	705	244	615	437	795	595	113	296	2,518	261	203	1,032	595	1,664
Washingtonu	228	790	137	894	458	40	437	438	3,064	302	553	1,144	......	1,210

CMENTARZE ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH POLEGŁYCH W WOJNIE ŚWIATOWEJ W EUROPIE

Cmentarz St. Mihiel American, No. 1213; Thiacourt, Meurthe-et-Moselle, Francja.

Cmentarz Suresnes American, No. 34; Suresnes, Paryż, Francja.

Cmentarz Meuse-Argonne American No. 1232; Romagne-sous-Montfaucon (Meuse), Francja.

Cmentarz Aisne-Marne American, No. 1764; Belleau, Aisne, Francja.

Cmentarz Oise-Aisne American, No. 608; Seringes-et-Nesles, Aisne, Francja.

Cmentarz Flanders Field American No. 1252; Waereghem, Belgja.

Cmentarz Brookwood American, No. 107-E; Brookwood, Surrey, Anglja.

Na cmentarzach tych pogrzebanych jest 30,812 poległych żołnierzy amerykańskich.

Cmentarz Somme American, No. 636; Bony, Aisne, Francja.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.

Tabelka Porównawcza Wag i Miar w Ameryce i w Polsce

Poniżej najważniejsze informacje o miarach metrycznych w Polsce oraz tabelka porównawcza miar i wag w Stanach Zjednoczonych i w Polsce.

Miary metryczne są przyjęte i używane w całej Europie już od wielu lat. Są one oparte na systemie dziesiętnym. Nas głównie obchodzą miary długości i wagi, przeto te podajemy poniżej:

Metr wynosi 39.37 cala, a zatem w przybliżeniu 39 i jedna trzecia cala. Metr ma 100 centymetrów; w jednym calu mieści się mniej więcej dwa i trzy czwarte centymetra.

Kilometr ma 1,000 metrów — 10 kilometrów stanowi sześć i pół mili amerykańskiej.

Kilogram ma w przeliczeniu na system amerykański mniej więcej 2 funty i ćwierć. Kilogram ma tysiąc gramów; niecałe trzy gramy stanowią jedną uncję. — Wiele rzeczy kupuje się w Polsce na dekagramy. Dekagram ma 10 gramów i stanowi trochę więcej jak trzy uncje.

Zboże w Polsce mierzy się obecnie nie na korce, ale na metry sześcienne. Metr zboża waży 100 kilogramów. Metr zboża nazywa się centnar. Obie nazwy są używane.

Litr płynu równa się około 1 i ćwierć amerykańskiej kwarty.

Wielu rodaków ma kłopot z przeliczaniem miar i wag używanych w Polsce. Obliczenie to ułatwi nam przypuszczalnie poniższa tabliczka.

Starsi może nie wszyscy będą umieli mnożyć przez ułamki dziesiętne (decimal fractions), ale w każdym domu znajdzie się ktoś, co to potrafi. Dla przykładu, ktoś z kraju napisze, że waży 60 kilogramów, albo w skróceniu: kilo. Ile to wynosi na nasze funty? Zajrzyjmy do tabliczki, która podaje, że aby zamienić kilogramy na funty, trzeba je pomnożyć przez 2.2046, to znaczy przez 2 i 2046 dziesięcio-tysięcznych. Mnożymy więc 60 razy 2.2046 i dostajemy liczbę 133,2760, czyli 133 funty i 2760 dziesięciotysięcznych funta, czyli okrąglej mówiąc: 133 i ćwierć funta.

Zamienić	na	pomnożyć przez
milimetry	cale	0.0393
centymetry	cale	0.3937
metry	stopy	3.2808
metry	yardy	1.0936
kilometry	mile	0.6213
metry sześcienne	yardy sześc.	1.3079
litry	kwarty płyn.	1.0567
litry	galony	0.2642
hektolitry	buszle	2.8378
kilogramy	funty	2.2046
dekagramy	uncje	0.3505
hektary	akry	2.4710
metryczne tony	tony 2,000 lbs.	1.1023
metryczne tony	tony 2,400 lbs.	0.9842
cale	milimetry	25.4000
cale	centymetry	2.5400
stopy	metry	0.3048
yardy	metry	0.9144
mile	kilometry	1.6093
yardy sześcienne	metry sześc.	0.7646
funty	kilogramy	0.4536
uncje	dekagramy	2.8305
kwarty	litry	0.9463
galony	litry	3.7853
buszle	hektolitry	0.3524
tony 2,000 lbs.	hektary	0.4047
akry	tony metr.	0.9072
tony 2,400 lbs.	tony metr.	1.0160

PROGRAM 1er KONCERTU CHOPINA W PARYŻU

STANY ZJEDNOCZONE PÓŁN. AMERYKI

GEOGRAFIA I KLIMAT

Stany Zjednoczone zajmują najpodatniejszą do zamieszkania i najżyźniejszą część lądu Ameryki Północnej. Obszarem równają się prawie całej Europie, zajmując przestrzeń 3,602,900 mil kwadratowych. Ludność, podług cenzusu z 1934 r., była 126,564,000. Na północy graniczą one z Kanadą, na wschodzie sięgają Oceanu Atlantyckiego, na południu Zatoki Meksykańskiej oraz granic Meksyku, na zachodzie zaś brzegów Oceanu Spokojnego (Pacific).

Cały kraj składa się z 48 Stanów, Dystryktu Kolumbijskiego (District of Columbia), posiadłości wyspiarskich Porto Rico, Wysp Filipińskich, oraz terytorjów Alaska i Hawaii.

Wielkie rzeki amerykańskie nadają się do żeglugi na setki mil w głąb kraju i rzeki te dostarczają również siły pociągowej do pędzenia maszyn, wytwarzania elektryczności i oświetlenia miast.

Stany Zjednoczone są krajem wielkich bogactw naturalnych. Posiadają one rozległe kopalnie węgla, żelaza, miedzi, srebra i złota. Lasy pokrywają przestrzeń 500 miljonów akrów. Uprawny obszar kraju wzrósł olbrzymio na zachodzie, skutkiem wprowadzenia nowego systemu nawadniania. Pomimo obfitości innych bogactw, rolnictwo stanowi największą część bogactwa krajowego. Na roli pracuje 35 procent ogółu ludności. Skutkiem olbrzymiego obszaru i różnic klimatycznych, produkty rolne przedstawiają olbrzymią rozmaitość, począwszy od pomarańcz i bawełny, a skończywszy na pszenicy i wełnie.

RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki tworzą "Federalną Republikę," w skład której wchodzi 48 Stanów, jeden dystrykt, jedno terytorjum i wyspy. Stany są niezawisłymi, lecz złączonymi w jedną całość. Rząd kraju opiera się na prawie fundamentalnem pisanem, które zwie się konstytucją, stanowiącą najwyższe prawo kraju.

Konstytucja została przyjęta w mieście Filadelfji, w roku 1787, gdy po uwolnieniu się od panowania Anglji, delegaci trzynastu kolonij zebrali się celem opracowania formy rządu. Z tych "oryginalnych trzynastu" liczba stanów wzrosła obecnie do 48.

W Stanach Zjednoczonych są dwa rodzaje rządu: Rząd ogólnokrajowy, czyli federalny i rząd stanowy, i tym systemem naród rządzi krajem przez pośrednictwo przedstawicieli wybieralnych przez ogół obywateli.

W zakres rządu federalnego wchodzi:—stosunek z innymi krajami, wypowiadanie wojny i zawarcie pokoju, nadzór nad armją i marynarką, poczta, określenie stosunku pomiędzy stanami, utrzymanie usługi granicznej, nakładanie i zbieranie cła, bicie monety, druk banknotów, udzielanie patentów, ustanawianie miar i wag, imigracja, naturalizacja i sprawy bankructw.

Rząd stanów poszczególnych załatwia wyłącznie sprawy we własnym stanie, czyli wewnętrzne.

RZĄD FEDERALNY

Zakres władzy rządu federalnego rozdzielony jest na trzy Wydziały (Departments): Wykonawczy (Executive), Prawodawczy (Legislative) i Sądowniczy (Judicial).

Prezydent jest przedstawicielem władzy wykonawczej. Ubiegać się o ten urząd mogą wyłącznie obywatele urodzeni w tym kraju i liczący nie mniej, niż 36 lat życia. Wybory na prezydenta odbywają się co 4 lata. — Obowiązkiem jego przedewszystkiem jest wykonywanie praw uchwalonych przez Kongres. Jest on naczelnym wodzem siły zbrojnej lądowej i morskiej. Naznacza członków swego gabinetu, swych doradców, kierujących poszczególnymi departamentami rządu, którzy są tylko przed nim odpowiedzialni za swe czynności. Ma on prawo obsadzania wielu ważnych urzędów; poleca Kongresowi uchwalanie praw potrzebnych i pożytecznych; załatwia wszelkie sprawy zagraniczne i zawiera traktaty z obcymi mocarstwami. Posiada z pewnemi ograniczeniami władzę odmówienia sankcji prawom przez Kongres uchwalonym.

Wszystkie postanowienia prezydenta podlegają koniecznie zatwierdzeniu przez senat.

Departament prawodawczy ustanawia prawa. Departament ten składa się z dwóch izb: Senatu i Izby Reprezentantów. Senat wraz z Izbą Reprezentantów tworzą razem Kongres.

Departament Sądowniczy składa się z czterech poszczególnych działów. Najważniejszym jest Sąd Najwyższy (Supreme Court).

ADMINISTRACJE STANOWE

Każdy z 48-miu stanów ma sobie pozostawione prawo ustanawiania konstytucji i stanowych praw statutowych, oraz kompletny samorząd wewnętrzny. Władze wszystkich stanów są mniej więcej podobne do siebie i egzystują wszędzie na mocy swoich konstytucyj, określających je nawet bardziej szczegółowo, aniżeli to dzieje się w konstytucji związkowej. Instytucje te można podzielić na centralne instytucje stanowe i lokalne, należące do mniejszych jednostek administracyjnych, jak naprzykład gminy, powiaty lub miasta i miasteczka, albo wsie. Cała różnica jest ta, że stan jako jednostka państwowa sam stwarza swe instytucje. Instytucje zaś pomniejszych podziałów stanu, jak n. p. powiaty, lub gminy, egzystują na mocy przywilejów nadanych tym powiatom, lub gminom przez legislatury stanów lub też przez trybunały, upoważnione przez nie do tego.

Władzą prawodawczą stanu jest legislatura, składająca się z dwóch izb: — Senatu i Izby delegatów. W senacie przewodniczy zastępca gubernatora, w Izbie — mówca (Speaker).

Władzą wykonawczą stanu jest gubernator (Governor), a w razie jego ustąpienia zastępca (Lieutenant-Governor). Gubernator posiada w swoim stanie atrybucje władzy, podobne do władzy prezydenta. Gubernator i jego zastępcy są wybierani bezpośrednio przez lud.

Władzą sądowniczą są sądy stanowe.

W większości stanów zazwyczaj urzędują: sekretarz stanu, skarbnik, doradca główny, kontroler i kierownik szkolnictwa. — Czas urzędowania i płace są najrozmaitsze, stosownie do zaludnienia stanu.

ADMINISTRACJE LOKALNE

Administracja lokalna w Stanach Zjednoczonych jest ustanowiona przez każdy ze stanów niezależnie. W tych warunkach siłą rzeczy istnieją niezliczone odrębności i różnice w organizacji i w zakresie władzy czynników administracji w różnych stanach.

POWIAT (COUNTY)

Między dystryktami administracji lokalnej w Stanach Zjednoczonych najpospolitszym jest powiat. Każdy stan podzielony jest na okręgi, zwane powiatami. Przy wielkich różnicach organizacji i kompetycji

władz powiatowych, są jednak ważne rysy wspólne, które nadają administracji powiatowej cechy fundamentalnego podobieństwa w całych Stanach Zjednoczonych.

Powiat amerykański zajmuje zupełnie inne miejsce w ogólnym planie administracji publicznej, niż dystrykty lokalne w krajach europejskich. — Nazwa "County" wskazuje na historyczny związek z "hrabstwem" angielskiem, z którego rozwinął się powiat amerykański.

Jest około 3,000 powiatów w Stanach Zjednoczonych. Przeważna ilość większych stanów ma od 60 do 100 powiatów każdy. Najwięcej powiatów ma stan Texas, bo 243; najmniej mają Rhode Island — pięć i Delaware — trzy.

Co do obszaru i liczby ludności powiaty wykazują wielkie różnice, lecz na ogół powiaty amerykańskie są znacznie mniejsze, zarówno pod względem obszaru jak liczby ludności, od hrabstwa w Anglji, departamentów we Francji, i prowincji w Prusiech, w Belgji, Włoszech i Hiszpanji. Około dwie trzecie powiatów ma od 300 do 800 mil kwadratowych. Najczęściej spotyka się powiaty o obszarze od 400 do 600 mil kwadratowych. Przeszło połowa powiatów ma od 10,000 do 30,000 ludności, lecz w północnych stanach nadatlantyckich przeszło połowa powiatów ma ponad 50,000 ludności, podczas gdy w stanach południowych i w stanach, leżących na zachód od regjonu suchych równin, wiele powiatów ma mniej niż 10,000 ludności.

Dziewięć dziesiątych powiatów ma wybitnie rolniczy charakter, lecz znaczna liczba powiatów zawiera wielkie miasta, i najważniejszymi powiatami są te, które obejmują największe miasta — jak miasto New York (składające się z czterech powiatów). Chicago, Philadelphia, St. Louis, Boston, Baltimore, San Francisco i Denver. W niektórych z tych powiatów administracja powiatowa jest częściowo włączona w administrację miejską.

Nietylko miejscowe władze powiatowe, lecz nawet główne czynniki rządu stanowego wybierane są w każdym powiecie z osobna i poddane są małej, lub nieskutecznej kontroli rządu centralnego w stanach. Rząd Stanów Zjednoczonych niema żadnej kontroli nad urzędnikami powiatowymi, lub innymi lokalnymi urzędami z wyboru.

PODATKI I ASSESSMENTY

Powiat we wszystkich stanach z wyjątkiem dwóch trzecich stanów Nowej Anglji, jest dystryktem o wielkiem znaczeniu w administracji finansowej. Nakłada on podatki i spełnia wiele ważnych funkcji. — W większości stanów urzędnicy powiatowi działają także, jako agenci do pobierania dochodów stanowych, a często także do pobierania dochodów drobniejszych dystryktów lokalnych. W stanach południowych i zachodnich majątek bywa szacowany dla opodatkowania przez urzędników powiatowych, a w wielu innych stanach urzędnicy powiatowi mają pewną kontrolę nad lokalnymi podatkami.

Wielka liczba urzędników, wybieranych w każdym powiecie, czyni powiat ważnym dystryktem wyborczym. Powiat jest także zawsze jednostką dla obliczania głosów na urzędników większych okręgów, jak stanowych, lub posłów do Kongresu. Na znaczenie powiatu, jako okręgu wyborczego wskazuje wielkie znaczenie komitetów powiatowych partji politycznych w wielu stanach.

WŁADZE POWIATOWE

Regulaminy dla spokoju i bezpieczeństwa w powiecie są uchwalane przez "konwencje powiatowe", albo przez "komisarzy powiatowych", którzy mają władzę wykonawczą i zawiadują budynkami powiatowymi, mostami, więzieniami, szkołami i drogami bitemi.

Każdy powiat posiada swego sekretarza (Clerk), który prowadzi akty urodzeń, śmierci, podatków, listę głosujących i t. p.

Szeryf — jest wykonawcą wyroków sądowych.

Skarbnik — przyjmuje i wypłaca pieniądze uchwalane przez komisarzy.

Koroner — bada wypadki, nagłej lub gwałtownej śmierci, w celu określenia przyczyny i w potrzebie oddaje winnego sądom.

Oprócz tego są w powiecie: prokurator, kontroler, komisja nadzorcza (Supervisor).

Sądy są: okręgowe, apelacyjne, wyższe, sieroce i spadkowe.

WŁADZE MIEJSKIE

Władzą wykonawczą jest burmistrz (Mayor), który w wielkich miastach ma swój doradczy gabinet i zarządza policją.

Władzą prawodawczą są radcy miejscy (aldermani). Przewodniczącym rady miejskiej jest mayor.

Rada miejska ma prawo nadawania koncesji, zaprowadzenia ulic, mostów, wodociągów, parków i zawiaduje majątkiem miasta.

Ciałem sądowniczem miasta są różne sądy — tak zwane miejskie (municipal), sądy pokoju (Justice of the Peace courts). W niektórych miastach są specjalni sędziowie policyjni (police magistrate). Sędziowie są albo obierani przez obywateli, lub też mianowani przez władze miejskie, jak burmistrz, lub rada miasta.

LINJA WYBRZEŻY STANÓW ZJEDNOCZONYCH W MILACH MORSKICH

Wybrzeże Atlantyku	1,773
Zatoka Meksykańska	1,607
Puerto Rico	269
Wybrzeże Pacyfiku	1,571
Alaski	4,123
Wysp Hawajskich	628
Guam	80
Midway	20
Wysp Samoa	83
Północnych jezior i rzek	3,041
Zachodnich rzek	4,344
Filipin	11,444
Razem	28,983

WYSOKOŚĆ GÓR W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Alaska	
McKinley	20,300
St. Elias	18,024
Arizona	
San Francisco Peak	12,611
Kalifornja	
Whitney	14,502
Fisherman Peak	14,448
Shasta	14,380
Corcoran	14,093
Kaweah Peak	13,752
Brewer	13,886
Lyell	13,090
Colorado	
Elbert	14,420
Blanca Peak	14,390
Harvard	14,375
Gray's Peak	14,341
Lincoln	14,297
Uncompahgre Peak	14,289
Long's Peak	14,255
Princeton	14,196
Yale	14,187
Pike's Peak	14,180
Holy Cross	14,170
Idaho	
Hyndman Peak	12,078
Montana	
Granite Peak	12,850
Wood	12,750
Cold	12,610
Villa	12,200
Hague	12,000
Snobank	12,000
New Mexico	
N. Truchas Peak	13,306
Nevada	
East Peak	13,145
Oregon	
Hood	11,225
Utah	
King's Peak	13,498
Mount Emmons	13,428
Gilbert Peak	13,422
Lovenia	13,250
Tokewanna Peak	13,200
Wilson Peak	13,095
Washington	
Rainier	14,408
Adams	12,470
Wyoming	
Gannett Peak	13,785
Grand Teton	13,691
Cloud Peak	13,165

ŚWIĘTA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W Stanach Zjednoczonych mamy 8 świąt, które przez prawie wszystkie stany są obchodzone.

1. Nowy Rok.

2. Urodziny Washingtona, 22 lutego, obchodzone są uroczyście przez wszystkie stany, ponieważ Washington był twórcą Stanów Zjednoczonych. Washington urodził się w roku 1732 w Bridge Creek, Va., a zmarł w roku 1799 bez potomstwa.

3. Decoration Day, Dzień Wieńczenia grobów, obchodzony jest uroczyście dnia 30 maja w celu wieńczenia grobów tych bohaterów, którzy polegli na polu walki podczas wojny domowej. Stany północne prowadziły wojnę przeciw stanom południowym i dlatego uroczystość ta do stanów: Florida, Louisiana, Mississippi, North Carolina i Texas nie odnosi się wcale. Wieńczenie grobów poległych bohaterów zczasem zamieniło się na dekorowanie grobów własnych krewnych, coś w rodzaju naszych "Zaduszek".

4. Independence Day, Dzień Niepodległości, 4-go lipca (Fourth of July) — jest największem świętem w Stanach Zjednoczonych, obchodzonem na pamiątkę wywalczenia niepodległości kraju. Akt niepodległości przedłożony został Kongresowi 4-go lipca, 1776, chociaż na podpisy wszystkich delegatów było trzeba czekać aż do dnia 2-go sierpnia, ponieważ niektórzy reprezentanci czekać musieli na instrukcje od swoich wyborców.

5. Labor Day, Dzień Robotników, obchodzony w pierwszy poniedziałek miesiąca września. Urzędy federalne są dnia tego pozamykane a organizacje robotnicze paradują po ulicach i odbywają swe zgromadzenia. Jest to święto robotnicze, zaprowadzone staraniem organizacji robotniczej zwanej "American Federation of Labor".

6. Columbus Day, Dzień Kolumba, obchodzony 12-go października na pamiątkę odkrycia Ameryki. — Dnia tego, roku 1492 odkrył Kolumb pierwszą wyspę niedaleko brzegów Ameryki, którą nazwał San Salvador. Święto Kolumba nie jest obchodzone przez wszystkie stany Ameryki.

7. Dzień Pułaskiego 11 listopada.

8. Thanksgiving Day, — Dzień Dziękczynny, jest ustanowiony do składania Bogu podzięki za błogosławieństwo i za urodzaje całoroczne. Jest to właściwie uroczystość rolnicza, proklamowana przez prezydenta i przez gubernatorów, jako święto legalne. Dzień Dziękczynny zaprowadzony został w roku 1621 w mieście Plymouth. Przypada on zawsze na ostatni czwartek w miesiącu listopadzie. — Niektórzy Amerykanie nazywają Dzień Dziękczynny żartobliwie "Turkey Day", ponieważ tego dnia stoły w każdym amerykańskim domu zastawione są pieczonymi indykami, a conajmniej kurami.

8. Christmas Day, Boże Narodzenie, 25-go grudnia.

SZTANDAR STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Sztandar Stanów Zjednoczonych posiada trzynaście równoległych pasów — na przemian siedm czerwonych i sześć białych, i niebieskie pole prostokątne zajmujące czwartą część sztandaru od góry, ze strony drzewca, aż do czwartego czerwonego pasa, licząc od góry. Na tem niebieskiem polu znajdują się białe gwiazdy o pięciu promieniach, umieszczone w sześciu równoległych podłużnych rzędach i w czterech rzędach pionowych. Każda gwiazda przedstawia jeden stan, obecnie więc gwiazd tych jest 48. W razie przyjęcia nowego stanu do Unii, liczbę gwiazd powiększa się zacząwszy od 4-go lipca, po przyjęciu nowego stanu.

Sztandary narodowe, z wyjątkiem sztandarów wojskowych, mają być następujących rozmiarów:

Szerokość sztandaru dowolna (1).

Długość — 1.9 szerokości sztandaru.

Szerokość niebieskiego pola — 7/13 szerokości sztandaru.

Długość niebieskiego pola—0.16 szerokości sztandaru.

Szerokość każdego pasa — 1/13 szerokości sztandaru.

Sztandar Stanów Zjednoczonych może być wystawiony na dworze tylko od wschodu słońca do zachodu słońca. Sztandar ma się podnosić w górę prędko, opuszcza się go zaś powoli. Podczas pochodu, jeżeli niesie się także jakikolwiek inny sztandar, sztandar St. Zj. ma być z prawej strony. Dotyczy to także gdy sztandary są oparte lub przymocowane do ściany. Gdy jest więcej różnych sztandarów, sztandar St. Zj. ma być w środku grupy z przodu, lub w środku na najwyższem miejscu.

Przy podnoszeniu sztandarów zawsze sztandar St. Zj. podnosi się pierwszy, a opuszcza ostatni. Przy wystawianiu sztandarów cudzoziemskich, muszą one być wszystkie jednakowej wielkości i na drzewcach jednakowej długości. Międzynarodowe prawo zabrania wywieszania podczas pokoju, sztandaru jednego państwa ponad sztandarem drugiego państwa.

Jeżeli sztandar ma być wywieszony do połowy drzewca, na znak żałoby, ma się go podciągnąć najpierw do szczytu drzewca, a później opuścić do połowy. Tak samo wieczorem przy opuszczaniu sztandaru, ma się go najpierw podnieść aż do szczytu drzewca, a potem powoli opuścić.

Przy użyciu sztandaru na trumnie, niebieskie pole ma znajdować się nad lewem ramieniem i nad głową nieboszczyka. Przed spuszczeniem trumny do grobu należy sztandar zdjąć tak by nie dotykał ziemi.



NAJWYŻSZE BUDYNKI W NEW YORKU

	Piętr	Stóp
Empire State	102	1,248
Chrysler	77	1,046
RCA Rockefeller Center	70	850
William	66	846
Bank of Manhattan	65	838
Woolworth	60	792
66 Pine Street	63	763
393 Lexington Avenue	80	755
Farmers Trust	59	746
Metropolitan Life	50	700
500 Fifth Avenue	58	697
16 William Street	55	686
Chamin	56	680
Fifth Ave. & 34th St.	55	670
Lincoln	53	638
Irving Trust	50	627
Waldorf Astoria	47	626
Sherry-Netherlands	43	620
10 East 40th Street	44	617
Singer	41	612
New York Life	34	610

Ogółem w New Yorku jest około sto budynków posiadających 30 piętr lub więcej, a około 500 budynków posiadających ponad 20 piętr.

ILOŚĆ GWIAZD W PRZESTWORZU

Wedle obliczeń astronomów, gołem okiem można zobaczyć tylko około 7,000 gwiazd. Przez teleskop od 70,000,000 do 100,000,000. Najnowsze obliczenia wskazują, że ilość gwiazd dochodzi do zawrotnej cyfry 1,600,000,000.

GŁÓWNE WULKANY NA ŚWIECIE

Wulkan i Kraj	Stóp
Sahama, Boliwia	21,000
Pomarape, Chile	20,500
Cotopasil, Ecuador	19,550
Arequipa, Peru	19,200
Demawend, Persja	18,000
Popocatepetl, Meksyk	17,843
Sangay, Ecuador	17,124
Ararat, Persja	17,000
Mauna Loa, Hawaii	13,675
Santa Maria, Guatemala	12,500
Fuego, Guatemala	12,500
Fudżijama, Japonia	12,390
Erebus, Ocean Spokojny	12,365
Semeru, Jawa	12,000
Kirunku-Cza Gunga, Afryka	11,300
Trazu, Costa Rica	11,200
Turri Alba, Costa Rica	10,900
Terror, Ocean Spokojny	10,884
Etna, Włochy	10,755
Ontake, Japonia	10,000
Fateyama, Japonia	10,000
Ruapehu, Nowa Zelandia	9,008
Haalalai, Hawaii	8,275
Coseguina, Nikaragua	5,830
Asa-San, Japonia	5,600
Mont Pelee, Martynika, Indie Zachodnie	5,200
Hekla, Islandia	5,110
Kilauea, Hawaii	4,400
Wezuwiusz, Włochy	4,300
Soufriere, St. Vincent, Indie Zachodnie	4,050
Stromboli, Włochy	3,040
Skaptal, Jokul, Islandia	2,790



Krakowiacy nie zawsze tańczą krakowiaka, czasami lubią zapalić papierosa i pogawędzić.

Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. ***What is the form of our government?***
   Jaką jest forma naszego rządu?
   The United States is a republic.
   Stany Zjednoczone są republiką.

2. ***What is a republic?***
   Co to jest republika?
   It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
   Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. ***What is the Constitution of the United States?***
   Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
   The Constitution is the supreme law of the United States.
   Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. ***What does the Constitution provide for?***
   Co ustanawia Konstytucja?
   The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
   Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. ***Can the Constitution be changed?***
   Czy Konstytucja może być zmieniona?
   Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
   Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. ***How many branches are there in our government?***
   Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
   There are three branches.
   Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. ***What are these three branches?***
   Jakie są te trzy gałęzie rządu?
   The legislative branch which makes the laws.
   The executive branch which carries out the laws.
   The judicial branch which enforces the laws.
   Gałąź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 96 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state.)
Jest dziewięćdziesięciu sześciu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 435 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 435 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. *What is the capitol of the United States?*
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. *Who is our Chief Executive?*
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President, at present Dwight D. Eisenhower.

Prezydent. Obecnie jest nim Dwight D. Eisenhower.

20. *Who takes office if the President dies?*
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President, who is at present Richard Nixon.
Wice-Prezydent. którym jest obecnie Richard Nixon.

21. *Who elects the President and Vice-President?*
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. *Do the people vote directly for the President and Vice-President?*
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. *For what term are the President and Vice-President elected?*
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. *Is anyone eligible to be the President or Vice-President?*
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. *What are the President's duties?*
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. *How does he carry out the laws?*
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. *What is the Cabinet?*
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. *What is the highest court in the United States?*
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. ***What is the function of the Courts?***
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. ***Who makes the laws in the 48 states?***
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. ***What does the state legislature consist of?***
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. ***Who is the chief executive of each state?***
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. ***What is the highest state law?***
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. ***Outside of federal and state, what goverments have we?***
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. ***Who discovered America?***
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. ***Who was George Washington?***
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jako Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. ***What is the Declaration of Independence?***
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. *When was the Declaration of Independence adopted?*
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Indepehdence Day.
Deklaracja Niepodległości została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. *Who was Abraham Lincoln?*
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. *Who was Woodrow Wilson?*
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. *The American flag has how many colors in it?*
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. *How many stars and stripes are there in the American flag?*
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
48 stars, one for each of the 48 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
48 gwiazd, po jednej dla każdego z 48 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. *What are the names of the 13 original states?*
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. *What is the most important right of a citizen?*
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. *What does the citizen do by voting?*
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. *Can the Constitution be changed?*
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. *What is the Bill of Rights?*
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. ***What rights are guaranteed by the Bill of Rights?***

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. ***What do other amendments to the Constitution provide?***

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. ***What are the duties of citizens?***

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

Ile Ludzi Żyje Na Świecie?

Francuskie centralne biuro statystyczne opublikowało ostatnio obliczenia ludności świata według informacji od rozmaitych państw i krajów.

Liczba zaludnienia świata wynosi obecnie 2,116,000,000 głów. Czwarta część ludności przypada na kraje imperium brytyjskiego. W Chinach żyje 437 milionów ludzi, na trzecim miejscu Stany Zjednoczone, liczące 144 miliony. Ludność Francji z koloniami dochodzi do 111 milionów, ludność Japonii przedstawia się w liczbie 99 milionów według ostatniego obliczenia. Po tych państwach następują Niemcy—68 milionów, Włochy—51 milionów, oraz kolejno inne państwa europejskie.

Zaludnienie poszczególnych kontynentów przedstawia się w ten sposób, że na Azję przypada 1,162 miliony mieszkańców, na Europę 526 milionów, na Północną i Południową Amerykę 261 milionów, na Afrykę 151 milionów. Na końcu stoi Australia, licząca 11 milionów mieszkańców.

JEDNA GODZINA

W ciągu jednej godziny zachodzi w świecie mnóstwo wypadków.

Według świeższych danych statystycznych, w krótkim tym okresie czasu rodzi się na kuli ziemskiej 5,440 dzieci, a umiera 4,630 ludzi. Zawiera się 1,200 ślubów, a rozwodzi 85 małżeństw.

Przemysł przerabia 3,000 kwintali wełny i 10,000 kwintali bawełny na wyrób różnych materiałów tekstylnych. Cukrownie wyprodukują 99,600 ton cukru, z których ludzkość spożywa 98,000 ton. Górnicy wydobywają z ziemi 122,000 ton węgla, za 50 milionów złotych złota, za 150 milionów złotych srebra.

Myśliwi zabijają 350 tysięcy dzikich zwierząt, których skóry przeznacza się na damskie futra.

Z szybów naftowych wydobywa się 156,420 beczek nafty, z których trzecią część przerabia się na benzynę (gazolinę).

Fabryki samochodów wyrabiają 700 nowych wozów, a auta zabijają 17 ludzi.

Zarobek ludzi waha się pomiędzy dwoma centami, które dostaje wyrobnik chiński, a 96 dolarami, które otrzymuje prezes trustu elektrycznego w Nowym Yorku. Urzędy pocztowo-telegraficzne odsyłają 114,000 telegramów i 1,141,000 listów i pocztówek, zaopatrzonych w znaczki, wartości ogólnej pół miliarda złotych. Fabryki celulozy wytwarzają 1,900 ton papieru, z którego 1,000 ton używa się na drukowanie książek i czasopism. Glob ziemski, na którym żyjemy, przebiega drogę długości 1,776 kilometrów, obracając się dookoła swojej osi.

Wszystko to dzieje się w przeciągu krótkiego okresu czasu, który ludzkość oznacza mianem "godziny!"

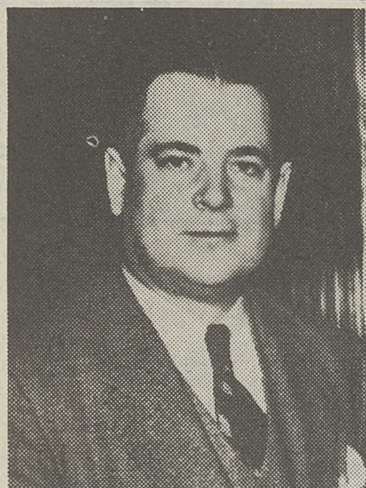


Co oznaczają — nasze — imiona?

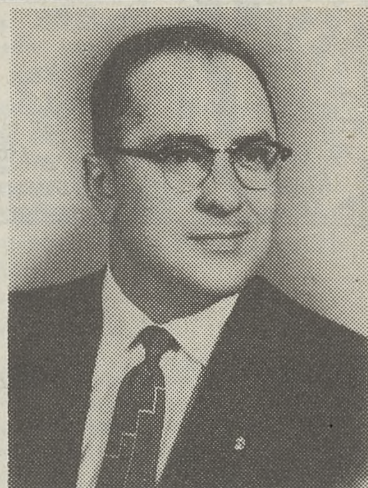
Ponieważ nazwy imion naszych pochodzą przeważnie z języków obcych, jak hebrajskiego, łacińskiego, greckiego, perskiego, celtyckiego, angielskiego i staroniemieckiego, wobec tego niewątpliwie ciekawym będzie dowiedzieć się, co imiona te oznaczają.

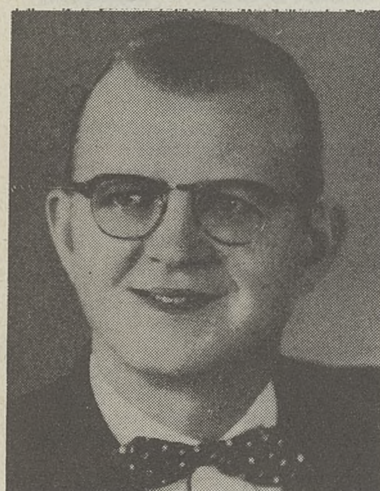
ABEL — *znikomy.*
ABRAHAM — *ojciec wielu narodów.*
ABSALON — *ojciec pokoju.*
ADAM — *człowiek z ziemi.*
ARON — *oświecony.*
ADELA — *szlachetna.*
ADOLF — *szlachetny rycerz.*
ALEKSANDER — *chroniciel.*
ALFONS — *błogi, szczęśliwy.*
ALFRED — *wszędy spokojny.*
ALOJZY — *wszystko miażdżący.*
AMALIA — *skrzętna.*
AMBROŻY — *boski.*
ANASTAZY — *uzdrowiony, który powstał.*
ANDRZEJ — *męski.*
ANIELA — *anielska.*
ANNA — *nadobna.*
ANSELM — *strzeżony od Boga.*
ANTONI — *nieoceniony.*
ARTUR — *bogaty w siły.*
AUGUSTYN — *wspaniały, szczytny.*
AURELIUSZ — *złoty syn.*
BALTAZAR — *przewodzący w sprawach wojennych.*
BARBARA — *obca.*
BARTŁOMIEJ — *waleczny syn.*
BAZYLI — *królewski.*
BEATA — *błogosławiona.*
BENEDYKT — *błogosławiony.*
BENJAMIN — *najmłodszy syn.*
BERNARD — *silny jak niedźwiedź.*
BERTA — *wspaniała.*
BERTRAM — *wspaniały rycerz.*
BIANKA — *biała.*
BONIFACY — *dobrze czyniący.*
BRYGIDA — *promieniejąca.*
BRUNON — *brunatny sławny.*
CECYLIA — *niewidoma.*
CELLESTYN — *niebiański.*
CHRYZOSTOM — *złotousty.*
CYPRIAN — *pochodzący z wyspy Cypru.*
DAMIAN — *przyjaciel ludu.*
DANIEL — *sędzia Boży.*
DARJUSZ — *potężny.*
DAWID — *ukochany.*
DOMINIK — *przynależny Panu.*
DOROTA — *dar Boży.*
EDMUND — *szlachetny obrońca.*
EDWARD — *szlachetny stróż.*
ELEONORA — *litościwa.*
ELIASZ — *pomoc Boża.*
EIŻBIETA — *Poświęcona Bogu.*
EMANUEL — *Bóg z nami.*
EMIL — *grzeczny, uprzejmy.*
EMA — *pszczoła, pilna.*
ERAZM — *przyjemny, miły.*
EUGENIUSZ — *dobrze urodzony.*
EUZEBIUSZ — *pobożny.*
EWA — *matka żyjących.*
FAUSTYN — *pomyślny.*
FELIKS — *szczęśliwy.*
FERDYNAND — *zasłużony.*
FILIP — *przyjaciel koni.*
FLORENTYNA — *kwitnąca.*
FLORIAN — *kwitnący.*
FRANCISZEK — *wolny.*
FRYDERYK — *miłujący pokój.*
GABRIEL — *mąż Boży.*
GENOWEFA — *córa nieba.*
GILBERT — *słynny.*
GRZEGORZ — *czujny.*
GUSTAW — *wojownik.*
HELENA — *zdobywczyni.*
HENRYK — *bogaty w lasy.*
HIERONIM — *posiadający święte imię.*
IRENA — *miłująca pokój.*
IZAJASZ — *którego zbawieniem jest bój.*
IZYDOR — *dar Izys (bogini).*
JAKUB — *późno urodzony.*
JAN — *uwielbiony.*
JERZY — *rolnik, uprawiacz ziemi.*
JOACHIM — *Bóg wspomaga.*
JÓZEF — *mnożący się.*
JULIAN — *młodzieniec.*
JUSTYN — *sprawiedliwy.*
KAROL — *mocny.*
KASPER — *skarbnik królewski.*
KATARZYNA — *czysta, cnotliwa.*
KLARA — *sławna.*
KLEMENS — *łaskawy.*
KONSTANTY — *stały.*
KORDULA — *sercowa.*
KRZYSZTOF — *mający Chrystusa w sercu.*
KRYSPIN — *kędziorowaty.*
KSAWERY — *Jaśniejący.*
LAURA — *uwieńczona laurem.*
ŁAZARZ — *któremu Bóg jest pomocą.*
LEON — *lew.*
LEONARD — *silny jak lew.*
LEOPOLD — *Śmiały i odważny.*
ŁUCJAN — *oświecony.*
LUDWIK — *sławny bojownik.*
ŁUKASZ — *jaśniejący.*
MAGDALENA — *pokutnica.*
MAŁGORZATA — *perła.*
MARCIN — *wojowniczy.*
MAREK — *walczący.*
MARTA — *zasmucona, smutna.*
MATEUSZ — *dar Boży.*
MATYLDA — *potężna bojowniczka.*
MAKSYMILIAN — *największy.*
MAURYCY — *ciemnej cery.*
MICHAŁ — *jak Bóg.*
MIKOŁAJ — *zwycięzca ludu.*
MOJŻESZ — *wydobyty z wody.*
NATALIA — *wesoła.*
NIKODEM — *zwycięzca ludu.*
OTYLIA — *szczęśliwa*
PANKRACY — *władca.*
PAWEŁ — *małoznaczny.*
PIOTR — *skała.*
PROSPER — *Bóg uzdrawia.*
REBEKA — *gruba.*
REGINA — *królowa.*
ROBERT — *jaśniejący chwałą.*
ROZALIA — *różana.*
RÓŻA — *róża.*
SABINA — *bojąca się Boga.*
SALOMON — *miłujący pokój.*
SALWATOR — *zbawca.*
SAMUEL — *od Boga wysłuchany.*
SAMSON — *słoneczny.*
SEBASTIAN — *czcigodny.*
SERAFIN — *jaśniejący.*
SEWERYN — *ostry, surowy.*
STANISŁAW — *kamienista łąka.*
STEFAN — *uwielbiony.*
SYLWESTER — *leśnik.*
SZYMON — *chętnie słuchający.*
TEKLA — *doświadczona.*
TEODOR — *dar Boży.*
TEODOZJA — *dar Boży.*
TEOFIL — *Bogu miły.*
TOMASZ — *bliźniak.*
URBAN — *mieszczanin.*
URSZULA — *niedźwiadka.*
WALENTY. — *potężny.*
WALERIA — *pożyteczna.*
WAWRZYNIEC — *uwieńczony wawrzynem.*
WERONIKA — *dająca zwycięstwo.*
WIKTOR — *zwycięzca.*
WILHELM — *gotowy dać opiekę.*
WINCENTY — *przezwyciężający trudności.*
WOJCIECH — *szlachetny.*
ZACHARIASZ — *pamięć Boża.*
ZOFIA — *matka światła.*
ZUZANNA — *lilia.*
ZYGMUNT — *broniący zwycięstwem.*

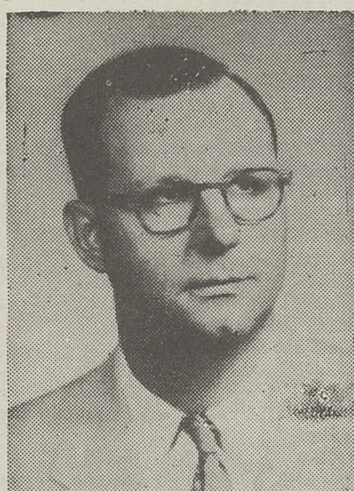
ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.


KAROL ROZMAREK
Prezes Z.N.P.


FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska Z.N.P.


DR. STEFAN F. LISOWSKI
Wiceprezes Z.N.P.


JÓZEF F. FOSZCZ
Sekretarz Gen. Z.N.P.


ADAM J. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik Z.N.P.


HENRYK DUDEK
Dyrektor Obwodu "C" Z.N.P.


K. ZIEMBA-DIENES
Dyrektorka Z.N.P.


BRON. HELKOWSKA
Dyrektorka Z.N.P.


KAROLINA SPISAK
Dyrektorka Z.N.P.

ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.



DR. M. W. MAJCHROWICZ
Dyrektor Z.N.P.



ADOLF PACHUCKI
Dyrektor Obwodu "B" Z.N.P.



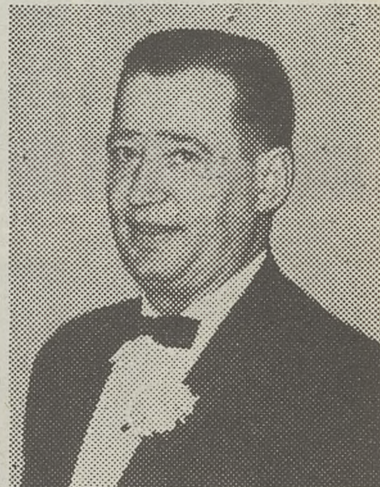
BONAWENTURA MIGAŁA
Dyrektor Z.N.P.



JAN ULATOWSKI
Dyrektor Z.N.P.



FRANCISZEK ODROBINA
Dyrektor Obwodu "D" Z.N.P.



HENRYK SPINDOR
Dyrektor Z.N.P.





DR. W. A. SADLEK
Lekarz Naczelny Z.N.P.

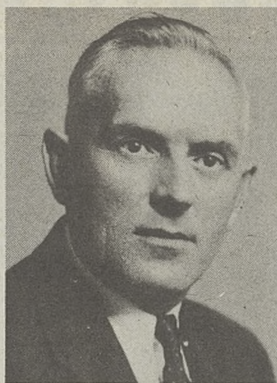


KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.

Członkowie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego



Józef Dancewicz
Komisarz Okręgu I.



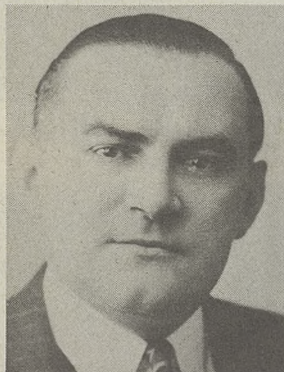
Stan. Niedźwiecki
Komisarz Okręgu II.



Leopold K. Babirecki
Komisarz Okręgu III.



Jan F. Nowak
Komisarz Okręgu IV.



Tadeusz Giergielewicz
Komisarz Okręgu V.



Władysław Szczygieł
Komisarz Okręgu VI.



Ludwik Śliwiński
Komisarz Okręgu VII.



Michał L. Hołodnik
Komisarz Okręgu VIII.



W. L. Dworakowski
Komisarz Okręgu IX.



Jakub Lewandowski
Komisarz Okręgu X



Franciszek P. Kawa
Komisarz Okręgu XI.



Franc. Jendryaszek
Komisarz Okręgu XII.



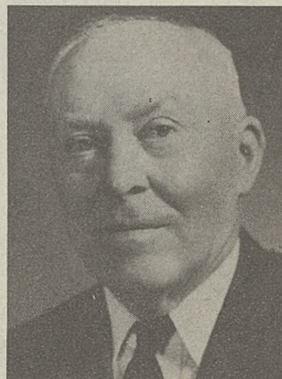
Walenty Kożuch
Komisarz Okręgu XIII.



Józef T. Tobola
Komisarz Okręgu XIV.



Jan Ziemba
Komisarz Okręgu XV.



Konst. Dombrowski
Komisarz Okręgu XVI.

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.

Członkinie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego


Bron. F. Niemyska
Komisarka Okręgu I.


Teodora Żegota
Komisarka Okręgu II.


Anna Tuman
Komisarka Okręgu III.


Maria Tuchewicz
Komisarka Okręgu IV.


Felicja Zochowska
Komisarka Okręgu V.


Leokadia Misiora
Komisarka Okręgu VI.


H. Rozajewska-Dworczak
Komisarka Okręgu VII.


Emilia Janowska
Komisarka Okręgu VIII.


Irena Wallace
Komisarka Okręgu IX.


Józefa Wolas
Komisarka Okręgu X.


Maria Godlewska
Komisarka Okręgu XI.


Maria L. Gierut-Szeląg
Komisarka Okręgu XII.


Rozalia Wójcik
Komisarka Okręgu XIII.


Wład. Podkomorska
Komisarka Okręgu XIV.


Konstancja Czarnecka
Komisarka Okręgu XV.


Bronisława Czarnecka
Komisarka Okręgu XVI.



Fot. inż. Władysław Bugayski

Gdy wiatry strącają z drzew na nizinach pierwsze pożółkłe w skwarze lata liście, w górach żniwa dobiegają końca. Łany zbóż, które jeszcze do niedawna znaczyły złotem na stokach wzgórz i w dolinach drogi trudu i starań o chleb codzienny mieszkańców Podhala — dziś ustąpiły miejsca ścierniskom, na których rozłożyły się kopice, drogowskazy zbliżającej się już jesieni. Rankiem i wieczorem snują się między niemi mleczne smugi mgieł, pierwsze zwiastuny królewny Śnieżki, budzącej się powoli ze snu lata w granitowym zamczysku, którego strzegą baszty niebotycznych Tatr.



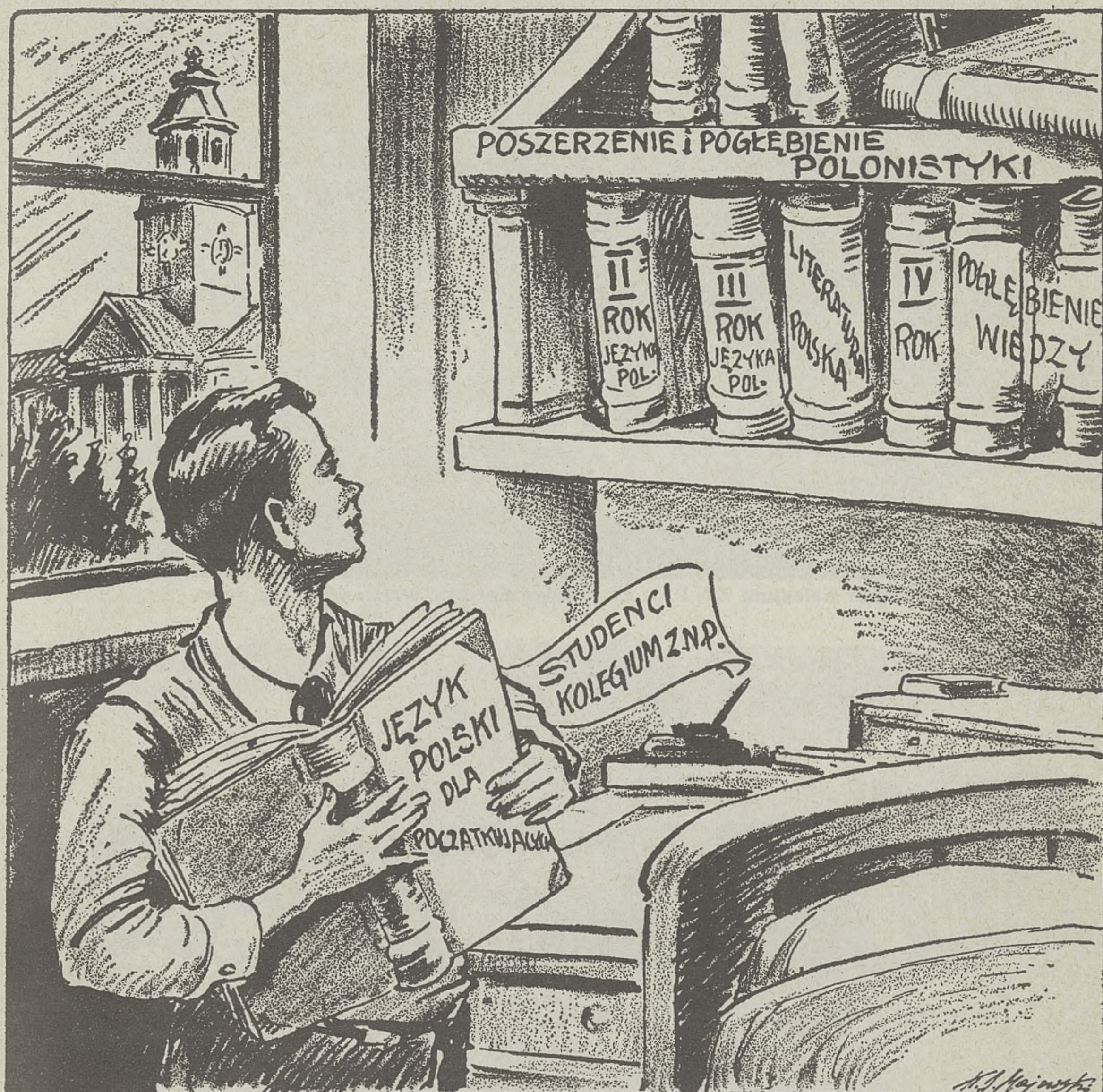
RADA SZKOLNA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

Siedzą od prawej do lewej: wiceprezes Z.N.P., dr. Stefan Lisowski, komisarz okręgu 8go Z.N.P. Michał Hołodnik; sekretarka Rady Szkolnej Maria Sokołowska; Cenzor Z.N.P. Blair Gunther; prezes Z.N.P. Karol Rozmarek; wiceprezeska ZNP. Franciszka Dymek; kontroler Z.N.P. J. Bronas. — W drugim rzędzie stoją od prawej do lewej; prezydent Kolegium dr. A. Coleman; wice-cenzor Z.N.P. Edw. Kozmor, radca szkolny St. Borsa; skarbnik Z.N.P. Adam Tomaszkiewicz; radca szkolny dr. Franciszek Dulak ;radca szkolny prof. Rudolf Zawierucha, radca szkolny adw. Jan Godlewski ;sekr. gen. Z.N.P. Józef Foszcz; sekretarz cenzora Józef Świderski i dyr. dr. M. Majchrowicz.

DATY SEJMÓW Z. N. P.

Sejm I w Chicago, Ill. od dnia 15 do 18 września, 1880 r.
Sejm II w New York, od 21 do 24 września, 1881 r.
Sejm III w Chicago, Ill. od 21 do 23 września, 1882 r.
Sejm IV w Milwaukee, Wis. od 21 do 24 września, 1883 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 21 do 23 lutego, 1884 r.
Sejm V w La Crosse, Wis. od 14 do 17 lutego, 1885 r.
Sejm VI w Bay City, Mich. od 5 do 7 lipca, 1886 r.
Sejm VII w St. Paul, Minn. od 12 do 15 września, 1887 r.
Sejm VIII w Buffalo, N. Y. od 10 do 15 września, 1889 r.
Sejm IX w Detroit, Mich. od 21 do 29 września, 1891 r.
Sejm X w Chicago, Ill. od 4 do 9 września, 1893 r.
Sejm XI w Cleveland, Ohio, od 9 do 14 września, 1895 r.
Sejm XII w Philadelphia, Pa. od 6 do 11 września, 1897 r.
Sejm XIII w Grand Rapids, Mich. od 16 do 21 października, 1899 r.
Sejm Nadzwyczajny w Chicago, Ill. od 19 do 24 marca, 1900 r.
Sejm XIV w Toledo, Ohio, od 14 do 20 października, 1901 r.
Sejm XV w Wilkes Barre, Pa. od 19 do 24 października, 1903 r.
Sejm XVI w Buffalo, N. Y. od 23 do 28 października, 1905 r.
Sejm XVII w Baltimore, Md. od 23 do 28 października, 1907 r.
Sejm XVIII w Milwaukee, Wis. od 11 do 16 października, 1909 r.
Sejm XIX w St. Louis, Mo. od 9 do 14 października, 1911 r.
Sejm XX w Detroit, Mich. od 15 do 22 września, 1913 r.
Sejm XXI w Schenectady, N. Y. od 27 września do 3 października, 1915 r.
Sejm XXII w Pittsburgh, Pa. od 16 do 21 września, 1918 r.
Sejm XXIII w Toledo, Ohio, od 26 września do 1 października, 1921 r.
Sejm XXIV w Philadelphia, Pa. od 25 do 30 sierpnia, 1924 r.
Sejm XXV w Chicago, Ill. od 19 do 20 września, 1927 i od
27 sierpnia do 1 września, 1928 r.
Sejm XXVI w Scranton, Pa. od 20 do 26 września, 1931 r.
Sejm XXVII w Baltimore, Md. od 15 do 21 września, 1935 r.
Sejm XXVIII w Detroit, Mich. od 10 do 16 września, 1939 r.
Sejm XXIX w Boston, Mass. od 19 do 25 września, 1943 r.
Sejm XXX w Cleveland, Ohio od 24 do 30 sierpnia, 1947 r.
Sejm XXXI w Buffalo, N. Y. od 23 do 29 września, 1951 r.
Sejm XXXII w Minneapolis, Minn. od 18 do 23 Września, 1955 r.

Na Półkach Młodzieży w Kolegium Z. N. P.

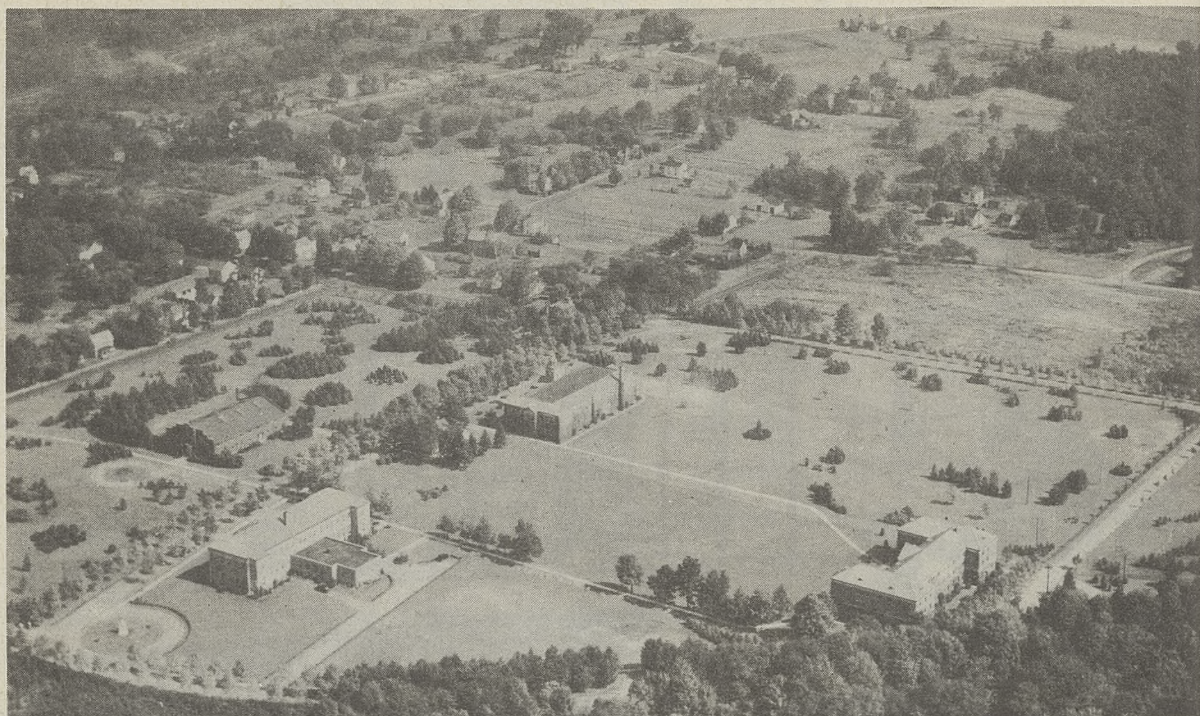


Pole Jest Wielkie

Roztacza się przed nami wielkie pole do pracy narodowej, społecznej i związkowej.

Nie zapominajmy przede wszystkim o Szkole Związkowej!

Nasza uczelnia "Alliance College" ma już wyrobioną dobrą markę, ma dobre imię! Dzięki staraniom naszych liderów, uzyskała szkoła związkowa pełną akredytację i absolwenci naszej szkoły są przyjmowani z otwartymi rękami przez wszystkie uniwersytety krajowe. Z naszej uczelni związkowej wyjdą przyszli profesorowie, prawnicy, sędziowie, adwokaci, lekarze, dentyści i inżynierowie. Wy związkowcy i związkowczynie pomóżcie w tym wielkim dziele oświatowym, w tej wielkiej pracy podniesienia duchowego Polonii amerykańskiej.



Campus Kolegium Z.N.P. w Cambridge Springs, widziany z lotu ptaka.

Widok na gmach Szkoły Z.N.P. w Cambridge Springs, Pa. z profesorami i uczniami.

Sala Gimnastyczna w Kolegium Z.N.P. w Cambridge Springs, Pa.



Gmach w którym mieszkają studenci w Kolegium Z.N.P. w Cambridge Springs, Pa.

Niech Każda Rodzina Stanie Się 100-Proc. Związkową

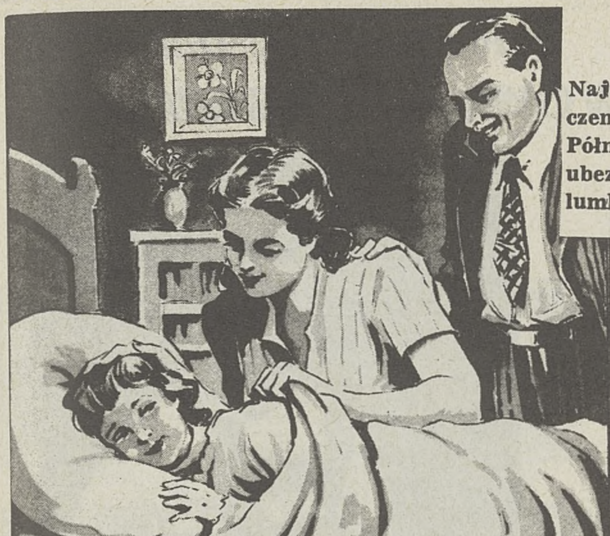


Wśród wielu problemów natury organizacyjnej wysuwa się obecnie na czoło prac związkowych sprawa werbowania nowych członków.

Nie jest to sprawa tylko dla sekratarzy finansowych naszych grup i dla naszych organizatorów, ale sprawa dla nas wszystkich.

Pierwszym krokiem w kierunku zdobywania nowych członków powinno być zapisywanie do ZNP najbliższych całych rodzin,

Na niedawno temu przeprowadzonym Sejmiku Okręgu 12 ZNP w Chicago prezes Rozmarek poruszył tę sparwę, na którą mówił, zwrócona powinna być uwaga wszystkich związkowców w tym roku, a mianowicie sprawa zwiększenia liczby członków, — zwłaszcza w dziale małoletnich, bo ten młody nabytek musi wyrównać luki powstałe przez śmierć długoletnich członków i tych, którzy po wypłaceniu im terminowych polis, wystąpili z organizacji.



Związek Narodowy Polski

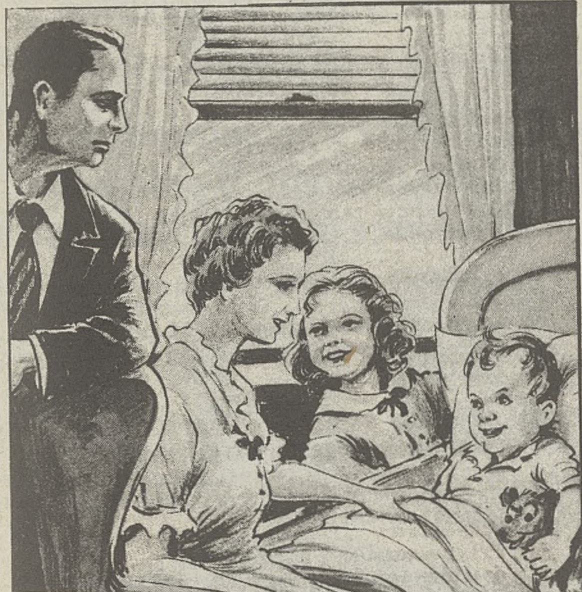
Największa polsko-amerykańska organizacja Ubezpieczeniowa bratniej pomocy w Stanach Zjednoczonych Półn. Am., założona w 1880 roku, prowadzi interes ubezpieczenia na życie w 32 stanach i Dystrykcie Kolumbia.

CZTERY PLANY UBEZPIECZENIA ZAPEWNIAJĄCE DLA OJCÓW I MATEK MAŁYCH DZIECI: OSZCZĘDNOŚĆ NA PRZYSZŁOŚĆ

— i —

ZA NISKIM KOSZTEM — PROTEKCJĘ RODZIN

STUPROCENTOWA RODZINA ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO — JEST TO SZCZĘŚLIWA RODZINA. MĄŻ I OJCIEC PODWÓJNIE JEST SZCZĘŚLIWY, MAJĄC TĘ PEWNOŚĆ, ŻE ZABEZPIECZYŁ SWOJEJ RODZINIE PRZYSZŁOŚĆ PRZEZ POSIADANIE DOSTATECZNEGO UBEZPIECZENIA W ZWIĄZKU NAROD. POLSKIM.



Czy Posiadam Dostateczne Zabezpieczenie Dla Moich Najdroższych?

NA JAKĄ SUMĘ MOŻNA SIĘ UBEZPIECZYĆ?

Związek Narodowy Polski wydaje polisy ubezpieczeniowe na sumę począwszy od $1,000.00 do $25,000.00.

PODWÓJNE ODSZKODOWANIE

Do każdego certyfikatu ubezpieczeniowego można dołączyć Podwójne Odszkodowanie za niską dodatkową opłatą premii. To znaczy, w razie śmierci spowodowanej wypadkiem, Związek Narodowy Polski wypłaci podwójny benefit pośmiertny.

ZWOLNIENIE Z OPŁAT PREMII

Za niską dodatkową opłatą premii do każdego certyfikatu ubezpieczeniowego, można dołączyć dodatkowy kontrakt zwolnienia z opłat premii za ubezpieczenie w razie zupełnego i stałego kalectwa.

Informacje

Organizatorzy lub urzędnicy Gmin i Grup Zw. Nar. Pol. udzielą Wam szczegółowych informacji o każdym z 13 planów ubezpieczenia i czterech dodatkowych kontraktach.

Alliance College

Związek N. P. założył i utrzymuje 4-letnie akredytowane, koedukacyjne Alliance College i Alliance Technical Institute w Cambridge Springs, Penna.

Czy Powinniśmy Oszczędzać Dla Samych Siebie Na Przyszłość?



W najkrytyczniejszej chwili . . .

—Stale zwiększająca się wartość gotówkowa i pożyczkowa na ubezpieczeniu, może być w przyszłości, w najbardziej krytycznej chwili—wielką pomocą dla ubezpieczonych i ich rodzin.

Związek Narodowy Polski

posiada dla młodych mężczyzn i kobiet cztery najnowsze i bardzo praktyczne plany ubezpieczenia według Commissioners' Standard Ordinary Table of Mortality z legalną rezerwą obliczoną na 2 i pół procent na rok.

Benefit Pośmiertny

Ubezpieczony ma zagwarantowane, że w razie jego śmierci na skutek wypadku, w przeciągu 90 dni po wypadku, natychmiast po wpłaceniu pierwszej premii lub kiedykolwiek później, ale przed ukończeniem 65-go roku życia, Związek Narodowy Polski wypłaci jego rodzinie $8,000.00, a w razie naturalnej śmierci przed 65-tym rokiem życia lub po 65-tym roku $4,000.00.

Przyszłość Tego Dziecka Jest Największą Troską Rodziców



Rodzice! Ile postanowiliście oszczędzać na przyszłość waszych dzieci?

Dobrze Procentująca Się Oszczędność Wypłacana w Gotówce w 18-ym Roku Życia

Czy pragniecie, ażeby Wasze dziecko otrzymało w 18-ym roku życia: (a) zagwarantowaną gotówkę w sumie **$1,000.00** i (b) przypuszczalną i narosłą dywidendę na sumę **$89.32**, razem **$1,089.32?**

- ORAZ -

Protekcję rodziny do 18-go roku życia.

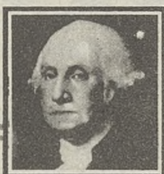
Jeżeli dziecko jest w wieku poniżej sześć miesięcy życia, roczna premia za $1,000.00 tego ubezpieczenia wynosi $50.52.

PODWÓJNE ODSZKODOWANIE

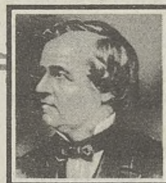
Począwszy od 10-go roku życia dzieci, można za dodatkową niską opłatą premii, dołączyć do ich standardowych kontraktów ubezpieczenia Dodatkowe Odszkodowanie. To znaczy—w razie śmierci spowodowanej wypadkiem, Związek Narodowy Polski wypłaci podwójny benefit pośmiertny.

PREZYDENCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH

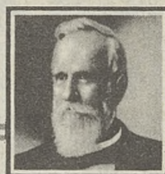

J. ADAMS 1797

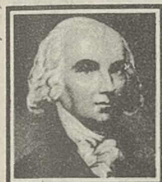

WASHINGTON 1789


JEFFERSON 1801


JOHNSON 1865

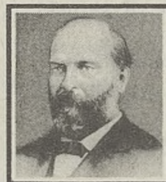

GRANT 1869


HAYES 1877


MADISON 1809


MONROE 1817


J. Q. ADAMS 1825


GARFIELD 1881

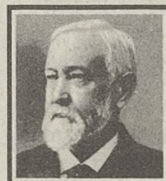

ARTHUR 1881


CLEVELAND 1885 & 1893


JACKSON 1829

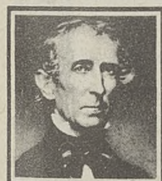

VAN BUREN 1837

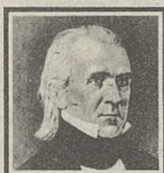

W. H. HARRISON 1841


B. HARRISON 1889


McKINLEY 1897


T. ROOSEVELT 1901


TYLER 1841

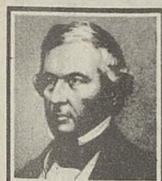

POLK 1845


TAYLOR 1849


TAFT 1909


WILSON 1913


HARDING 1921


FILLMORE 1850


PIERCE 1853


BUCHANAN 1857


COOLIDGE 1923


HOOVER 1929

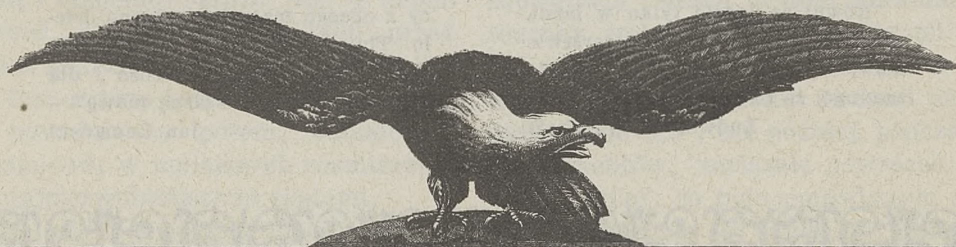

F. D. ROOSEVELT 1933


LINCOLN 1861




TRUMAN 1945


EISENHOWER 1953



Aforyzmy Sławnych Ludzi

"Objawem żywotności polskiej jest wychodźtwo"
Stanisław Szczepanowski.

* * *

"Nic nie spychać nigdy w dół, ale do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie".
Zygmunt Krasiński

* * *

"Najtrudniejszem rzemiosłem — nauczyć się dobrze żyć, w czem się wszystko zamyka".
Mikołaj Rej.

* * *

"Niemasz szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugim podzielić nie może".
J. I. Kraszewski

* * *

"Słowność względem siebie i względem drugich jest fundamentem każdego prawego charakteru."
Z. Kaczkowski

* * *

"Acz pożyteczną jest mowa, pohamuj ust swych ochotę, srebrem mogą być słowa, milczenie jest szczero-złote".
L. Siemieński

* * *

"Na dobro składają się cztery pierwiastki: miłość ludzi, miłość prawdy, miłość wolności i miłość harmonji".
Eliza Orzeszkowa

* * *

"Powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem, kim jesteś; gdy wiem, czem się zajmujesz, to wiem także, co z ciebie być może".
Goethe.

* * *

"Równi są ludzie tylko w łaźni, wolni w trumnie, a o braterstwie mówi się dlatego, by trudniej było zgadnąć, że to chodzi o ludzi".
Ludwik Marya Staff

"Trzeba chcieć żyć i umieć umrzeć".
Napoleon

* * *

"Nic nie jest bardziej zdrożne i bezbożne, niż sposób, w jaki świątobliwość wyobraża sobie występek".
Ludwik Marya Staff

* * *

"Gdzie złe prawa, a dobrzy urzędnicy, tam można jeszcze jako tako rządzić, ale gdzie źli urzędnicy, tam najlepsze prawa nic nie pomogą".
Bismark

* * *

"Kto pochlebstwem gardzi, i sam nie schlebia, ten tylko ze wspaniałą dumą i z rzeczywistą wielkością będzie mógł odtrącić od siebie tyranję, gwałt i podłość przemocy.
Żeromski.

* * *

"Słowo prawdy pada cicho, leży długo, wschodzi powoli, a owocem jego miłość i zgoda. Słowo fałszu z hukiem wypada jak kula i po sobie ranę lub śmierć zostawia".
Mickiewicz

* * *

"Przyjaźń tego świata podobna jest do jaskółki, która całe lato, gdy ciepło i ładnie, świergoce koło domu, a gdy przyjdą jesienne chłody, wtedy precz odlatuje i zostawia właścicielowi domu tylko zanieczyszczone gniazdo. Tak samo robią fałszywi przyjaciele".
Schopenhauer

* * *

"Tłumacz dobry — to sumienny informator, to budowniczy, budujący z obcego materjału własne dzieło. Tłumacz zły — to zdrajca, to renegat uwielbiający obcość i dla niej poświęcający własną mowę".
Jan Lemański

Upadek Jerycha

Badania nowoczesnych archeologów, ich wykopaliska, odczytywanie przedhistorycznych napisów, anatomiczne nawet badania mumij egipskich, miały jeden przeważnie skutek, że potwierdzały najbardziej podawane w wątpliwości ustępy Biblji, która w ten sposób uzyskała naukowe potwierdzenie swej godności, jako istotnie prawdomównej księgi.

Do tych potwierdzeń przybyło obecnie nowe, co do upadku i spalenia miasta chanaańskiego Jerycha, zdobytego przez Jozuego, przy dźwięku trąb kapłańskich.

Opis biblijny rozumiano w ten sposób, że mury Jerycha padły od dźwięku trąb i wielce się tam nieraz gorszono; w rzeczywistości jednak ustęp odpowiedni "Księgi Jozuego" brzmi skromniej:

"Gdy tedy wszystek lud krzyczał, a w trąby trąbiono, skoro w uszach mnóstwa głosy trąbienia zabrzmiały, natychmiast mury upadły i wszedł każdy przez miejsce, które przeciw niemu było, i wzięli miasto".

Nieco poniżej, Biblja mówi o Izraelitach:

"A miasto, i wszystko co w nim było, zapalili .. ."

Otóż obecnie archeologowie, a mianowicie ekspedycja naukowa Martson-Melchetta, dobrali się do Jerycha, a dzięki temu, że pagórek, na którym było położone, jest dziś prawie dwa razy wyższy, niż za czasów Jozuego, wskutek ziemi, naniesionej, nawianej, namulonej przez wieki, więc przewracając jej pokłady, jak kartki olbrzymiej księgi, odczytali z niej dzieje Jerycha, aż do 2,100 lat przed Chrystusem.

A więc w okresie wczesnych wieków bronzu było to miasto najpierw niewielkie, ale już obronne. W średnim okresie bronzowym rozrosło się i umocniło bardzo, tak, że objęło cały pagórek, ale około roku 1600 przed Chrystusem zburzyli je i zniszczyli prawdopodobnie faraonowie egipscy, zaś jego mieszkańcy, powróciwszy potem, odbudowali miasto, napowrót w mniejszych rozmiarach, nad jego najpierwotniejszemi śladami.

Takiem też było Jerycho w chwili najazdu Izraelitów. Otoczone było podwójnym murem ceglanym, przyczem mur wewnętrzny dosięgał grubości 4 metrów, miało kształt prostokątny, a mury dłuższych boków zostały zupełnie zniszczone, prócz czterech wież i krótszych boków, zaś ruiny samego miasta wykazują ślady strasznego pożaru, który najwidoczniej tygodniami przygotowywano, jako ofiarę całopalną dla Bóstwa.

Przypuszczano dawniej, że mury Jerycha padły od trzęsienia ziemi. Archeologowie stwierdzali wprawdzie, że ślady takiego trzęsienia istnieją niewątpliwie, ale ostateczne zburzenie muru nosi charakter dzieła rąk ludzkich.

Badanie wykopaliska doprowadziło do ciekawego odkrycia, że mury były podminowane od wewnątrz, poczem obalone.

Gdy przypuścić, że podminowanie to nastąpiło przed zdobyciem miasta, to odgłos trąb uważać należy za sygnał, po którym usunięto podpory, czy dokonano jakiegoś innego uderzenia, tak, iż obwarowania padły. W takim razie staje się zrozumiałem, dlaczego Jozue przez 7 dni z rzędu za każdym razem siedmiokrotnie oprowadzał wojsko i cały lud izraelski przy dźwiękach trąb, dokoła Jerycha, bo to byłoby tylko środkiem odwrócenia uwagi obleganych od niszczycielskiej roboty przy murach. A kiedy ta robota była ostatecznie gotowa, głos trąb stał się szczególnie jaskrawy, a towarzyszący mu wrzask całego ludu oblegającego dawał znak sprzymierzeńcom i szpiegom w samem Jerychu, że atak się rozpoczyna.

Ale do tego potrzeba było, aby tam Jozue miał swych sprzymierzeńców i szpiegów. Otóż księga jego otwarcie to przypuszczenie potwierdza w opowiadaniu o tem, jak jego szpiegowie "weszli w dom niewiasty wszetecznej, imieniem Rahab i stanęli u niej", jak zarządzono pościg za nimi, "a ona ich uwiodła na altanę domu swego i nakryła je paździerem lnu", zaś później, podczas szturmu Izraelitów, "uwiązała powrózek czerwony w oknie", co było umówionym znakiem na oszczędzenie jej samej, jej rodziny i jej mienia, przez zdobywców.

Kobieta Dzisiejsza Przedłuża swą Młodość

Ogólnie wiadome jest, że troski i przeciwności życiowe, uciążliwa denerwująca praca, sprzyjają zmęczeniu ducha i ciała i przez to wcześnie postarzają.

Zastanawiając się nad ogólnem zjawiskiem dłuższej młodości zwłaszcza dzisiejszych kobiet powojennego pokolenia, tłómaczyć trzeba to: po pierwsze więcej higienicznym ich trybem życia i ubrania. Sporty, gimnastyka, higiena odżywiania (nie przejadanie się) wpływa na utrzymanie linji ciała wysmukłej i elastyczności tkanek przy umiejętnie prowadzonej kulturze ciała, której się dziś dużo uwagi poświęca.

Macierzyństwo nie pochłania dzisiejszej kobiety w tym stopniu, jak przedwojenną kobietę. Wychodzi zamąż później, poród i połóg odbywa się w warunkach o wiele korzystniejszych pod względem higieny, komplikacje są rzadkością. Dzieci ma mało, albo wcale ich mieć nie chce; nie jest więc przemęczona ciągle porodami, karmieniem i niańczeniem dzieci; praca zawodowa dzisiejszych samodzielnych kobiet nie wyczerpuje je w tym stopniu, co praca macierzyńska i domowa dawniejszych, mimo, że też często naraża na różne konflikty i troski, nieodłączne w samodzielnem bytowaniu współczesnego życia kobiety.

Dodać trzeba jeszcze do powyższych przyczyn postępy medycyny i kosmetyki, szerzenie się wiadomości z higieny życia, zwłaszcza reformę w odżywianiu (mniej mięsa — po odkryciu witamin) — wszystko to przyczynia się do przedłużenia okresu młodości i do wzrastania wieku ludzkiego we wszystkich krajach w powojennem pokoleniu.

Więcej higieniczne ubranie: krótkie suknie, krótkie włosy i przepuszczające latem światło, słońce i powietrze lekkie, przewiewne tkaniny, zmniejszenie niepotrzebnego balastu bielizny do minimum — ma bezwarunkowo wpływ na lepsze odżywianie i wygląd skóry ciała.

To odmłodzenie typu kobiety ma i odbicie w teatrze, literaturze i kinie; większość bohaterek autorów znajduje się w okresie wieku, w którym dawniejsza kobieta schodziła z areny zycia. A mężczyzna? Godnie jej w tem sekunduje.

Kiedy zaczyna się starość? Ta chwila nie zależy od ilości siwych włosów, lecz od stanu naszego ducha i nerwów... A więc wtedy, kiedy zaczyna się tracić zainteresowanie otaczającem życiem, kiedy wszystkie dawniejsze upodobania — obojętnieją, kiedy przestaje oddziaływać piękno natury, słońce, kwiaty, obrazy, muzyka i ludzie... Czuje się zmęczenie i chęć przybicia do przystani wiecznego spokoju... Ta chwila — to starość.

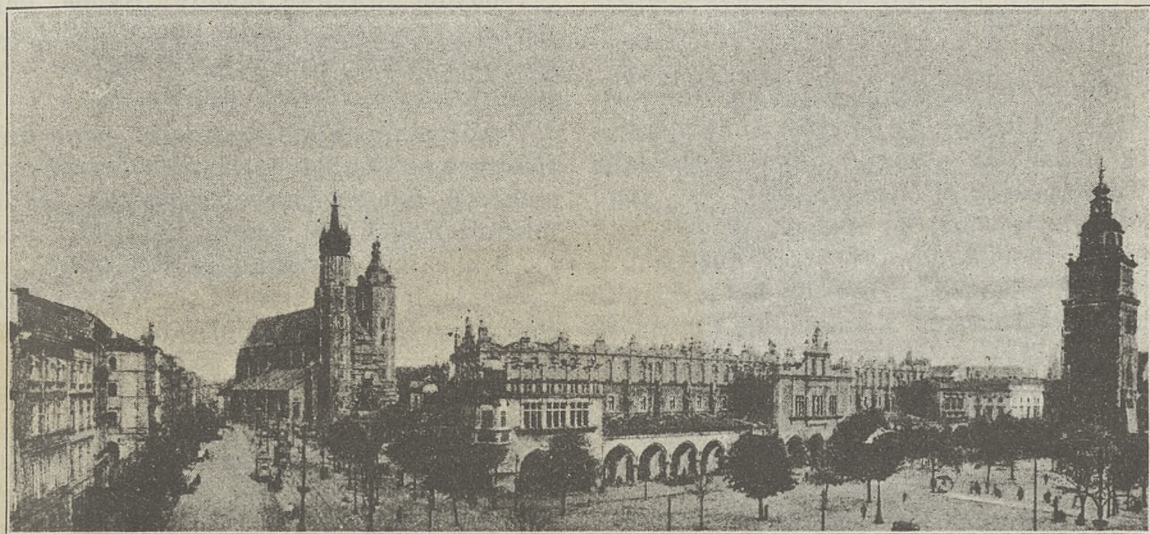
Najgorsi Mężowie na Świecie

Jeden z dużych dzienników londyńskich rozpisał ciekawą ankietę na temat, jakie narodowości dają najlepszych mężów. Odpowiedzi wypadły wprost miażdżąco dla Anglików. Według tej ankiety Anglicy są najgorszymi mężami na świecie. Najostrzej i najzgodniej określiły swych rodaków cztery sławne literatki angielskie, pp. Ethel Maunin, Ellen Wilkinson, Mary Edington i Strom Jamson.

Ethel Maunin stwierdza, że Anglik jest najgorszym mężem — może gorsi od niego są tylko przedstawiciele dzikich szczepów. Anglik zaniedbuje żonę dla interesów, dla sportu i swoją miłością do sportu zanudza ją śmiertelnie. Jest wprost okrutny, jeżeli żona jego nie posiada umiejętności w żadnej dziedzinie sportu. Zmusza ją do niesłychanych wysiłków i zadręcza ćwiczeniami golfowemi i tenisowemi. Mary Edington twierdzi, że Anglik nie wie, co jest miłość. Pod tym względem identyczną odpowiedź daje Ellen Wilkinson. Winę tego ponosi wychowanie chłopców w Anglji. Od małego dziecka uczą ich "miłości" z punktu widzenia medycyny. Stąd zimnokrwistość Anglika, stąd kobieta przedstawia dla niego tylko mocno wykalkulowany rachunek bez cienia romantyzmu i dlatego miłość Anglika jest pustą i flegmatyczną.

Nie ulega jednak wątpliwości, że angielskie girls w dalszym ciągu ochoczo będą wychodziły za mąż, mimo niezachęcających wyników ankiety.

Dzieje i Opis Miasta Krakowa



KRAKÓW—Linja A-B, Kościół Marjacki, Sukiennice i Ratusz

Czas powstania Krakowa ginie w pomroce dziejów początków wieków średnich, a gdy w X wieku spotykamy o nim pierwsze wzmianki historyczne, był już znacznem miastem i stolicą biskupów. Niegdyś był stolicą ziemi Białochrobatów, a o ich władcy Krakusie i jego córce Wandzie, która nie chcąc wyjść za Niemca, rzuciła się w nurty Wisły, zachowały się liczne legendy. W X wieku Kraków należał przez pewien czas do Czech, jednakże Bolesław Chrobry odzyskał go dla Polski, a przeniesienie tutaj z Poznania stolicy, założyło podwaliny pod świetny rozwój Krakowa w późniejszych wiekach. Wnosząc z zachowanych do dzisiaj kościołów XI i XII wieku, już wówczas zajmował Kraków przestrzeń nie wiele mniejszą od dzisiejszej. W dobie podziału Polski na dzielnice (1139—1306), Kraków, jako siedziba książąt o charakterze zwierzchniczym, był często widownią walk o tron. Gdy w roku 1241 Tatarzy doszczętnie zniszczyli miasto, Bolesław Wstydliwy w kilka lat później zaczął je odbudowywać według planu zachowanego do dzisiaj, sprowadzając kolonistów niemieckich, wobec uprowadzenia poprzedniej ludności w niewolę Tatarów. Od czasów Władysława Łokietka, który surowo ukarał w roku 1311 bunt Niemców miejscowych pod wodzą wójta Alberta, staje się Kraków miejscem koronacyjnem królów polskich, którem pozostał do rozbiorów Polski. Król Kazimierz Wielki (1333—70), zasłużył się bardzo dla rozwoju Krakowa przez wystawienie murowanego zamku, wielu kościołów, Sukiennic, oraz ufundowanie w roku 1364 uniwersytetu, co do czasu drugiego w Europie Środkowej.

Epoką największego rozkwitu miasta są rządy dynastji Jagiellońskiej, t. j. wiek XV i XVI, kiedy Kraków, jako rezydencja potężnej dynastji, władającej w Polsce i na Litwie, stał się jednem z największych i najbogatszych miast ówczesnej Europy. Wówczas działało tu mnóstwo znakomitych artystów z Witem Stwoszem na czele, a nietylko królowie, biskupi i magnaci, ale także bogate rodziny mieszczańskie budowały wspaniałe pałace.

Gdy w roku 1595, po spaleniu się zamku na Wawelu, Zygmunt III przeniósł stolicę państwa do Warszawy, zaczął Kraków upadać, schodząc z miejsca pierwszego w państwie, na piąte po Warszawie, Wilnie, Gdańsku i Kijowie. Wojny szwedzkie, oblężenie miasta i pożary sprowadzają zniszczenie mnóstwa jego poprzednich bogatych pałaców i kościołów, wraz z zamkiem królewskim, a walki konfederatów barskich 1768—72 i rozbiory Polski dopełniły miary niepo-

wodzeń dziejowych miasta, które w chwili rozbiorów Polski było tylko cieniem swej bogatej przeszłości. W roku 1794 był Kraków punktem wyjścia powstania Kościuszki, lecz już w kilka miesięcy potem został zajęty przez Austrję przy ostatnim rozbiorze Polski.

1809—1815 należał do Księstwa Warszawskiego, następnie aż do roku 1846 był stolicą maleńkiej, pozornie tylko niepodległej "Rzeczypospolitej Krakowskiej," w roku 1846 przyłączonej do Austrji. W dwa lata później zbombardowany przez Austrjaków, przez lat kilkanaście rządzony był przez niemiecką biurokrację, a autonomję i możność rozwoju, uzyskał dopiero po roku 1867, kiedy nadano konstytucję austrjacką, a miasto uzyskało szeroki samorząd. Wojska austrackie rozbrojono w Krakowie 30 Października 1918, a Kraków pierwszy w Polsce wywiesił wówczas sztandary niepodległego państwa.

Pod względem bogactwa zabytków historycznych i artystycznych, żadne miasto w Polsce nie może się równać z Krakowem. Nigdzie lepiej, niż w Krakowie, nie pozna się polskiej historji i polskiej sztuki, tutaj też istnieją największe muzea polskie, których powstawaniu nie stawiał rząd austrjacki przeszkód, jak to czynił rząd rosyjski w Warszawie. Śródmieście i rynek zachowało dobrze swój charakter z ubiegłych wieków, a z każdym niemal domem, każdą ulicą i placem wiążą się wspomnienia wybitnych w dziejach Polski wypadków.

Kraków liczy obecnie przeszło 212,000 mieszkańców, w tem 25% żydów, którzy zamieszkują przeważnie dzielnicę Kazimierz. Kraków jest stolicą województwa, siedzibą biskupa, który nosi tytuł książęcy, (biskupi krakowscy byli niegdyś książętami siewierskimi), jest siedzibą jedynej w Polsce Akademji Umiejętności, posiada uniwersytet i kilka akademij, z których akademja górnicza i akademja sztuk pięknych są jedynemi w Polsce, pozatem zaś akademję handlową i akademję rolniczą, dodaną jako studjum rolnicze do uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków nazywają "Polskim Rzymem," gdyż ma on przeszło 40 kościołów i 36 klasztorów. Pozatem ma Kraków 5 muzeów, 8 gimnazjów rządowych, 8 synagog i szereg szkół specjalnych, jak np. szkoła przemysłowa, kursy im. Baranieckiego dla kobiet itd.

Kraków leży na lewym brzegu Wisły, na wysokości 200 m. n. p. m., w pięknej kotlinie, otoczonej wapiennemi skałami t. zw. Jury Krakowskiej.

Centrum Krakowa stanowi **Rynek**, największy i najpiękniejszy w Polsce, który, jako rynek dawnej stolicy, był świadkiem szeregu ważnych zdarzeń dziejowych.

Rynek otaczają stare, stylowe kamienice, z których połowa jest dawnymi pałacami arystokracji, lub też patrycjuszowskich rodzin mieszczańskich. W Szarej Kamienicy pod nr. 6 mieszkał w roku 1794 Kościuszko, w kamienicy pod nr. 9 odbył się w roku 1605 ślub cara Dymitra Samozwańca z Marylą Mniszchówną, kamienica pod nr. 20, dawny pałac Zbaraskich i Wiśniowieckich, posiada piękny renesansowy dziedziniec arkadowy, pod nr. 27 "Pałac pod Baranami" hr. Potockich, gdzie w roku 1809 mieszkał ks. Józef Poniatowski, pod nr. 34 pałac Spiski, niegdyś ks. Lubomirskich, pod nr. 35 pałac Krzysztofory, z malowniczym dziedzińcem, pod nr. 45 tablica pamiątkowa świadczy, że w roku 1775 mieszkał tu Tadeusz Kościuszko, jako oficer artylerji.

Środek rynku zajmuje bardzo charakterystyczny budynek, mieszczący wewnątrz kramy, nazewnątrz eleganckie magazyny. Są to Sukiennice, które powstały w ten sposób, że stojące na środku rynku od XIII w. kramy na sukno nakryto później wspólnym dachem, a w połowie XVI wieku przebudowano artystycznie w stylu renesansowym według planów głośnego włoskiego architekty Jana Padovano. Wówczas to otrzymały Sukiennice piękny gzyms koronkowy, zwany attyką, który często naśladowany, stał się charakterystyczną cechą polskiego renesansu. Gotyckie podsienia zewnętrzne pochodzą z restauracji w roku 1876, przeprowadzonej wedle projektu Prylińskiego.

Na I piętrze Sukiennic mieści się część Muzeum Narodowego, w szczególności, galerja nowoczesnego malarstwa polskiego. Zbiory artystyczne tego muzeum, założonego w roku 1879, są najbogatsze w Polsce.

Na plan pierwszy wybijają się ogromne obrazy historyczne najwybitniejszego polskiego malarza Jana Matejki, który urodził się w Krakowie w roku 1837, tutaj żył i tworzył i tutaj też umarł w roku 1893, jako dyrektor szkoły sztuk pięknych. Z jego licz-

nycn w muzeum obrazów ogromem wyróżniają się “Kościuszko pod Racławicami,” “Hołd Pruski” (ks. Albrecht Hohenzollern składa w Kwietniu 1525 na rynku krakowskim hołd lenny królowi Zygmuntowi I), ponadto do najlepszych obrazów należą: mistrzowskie dzieło Henryka Siemiradzkiego “Pochodnie Nerona,” Józefa Chełmońskiego “Czwórka” i Podkowińskiego “Szał.” Pamiątkom po Mickiewiczu, Kościuszce i Wyspiańskim poświęcono osobne pokoje.

Obok Sukiennic stał na rynku, pochodzący też ze średnich wieków, gotycki ratusz. Rozebrano go w roku 1820, a pozostała po nim tylko wieża, do której dobudowano odwach wojskowy. Po przeciwnej stronie rynku pomnik Mickiewicza, dłuta Rygiera, odsłonięty w roku 1898, w setną rocznicę urodzin poety.

Nad rynkiem dominują wieże kościoła Marjackiego, który jest największym i najpiękniejszym kościołem gotyckim w Polsce. Jest to wspaniała, trzynawowa ceglana budowla z XIV wieku, charakterystyczna dla t. zw. gotyku nadwiślańskiego. Front zdobią dwie wieże, z których wyższa ma 81 m. wysokości, a w Polsce przedrozbiorowej była ona najwyższą w państwie. Zdobi ją hełm gotycki w kształcie korony, umieszczony w roku 1478; niższa wieża ma hełm barokowy z roku 1591. Wedle legendy budowniczy, budujący wieżę niższą z zazdrości zabił brata, budującego wieżę wyższą, a u bocznego wejścia do Sukiennic wisi nóż, którym miał tego mordu dokonać. Co godzina rozlegają się z wieży charakterystyczne dla Krakowa hejnały, wygrywane na trąbce przez strażaka.

Z rynku wybiega 10 ulic wedle planu, zakreślonego jeszcze w roku 1257 przez Bolesława Wstydliwego. Najbardziej charakterystyczną z nich jest ul. Florjańska, którą zamyka charakterystyczna gotycka Brama Florjańska. Jest to jedyna z bram średniowiecznych, która zachowała się do dzisiaj, gdyż inne rozebrano w roku 1824 wraz z murami miejskimi. Obok Bramy Florjańskiej pozostawiono tylko na pamiątkę resztkę dawnych murów wraz z kilku basztami. Przed Bramą Florjańską stoi charakterystyczny Barakan z końca XV wieku, jedyny tego rodzaju zabytek średniowiecznych fortyfikacyj w Europie.

Bibljoteka Jagiellońska, mieszcząca obecnie bibljotkę uniwersytecką, pierwotnie zaś sam uniwersytet, zbudowana w końcu XV w. jest najpiękniejszym gotyckim świeckim budynkiem Polski. Wspaniałym jest w szczególności otoczony arkadami dziedziniec, na środku którego stoi pomnik astronoma Kopernika z roku 1900, dłuta Cyprjana Godebskiego. Bibljoteka, mająca przeszło 500,000 książek, jest największą w Polsce. W sieni kapliczka według legendy urządzona w pokoju mieszkalnym św. Jana Kantego.

Śródmieście Krakowa otaczają wieńcem piękne planty, założone w roku 1824 w miejsce dawnych murów i wałów miejskich. Stoi przy nich kilka pomników zasłużonych Polaków, z których najokazalej przedstawia się pomnik Grottgera, dłuta Szymanowskiego. Niedaleko wylotu ul. św. Anny, stoi przy Plantach nowy gmach uniwersytetu.

Od południowej strony kończy Śródmieście wzgórze Wawel, utworzone z wapiennej skały, które przedstawia się bardzo malowniczo od strony Wisły. Jest to miejsce słynne w historji Polski i drogie sercu każdego Polaka jako rezydencja królów polskich do końca XVI wieku, a później panteon narodowy. Stoi tu zamek królewski i katedra krakowska. Idąc na Wawel, mijamy u wejścia pomnik Kościuszki, dłuta Rygiera, ustawiony tutaj przed kilku laty.

Katedra na Wawelu pod względem bogactwa zabytków artystycznych i historycznych, jest pierwszym kościołem w Polsce.

W krypcie pod katedrą groby królewskie, gdzie w ozdobnych trumnach spoczywają zwłoki królów polskich od Władysława Łokietka (zm. 1333) do Augusta II (zm. 1733). Wtej samej krypcie pochowani są dwaj bohaterzy narodowych walk o niepodległość: Tadeusz Kościuszko (zmarł 1817) i ks. Józef Poniatowski (zm. 1813). W osobnej krypcie, jako król poetów polskich spoczywa Adam Mickiewicz (zm. 1855), którego zwłoki sprowadzono tu z Paryża w roku 1890.

Za wielkim ołtarzem cudowny Chrystus na krzyżu, który wedle legendy miał przemówić do św. Jadwigi. Obok wejście do zakrystji, a z niej do skarbca, który pod względem zabytków artystycznych i pamiątek artystycznych jest najbogatszym w Polsce. Wchodzi się też tędy na wieżę, gdzie wisi największy w Polsce dzwon Zygmunt o średnicy 288 cm. odlany w roku 1523 z armat, zdobytych na Rumunach pod Obertynem.

Przed katedrą stoją armaty, zdobyte w roku 1920 na bolszewikach.

Z katedrą sąsiaduje dawny zamek królewski. Pierwotny zamek w Krakowie był drewniany, a budowa murowanego rozpoczęła się dopiero w XIV wieku. Wówczas był to budynek gotycki, niezbyt duży, został on jednakże, za panowania Zygmunta I (1505—48), znacznie rozszerzony i przebudowany w stylu włoskiego renesansu, który to wygląd zachował do dzisiaj. W XVI wieku był Wawel wspaniałą rezydencją, lecz jego bardzo bogate ówczesne urządzenie zniszczył pożar w roku 1595. Ponieważ rezydencję przeniesiono potem do Warszawy, zamek krakowski nienależycie odrestaurowany podupadł, a dwór królewski przyjeżdżał tu już tylko na czas koronacji. Po rozbiorze Polski został zupełnie zniszczony przez Austrjaków, którzy zamienili go na koszary, i wywieźli do Wiednia wiele cennych architektonicznych ozdób. Dopiero w ostatnich latach przed wojną usunięto stąd wojsko i rozpoczęto restaurację zamku, która ma na celu przywrócić mu wygląd z XVI wieku.

Z gmachów nowoczesnych, wzniesionych w Krakowie w ostatnich latach, wyróżnia się stojący obok barbakanu gmach Banku Polskiego z roku 1924 (proj. Kazimierz Wyczynski, rzeźby Hukana), oraz Pocztowa Kasa Oszczędności przy ul. Wielopole (1923, proj. Adolf Szyszko-Bohusz).

Za Wawelem leży przedmieście Stradom, gdzie stoi kościół Bernardynów, barokowy, z XVII wieku. W ołtarzach ma on trzy ogromne obrazy Bernardyna Leksyckiego, najlepszego polskiego malarza religijnego XV w. Dalej leży dzielnica żydowska, zwana Kazimierzem, która niegdyś stanowiła odrębne miasto, oddzielone od Krakowa ramieniem Wisły.

Najpiękniejszy widok na miasto mamy z kopca Kościuszki. Kopiec ten, położony na zdala widocznem wzgórzu św. Bronisławy, wznosi się na zachód od miasta w odległości 2 klm. od ostatniej stacji tramwaju na Zwierzyńcu, ma 34 m. wysokości, a sypano go w latach 1820—23. Przy kamieniu węgielnym ziemia przywieziona z pobojowisk pod Racławicami, Maciejowicami, Dubienką i Szczekocinami. Z kopca piękny widok na Kraków i Karpaty z najwyższym szczytem Beskidów Zachodnich Babią Górą (1725 m.). W dnie wyjątkowo pogodne widać nawet Tatry.

Podatek "Kawalerski" i "Panieński" Wprowadzono w Persji

Gdy w Ameryce wiele stanów ułatwia rozejście się małżonków, niezadowolonych z siebie, w Persji jest całkiem odwrotnie.

I tam coprawda, rozwód dotychczas był bardzo łatwy, gdyż wystarczyło, jeżeli małżonek, — czy małżonka wyrazili niezadowolenie ze wspólnego pożycia, by natychmiast otrzymać akt separacji. Ponieważ jednak wypadki rozwodu zaczęły się mnożyć w sposób zastraszający, tamtejszy medżilis (parlament) postawił wniosek o ograniczenie rozwodów, a z drugiej strony zażądał, by posłowie uchwalili prawo, na mocy którego wszyscy niezamężni łączyliby się w związki małżeńskie.

Jednym ze środków, zwalczających rozwody w Persji jest podwyższenie znaczne ceny wykupnej za narzeczoną.

We wszystkich prawie krajach wschodnich narzeczony musi uiścić pewien okup za wybrankę swojego serca. Cena wahała się dotychczas w granicach od 4 do 5 dolarów. Nowe prawo perskie podnosi cenę narzeczonej do wysokości 10 dolarów, a pozatem zobowiązuje wszystkich kawalerów i panny aby do r. 25 życia wstępowali w związki małżeńskie, gdyż w przeciwnym razie będą opłacali roczny podatek w wysokości 50 dolarów.

Podatek ten podlega stałemu wzrostowi w miarę upływania lat i oporu młodzieńców i panien.

Dla kobiet uczyniono tę tylko ulgę, że płacą one połowę podatku.

Wszystkie podatki, jakie państwo perskie osiągnie z powyższych źródeł, idą w całości na subsydjowanie małżeństw niezamożnych.

POBOŻNY PASTOR

Pewien pastor jechał parowcem do Ameryki. Wtem na morzu zerwała się gwałtowna burza.

— Kapitanie — pyta pastor drżącym głosem — czy bardzo źle z nami?

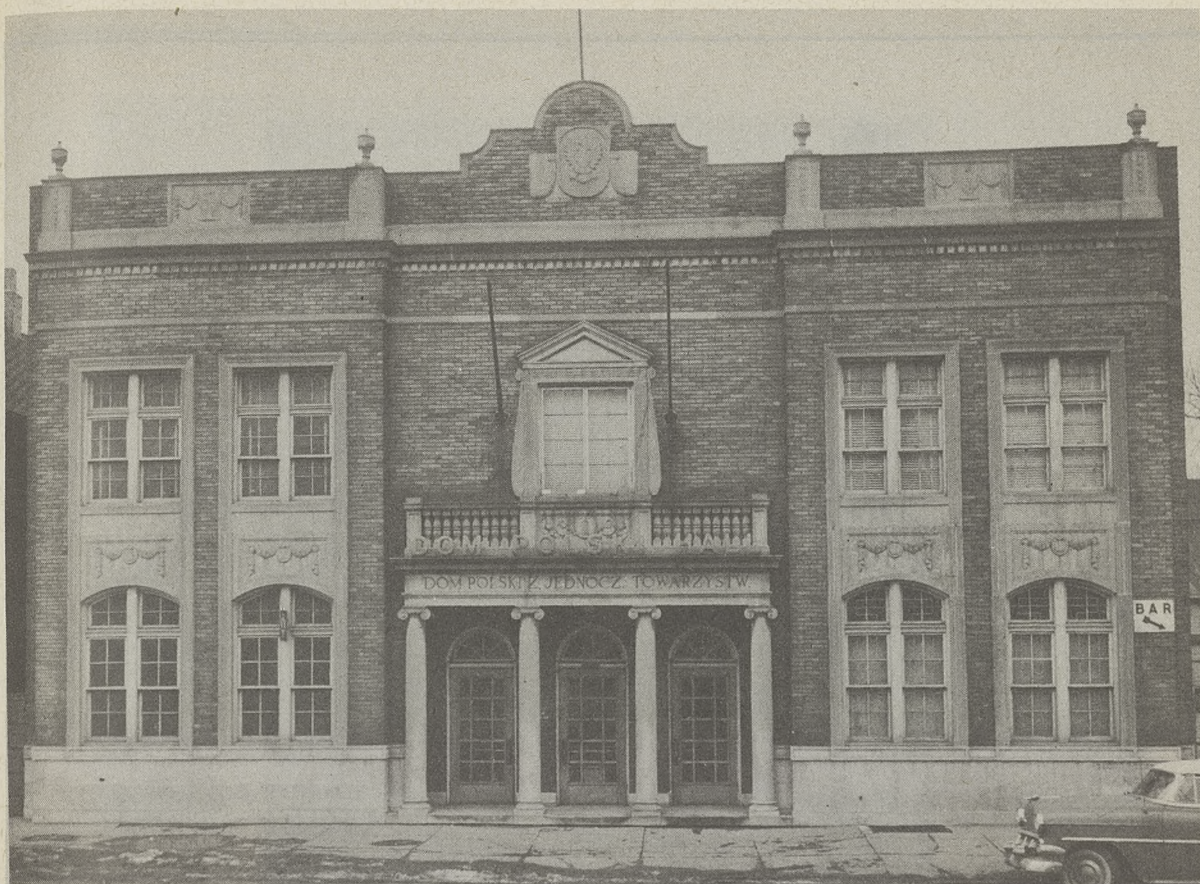
— Bynajmniej! — odpowiada kapitan. — Gdyby było źle, toby się majtkowie modlili, a oni klną przecież.

Pastor musiał wreszcie schronić się do kajuty. Tam dręczy go strach, a widząc przebiegającego korytarzem oficera, pyta go:

— Panie poruczniku, co robią majtkowie: modlą się, czy klną?

— Klną! — brzmiała odpowiedź.

— Bogu dzięki! woła na to ucieszony pastor.



KRÓTKI ZARYS HISTORII DOMU POLSKIEGO

3426 Junction Ulica — Detroit, Michigan

Czyli—Domu Polskich Zjednoczonych Towarzystw

Myśl budowy Domu Polskiego powstała w roku 1910-tym, lecz z powodu małego zainteresowania, braku funduszy, rozmaitych przeszkód, odłożono na czas nieograniczony.

W roku 1913-tym zdołano pozyskać więcej towarzystw, zakupiono dwie parcele gruntu i 17-go maja wybrano zarząd, który podpisał tekst korporacji opartej na prawach stanu Michigan jako Dom Polskich Zjednoczonych Towarzystw.

Wtenczas zaczęła się trudna i mozolna praca, aby zebrać odpowiedni fundusz, lecz nie mogąc podołać pracy i rozmaitych przeszkód, aby wybudować odpowiedni dom, więc we wrześniu, 1916 roku przyjęto szkic tylniej części i 5-go lipca, 1917 roku chociaż zmniejszony otwarto własny Dom dla dobra Polonii i rozwoju Grup Z. N. P.

Po siedmiu latach ciężkiej i uciążliwej pracy zdołano spłacić dług i odłożyć sumę $10,000 na budowę do Junction ulicy i w dniu 5-go stycznia 1925 roku przyjęto szkic do budowy, zdołano uzyskać pożyczkę w Wayne County and Home Savings Bank w sumie $60,000; drogą kolekty zebrano około $4,000 i 15-go listopada, 1925 roku Dom Polski został otwarty, lecz niestety obciążony około 70-cio tysięcznem długiem.

Nikt nie zdawał sobie sprawy jak trudno będzie spłacić tak wielki dług, bo czasy były dobre, sala Domu Polskiego była zawsze wynajęta, interes szedł całą parą i każdy myślał, że tak zawsze będzie. Lecz kiedy przeszedł rok 1930-ty, a z nim depresja, która każdemu dała się we znaki i Dom Polski ucierpiał, bo interes spadł do zera, a utrzymanie takiego budynku kosztowało przeszło sześć tysięcy rocznie, wtenczas Dyrekcja znalazła się w bardzo trudnem położeniu, wtenczas na dobre zaczęto się niepokoić o egzystencję Domu Polskiego.

Z nastaniem roku 1934 widząc bezskuteczność wysiłków zaprzestano spłacać rat hipotecznych, więc 26-go lutego bank przejął Dom Polski na swoją własność.

Po wywłaszczeniu i dwu miesięcznej pertraktacji, dyrekcja zawarła umowę i wydzierżawiła Dom Polski za sumę $200 miesięcznie z tym zastrzeżeniem, że pierwszeństwo do wykupna dane będzie Polskim Zjednoczonym Towarzystwom.

Depresja ustąpiła, interes się poprawił, płacąc tylko $200 miesięcznie, więc nadwyżka zasilała kasę dyrekcji, to też zaczęto myśleć o wykupnie, lecz żądano zniżki i po dwu latach pertraktacji przyszło do zgody i 19-go czerwca, 1937 roku Dom Polski powrócił do prawych właścicieli.

Dziś po siedmiu latach wytrwałej pracy dnia 26-go listopada, 1944 roku odbyła się uroczystość spalenia hipoteki.

Właścicielami Domu Polskiego są: Gmina 54-ta Z.N.P.; Tow. św. Stanisława i Feliksa, Gr. 425 Z. N. P.; Tow. św. Izydora Oracza, Gr. 649 Z.N.P.; Tow. św. Cecylii, Gr. 1009 Z.N.P.; Tow. w Jedności Siła, Gr. 2669 Z.N.P. i Oddział 5-ty Legionu Pułaskiego



Dom Związkowy w Ford City, Pa.

Polonia w Ford City, Pa. jest dumna ze swego własnego Domu, należącego do Tow. Stefana Czarneckiego, Gr. 445 Z.N.P. Grupa ta była założona w roku 1898, obecnie liczy 262 członków pełnoletnich i 107 członków małoletnich. Wartość własnego domu wynosi 35 tysięcy dolarów.

OBECNY ZARZĄD GRUPY SKŁADA SIĘ Z NASTĘPUJĄCYCH:

ANTONI SOLAK, Prezes
WALTER KIJOWSKI, Wiceprezes
CATHERINE SKUBEL, Wiceprezeska
S. SZYMANSKI, Sekr. fin.
MARY JANE DIETZ, Sekr. prot.
FRANK MAZUREK, Skarbnik
ANTONI NIEMIEROWSKI, Marszałek
JOHN KIJOWSKI, Trustys
JAMES SZYMANSKI, Trustys
ANTONI KOŁAKOWSKI, Trustys
LEONARD SZYMANSKI, Gospodarz



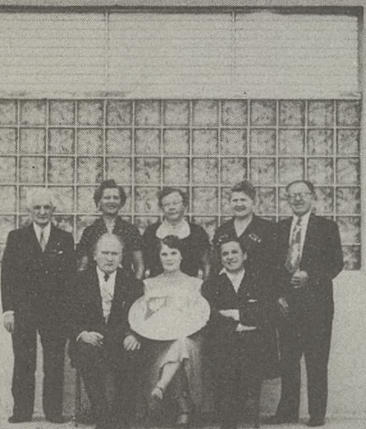
Dom Polski Na Dalekim Zachodzie

Fotografia powyższa przedstawia Dom Związkowy, Grupy 156 w Tacoma, Wash. należący do Tow. "Jutrzenka na Dalekim Zachodzie", która obchodziła niedawno temu 65-lecie swego istnienia, zorganizowana 4-go lipca 1890 roku, przez 12 członków założycieli, z których jeden żyje i cieszy się ogólnem poważaniem. Dom jest bez długu, wypłacony, jest centrem życia towarzyskiego nietylko dla związkowców, ale i dla całej Polonii. Wartość Domu Związkowego wynosi ponad 20 tysięcy dolarów. Grupa 156 Z.N.P. liczy obecnie 226 członków, w tem 174 pełnoletnich.

ZARZĄD GRUPY STANOWIĄ:

MICHAEL MŁYNEK, Prezes
WILLIAM VODARSKI, Wiceprezes
VICTORIA MŁYNEK, Wiceprezeska
IRENE VODARSKI, Sekretarka fin.
ANTON SLIVA, Sekretarz prot.

JOSEPH JANKOWSKI, Skarbnik
FRANK JANKOWIAK, Do odw. chor.
Dyrektorzy:
STANLEY SLIVA, STANLEY DRANGE
PAUL WAHOWIAK



Wielką chlubą Polaków w Miami, Florida jest DOM ZWIĄZKOWY, który skupia wszystkie patriotyczne czynności dla dobra Polonii.

Dom Związkowy jest własnością grupy 3036 Z. N. P., największego polskiego zespołu we Florydzie. Powstał on w roku 1950, za inicjatywą niestrudzonego działacza związkowego i polonijnego, byłego dyrektora Zarządu Centralnego Z. N. P., ówczesnego prezesa grupy, pana Franciszka Synowca, który wraz z innymi pracownikami wielkiego dzieła tego dokonał.

W roku 1944, w październiku, kiedy grupa 3036 obchodziła swoje 10-lecie, a Dom Związkowy 5ta rocznicę swego otwarcia, na jubileuszowych uroczystościach spalono ciążącą hipotekę na Domu, tak, że siedziba ta przedstawiająca wartość $45,000 jest czystą i bez centa długu.

Zarząd na rok 1956 stanowią jak następuje: Prezes, Albert Rychel; wiceprezes, Jan Żbik-Tomczyk; wiceprezeska, Janina Kaniewska; sekretarka prot., Stanisława Synowiec; sekr. fin., Tomasz Hasiak; kasjerka, Konst. Mykytiuk, marszałek, Antoni Świątek; odźwierna, Julia Dombrowska.

W DOMU ZWIĄZKOWYM W MIAMI, rodacy z całej Ameryki sa mile widziani. Dom Związkowy mieści się pod adresem:— 5525 N. W. 7th Avenue, Miami, Florida.

Dom Gminy 53-tej Z. N. P. w Schenectady, N. Y.



Dom Grupy 1001 Z.N.P. w Anthony, R. I.

HISTORIA

TOW. BRATNIEJ POMOCY M. B. CZĘSTOCHOWSKIEJ, GR. 1001 Z. N. P.

w Anthony, Rhode Island

Założona dnia 19go października w roku 1908 z jedenastu członków.

Dzięki usilnej pracy i wysiłkowi dobrze znanego Związkowca i obywatela Antoniego Szymkowicza przyjęta do Związku Narodowego Polskiego dnia 2go listopada w roku 1908.

Pierwszymi urzędnikami byli: Antoni Szymkowicz, Prezes; Paweł Szeląg, Wiceprezes; Ludwik Stój, Sekr. Prot.; Stanisław Foryś, Sekr.; Jan Leśniak, Kasjer.

Urzędnikami na rok 1956: Raymond Sołtys, Prezes; Julia Kusiak, Wiceprezeska; Franciszek Biroś, Wiceprezes; Apolonia Pietras, Sekretarka Protokółowa; Felix Kusiak, Sekretarz Finansowy; Stanisław Szydło, Kasjer.

Grupa 1001 Z. N. P. założona z jedenastu członków powiększała się z każdym rokiem, tak w liczbę członków jak i w majątek, dziś Grupa 1001 liczy 297 członków pełnoletnich i 75 członków małoletnich. Posiada własny dom wartości $85,000. Grupa 1001 Z. N. P. bierze czynny udział we wszystkich sprawach polsko-narodowych.



Pierwszy rząd (siedzą) od lewej do prawej: JULIA KUSIAK, Wiceprezeska; RAYMOND, SOŁTYS, Prezes; APOLONIA PIETRAS, Sekr. Prot. Drugi rząd (stoją): FRANCISZEK BIROŚ, Wiceprezes; FELIX KUSIAK, Sekr. Fin.; STAN. SZYDŁO, Kasjer.

WŁASNA SIEDZIBA

Gminy 122-ej Związku Nar. Pol. w Hamtramck, Mich.



Gmina 122 Z. N. P. zorganizowana została 30go listopada, 1908. Głównym inicjatorem był brat Piotr Mankowski. W skład pierwszego zarządu wchodzili: Piotr Mankowski, prezes; Kazimierz Murawski, wiceprezes; S. Mikołajczyk, sekr. fin.; Julian Lazalewski, sekr. prot.; Franciszek Stachurski, skarbnik; Władysław Gadomski, Marcin Wikar i Helena Wojnowska, opiekunowie kasy.

Zapewnie pierwsi założyciele Gminy nie przewidywali tak szybkiego zwrostu, że pierwsza siedziba pnr. 2600 Holmes ulica okaże się za małą. Lecz stało się inaczej. Z powiększeniem grona Związkowców, powiększyła się działalność gminy, iż koniecznie trzeba było większej siedziby. To też w grudniu, 1950, na parcelach pnr. 10211 Conant ulica, narożnik Belmont, pod kierownictwem zarządu gminy, dyrekcji i Komitetu Budowy z ówczesnym prezesem Alfredem Ulmanem na czele, rozpoczęto budowę nowomodnego i obszernego lokalu. Dzień 3go czerwca, 1951 był pamiętnym dniem, gdyż nastąpiło otwarcie nowego Domu Związkowego pięknymi ceremoniami. Budowniczy Domu Związkowego oszacowany na przeszło $175,000.00, był brat Karol Kukurowski, były prezes gminy i długoletni prezes Gr. 2384.

Gmina 122 Z. N. P. posiada własną siedzibę. W siedzibie naszej mamy wspaniałą salę taneczną, dogodną wielką jadalnię, wspaniale wyekwipowaną kuchnię, osobną salę czyli bibliotekę dla naszej młodzieży, mniejsze pokoje na mniejsze posiedzenia oraz klub. Cały budynek jest ochładzany system "Air Condition". Od czasu objęcia nowego Domu Związkowego, siedziba nasza stała się środowiskiem i centrala zwiększonego życia związkowego, narodowego i społecznego. Gmina 122 Z. N. P. dla swej dziatwy i młodzieży prowadzi szkółki języka i literatury polskiej, klasy tańca i dramatu.

Obecny skład zarządu Gminy 122 Z. N. P. na rok 1956 jest następujący: Mieczysław Odrobina, prezes; Czesława Pułaska, wiceprezeska; Jan Durda, wiceprezes; Stefania Jachimek, sekr prot.; Radna Julia Rooks, sekr. fin.; Radny Bolesław Kozerski, skarbnik; Tadeusz Ulman, marszałek; Józef Zydlewski, odźwierny. W skład dyrekcji wchodzą: Ludwik Kuźnia, Stanisław Sosiński, Feliks Mazurek, Wincenty Chrostowski, Czesław Senkowski, Józef Jachimek, Zygmunt Paduchowski, Wacław Wierciński, Leopold Ciaston. Gospodarzem Domu Związkowego jest brat Antoni Szymanowski, który wraz z zarządem serdecznie zapraszają całą brać związkową do odwiedzenia naszej siedziby, gdy nadarzy się sposobność.

Życie w Otchłaniach Morskich

Badania Głębin Morskich

Z pośród światów trzech żywiołów — ziemi, powietrza i wody — najmniej dotychczas znany jest ludziom świat głębin morskich. Fale morskie rzadko tylko wynoszą tajemnice głębin na powierzchnię. Poławiacze pereł lub gąbek, nurkowie, zanurzający się w specjalnych ubiorach, dla ratowania części zatopionych statków — wszyscy opowiadają dziwy, o tem, co na dnie morskiem widzą, to też pociągało to zawsze ciekawość ludzką. To właśnie powodowało, że od dawna pracowano nad wynalezieniem i udoskonaleniem rozmaitych przyrządów, które by pozwalały ludziom opuszczać się w głębiny i tamtejsze życie badać.

A głębie morskie są naprawde wielkie. W roku 1911-ym jeden z okrętów, prowadzących badania dna morskiego, znalazł na Oceanie Spokojnym głębię, dochodzącą do trzydziestu tysięcy stóp, a więc wyrwę takiej głębokości, że możnaby w niej umieścić najwyższą na świecie górę Everest. I w innych miejscach znajdowano następnie podobne głębie, a w ostatnich czasach japoński okręt "Manshu-maru" odkrył w pobliżu wybrzeży Japonji jedną głębię, która tylko mało ustępuje od znalezionej w roku 1911-ym.

Wyniki wyprawy, odbytej w roku 1929-ym przez profesora Williama, który na dno morskie opuścił się w specjalnej kuli stalowej, były bardzo interesujące, pomimo, że dosięgnął on głębi tylko nieco większej, jak trzysta stóp. Profesor Bebe, w podobnym, również własnej konstrukcji przyrządzie, dotarł znacznie głębiej, gdyż do tysiąca siedmiuset stóp pod źwierciadłem morza.

Przyrząd profesora Bebe jest to znacznych rozmiarów kula stalowa, w której mieści się całe kompletne laboratorjum, wyposażone we wszystko, co do pracy badawczej na dnie morskim może być potrzebne. Kula ta oświetlona jest doskonale elektrycznością, a posiada rozmaite aparaty sygnalizacyjne, łączące ją z powierzchnią, oraz aparat radjowy, dostosowany do obsługi pod wodą. Okna tej kuli zbudowane zostały ze specjalnych płyt kwarcowych i pozwalały badaczowi widzieć dokładnie co się dzieje nazewnątrz, na przestrzeni, elektrycznemi reflektorami oświetlonej.

Większość Tworów Posiada Urządzenia Świetlne

Profesorowi Bebe udało się wedrzeć w tajemnice głębin morskich, do jakich przedtem nikt jeszcze się nie przedostał. Jednym z bardzo ważnych faktów, jakie profesor Bebe stwierdził, jest to, że większość mieszkańców stałych tych głębin wyposażona jest już z natury w różnorakie urządzenia świetlne. Przyroda widocznie stara się o to, aby nawet tam, w mrokach wiecznej nocy, mogło jednakże istnieć życie, gdyż poza urządzeniami świetlnemi niektóre twory posiadają ciekawe opancerzenia, umożliwiające im przebywanie pod tak wielkiem ciśnieniem wody, jakie na znacznych głębokościach się wywiązuje.

W głębi morza żyją rozmaite stworzenia, dotychczas badaczom zupełnie nieznane, a wiele z nich bardzo możliwe, że człowiek dokładnie nigdy nie pozna, ponieważ trudno do nich dotrzeć, a jeszcze trudniej je pochwycić i na powierzchnię wydobyć. Trudno naprzykład jest dokładnie zbadać, czy większość urządzeń świetlnych, w jakie wyposażone są rozmaite twory morskie, służy do obrony, czy do wyszukiwania pokarmu, czy też do jednego i drugiego celu razem. Niektóre z nich nie wydają światła zdecydowanego, wyraźnego, lecz pływają jakby otoczone jakąś świetlaną mgłą, w której one stanowią ośrodek.

Trudności w Dokonywaniu Badań

Dokładne badania głębin morskich utrudniają szczególniej trzy okoliczności: Ciśnienie wody, brak światła i chłód. Rzecz prosta, że jeżeli badacz znajdzie się na znacznej głębokości, znajdująca się nad nim warstwa wody wywiera olbrzymie ciśnienie, które nauka mierzy w atmosferach. Ciśnienie normalne powietrza na powierzchni ziemi, czyli jednej właśnie takiej "atmosfery," wynosi dokładnie 1,033 gramów na każdy centymetr kwadratowy, a więc w głębokości na-

przykład 5,000 metrów pod powierzchnią morza, ciśnienie to dochodzi już do pięciuset atmosfer, czyli, że każdy kwadratowy centymetr powierzchni ciała ludzkiego musiałby tam wytrzymać ciężar przeszło pięciuset kilogramów. Oczywiście, że cisnąca z taką siłą woda mogłaby zgnieść niezabezpieczonego człowieka na miazgę.

Światło słoneczne, tak jasno błyszczące na wierzchu fal morskich, przenika jednakże tylko do pewnej głębokości, a im głębiej — tem światła tego mniej, tem ono jest słabsze. Poniżej trzech tysięcy stóp pod wodą dla oka ludzkiego panuje już zupełna, czarna noc, absolutna ciemność. Dochodzi tam jeszcze specjalny wprawdzie rodzaj promieni, lecz te dla oka ludzkiego są niewidzialne, a skorzystać z tych promieni mogą tylko pewnego rodzaju stworzenia, w głębinach stale przebywające, których organy wzrokowe do chwytania takich promieni są przyzwyczajone, nadające się.

Odpowiednio z pogłębianiem się dna morskiego, obniża się także stopniowo i temperatura wody, a na głębokościach około 20,000 stóp, bez względu na to, czy jest to w okolicach północnych, czy nawet na równiku, temperatura głębin morskich utrzymuje się prawie niezmiernie przy zerze.

Ciekawe Stworzenia i Ryby Świecące

W głębinach morskich żyją nietylko drobne rozmaite stworzonka, które posiadają narządy świecenia, ale także i ryby, rozmaitego kształtu i wielkości. Świecenie powodują u nich rozmaite organy, składające się zwykle z jednego, który świecenie powoduje, oraz drugiego, który pozwala im zmieniać barwę światła, to światło zapalać i dowolnie gasić. Jeden z badaczy dna morskiego obserwował specjalnie rybę, którą starał się złowić. Ryba ta roztaczała wokół siebie wspaniałe zielonkawe światło, widoczne w wodzie w odległości już dwudziestu stóp. Kiedy podpłynęła bliżej i widocznie zauważyła nastawioną na nią sieć — światło jej natychmiast zgasło, jakby za przekręceniem guzika od elektryczności w pokoju. Widocznie ten gatunek ryby gasi swoje światło, gdy się chce schronić przed napaścią innego stworzenia, ponieważ w ciemności łatwiej jej ujść napastnikowi.

Organa świecenia są u rozmaitych stworzeń rozmaicie ułożone. Najczęściej posiadają stworzenia głębokowodne te narządy świecące po bokach, koło oczu, często na specjalnych wyrostkach, jakby mackach, a nawet niektóre posiadają je wewnątrz paszczy. Te zdaje się najwięcej korzystają ze swoich narządów, ponieważ do otwartej, świecącej paszczy wpadają masy rozmaitych drobnych stworzeń morskich, które się tam ściągają — jak ćmy — do światła. Naogół świat stworzeń podmorskich podzielić można na dwa rodzaje: pożerających — i pożeranych.

Roślinność w Głębinach

Nader charakterystyczną cechą życia organicznego głębin morskich jest prawie zupełny brak roślin. Wyjątek stanowią tylko nieliczne gatunki grzybków, bakteryj, których życie rozwojowe może widocznie istnieć bez udziału promieni słonecznych. Na znaczniejszych głębokościach nie spotykają badacze nawet wszędzie obecnych, najniższych reprezentantów świata roślinnego, tak zwanych glonów, jednokomórkowych, które w niezliczonych masach unoszą się biernie na powierzchni i w górnych warstwach wody morskiej.

Pomimo, że glony te żyją prawie tylko na powierzchni morza, a niektóre zagłębiają się najwyżej na 250 stóp, całe życie organiczne w głębinach, a więc i życie wszelkich zamieszkujących głębiny morskie stworzeń — jest od glonów zależne. Glony bowiem żywią się bądź pośrednio, bądź bezpośrednio organizmami roślinnemi, gdyż tylko rośliny odznaczają się własnością przemiany substancyj nieorganicznych.

Obliczono, że pod każdym kwadratowym jardem powierzchni morza żyją setki miljonów najniższych takich glonów, z których codziennie zamiera prawie jedna trzecia część, opadając na dno morskie. Tym sposobem stale opada na dno morskie jakby powolny, ożywczy deszcz substancyj organicznych. Te obumarłe rośliny stanowią pożywienie dla wszelkiego rodzaju mieszkańców głębin morskich, a więc tak samo dla tworów jednokomórkowych, jak gąbek, meduz, mniejszych skorupiaków, ślimaków i innych stworzeń.



Stronica humoru



Mały Janek a krowa

Mały Janek ujrzawszy poraz pierwszy w życiu pasącą się krowę, spytał matki:

— Mamusiu, co to jest?

— Krowa.

— A co ona ma na głowie?

— Rogi.

W tej chwili krowa zaryczała donośnie.

— A na którym rogu teraz krowa zatrąbiła? — spytał naiwnie Janek.

Umie gotować



— Słuchaj, czy twoja żona umie gotować?

— O tak, gotować umie ,tylko ja nie umiem jeść tego co ona zgotuje.

Na wykładzie naukowym

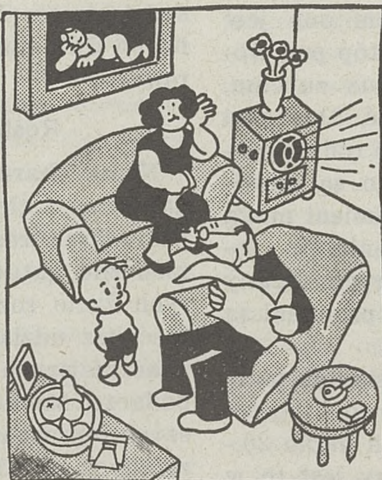
Profesor do swego kolegi, który wygłosić ma wykład o treści naukowej:

— A teraz jeszcze jedna rada: po zakończeniu twojego wykładu wycofaj się z sali cichaczem na palcach.

— Poco cichaczem i poco na palcach — pyta zdziwiony profesor-wykładowca.

— Ażebyś nikogo ze słuchaczy nie zbudził!

Nasze dzieci



— Jak będziesz niegrzeczny, to zawołam zaraz kominiarza!

— No i co z tego? Najwyżej Kasia się ucieszy, że przyszedł jej narzeczony.

Bilard-lekarstwo



— Więc jakto? Do biura nie przychodził pan przez cały tydzień, a w lokalach wysiadywał pan, grając w bilard?

— Prapraszam, ale lekarz zalecił mi tydzień absolutnego spokoju, i patrzeć możliwie najwięcej na zieleń.

Pies — panem!

Paluszkiewicz kupił sobie piękną willę. Wieczorem stoi z żoną przed bramą. Oboje są zmartwieni, struci, zakłopotani.

— Dlaczego państwo nie wchodzicie do domu? — pyta uprzejmie sąsiad.

— Nie możemy — odpowiada znękanym głosem Paluszkiewicz.

— Zgubiliście klucz?

— Nie — odpowiada Paluszkiewicz z ciężkim westchnieniem — ale kupiliśmy wielkiego groźnego psa, który nas jeszcze nie zna i nie chce wpuścić do domu.

Kosztowna noc



Przyjaciel Pipermana był podczas lata na wycieczce okrętowej na północy, poza kołem polarnym. Opowiada więc Pipermanowi o dziwach, które tam sam widział i o jeszcze większych dziwach, które jemu inni opowiadali.

— Wyobraź sobie — mówi — na biegunie północnym noc trwa bez przerwy trzy miesiące...

— No, to masz szczęście, że tam nie byłeś i żeście nie wysiadali — ileby tam musiał kosztować nocleg w hotelu!...



Stronica humoru





W kinie

Widz do siedzącej przed nim damy, która zastawia ekran:

— Zapłaciłem za bilet, aby oglądać film.

— A ja zapłaciłam za kapelusz — odpowiada z godnością dama — aby go ludzie oglądali.

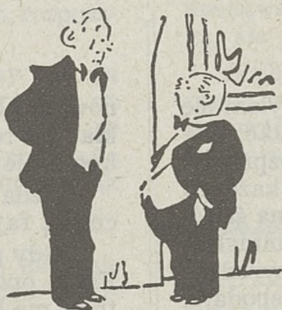
Prawdziwe szczęście

— Odkąd się ożeniłem, dopiero poznałem, co to znaczy prawdziwe szczęście...

— Ach — więc gratuluję panu szczerze...

— Tak — poznałem, że prawdziwe szczęście — to być kawalerem...

Humor krajowy



— Jaka jest sytuacja w naszym ciężkim przemyśle?

— Bardzo ciężka.

— A w lekkim?

— I w lekkim nie jest lżejsza.

Przechwałki

Jeden chwalił się przed drugim, iż żona jego w naukach wielce ćwiczona, rozmawia aż kilku językami.

— A moja — odrzeknie mu na to drugi — ma jeno jeden język, ale z pewnością twoją w kozi róg zapędzi.

Ali i jego wielbłąd

— Powiedz mi Ali, — rzekł Mahomet — jaka jest różnica między tobą, a twoim wielbłądem?

— Nie wiem — rzekł Ali.

— Widzisz — twój wielbłąd może pracować 10 dni nic nie pijąc, a ty możesz pić 10 dni nie pracując.

Humor śląski

Drogie wojsko

— Ani se nie możesz pomyśleć, wiela mnie kosztuje to pierzyńskie wojsko!

— No, co ty nie padosz?! Po jakiemu?

— Ano, mego Gustlika wzieni ci do wojska. Noprzód był przy infanteryi, to mi zaroski pisoł, cobym mu przysłał pieniędzy na buty. Teraz go przenieśli do kawalerii, to mu zaś musza konia kupić. Aże mi skóra cierpnie jak se pomyśla, że go mogom przenieść do marinerów.

— Czamu?

— Czamu!? Jeszcze się pytosz? Idź, pieronie, i kup mu szlif (okręt).

Jak w przysłowiu

— Wiedzom, panie Kneflik, jak ich tak widza, to zawsze mi sie spomni przysłowie: „Komu Pon Bóg do urząd, to mu tyż do i rozum."

— Ja, ale przebocom, jo przeca nie mom urzędu...

— Nie majom? No, widzom, jak to zawsze fajnie trefi.

Gospodyni winna

Podczas menewrów dowódca kompanii zabronił wojakom wszelkich „rekwizycyj" na własną rękę. Mimo to chwycił starszego żołnierza, jak wychodził z jakiegoś obejścia z czapką pełną jaj.

— Gdzieś to ukrod? — krzyczy dowódca.

— Joch tego nie ukrod, panie kapitanie. Wlozech tam bez przypodek do tej chałupy. Gospodyni zacyna przezywać i kozała mi sie wynosić, a kiejch zaroz nie wykonał rozkazu, wpadła w tako złość, że zacyna we mnie ciepać jajcami.

Jak to w niebie

— Wiesz, Hażbieto, śniło mi sie dzisiok, żech był w niebie.

— Ja? No i jakoż tam było?

— Ano stoł tam przy dźwierzech św. Pieter i padoł mi, że w niebie jedna minuta to jest prawie tysiąc lot, a jeden złoty, to jest tysiąc złotych.

— No, a nie padołeś, żeby ci jednego złotego pożyczoł.

— Toć ech padoł, ale święty mi uodpowiedzioł: „Dockej synecku jedna minutka."

Przy najmie mieszkania



— Mój gospodarzu, wynająłbym to mieszkanie, ale pod warunkiem, że nie będziecie puszczać prosiąt pod okna.

— A to bez co?

— Bo to niezdrowo.

— Ee... co waści tam bają; prosiaki od tyla czasu ryją pod oknami, a nigdy mi jeszcze nie słabowały.

O RYCERZACH śpiących w Tatrach

RAZ, podczas burzy w Tatrach, skryłem się do chaty góralskiej, aby ją tam przeczekać. Wesoło płonący na kominie ogień wnet rozproszył moje ponure myśli, jakie nawiedzają każdego turystę, gdy przemoknięty znajdzie się na ścieżce górskiej, z dala od domu i wnet zapomniałem o tym, co w tej chwili działo się w przyrodzie. Walnie przyczynił się do tego sam gospodarz, stary Walenty Gąsienica, zwany przez okolicznych górali „Śpiwakiem", który, siedząc pod oknem na ławie opowiadał różne gadki góralskie. Nastrój gadkowy był doskonały, bo mrok zalegał izbę, dzieciarnia cichusieńko siedziała u stóp gazdy i z rozdziawionymi buziami wsłuchiwała się w chrypliwy trochę, ale z wiarą brzmiący, głos opowiadającego.

Na tle czarnego komina rysowała się ciemna sylwetka gospodyni, warzącej coś smakowitego na kolację, co natychmiast poznałem po znanym mi a tak miłym zapachu, była to bowiem świeżo palona kawa, którą gosposia potrafiła warzyć jak nikt w całej wiosce.

A baca mówił:

„Widzi pan, o tej turni „Pisanej" różnie opowiadają. Mówią, że pod nią, wśród skał, w głębi, jest piękny, zielono świecący staw, z którego wypływa Dunajec, a po nim pływa wielka złota kaczka, która raz do roku znosi jedno jedyne, diamentowe jajko.

Raz, pewien odważny juhas wybrał się po tą złotą kaczkę Dunajcem w górę, ale im bliżej podchodził do stawu, tym woda była zimniejsza, a żleb, którym woda płynie coraz ciaśniejszy tak, że omal się nie utopił. Byłby i tak tej kaczki nie dostał, bo wiadomo, że jej strzegą boginki, które nikogo nie dopuszczają do stawu.

Dzieciska siedziały i ciągle pociągały nosem, gdy woń przemiła gotującej się kawy wypełniała całą izbę. Skorzystałem więc, gdy baca przerwał swoje ciekawe opowiadanie i zapytałem:

„Powiedzcie mi Matko jak wy to gotujecie że tak smakowicie pachnie?"

Agata odsuwała właśnie garnek z bursztynowym płynem, a odwróciwszy się ku mnie rzekła: jes to nasza tajemnica rodzinna, której nikomu nie zdradzę.

Gazda zaś ciągnął dalej, pykając swoją króciutką fajeczkę wytrwale.

„Gdy pasałem jeszcze owce na hali, raz stary Fakla opowiadał mi taką opowiastkę, że w tej turni ma być zaśnione wojsko, ale nie takie jakie dziś mamy, lecz rycerze w żelazo zakuci, na wielgachnych koniach.

A czy wie Pan, kto to stary Fakla? Wszyscy go znali, nie było nad niego lepszego kowala het, daleko mówiono o nim. Gdy mi to opowiadał był już niemocny, nie kuł podków, tylko kazał się wynieść na halę i tam z szałasu spozierał na ukochane góry, swoimi smutnymi oczyma, i mówił tak:

„Chory jestem i źle już ze mną, ale mam to na co zasłużyłem. Słuchaj mnie, to ci opowiem mój żywot.

Raz sobie kułem wieczorem, a tu co się nie robi, zaszumiało koło kuźni, wrota otwierają się i włazi jakiś człek. Ładnie, pięknie pozdrowił Pana Boga, na co mu nabożnie odpowiedziałem, ale zgłupiałem, gdym mu się bliżej przypatrzył, bo jeszczem w życiu takiego człeka nie widział. Niby wojak, bo zbroja na nim, broda okrutna aż po pas, a na głowie hełm stalowy z pięknymi skrzydłami, a gęba taka ładna, jak u anioła w niebie.

Pytał mnie, czybym mu podków złotych nie narobił.

Ja mówię:

— Czemu nie, przeciem od tego kowal.

Zaczęliśmy tę robotę. Ja kułem, on dymał miechem i robota szła. Narobiliśmy podków i gwoździ bardzo dużo, to też ów rycerz mówi mi, co bym zebrał to wszystko w torbę i szedł za nim.

— Czemu nie, — mówię mu — przecież jesteś człekiem i dobrze ci z oczu patrzy, jak mamy iść, to chodźmy.

Zabrałem się i idziemy. On na przedzie, ja

zaś — mówi stary Fakla — za nim dźwigam torbę z podkowami i gwoździami. I tak idziemy przez Kiry do Kościeliskiej. Zachodzimy do Pisanej, a on się do mnie odwraca i mówi:

— Nie bójże się, a cicho się sprawuj, a strzeż się — broń Boże — tam, gdzie idziemy zakląć!

Idziemy jakimiś źlebami i dziurami, a turnie to jakby się rozstępowały przed nami. Idziemy tak, idziemy aż zaszliśmy do środka pod Pisaną. Patrzę, a tu pełno ludzi; wszyscy śpią, głowy mają na siodłach, a brody długie po pas. Pytam się po cichutku, co to za jedni, a wojak mówi, że to wojsko polskie, takie uśpione i mówi dalej, że jak przyjdzie czas, to się przebudzi, wstanie i pójdzie walczyć za wiarę, a wojna rozpocznie się gdzieś bardzo daleko.

Bierzemy się do roboty i zaczynamy kuć. Ja wbijam gwoździe w podkowy do kopyt, a on trzyma nogi. A kiedy już wszystko, gdzie co brakowało, ponaprawiałem, sięgnął rycerz ręką do strużyn z kopyt i wsypał mi je do torby i tak mówi:

— Masz tu płacę...

Pomyślałem sobie, że kpi ze mnie, alem się z nim nie sprzeczał, choć mi strasznie było smutno, bo na tej robocie dużo czasu straciłem...

Zarzuciłem torbę na plecy a strużyny posypały się po ziemi. Nie dbałem o nie. Ale gdy wyszedłem na pole, patrzę do torby, a tu ze strużyn, które mi się po torbie obrały, są same dukaty. Było ich kilka. Gdybym był wszystkich strużyn nie wysypał, byłbym się godnie poratował, ale pewnie nie byłem godny takiej nagrody. Zaszedłem do chałupy, a baba mnie „z zębami" przyjęła:

— „Gdzieś ty był tyle czasu; trzy dni w domu nie byłeś".

I tak czas leciał, ja kułem dalej swoje podkowy i siekiery i co się gdzie trafiło, aż tu znów po kilku latach przyszedł mój wojak i znów kazał robić podkowy i gwoździe, a jak ich dużo narobiłem, znów kazał mi iść za sobą i poszliśmy tam, gdzie zeszłym razem.

Podkuwamy. On trzyma nogi a ja kuję. Podczas roboty uciąłem się w palec i zakląłem głośno. A tu po moich słowach robi się szum, śpiący rycerze wstają naokoło mnie i pytają :

— Bracie, czy już czas?

A mój wojak tak mówi:

— Nie, nie jeszcze, śpijcie dalej!

Na mnie zaś popatrzył groźnym wzrokiem i pogroził palcem. Gdyśmy kuć skończyli, zebrał z ziemi garść strużyn i wsunął mi je do torby.

Wyszedłszy na świat ,popatrzyłem w torbę, a tu same trzaski z kopyt i nic więcej. Rozłościłem się, bo czasu bardzo wiele zmitrężyłem, ale sobie potem pomyślałem, że i tak przez to dziadem nie zostanę, że podkułem konie tych wojowników.

— — — — — — — — — — —

Skończył baca swoją gadkę o Fakli, trzymając ciągle, dawno już zagasłą fajeczkę w ustach, a dzieciska przy ostatnich jego słowach westchnęły; szybko jednak smutne ich minki poweselały, bo zobaczyły, jak Agata zaświeciwszy lampę naftową poczęła rozstawiać po stole kubki ze smakowitą kawą, buchającą wonną parą a przy nich kromy smarowanego masłem chleba.

„Niech Pan siada z nami" — rzekł gazda, a gospodyni podsunęła mi pod sam nos, ten wonny trunek.

Nie mogłem się oprzeć tak wielkiej pokusie i z apetytem wypiłem doskonałą kawę i chętnie byłbym poszedł w ślady dziatwy, która szybko uwinąwszy się ze swoją porcją otrzymała drugą, ale się wstydziłem.

Szybko więc pożegnałem zacnych gospodarzy, a wzbogacony o ciekawą gadkę o śpiących rycerzach i pokrzepiony ożywczym napojem, skierowałem swe kroki do domu.

Opowiedział **wujcio J.**

Adam Asnyk.

ULEWA

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz
I rosę z chmur wyciska:
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,
Zasłony spadły sine;
W deszczowych łzach, granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic; błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porżnięte w deszczu pręgi.

I dzień i noc i nowy wschód,
Przechodzą bez odmiany;
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr
Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr —
Mrok szary i ulewa.

ANDRZEJKI

JEST późny wieczór, 29 listopada, wigilia św. Andrzeja. Ma się ku północy. W polskiej chacie płonie ogień na kominie. Po izbie krząta się dziewczyna. Inni domowi już śpią, ona sama, nie zważając na późną porę, czuwa. I krząta się po izbie. Przygotowuje wszystko, czego trzeba, aby wróżba się udała. Przede wszystkim zaś ten wosk, potem zimną wodę źródlaną. W pewnej chwili odległy dzwon kościelny zaczyna wybijać zwolna dwanaście uderzeń. Potem zaraz zaczyna piać pierwszy kur. Północ. W chacie panuje cisza, a po ścianach pełgają blaski światła idące od paleniska na kominie.

Wówczas dziewczyna rozpoczyna swą wróżbę. Leje wosk roztopiony na zimną wodę, i patrzy, uważnie patrzy. Rozpoczyna się czar nocy świętego Andrzeja. Wosk, roztopiony wosk leje się z dziewczęcych rąk na wodę, a ona sama, skupiona w sobie, przejęta ważnością chwili, spogląda uważnie. Przez jakiś czas nie widać nic, i żaden obraz się na ścianie nie pokazuje. Aż nagle! Już! Oto tam, na ścianie powstaje i coraz bardziej rysuje się jakiś cień. To owa wróżba, to ów czar spodziewany i wyśniony w młodych, dziewczęcych snach. Cień na ścianie rośnie, przybiera takie i owakie kształty. Dziewczyna, przejęta ogromnie, wpatruje się w nie całą uwagą swego spojrzenia. Rety rany! A toćże cały rok czekała na tę chwilę.

Bo te kształty i te cienie idące po ścianie w noc świętego Andrzeja — powiedzą jej wszystko, wszystko. Jaka będzie jej dola w przyszłym roku, i czy przyjdzie ten, o którym jej serce marzy w skrytości? Czy będzie zdrowa i czy ją kocha ten, którego jej serce miłuje? I czy w ogóle się w niej kto zakocha, i czy przyśle w swaty? Oj doloż ty moja, dolo!

A tam na ścianie rosną te cienie, rosną. Z jej drżących rąk leje i wylewa się wosk na wodę, a na ścianie, na białej ścianie rysują się jakoweś znaki, malują się tam cieniem jakoweś figury, że nic, tylko patrzeć i odgadywać, co one oznaczają. Oto raz pokaże się postać jakowaś męska, wysmukła i dorodna. To znowu powstaje na ścianie zarys wianka, wianuszka, o którym dziewczyna wie, że to wianek mirtowy, a więc ślubny. To znów zarysują się na tamtej ścianie figury jakoweś dziewczęce, coś jakby druchny. Oj radości, radości! Wszystko się pokazuje tak jak trzeba: i postać umiłowanego, i tamtem wianek mirtowy i owe drużki weselne. Będzie więc wesele i w domu i w sercu! Przyjdzie, przyjdzie ów najmilszy, a ona, uszczęśliwiona cała, pójdzie z nim do ołtarza. W przyszłym roku do ołtarza pójdzie!

Ale niezawsze tak gładko i tak szczęśliwie układają się tamte cienie na ścianie. Bywa czasami i tak, że północ dawno już minęła, i kur pierwszy dawno się już był odezwał, a ono tamyk, na ścianie, nic się, nic się nie pokazuje. O dolo nieszczęśliwa! Dziewczyna leje wosk roztopiony na wodę, wciąż ten wosk leje i wylewa, a tam, na ścianie nic się pokazać nie chce. Ach, to już tylko płakać i smucić się i biadolić. Nie będzie weseliska, nie będzie ślubu i w ogóle niczego nie będzie. Czar nocy świętego Andrzeja jest dla niej w tym roku niełaskawy i całkiem nieżyczliwy. Może w przyszłym roku będzie bardziej przyjazny, ale w tym roku nic, nic, nic. O żałości wielka, o smutku ty mój!

Lecz pomimo to, trzeba lać ów wosk na wodę, trzeba! Noc to świętego Andrzeja przecie, i dlatego należy tak czynić. Postępowali tak przodkowie nasi od wieków, od pokoleń całych, a przeto byłoby niedobrze nie czynić tak, jako oni czynili. Zawsze się im w tę noc cienie jakoweś na ścianie jawiły i pokazywały i zawsze wywróżyły, co było trzeba. Więc choć się tam i nie pokazuje dziś nic jakoś na ścianie, i choć żaden cień na niej się nie objawia, nic to. Trzeba lać wosk roztopiony na wodę w wigilię świętego Andrzeja. Zwyczaj to stary, a przeto jaki dziw, że go dziewczyna polska przestrzega? Gdyby nie przestrzegała, mógłby się święty Andrzej na dobre na dziewczynę pogniewać, i ani w przyszłym roku niczego jej nie wywróżyć! Już tam lepiej lać ten wosk roztopiony na wodę, jak obyczaj każe!

A zresztą, nie wszystko jeszcze stracone, nie wszystko! Jeszcze przed dziewczyną cała nocka długa, jesienna, listopadowa. A w ciągu tej długiej święto-andrzejowej nocy może się wiele,

wiele rzeczy przyśnić. A to też ma wielkie swoje znaczenie. Gdyż, jak powiadają wszyscy, z takowych snów można wróżyć nie gorzej, jak z tamtych cieni, co się na ścianie rysują. Nie na darmo też powiada o tej prawdzie wierszyk jeden taki, co go pewna zakochana panna ułożyła:

W wigilię świętego Andrzeja
spełniona moja nadzieja.
Bogdaj się to sprawdziło,
co mi się w noc tę wyśniło:
Żem została wydana
za najmilszego Floriana...

Nic nie trzeba zatem czynić innego, jak pójść do łóżeczka po pacierzu, a potem po swojemu, głęboko zasnąć. No a potem pilnie zważać, co się jej będzie tej nocy śniło, gdyż sny te na pewno się spełnią. Ona w to wierzy, gdyż od dawna tak było na wsi polskiej, że sen często uważali ludzie za wyrocznię nieomylną, zwłaszcza zaś w takich zakochanych sprawach.

Odmawia więc dziewczyna swój zwykły, wieczorny pacierz, a potem już wnet kładzie się do swego łóżeczka. Zasnąć, zasnąć. A Ty, najmilszy św. Andrzeju, ześlij sen miły i słodki i najprzyjemniejszy. Wszak Ty już wiesz, Ty najlepiej wiesz, jaki!

No, a jeśli i ten sen pożądany się nie zjawi, można jeszcze rano, po przebudzeniu się, spróbować szczęścia. Dziewczyna wstanie i będzie mierzyła swoim trzewikiem przestrzeń od ściany do proga. Od tej ściany, co naprzeciwko drzwi stoi. I do samego proga. Najpierw obróci trzewik nosem ku drzwiom. To będzie oznaczało, że wyjdzie za mąż. Potem wykręci trzewik piętą w stronę proga. To będzie oznaczało, że za mąż nie wyjdzie. I tak na przemian: raz nosem trzewika ku drzwiom, raz tamtą piętą. No i zobaczymy, co będzie u proga: nosek czy pięta. No i od tego będzie to zamążpójście zależało.

Ale być może, że i ta wróżba źle wypadnie. No to wtedy nie pozostaje nic innego, jak chwycić się jeszcze innego sposobu. Dziewczyna wyjdzie z domu, możliwie rychło wczas i wcześnie, i będzie szła przez wieś. A kogo napotka pierwszego z mężczyzn, ten ma zostać jej przyszłym mężem. A nuż zdarzy się napotkać tego najmilszego właśnie? Nie zaszkodzi spróbować!

Można się zresztą urządzić jeszcze inaczej: oto tak, jak to czynią właśnie teraz wszystkie inne dziewczęta ze wsi, upiec placek i jakimś tam sposobem oznaczyć go, aby można go było poznać. Potem położyć go na stołku obok placków upieczonych przez inne dziewczęta. I wpuścić do izby psa, mocno wygłodzonego. Który z tych placków pies porwie najprędzej, ta dziewczyna najprędzej pójdzie za mąż. A nuż porwie ten mój? A nuż?

Takie to zwyczaje dzieją się na wsi polskiej w przeddzień, w noc i w sam dzień św. Andrzeja. Takie i inne jeszcze, jak na przykład pisanie imion różnych mężczyzn na karteluszkach i kładzenie tych karteluszek pod poduszkę, na noc. (Jakie imię znajdzie dziewczyna na najpierwszej wyciągniętej rano spod poduszki kartce, z takim imieniem będzie miała niezawodnie męża). Albo jak na przykład zasadzanie w łupiny włoskiego orzecha rozpalonych świeczek, z przylepionymi tam imionami osób płci obojga, i puszczanie, następnie, tych łupin na wodę. (Które imiona popłyną ku sobie i które łupiny się zetkną, to i same odnośne osoby pobiorą się z całą pewnością). Takie to więc na polskiej ziemi obyczaje na św. Andrzeja.

Wszakżeż najbardziej ulubionym jest tamto wylewanie wosku na wodę. Czarowne to jakieś misterium, pełne w sobie uroku i tajemniczości. A z tej tajemniczości wyłonić się mają rzeczy i sprawy radosne: nadzieja, szczęście i kochanie. No tak: Andrzejki przecie!

A. Jakubiec.

Czy pamiętacie?

Białą brzozę nad błotnistą drogą,
nędzne sosny, stojące szeregiem,
co się zimą tak zgięły pod śniegiem,
że choć wiosna, podnieść się nie mogą,
czarną wodę kałuży przy chacie
czy pamiętacie?

A dziedziniec cały brukowany?
A kościelne postarzałe ściany?
A ten cmentarz, całej wioski, rzewny,
Śpiew żebraków, dokuczliwy, rzewny,
po pod murem, wiosną, przy odpuście...
A jak okiem sięgnąć wzdłuż — stragany
i sukmany, sukmany, sukmany...
A dziewczyny — każda w krasnej chuście
każda rosła, a harda a śliczna —
— taka już uroda okoliczna —
każda trochę z góry patrzy na cię...
Czy pamiętacie?

U nas wyjdziesz na drogę o świcie,
a już mały ptak zbudził się w życie,
już jaskółka pod strzechą szczebiota,
koń, w kosmate spętany postronki,
podniósł głowę i patrzy we wrota,
skrzypnął żóraw, zachlupała woda...
A na niebie pogoda, pogoda,
a pod niebem skowronki, skowronki.

Chaty małe, maleńkie okienka:
tu i ówdzie w progu na dziedzińcu
błyśnie jasna główka, w słońcu płowa
i dziecinna jaskrawa sukienka
to się rzuci w oczy, to znów schowa.
Pył kłębami wstaje na gościńcu,
bzy u krzyża kwitną ponad drogą.
Jak tu cicho, pokornie, ubogo:
podupadły płot wokół się ściele:
a jabłonek w sadzie —tak niewiele,
kwiatów kilka przed chatą się świeci,
strzecha — stara, zaraz się rozleci,
a stodoły dach — łata przy łacie...
Czy pamiętacie?

Kazimiera Iłłakowiczówna.

Stronica humoru

Znienacka



— No, Kapusta — pyta kapral — zastanówcie się, co zrobicie w takim wypadku: stoicie na warcie, jest ciemno: nagle znienacka podchodzi do was ktoś z tyłu i obejmuje was tak, że nie możecie zrobić żadnego użytku z broni... Co wtedy poczniecie?

— Panie kapral, melduję posłusznie, powiem: Kasiu, dajże spokój i wyrywaj zaraz — jestem w służbie.

Na nic postęp



Żona: — Wyobraź sobie, Jasiu, za parę lat będziemy mogli w przeciągu godziny przelecieć z Paryża do Rzymu.

Mąż: — A na cóż to się zda, jeżeli ty i tak będziesz potrzebowała pięciu godzin, ażeby się ubrać.

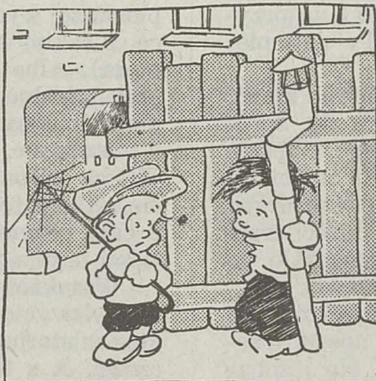
Bez kontroli

— Mogę zostawić mego buchaltera z całym spokojem bez kontroli. I tak wiem doskonale co będzie robił.

— No, cóż będzie robił dziś po południu, twoim zdaniem?

— Nic nie będzie robił, oczywiście.

Pobożny



— Jakim jest twój nowy profesor?

— Zdaje się, że bardzo pobożny.

— Z czego to wnosisz?

— Bo ile razy mnie zapytuje i ja mu odpowiadam, załamuje ręce i mówi: „Boże! Boże!"

Odpłacił się

Wieśniak, który zawsze sprzedawał masło pewnemu piekarzowi przyniósł raz osełkę i powiedział, że jest w niej cztery kilogramy.

Piekarz obejrzał masło i powiedział, że musi je zważyć, bo jakoś nie bardzo wygląda na cztery kilogramy.

Po zważeniu okazuje się, że brakuje pół kilograma.

— Gospodarzu — mówi oburzony piekarz — czy to tak zawsze mnie oszukiwaliście?

— Nie, panie — odpowiada wieśniak. — Ja u siebie nie mam ciężarków, więc ważyłem zwykle masło pańskimi bochenkami kilowymi.

Nasze dzieci

Mały Józio wpada z płaczem do domu i tuli się do matczynej spódnicy.

— Co się stało? — pyta go matka.

— Tatuś wieszał obraz na ścianie i obraz mu spadł na nogę... — chlipie Józio.

— No jest czego płakać? Ja bym się śmiała z takiej drobnostki.

— Ja się właśnie śmiałem i tatuś mnie zbił.

Zawsze warto tam pójść...

Z przewodnika dla turystów zwiedzających Londyn:

„Na zakończenie pierwszego dnia w Londynie — jeśli jesteś młody, zakochany i masz swą dziewczynę ze sobą — nie ma jak wyjść na kopułę św. Pawła. Pełno tam zakamarków, ustronnych miejsc..." a jeśli nie jesteś młody, nie jesteś zakochany i nie masz żadnej dziewczyny ze sobą, to też warto tam pójść, bo widok miasta jest niezrównany..."

Ile ma lat?

Żona (do męża): — Słyszysz kochanie, pani adwokatowa mówi, że wyglądam na trzydziestoletnią, a jej siostra twierdzi nawet, że najwyżej na dwudziestopięcioletnią...

Mąż: — Co chcesz?... Zgadły kobiety! Trzydzieści i dwadzieściapięć, to przecież pięćdziesiątpięć... A tyle akurat masz lat!

Głuchy Łukasz

— Jak się masz Łukaszu?

— Niosę kurę w koszu.

— Jak się ta żona mają?

— Trzy złote mi dają.

— Czyście wy głupi?

— Kupi kto, to kupi.

— Ja się z wami nie dogadam...

— Jak nie sprzedam, wezmę do dom...

Początki drukarstwa i księgarstwa w Warszawie sięgają 1598-go roku

W roku 1598, jednym z pierwszych przywilejów królewskich wydanych w Warszawie i tu w księgach metrycznych Rzeczypospolitej zapisanych, było zezwolenie na wyłączne prowadzenie handlu księgarskiego, wydane Pawłowi Fabrycemu i Janowi Modzelewskiemu.

Przywilej ograniczył ich wyłączność na czas sejmów, kiedy wolno było przywozić i sprzedawać księgi z innych miast pochodzące, narówni z innymi towarami ku wygodzie sejmujących stanów bez opłat miejskich i ceł koronnych wwożonymi.

Zrazu na rynku księgarskim w Warszawie pojawiły się księgi drukowane w Krakowie i w Gdańsku, ale w ślad za księgarzami już w roku 1624 zjechał do Warszawy „bibliopola" poznański Jan Rosionek i założył w stolicy pierwszą drukarnię, którą prowadził do roku 1634.

W roku 1635 przywileje na założenie drukarni otrzymał od Władysława IV. Jan Trelpiński, a w roku 1643 tytułem nadwornego typografa i „bibliopola" obdarzony został „muzykus" nadworny JKM, Piotr Elert.

Za Jana Kazimierza przybyła Warszawie księgarnia Jerzego Foerslera w Warszawie, a w r. 1661 wyszedł w Warszawie spod tłoczni drukarskich pierwszy periodyk polski o charakterze gazety pt. „Merkuriusz Polski Ordynaryjny", przez Aleksandra Gorczyna wydawany.

Dalszy rozwój księgarstwa i drukarstwa warszawskiego przypada na dobę Stanisława Augusta, kiedy to dyrektor Korpusu Kadetów, Piotr Dufour, mianowany konsyliarzem nadwornym i drukarzem J. K. Mości założył okazałą drukarnię na Starym Mieście, a przy niej pomieścił księgarnię dzieł wydawanych własnym nakładem. Drukarnia ta drogą spadku przeszła na własność wydawcy najstarszego dziennika warszawskiego „Gazety Warszawskiej".

Za Stanisława Augusta również powstała specjalna „Drukarnia Loteryjna", założona przez Włocha Baccigalupiego, mającego koncesję na wypuszczanie „Loterii Liczbowej".

W roku 1778 powstała również drukarnia „Pod znakiem poetów", mieszcząca się w Marywilu, a później w oficynach pałacu Saskiego, a następnie w Rynku Staromiejskim. Kolejnymi jej właścicielami byli: Rakoczy, Michał Groel, Józef Tomaszewski, znani w tych czasach wydawcy.

W pierwszym okresie porozbiorowym znanym księgarzem i nakładcą był Józef Fukszta, wydawca popularnych „Kalendarzy astronomiczno-gospodarskich polskich i ruskich", po czym konkurowali z nim drukarz de Wyzewa Wzewski, a następnie Józef Unger, założyciel „Tygodnika Illustrowanego" i „Wędrowca" oraz kalendarzy informacyjno-literackich.



Drukarnia w XVI-tym wieku

Polskim szlakiem
z Nisy do Krakowa

Jakikolwiek by poruszyć temat: historyczny, polityczny, oświatowy czy kulturalny, zawsze wynik będzie ten sam, a mianowicie taki, że ziemie nad Nisą i Odrą są obszarami szczerze polskimi i że nie tylko prawnie, ale i duchowo należą do Polski. Co więcej, należy stwierdzić, że te obszary, nazywane dzisiaj Ziemiami Odzyskanymi, należą do tych, gdzie najwcześniej, na równi z Krakowem, rozwijało się ongiś polskie życie polityczne i kulturalne. Zwłaszcza zaś to ostatnie.

Nie wszyscy o tym wiedzą, (a trzeba to raz wyraźnie sobie uprzytomnić), że taki na przykład Wrocław, był ongiś miastem, gdzie tak samo jak w Krakowie, rozwijało się potężnie polskie życie kulturalne i umysłowe. Że to było wielkie centrum polskich poczynań kulturalnych, że to był potężny ośrodek polskiego życia umysłowego, a nawet że to była swego czasu duchowa stolica polskiej myśli narodowej, skąd promieniowała polska kultura na inne dzielnice.

Dopiero później, w XVI gdzieś wieku, rzeczy się zmienią, a to pod wpływem germanizacji ziem śląskich. Ale początkowo, w pierwszych stuleciach istnienia państwowości polskiej, były miasta śląskie, z Wrocławem na czele, ogniskami ogromnej ruchliwości kulturalnej polskiej. Leżąc przy zachodniej ścianie Polski, one pierwsze odbierały zdobycze kulturalne zachodnio-europejskie i zaprawiając je duchem polskim, podawały następnie innym dzielnicom. Bez przesady można powiedzieć, że Kraków otrzymał te zdobycze tą właśnie drogą, a więc z ręki Wrocławia i innych miast leżących nad Nisą i Odrą. Najpierw Wrocław, potem Kraków.

Najbardziej dynamiczny polski rozwój kulturalny Śląska, w sensie oddziaływania na całą Polskę, przypada na okres średniowiecza. Już w XII i XIII wieku rozkwita nad Odrą i Nisą piśmiennictwo, a tak samo rozwija się tu bogata twórczość naukowa. Żyje tu wówczas i tworzy szereg wybitnych indywidualności, pomiędzy którymi do najbardziej znanych należy Piotr Włast, założyciel i budowniczy kilkudziesięciu kościołów, twórca budownictwa monumentalnego na ziemiach polskich.

Pierwsze przejawy piśmiennictwa pojawiają się nad Nisą i Odrą już — jak się rzekło — w wieku XII. Potem, w następnym stuleciu, polscy uczeni z tych stron pochodzący wprowadzają Polskę do naukowej literatury europejskiej, co czyni na przykład Franko z Polski a przede wszystkim uczony Witelo, znakomity matematyk i optyk. Inny uczony śląski, Benedykt, zakonnik konwentu franciszkańskiego z Wrocławia, bierze w tym czasie udział w wyprawie do Mongolii i spisuje obszernie swoje wrażenia z tej niezwykłej, jak na owe czasy, podróży. Później, w XIV wieku, pojawiają się we Wrocławiu prace lekarskie Jana z Grotkowa, Physicusa, archidiakona głogowskiego, oraz Norbertanina Tomasza, który obok pracy kościelnej zajmował się też praktyką lekarską.

Bujnie kwitnie również w tych stronach działalność historiograficzna. W wiekach XIII i XIV powstają na Śląsku liczne kroniki, pisane przez anonimowych kronikarzy po łacinie (jak przystało na prawdziwych kronikarzy średniowiecznych), ale podkreślające przy każdej sposobności łączność ziem śląskich z Polską. Pod tym więc względem nie różnią się te pisma od kroniki takiego na przykład Wincentego Kadłubka, który świadomie podkreśla, iż pisze kronikę polską.

Polski szlak wiodący z Nisy do Krakowa ożywił się bardzo z chwilą, gdy w Krakowie powstała Akademia, przekształcona rychło potem w uniwersytet. Nastaje okres bardzo silnych związków kulturalnych śląsko-polskich, czego wyrazem jest nad wyraz liczny napływ studentów śląskich do Krakowa i do tamtejszej Akademii. Dość powiedzieć, że w ciągu wieków XV i XVI przeszło przez Uniwersytet Krakowski około czterech tysięcy studentów znad Nisy i Odry, którzy, przyciągani nad Wisłę siłą swego poczucia narodowego, woleli, oczywiście, kształcić się w murach swojej własnej, polskiej Wszechnicy, niż wędrować za granicę.

Niezmiernie cennym łącznikiem wiążącym

ziemie nad Nisą i Odrą z Polską staje się w tym średniowiecznym okresie między innymi pozycja jedna z najczcigodniejszych. Jest nią słynny „Psałterz floriański", jeden z najważniejszych i najstarszych zabytków polskiej literatury, stanowiący chlubę naszego piśmiennictwa XIV wieku. Otóż niezmiernie cenny ten pomnik naszej najdawniejszej literatury wychodzi nie skąd inąd, ale znad Nisy i Odry, a mianowicie z klasztoru kanoników regularnych pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny w Kłodzku, na ziemi śląskiej.

Idźmy dalej. Szlak znad Odry i Nisy zawiódł nad Wisłę, na katedrę profesorską odnowionego Uniwersytetu, niejednego śląskiego profesora i uczonego. W piętnastym i szesnastym stuleciu zasiadali na katedrach profesorskich w Krakowie następujący, między innymi, znakomici Ślęzanie: Franciszek Krzyszowic z Brzegu, słynny Jan z Kluczborka i Erazm z Nisy. Z samej Nisy. Niektórzy z nich, jak na przykład Krzyszowic, byli nawet rektorami Uniwersytetu, inni zaś jak na przykład Mikołaj z Gliwic, upamiętnili się w dziejach krakowskiej Wszechnicy bogatymi fundacjami i zapisami, już to na rzecz Uczelni, już to na rzecz Domu studentów śląskich w Krakowie. Dużą rolę w życiu Uniwersytetu Krakowskiego odegrali też, między innymi, inni jego profesorowie znad Odry i Nisy: Jan z Ligoty, Piotr Gaszowiec oraz dziekan kapituły głogowskiej, Jan Staszko rodem z Wrocławia.

Biorą też śląscy uczeni poważny udział w rozwoju polskich nauk filozoficznych. Jan z Głogowa, ten sam, który pierwszy rozgłosił w Polsce wiadomość o odkryciu Ameryki, był bardzo czynny na polu pisania i wydawania podręczników szkolnych. Podobną czynność rozwijał Michał z Wrocławia, długoletni profesor krakowskiej Wszechnicy.

Ziemie nad Nisą i Odrą biorą również żywy udział w pracach nad publikowaniem pierwszych polskich książek drukowanych. Na tym polu zasłużył się szczególnie Hieronim Wietor, rodem z Lubomyśla pod Jelenią Górą, znany wydawca najstarszych naszych drukowanych publikacyj. Wprowadza on do polskich druków tak zwaną kursywę aldowską oraz średniowieczną antykwę włoską, i tym sposobem uprzystępniając czytelnikowi polskiemu krój czcionki łacińskiej, stara się o wypieranie z druków polskich niemieckiej szwabachy.

Rojno więc jest na starym szlaku wiodącym z łużyckiej Nisy i śląskiej Odry nad Wisłę. Rojno zwłaszcza w pierwszych wiekach istnienia państwa polskiego. Później, w okresie naporu germańskiego, szlak ten opustoszeje a tłumy polskie po nim chodzące przerzedzą się. Nigdy jednak, nawet w czasach największego nasilenia germanizacji nie zarośnie ten odwieczny polski szlak głogami i chwastem. Raz po raz pójdzie ktoś po nim z ojczystej swej, nad Nisą i Odrą położonej miejscowości, tam na Wschód, ku Wiśle i ku Krakowowi, aby tam mówić o łączności ziem łużycko-śląskich z Macierzą, z Polską. W dobie szalejącej hakaty, w XIX wieku, odnajdą tam prastary szlak i pójdą nim tacy mężowie jak Miarka, Lompa, Lis i Ligoń. Pójdą tym starym a wiecznie żywym szlakiem ze swoich rodzinnych stron ku Polsce, ku swojej umiłowanej Ojczyźnie.

A. Jakubiec.

Mój Kraków

O jakże słodko myśleć o Krakowie,
Gdzie śpią mocarze ducha i królowie!
Ich życia złota księga, w cudnej mowie,
Każdemu całej Polski czar wypowie;
Tu Wandy czyn na każdej wschodzi grzędzie...
Tu człek Kościuszki duchem żyje wszędzie...
Tu szczytnych wzlotów źródło i orędzie...
Tu serce polskie bić bez przerwy będzie...
A prawda ta tak łatwo nie przeminie,
Bo wieczne, niezatarte ma linie —
Nie zginie ni w zaborców dzikiej winie!
Jest ona nadto dźwignią w nieszczęść paszczy:
Kto w myślach o nim stapia ołów duszy,
Sam mocny będzie, drugim łzy osuszy...

Ks. W. Świerczek.

Złote Myśli

Głupcy pytają innych, mądry człowiek pyta sam siebie. (Konfucjusz.)

* * *

Niczego nie udziela się tak hojnie jak rad. (La Rochefoucauld.)

* * *

Istnieją dobre małżeństwa, nie istnieją rozkoszne. (La Rochefoucauld.)

* * *

Prawdy i żartów jak soli używać, bo prędko przesolisz. (A. M. Fredro.)

Obłuda jest hołdem, jaki występek składa cnocie. (La Rochefoucauld.)

* * *

Gdzie władcy utykają, tam pochlebcy o kuli chodzą. (Przysłowie arabskie.)

* * *

Gdy człowiek wyrobi sobie mylne zapatrywania, staje się na całe życie ofiarą własnych błędów. (Kant.)

* * *

Nie wskrzesi racja zguby. (A. M. Fredro.)

Marmelada pomarańczowa

2 średnie pomarańcze, 3 małe pomarańcze i 2 cytryny.

Wobec tego, że do marmelady używa się całe owoce ze skórką, nie należy brać pomarańcz farbowanych, to znaczy tych, które znaczone są stemplem. Obmyte dokładnie owoce krajać w poprzek bardzo cienko ostrym nożem. Odmierzyć owoc do dużego rondla i dodać 5 razy tyle wody. Pozostawić tak przez 24 godziny, następnie postawić na ogień i gotować mocno przez godzinę, co powinno zmniejszyć płyn o połowę. Teraz ugotowany owoc odmierzyć i na każdą filiżankę owocu dodać ¾ filiżanki cukru. Postawić powtórnie na ogień i od chwili zawrzenia, gotować przez 8 minut, następnie dodać cukru i gotować na silnym ogniu przez około 10 minut, czyli do czasu aż marmelada należycie zgęstnieje. Nakładać w wyparzone szklanki i zalewać parafiną.

■

Sok z gotowanych suszonych śliwek jest daleko przyjemniejszy, niż olejek rycynowy, a przynosi ten sam skutek. Śliwki moczy się w wodzie przez noc. Nazajutrz ugotować śliwki w tej samej wodzie na wolnym ogniu i każdą śliwkę nakłuć widelcem by wyszedł z niej sok. Aby sok miał działanie przeczyszczające, nie dodaje się doń cukru.

■

Czerwona kapusta podana na sałatę, musi być odgotowana, gdyż na surowo jest za twarda. Dla zachowania ładnego czerwonego koloru, należy do gotowania dodać łyżkę octu lub soku cytrynowego, które to dodatki i tak się używa do zaprawienia sałaty .

■

Jeżeli fasolka strączkowa lub jakakolwiek liściasta jarzyna jest nieco zwiędła, można ujędrnić ją przed gotowaniem, przez namoczenie jej w zimnej wodzie z dodatkiem dwóch łyżek octu.

■

Aby gorące ciasto przy krajaniu nie łamało się

Niektóre ciasta podaje się do stołu gorące (jakkolwiek jest to dla wielu osób szkodliwe), a przy krajaniu ciasta te kruszą się i łamią. Otóż unikniemy tego, jeśli przed krajaniem rozgrzejemy nóż w gorącej wodzie lub nad ogniem.

■

Chleb włożony do plastycznego wo reczka i trzymany w lodowni, wcale nie czerstwieje przez kilka dni.

■

Przy kupnie mięsa trzeba liczyć pół funta na osobę. Mięso jak wiadomo kurczy się w pieczeniu; Ta sama proporcja odnosi się do drobiu.

Kilka słów o herbacie



Krzew herbaciany, jak głoszą podania, zaczęto plantować w Chinach na 800 lat przed Chrystusem. Obecnie plantacje herbaty są w Chinach, Japonii, Indiach, na Ceylonie, Sumatrze, Jawie i w południowej Afryce.

Herbata zanim dojdzie do rąk konsumenta przechodzi przez bardzo wiele faz. Gdy krzew ma liście odpowiednie do zbioru, dziewczęta zrywają końce gałązek tylko z dwoma listkami i pączkiem, reszta zaś jest mniejszej wartości konsumcyjnej. Od tego momentu herbata przechodzi pięć procesów. Pierwszy, to poduszenie liścia, przynajmniej do utraty połowy wilgoci. Drugim z kolei procesem jest rozrywanie liści za pomocą odpowiednich maszyn. Operacja ta ma na celu wystawienie wypływającego soku na działalność powietrza. W trzecim stadium produkcji — herbatę poddaje się fermentacji. W tym celu rozkłada się herbatę na półkach w osobnych lokalach fermentacyjnych warstwami, by proces fermentacji mógł się rozpocząć i nakrywa się ją wilgotnym płótnem.

Gdy liście sfermentują już dostatecznie, herbata przechodzi czwarte stadium : suszenie. W innych pomieszczeniach, przez które przechodzi gorące, suche powietrze, rozsypuje się herbatę na półkach cienkimi warstwami. Suszenie przerywa proces fermentacji, liść herbaciany nabiera barwy ciemnej i staje się łamliwy. Po wysuszeniu herbata jest już właściwie gotowa do użytku, lecz przechodzi jeszcze ostatnią operację : sortowanie. Za pomocą przesiewania przez sita o różnej wielkości oczek otrzymujemy co najmniej osiem gatunków towaru.

Po przesortowaniu pakuje się herbatę w skrzynki, wykładane cynfolią i wysyła do firm na całym świecie, które ją odsprzedają lub pakują. Każda z tych firm, przy pomocy specjalistów (tea-Teaster'ów) dobiera gatunki i robi mieszanki przystosowane do smaku i wymagań konsumentów.

Jakie gatunki herbaty należy kupować

Na pytanie, które tutaj mimowoli się nasuwa, jakie gatunki herbaty należy kupować — byłoby dosyć trudno odpowiedzieć. Wybór bowiem gatunku zależy przede wszystkim od upodobania i przyzwyczajenia konsumenta. Są bowiem gatunki herbaty o ostrym smaku i dużą ilością związków garbnikowych, są i inne o delikatnym i subtelnym smaku i aromacie. Każdy gatunek herbaty jest oczywiście, bardziej aromatyczny, jeśli jest nabyty nie „luzem" a w opakowaniu firmy, która sprowadza herbatę wprost z plantacji, ponieważ opakowanie cynfolią, zabezpiecza herbatę przed wietrzeniem i przyswajaniem zapachów towarów kolonialnych.

Przechowywanie herbaty w gospodarstwie domowym

W gospodarstwie domowym należy również zwracać uwagę na ten podstawowy moment, jakim jest przechowywanie herbaty celem uchronienia jej przed zwietrzeniem, wilgocią i obcymi zapachami. Najlepiej więc jest przechowywać herbatę w hermetycznym naczyniu, jak szklany słoik z korkiem lub blaszane pudełko. Herbata paczkowana jest poza tym gwarantowana przed nieuczciwymi sprzedawcami t. zn. przed zafałszowaniem czyli dosypaniem do herbaty innych produktów, często szkodliwych dla zdrowia. To też panie domu winny przywiązywać jak największą wagę do tego, gdzie i w jakich sklepach dokonywują zakupów, pamiętając o tym, że tylko solidne firmy dają pełną gwarancję towaru.

Zaparzanie herbaty

Szczególnie ważnym zagadnieniem jest naparzanie herbaty — jest to dosyć prosta czynność, której zasady tak często są niedostatecznie przestrzegane.

A więc do imbryka porcelanego, uprzednio wyparzonego ukropem, wsypujemy łyżeczkę herbaty, zalewamy niewielką ilością wrzącej wody i po upływie 5 do 8 minut rozlewamy herbatę do szklanek lub do filiżanek. Imbryka nie należy stawiać na ogniu, aby esencja nie zagotowała się.

Spożywajmy ryby morskie!

Wskutek utartego, a błędnego mniemania, że ryba jest potrawą zbytkową, gdyż rzekomo jest mało odżywcza, droga i trudna do smacznego przyrządzenia, dzięki specjalnemu zapachowi morszczyzny — za mało spożywamy ryb morskich.

Przyczyną jest jedynie nieznajomość i nieumiejętność odpowiedniego przyrządzenia ryb morskich, jak również niedocenianie ich wartości odżywczej.

Mięso ryb morskich jest doskonałem źródłem białka i tłuszczu, i składem swym zbliżone do mięsa zwierzęcego, przewyższając je nawet, jeśli chodzi o obecność soli fosforowych, jodu i witamin.

Obok ryb solonych i wędzonych mamy świeże śledzie, flądry i dorsze.

Świeżość tych ryb rozpoznajemy po twardej, jędrnej skórze, wypukłych oczach, przylegającej łusce i białym mięsie. Świeża morska ryba nie powinna posiadać nieprzyjemnego zapachu. Aby usunąć zapach morszczyzny, należy na 1—2 godzin przed przyrządzeniem obciągnąć skórę, zdjąć błonę wyścielającą wnętrze ryby, posolić i skropić sokiem cytryny.

Rybę mrożoną należy przed przyrządzeniem odmrozić, wkładając ją do zimnej wody lub pozostawiając przez pewien czas na chłodnym lecz nie mroźnym powietrzu. Po rozmrożeniu należy rybę zaraz przyrządzić, a nie pozostawiać jej przez czas dłuższy w ciepłym miejscu.

Jak przyrządzać grzyby

Grzybów jest w Europie środkowej przeszło 150 rodzajów. Duża zawartość białka czyni je bardzo pożywnym posiłkiem.

Grzyby przyrządzać można rozmaicie: pieczone, jako sałatę, w zupach, do sosów i przypraw, w połączeniu z jajkami, fasolą, mięsem itd.

Ogólne przepisy co do przyrządzenia grzybów są następujące: świeżo zebrane grzyby należy jak najprędzej oczyścić i opłókać, nigdy nie należy trzymać grzybów nieprzyrządzonych dłużej nad dobę, gdyż leżąc dłużej psują się. Twarde naskórki niektórych grzybów, np. maślaków należy ściągnąć. Inne należy wyjątkowo starannie przemyć pod bieżącą wodą.

Nie należy do świeżych grzybów nalewać wody, grzyby zawierają jej do 90%. Unikać zbyt dużej ilości tłuszczu, jako przyprawy. Aby grzyby stały się łatwiej strawne, należy przepuścić je przez maszynkę do mięsa.

Grzyby suszone muszą być przede wszystkim starannie umyte, potem pozostawione w wodzie na 12 godzin, następnie gotowane w tej samej wodzie, w której mokły z dodatkiem włoszczyzny, a głównie pieczonej cebuli.

Jak należy przyrządzać kawę

Proces przyrządzania kawy polega na zalaniu wrzątkiem zmielonych ziarn kawy upalonej. Do tego służą najróżnorodniejsze maszynki t. zw. kamionki oraz bardzo dobre, chociaż droższe — maszynki szklane.

Naczynia służące do przechowywania i naparzania kawy należy utrzymywać w idealnej czystości, ze względu na wielką wrażliwość kawy i zdolność wchłaniania wszelkich zapachów, tłuszczu itd.

Kawa powinna być zmielona na drobny grysik — zbyt grube zmielenie nie pozwala bowiem wydobyć z naparu całkowitej jego możliwości — zaś zbyt drobny przemiał psuje napar, wówczas do napoju przedostaje się szereg składników, które w kawie naparzonej nie są pożądane i winny pozostać w fusach. Najlepiej żądać zmielenia kawy przy zakupie. Większe firmy posiadają do tego celu specjalne młynki, nastawione na odpowiedni przemiał.

Woda do naparzania kawy musi być zawsze świeżo zagotowana, nigdy nie należy naparzać kawy wodą, zagotowaną po raz drugi. Jakość użytej wody ma wielki wpływ na dobroć kawy. Niektóre wody, twarde nie nadają się wogóle do naparzania kawy. Najbardziej odpowiednią jest woda w miarę twarda.

Proces naparzania kawy, tj. czas przenikania wrzątku przez zmieloną kawę w maszynce, powinien trwać 8 do 12 minut. Nazbyt długie lub za krótkie naparzanie ujemnie wpływa na jakość kawy.

Dla otrzymania jednego litra czarnej kawy trzeba użyć od 60 do 120 gramów kawy zmielonej, zależnie od pożądanej mocy, rodzaju użytej maszynki, stopnia zmielenia i przede wszystkim gatunku.

Na kawę białą należy używać gatunków ostrzejszych, ze względu na niwelujące działanie mleka, zaś na kawę czarną — delikatne i pełne smaku kawy najlepszych gatunków. Istnieje bardzo duża ilość gatunków i ta wielka rozpiętość i różnorodność smaków daje każdemu gwarancję doboru najodpowiedniejszej kawy dla swego podniebienia.

Kiedy marzną jabłka, cebula i kartofle

Jabłka przechowywać można z powodzeniem poniżej punktu zamarzania. Nawet temperatura niższa, byle tylko nie zmieniająca się gwałtownie, nie szkodzi im wcale. Cebula może zmarznąć na kamień, a gdy odstaje bardzo powoli, jest zupełnie zdatna do użytku.

Kartofle stanowią jednak ciekawy wyjątek. Jeśli przechowujemy je w temperaturze około zera, lub niższej, w ich bulwach zachodzą pewne zmiany. Krochmal zamienia się w nich na cukier, stąd stają się one słodkie po ugotowaniu. Mówimy wtedy, że kartofle „zmarzły".

Zmarznięte kartofle, to znaczy takie, które trzymaliśmy w temperaturze naprawdę niskiej są słodkie. Ale tak samo słodkie są ziemniaki, przechowywane w piwnicy, w której temperatura wahała się między zerem, a powyżej punktu zamarzania. Powinniśmy o tym pamiętać w czasie nadchodzącej zimy.

▼

Kartofle należy gotować powoli

Gotowanie kartofli na silnym ogniu sprawia, że rozsypują się po wierzchu a w środku pozostają niedogotowane. Gotowane powoli, kartofle nabierają lepszego smaku.

▼

Czarne plamy na ugotowanych kartoflach

Stare kartofle nabierają w gotowaniu czarnych plam, czemu zapobiega plasterek cytryny, dodany do gotujących się kartofli.

▼

Do młodych kartofli, ledwie pokrytych cienką, schodzącą łupinką, nie używa się noża. Wystarczy wytrzeć je metalową szmatką używaną do mycia naczyń a wszystka skórka zejdzie z nich łatwo.

▼

Aby kartofle nie plamiły rąk należy obierać je pod cieniutkim strumykiem wody, puszczonym z kranu.

Befsztyk pieczony na ruszcie będzie smaczniejszy, jeśli przed wstawieniem go do pieca, natrzemy mięso sokiem cytrynowym.

▼

Jeżeli masło stojące obok jakiejś potrawy, nabrało obcego i niemiłego zapachu, należy włożyć je do zimnej wody z odrobiną sody do pieczenia i przerabiać łyżką. Po należytym wypłukaniu, masło znowu nabierze dobrego smaku.

▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼▼

Kiedy po wyjściu gości atmosfera mieszkania przesycona jest dymem z papierosów, należy postawić w pokoju miskę z zimną wodą do której dodajemy ćwierć filiżanki amoniaku, co do rana doskonale oczyści powietrze z dymu.

„Żółte niebezpieczeństwo"

Czy ludy Azji zagrożą znów Europie jak przed wiekami?

Ogółem żyje w świecie 740 milionów ludzi rasy żółtej

TAK zwane popularnie „żółte niebezpieczeństwo" nie jest wymysłem. W starych kronikach czytamy, że w roku 1221, kiedy Dżingis-Chan, podbiwszy całą Azję, skierował się z kolei na Zachód, w Awinionie zebrali się wysłannicy królów i cesarzy europejskich, by radzić nad odparciem najazdu barbarzyńców.

Dodać należy, że wśród zebranych znalazł się i poseł króla polskiego, Henryka zwanego Pobożnym.

Stare proroctwa

W toku narad ksiądz francuski, Lemonnier, wysłannik ówczesnego papieża — rozwinął przed zebranymi swoistą teorię. Według niej mianowicie co 27 pokoleń ludy Azji budzą się z odrętwienia i podnoszą oręż przeciw Europie i chrześcijaństwu. Dochodzi wówczas do wielkich wojen, które zmieniają oblicze świata.

27 pokoleń, licząc przeciętnie po 25—30 lat każde, jest to okres mniej więcej 8 wieków.

Na potwierdzenie swej tezy ksiądz Lemonnier wymienił trzy przykłady historyczne, a mianowicie:

Najazdy na Europę

Wiek IV przed narodzeniem Chrystusa — Dariusz I, król Persów, władca Azji Mniejszej i Indyj, uderzył na Grecję; uważał ją bowiem za pomost do podbicia reszty Europy.

Wiek V po narodzeniu Chrystusa — Attyla, wódz Hunnów, zwany „biczem Bożym", zalał Europę zachodnią, doszedłszy aż po Arras we Francji.

Wiek XIII — wspomniany na wstępie Dżingis-Chan wódz Mongołów, stał się na czas pewien panem Europy wschodniej i środkowej.

Groźba z Azji

Niektórzy historycy utrzymują, że toczące się dziś wojny w Azji są właśnie następnym etapem jej historii, ponownym obudzeniem się jej ludów.

Podchwytują to mniemanie ich komunistyczni „koledzy po fachu" i wnet je przykrawają odpowiednio do swego poglądu na historię świata i źródła wielkich ruchów społecznych: „Oto Azja podniosła oręż przeciw uciskowi amerykańskiego i europejskiego kapitalizmu".

To ciekawsze, iż w księgach buddyjskich znajdujemy proroctwo, pokrywające się z teorią księdza Lemonnier, a odnoszące się — można śmiało przypuszczać — do naszych czasów.

Proroctwo buddyjskie

„Minie osiem wieków — mówi to proroctwo — od narodzenia się Wielkiego Mongoła (t. j. Dżingis-Chana, który urodził się w roku 1161) i ziemia zostanie ponownie wstrząśnięta. Jeszcze raz Budda przyśle jednego ze swych synów, by zaprowadził on sprawiedliwość wśród ludów i ustanowił panowanie Azji nad resztą świata".



MAO-TSE-TUNG

Czyżby „proroctwo" to wypełniało się przed naszymi oczami? Czyżby wcieleniem owego wysłannika Buddy, o którym ono mówi, miał być właśnie chiński Mao Tse Tung?

My wiemy, że to „obudzenie się ludów azjatyckich świat zawdzięcza Rosji. Rywalka Amerykanów, dąży do wyrugowania ich z Azji przy pomocy swych satelitów.

Ludy Azji

Nie od rzeczy będzie przyjrzeć się statystyce ludności rasy żółtej. (Cyfry podajemy w milionach:

Chiny właściwe — 406, Japonia — 79, Indonezja — 75, Mandżuria — 35, Indochiny — 24, Filipiny — 20, Korea — 17, Burma — 17, Syjam — 15, Malaje — 15, Tybet — 10, Turkiestan sowiecki — 8, Mongolia Wewnętrzna — 7, Formoza — 6, Gurkiestan chiński (Siu-Kiang) — 4, Mongolia komunistyczna — 2.

Ludność całego świata

Dla orientacji podajemy, że ogólna liczba ludności globu wynosi 2 miliardy 200 milionów. Dzieli się ona na 740 milionów żółtych, 740 mil. Europejczyków, 440 mil. czarnych i białych, zamieszkujących obszary od Morza Śródziemnego pod Indie środkowe oraz 280 milionów ludności drugiej półkuli.



Stronica humoru



Straszny sen

O n a : — Dzisiejszej nocy miałam dziwny sen. Śniło mi się, że odbyła się licytacja mężów. Za jednego zapłacono 10 tysięcy dolarów, za drugiego tysiąc, za trzeciego 500 dolarów.

O n : — A byli i tacy jak ja?

O n a : Owszem, byli i tacy — tuzin za dolara.

Bystrość kobiety

— Domyślam się, że w tym zamkniętym mieszkaniu musiał zostać pies.

— Z czego o tym wnosisz?

— Bo wył i szczekał, a potem wyglądał przez okno.

Ogłoszenie pośmiertne



— No, coś podobnego, tu jest człowiek, któremu cała rodzina odrazu umarła.

— Jakim sposobem?

— No, masz, czytaj ogłoszenie!

„Wczoraj zmarła moja najdroższa żona, siostra, ciotka, stryjenka, kuzynka, matka, babka i teściowa. W smutku pogrążony mąż."

Nie może zrozumieć

— Tatusiu, czy to prawda, że ziemia kręci się naokoło słońca?

— Prawda, synku.

— A jak nie ma słońca?

Niewinny



S ę d z i a : — Przyznaje się oskarżony do pobicia sąsiada?

O s k a r ż o n y : — Nie!

S ę d z i a : — Dlaczego?

O s k a r ż o n y : — Dlatego, że to było w stodole bez świadków, więc dlaczego miałbym się przyznać!...

Szczyt dobroci

— Czy twój mąż jest rzeczywiście taki dobry?

— Mówię ci: wzorowy! Pamięta zawsze o dniu moich urodzin oraz o imieninach, a nigdy sobie nie przypomina, ile mam lat!

A gdyby...

— Czy podoba ci się mój nowy kapelusz, Adolfie?

— Kapelusz ładny; nie wiem tylko, po co te wiśnie na nim?

— Lubię strasznie wiśnie!...

— A gdybyś lubiała węgorze?

Jak wygląda?

Ż o n a : — No, cóż ty powiesz na mój nowy kapelusz? Jak on wygląda?... Czy nie bogato?

M ą ż : — Hm... Wygląda na połowę mojej pensji.

„Złote serce"

Ż o n a (wyglądając oknem) : — Ach, cóż za szkaradny czas. Psa nie możnaby wypuścić na dwór.

...Ach, drogi mężulku, możebyś zaniósł na pocztę mój pilny list, który napisałam do koleżanki.

Nie bierze odpowiedzialności

W jednym z dzienników amerykańkich ukazało się następujące ogłoszenie:

„U c i e k ł a p a p u g a. To też właściciel jej nie bierze żadnej odpowiedzialności za ewentualne wyzwiska lub obelgi, jakie ona rozsiewa w okolicy."

Dobra recepta

L e k a r z : — Pigułki te zażywać możesz pan także z piwem lub winem!

C h o r y m ą ż : — Ach, to doskonale! Moja droga, każ natychmiast przynieść dwadzieścia butelek wina!

Sama upiekła



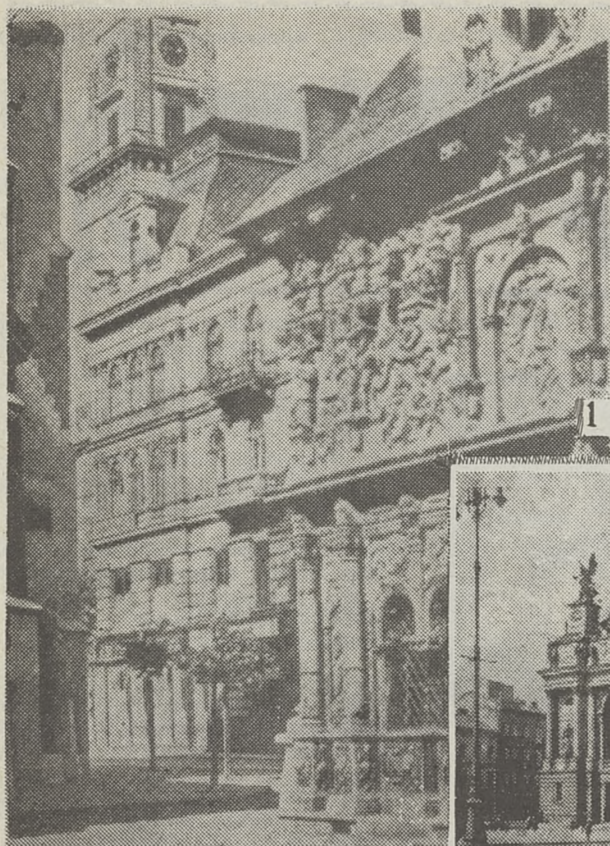
C i o c i a (do siostrzeńca) : — A jadłeś ciastka, które ci upiekłam?

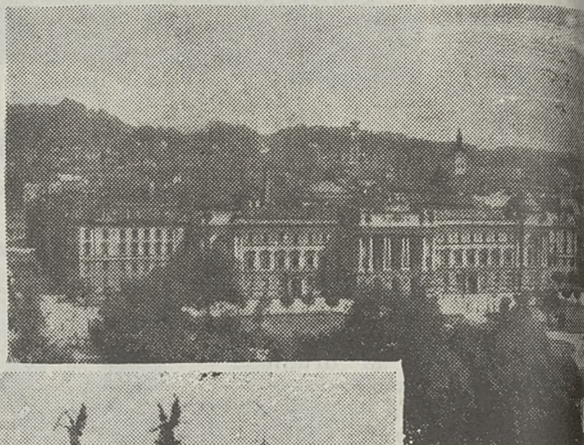
— Nie jadłem, kochana ciociu, darowałem je koledze w szkole...

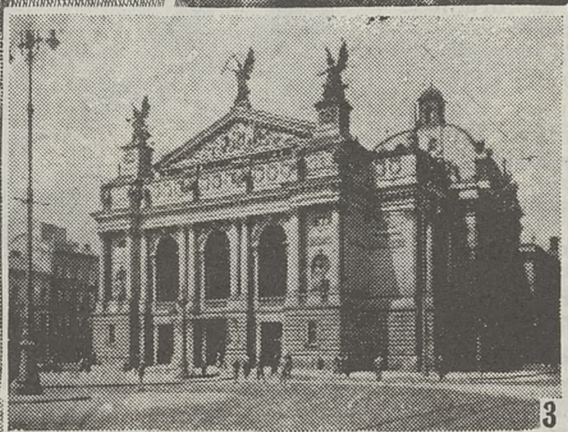
— I napewno mu smakowały! — dodaje ciotka.

— Nie wiem, bo od tego czasu jeszcze nie był w szkole, leży w domu chory.

POLSKI LWÓW...



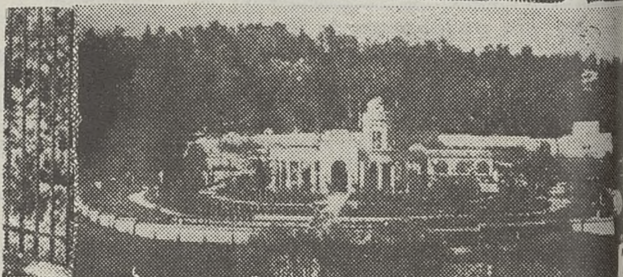






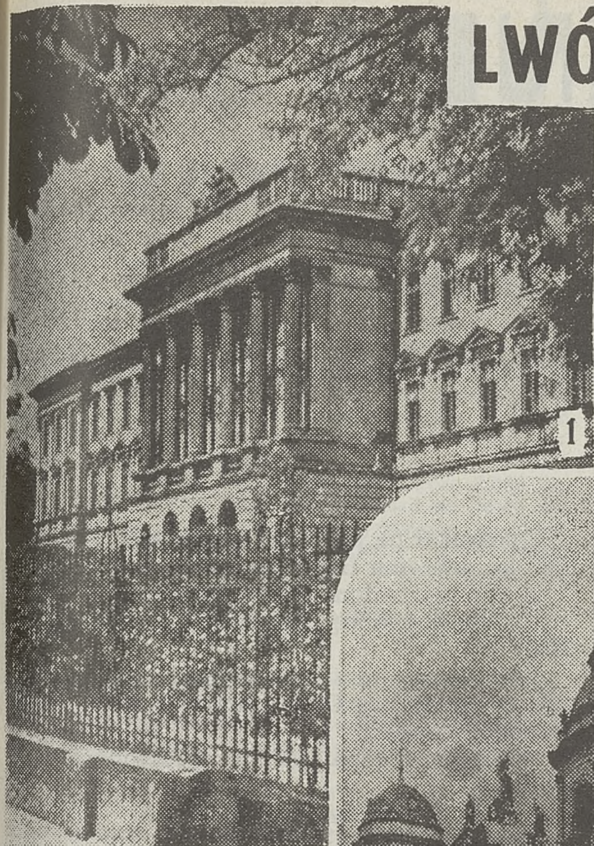






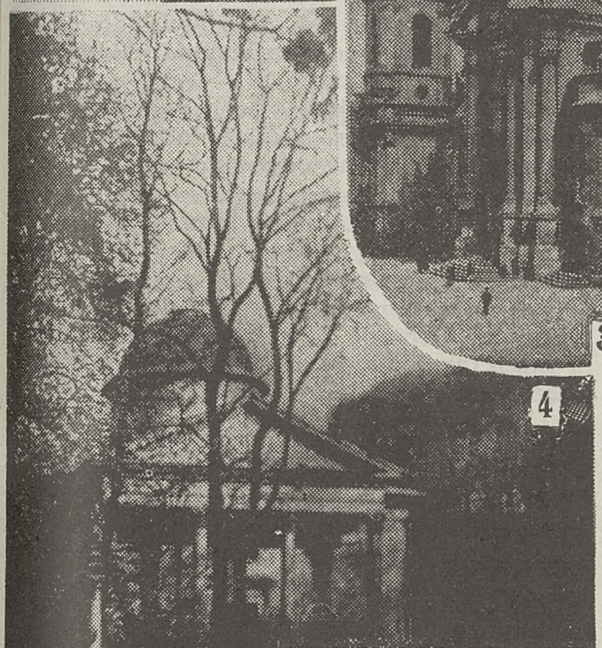
1. Renesansowa kaplica przy katedrze łacińskiej. — 2. Uniwersytet Jana Kazimierza (dawny gmach Sejmu galicyjskiego). — 3. Gmach Teatru Miejskiego. — 4. Katedra Św. Jura. — 5. Kopiec Unii Lubelskiej i ruiny Starego Zamku na Górze Zamkowej. — 6. Gmach zarządu Miejskich zakładów Elektr. — 7. Cmentarz Obrońców Lwowa.

LWÓW...











1. Front budynku głównego Politechniki Lwowskiej. — 2. Pomnik króla Jana Sobieskiego, zwycięzcy spod Wiednia. — 3. Gmach Teatru Miejskiego we Lwowie. — 4. Fragment Gmachu Ossolineum (farna kaplica klasztoru Karmelitanek). — 5. Plac Dominikański z kościołem O.O. Dominikanów w czasie iluminacji.

LEGENDA
o czterech porach roku i o dwunastu miesiącach

DAWNO to było, kiej jeszcze ziemia nie znała ulitowania Boskiego i nijakiej łaski Jego.

Słonko to się tak przewalało po niebie, jak chciało, ale ciepła nijakiego nie dawszy, ani tej dobroci jedynej, co rozgrzewa tę matkę-ziemię i dozwala drzewom rosnąć i żywiołowi wszelakiemu żyć.

I tak se raz bez ten pochmurny dzień, jakoże wszystkie dni jednakie były bez cały rok, szed chłop i tak se klękł na ziemi i ręce wzniósł i tak gadał :

— Panie Boże Ty jasny !

Bez co tyż wszystkie dni jednakusińkie i nijakiej odmiany w nich nie najdzie ?

Patrz-że się, Boże Ty jasny, na ten marny płód roli, com ją potem skroni użyźniał i ciężką naorywał pracą ?

Dlaczegóż-to nijakiej pomocy mi nie dajesz i łaską swą przenajświętszą chłopu nie pomożesz ?

Aż zlitował się Bóg siedzący na wysokościach.

Usłuchał modlitwę chłopa, bo to przecie chłop polski był...

Otwarł powłokę niebieską i spojrzał na ziemię, co biedna i wynędzniała leżała w czarnych, martwych ugorach.

— Ano juści — rzekł do siebie.

Trza tej ziemi dać cosik, co by jej zbożom siłę, łąkom zieleń, sadom owoce dawało.

I powstał na swoim złociusieńkim tronie.

I zawołał :

— Święty Pietrze !

— A co, Panie Boże ?

— Pójdź-no tu ku mnie, Pieter, jak cię wołam !

— Dyć idę, inom z synkiem Twym gadał — usprawiedliwiał się święty Pieter.

A Bóg-Ojciec rzekł :

— Przywołaj-no jedenaścioro dzieciątek-pacholątek, co w wiośnie życia pomarły.

— Jakoś kazał !

I poszukał po pokojach niebieskich i sprowadził ku dobremu Bogu jedenaścioro pacholątek.

A one zatrwożone były i płakały.

— Nie bójcie się dziecięta — ozwał się Pan Bóg.

Rozjaśniały im się twarzyczki i słuchały pilnie, co dobry Bóg Ojciec powie.

A Bóg rzecze :

— Ziemia biedna jest i w uprzykrzeniu wielgachnym.

Nijakiej odmiany na niej nie ma.

Rok za roczkiem jednakie.

Trzeba podzielić rok na części, coby każda z nich była inna i co innego niosła. **Wiosna** jest, **lato, jesień,** no i **zima.**

Niechże **wiosna** będzie pachnąca i słoneczna, a deszczem kropiąca niemało, żeby pola w dojrzewaniu się nie zawiodły.

A **lato** niechże będzie bogate w plon ziemski. **Jesień** zaś w owoc, cicha i złota.

A **zima** twarda w śniegu, żeby oziminy się w ziemi rozpanoszyły i mocy nabrały, drzewa odpoczęły, zwierzęta też.

A przeto wiosnę na trzy części podzielę, lato i jesień takoż, a zimę, że to zimna i dla ubogich ciężka, na dwie jeno.

I zwrócił się do dziatek.

— Ustawcie się rzędem, jak jesteście !

Ustawiły się zaraz, bosymi nóżkami w ciekawości wielkiej przebierając.

I rzekł do pierwszego, co w rzędzie stał.

— Ty się będziesz nazywał **Marzec,** że to choć się jeszcze marznie, lecz się już o cieple wiośnianym marzy.

A do drugiego.

— Ty zasie **Kwiecień,** bo kwiatami ziemia się obsypuje, czego w staranności swojej pilnować będziesz.

A trzeciemu rzecze.

— Twoje miano jest **Maj,** bo umaisz ziemię zielonością.

— A twoje, czwarte dzieciątko! **Czerwiec,** że

(Dokończenie na odwrocie — u dołu).

Dlaczego  stał się początkiem roku?

PRZYZWYCZAJENI do polskich nazw poszczególnych miesięcy w roku, nie zastanawiamy się nad tą językową osobliwością, że po łacinie miesiące: september (wrzesień), october (październik), november (listopad) i december (grudzień) biorą swoje nazwy od liczb: septem (siedem), octo (osiem), nowem (dziewięć) i decem (dziesięć), gdy tymczasem oznaczają miesiące od 9-go do 12-go włącznie.

W związku z tym faktem rodzi się pytanie, czy może kiedyś, w odległej przeszłości, miesiąc wrzesień (september) był rzeczywiście siódmym, a grudzień (december) dziesiątym z rzędu?

Było tak istotnie, ale jeszcze przed górą 2.000 lat. Wtedy to starożytni Rzymianie uważali za rzecz zupełnie słuszną, iż ich nowy rok przypadał na dzień 1 marca i dziwiliby się bardzo, gdyby ktoś przełożył im zmianę roku na pierwszy dzień 11-go miesiąca, t.j. januarius (naszego stycznia).

Kiedyż więc dokonała się ta zmiana, że nowy rok zaczęto liczyć od dnia 1 stycznia? I jak do tego przyszło?

W ostatnich dniach grudnia 154 roku przed Chrystusem, Rzym zaalarmowany został niepokojącą wieścią, która wyprowadziła go zupełnie z równowagi. Na ulicach i placach starożytnej Romy tworzyły się grupy wzburzonych do żywego mieszkańców; możnych obywateli przenoszono szybko w lektykach na zorganizowane na prędce zebrania; senat obradował w permanencji. Bo oto gruchnęła wieść, że Hiszpania powstała, aby zrzucić obce panowanie Rzymian, Hiszpańskie kolonie znajdowały się zatem w poważnym niebezpieczeństwie.

Wśród rozmaitych decyzyj, powziętych wówczas przez senatorów rzymskich, znajdowała się również decyzja wysłania konsulów na teren walk. Konsulowie ci byli, jak zawsze, wybrani od 1 marca na przeciąg jednego roku, mieli zatem przed sobą jeszcze tylko dwa miesiące czasu do spełnienia swej służby.

Ponieważ jednak powstanie w Hiszpanii wedle wielkich przewidywań mogło być zgniecione dopiero po dłuższym okresie czasu, postanowiono już 1 stycznia wybrać nowych konsulów na okres jednego roku, a więc aż do końca grudnia, i tym konsulom powierzyć kontrolę nad wojennymi wypadkami w Hiszpanii.

Od tego czasu okres urzędowania konsulów rozciągał się już zawsze od stycznia do grudnia. Niebawem także i inne władze, wyznaczając swych funkcjonariuszów na przeciąg jednego roku, zaczęły stosować się do daty objęcia urzędowania przez konsulów. Za przykładem władz naczelnych poszedł wkrótce także i świat interesów, który uznał datę 1 stycznia za początek nowego okresu rocznego.

W ten sposób przesunięcie początku roku na dzień 1-go stycznia dokonało się bez żadnego edyktu, zupełnie nieoficjalnie. I dopiero później Cezar przy swojej reformie kalendarza (46 rok przed Chrystusem) ustalił dzień 1 stycznia oficjalnie, jako początek nowego roku.

Tyle wiemy z opowieści o powstaniu Hiszpanów przeciwko Rzymianom. W historii kalendarza istnieją jednak liczne niejasności. Według innej wersji starożytni Rzymianie dzielił w ogóle rok tylko na 10 miesięcy, rozmaitej długości, od marca do grudnia, zanim później miesiące januarius i februarius (styczeń i luty) zostały włączone w kalendarz, jako dwa pierwsze miesiące.

(Dokończenie)

się zboża już czerwienią i do dojrzewań bliskie.

Twoje zasie, piątaku, **Lipiec**, bo lipy pachną i pasieki miodem nabrzmiewają.

A ty co szósty jesteś, **Sierpień**, jako że sierpy zabrzęczą i kosy.

Wy troje — to lato.

I rzecze dalej :

— A wy troje, siódmy, ósmy, dziewiąty — to jesień.

Ty **Wrzesień**, bo się wrzosem zalijowisz.

Ty **Październik** kądzielny.

Ty **Listopad**, bo już z drzew poczną liście padać.

A wy, dwoje ostatni, to zima.

Grudzień, pełen grud stwardniałej ziemi.

I **Styczeń**, że to się ze starym rokiem stykać będziesz.

— Na ziemię — prawi dalej — pójdziecie, nie jako ludzie, ino jako moi słudzy i wysłannicy.

Zajmiecie się ziemią i przeróżnością wszelką.

Tak, jak jesteście, pełny roczek mi zrobicie.

W tem bez drzwi buchnął wielki płacz i do izby dzieciątko jakieś wpadło, wielce zestrachane.

— O dobry Boże! — rzecze klękając w płaczu.

— Dajże i mnie cosik !

Bez dziurkę od klucza podglądałem i Twe słowa słyszałem, ale mnie za to do piekła nie strąć, ino niechże się dobroć Twa ulituje, bo taką ochotę mam być miesiącem 12-tym.

Uśmiał się dobry Bóg i rzecze :

— Może to i lepiej, że dwanaścioro was będzie.

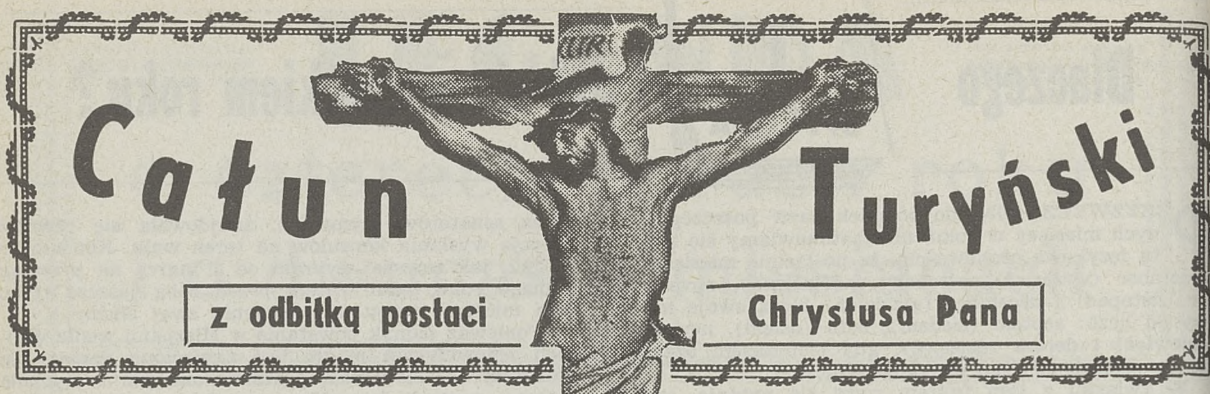
Bądźże ty sprawiedliwie trzecim miesiącem zimy.

A zwij się **Luty**, że to ludziom luto będzie, zimno, a łacnej w niedoli z płaczem do mnie się jako i ty zwrócą i wysłuchani będą, bom im Ojciec, gdy mnie o co proszą .

I poszły dzieciąteczka maleńkie na ziemię.

Od tej pory dwanaście miesięcy jest w roku i nijak inaczej być nie może, bo to i papież w Rzymie potem zatwierdził, jeno na tygodnie podzielił w kalendarzu, co u każdego porządnego chłopa znaleźć się musi, by mu przypomniał o dobrym Bogu, o łasce Jego, o tym, że On właśnie polskiego, a nie niemieckiego chłopa wysłuchał.

Dyć tyle opowieści...



„A PIERWSZEGO dnia po sabacie, Maria Magdalena przyszła rano do grobu... i ujrzała kamień odwalony od grobu. I bieżała a przyszła do Szymona Piotra i do onego drugiego ucznia, którego umiłował Jezus i rzekła im: Wzięli Pana z grobu, a nie wiemy gdzie Go położyli. Tedy wyszedł Piotr i on drugi uczeń a szli do grobu. I bieżali obaj społem, ale on drugi uczeń wyścignął Piotra i pierwej przyszedł do grobu. A nachyliwszy się, ujrzał leżące prześcieradła; wszakże tam nie wszedł. Przyszedł też Szymon Piotr, idąc za nim i wszedł w grób i ujrzał prześcieradła leżące. I chustkę, która była na głowie jego, nie z prześcieradłami położona, ale z osobna na jednym miejscu zwinięta” (Jan 20 1-8).

NAWIĄZUJĄC do powyższych słów Ewangelii, **ks. Jan Szymeczko** zastanawia się nad prześcieradłem (całunem) przechowywanym w Turynie, a w którym miały być zawinięte święte zwłoki Chrystusa Pana i z czego pozostała na całunie odbitka Jego postaci.

„Znaleźli (Maria Magdalena i Szymon Piotr) w grobie cenne pamiątki związane tak silnie z osobą Chrystusa Pana i z Jego straszną męką i śmiercią. Mamy prawo przypuścić, że tak cennych relikwi nie pozostawili w grobie na łaskę losu, lecz je zabrali ze sobą i gdzieś umieścili. To przypuszczenie popierają wiadomości, jakie mamy o pierwszych chrześcijanach, że z wielką gorliwością zbierali nawet krew wylaną przez umęczonych swych braci i przechowywali, że ciała męczenników, jako drogocenne relikwie owijali, z drogimi wonnościami i w widocznych miejscach grzebali. Jeżeli tak dbali o ciała lub rzeczy, mające styczność z wyznawcami Chrystusa Pana, to tym bardziej przypuścić możemy, że tą samą opieką i czcią otaczali i przedmioty związane z osobą Pana Jezusa.

Dalszych losów, które przechodziło prześcieradło, w które Józef z Arymatei i Nikodem owinęli ciało Chrystusa, nie znamy. Tu i ówdzie pielgrzymi przybywający nawiedzić miejsca święte w Palestynie wspominają w listach stąd napisanych nawet o świętym prześcieradle. Ale wzmianki te są nieliczne i bardzo krótkie. Zapewne dłuższy czas znajdowało się ono w Jerozolimie, później znalazło się w Konstantynopolu, albowiem cesarze bizantyjscy ściągali do swego skarbca tego rodzaju pamiątki, które uważano za cenniejsze od złota i drogich kamieni.

Pewnym jest, że po zajęciu Konstantynopola podczas 4 wyprawy krzyżowej (1202 — 1204) dostał się całun jako łup wojenny jednemu z uczestników tejże wyprawy hr. Charny. Przez jakiś czas relikwia znajdowała się w Besançon, później w Chambery, a w końcu stała się własnością rodziny książąt Sabaudii i umieszczona została w skarbcu katedry w Turynie i tu do dziś dnia się znajduje.

Dłuższy czas nie okazywano większego zainteresowania stanem całunu i tym co było na nim odbite. Dopiero, gdy jeden z fotografów, podczas publicznego wystawienia całunu w katedrze w Turynie w r. 1898, odfotografował go i gdy na kliszy ukazała się odbitka konturów jakiegoś ciała, zainteresowanie całunem wzrosło i rozpowszechniło się. Po pierwszej wojnie światowej zbadano dokładnie sam całun i ustalono, że na nim odbiły się zarysy ciała oraz ślady męki, którą przechodziło.

★

Całun wygląda jak długa wstęga płócienna 4 m 35 cm długa, a 110 cm szeroka. Całun utkany jest z nici różnej grubości, a więc sposobem domowym, a nie fabrycznym. Tkaniny fabryczne były zrobione z nici cienkich, równej grubości, dobrze jedne do drugich dociskanych. Takich nie wyszukanych prześcieradeł używano do celów pogrzebowych i także płótna z czasów Chrystusowych znajdujemy w sporej liczbie w grobowcach fenickich. Ciało owinięte było w ten



sposób, że do wstęgi prześcieradłowej złożonej na dwie połowy wkładało się ciało tak, że plecy położone były na jednej połowie, a przód ciała był przykryty drugą połową.

Postać, której obraz widnieje na całunie ma 181 cm wysokości. Jest to mężczyzna dobrze zbudowany i silnej konstytucji, zmarły śmiercią krzyżową. Głowa jest nieco wsunięta między ramiona. Wskutek bowiem wyciągnięcia rąk na krzyżu, nastąpiło ich stężenie i gdy z nich wyciągnięto gwoździe, ręce nie opadły same, ale trzeba je było siłą dociągnąć do boków ciała. Klatka piersiowa jest wzniesiona i w tym ruchu zmartwiała. To położenie klatki piersiowej nasunęło przypuszczenie, że osoba odbita na całunie umarła przez uduszenie się. Mianowicie wysoka gorączka, która według jednego z badaczy całunu, dochodziła do 44 st. C. (takie wysokie gorączki, rozumie się śmiertelne, stwierdzono klinicznie), spowodowała zatamowanie działalności gruczołów ślinowych, które zamiast śliny wytwarzały gęstą białą masę, wskutek czego gardło zasychało, zwężało się, aż w końcu uniemożliwiło oddychanie i spowodowało śmierć przez uduszenie.

Nogi są nierówno wyciągnięte. Noga lewa jest całkowicie wyciągnięta, noga zaś prawa skurczona w kolanie i siłą po zdjęciu z krzyża dociśnięta do lewej nogi, aby ciało można owinąć tym samym prześcieradłem. To skurczenie dowodzi, że była ona przybita tym samym gwoździem, co i lewa i że była założona nad lewą.

Twarz umęczonego jest zniekształcona, nos w nasadzie złamany jakimś silnym uderzeniem. Uderzenie również wywołało guz na brodzie, jako też nad lewym okiem. Wskutek tego twarz jest boleśnie skrzywiona. Na głowie jest kilka wybroczyn spowodowanych kolcami korony cierniowej.

Na prawej piersi między 5—6 żebrem jest rana, a niżej rozlana jest biała materia i ślady brązowe. Ślady brązowe pochodzą od krwi, która wypłynęła razem z wodą czyli osoczem, którym wypełniony jest worek mieszczący serce. Z całunu możemy wyczytać, że całe ciało stanowiło masę, której nie mogła utrzymać skóra popękana do tego stopnia, że dosłownie nie było na ciele zdrowego miejsca. Jedynie stopy nie są posiekane. Na plecach i piersiach widać jeszcze 80 pręgów zadanych przy biczowaniu. Przez ramię od strony prawej przechodzi pręga, którą wyrył na ciele krzyż, niesiony przez skazanego, a która tak wyraźnie odbiła się na całunie.



Po tym opisie całunu i przedstawieniu obrazu na nim odbitego, nasuwa się pytanie, czyj jest to obraz i kto, albo co tak mistrzowsko wyryło na nim mękę i rany poniesione?

Większość badaczy twierdzi, że na całunie turyńskim przedstawiona jest męka Chrystusa Pana i że to jest owo oryginalne prześcieradło, w które Józef z Arymatei owinął ciało Chrystusa Pana.

Wszystkie szczegóły są w nim tak realnie uwzględnione, tak zgodne nie tylko z tym, co mówią na ten temat Ewangelie, ale z tym, co wiemy o sposobie krzyżowania, że nie podobna nie przyznać im racji. Niewątpliwie obraz odbity na całunie odnosi się do Chrystusa Pana. Zachodzi pytanie, czy jest to oryginał, czy falsyfikat mistrzowsko wytworzony przez nieznanego autora. Falsyfikat wytworzony mógł być albo przez genialnego malarza, albo również uzdolnionego chemika.

Badania śladów krwi i osocza na całunie wykluczają sfałszowanie obrazu przez namalowanie. Przede wszystkim odbicie ciała na całunie jest rodzajem fotograficznego negatywu. Dopiero na kliszy wychodzi pozytyw. Wykluczone jest, aby jakiś malarz setki lat przed wynalezieniem fotografii, tak mistrzowsko namalował na prześcieradle negatyw ciała, aby bezbłędnie wyszedł na kliszy jako pozytyw. Z drugiej strony ślady krwi nie są ciągłe, lecz osadzone są na poszczególnych nitkach, co wyklucza namalowanie. Zresztą malarz, który by we wczesnym średniowieczu miał wiadomości z różnych dziedzin, jakie my dziś posiadamy, mianowicie: z ana-

tomii, chemi, archeologii, Biblii, przeszdłby sam siebie i wiek, w którym żył. Nawet dziś mimo znajomości wyżej wymienionych umiejętności nie dałoby się dokonać takiego fałszerstwa. Tym bardziej wykluczone jest fałszerstwo dokonane drogą chemiczną.

Wobec tego jak wytłumaczyć powstanie obrazu (negatywu) na całunie. Tłumaczą to następującym sposobem: Ciało po zdjęciu z krzyża było jeszcze ciepłe. Owinięto je prześcieradłem przesiąkniętym aloesem. Z ciała wydobywały się pary amoniakalne, które rozkładały aloes, a aloes w tych miejscach, które były zranione wywoływał brązowe zabarwienia. Zabarwienia te mają różną wielkość i różne odcienie, które razem składają się na obraz całego ciała. Inni zaś twierdzą, że odbicie nastąpiło przez samo zetknięcie się ciała całkowicie posiekanego z prześcieradłem. Nie są to jeszcze ostateczne wyniki badań. Badania nad całunem trwają nadal. Nowe metody badań jak badania promieniami Roentgena, promieniami ultrafiołkowymi i infraczerwonymi itd. pozwolą ustalić dalsze szczegóły całunu i może kiedyś dadzą odpowiedź, czy całun jest oryginalną odbitką ciała Chrystusowego.

W każdym razie chcielibyśmy dotrzeć do prawdy i chcielibyśmy mieć oryginalny, choć zniekształcony przez mękę wizerunek Chrystusa Pana, a zwłaszcza Jego twarzy. I to nasze pragnienie zaspokoiła siostra św. Teresy z Lisieux — Celina, która jako niepoślednia malarka, z całunu, pominąwszy zniekształcenia, które męka na twarzy Chrystusa Pana wyraziła, wydobyła twarz Pańską. Stworzyła portret Chrystusa, którego widok wywarł wstrząsające wrażenie na papieżu Piusie XI, któremu został wręczony.

Cyprian Norwid.

Moja piosenka

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
„Bądź pochwalony!"...
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej,
Której, już nie wiem, gdzie leży
[mieszkanie,
Równie niewinnej...
Tęskno mi, Panie...

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,
Do tych, co mają tak za tak— nie za nie—
Bez światło-cienia...
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi ówdzie, gdzie któż o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej!
Tęskno mi, Panie...

Złote Myśli

Z czystego serca rodzi się owoc dobrego życia. (Św. Tomasz z Akwinu)

Nie drwij, gdy mało umiesz i mędrszym nie dokuczaj. Jeżeli masz dar bawienia, baw a nie nauczaj. (Zygmunt Krasiński.)

Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą i rozwój moralności.

Żadna w świecie kobieta nie zdoła się oprzeć człowiekowi, którego prawdziwie kocha.

Pomnij zawsze na końce i na to, że czas utracony nigdy nie wraca.

Najtrudniejszym rzemiosłem — nauczyć się dobrze żyć, w czym się wszystko zamyka.
(Henryk Sienkiewicz)

Objawem żywotności polskiej jest wychodztwo. (Stanisław Szczepanowski)

Zgoda wewnętrzna i wystrzeganie się zbytków — Polaków wielkimi czyni. (Stan. Staszic)

Ten zasługuje na wolność, kto ceni wolność drugich; zasługuje na kajdany niewoli, kto je dla innych kuje. (Ks. Staszic.)

Gdzie są granice zupełnej już niemożności, tam się dopiero kończą obowiązki obywatela.
(Walerjan Dzieduszycki)

Niepodobna strasznej wydziedziczyć człowieka, jak nie dać mu na drogę życia zdolności i miłości do p r a c y. (Eliza Orzeszkowa.)

Bądź sobą, rób swoje w całej wolności ducha, małą rzecz czy wielką, byle s z c z e r z e, byle z m i ł o ś c i ą.

Bądź jakiej chcesz wiary politycznej, zgoda, bylebyś był s z c z e r y i nie udawał.
(Adam Mickiewicz.)

BOLESŁAW PRUS

(NOWELKA)

Na Wakacjach

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega: patrzał w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz, — odezwał się, — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się: było rzeczą prawie niepodobną, ażeby „głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — zrana we wsi pożar. Spaliła się chałupa . . .

— A tyś może skoczył w ogień? . . . — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami, i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Saya, ale na widok kłębów czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Florjana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

„Oto masz system budowania! . . . — pomyślałem. — Dom płonie, jakby go grochem nabito" . . .

„Istotnie w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniu, dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakiet musiałem cofnąć się o parę kroków.

„Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób, że nie tknąwszy ognia przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

„Nagle ktoś krzyknął: „Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!" . . . — „Gdzie?" . . . — spytano. — „W chałupie, śpi w nieckach pod oknem . . . Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego . . ."

„Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się jak rozpalone druty.

„Wyznaję, że gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

„Jeżeli nikt nie idzie, — pomyślałem, — więc ja pójdę. Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekielne gorąco!" . . .

„No, rusz-że się który! — wołały baby. — O wy psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!" . . . — „To leź sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć a dziecko słabe jak kurczę i tak już nie żyje" . . .

„Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham!" — „Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie licho ciągnie mnie do bezcelowej awantury? . . . Czy ja wiem gdzie leży dzieciak? . . . Może wypadł z niecek?" . . .

„Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

„Ale trzeba wkońcu wedrzeć się tam, — myślałem, — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się jak robak". — „Lecz jeżeli już nie żyje? . . . — odpowiedziało zastanowienie. — W takim razie szkoda nawet surduta" . . .

„Zdaleka odezwał się straszliwy krzyk kobiety: „Ratujcie dziecko!". — „Trzymajcie ją! . . . — zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie" . . .

„Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: „Puszczajcie! . . . To moje dziecko!" . . . — „Ciągnij ją wpół!" — odpowiedziano.

„Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się na-



Płaskorzeźby barokowe w kościele św. Piotra i Pawła w zagarniętem przez Rosję Wilnie

przód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tlą włosy i — cofnąłem się rozgniewany: „Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszydło? . . . Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!" . . .

„Wtem potrąciła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

„Co ty robisz, warjatko? — krzyknąłem —tam już jest trup, nie dziecko" . . .—„Jagna! chodzi tu! . . ." — zawołano z tłumu.

„Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

„Ja—gna! . . ." — powtórzył lamentujący głos.

„Zara! . . . zara! . . ." — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

„Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy."

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna . . . czy to jego siostra?

— Gdzież tam! — odparł — zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic jej się nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem wyrazić jej moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapał i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i . . . taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu . . . My już tacy! . . . — dodał i począł szpicrózgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, i chłodny wiatr przyniósł od stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Zato zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki: „Wy już tacy!" . . .

BENEDYKT HERTZ

---BÓG ŁASKAW---

(Ze Wspomnień Zesłańca)

— At, co się tam frasować. Na to masz czas, kiedy przyjdą aresztować.

— Wolałbym, żeby już przyszli. Najgorsze oczekiwanie.

— Toż ja i mówię tobie: nie czekaj.

—Uciec?... Jak?.. Dokąd?

— Nie. Co znowu! Gdzież tu uciekać. Ot, prosto powiadam: nie myśl o tem i koniec.

To rzekłszy, olbrzym chwycił lewą ręką stojącą w kącie miotłę i umieściwszy sobie pod pachą jej kij, jął zamiatać glinianą podłogę izby, przyczem prawy pusty rękaw trzepał go naprzemian — to po piersiach, to po plecach. Gęste obłoki kurzu kłębiły się pod okopconym i girlandami pajęczyn obwieszonym pułapem, a następnie opadały spokojnie na ławy, wyciągnięte pod ścianami z prostych drewnianych bali, na wielką wywróconą od góry dnem skrzynię, imitującą kontuar, i na smakowite kiełbasy, boczki, wędzonki, któremi owa skrzynia miała nęcić apetyty klijentów jadłodajni.

Jaki był cel tego zamiatania — odgadnąć trudno. Prawdopodobnie stanowiło ono już tylko obrządek, wykonywany z przyzwyczajenia, nabytego w innych zupełnie warunkach.

— Nie myśleć — odburknął z za skrzyni człowiek o bladej twarzy i czarnej gęstej brodzie. — Łatwo ci radzić. Choćby się nawet nie wydało, ciężko mieć na sumieniu życie człowieka.

— No, życie! Zaraz życie. A skądżeś ty, Andrzeju, taki pewny, że się chłop otruje?

— Pało zakuta, przecież ci mówię co mu przez omyłkę dałem.

— Słyszałem już dwa razy. Nalewka z muchomorów na czystym spirytusie.

— I jeszcze wzmocniona wodą karbolową. Mówiono mi, że jak tem chleb przepoję i gałki z niego porozrzucam, to wszystkie szczury...

— ...oblizywać się będą.

— Proszę cię, Piotrze, nie żartuj, bo mnie wcale nie do żartów.

Położenie było, istotnie, mocno kłopotliwe.

Zaledwie przed miesiącem dwaj obcy przybysze, etapem do Krasnojarska sprowadzeni, uzyskali pozwolenie na założenie jadłodajni. Był to właściwie zwykły "kabak" (szynk-karczma), ufundowany sumptem Andrzeja Łaszyńskiego, niedoszłego inżyniera, któremu Powstanie przerwało studja politechniczne. Pieniądze na to przedsiębiorstwo otrzymał od narzeczonej z Radomia i miał nadzieję, że nietylko na własne utrzymanie zarobi, ale niejednemu towarzyszowi niedoli z pomocą będzie mógł przychodzić. I rzeczywiście, w jadłodajni znalazł odrazu zajęcie Piotr Łojko, który w potyczce pod Olitą utracił prawą rękę, co miało tę dobrą stronę, że uwolniło go od szubienicy. Karczma mieściła się w starej, opuszczonej chacie, dość daleko od miasta, ale powodzenie miała niezłe. Punkt, widocznie, był dobry i w dni targowe roiło się tu od gości — t. j. włościan, jadących do miasta, lub powracających do siebie.

Chłopi syberyjscy naogół przyjaźnie odnosili się do zesłańców — zwłaszcza politycznych. Wśród tych ostatnich zaś Polacy cieszyli się poważaniem specjalnem, dzięki swej ogładzie i kulturze towarzyskiej, która imponowała nawet miejscowym przedstawicielom władzy. Niemniej jednak policja miała obowiązek bacznie obserwować osiedleńców i nie puszczać płazem żadnego ich przestępstwa.

A tu tymczasem nie jakieś drobne przestępstwo, ale najohydniejszą zbrodnię będą mogli zarzucić właścicielom karczmy. Kto uwierzy, że gościa otruto przez omyłkę? I kogo otruto? Nie byle Tatara lub Ostjaka. Czysto "ruski" kułak. Bogacz znany w okolicy. Przyszedł i powiada: "Hej, Polaczek, dawaj gorzałki"... Andrzej sięgnął pod ladę; zapomniał, jak o śmierci, że od wczoraj stoi tam butla z trucizną na szczury. Nalał kwaterkę. Moskal duszkiem wychylił, zapłacił i poszedł. Dopiero nazajutrz rano niefortunny karczmarz spostrzegł swoją omyłkę.

Piotr skończył wreszcie zamiatanie izby i wziął się do znoszenia ze dworu szczap drzewa, by podsycić ogień w wielkim, znaczną część izby zajmującym kominie.

— Mróz tęgi.

Gęste kłęby pary, przewalające się w drzwiach przy każdem ich uchyleniu, potwierdzały lakoniczną uwagę Piotra. Jeszcze raz je otworzył i zamknął czemprędzej, cofając się aż do komina.

— Urjadnik idzie — mruknął półgłosem i uniósłszy lekko wielką kłodę drzewa, wepchnął ją w ognisko. Szczapa zatrzeszczała i wnet żółta, migotliwa światłość runęła na podłogę.

Andrzej siedział nieruchomy z oczami utkwionemi w drzwi. Minuty dłużyły się bez końca, a myśli przelatywały w głowie, jak błyskawice.

...Może on wcale nie do nas?... Napewno tutaj... Idzie aresztować... To by nie szedł sam... Widocznie wiedzą już, że Iwanow otruty... Może umarł?... Jak się tłómaczyć?...

Oprzytomniał na widok wchodzącego urjadnika, który prędko drzwi za sobą zamknął, potupał nogami na rozgrzewkę i nie witając się, podszedł do buchającego ogniem pieca. Wystawił dłonie, potarł jednę o drugą, znów je do żaru wyciągnął i nie odwracając głowy, spokojnie wycedził:

— A wódkę jaką wy tu sprzedajecie, ha?

— To omyłka... — zaczął bełkotać Andrzej. Ale Piotr przerwał mu, dając dyskretnie znak, żeby milczał.

— Sprzedajemy taką samą, jak wszyscy sprzedają. Własnej gorzelni nie mamy.

— Hm, nie macie... Ano, pokażcie jaką gorzałką handlujecie.

Nie dopuszczając już do głosu nie mogącego się opanować Andrzeja, Łojko powyciągał wszystkie posiadane butelki i ustawił na stole.

— Bardzo proszę, probujcie.

Urjadnikowi nie trzeba było propozycji tej powtarzać dwa razy. Z pierwszej butelki kazał sobie nalać tylko odrobinkę, powąchał i wypił z urzędową powagą. Z drugiej pozwolił dać sobie trochę więcej; z trzeciej jeszcze więcej, a następnie poszły już pełne duże kielichy. W miarę posuwania się tego niezwykłego śledztwa, wyraz twarzy urzędnika stawał się coraz mniej oficjalny, humorek mu się zaróżowił i zaczął dowcipkować.

— Coż wy, Andrzej Fjodorowicz, patrzycie na mnie, jak na wieprzowy kotlet, ha!

— Przywidzenie, panie kapitanie. Jak na człowieka na was patrzę. Zwyczajnie.

— A ot kłamiesz. Pan Piotr, spójrz, czy on nie patrzy na mnie, jak na kotlet wieprzowy?

— Racja. Ale on tak na wszystkich patrzy.

— Na wszystkich, powiadasz... Hm.. Nu tak nalej jeszcze kieliszek. Służba nie drużba. Mój obowiązek wszystkie wasze gatunki spróbować.

— Ciężka służba — wtrącił poważnie Piotr, napełniając duży kielich ordynarną siwuchą.

Urjadnik wstrzymał wyciągniętą już rękę i popatrzył na Litwina, jakby wyczuł w jego słowach ironję. Ale Łojko spokojny wzrok utkwił w jego zamglonych skośnych ślipkach, które niebawem zaczęły niespokojnie w bok strzelać i kielich gorzały powędrował za poprzedniemi do urzędniczego gardła.

— To i wszystko — odezwał się Piotr. — Więcej gatunków nie mamy.

— Szczera prawda?

— Szczera.

— Bo wy, Polacy, naród chytry, nieszczery. My, ruscy ludzie, jak powiemy tak, to tak, a nie, to nie. A z wami nigdy nie wiadomo. Gada to, a myśli co innego.

Na bladych policzkach Andrzeja nagle zapłonęły rumieńce. W czarnych jego oczach zaczęły migać iskierki, które zaniepokoiły Piotra. Wiedział on, że Łaszyński, zazwyczaj spokojny, ustępliwy, miewa niespodziane napady gniewu, gniewu wręcz nieprzytomnego, a w takiej chwili gotów nie oglądać się na nic i zrobić jakieś kapitalne głupstwo.

Piotr powstał — ogromny, barczysty — i patrząc znów prosto w oczy urjadnikowi, rzekł prawie szeptem:

— Więcej nie mam, więcej nie dam. U mnie tak — to tak.

— A mnie mówili: u was jakieś polskie nalewki...

Przyjaciele spojrzeli na siebie zdziwieni.

— A co!.. Nie pokażecie, to ja rewizję nakażę zrobić.

Wstał z ławy przy mocnej pomocy Piotra, który bardzo uprzejmie poprowadził go do drzwi.

— Pojąć doprawdy nie mogę, czego ten bałwan chciał właściwie tutaj.

— Przyznam ci się, że i ja nic nie rozumiem.

— Gdyby Iwanow otruł się, śledztwo inaczej by chyba wyglądało.

— A jednak nie ulega wątpliwości, że tę wizytę zawdzięczamy wczorajszemu wypadkowi z Iwanowem.

Daremnie przyjaciele starali się rozwikłać zagadkę. Zachowanie się urjadnika nakazywało czujność. Ale czemu wprost nie powiedział, o co mu chodzi? Dlaczego wywiad przybrał formę głupiej pijatyki, zakończył groźbą rewizji?

— W każdym razie — odezwał się po chwili Andrzej — czeka mnie sprawa o otrucie człowieka. Polak, zesłaniec zamordował Rosjanina. Bóg wie co mogą z tego zrobić.

Twarze przyjaciół zasępiły się nie na żarty. W najlepszym razie groziła przymusowa likwidacja przedsiębiorstwa, rozstanie i nędza w pojedynkę. A jeżeli w dodatku Łaszyńskiemu nie uwierzą i oskarżą o umyślne zgładzenie Moskala? Co wtedy?

— Psiakrew, cholera!..

— Ot, niemiła historja...

Ogień na kominie dogasał i Litwin znów wybierał się po drzewo.

Wtem z za drzwi dały się słyszeć dzwonki zajeżdżających sań, a po chwili pomieszane głosy męskie.

— Rewizja!

— Ha, trudno. Co ma być, niech będzie. Teraz już policja zagra z nami w otwarte karty.

Tu nagle przyjaciół ogarnęło zdumienie. W progu izby, otoczony obłokiem kłębiącej się pary i postaciami paru "kułaków" w długich czarnych szubach, stał — nieboszczyk Iwanow, ofiara trucicielskiego zamachu przewrotnego Polaka. Wyglądał doskonale. Jędrne policzki tryskały czerwienią i zdrowiem.

— Wódki dla całej kompanji! — wołał od progu, otrzepując szubę z drobnego sypkiego śniegu.

— Zaraz. Siadajcie, panowie.

Piotr ustawiał blaszane kwaterki, a Andrzej odkorkowywał butelkę.

Iwanow powstał, by się jej lepiej przypatrzeć.

— Ej, pan, wy mnie nie tę dajcie. Ja chcę tę, coście mi wczoraj dali.

— Co takiego?

— Ot, wódka była. Nigdy ja takiej nie pił. Mocna, że ledwo do domu ja trafił. Dobra wódka... ta wasza polska nalewka.

Długo trzeba było gościom tłumaczyć, że owa nalewka już wyszła, że wczoraj Iwanowa poczęstowano resztką... Andrzej przyrzekł, że postara się sprowadzić z Warszawy większy transport tego specjału; a tymczasem — czem chata bogata.

Przystąpiono do uczty.

Okazało się jednak, że po wczorajszym specjale Iwanowowi żadna już wódka nie dogadza. Wypili jednę butelkę, drugą, czwartą i jeszcze kilka, a niedoszły nieboszczyk wciąż powtarzał:

— To nie to... To nie to. Wczoraj gorzałkę wy mnie dali, a dziś wodą częstujecie.

Ale najbardziej kułaka martwiło to, że urjadnika oszukał. Powiedział mu, że dostanie u pana Andrzeja polską nalewkę — palce lizać; tymczasem pokazuje się, niema. Zmartwienie to wymagało szczególnie sumiennego oblania. A skoro już o nieszczęśliwym urjadniku zapomniano, zaczęły się normalne rosyjskie okazje, a więc że pokój ma cztery ściany, potem, że piec jest piąty, drzwi, okna — wszystko musiało być rzetelnie zakropione.

Krótki północny dzień miał się dobrze ku końcowi. Przyjaciele nasi — po szeregu wzruszeń — gorąco pragnęli udać się na spoczynek. Gwałtem wymagały tego nerwy Andrzeja, który wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie.

Jął więc Piotr namawiać gości, by się zabierali z Panem Bogiem, i trzymając wielki wskazujący palec lewej ręki tuż przed nosem Iwanowa, przekonywał go z całą powagą, że nic się złego nie stanie na świecie, jeżeli na cześć której z belek pułapu nie będzie wypita kolejka.

Towarzystwo jednak było już, jak się to mówi, wyregulowane i gotowe pić nietylko truciznę na szczury, ale choćby olej rycynowy.

— Pić!.. pić!.. — rozlegało się co chwila w odpowiedzi na wszelkie perswazje poczciwego Łojki.

— Ty, Polaczyszka, mnie zabawy nie psuj — krzyknął wreszcie rozgniewany Iwanow. — Chce ci się spać, to śpij, a my stąd pójdziemy, kiedy nam się będzie chciało, a nie tobie.

— Prawda, prawda, dobrze mówi — potakiwała już nietyle wesoła, ile rozzuchwalona kompanja.

Piotr nic nie odpowiedział. Podszedł do drzwi, otworzył je naoścież i wetknął grube polano, żeby się przypadkiem nie zamknęły. Następnie wparłszy się prawem ramieniem w róg izby, lewą ręką chwycił za kołnierz szuby Iwanowa i smyrgnął nim na dwór z taką siłą, że kacap, szeroko rozkrzyżowawszy ręce, wyleciał z izby daleko i zaorał nosem w śniegu. Po Iwanowie wyfrunął w ten sam sposób jego sąsiad, potem następny, i czwarty, i piąty... Litwin w milczeniu pracował, jak dobrze nastawiona maszyna. Wreszcie, opróżniwszy karczmę, wyjął polano, drzwi zaparł i wrócił do pieca.

— No, na dziś dosyć mamy. Kładź się spać!

* * *

Do rana przyjaciele Iwanowa leżeli w śniegu. Słońce było już dość wysoko, gdy zaczęli oczy przecierać, ziewać i parskać, jak zbudzone konie. Potem jeden, drugi siadł, rozgląda się: gdzie jest... co to się stało...

Zaczęli sobie wkońcu przypominać. Libacja... Nie było polskiej nalewki... Spory... Nareszcie odżyła w przymglonych umysłach chwilowo zamatowana rzeczywistość.

Co robić?... Taka obraza.

Iwanow rozglądał się, siedząc na śniegu wśród kompanów. Rozglądał się lewem okiem — prawe jeszcze spało. Słuchał ochrypłych przekleństw i pogróżek, aż wreszcie sam głos zabrał.

— Wy, bracia, nie wydziwiajcie, a lepiej pomódlcie się, Panu Bogu podziękujcie.

— A niby za co nam dziękować?... Że won, za drzwi wyrzucili?

— Nie. Za to dziękować nie warto. Ale ot Bóg łaskaw, że jemu prawą rękę odjął. Bo pomyśleć tylko, co by on z nami zrobił, gdyby obie ręce dotąd zdrowe nosił...



A. N.

KUCHENNA BLACHA

PASKOW biegł przodem w poczuciu dzikiej radości. Nie cieszyła go myśl o udanym zamachu na dyktatora, tylko fakt, że mu ten kanał przyszedł do głowy. Przedwczoraj był pewny, że go zaaresztują, lub że zginie od bomby, i godził się z losem, a nawet był dumny z tego, że w udziale jemu przypadnie chwała uwolnienia narodu od tyrana. W wilję zamachu wdrapał się przez mur do parku, w którym miał wraz z towarzyszem zamach wykonać, by zbadać teren — i wówczas zobaczył kratę kanału.

Obaj biegli co sił, a Maksymowicz na przodzie — on bowiem lepiej się w rozgałęzieniach podziemia orjentował. Zatrzymywali się od czasu do czasu — nadsłuchiwali czy ich policja nie ściga i natychmiast puszczali się pędem dalej. W równomiernych odstępach migał nad nimi kwadratowy wykrój zakratowanego okienka, od czasu do czasu zalśniła woda w kałuży pod stopami. Przeskakiwali ją ostrożnie, zginali się w pół przy niskich przejściach, kulili nerwowo pod wrażeniem hałasu, jaki sprawiały samochody i powozy, pędzące nad nimi, i ciągle spieszyli naprzód, a w sercach ich prężyło się dzikie pragnienie życia i walki do ostatniej kropli krwi.

Maksymowicz zatrzymał się nagle, obmacał gładką ścianę, a potem skręcił w boczny tunel, tak wąski, że musieli czołgać się na czworakach. W ten sposób podpełzli pod jakieś okienko. Ciche gwiździęcie — odpowiedź z góry i krata się otwarła; równocześnie na dół spadła drabina sznurowa, po której wydostali się na wolne powietrze. Jangułow, który tu oczekiwał towarzyszy, zaprowadził ich do piwnicy, gdzie zmienili ubranie.

— Jakże wam poszło?

Maksymowicz opowiadał pospiesznie:

— Ukryliśmy się w krzakach. Gdy podeszli do nas, Paskow strzelił pierwszy i trafił tego piekielnika w czoło... — musiał umrzeć na miejscu!... Ja wziąłem na cel tego drugiego — ministra spraw wewnętrznych. Podniósł ręce w górę i upadł twarzą do ziemi... Wnet wybiegli tajni agenci — rzuciliśmy im bomby pod nogi i prosto do kanału... Nikt nas nie ścigał.

— W tej chwili całe miasto jest już zaalarmowane. Ulice roją się od wojska i policji. Musicie bardzo ostrożnie się zachowywać, by ujść cało...

Spiskowcy wyszli z piwnicy. Paskow był ubrany jak cieśla, miał nawet torbę z narzędziami przy sobie. Istotnie w mieście panowało wielkie wzburzenie. Ludzie stali w grupach, rozprawiając głośno, subjekci wybiegli ze sklepów, żołnierze pędzili kłusem w różnych kierunkach. Paskow opanował wzburzenie i szedł spokojnie, przewijając się wśród tłumów. Nie wyglądał zresztą wcale na rewolucjonistę; wysoko narysowane brwi nadawały jego twarzy stały wyraz zdziwienia, a zadarty nos i szerokie usta w połączeniu z wystającemi szczękami tworzyły całość dość pospolitą na ogół, i nieinteligentną. Pomimo ukończonych wyższych studjów znać w nim było chłopskie pochodzenie, licujące doskonale z robotniczą odzieżą i narzędziami ciesielskiemi.

Miał też przy sobie książkę robotniczą. Wszystkiego tego dostarczyli mu towarzysze partyjni za pośrednictwem Jangułowa.

Przed wyjazdem z miasta pragnął odwiedzić jeszcze starą ciotkę, u której mieszkał, a która nie domyślała się wcale, że między dokonanym zamachem a jej siostrzeńcem zachodzi jakikolwiek związek.

Myśl, że rozstanie się z nią, sprawiała mu wielką przyjemność. Ciotka była nudna, dokuczliwa i stale traktowała go jak chłopaczka, którego należy strzedz przed pokusami wielkiego miasta. Nieraz urządzała mu formalne sceny za późne wracanie do domu, co zresztą kładła na karb jakichś miłostek.

Ciotkę zastał przy piecu kuchennym, smażącą ciastka. Spojrzała ze zdumieniem na jego przebranie i łamiąc ręce, zawołała:

— Co to za cudaczna maskarada — co to ma znaczyć?

— Zdecydowałem się — rzekł Paskow obojętnie — przyjąć posadę na statku, jako robotnik, nim obejmę stanowisko inżyniera. Ta praktyka nie potrwa długo a o szczegółach mego życia napiszę do cioci z Burgas, lub z Warny. Narazie do widzenia, pociąg mój bowiem wkrótce odchodzi.

Wyszedł, zostawiając ciotkę w stanie zupełnego odrętwienia.

Paskow był uszczęśliwiony. Raz na zawsze zerwał z tyranją opiekunki. Wiedział, że do kraju może wrócić tylko wtedy, gdy stosunki polityczne i społeczne zmienią się do gruntu — a wówczas on zajmie tak wysokie stanowisko, że ingerencja ciotki będzie wogóle niemożliwa.

Pospieszył na dworzec, lecz dowiedział się, że żaden pociąg dziś nie odchodzi, władzom bowiem zależało na tem, by nikt nie mógł wydostać się z miasta. W dodatku dworzec był ści-

śle strzeżony. Niemniej udało mu się wymknąć bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi i wrócić do miasta, gdzie postanowił doczekać się wieczoru, by następnie, zamięszawszy się w tłum robotników, mieszkających na przedmieściach, wyjść przez rogatki niespostrzeżenie.

Znużony krążeniem po ulicach, wszedł do drugorzędnego szynku, uczęszczanego przez bezrobotnych, i usiadłszy przy małym stoliku, wdał się w rozmowę z robotnikami. Dwukrotnie wpadała policja do szynku, żądając od obecnych legitymacji. Paskow zdawał sobie sprawę z faktu, że może być lada chwila aresztowany, postanowił jednak nie poddać się żywym. Wiedział, co go czeka w więzieniu. Szczęście mu jednak sprzyjało — policjanci nie zwrócili na niego uwagi.

Wieczorem przyłączył się do grupy robotników i szedł z nimi ku rogatkom miejskim. Zdaleka już zobaczył, że żandarmi zatrzymują przechodzących. Wówczas skupił całą siłę woli; — wiedział, że o ile uda mu się obecnie przejść bezpiecznie, to szanse ocalenia wzmogą się nadzwyczajnie. W jego oczach zaaresztowano dwóch mężczyzn przyzwoiciej ubranych, co dodało mu otuchy, on bowiem miał na sobie nędzne, robotnicze odzienie, nie zwracające uwagi. Śmiało podał książkę robotniczą, jako legitymację.

— Gdzie pracujesz? — zapytał żandarm.

Paskow wymienił dom, ulicę i majstra stolarskiego, u którego rzekomo był zajęty.

— Dlaczego w takim razie nie zostawiłeś książki u majstra?

— Pracuję na dniówkę, — odparł Paskow spokojnie.

— Trzeba to sprawdzić! — rzekł żandarm.

W tej chwili nadeszła nowa grupa robotników, a wraz z nimi dwóch inteligentów, — uwaga żandarmów skierowała się gdzieindziej, a Paskow skorzystał z zamięszania i spokojnie poszedł dalej. Nikt go nie zatrzymał. Odetchnął głęboko, zapalił papierosa i zmusił się do obojętnej rozmowy z robotnikami. Wszyscy mówili o zamachu i narzekali na obecne stosunki.

— Teraz będzie lepiej — rzekł któryś z nich.

— Nie wiadomo, — odpowiedział Paskow — może być jeszcze gorzej. Naturalnie tylko przez jakiś czas, potem musi znów naród dojść do władzy.

— Jutro już nie wrócę do roboty w mieście, — rzekł inny — mam tego dosyć.

— I ja, — odpowiedział spiskowiec.—Chciałbym dostać się jako cieśla na okręt i pojechać daleko w świat.

— To dobra myśl, — zawołał robotnik — idę z tobą. I tak nie pochodzę z Sofji, tylko z Widynia. Jeżelibyśmy tam nie dostali roboty, to pójdziemy do Galaty.

Nowy znajomy nazywał się Abdułow. Mieszkał niedaleko na przedmieściu i zaprosił Paskowa do siebie na noc. Nazajutrz puścili się w dalszą drogę. Spiskowiec chętnie skorzystał z towarzystwa robotnika, choć nie miał zamiaru pozostania w Widyniu. Mieszkali tam jednak znajomi partyjni, którzy mieli przygotować mu paszport i pieniądze. Abdułow miał zamiar pojechać koleją, ale wkońcu udało się spiskowcowi namówić go na pieszą wędrówkę.

Wyszli o wschodzie słońca. Wkrótce zaczepiła ich konna patrol żandarmska i poddała ostremu badaniu. Jeden z żandarmów miał nawet ochotę odstawić obu wędrowców do posterunku, ale drugi wyjął papier z kieszeni i począł czytać rysopis mordercy, porównując go z wyglądem aresztowanych. Z rysopisu tego Paskow poznał, że władze główną uwagę zwróciły na Maksymowicza.

— No, idźcie dalej, — rzekli im wkońcu żandarmi. — Jeżeli stoicie w jakimś związku z zamachem, to i tak daleko nie zajdziecie.

Paskow śmiał się w duszy ze swych prześladowców, ale zrozumiał, że nie może iść dalej podczas dnia. Na gościńcu kręciła się taka masa patroli, że właściwie ciągle był narażony na niebezpieczeństwo.

Dzień spędzili przeto ukryci w polu kukurydzy, a wieczorem ruszyli dalej. Wkrótce dotarli do małej stacyjki, na której stał właśnie pociąg towarowy, transportujący drzewo. Obaj uciekinierzy zręcznie dostali się do jednego z wagonów i za osłoną desek przejechali spory kawałek drogi. O świcie, gdzieś w okolicach Starej Planiny, ześlizgnęli się na ziemię i ruszyli ku Widyniowi, który znajdował się już niedaleko. Gdy się dobrze rozwidniło, skryli się znów w gęstym lesie. Obecnie tylko jeden dzień drogi dzielił ich od celu podróży. Istotnie następnego ranka weszli w ulice Widynia. Tutaj Paskow rozstał się z towarzyszem pod pozorem, że musi odwiedzić swoich znajomych, i ostrożnie skierował się ku domowi, zamieszkiwanemu przez jednego z przyjaciół partyjnych. Z najwyższem przerażeniem zobaczył, że brama jest obsadzona policją. Opanował jednak wzruszenie i minął ją spokojnie. Po pewnym czasie ujrzał przed sobą prostego chłopa, przyglądającego mu się bystro. Chłop ów podszedł do niego i wymieniwszy partyjne hasło — szepnął:

— Chodź za mną.

Paskow nie znał wcale tego człowieka i lękał się, że to może być podstęp policyjny, przeto udał, że na zaczepkę nie zwrócił uwagi, mimo to szedł w pewnem oddaleniu za tym osobnikiem. Gdy w ten sposób znaleźli się obaj na odludnej ulicy, chłop w krótkich słowach przedstawił położenie. Radew, głowa tutejszej partji, człowiek, który miał przygotować paszporty dla spiskowców, został ubiegłej nocy aresztowany. Sytuacja była bardzo ciężka. Policja wiedziała, że jeden z morderców ucieka ku granicy w przebraniu robotniczem, posiadała też szczegółowy rysopis Paskowa. Szczegóły te wy-

dobyto od Jangułowa, który wsypał się przedwczoraj.

— Co więc mam dalej ze sobą zrobić? — spytał Paskow bezradnie.

— Czekajcie na mnie o ósmej na tej ulicy, — odpowiedział towarzysz. — Mam łódkę na Dunaju i spróbuję przewieść was na drugi brzeg.

Spiskowiec spędził ten dzień względnie spokojnie. Zamieszany w gromadkę innych bezrobotnych, poszedł w kierunku cytadeli, by mniej więcej zorjentować się w położeniu miasta, a potem przespał się nieco w cieniu muru, jak to często czynią chłopi i robotnicy. O ósmej wieczorem znalazł się w umówionem miejscu. Towarzysz czekał już na niego.

— Nie możemy odrazu wyruszyć w drogę. Trzeba poczekać do dziesiątej, tymczasem pójdziemy na pocztę. Jedna z towarzyszek ma dziś służbę, ona nas ukryje, a przytem dowiemy się ostatnich wiadomości, wiem bowiem, że przyszły depesze w waszej sprawie.

Urzędniczka rzeczywiście czekała już na nich i ukryła obu czemprędzej w głębi zakamarków biurowych. Odczytała też im depesze, które przynosiły nowe rozkazy dla policji. Nie wolno było puszczać przez granicę nikogo, ktoby nie miał osobnego zezwolenia na wyjazd z ministerstwa spraw wewnętrznych, natomiast każdego podejrzanego władze lokalne winny były zatrzymać i odstawić do stolicy.

Aparat znowu zaczął dzwonić. Urzędniczka wzięła arkusz papieru i poczęła notować nowe depesze ze stolicy. Równocześnie odczytywała głosem drżącym ze wzruszenia:

"Mladen Paskow, inżynier, 176 cm. wzrostu, lat 26, silnie zbudowany, włosy ciemne, oczy szare, twarz podłużna, mówi po bułgarsku, rumuńsku, trochę po turecku, główny sprawca zamachu, ucieka w kierunku Widynia przebrany za cieślę. Będzie usiłował przebyć granicę. Wzmocnić posterunki i schwytać go żywcem, następnie odstawić do stolicy."

Przez chwilę spiskowcy siedzieli w głębokiem milczeniu. Wkońcu Paskow zapytał:

— Czy można tę depeszę zniszczyć?

— To niemożliwe, mogę ją tylko trochę przekręcić, ale muszę zaraz przesłać ją dalej.

Zmieniła cyfrę 176 na 166 i przetelefonowała do dyrekcji policji.

— A jeżeli pociągną was do odpowiedzialności za zmianę w depeszy?

— Powiem, że się przesłyszałam — odparła młoda dziewczyna.

— Ale co robić? Jak uciekać dalej bez paszportu? — rzekł Paskow z zadumą.

— Trudno. Radew miał wszystko przygotowane, ale siedzi w tej chwili pod kluczem. Byleście się tylko dostali na tamten brzeg, to już dacie sobie jakoś radę. Wszędzie mamy towarzyszy, którzy wam wystarają się o legitymację. Narazie mogę wam dać trochę pieniędzy.

Ulice małego miasta były już o tej porze ciche i opustoszałe. Spiskowcom nie było to na rękę. Woleliby byli raczej iść w tłumie ludzi, mniej bowiem zwracaliby na siebie uwagi. Wkrótce istotnie natknęli się na patrol policyjną. Było za późno, by uciekać, postanowili więc przejść spokojnie obok.

— Jak człowiek wraca tak późno z roboty, — rzekł głośno Paskow — to nigdy nie ma czasu, by się wyspać porządnie.

— Kiedy wreszcie weźmiesz się do dachu? — zapytał w odpowiedzi towarzysz.

— W tym tygodniu. Myślę, że wogóle skończę wszystko niedługo i będę mógł zabrać się do twojej obory.

— Dzięki Bogu, bo nie mam naprawdę gdzie postawić krowiny...

Policjanci na widok dwóch robotników przystanęli i przypatrywali się im długo i bystro, wkońcu jednak doszli do wniosku, że przechodzący nie są podejrzani i że można ich przepuścić spokojnie.

Paskow odetchnął, gdy niebezpieczeństwo przeminęło. Wkrótce znaleźli się wśród pól nadrzecznych. Po jednej stronie ciągnął się łan tytoniu, po drugiej pole melonów, dalej szumiała niwa wysokiej, bujnej kukurydzy, schodzącej na sam brzeg Dunaju. Towarzysz Paskowa szedł naprzód w milczeniu, rozglądając się pilnie dookoła. Noc była ciemna, wszędzie panowała cisza, tylko od rzeki dobiegał łagodny szum fal. W pewnej chwili wydało się obu, że słyszą odgłosy ludzkiej rozmowy; przypadli wśród krzaków przydrożnych i zatrzymali dech w piersiach. Lecz nie! Cisza trwała dalej, przerywana tylko rechotaniem żab w moczarach. Od rzeki dzielił ich teraz wąski pas nadbrzeżnej łąki. Niedaleko widniały kontury małej chatki rybackiej.

Paskow poczuł nagle zapach papierosowego dymu, chwycił towarzysza za rękę i obaj poczęli jeszcze baczniej rozglądać się wokół. Wtem zaszeleściły krzaki i kilka ciemnych sylwetek wyłoniło się z ciemności, a równocześnie rozległa się komenda:

— Stój!...

Towarzysz Paskowa zaklął i pociągnął go za sobą do ucieczki. Biegli teraz ku polu kukurydzy. Wtem buchnął za nimi strzał, potem drugi, rozległ się jęk. Paskow padł na ziemię, ale zerwał się natychmiast i dobywszy rewolweru, strzelił do nadbiegającej patroli. Zabrzmiały znów jęki i przekleństwa. Spiskowiec skorzystał z zamieszania, okrążył napastników i w kilku rozpaczliwych susach dopadł do rzeki. Na chwilę ukrył się w cieniu drzew i rzucił okiem na rzekę, na której falach kołysał się długi, ciemny przedmiot.

— To łódka! — pomyślał Paskow. Podpełzł ku niej i starał się spuścić ją z łańcucha. Gdzieś za nim znowu rozległy się strzały, a jedna z kul

gwizdnęła mu koło ucha. Młodzieniec, nie namyślając się dłużej, skoczył w wodę i dał nurka. Po chwili wynurzył się na powierzchnię, by zaczerpąć tchu. Niemal równocześnie tuż koło jego głowy przeleciała kula z przeciągłym gwizdem, i roztrąciła fale rzeki. Paskow zanurzył się ponownie, ale tym razem skierował się z powrotem do brzegu. Po chwili poczuł grunt pod nogami, wychylił głowę i zbadał wzrokiem sytuację. Gałęzie jakiegoś drzewa, zwieszające się nad wodą, osłaniały go swoim cieniem, przeto dotarł pod ich osłoną do brzegu i wylądował, nieco odpocząć. Słyszał teraz zmieszane ludzkie głosy, potem plusk wody roztrącanej wiosłami. Strażnicy pograniczni zabrali łódkę i pojechali ku środkowi koryta. Paskow obserwował ją z ukrycia. Widział, jak żołnierze szukali wszędzie, kierując się to tu, to tam, aż wkońcu porwał ich prąd i poniósł środkiem rzeki. Wkrótce zniknęli mu z oczu.

Przez chwilę spiskowiec zastanawiał się, co ma czynić dalej. Czy iść na poszukiwanie towarzysza?... Chyba padł od kuli, a w takim razie Paskow nie mógłby mu w niczem być pomocny. Przed nim leżała ciemna, szumiąca łacha rzeki, a za nią daleko, daleko drugi brzeg, na którym czekało go ocalenie i wypoczynek. Wówczas zdecydował się. Zdjął ubranie, związał je w węzeł i przytwierdził mocno do ramion. Potem rozejrzał się jeszcze raz dookoła. Zerwał się teraz wiatr i zmarszczył gładką dotąd powierzchnię wody. Była to pomyślna okoliczność. Paskow przeto, nie zwlekając dłużej, zsunął się w fale rzeczne. Płynął równo, spokojnie, wykonując prawidłowe ruchy i oszczędzając sił. Gdy dotarł do środka, gdzie prąd był silniejszy, położył się na wznak i pozwolił nieść falom. Od czasu do czasu podnosił głowę i rozglądał się za łódką. Istotnie ujrzał wkrótce strażników. Szukali go dotąd koło wybrzeża.

Narazie przeto wymknął się znowu szczęśliwie z kleszczy niebezpieczeństwa. Zdawał sobie jednak sprawę z trudów, jakie go dalej czekały. Wiedział, że musi wylądować niespostrzeżenie, w przeciwnym razie aresztowałyby go posterunki rumuńskie i bez wahania wydały sąsiadom. Począł powoli kierować się do brzegu, który wyłaniał się coraz wyraźniej z ciemności. Paskow był już tak wyczerpany, że z trudem oddychał, to też z uczuciem niezmiernej ulgi poczuł grunt pod nogami. Wybrzeże było zupełnie puste. W dali widniały tylko zarysy jakiegoś wysokiego budynku i szumiały pola zbożowe. Paskow poszedł prosto w tym kierunku, nie wkładając nawet ubrania. Znalazł na miedzy wysoką topolę, rozwiesił na gałęziach odzież, by nieco przeschła, a potem sam usiadł pod nią. Nie odczuwał radości. Ponuremi oczyma patrzył ku ciemnym konturom tamtego wybrzeża, które dopiero co opuścił — ku ojczyźnie swej, która dla niego miała tylko prześladowania, więzienia i męki, i z której musiał sromotnie uciekać. Górą, ponad głową zbiega ciągnęły z krzykiem gromady dzikiego rzecznego ptactwa, w trawach świerkały świerszcze, a głosy te wydały się strudzonemu, niby oddech czarnej nocy, która ciągnęła nad światem. Przeżyte dopiero co obrazy poczęły przesuwać się przed oczami wyobraźni Paskowa. W serce jego skradał się zimny gniew przeciw tyranom, którzy uzurpowali sobie władzę w jego ojczyźnie, wiodąc ją na bezdroża. Gniew i pragnienie zemsty! Jakże jednak daleko była możność odpłacenia ciemięzcom! On sam był w tej chwili ściganem zwierzęciem, które musi się ukryć, a najmniejszy odblask jutrzenki nie świtał jeszcze na zachmurzonym horyzoncie politycznym.

Odpocząwszy i przesuszywszy jako tako ubranie, ruszył w dalszą drogę. Na najbliższej stacyjce wsiadł na pociąg i udał się do Krajowej. Przez drogę przysłuchiwał się pilnie rozmowom, nic nie posłyszał jednak interesującego. Nikt nie wspomniał nawet o zamachu. Jakże daleko była już jego ojczyzna!

W Krajowej na dworcu kupił sobie stos dzienników, z których dowiedział się, że w Bułgarji został ogłoszony stan wojenny, że co dnia aresztuje się setki ludzi, że tu i tam wybuchnęły rewolucyjne rozruchy i wkońcu to, że Rumunja zobowiązała się wydać zamachowców rządowi bułgarskiemu, o ileby takowi poszukali schronienia w jej granicach. Ten ostatni szczegół przeraził go i zmusił do podjęcia dalszej drogi, zrozumiał bowiem, że powinien jaknajprędzej kraj ten opuścić. Skutkiem tego wsiadł wieczorem do pociągu i puścił się do Turn-Severin.

Pociąg odchodził o dziesiątej godzinie. Paskow usiadł w kąciku wagonu trzeciej klasy i natychmiast zasnął. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin ani na chwilę nie zmrużył oka, a ucieczka i wrażenia wyczerpały go zupełnie. Sen jednak jego nie trwał długo. W pewnej chwili obudził się i otworzył oczy z przerażeniem. Ujrzał przed sobą konduktora i jakiegoś pana w cywilnem ubraniu. Konduktor zażądał biletu, a ów jegomość, widocznie detektyw,—legitymacji. Spiskowiec patrzył na nich przez parę sekund, jak na jakieś senne zjawy, a potem niemal zupełnie nieświadomie odpowiedział w niemieckim języku:

— Nie posiadam żadnej legitymacji.

Detektyw podniósł wysoko brwi w górę.

— Tak? Niema pan legitymacji? A skąd pan jedzie?

— Z Konstancy.

— A jak pan się dostał do Konstancy? Skąd pan jest w ogólności?

— Jestem poddanym niemieckim. Byłem w niewoli rosyjskiej i teraz wracam do domu.

— Dlaczego pan się nie zameldował w niemieckim konsulacie w Bukareszcie? Tam byliby panu dali jakąś legitymację.

— Nie miałem czasu. Spieszno mi było do domu, a ponieważ pociąg stał właśnie na stacji...

— Czy nie jest pan przypadkiem Bułgarem?

— Nie — odpowiedział Paskow wybitnym akcentem berlińskim, który przyswoił sobie w czasie studjów w Charlottenburgu.

Detektyw widocznie jednak coś podejrzewał.

— Niech pan narazie pozostanie w tym przedziale, aż do Turn-Severin. Tam dowiemy się, kim jest i ewentualnie wydamy panu papiery, potrzebne do dalszej drogi.

A zatem znowu znalazł się w niebezpieczeństwie. Miał dotąd przy sobie bułgarską książkę robotniczą i rewolwer. Jeżeli go zechcą zrewidować, będzie zgubiony. A tak mu się dotąd wszystko dobrze składało... Nie tracił jednak nadziei i postanowił wysiąść niespostrzeżenie na jakiej małej, bocznej stacyjce, detektyw bowiem udał się do sąsiedniego wagonu. Nadzieja ta jednak okazała się złudną, detektyw wkrótce powrócił i zabrał go z sobą do służbowego przedziału. Konduktorzy pili i gwarzyli o tem i owem. Paskowa też zaprosili do kompanji. Chętnie wypił szklaneczkę wina, by się rozgrzać i dodać sobie animuszu, lękał się bowiem, że detektyw dostrzeże jego zdenerwowanie. Alkohol począł znowu go rozmarzać, ale czuwał nad sobą, by nie zasnąć. Zauważył, że jego prześladowca pije, i to dużo, co wzbudziło w jego sercu nową nadzieję ucieczki. Wdał się więc w rozmowę z towarzyszami podróży. Mówił po niemiecku, ale oni go zrozumieli i śmieli się do rozpuku z jego opowiadań, często przepijając do niego. Paskow jednak przykładał tylko pozornie butelkę do ust i nie pił wcale. Gdy pociąg stanął na stacji w Turn-Severin, detektyw dźwignął się niechętnie z ławki.

— Co robić? — rzekł. — Musimy iść.

Wysiedli i wmięszali się w tłum.

— Wiesz co? — odezwał się. — Zaprowadzę cię do komendy dworca, tam prześpimy się parę godzin, a potem pojedziemy do Sigurantza. Ale nie bój się, nikt ci tam krzywdy nie zrobi.

— Och! Jenachie, — zawołał nagle ktoś z tłumu i chwycił detektywa za ramię: — Skąd wracasz?

Detektyw wdał się w ożywioną rozmowę, a Paskow, oddaliwszy się parę kroków, przystanął i czekał na niego. Nagle błysnęła mu nowa myśl. Zamięszał się w tłum przechodniów i wyszedł poza obręb dworca. Nikt go nie ścigał, nikt nie wszczął alarmu.

Jeszcze dzień nie wstał i na ulicach panowała ciemność. Paskow biegł co sił poza miasto pod znany adres, do towarzysza partyjnego, który tu mieszkał w małym domku przedmiejskim.

Zapukał do okna i zbudził właściciela. W pośpiesznych słowach opowiedział dzieje swojej ucieczki, nawet ostatnią przygodę z detektywem.

Towarzysz wysłuchał wszystkiego uważnie i rzekł:

— U mnie jesteś narazie zupełnie bezpieczny. Zostań tu i wyśpij się a potem pomyślimy, co robić dalej.

Paskow w ciągu ostatniego tygodnia nie spał w łóżku ani razu, to też z rozkoszą wyciągnął się teraz w wygodnem łożu przyjaciela i zasnął głęboko. Zbudził się dopiero przed wieczorem.

Zaraz we dwóch złożyli walną naradę. Romanow — tak się nazywał ów towarzysz, — był zdania, że nie należy uciekać ku serbskiej granicy, tam bowiem kontrola paszportów była nader ścisła, lecz raczej skierować się ku Turcji, gdzie znajdowało się kilku przywódców partji. Najlepiej byłoby pojechać statkiem do Gałaczu a stamtąd parowcem do Konstantynopola.

— Przedewszystkiem jednak, — mówił — musicie zmienić ubranie, bo w Rumunji najlepiej dzieje się takim, którzy są dobrze ubrani, a umieją brutalnie postępować.

Po dwóch dniach Paskow puścił się w dalszą drogę. Miał obecnie na sobie sportowe, eleganckie ubranie, a papiery jego stwierdzały, że jest Niemcem, osiedlonym w Rumunji. Zrezygnował z jazdy statkiem, okazało się bowiem, że pasażerskie okręty wstępują po drodze do portów bułgarskich i zabierają pasażerów po drodze. Paskow nie chciał więc narażać się na spotkanie z jakimś znajomym, coby mogło pociągnąć dla niego daleko idące następstwa.

Podróż przez Bukareszt i Czarnowodę trwała długo. Młody człowiek tracił pomału siły nerwowe, ciągle bowiem groziło mu poważne niebezpieczeństwo. Czuł też wewnętrzne wyczerpanie i zniechęcenie. Jak długo potrwa jeszcze to życie ściganego zwierzęcia? Jaki cel ma to wszystko, jak się skończy? I czy ofiara przyniesie istotnie owoce, któreby zrównoważyły trud i mękę podobnego istnienia?

W Konstancy przez długi czas nie mógł znaleźć okrętu i kapitana, któryby go chciał zabrać na pokład, ponieważ nie posiadał zagranicznego paszportu. W dodatku zachorował i kilka dni przeleżał w jakiejś oberży. Mały zapas pieniężny, którym rozporządzał, wyczerpał się tymczasem zupełnie, a położenie stawało się coraz rozpaczliwsze. Gdy gorączka przeminęła, udał się do portu, nie tracił bowiem nadziei, że ktoś wkońcu weźmie go bodaj jako okrętowego robotnika na pokład.

Pewnego dnia istotnie zwrócił na niego uwagę pewien kapitan statku,—Niemiec,—i sam go zaczepił. Paskow powiedział mu, że chce jechać do Turcji, ale że nie ma ani pieniędzy, ani paszportu. Oficer, widocznie zainteresowany, czy może wzruszony jego wyglądem, zaprowadził go ze sobą do pobliskiej restauracji i tam Paskow pod wpływem nagłego i pozornie niczem nie umotywowanego zaufania, opowiedział temu przed kwadransem zaledwo pozna-

nemu człowiekowi, że jest bułgarskim przestępcą politycznym, i że w Niemczech skończył uniwersytet.

— Czy umiałby pan obsłużyć maszynę okrętową? — zapytał nowy przyjaciel.

— Naturalnie.

— Dobrze. Jeden z naszych majstrów jest chory i mogę pana zaangażować jako jego zastępcę. Tylko trudno się dostać na pokład bez paszportu. Poczekajże pan na mnie tutaj, ja dostarczę panu czapki i munduru maszynisty. W takiem przebraniu możemy zaryzykować...

Paskow był tak ogłuszony tem niespodziewanem powodzeniem, że nawet nie odczuwał wzruszenia. Wkrótce kapitan powrócił. Spiskowiec nałożył czapkę i mundur i wyszedł spokojnie na ulicę w towarzystwie swego nieoczekiwanego zbawcy. Straż portowa nie robiła im żadnych trudności. W ten sposób Paskow dostał się na pokład. Natychmiast jednak musiał zejść do hali maszyn, kapitan bowiem oczekiwał rewizji kontrolnej, której ulegał każdy okręt przed wyruszeniem w drogę.

Przed wieczorem wyjechali na pełne morze.

Paskow stał na pokładzie i spoglądał ku wybrzeżu, podobnemu w tej chwili do wąskiej smugi, ciemniejącej na horyzoncie. Szczęście rozpierało mu piersi. Począł wierzyć, że już nic mu nie zagraża i że pocznie znów żyć jak wolny człowiek. Straszliwe znużenie i cierpienia ostatnich tygodni spłynęły z jego serca, nie zostawiając żadnych śladów. Był znów tym samym gorącym entuzjastą — człowiekiem zdolnym do najwyższych ofiar i bohaterskich wysiłków.

Wesoło gawędził z kapitanem, który przekonał się z przyjemnością, że uratował życie dzielnemu i inteligentnemu człowiekowi, od którego mógł się dowiedzieć wielu ciekawych szczegółów, dotyczących życia południowych ludów.

Statek, na którym Paskow w tak cudowny sposób się znalazł, był okrętem towarowym i płynął do Konstantynopola okrężną drogą, wstępując po drodze do Burgas i Warny.

W Warnie Paskow dowiedział się, że spiskowcy w Sofji, doprowadzeni represjami do ostateczności, dokonali nowego zamachu, którego ofiarą padł pewien generał i minister wojny. Paskow kazał sobie przynieść na pokład mnóstwo gazet i czytał je chciwie. Interesował go przedewszystkiem fakt, czy Maksymowicz nie został dotąd aresztowany. Nigdzie jednak nie znalazł odpowiedniej wzmianki.

Z Warny popłynęli do Burgas i tam otrzymali ładunek, przeznaczony dla Gałaczu. Musieli zatem wracać!... Wiadomość ta była poprostu ciosem dla Paskowa. Sam nie wiedział co czynić. Czyż miał wracać do Gałaczu teraz, gdy znajdował się tak blisko tureckiej granicy? Postanowił wysiąść i spróbować przedostać się pieszo do sąsiedniego państwa, w którem czekała na niego wolność i spokój.

Pożegnał się z zacnym kapitanem, i zaopatrzony w legitymację marynarską, ruszył w drogę. Już przekroczył rogatki w Burgas, już stał niemal u granicy Turcji, gdy los zdarzył, że dostał się w ręce marynarskiej patroli. Paskow sądził, że tym razem wszystko stracone. Los jednak mu sprzyjał. Oficer, który go w Burgas przesłuchiwał, dał się wprowadzić w błąd i uwierzył, że ma przed sobą zbiega z pokładu okrętu, stojącego w porcie na kotwicy. Sprowadzony pospiesznie kapitan poznał swego pupila i poświadczył, że zbieg istotnie należał do jego załogi, ale że otrzymał urlop, pragnął bowiem odwiedzić krewnych, mieszkających na granicy tureckiej. Coprawda otrzymał surową naganę za to, że przyjmuje na pokład ludzi bez paszportów i że jeszcze im w dodatku udziela urlopów, ale wysłuchał admonicji z zimną krwią i zabrał zbiega z powrotem na statek.

Sytuacja nie przedstawiała się zbyt wesoło, ale los raz jeszcze przyszedł spiskowcowi z pomocą. Niespodzianie do portu wjechał wielki statek, krążący między Sewastopolem a Stambułem. Było to zbawieniem dla Paskowa. Kapitanowi udało się swego protegowanego umieścić na tym statku. Jeszcze tego samego wieczoru ruszyli w dalszą drogę. Z biciem serca Paskow obserwował wyłaniające się z mgieł oddalenia wybrzeża Bosforu, prześliczne wille i gaje cyprysowe. Nakoniec więc nieszczęsny tułacz znalazł się u celu. Nikt mu nie robił trudności przy wylądowaniu. Spokojny i szczęśliwy udał się natychmiast na poszukiwanie towarzyszy, których adresy podał mu Romanow.

Po drodze wstąpił do kawiarni, w której dostrzegł kilku europejczyków. Wtem ktoś głośno zawołał go po imieniu. Odwrócił się i ku swej najwyższej radości ujrzał Maksymowicza, spieszącego ku niemu z otwartemi ramiony. Usiedli obaj przy stoliku i ze wzruszeniem opowiadali sobie nawzajem przygody ucieczki.

— No, a teraz, — rzekł Maksymowicz, — muszę ci wystarać się o mieszkanie. Mamy zresztą gotową kwaterę. Romanow dał nam znać, że jesteś w drodze do Konstantynopola.

Maksymowicz zaprowadził go do małego domku z czerwonych cegieł i zapukał do drzwi na pierwszem piętrze. Otworzyła im jakaś stara kobieta.

— Przyprowadzam pani towarzysza, bardzo dzielnego chłopca — rzekł Maksymowicz, prezentując kolegę. Następnie odszedł, przyrzekając przyjść po niego wieczorem.

— Niechno pan troszkę ze mną, starą zostanie i opowie mi o swych przygodach — rzekła kobieta, prowadząc go do kuchni, w której właśnie piekła baraninę z czosnkiem i z papryką i ciastka.

Paskow niewiele jednak mógł jej opowiedzieć, stara bowiem nie dopuszczała go do słowa.

— Będzie panu u mnie dobrze, — mówiła — postaram się panu zastąpić matkę. Na młodych ludzi to trzeba mieć ciągle oko, szczególniej tutaj w Stambule. Tak, tak... Nie pozwolę panu latać po nocach, ani palić papierosów... Będę nad panem czuwać, jak nad rodzonym synem.

Młody człowiek patrzył na tę starą kobietę, stojącą przy blasze kuchennej, w najwyższem zdumieniu. Słowa jej płynęły ku niemu, jakby z niezmiernie dalekiej przeszłości, a jednak tak dobrze były mu znane. Czyż to sen, czy jawa? Przed paru tygodniami opuścił starą ciotkę w Sofji, a teraz tutaj w Stambule ma przed sobą jej żywy obraz. Ta kobieta stoi przed blachą, jak jego ciotka, smaży jakieś ciastka, jak jego ciotka, i gada nieprzerwanie, jak jego ciotka...

Nagle ogarnęło go niezmierne znużenie. Oto stanął w szeregach służebników ojczyzny, popełnił straszny czyn w imię wolności i ideałów. Stał się wyrzutkiem społeczeństwa, ściganem zwierzęciem, na które wszędzie czyha śmierć i hańba. Uciekał przez granice, lądy i morza, dążył niezmordowanie do obcych wybrzeży, by u końca swej bolesnej wędrówki znaleźć to samo, co zostawił poza sobą: oklepany komunał w postaci starej ciotki, sprawiającej nieśmiertelne rządy u kuchennej blachy.

KTOŚ GRA...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej,
Ktoś gra bez przerwy i bez końca,
Rytm monotonny, nieustanny,
Jak ciecz się w serce wlewa żrąca...

Ktoś gra, ktoś gra — a pieśń się żali,
Że nie zna wiosny, nie zna słońca,
Że jej wśród mgieł jesienych fali
Każą tak łkać i łkać bez końca...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej
I moich nocy sny zamąca...
Rytm monotonny, nieustanny
W gorzką apatję duszę wtrąca...

Ktoś gra, ktoś gra w posępej dali,
Jakaś dłoń senna, czy mdlejąca...
I pieśń się żali, serce żali
Na chmurne noce — dni bez słońca.

LEON RYGIER.

DEOTYMA

JADWIGA ŁUSZCZEWSKA

POLSKA MOWA

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś świątynią marmurową,
Kędy przeszłość w pełnej zbroi
Na ołtarzu wspomnień stoi.

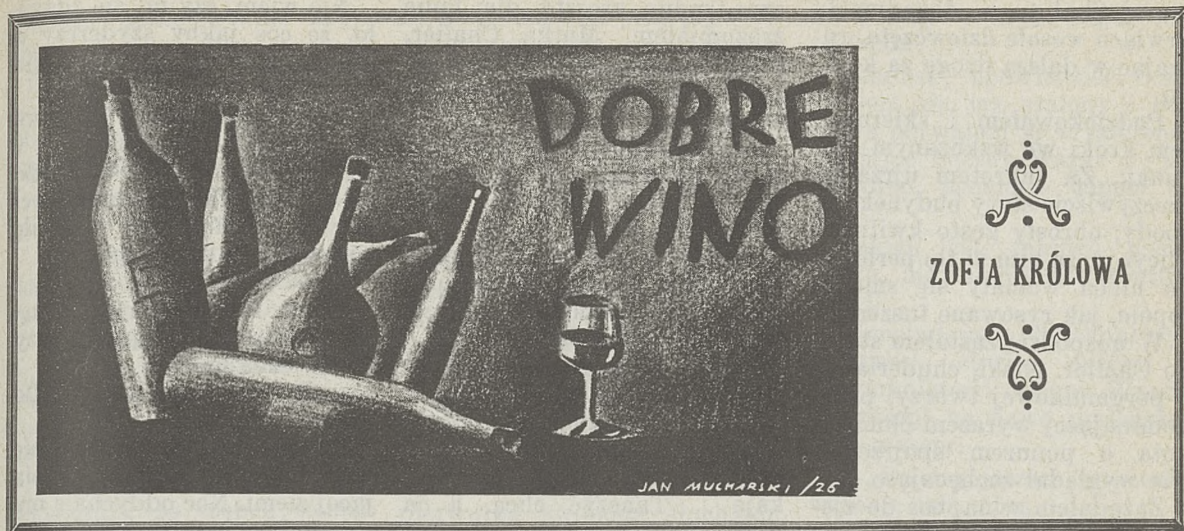
Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś mądrością jest ludową,
Na niej wije się myśl imiotka
Jakoby nić kołowrotka.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest czarą brylantową,
Gdzie młódź, usty spragnionemi
Pije miłość polskiej ziemi.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jutrzenką purpurową —
Póki nie zagaśnie ona,
Dusza polska nie zgaszona!

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyżeś lutnią jest spiżową,
Na której myśl wiecznie żywa
Hymny przepiękne wygrywa.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest trumną kryształową,
Gdzie uśpiony naród święty
Zamknął swych pamiątek szczęty.





DOBRE WINO

ZOFJA KRÓLOWA



PRAWDZIWY Burgund? Raz tylko piłem prawdziwy... — mówił młody jeszcze wojskowy — i więcej takiego nie spotkam w życiu...

Wpatrzył się w lampkę czerwonego wina, trzymaną na stole trzema palcami, wzrokiem przyćmionym, jakby cofniętym wgłąb.

— Wino nie zawsze jest napojem bogów — wyrzekł sentencjonalnie.

Nagle potrząsnął energicznie głową, wypił wino i zwrócił na kolegów spojrzenie jasnych oczu.

— Dobrze, chcecie, opowiem wam to zdarzenie, mimo, że tem samem wydam się na pastwę waszych ostrych języków.

Uśmiechnął się kątem ust ze szczególnym wyrazem.

— Słuchajcie zatem. Było to po naszem rozbiciu i rozsypce po wszystkich krańcach świata. Ja znalazłem się wraz z innymi we Francji, gdzie dla zabicia czasu włóczyłem się po wszystkich jej kątach. Zbliżał się dzień powrotu do kraju. Kilka dni pozostawało mi jeszcze wolnych. korzystałem z nich, by zwiedzić te okolice, które zdały mi się więcej pociągające. Jadąc z Vauclus, w ciągu niespełna doby znalazłem się w Burgundji, w jej najpiękniejszej części w departamencie Cote d'Or, slynnym, jak wiecie, nietylko z przepysznych win, ale i czarownych krajobrazów. Żyzne płaszczyzny, białe gościńce, wzgórza łagodne, kapiące winnicami, gdzieniegdzie resztki starych fortów, rozrzuconych wśród malowniczych wiosek.

Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Był to rozkwitły dzień letni, na przełomie jesieni. W bujnym przepychu stały wzgórza, poplamione ciemnią lasów i płatami winnic, o nieprzebranem bogactwie barw mieniących się złotem, fioletem i zwarzoną purpurą. Szał wyzwolenia życia grał w rozpalonem słońcu zapachami żywicznych drzew, skoszonych traw i uderzał z winnic falą upojnych, przegrzanych, dostałych jagód. Wchłaniałem z rozkoszą soczyste oddechy, poddając się działaniu tej rozszalałej bujności przyrody.

Parę godzin szedłem już szerokim gościńcem, a że niedawno opuściłem stolicę Avignonu, prostem skojarzeniem myśli narzucił mi się gdzieś czytany wiersz, z którego zapamiętałem pierwszą zwrotkę. Nuciłem więc sobie, wędrując bez celu po białej drodze:

"Spotkałem ją w dzień winobrania
Już przed wieczornym słońca skonem w krótkiej spódnicze
z wrzącem łonem...
Na wpół bachantka, na wpół łania
w uścisku, z okiem rozmarzonem
przez pole szła, pod Avignonem
w dzień winobrania".

Słońce schyliło się ku zachodowi. Znużony usiadłem na przydrożnym kamieniu. Pragnienie mię paliło.

Dobrzeby było skosztować tutejszego wina, ale gdzieby go tu dostać?

Na gościńcu, w tumanie złotego pyłu, zamajaczyło zjawisko, które zdawało się być wywołaną mym nastrojem wizją. Była to gromadka dziewcząt, pędząca przed sobą stado białych kóz.

— Dobry wieczór, dziewczęta! — pozdrowiłem je.

— Powiedzcie mi, proszę, gdzie tu jest najbliższa gospoda. Chciałbym spróbować dobrego wina z waszych winnic...

Na dźwięk mego głosu zatrzymały się i wnet stłumione śmieszki i szepty podniosły się w gromadce, niewadomo, czy z mej lichej francuzczyzny, czy z cudzoziemskiego akcentu i munduru.

Wysunęła się jedna, znać najrezolutniejsza.

— Gospoda ojca Chalier, tam za skrętem drogi za drzewami.

— Oj, ale nie upijcie się winem matki Marion!

— Nie pijcie za dużo...

— A nie zakochajcie się w

starej Chalie... — dogadywały drwiąco wesołe dziewczęta, ruszając w dalszą drogę za kozami.

Podziękowałem i skierowałem kroki we wskazanym kierunku. Za zakrętem ujrzałem rzeczywiście stary budynek gospody, obrosły gęsto kwitnącą glicynją, za nim w tło perłowego nieba wcinały się smukłe topole, jak rysowane tuszem.

W gospodzie zastałem starego Chalier. Niski, chuderlawy, o pergaminowej twarzy, przypominającej wyrazem chudego kota o ponurem spojrzeniu. Nie wyglądał zachęcająco.

Zażądałem wina, coś do zjedzenia i prosiłem o nocleg.

Ruszył do bocznych drzwi, podpierając się laską, i zawołał w głąb izby wcale mocnym głosem:

— Matko Marion! Wina i wieczerzę podróżnemu!

W krótce wysunęła się matka Chalier, stara wiedźma, przygięta, o suchej twarzy, ostrych rysach, które niegdyś mogły być ładnemi, niosąc wino i skromny posiłek. Stawiając przedemną wieczerzę, obrzuciła mnie podejrzliwem spojrzeniem ciemnych oczu z pod krzaczastych, czarnych jeszcze brwi. Oczy te, jeszcze żywe i błyszczące, stanowiły dziwny kontrast z zawiędłą twarzą. Niemniej zwracał uwagę strój niezwykły dla tych oddalonych od morza okolic. Był to strój bretońskich rybaczek, z czepkiem ze skrzydłami, bardzo staranny, nie odpowiadający postaci tej staruchy. Na piersiach jej zauważyłem prześliczne duże bursztyny, znać bardzo stare, ciemne, o szlachetnym odcieniu przejrzystego miodu.

Wieczór zapadał. Gryząc chleb z serem i popijając dość słabem winem, próbowałem w swej słabej francuzczyźnie zawiązać rozmowę z gospodarzami. Stary, pykając fajkę, dość lakonicznie odpowiadał ze swego kąta pod oknem, w narzeczu trudno zresztą dla mnie zrozumiałem. Matka Chalier, człapiąc ciężkiem obuwiem po izbie, odpowiadała czasem za niego.

— Tak panie... tu pusto... sami jesteśmy. Nie nudzimy się, bo pracy dużo — cykał przez zęby stary.

— Biedni jesteśmy... robotnik drogi, winnicy trzeba pilnować... gospoda niewiele przynosi — objaśniała.

— No, ale w gospodzie przecież wesoło: bawią się, piją...

—Ii! — machnął ręką stary.

— Nie u nas. Starzy jesteśmy... starzy. Młodzi nas unikają... Tańczyć chcą, a ja spokój lubię.



...*wydam się na pastwę waszych ostrych języków.*

Powstał, nie ukrywając znużenia, i życząc mi dobrej nocy, pokuśtykał do drugiej izby, przymykając drzwi za sobą.

Zostałem sam ze starą, która przy słabem świetle kaganka krzątała się teraz, przygotowując mi posłanie na szerokiej ławie pod ścianą.

— Matko! Nie macie lepszego wina? To młode. Dobądźcie no starszego burgunda. Chwalili wasze wino — próbowałem pochlebić starej.

Łysnęła czarnemi oczami z pod brwi, może pogłaskana pochlebstwem.

— Wino.... burgund... Dobre wino — mruczała do siebie.

Nie wiem, czy mi się zdawało, że coś jakby szyderczy uśmiech skrzywił jej wargi, kiedy zwróciła się do mnie:

— Chcecie, panie... dobrego wina? — Spojrzała mi w oczy, podreptała w stronę izby męża, uchyliła przymkniętych drzwi, nasłuchując chwilę, wreszcie zamknęła, mówiąc:

— Już śpi!

Sama wysunęła się drugą stroną do sieni i w progu przystając oznajmiła:

— Przyślę wam wina... Dobranoc...

Stanąłem w otwartem oknie, wsłuchując się w ciszę usypiającej ziemi. Noc oddychała muzyką wieczoru, szumem topól pobliskich i odgłosami dalekiej wsi, tworząc kojącą harmonję z balsamicznemi zapachami łąk i kwiatów glicynji, obrastających okno. Znużony drogą, już zrezygnowałem ze spełnienia obietnicy i zamierzałem wyciągnąć się na ławie, gdy słuch mój uderzyły zbliżające się kroki, lekkie i młode.

Za chwilę we drzwiach ukazało się najmniej spodziewane zjawisko. Była to młoda, smukła dziewczyna, o ciemnych palących oczach, w takim samym stroju bretońskim, jak matka Chalier. Nawet takie same stare bursztyny błysnęły w świetle lampki. Widocznie zatem córka, lub raczej wnuczka gospodarzy. W ręku miała dzban wina, a stawiając go przedemną na stole, musnąwszy mnie w przelocie, pochyliła się nieco całą kibicią, Nie wiem, czy z dzbana, czy z uroczej postaci dziewczyny, uderzył zmysły moje pyszny winny aromat. W tej chwili dziewczyna zwróciła na mnie spojrzenie swych wielkich ognistych oczu.

Jakże pięknych i wymownych!

Nie byłem pijany po tej szklance cieńkuszu, jakim uraczyli mię starzy, lecz na widok tej, młodem życiem grającej, postaci, płomienny dreszcz

przebiegł mnie wzdłuż krzyżów.

Dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco, a pełne wiśniowe usta, jakby wzdęte gorącą krwią, odsłoniły równe ząbki. .

— Pijcie, panie, wino — dobre wino... chcieliście sami...

— Napijecie się ze mną, piękna panienko? Spróbujcie pierwsza... tak trzeba. Może chcecie mnie otruć? — droczyłem się, podniecając własną.. odwagę, bo mnie to zjawienie cudnego zaiste stworzenia zaskoczyło i, o dziwo, onieśmieliło.

Potrząsnęła główką tak energicznie, że czepek zsunął się nieco i odsłonił krucze włosy.

— Moje wino was nie otruje, panie... jeno da wam sny piękne — dokończyła ze śmiechem.

Pociągnąłem łyk iście wspaniałego wina. Nie wiem, czy obecność młodej czarodziejki sprawiła, że raptem zacząłem dobrze rozumieć jej narzecze i sam wcale gładko się wysławiać.

Zaprosiłem ją, by usiadła koło mnie na ławie. Nie wzbraniała się. Potoczyła się rozmowa. Dziewczę było wesołe, wygadane, wcale na swój stan inteligentne. Zapytałem ją kim jest.

— Marion Chalier. . .

— A więc córka, czy też wnuczka matka Chalier. A ludzie mówili, że starzy nie mają nikogo — sami mieszkają. A ty nosisz taki sam strój, i twoje oczy takie czarne, jak u babki Chalier... bo tyś pewno wnuczka, nieprawdaż?

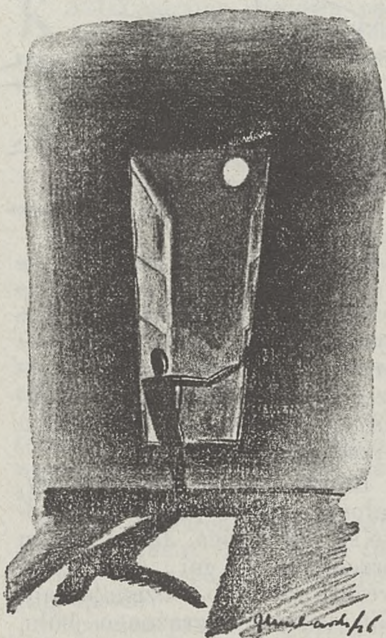
— Eh! co tam będziecie pytać... Wszystko jedno!... My tu obcy, nas nie lubią, to i bająją różnie... Powiedzcie co lepiej o sobie.

Opowiadając, wziąłem jej drobną spaloną słońcem rączkę, starając się przyciągnąć ją bliżej.

— Napij się wina z mojego kubka, Marion!

Dotknęła lampki purpurowemi wargami, a ja przy jej zbliżeniu poczułem, jak gorący płomień poprzez ubranie przeniknął moje ciało. Znów ten mocny a czysty aromat wina i jakiś zapach zwierzęcości, jakim pachnie czasem las w jesieni, podniecał jeszcze silniej moje nerwy. Nieznane, dziwne uniesienie, pełne rozkoszy i zniecierpliwienia, młotem waliło w skroniach. Z dziewczyną działo się coś podobnego. Pokraśniało jej ciemne liczko i jeszcze silniejszym ogniem rozbłysły piękne oczy.

Śliczne stworzenie nie ukrywało swoich wrażeń, z jakąś pierwotną swobodą słuchając



Stanąłem w otwartem oknie. . . .

moich coraz gorętszych wynurzeń. Patrzyło mi w oczy.

Popijając pyszne wino, z kolei słuchałem jej niskiego, dźwięcznego głosu.

Skubała zerwaną przez okno gałąź żółtej glicynji i opowiadała mi wzajem o swem życiu w tym ustronnym zakątku — o pracach letnich w winnicy, o zbiorach jesieni, o długich dniach zimowych. Skarżyła się, że rzadko widuje tu kogo z miasta, a już takiego miłego, ładnego pana — tu spojrzała mi w oczy — chyba nigdy nie widziała...

Zamiast opowiedzieć, zerwałem się jak szalony i bez słowa porwałem ją w ramiona, wpijając chciwe wargi w jej wilgotne, pachnące winem usta...

Takich ust, takiego pocałunku. nikt nigdy nie kosztował!!!

Opowiadający odetchnął wyczerpany, chwilę milczał z przymkniętemi oczami. Wreszcie zaczął na nowo przyciszonym głosem:

— Dzisiaj jeszcze wrażenie wraca z całą mocą...

— Pocoście mnie u djabła zmusili skosztować tego bur gunda!

— Wcale niezły, przyznaję... ale to nie to!

— Zazdrościcie mi?... Po czekajcie z tem trochę...

— Że nie oszalałem po tej nocy, sam sobie się dziwię. Wino — dziewczyna—zapach glicynij... złożyły się na jedną całość — szaloną noc!

Dzisiaj wiem przynajmniej, co znaczy w istocie zestawienie "Wino i kobieta".

Ogień płynął w żyłach Marion i ogień musiał być w winie...

Pamiętam, że świt zabielił okna, kiedy.. wyczerpaniem pijany zasnąłem na jej piersiach.

Zbudziło mnie człapanie drewnianego obuwia. Nademną stał stary Chalier. Podniosłem ciężką, jak z ołowiu głowę, spojrzałem wokół... Leżałem na ziemi, — obok wypróżniony dzban z wina i gałąź zwiędłej glicynji.

Stary patrzał na mnie jakimś złym wzrokiem.

— Upiliście się, panie... Wstańcie, dam wam koziego mleka — mamrotał.

— Musimy się pożegnać. Mnie czas iść do winnicy. Matka Chalier już poszła, dom trzeba zamknąć...

Nie odpowiadałem, nie mogąc zrozumieć, czego odemnie

chce; odczuwałem tylko, że chce mi krzywdę jakąś wyrządzić.

Jakże to, wypędza mnie od Marion? Ależ to być nie może!

— Ja... ojcze Chalier... nie pójdę stąd... Zapłacę wam ile się należy... i z Marion chcę mówić — bełkotałem.—Z córką...

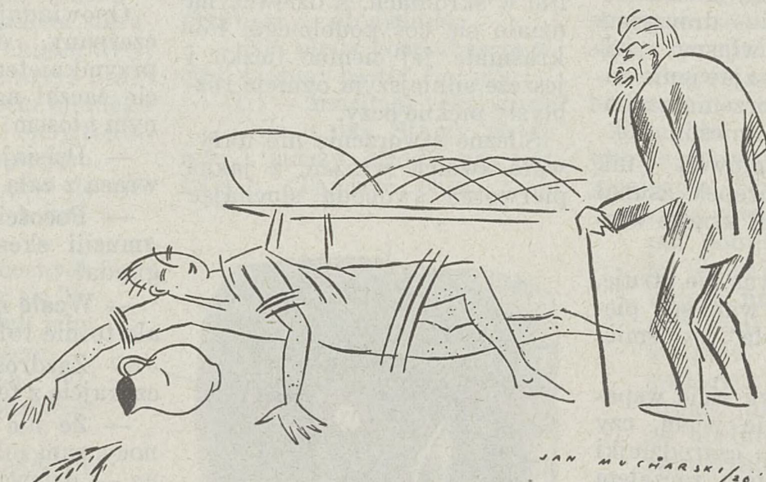
mruczał coś tylko niezrozumiale.

Widząc, że naprawdę zabieram się do drogi, wyjaśnił twarz i patrząc znacząco w oczy, powiedział:

— No, idźcie z Bogiem, panie. A to... wam się śniło! Za dużo piliście. Nie każdemu służy nasze wino... pamiętajcie!

trzyły jasno, nie zdradzając gorączki. Zato usta pokaleczone, pogryzione, paliły mię dotąd.

Podniosłem głowę i już miałem powstać w dalszą drogę, gdy ujrzałem nadciągające od wsi wczorajsze pasterki, pędzące kozy. Na mój widok same zatrzymały się przedemną.



Wstańcie, dam wam koziego mleka...

— Z córką? — wrzasnął stary wściekle. — Z jaką córką? Nigdy nie mieliśmy dzieci!

— A dziewczyna?... któż ona?

Wzrastający gniew zabarwił łuną złą, pergaminową twarz starca.

— Sami mieszkamy... Opiliście się winem! Matka Chalier poszła.

Gniew i wściekłość wzbierały znać w suchej piersi, zdawało się, że pod ich wpływem zgarbiony starzec rośnie w oczach. Ściskał grubą laskę w żylastej ręce i patrzył we mnie, jakby wzrokiem chciał mnie zabić.

Chwilę wahałem się, czy lepiej mu rozwalić ten zły łeb, czy starać się udobruchać. Wreszcie wydobyłem portfel i rzuciłem na stół garść pieniędzy.

Stary mimo wściekłości zgarnął szybko pieniądze suchymi jak grabie palcami, i uspakajając się momentalnie,

Zabrałem płaszcz i gałąź glicynji, przestąpiłem próg, odprowadzany drwiącem spojrzeniem ojca Chalier. Nie oglądające się więcej, wyszedłem przed dom.

Ranek był dziwnie mglisty, żałosny, mimo przedzierającego się już słońca. Jakże innym przedstawiał mi się dzień wczorajszy wobec dzisiejszego! Nie czułem wyraźnego bólu, ale zniechęcenie do głębi. Pozostawało jakieś tępe poczucie przerażenia, które starałem się zagłuszyć, nie pozwalając sobie na dotarcie myślą do dna.

Machinalnie niosły mnie nogi gościńcem, aż trafiłem na ten sam kamień przydrożny i również machinalnie na nim usiadłem. Przetarłem sobie oczy, niezdolny do zdania sobie sprawy, czy noc przeżyta była rzeczywistością najszaleńszą, czy też szaleństwem rzeczywistem.

Wyjąłem kieszonkowe lusterko, badając własne rysy. Twarz była blada, ale oczy pa-

— Dzień dobry, panie. Czyście trafili do ojca Chalier?

— Spaliście może w oberży!

Stłumione uśmiechy wybuchnęły znów jak wczoraj.

Wstałem nagle, chwytając dość gwałtownie najbliższą dziewczynę za rękę, aż się cofnęła przestraszona.

— Nie bój się, panienko, — powiedz mi tylko, proszę, kim jest ta młoda dziewczyna, Marion, w gospodzie ojca Chalier.

Wybuch głośniejszego śmiechu całej gromadki był mi odpowiedzią. Po chwili z pośród nich wysunęła się najpoważniejsza, blade dziewczątko, które wczoraj wskazało mi drogę. Ona jedna nie śmiała się, lecz utkwiwszy we mnie duże oczy, rzekła, jakby z pewnem współczuciem:

— Panie! Starzy Chalier są zawsze sami w gospodzie, zawsze sami — powtórzyła — ale wy pewno piliście złe wino tej starej czarownicy bretońskiej. To ona!

SZTUKA OPOWIADANIA ANEGDOT

Arkadjusz Awerczenko.

LUDZIE prawdziwie światowi mogą cieszyć się powodzeniem w towarzystwie — niezależnie od innych zalet — w dwóch tylko wypadkach: jeżeli umieją opowiadać anegdoty, albo też, jeżeli wcale anegdot nie opowiadają...

O ile dobry "kawalarz" cieszy się zasłużonem uznaniem, a świat nosi go na rękach, jak się to mówi w przenośni — o tyle kiepski, nędzny pretendent do tytułu "króla anegdot" widzi wokoło siebie źle ukrywany wstręt i nudę, a towarzystwo — mówiąc obrazowo — "depce go nogami".

Istnieje tradycyjny podział bajarzy anegdot na cztery kategorje, a mianowicie:

1) opowiadający zachowuje poważny wyraz twarzy, podczas gdy słuchacze pokładają się od śmiechu,

2) śmieje się zarówno opowiadający jak i słuchacze,

3) opowiadający — jak się to mówi — zrywa boki, słuchacze zaś, zwiesiwszy głowy, milkną ponuro...

4) słuchacze, uzbroiwszy się w krzesła i butelki po winie, obijają gorliwie opowiadającego.

Oto okropne, zaiste, skutki, wiszące nad głową kiepskiego naratora.

W pewnym dzienniku amerykańskim ze stanu Illinois przytoczono fakt, który powinien być przestrogą dla kiepskich opowiadaczy anegdot. Oto jakieś towarzystwo, wysłuchawszy siedmiu z rzędu obrzydliwych, tasiemcowych anegdot, wpadło w taką furję, że schwyciwszy opowiadającego, oblało go naftą i podpaliło, wesoło tańcząc koło niego dżyga. Następnie ofiarę swą pławili w rzece, poczem przywiązawszy go do sznura, długo włóczyli przy blasku pochodni po ulicach miasta, tak, że zbudzone ze snu matki podnosiły z łóżek swe pociechy, mówiąc: "Patrzcie dziatki, oto nauka, aby nie opowiadać głupich i starych anegdot. Patrzcie i pamiętajcie o tem całe życie".

Zdarza się jednak i odwrotnie. Piszący te słowa znał pewnego młodzieńca, nieosobliwego pod żadnym zgoła względem, ale posiadającego sztukę znakomitego opowiadania anegdot (patrz kategorja pierwsza). I cóż?

Wszystkie panie kochały się w nim, pieściły go i całowały, mężczyźni częstowali wódką i najlepszemi papierosami, w karjerze swej służbowej przeskakiwał zdolniejszych kolegów i jechał w górę, jak dolar w Polsce w roku 1922-im.

Jednem słowem szczęściło mu się w niemożliwy sposób. Pewnego razu, opowiadając w pociągu zabawną jakąś anegdotę, stoczył się z pomostu pod koła, które obcięły mu obydwie nogi: kolej wypłaciła szczęśliwcowi ogromne odszkodowanie, i otoczony miłością oraz szacunkiem współczesnych pędził dalej żywot w dostatku i zadowoleniu.

KAŻDY narator powinien pamiętać o trzech zasadniczych regułach wytwornej sztuki opowiadania anegdot:

1) Anegdota musi być krótka,

2) świetnie opowiedziana,

3) koniec jej niespodziewany.

Najważniejszy jest punkt pierwszy: zwięzłość.

Anegdota długa przypomina wieżę Eiffla, na którą trzeba wejść pieszo, bez pomocy windy... Widok ze szczytu jest może zachwycający, lecz turysta zmęczony wchodzeniem straci ochotę do wszystkiego.

Okoliczności i szczegóły zbyteczne i podrzędne mogą doprowadzić słuchaczy do milczącej pasji, nawet do przestępstwa.

Pewien dyrektor departamentu opowiadał raz w liczniejszem towarzystwie anegdotę w następujący sposób:

"Opowiem państwu wyborną anegdotę" zaczął. "Rzecz zdarzyła się w niewielkiem mieście. Miasto owo było, jak już rzekłem, nieduże, lecz ożywione, leżało bowiem nad Wołgą. Ładowano tam mąkę, spławiano też, oczywiście, drzewo. Ludność — przeważnie handlowa.

"Było przeto w miasteczku mnóstwo szynków, w szynczkach zaś tłoczył się ludek, popijając herbatę, piwo i wódkę. Otóż więc, do jednego z owych szynczków, nie pamiętam już jak się nazywał, może "Kitaj" lub "Grand Café de Paris", zresztą mniejsza o to, przyszedł jakiś podchmielony kupiec.

"Znacie państwo duszę rosyjską: kazał przynieść sobie wódki, zakąsek, jesiotra i coś tam z rusztu. Je i pije, a nad nim w klatce kanarek śpiewa i trele wywodzi. Kupiec słucha. Słucha i ogarnia go zachwyt. Wiadomo przecież, że kanarki śpiewają nieraz bardzo pięknie. Nie bez kozery nazwano nawet ich imieniem wyspy Kanaryjskie.

"Słuchając tedy owego kanarka, woła kelnera. Przybiega kelner, taki zuch rosyjski, rumiany na gębie i uczesany na jeża.

"Słucham pana dobrodzieja!"

"Ile kosztuje ten kanarek?"

"Trzysta rubli."

"Usmażyć mi go na maśle!"

Kelner widząc, że kupiec bogaty i może pozwolić sobie na taką zachciankę, zdjął kanarka i zaniósł bez słowa do kuchni. Po jakimś czasie przynosi pieczyste:

"Gotowe!"

Kupiec przyjrzał się malutkiej pieczeni i powiada:

"Proszę mi ukroić za trzy kopiejki!"

Słuchacze zaśmiali się grzecznie, sądząc, że anegdota skończona. Ale dyrektorowi szkoda było rozstać się z dalszem opowiadaniem. Cmoknął wargami i ciągnął dalej:

"Tak. Proszę odkroić, powiada, za trzy kopiejki.

A kelner krzyczy:

"Jakto? To nato zmarnowałem drogiego kanarka?"

"Czego krzyczysz, warjacie? Ja chcę tylko za trzy kopiejki!"

Naturalnie powstał rwetes i skandal. Zawołano policję. Zdaje się, że spisano protokół. Ale kupiec dał rewirowemu dziesięć, czy piętnaście rubli, nie pamiętam już, zdaje się piętnaście..."

Słuchacze milczeli ponuro, a jeden z nich wyszedł do przedpokoju i odnalazłszy dyrektorskie futro, wypalił w niem cygarem ogromną dziurę.

Któż, czytelnicy, potępi go za to?

Oto jak opowiadać nie należy.

Anegdota powinna brzmieć mniej więcej tak:

Przez uchylone drzwi eleganckiej cukierni zagląda czyjaś głowa:

"Przepraszam, czy jest placek z konfiturami i migdałami?"

"Jest, jest, pan będzie łaskaw wejść."

Ukazuje się cała postać. Zdej-

muje czapkę i żałosnym głosem przemawia:

"Zlitujcie się, państwo, kawałek placka dla biednego. Trzy dni nie jadłem".

Albo:

"Panie Cederbaum, to poprostu niemożliwe! Całe miasto mówi, że Kegelbaum żyje z pańską żoną!"

"Wielkie rzeczy. Oj, oj, To dopiero. Jak ja zechcę — także będę z nią żył" odpowiada mąż.

Albo:

"Jasza, czemu trzymasz się za twarz?"

"Widzisz, jakiś łobuz chciał mnie uderzyć".

"Ale tylko chciał, czemuż więc trzymasz się, jakby cię bolało?"

"Właśnie, że mnie uderzył".

"To dlaczegoż mówisz, że chciał uderzyć?"

"No, przecie, jakby nie chciał, toby nie uderzył".

Albo:

Na lotnisku paryskiem zbliża się do pilota dwóch żydów.

— Przepraszam pana, pan poleci teraz do Londynu? Niech nas pan zabierze.

— A panowie, co za jedni?

— My? Zwykłe sobie żydki.

— O, w takim razie za nic w świecie!... Żydzi mają tyle temperamentu, że jak zaczną krzyczeć i ciągnąć mnie za ramię, gotowa zdarzyć się katastrofa.

— Ale my nie będziemy krzyczeli, jak Boga kocham! Abram, prawda, nie będziemy krzyczeli!

— Żebym był taki zdrów, nie będziemy krzyczeli — dodaje Abram.

— W takim razie zabiorę was, ale pod warunkiem, że za każde wypowiedziane słowo zapłacicie mi funt szterlingów. Zgoda?

— Abram, ty się zgadzasz?

— Zgadzam.

Siedli. Polecieli. Przybywszy do Londynu, pilot wysiadł i ogląda aparat.

Jeden z pasażerów pyta się:

— Teraz już wolno mówić?

— Wolno.

— Proszę pana, Abram wpadł do morza!...

Ale jeżeli ktoś zacznie opisywać miejsce działania, powierzchowność i wiek bohaterów — już po anegdocie. Przepadła z kretesem.

NIEMA nic bardziej tragicznego nad opowiadaczy roztargnionych i bez pamięci.

— Opowiem państwu anegdotę... Było to w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym..... Nie! W tysiąc dziewięćset..... dziewięćset? Zaraz! W którym też było to roku?...

— Mniejsza o to! — wołają słuchacze. — Dalej!

— No więc. W mieście Jełabudze mieszkał sobie jakiś Żyd.... nie, nie, nie Żyd, zdaje się Ormianin. Hm? Nazywał się... Jakże on się nazywał? Zdaje się...

— Mniejsza o to! Dalej! — ryczą słuchacze.

— Otóż pojechał statkiem... Nie! Przepraszam... nie statkiem. Poszedł sobie pieszo...

— Samolotem!!!

— Nie, wówczas nie było jeszcze samolotów. Raptem spotyka się z jakąś, leciwą już damą, panią N. Chociaż, nie... Ona była w podróży poślubnej... A więc osoba młoda. Za pozwoleniem... Czemuż w takim razie nie miała zębów?... Bo cały kawał opiera się właśnie na tem. Czekajcie tylko... Aha!... Otóż...

Zabójstwo takiego osobnika nie bywa karane, owszem, powinno być nagrodzone, jak pożyteczne zarządzenie sanitarne.

Bywają również i tacy, co to zaczną opowiadać w towarzystwie coś niemożliwie rozwlekłego, grząskiego i raptem, zaczerwieniwszy się jak piwonja, urywają.

— I co dalej?

— Przepraszam.... dalej.... nieprzyzwoite... zupełnie zapomniałem, że tu są panie...

STRASZLIWĄ plagą towarzyrzyską są tak zwani "podpowiadacze anegdot".

— Iwanie Piotrowiczu! Proszę opowiedzieć tę anegdotę, którą mówił pan w przeszłym tygodniu... Znakomicie ubawiliśmy się...

— Jaką anegdotę?

— No, wie pan, o tym małym żydku, co to prosił nauczyciela o urlop, a kiedy go zapytano "w jakim celu", odparł "Tatuś powiedział, że u nas w domu będzie jutro pożar".

Cóż ma wówczas powiedzieć biedny narator?

MOŻNA czasem opowiedzieć starą, oklepaną anegdotę, zależy jednak, gdzie. Jeżeli towarzystwo jest niedoświadczone, prowincjonalne, można wówczas wytrząsnąć wszystką starzyznę.

Lecz w gronie ludzi wytwornych i eleganckich, oswojonych z modnemi anegdotami — trzeba mieć się na baczności.

Przykład:

Przy stole siedziało sześć osób: trzech aktorów, dwóch dziennikarzy i adwokat. Do stolika przysiadł się wspólny ich znajomy i zaczął opowiadać wszystkie znane mu anegdoty.

Po każdej anegdocie słuchacze wyjmowali chusteczki z kieszeni i przykładali je do twarzy w ten sposób, że twarze ich były obramowane bielą.

Opowiadacz wreszcie nie wytrzymał i spytał:

— Cóż to znaczy?

— To? Siwa broda.

— Jakto?

— Wszystkie anegdoty opowiedziane przez pan są tak sędziwe, że mają siwą brodę.

OPOWIADAJĄC anegdoty, należy liczyć się ze składem słuchaczy.

Są anegdoty dla panien. Są i dla pań. Są specjalnie "męskie". Trzecią kategorję można czasem opowiadać i drugiej, wybadawszy delikatnie grunt, lecz — broń Boże! — uraczyć nią niewinne uszka pierwszej, dziewiczej kategorji.

Jakiś nędznik opowiedział wobec autora niniejszego taką oto rzecz w gronie młodocianych słuchaczek:

— Młodego Żydka z Żytomierza swatano z pewną panienką. "Jest to (mówił pośrednik) bardzo ładna panna — ulubienica wszystkich." Młodzi poznali się wkrótce i poszli razem do teatru. Wszyscy przyjaciele i znajomi, ujrzawszy ich razem, walą całą gromadą do narzeczonego:

"Bój się Boga! To dla ciebie żona? Toż ją zna cały Żytomierz!

Wściekły młodzian skierował się do swata. "Panie, — krzyczy — to podłość! Kogo mi pan wyswatał? Słyszałem, że z nią żyje cały Żytomierz!" — "Wielkie miasto, Żytomierz..." odpowiada z zimną krwią swat, "pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, z tego połowa kobiet, a piętnaście tysięcy dzieci i starców... To się nazywa u pana "cały Żytomierz"?!

Słuchaczki spojrzały po sobie przerażone, a ja pobiegłem do pani domu i oznajmiłem jej, że ów młodzian ukradł z kredensu dwie srebrne łyżki...

S. KOMISARZ

Niezwykła Przygoda

GODZINA szósta rano. Nikłe światełka sygnałów stacyjki Polskiej Kolei Państwowej w miasteczku kresowem B. wynurzają się z cieniów nocy, jakby otulone w mgłę późnej jesieni. Ze zgrzytem hamulców zatrzymuje się nocny pociąg, by pozostawiwszy na peronie stacji jedynego pasażera, za chwilę pomknąć dalej.

Pasażerem tym był wywiadowca policji śledczej, Adam Maniecki, którego los rzucił aż na kresy Rzeczypospolitej, na nowe miejsce pracy.

Jesienne palto niedostatecznie chroniło Manieckiego przed ostrym wiatrem, wszedł więc do budynku stacyjnego, aby rozgrzać się nieco i przesiedzieć w cieple, póki zupełnie się nie rozwidni. Próżna nadzieja. Jedyna maleńka poczekalnia dla pasażerów była literalnie nabita ludzmi oczekującymi na pociąg mający wkrótce nadejść od granicy i powieźć ich do powiatowego miasta. Nietylko usiąść, ale stanąć nawet nie było miejsca, a zresztą dłuższe przebywanie w atmosferze zatęchłej, pełnej wyziewów, groziło zawrotem głowy. Zrezygnowawszy z poczekalni, Maniecki wyszedł z powrotem na peron. .

Przeszedłszy kilka razy koło okna dyżurnego urzędnika kolejowego, z westchnieniem ogarnął wzrokiem wnętrze dobrze oświetlonego, a zapewne i doskonale ogrzanego pokoju, a w nim postać schylonego nad aparatem telegraficznym pracownika.

Odżyły mu we wspomnieniach własne jego dzieje, przed wojną, kiedy tak samo schylony, pełnił obowiązki stacyjnego telegrafisty, zacząwszy od najniższego szczebla karjerę urzędniczą. Potem przyszła wojna światowa, zręczne uchylenie się od poboru do zaborczej armji rosyjskiej i moment, kiedy organizowała się w jego rodzinnem mieście straż obywatelska.

Maniecki był jednym z pierwszych, którzy stanęli w jej szeregach. Dumny był i szczęśliwy, że może własnemu krajowi i miastu rodzinnemu służyć.

W miarę jak czas upływał i z szeregów straży obywatelskiej wyrastała karna i zwarta organizacja policyjna, były telegrafista pozostał w niej nadal, obierając sobie za dalszy zawód ciekawą, ale twardą i często niebezpieczną służbę policjanta. Odezwała się w nim żyłka do tropienia przestępstw; nowy rodzaj pracy pochłaniał go i coraz więcej interesował. Kilka świetnych wyników zwróciło na niego oczy i uznanie wyższych władz. Posypały się pochwały i odznaczenia i oto teraz, po awansie na starszego wywiadowcę, otrzymał ważną placówkę w miasteczku B.

Przeszedłszy kilka razy wzdłuż peronu, Maniecki skierował się drogą ku miastu. Nędzne uliczki nie były jeszcze zupełnie rozbudzone, gdzieniegdzie tylko zaspany handlarz otwierał okiennice sklepiku. Chodniki i wyboista jezdnia zdawały się być jedną, wielką kałużą błota, zasilaną przez nieustannie padający, drobniutki, zimny deszcz.

Mijał właśnie otwarty już zakład fryzjerski, gdy przyszło mu na myśl, aby wstąpić i przed zameldowaniem się miejscowej władzy, doprowadzić swój wygląd do porządku.

Wszedł więc, by się ogolić i umyć.

Wnętrze fryzjerni wcale nie było ponętne. Panował tu zupełny bezład. Na niezamiecionej podłodze widniały kępki włosów z wczorajszego dnia, porozrzucane tu i owdzie serwetki i ręczniczki, papiery i niedopałki papierosów. Jedno z luster było zupełnie strzaskane, a rozlana woda i dwa przewrócone krzesła, dopełniały obrazu nieporządku. Pędzle i inne przybory fryzjerskie na półce przed lustrem porozrzucane były i poprzewracane. Zdawać by się mogło, że ktoś starał się pozostawić w lokalu jaknajwiększy nieład.

— Jeszcze nie zdążyli posprzątać, widocznie przyszedłem za wcześnie — pomyślał Maniecki zwracając się ku drzwiom z zamiarem wyjścia.

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi — usłyszał głos poza sobą i odwrócił się.

Z poza drzwiczek drewnianego przepierzenia ukazał się niski, krępy mężczyzna z rozczochraną głową i maleńkiemi oczkami, biegającemi niespokojnie. Ubrany w biały, mocno przybrudzony fartuch fryzjerski, trzymał w ręku brzytwę.

Maniecki, któremu dziwny wygląd zakładu i fryzjera mocno się nie podobał, zamierzał krótko odmówić i wyjść, gdy golibroda, spostrzegłszy niemiłe wrażenie, jakie wywołał, począł się usprawiedliwiać mocno uniżonym tonem.

— Pan szanowny daruje, że u nas jeszcze nie sprzątnięte... moja to wina: zaspałem cokolwiek — tłumaczył się fryzjer, podnosząc jeden z foteli i zapraszając gościa wyszukanym gestem do usadowienia się przed lustrem.

Maniecki popatrzał chwilę przez okno, a widząc, że deszcz pada w dalszym ciągu, pomyślał, że lepiej już usiąść i kazać się ogolić, tembardziej, że zbyt wcześnie jeszcze było na złożenie wizyty miejscowemu komendantowi posterunku policyjnego.

— Proszę mnie ogolić — rzekł.

— Służę szanownemu panu. Napewno szanowny pan będzie zadowolony ze mnie. Pan szanowny nie tutejszy, więc nie wie, że ja, nie chwaląc się, jestem najlepszym fryzjerem w całem miasteczku i okolicy — zachwalał się golibroda, porządkując z pośpiechem półeczkę przed lustrem.

W chwilę potem, jakby chciał pobić rekord szybkości w goleniu, rzucił się za przepierzenie, spiesznie zamykając drzwi za sobą. Po kilku sekundach powrócił z wodą gorącą i niezbędnemi przyborami. Namydliwszy starannie twarz gościa, fryzjer sprawdził na paznogciu brzytwę, pociągnął ją na pasku i rozpoczął golenie.

Wysoce pochlebny sąd, jaki wydał sam o sobie i o swych zdolnościach, był najzupełniej usprawiedliwiony. Brzytwa jeździła po twarzy i podbródku gościa z piorunującą, wprost niewiarygodną szybkością. Wydawało się, że fryzjer chce olśnić klienta i roztacza przed nim cały zasób swego kunsztu.

Zdziwiony zrazu Maniecki poczuł odczuwać coraz wyraźniejszy lęk przed tym szczególnym fryzjerem. Zdawał sobie sprawę, że wystarczy lekkie drgnięcie ręki, mały błąd w błyskawicznych ruchach brzytwy, a ostrze z całym rozpędem przecięłoby skórę i krtań. Wreszcie nie wytrzymał.

— Panie, nie tak gwałtownie — przemówił.— Proszę golić wolniej. Mnie wcale się nie spieszy.

Fryzjer raptownie przerwał golenie.

— Czy pan nic nie słyszał? — zapytał nagle z wyraźnym niepokojem, poglądając na zamknięte drzwiczki przepierzenia.

— Nic, zupełnie nic — odrzekł zdziwiony nieco tym nieoczekiwanem pytaniem wywiadowca.

— To całe pańskie szczęście — wyszeptał dziwaczny fryzjer, podejmując na nowo golenie.

Maniecki poczuł się jakoś nieswojo. Nieład w zakładzie oraz niezwykłe zachowanie się golarza wzbudziły w nim jakieś niejasne poczucie grozy i niebezpieczeństwa.

— Zapewne nerwy, po nieprzespanej nocy — pomyślał. — Swoją drogą, ciekawy jakiś fryzjer. Wstyd mnie przed sobą samym, ale boję się czegoś. Może lepiej nie czekać końca i wstać z krzesła... — zrobił ruch, usiłując powstać z fotelu.

— Ani kroku!... — usłyszał nagle ochrypły głos golibrody i w lustrze ujrzał wlepione w siebie dwoje błędnych oczu, a równocześnie na gardle uczuł ostrze brzytwy. — Jedno poruszenie, a poderżnę ci gardło! — mówił dalej fryzjer.

Owładnięty śmiertelnym strachem, Maniecki zamarł na chwilę. Chociaż obyty z niezwykłemi sytuacjami i jasno umiejący rozumować w obliczu niebezpieczeństwa, uczuł, że siły nagle go opuszczają i nie wie co począć.

W sąsiednim pokoju dał się słyszeć przeciągły, przytłumiony jęk. W tej samej zaś chwili poczuł znów na gardle ucisk straszliwego ostrza. Fryzjer nachylił twarz tak blisko, że dotykał niemal twarzy Manieckiego i utkwiwszy w nim obłąkane, szeroko otwarte źrenice, gorączkowo zapytał:

— Czy i teraz nic pan nie słyszał?

Pomimo całego przerażenia jakie ogarnęło wywiadowcę, instynkt samozachowawczy podsunął mu odpowiedź przeczącą:

— Nie, nic nie słyszałem...

— A... to dobrze — z ulgą wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem fryzjer, nie zmniejszając jednak ani na chwilę nacisku brzytwy na gardle nieszczęsnego gościa.

W umyśle Manieckiego rodzić się poczęły najrozmaitsze zbawcze projekty. Niestety, bez możności wykonania.

Cóż bowiem mógł począć okręcony prześcieradłem i usadowiony w głębokim fotelu, z groźnem ostrzem brzytwy na gardle? Jasnem było dlań tylko, że ma do czynienia z szaleńcem; kto wie co mogło się wydarzyć tam, za temi drzwiczkami oklejonemi tapetą. Nie miał wątpliwości, że słyszany przed chwilą jęk stamtąd pochodził...

— Zdradzić się jakimś odruchem, że ten jęk słyszałem, śmierć pewna. Szaleniec przetnie mi gardło w mgnieniu oka. Co począć?

Mózg wywiadowcy pod grozą śmierci pracował z gorączkową energją, by znaleźć sposób ratunku z rozpaczliwego położenia. Żaden szczęśliwy pomysł jednak nie przychodził mu na myśl.

Warjat, jakby uspokoiwszy się nieco, rozpoczął golić na nowo, rzucając z ukosa podejrzliwe spojrzenia na swego klienta.

Maniecki spojrzał w lustro. Z przerażeniem skonstatował, że lewy policzek, a co najważniejsze, podgardle, wcale jeszcze nie ruszone. Myśl, co może się jeszcze wydarzyć przyprawiała go niemal o stratę zmysłów.

Nagle otworzyły się drzwi od ulicy. Maniecki mimowolnie zwrócił głowę w tę stronę, czego na szczęście fryzjer nie zauważył, gdyż sam spojrzał ku drzwiom.

Do golarni wszedł nowy klient.

Wywiadowca omal nie podskoczył na krześle z radości.

— Ratunek! — przemknęło mu przez myśl.

Przybyły był właśnie owym telegrafistą ze

stacji, którego Maniecki widział przez okno, podczas spaceru po peronie.

Sama świadomość tego faktu wróciła mu zimną krew. Uczuł się uratowanym.

Niestety, radość okazała się przedwczesną! Maniecki poczuł znów nacisk brzytwy na gardle. Obłąkany fryzjer czuwał.

— Hm, widzę, że pan zajęty — zauważył nowoprzybyły. — Za kwadrans wrócę, to mnie pan ogoli — dodał, kierując się ku wyjściu.

Maniecki zdrętwiał. Ostatnia nadzieja ratunku znikała w ten sposób bezpowrotnie. Ogarnięty krańcową rozpaczą, nie zdając sobie dobrze sprawy z tego co robi, jakby powodowany podświadomą jakąś siłą, wywiadowca zastukał palcem po poręczy krzesła i począł wystukiwać depeszę, jak na aparacie telegraficznym.

— Stuk, stuk, stuk,... stuk, stuk... stuk... stuk, stuk, stuk... Stać... ratunku! — gorączkowo wystukiwały palce.

Usłyszawszy tak dobrze sobie znane sygnały, telegrafista zdumiony zatrzymał się. Fryzjer nie zwracał uwagi na pukanie i cały zdawał się być pochłonięty kończeniem golenia.

— Stuk... stuk, stuk, — wypukiwał Maniecki w dalszym ciągu — ... fryzjer oszalał, nie mogę się ruszyć... grozi poderżnięciem gardła...

Nowy gość powziął najwidoczniej jakieś postanowienie.

— Chyba lepiej zaczekam, aż pan skończy— rzekł do fryzjera siadając w pobliżu Manieckiego i natychmiast zaczął wystukiwać w ten sam sposób po poręczy krzesła.

— Co się stało?

Minęło chwil kilka. W ciągu tego czasu nowoprzybyły zdążył zaznajomić się dostatecznie z tragiczną sytuacją Manieckiego i zastanawiał się widocznie nad planem dalszego działania.

— Ha... dość już tego!... niech raz się skończy! — zaryczał nagle szaleniec, rozjątrzony pojawieniem się telegrafisty. Wywiadowca poczuł niemal jak brzytwa przecina mu skórę.

Zaledwie jednak miał czas krzyknąć, gdy stało się coś nieoczekiwanego. Szaleniec z wrzaskiem przeraźliwym, klnąc ohydnie, pochylił się nagle w tył i padł na ziemię, wypuszczając z ręki brzytwę i walcząc zaciekle z kimś, kto starał się przygnieść go do podłogi.

Maniecki, nie czekając dłużej, zerwał się z krzesła i rzucił się na fryzjera.

Jak się okazało, telegrafista w najkrytyczniejszej chwili niespodziewanie skoczył z tyłu na obłąkańca i obalił go na ziemię. Jeszcze pół sekundy, a ten byłby poderżnął gardło wywiadowcy.

Tymczasem obłąkany w furji bronił się z niezwykłą siłą i uporem. Nielada wysiłku trzeba było do związania mu rąk i nóg, tak, by nie mógł się ruszyć.

Po zwycięsko skończonej walce obaj klienci rzucili się za przepierzenie, skąd teraz dochodziły wyraźne już jęki. Ujrzeli tam związanego właściciela zakładu, napół omdlałego, z zakneblowanemi serwetką ustami. Uwolnienie go z więzów było dziełem jednej chwili.

Po oprzytomnieniu opowiedział historję niezwykłych wydarzeń, jakich widownią był tego ranka jego fryzjerski zakład.

Szaleniec od niespełna roku pracował u niego jako wykwalifikowany fryzjer. Wczesnym rankiem przy sprzątaniu fryzjerni i szykowaniu przyborów, owładnięty został nagłym atakiem szału i w furji rzucił się na swego pracodawcę. Ten bronił się rozpaczliwie, zasłaniając się wszystkiem, co było pod ręką: rozbite lustro, poprzewracane krzesła i nieład w lokalu, świadczyły, że walka była długa i zawzięta.

Pokonany przez szaleńca, który związał go i zaciągnął za przepierzenie, byłby życiem przypłacił swoją porażkę, gdyby wejście wywiadowcy nie przeszkodziło morderstwu. Fakt ten spowodował jakiś zwrot w umyśle warjata, ale skierował jednocześnie całą wściekłość w stronę wywiadowcy i ten niezawodnie padłby ofiarą szału fryzjera, gdyby nie szczęśliwy pomysł zaalarmowania następnego klienta sygnałami Morse'a.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że owym klientem był właśnie telegrafista kolejowy, który mógł zrozumieć pukanie wywiadowcy.

Wezwano policję. Potem przybyły władze lekarskie i te zarządziły przewiezienie chorego do szpitala dla obłąkanych.

Kiedy Maniecki zwrócił się do swego wybawcy, aby mu z całem wylaniem podziękować za uratowanie życia, ten, patrząc nań uważnie, najwidoczniej został uderzony czemś niezwykłem w wyglądzie wywiadowcy, bo odwróciwszy go w stronę lustra zauważył:

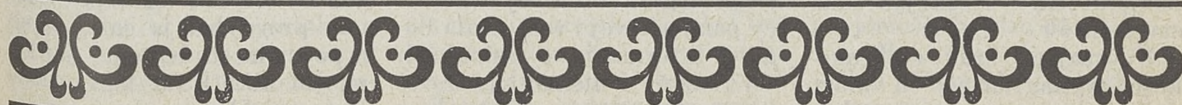
— Ale strachu to się pan najadł porządnie i, jak się zdaje, pamiątka na zawsze zostanie...

Maniecki spojrzał w lustro i cofnął się zdumiony.

Na obu skroniach widniały gęste pasma siwych włosów. Posiwiał w ciągu kilku minut.

Taka była przygoda wywiadowcy Manieckiego w kresowem miasteczku B.

Znajomość, zawarta w tak niezwykłych okolicznościach, szybko zamieniła się w przyjaźń gorącą, jaka do dziś łączy obu młodych ludzi.



MACIEJ WIERZBIŃSKI

ZAPIS

— Dokąd mama się wybiera?

— Jakto dokąd?... Na pogrzeb.

Oczywiście. Doprawdy nie potrzeba było domyślności, by odgadnąć, że pani Rozalja Pytlińska wychodziła na pogrzeb. Przecież, jak dobrze rzeczy szły, trzy razy tygodniowo przywdziewała na bujne, siwiejące włosy ciemny wdowi kapelusz, wydobywała z szuflady nowe rękawiczki i szła oddawać ostatnią przysługę zgasłym znajomym i nieznajomym.

Widywano ją niekiedy załzawioną w kondukcie pogrzebowym gospodarza domu, w którym mieszkała jej kumoszka, wśród żałobą okrytych krewnych przełożonej szkoły, przy katafalku majętnego dyrektora fabryki, głośnego lekarza, pani od dobroczynności i wogóle wszystkich osobistości, których zejście ze świata obwieszczały kurjery i klepsydry wspaniałemi ogłoszeniami.

A jej Zugmuś pytał jeszcze, dokąd się wybierała!

W istocie nie odznaczał się wielką inteligencją. Byłaby to przyznała nawet sama matka, gdyby zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego słowa.

Muś, jak zwała syna, nauczył się niejednego, zdał nawet z mozołem jakiś egzamin z tym wszakże rezultatem, że nominalnie "szukał stanowiska" od lat dwóch, a faktycznie wysiadywał pod ciepłemi skrzydłami matczynemi i skubał ją z piór emerytury, z klasyczną obojętnością oczekując dalszych losów.

Uderzający brak cech męskości wynagradzały u niego dobre maniery, pewna galanterja, miła powierzchowność oraz talenty tancerskie. Z nabożeństwem całował ręce pań kanapowych, pytał o stan ich zdrowia, z uśmiechem witał panny, wychwalał ich tualety, przy stole nalewał sąsiadkom wina, gawędził wprawnie, a nigdy nie miał własnego zdania. Był to przeto arcypoprawny i wszędzie pożądany młodzian, nie zawadzający nikomu, dekorujący salon, wycierający pilnie podeszwami posadzkę. Było to naczynie bezbarwnej banalności — uosobienie wałkonia.

Lecz ignorancja jego zabolała matkę, gdy zagadnął ją naiwnie:

— A czyj to pogrzeb dzisiaj?

— Nie wiesz? Wolińskiego.

— Jakiego to Wolińskiego?

Wejrzenie najwyższem zdumieniem naszpilkowane przeszyło ładną, a nic nie mówiącą twarz Musia.

— Nie słyszałeś o Wolińskim?!

— Czy go mama znała osobiście?

Co za pytanie! Niepodobna znać wszystkich osobiście, a jednak, dzięki Bogu, pani Rozalja znała w Warszawie i na prowincji setki, tysiące ludzi, którzy wcale tego nie przypuszczali.

Nie było w Warszawie nieruchomości, o której nie umiałaby powiedzieć do kogo należy, jakie te mury i ich właściciel przechodzili koleje. Dość było wymienić nazwisko, a pani Rozalja sięgała do swej skarbnicy pamięciowej i roztaczała bogate informacje o członkach tej rodziny i niemal zawsze okazywało się, że wiedziała o kim mowa. Jeżeli zaś wypadkiem nie wiedziała, zdejmował ją wstyd i przedsiębrała bezwłocznie akcję wywiadowczą na wielką skalę.

O wszystkich w tej samej kamienicy mieszkających posiadała budujące wiadomości. Nic nie było dla niej tajemnicą. Wiedziała, ile kapeluszy zużywa rocznie pani kupcowa, ile płaci za suknie buchalterka z trzeciego piętra, co jada na obiad wdowa z oficyny, kto u niej bywa, jak często i w jakim celu, z kim chodzi na spacery panna Władzia, kto do niej się umizga i na kogo ona poluje. Wiedziała o której godzinie powraca do domu literat, dlaczego służąca Helcia odeszła od doktorowej, u kogo emeryt kazał sobie wyrwać ząb, dlaczego gospodarz podwyższył komorne pannie Sydonji, ile pani sędzina płaciła za kaczki na targu i jak często pani Wanda każe trzepać dywany.

O! Pani Pytlińska była pełna wiedzy; uchodziła przeto za ruchome, acz nie rentujące się biuro informacyjne, wprost nadzwyczajne.

— Nie pamiętasz adwokata Karola Wolińskiego? — mówiła do syna. — W Lublinie mieszkał o cztery domy od nas. Widywałam go nieraz przez okno—ciągnęła, z odcieniem żałości odnosząc się do dawno minionych czasów. — Miałeś wtedy osiem lat. Bywał wówczas często naprzeciwko nas jako narzeczony Zosi Mijewskiej. Już nawet dał na zapowiedzi, gdy przydybał ją całującą się z pewnym studentem, jej kuzynem. Skutkiem tego zerwał i nie ożenił się, chociaż wów-

czas lubił kobiety. We dwa lata potem, nie! w trzy, wyprowadził się do Warszawy i tu powiodło mu się znakomicie. Został dyrektorem "Spójni". No, to ci chyba wiadomo. Zresztą przeczytaj sobie w Kurjerze jakie piastował urzędy i zaszczyty. Cała stronica!... O! był to bardzo wybitny i zacny człowiek! Pozostawił zgórą sto pięćdziesiąt tysięcy...

Zygmunt słuchał słów matki z zajęciem, poczuwając się trochę do grzechu niewiadomości. W końcu poczucie szacunku dla zmarłego podniosło się w nim falą do takich rozmiarów, że nie mając nic weselszego do roboty, postanowił towarzyszyć matce na pogrzeb wybitnego obywatela, którego miał szczęście widywać swego czasu przez okno w Lublinie.

I nie pożałował tego. Pogrzeb rzeczywiście był okazały, wspaniałym łańcuchem pojazdów uświetniony, tak, iż Muś, wplątany w dostojny kondukt, czuł się wcielonym w dobre towarzystwo. Ciemno ubrany, z odprasowanym cylindrem, postępował przygaszony poczuciem żałoby, dostrojony doskonale do ogólnego tonu pogrzebowego.

Gdy jeden z wieńców pokrywających trumnę począł zsuwać się z bronzowego wieka, ozwała się w nim struna wrodzonej usłużności. Wysforował się naprzód, umocnił wieniec na miejscu, w ten sposób zaznaczając i dając do poznania istotną swą przynależność do dostojnego konduktu. Zaczem pozostał na straży wieńców. Kroczył tuż przy boku karawanu, świecąc wypomadowaną, dobrze uczesaną głową.

Ugodziły w niego spojrzenia najbliższych krewnych nieboszczyka, oplotły go krytycznie, potem skrzyżowały się między sobą błyskawicznie i znów oblepiły wysuniętą naprzód sylwetkę młodego człowieka.

Cofnęli się, zwolnili kroku, jakby niemile tem zjawiskiem dotknięci. Na licach siostry zmarłego, brata i bratowej pogłębiły się cienie żałobne, które chwilami w długim pochodzie pierzchały całkiem pod zwykłą pogodą usposobienia.

Wędrując przez błotniste ulice, jedni nie spuszczali z oka młodego intruza, inni strzelali nań z pod ściągniętych brwi piorunującym wzrokiem, niby na wroga, uzurpującego sobie coś z przywilejów im wyłącznie przysługujących.

Gdy u bramy cmentarza powstało pewne zamieszanie, Muś zbliżył się do matki i ujął ją pod ramię. A głowy państwa Wojciechostwa Wolińskich i ich córek poczęły odwracać się ku nim coraz częściej. Lustrowano postać pani Pytlińskiej od stóp do głów. Nie zauważyła tego, gdyż suplikacje duchowieństwa roztkliwiły ją tak, że miała wrażenie, iż odprowadza na wieczny odpoczynek bliskiego sobie i drogiego człowieka. Łzy szkliły się w jej bladych oczach.

Stanęła z synem na rozkopowisku, wyrosła nad wszystkich posągiem cichej żałoby, pochylającym się w modłach nad trumną, zapadającą w rozwartą paszczę ziemi.

W prostocie ducha ani ona, ani Muś nie przypuszczali, iż nabili ćwieka rodzinie nieboszczyka i poważnie sfałdowali ich czoła, skłaniające się pobożnie ku spadkowi po bezżennym ś. p. Karolu.

Milczenie nabrzękłe refleksjami, wisiało chmurą w karocy, uwożącej siostrę, brata i bratowę nieboszczyka. Wreszcie stara panna Wolińska mruknęła pod nosem:

— Trochę do niego podobny, z ruchów, z nosa...

— Mianowicie z figury...— bąknęła pani Wojciechowa, a mąż jej zerknął w ich oblicza z frasunkiem.

Rozumieli się bez słów. Myśli ich skierowane były na jedno i to samo, na owego młodzieńca, który poprawił wieniec na karawanie, niezawodnie swój wieniec, i następnie świecił im w oczy swą niepożądaną obecnością, niejako spychał ich ostentacyjnie na drugi plan, ich, najbliższych nieboszczyka!

Straszne podejrzenie nurtowało ich umysły i wżerało się w trzymał się od nich zdaleka, nie coraz głębiej. Zmarły Karol nie wtajemniczał ich w swe sprawy. Kto wie, czy nie miał kochanki i syna, nie utrzymywał ich i... czy nie zapisał im znacznej części majątku...

Wróciwszy do hotelu, zafrasowany pan Wojciech zatelefonował do znajomego, który, jak zauważył, zamienił na pogrzebie ukłon z natrętnym młodzieńcem, i zasięgnął o nim informacji. Dowiedział się, że był to syn jakiegoś urzędnika z Lublina, żyjący z matką niewiadomo z jakich funduszów. Utwierdziło to pan Wojciecha w przypuszczeniach, odbył zatem naradę z żoną i siostrą i w przebiegłości swej postanowił pojechać do pana Zygmunta, tłumacząc, że "trzeba bezwłocznie przedsięwziąć coś mądrego, jeśli wszyscy krewni nie mają wyjść jak panna z tańca".

Pani Rozalja była nieubrana, ale Muś przyjął nieznajomego obywatela, który szukając w fizjonomji jego podobieństwa do zgasłego brata, począł uprzejmym tonem:

— Zauważyłem pana, zdaje mi się z matką na pogrzebie mego brata... Czy wolno mi zapytać, co skłoniło szanownych państwa do uczestniczenia w tym smutnym obrzędzie?...

— Tak wybitny, zasłużony obywatel...—rzucił Muś i poruszył się niespokojnie w krześle, czując całą błahość podanego motywu.

A przebiegły pan Wojciech pokiwał głową, myśląc: "zbywa mnie słomą a ukrywa się z prawdą. Trafiłem na kamień".

— Zapewne łączyły szanownego pana bliższe stosunki ze zmarłym? — podpytywał.

— Tego nie mogę powiedzieć, ale matka moja znała nieboszczyka pana Wolińskiego zdawna.

— Z Lublina?

— Tak, z Lublina. Dawna znajomość, bardzo dawna...

— Hm...

Pan Wojciech targnął wąs nerwowo.

Istotnie podobieństwo między tym młodym człowiekiem a panem Karolem było niemal uderzające. Już to kobiety posiadają trafny i subtelny zmysł obserwacyjny. Mógł liczyć lat dwadzieścia osiem. Przyszedł zatem na świat w epoce młodzieńczej lekkomyślności i romansowych wybryków zmarłego brata...

— Przepraszam, a kiedy szanowni państwo sprowadzili się z Lublina do Warszawy?

— Lat temu dwadzieścia.

— Dwadzieścia...—powtórzył pan Wojciech i przypomniał sobie, że mniej więcej w tym samym czasie brat jego przeniósł się nad Wisłę.

Zaczem ozwał się:

— Ja i najbliższa rodzina zmarłego porządkujemy obecnie sprawy... nieco zawikłane sprawy majątkowe ś. p. Karola... To właśnie sprowadza mnie do szanownych państwa... Sprawy to mocno zawikłane. Będziemy mieli niemało trudu i zachodu, by wyprowadzić je z matni, uratować coś niecoś...

— Słyszałem, że ś. p. pan Karol pozostawił bardzo znaczną fortunę — rzekł Muś, by sprawę wyjaśnić i następnie zaimponować matce bajeczną ścisłością informacyj.

A pan Wojciech zaniepokoił się.

— Znaczną fortunę! Czego to ludzie nie głoszą! Niby to fortuna, ale Boże drogi...

Zachłysnął się, zaśmiał i nagle wybuchnął:

— Powiem szanownemu panu szczerze... lepsze dwa tysiące w garści, aniżeli cały ten spadek i nadzieje... Po latach, przy usilnych staraniach będzie można wydobyć... kilka tysięcy...

Chichotał pod wąsem, a Muś słuchał uważnie, jak nakazywała prosta grzeczność, udając, że kwestja ta nie jest dlań pozbawiona zainteresowania.

Silił się na to tem więcej, że uprzejmy jegomość ujmował go, odzywając się doń jako do "szanownego pana".

— Porządkując tedy przykre te sprawy — ciągnął gość — muszę się porozumieć z państwem w naszym obopólnym, a głównie pańskim interesie... Czy matka pańska i pan mają jakie pretensje do zmarłego mego brata?

Pan Zygmunt milczał długo jak kamień, wzięty w objęcia potężnego, wszelką myśl tłumiącego zdumienia.

— Proszę, niech pan mówi zupełnie szczerze! — upominał przebiegły pan Wojciech.

— Nie wiem doprawdy, czy..

— Niema co prawdy obwijać w bawełnę. Rozumiem, że szanowny pan pragnie pokryć to tajemnicą... Niemniej ma pan pretensję?

— Co się mnie tyczy, to nie, ale być może matka...

Zrazu Muś, w słup soli zamieniony, nie miał pod czaszką ani jednej myśli. Wreszcie strzeliło mu do głowy, że może ojciec jego pożyczył kiedyś nieboszczykowi jaką sumę, lub że matka miała jaką inaczej ugruntowaną pretensję.

— Mówmy szczerze i otwarcie—rzekł pan Wojciech i ciągnął:—Sądzę, że państwo z wdzięcznością przyjmą naszą propozycję. Otóż jestem gotów wyasygnować państwu dwa tysiące...

—Dwa tysiące!...—zawołał Muś niemal przerażony.

— Nawet trzy tysiące — poprawił się przebiegły pan Wojciech, sięgając w zanadrze — jeżeli szanowni państwo zrzekną się formalnie wszelkich pretensyj i podpis swój położą na tem oto piśmie.

Cyrograf zawisł przed osłupiałym panem Zygmuntem.

— Co się mnie tyczy, nie mam nic przeciw temu. Owszem. Ale nie wiem, czy matka...

— Może szanowny pan zechce pomówić z nią zaraz, przedłożyć jej wszystko zgodnie z memi przedstawieniami, nakłonić ją...

Jako zachęta, kilka błękitnych papierków poczęło wikłać się w palcach przebiegłego pana Wojciecha. Wydały się one Musiowi, skazanemu na skromne datki macierzyńskie, przedmiotem arcymiłym i wielce pożądanym. Czuł, że widok tych papierków działa nań oszałamiająco, jak wino szampańskie.

Nie wiedział jak się to stało, że zamaszystym rzutem pióra podpisał przedłożony dokument i, pobudzony nadzwyczajną energją, udał się do matki z prośbą, na rozkaz zakrawającą:

— Niech mama to podpisze!

Pani Pytlińska odziedziczyła po matce wstręt do podpisywania dokumentów. Poczęła przeto zarzucać syna pytaniami i odcyfrowywać pismo, lecz litery skakały jej przed oczyma, wszystko mieszało się i mgliło w głowie. A syn rzekł:

— Zdaje mi się, że Karol Woliński zapisał nam trzy tysiące rubli...

— Nie może być! Ach Boże, co to za zacna dusza! Jak on to wiedział, mój Boże,...—rozczulała się pani Rozalja.

— Niech mama da swój podpis, a brat jego natychmiast wypłaci...

— Zaraz!? Ach Boże...

Łzy stanęły w rozradowanych oczach pani Rozalji. Wyjęła pióro z rąk syna.

Niebawem Muś rzucił zwój banknotów do podziału przed wniebowziętą matkę, która, roztapiając się w rozczuleniu, płacząc jak bóbr, kwiliła:

— Są na świecie zacni ludzie... Damy na mszę świętą za wieczny odpoczynek tego szlachetnego człowieka... Niech mu światłość wiekuista...

W trzy dni potem odbyła się uroczysta msza w kościele św. Krzyża za duszę pana Karola, na której pani Pytlińska zalewała się łzami, stwierdzając zarazem, kto przybył pomodlić się za duszę zmarłego, a Muś w nowych rękawiczkach i lakierkach godnie i dostojnie sekundował matce.

Tegoż dnia pan Wojciech i rodzina Wolińskich odczytywali w Lublinie złożony tam testament.

W testamencie tym nie było o Pytlińskich ani słowa.



Gaj daktylowy.

PALMA DAKTYLOWA I JEJ OWOC

DAKTYLE są jednym z najbardziej znanych i rozpowszechnionych owoców południowych na całym świecie. W krajach, gdzie palma daktylowa nie rośnie, lub gdzie owoc jej nie dojrzewa, uważane są za przysmak, ogólnie lubiany dla swego przyjemnego smaku, słodyczy i pożywności, podczas gdy w ojczyźnie swej są zwykłem pożywieniem ludności.

Ojczyzną palmy daktylowej są kraje gorące, posiadające stepowo-pustynne obszary. Rośnie ona szerokim pasem przez północną część Afryki, część Azji, niektóre wyspy oceanu Atlantyckiego i na południowych krańcach Europy, gdzie jednak daktyle nie dojrzewają, albo nie są zdatne do jedzenia.

W Egipcie palma daktylowa rośnie w całej dolinie Nilu, aż po ujście tej rzeki. Liczne oazy pustyni Libijskiej i Sahary także obfitują w drzewa daktylowe. W starożytności kraje azjatyckie znacznie więcej wydawały palm daktylowych niż w dzisiejszych czasach. Ze źródeł historycznych wiemy, że nad rzekami Tygrysem i Eufratem rozciągały się olbrzymie gaje palm daktylowych, po których zaledwie resztki przechowały się do tego czasu.

Palma daktylowa, jakkolwiek rośnie tylko w krajach gorących, nie obawia się zimna.

Zdarza się na Saharze, że temperatura spada prawie do zera, a nawet sięga niżej zera, co jednak nie szkodzi palmie, aby tylko mróz był krótkotrwały. W znacznie wyższym stopniu jest palma daktylowa wytrzymała na gorąco. Upały panujące całemi miesiącami w krajach gdzie rośnie to pżyteczne drzewo wcale mu nie szkodzą, przeciwnie, sprzyjają jej rozwojowi i dojrzewaniu owoców, których



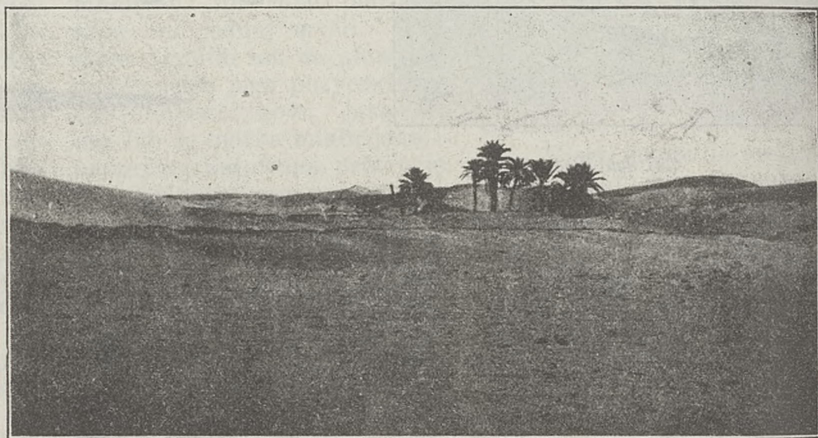
Nefta. (Tunis) Palmy daktylowe na ulicy.



Plantacja palm daktylowych.

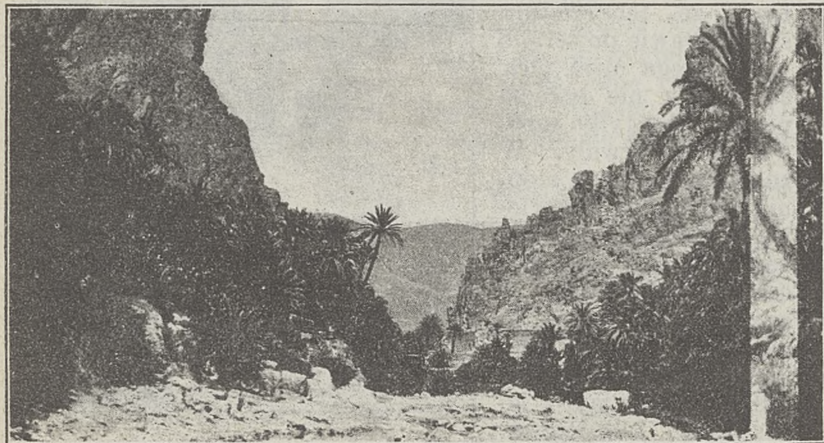
najlepsze gatunki pochodzą z najgorętszych krajów.

Głównym warunkiem, bez którego wzrost i owocowanie palmy daktylowej obejść się nie mogą, jest obfitość wody. W braku naturalnych warstw wody pod powierzchnią ziemi konieczne jest sztuczne nawadnianie gajów palmowych. W tym celu kopie się studnie artezyjskie, z których pompują wodę do licznych kanalików i rozprowadzają po całej plantacji palm daktylowych. Przysłowie arabskie mówi, że "palma daktylowa lubi mieć głowę w ogniu, a nogi w wodzie".



Palmy daktylowe w oazie w Algierze.

Palma daktylowa jest drzewem dwupłciowem, co znaczy, że kwiaty męskie i żeńskie nie znajdują się na jednem drzewie, lecz na oddzielnych. Ponieważ drzewa płci męskiej nie rodzą owoców, ilość ich jest w gajach znacznie mniejsza. Tępienie męskich osobników palmy daktylowej doprowadziło do konieczności sztucznego zapylania żeńskich kwiatów. W porze kwitnięcia, właściciel gaju palmowego z pomocnikami wybierają z męskich drzew gałązki pokryte bujnem kwieciem i strząsają pyłek na kwiaty żeńskie, które zapładniają się i w wyniku dają daktyle. Jeden kwiat męski jest tak obficie zaopatrzony w pyłek zapładniający, że wystarcza do zapylenia od trzydziestu do pięćdziesięciu żeńskich kwiatów.



El Kantara. Wrota pustyni.

W czasach dawniejszych wojen i niepokojów, tak częstych w krajach mahometańskich, nieprzyjaciele wycinali palmy rodzaju męskiego, aby w ten sposób uczynić całe gaje bezpłodnemi i pozbawić przeciwnika daktyli, które stanowiły jeden z głównych jego pokarmów. W owych czasach właściciele gajów palmowych przechowywali w dobrze ukrytych miejscach pyłek z męskich kwiatów, aby w następnym roku móc zapłodnić palmy płci żeńskiej. Robienie tego rodzaju zapasów było moż-

liwe tylko dzięki wielkiej żywotności pyłku, który zachowuje swą moc zapładniającą przez długi czas, nawet przez szereg lat.

Pora kwitnienie palmy daktylowej przypada, zależnie od położenia geograficznego, na luty do kwietnia. Im dalej na południe, tem wcześniej rozpoczyna się okres kwitnienia.

Daktyle dojrzewają od końca czerwca aż do grudnia. Zdarza się, że na palmach daktylowych pojawiają się równocześnie kwiaty i owoce dojrzałe. Takie daktyle należą do pośledniejszego gatunku.

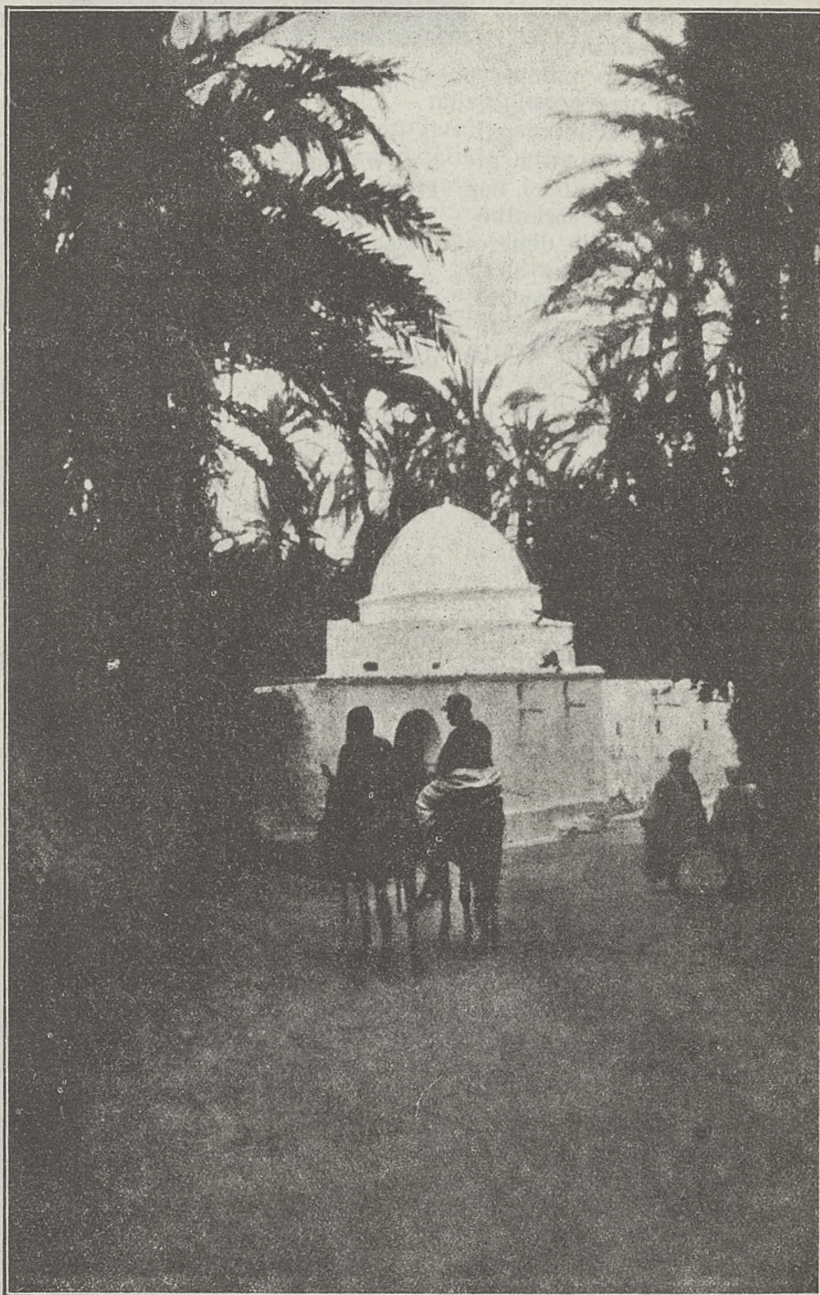
Palma daktylowa w Algierze daje zwykle dwa zbiory rocznie, po kilka tysięcy daktyli. Największy zbiór z jednej palmy w jednym roku wynosi około 10,000 owoców.

Ilość odmian daktyli jest bardzo znaczna. Rozmaitość wśród odmian jest wielka, są bowiem daktyle duże, długości trzy cale, bursztynowe, przeświecające, średnie, małe, ciemno czerwone, nawet czarne, z pestkami i bez pestek. Poszczególne odmiany wielce różnią się pomiędzy sobą smakiem.

Palmę daktylową rozmnaża się w dwojaki sposób, zapomocą pestek i przez odrośle. Rozmnażanie przez sadzenie pestek nie jest praktyczne, gdyż okres dościa palmy do dorzałości wymaga piętnastu lat. Pozatem, przy rozmnażaniu zapomocą sadzenia pestek nie można zachować potrzebnego stosunku roślin męskich i żeńskich, gdyż z pestki nie da się poznać, jegiego jest rodzaju, czy też płci. Dlatego też rozmnażanie odbywa się przeważnie przez przesadzanie odrośli na właściwe miejsca. Przy obfitem nawadnianiu przez parę pierwszych miesięcy, posadzone odrośle już w piątym roku zaczynają rodzić owoce, a po dziesięciu latach otrzymuje się już pełny plon.

Na świeżo spożywa się tylko te odmiany daktyli, których nie da się przechować i te są zbierane w stanie zupełnie dojrzałym. Odmiany dające się przechowywać zbiera się przed zupełnem dojrzeniem. Pakowane w wory uszyte z koziej skóry i starannie zaszyte, daktyle można dłuższy czas przetrzymać w stanie dobrym do użytku. Można także suszyć daktyle i sporządzać z nich rodzaj mąki, z której tubylcy robią ciasto. Przez prasowanie daktyli krajowcy otrzymują z nich syrop używany do wielu potraw.

Zastosowanie daktyla jako potrawy jest wielorakie. Według arabskiego przysłowia, dobra gospodyni potrafi podawać swemu mężowi przez cały



Świątynia mahometańska w Nefcie, otoczona palmami daktylowemi.

miesiąc codziennie inną potrawę sporządzoną z daktyli.

Nawet pestki daktyli nie idą na marne. Mielone, stanowią doskonałą paszę dla zwierząt domowych.

Gorsze gatunki daktyli służą do wyrobu wódek i lekkiego wina, które otrzymuje się przez nalanie owoców wodą i szybką fermentację. Napój ten jest ulubiony mieszkańcom Arabji.

Z soku palmy daktylowej otrzymuje się wino palmowe. Można je otrzymywać przez ścięcie wierzchołka palmy, która w tym wypadku ginie, lub przez obcięcie liści, bez naruszenia pąka wierzchołkowego. Przy stosowaniu drugiego sposobu, palma nie usycha i w następnym roku daje owoce, a w ciągu kilku miesięcy po obcięciu liści wydaje po 8—10 kwart soku dziennie. Sok ten szybko fermentuje i daje po dwóch dniach silny, alkoholowy napój.

Ponieważ nie we wszystkich krajach mahometańskich przepisy koranu zakazujące picia trunków alkoholicznych są ściśle przestrzegane, wino palmowe ma wielki popyt wśród wiernych wyznawców proroka.

Wierzchołkowy pąk palmy daktylowej, składający się z młodych, delikatnych liści, daje tak zwaną kapustę palmową, w smaku przypominającą kasztany.


Palmy daktylowe na oazie w pustyni.

W pustynnych okolicach, gdzie rośnie palma daktylowa, stanowi ona jedyny materjał budowlany. Belki palmowe są używane do budowy domów, a deski służą do wyrobu łodzi i małych statków, w okolicach nadmorskich.

W cieniu rozłożystych koron palm daktylowych możliwa jest uprawa jarzyn i owoców, które bez ochrony przed prażącemi promieniami słońca nie mogłyby żyć w tych skwarnych krajach. Często też sieją tubylcy jęczmień i pszenicę w żyznej ziemi u stóp palm daktylowych.

Przy tak wielkiej użyteczności palma daktylowa jest prawdziwem dobrodziejstwem dla ludów zamieszkujących upalne, pustynne kraje. W wielu okolicach daktyle stanowią jedyny produkt wymiany na inne artykuły, jak zboże, odzież i narzędzia. Z tych okolic, corocznie przez kilka miesięcy w czasie okresu zbioru daktyli ciągną liczne karawany na północ i niosą dziesiątki tysięcy ton daktyli, aby w zamian za nie przywieźć ładunki zboża i innych artykułów codziennej potrzeby.

Palma daktylowa rosnąca poza jej właściwą ojczyzną, to jest, poza Afryką i Azją, jest drzewem ozdobnem, sadzonem dla upiększenia ogrodów, ulic i parków. Jakkolwiek te palmy często kwitną we właściwej porze, owoce ich nie są zdatne do jedzenia. Wyjątkowo tylko w miejscowości Elche, w południowej Hiszpanji palma daktylowa daje owoce jadalne, dzięki bardzo gorącemu klimatowi tej okolicy. Na południu Stanów Zjednoczonych rosną palmy daktylowe, nie wydają jednak owoców.

Na wyspie Sycylji palmy daktylowe dają owoce, wprawdzie nie jadalne, ale dojrzałe, gdyż z opadłych daktyli wyrastają młode palmy i tworzą śliczne gaiki dokoła macierzystych pni wielkich palm.



RYSZARD CONNELL

PRZYJACIEL NAPOLEONA

PAPA Chibou był bodaj najszczęśliwszym człowiekiem w Paryżu. Kochał swoją pracę, na tem polegało wszystko. Mnóstwo ludzi nie chciałoby się podjąć takiej roboty, nawet za wszystkie skarby świata, niejeden utrzymywał, że nie chciałby ani przez jedną noc spełniać podobnej funkcji nawet za cenę dziesięciu tysięcy franków, taki powiem okres czasu wystarczyłby do zupełnego osiwienia i zatrucia reszty życia uczuciem trwogi niezwyciężonej. Papa Chibou spoglądał na takich ludzi z popłażliwym uśmiechem, jako na niedołęgów, nie mających zmysłu potrzebnego do odczucia uroku przygód bohaterskich i niepokojących. Ci ludzie nie wiedzieli nic, nic a nic, o prawdziwym romantyzmie.

On zato co noc żył niejako za pan brat z romantyzmem i kroczył przez życie z przygodą u boku. Co noc zabawiał się z Napoleonem, Maratem i jego przyjaciółmi rewolucjonistami, z Wiktorem Hugo, Lloyd Georgem, z Fochem i Bigarrem, apaszem i mordercą, którego nieokiełznana namiętność zamieniania kochanek na gulasz doprowadziła do stóp gilotyny, z Ludwikiem XIV-ym i panią Ląblanche, która otruła jedenastu mężów, z Marją Antoinettą i pierwszymi chrześcijanami, którzy w oświetlonych elektrycznością katakumbach, pod trotuarem bulwaru Kapucynów, w samem sercu Paryża, pozwolili rozdzierać się dzikim zwierzętom.

Dla każdego z nich papa Chibou miał jakieś dobre słówko, wesoły żarcik i nieszczędził im ich, gdy nocą obchodził sale, obmywając twarze i otrzepując ubrania swych przyjaciół. Papa Chibou był bowiem dozorcą nocnym w muzeum Świat z Wosku. "Wstęp jednego franka, dla dzieci i żołnierzy połowę. Nerwowe damy bywają wpuszczane do gabinetu przerażeń, tylko na własną odpowiedzialność. Uprasza się nie dotykać figur woskowych. Psów nie wolno wprowadzać."

Tyle lat przebywał w muzeum, że sam stał się podobny do woskowej figury. Goście często przyglądali mu się uważnie i trącali go laskami, by się przekonać, czy to żywy człowiek, czy woskowa lalka. Chibou nie wyprowadzał ich z błędu. Stał nieruchomy i znosił cierpliwie ich niewczesną ciekawość. Objawy te napełniały go dumą. Cieszył się, że go biorą za woskowy manekin, dla niego bowiem te nieżywe postacie były czemś o wiele realniejszem, niż ludzie z krwi i kości.

Sam on miał rumiane, wystające policzki, małe senne oczka i siwe, gładkie włosy, które robiły wrażenie peruki i długie białe wąsy. Dość niski, drobny, robił wrażenie gnoma, pilnującego podziemi muzealnych. Nadawane przezwisko "papa" było czczym tytułem, który zdobył sobie po dwudziestu pięciu latach pracy w muzeum. Nie był żonaty i sypiał w małej niszy, tuż obok rzymskiej areny, na której czyhały lwy i tygrysy z masy papierowej na bezbronnych woskowych chrześcijan. Nocami, gdy je starannie okurzał, przemawiał do nich i czynił im gorzkie wyrzuty z powodu okrucieństwa i braku wszelkiego uczucia.

— Ach! — mówił, otrzepując ucho lwa, który szeroko rozwierał paszczę, by pożreć za jednym zamachem dziadka i małe wnuczę, — ach! na to trzeba być ostatnim okrutnikiem! Wstydzę się za ciebie, ty okrutne bydlę! Pójdziesz za to do piekła, możesz mi wierzyć. Djabeł usmaży twoje ślepie, niby jajka na patelni, ty łotrze! apaszu! wojenny paskarzu!

Potem papa Chibou pochylił się nad leżącym chrześcijaninem i przemawiał do niego współczująco:

— Cierpliwości, mój mężny bohaterze! Ta krwawa uczta potrwa chwileczkę, a potem ojciec niebieski przyjmie cię do swej chwały, zasiędziesz u jego boku i będziesz mógł o ile zechcesz, codzień zjeść jednego lwa na śniadanie. Jesteś przecie świętym: świętym Filibertem. Będą cię kanonizować, a wówczas możesz kpić z wszystkich lwów.

Papa Chibou figurę tę chrzcił mianem świętego Filiberta. Wogóle wszystkim tym nieruchomym postaciom użyczał jakichś nazw. I tak skończywszy z Filibertem, zwracał się do małego, tłustego dzieciaka z następującą przemową:

— Odwagi, Kubusiu! Nie każde dziecko może być pożarte przez lwa i nie każde otrzyma za to taką nagrodę, jak ty. Nie płacz, Kubusiu, a za to, gdy już znajdziesz się we wnętrznościach dzikiej bestji, to kop, gryź, wierzgaj; w ten sposób wywołasz boleści żołądkowe i przyprawisz o chorobę imci lwa. Czy to nie będzie doskonały figiel, mój Kubusiu?

I tak, drepcąc od figury do figury, gawędził stary ze swymi pupilami, lubił ich bowiem wszystkich, nawet apasza Bigarra. Zbrodniarzom wytykał ich błędy i dawał do zrozumienia, że takiego postępowania u siebie, w muzeum, nie zniesie. Naturalnie, muzeum to nie należało do niego, lecz do pana Pratoucy, jegomościa o melancholijnym wyglądzie i długiej szyi, dziwnie przypominającego smętnego marabuta. Siedział on zawsze przy okienku kasowem i zbierał franki. W nocy jednak papa Chibou był niepodzielnym władcą państwa figur wosko-

wych. Gdy za ostatnim gościem zamknęły się drzwi, rozpoczynał on swą wędrówkę poprzez ciche sale, zaludnione nieruchomemi postaciami. Dla każdego miał pozdrowienie i uśmiech.

— Ach! Bigarre, stary łotrze! jakże się miewasz? A pani Marja Antoinetta, jak pani przepędziła dzień dzisiejszy? Panu nie zimno, Juljuszu Cezarze? Mam nadzieję, że pańskie zdrowie, Karolu Wielki, jest w dobrym stanie?

Najgłębsze jednak uczucie miał dla Napoleona; innych lubił, jego czcił i kochał. Przyjaźń ta utrwaliła się z biegiem lat, figura bowiem Napoleona znajdowała się w muzeum tak długo, jak długo pracował w niem papa Chibou. Inne lalki zmieniały się zależnie od nastroju publiczności, Napoleon jednak przetrwał wszystko i trwał na stanowisku, choć zajmował ciemny i oddalony kącik.

Figurka to była niepokaźna i w niepokaźnym stroju, w dodatku uległa przykremu wypadkowi, postawiono ją mianowicie zbyt blisko kaloryferu i jedno ucho uległo zniekształceniu z powodu nadmiernego gorąca. Przedstawiała Napoleona z okresu pobytu na wyspie świętej Heleny; cesarz w szarej kapocie stał na odłamie skały papierowej i spoglądał z zadumą w oczach na morze, którego nie było. Jedną rękę założył na klapę surduta, drugą opuścił wzdłuż spodni, ongi białych, dziś poszarzałych i zrudziałych, zarówno jak stosowany kapelusz.

Papa Chibou odczuł od pierwszej chwili wielką sympatję do Napoleona, było bowiem w tej lalce coś szczególngo, coś niezwykłego, ale i papa Chibou był w owych czasach w dziwnym nastroju. Przybył właśnie do Paryża z południowej Francji, jako młody człowiek, poszukiwać szczęścia na bulwarach stolicy. Szczęścia nie znalazł, lecz otrzymał posadę w muzeum Pratoucy, gdzie zarabiał na kawałek chleba i szklankę wina. Tutaj też wyrobił się w nim gust do romantyzmu i utrwaliła przyjaźń do Napoleona.

Pierwszego dnia po objęciu posady obszedł muzum w towarzystwie pana Pratoucy, który go wszędzie oprowadzał, ukazując palcem każdą figurkę zosobna.

— To jest panna Merle, która zastrzeliła rosyjskiego arcyksięcia, — mówił właściciel — to jest Karolina Corday, która zasztyletowała Marata w kąpieli, to jest sam Marat...

Następnie podeszli do Napoleona. Pan Pratoucy minął go w milczeniu.

— A któż jest ten pan z tak smutną twarzą? — zapytał papa Chibou.

— Na miłość Boga! I tego pan nie wiesz?

— Nie, panie.

— Ależ to Napoleon we własnej osobie!

Owej nocy Chibou po raz pierwszy obszedł całe muzeum i rzekł do Napoleona:

— Mój panie, nie wiem, o co pana oskarżają, ale ja zgóry powiem, że nie wierzę w pańską winę.

W ten sposób zaczęła się ich przyjaźń. Chibou okurzał pilnie woskową figurę i zwierzał jej wszystkie swe troski. Pewnego wieczoru rzekł do niego!

— Zauważyłeś, mój kochany Napoleonie, tę zakochaną parę, która tu dziś była? Sądzili, że w tym kąciku jest tak ciemno, że nikt ich nie spostrzeże, ale myśmy wszystko dobrze widzieli, nieprawdaż? On wziął jej rękę, uścisnął i począł coś szeptać do ucha. Czy ona zarumieniła się, nie mogłem dojrzeć... Ona jest bardzo ładna, ma takie duże, ciemne, błyszczące oczy. To nie Francuzka, poznałem po wymowie, z pewnością Amrykanka, ale on jest Francuzem i taki z niego ładny chłopiec, przynajmniej mnie się tak wydaje. Jest smukły, wysoki, musi być odważny, ma bowiem krzyż wojenny, i ty to spostrzegłeś, Napoleonie, nieprawda? Nie po raz to zresztą pierwszy mamy sposobność ich obserwować. Spotykają się tu często i mają rację. Czyż to nie najbardziej romantyczne miejsce na świecie?

Papa Chibou strzepnął jakiś pyłek z ubrania Napoleona i ciągnął dalej:

— Ach! Co to musi być za rozkosz być młodym i kochać. Czyś kochał się kiedy? Nie? To szkoda. Rzumiem twe położenie, sam bowiem nigdy nie miałem szczęścia w miłości. Kobiety lubią wysokich, silnych mężczyzn, prawda? My więc obaj powinniśmy starać się ułatwić wszystko tym dwojgu młodym; niech zażyją tego szczęścia, którego my zaznać nie mogliśmy. Nie zwracaj na nich uwagi, gdy tu przyjdą jutro wieczorem, ja też udam że ich nie poznaję.

Co wieczór, po zamknięciu bramy muzeum gawędził papa Chibou o młodej, zakochanej parze i o rozwoju ich uczuć.

— Jakoś niezbyt dobrze się dzieje z naszemi młodemi, — rzekł pewnego wieczoru do Napoleona, kiwając głową.

— Jakieś poważne przeszkody stoją im na drodze do szczęścia. On jest ubogi, dopiero zaczyna wchodzić w życie. Słyszałem, jak jej to dziś opowiadał i tłumaczył, ona zaś jest zależną od ciotki, która ma jakieś inne plany co do niej. Szkoda, że tak im się nie wiedzie, wielka szkoda... Gdybyśmy mieli trochę grosza, to moglibyśmy im pomóc, ale ja nie mam pieniędzy, a ty chyba też ich nie posiadasz, tak bowiem smutno i żałośnie wyglądasz. Jutrzejszy dzień będzie mieć dla nich wielkie znaczenie. On spytał jej, czy zechce wyjść za niego zamąż. Odrzekła, że da mu odpowiedź jutro wieczorem, tutaj o dziewiątej. Gdyby nie przyszła, to będzie oznaczać, że muszą się rozstać, ale ja myślę, że wszystko pójdzie dobrze i że jutro będziemy świadkami ich szczęścia.

Następnego wieczoru, ledwie drzwi zamknęły się za ostatnim gościem, już papa Chibou stał przy Napoleonie:

— Czyś go widział, mój przyjacielu? Czyś go dobrze obserwował? Czyś dostrzegł bladość je-

go twarzy i wyraz cierpienia w oczach? Siedział tak długo, wcale nie mógł zdecydować się na opuszczenie tych sal. Musiałem mu parę razy przypominać, że nadeszła godzina zamknięcia. Miałem wrażenie, że zamieniłem się nagle w nieubłaganego sędziego, tak rozpaczliwym wzrokiem spojrzał na mnie. Oh! Napoleonie... Zupełnie miał twarz skazańca!... Wyszedł, chwiejąc się na nogach, zupełnie zatracił zwykłą, swobodną postawę. Więc ona jednak nie przyszła, dziewczyna z ciemnemi oczyma... Nasza mała komedja miłości zamieniła się w tragedję. Odrzuciła go, biednego, poczciwego chłopca!

Następnego dnia papa Chibou przybiegł do swego przyjaciela, poruszony do głębi.

— Czyś widział, mój kochany? Ona tu była! Przyszła i czekała, czekała, ale on naturalnie nie przyszedł, zapewne stracił wszelką nadzieję. Było mi tak żal tej panienki, że wziąłem na odwagę, podszedłem do niej i rzekłem: "Proszę mi darować moją śmiałość, ale zdaje mi się, że powinienem pani powiedzieć, iż on tu był wczoraj, czekał na panią, aż do zamknięcia muzeum. Był bardzo blady i gryzł palce z żalu i bólu... Niech pani nie łamie serca temu chłopcu, bo to bardzo dobry, porządny człowiek, proszę wierzyć mnie, staremu. "Wtedy schwyciła mnie za rękę." "Pan go zna? Pan może powiedzieć mi, gdzie on mieszka"? "Nie", odparłem, "nie znam go, widywałem go tylko tutaj, jak przychodził z panią". "Ach! biedny, biedny chłopiec!" zawołała, płacząc. "Co ja mam teraz robić? Kocham go i taka jestem nieszczęśliwa..." — "A czemu pani wczoraj nie przyszła?" — "Nie mogłam, mam bogatą ciotkę, złą, okrutną osobę, która mnie chce wydać za starego, tłustego hrabiego, wstręt we mnie budzącego. Wczoraj zamknęła mnie na klucz i dlatego nie mogłam tu przyjść. W ten sposób utraciłam tego, którego kocham, on bowiem myśli zapewne, że nie chcę wyjść za niego...". "Ale pani może go zawiadomić?" — "W jaki sposób? nie znam jego adresu, a za parę dni moja ciotka wywiezie mnie do Rzymu, gdzie już czeka na mnie stary, wstrętny hrabia!" Biedna panienka o ciemnych, błyszczących oczach oparła główkę na mojem ramieniu i poczęła gorzko płakać.

Papa Chibou zamilkł na chwilę, a potem, okurzając kapelusz Napoleona, ciągnął dalej:

— Próbowałem ją pocieszyć; tłumaczyłem, że młody człowiek będzie starał się ją odszukać, że napewno wróci tutaj, do tego miejsca, gdzie był szczęśliwy, ale sam w to nie wierzyłem. Biedactwo czekało aż do zamknięcia muzeum. Widziałeś zapewne jej twarz? Czy nie odczułeś wzruszenia na widok jej smutku?

Następnego wieczoru papa Chibou przyszedł do swego przyjaciela z bardzo przygnębioną miną:

— Była tutaj, czekała cały wieczór, ale jego nie było. Serce mi się krajało, gdy patrzyłem na nią. Godziny mijały, a ona płakała pocichutku. Odchodząc, dała mi tę kartkę i prosiła, by oddać ją temu młodzieńcowi, o ile go zobaczę. Posłuchaj, Napoleonie, co tutaj napisano: "Mieszkam w willi Rosina. Przyjdź. Kocham. Mina". Biedny, biedny chłopiec. Musimy czekać na niego, my obaj... Papa Chibou i Napoloen czekali rzeczywiście jeden dzień, drugi i trzeci, ale młodzieniec się nie zjawiał. Minął tydzień, miesiąc, kilka miesięcy... Dozorca muzealny stracł już wszelką nadzieję i zresztą miał obecnie wiele własnych kłopotów. Pan Pratoucy mianowicie postanowił zamknąć muzeum.

— Interes nie idzie, — mówił — ludzie żałują tego franka za bilet, odkąd mogą oglądać w kinach tyle ciekawych rzeczy. Długi rosną, wierzyciele dokuczają mi, poprostu trzeba zwinąć budę.

— Ale panie Pratoucy, — rzekł papa Chibou, drżąc na całem ciele z przerażenia — cóż się stanie z tymi ludźmi tutaj? Z Marją Antoinettą, męczennikami, z Napoleonem?

— Och! — odparł właściciel przedsiębiorstwa — może się uda sprzedać, za trochę gotówki. Może je kto kupi odemnie, bodaj na szmelc.

— Na szmelc? Panie Pratoucy! Czy to możliwe?

— Naturalnie! A cóżbym z niemi robił?

— Może pan parę sztuk zatrzyma na pamiątkę, choć jedną parę?!... Bodaj może Napoleona?

— Na pamiątkę? Oszalałeś! Mam zachować sobie te lalki na pamiątkę mojego bankructwa?...

Papa Chibou był zdruzgotany. Odszedł do swej niszy i usiadł na łóżku. Całą godzinę siedział tak bezczynnie, pogrążony w myślach, motając długi wąs na palec. Następnie wydobył z pod łóżka drewniany kuferek, opatrzony aż trzema mocnemi zamkami i otworzył go. Na dnie kuferka spoczywała pończocha, a w niej cały majątek papy Chibou, majątek składany grosz po groszu przez dwadzieścia pięć lat pracy. Były to groszaki zbierane z napiwków. Stary dozorca przeliczył je skrupulatnie aż trzy razy, ale okazało się, że oszczędności te wyniosły zaledwie dwieście dwadzieścia jeden franków.

Tej nocy papa Chibou nie opowiedział nic Napoleonowi o złowrogim zamiarze pana Pratoucy. Wogóle nie wspomniał o nim żadnej z woskowych figur, natomiast podwoił wobec nich uprzejmość. Nawet dla lwa pożerającego starca i dziecię, znalazł tego dnia miłe słówko.

— Tak, tak, panie lwie. Wszystko na świecie ma swój cel i sens, to też ja myślę, że panu tak samo wolno pożerać męczenników, jak mnie wolno zjadać barany. Nieraz mówiłem panu różne nieprzyjemne rzeczy, lecz dziś żałuję tego, nie jest to bowiem niczyją winą, że zwierzęta i człowiek muszą jeść, aby żyć. Pan, panie lwie, przyniosłeś ze sobą przeznaczenie pożerania

męczenników, a ja jestem skazany na ubóstwo przez całe życie.

Mówiąc to papa Chibou pogłaskał życzliwie bestję po głowie.

Napoleona okurzał tego dnia jeszcze staranniej niż zwykle. Wytarł twarz cesarza wilgotną ściereczką i powiedział mu dowcip, który posłyszał tego dnia w nędznej restauracyjce, gdzie się stołował.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi, — rzekł mu na zakończenie — znamy życie i odnosimy się do wszystkiego, co nas spotyka filozoficznie, nieprawda? Umiemy znieść spokojnie nawet cierpienie i nieszczęście.

Miał zamiar dalej rozmawiać z cesarzem, ale nie uczynił tego. Przerwał nagle przemowę, odbiegł w głąb gabinetu i tam stanął nieruchomo, wpatrzony w nieszczęśliwego Malajczyka, tratowanego przez słonia.

Dopiero w dzień licytacji papa Chibou opowiedział Napoleonowi o wszystkiem, co zaszło i o klęsce, która miała spotkać ich obu. Położył dłoń na ramieniu cesarza i rzekł.

— Stoimy wobec bardzo ciężkiego zadania, przyjacielu, ale nie trać odwagi. Papa Chibou nie opuszcza przyjaciół w potrzebie. Posłuchaj tylko:

Mówiąc to, uderzył się ręką po kieszeni, w której coś wesoło zadźwięczało. Licytacja się rozpoczęła. Tuż koło stołu urzędnika stał jakiś człowiek ze szczurzemi oczyma i brudnemi palcami. Papa Chibou struchlał na jego widok... Poznał w nim starego Mogena, króla handlarzy starzyzną w Paryżu. Licytacja odbywała się raźno.

— Juljusz Cezar wraz z togą i sandałami. Sto pięćdziesiąt franków. Śmiesznie tanio, jak na rzymskiego imperatora. Kto da więcej? Dwieście franków! Pan, panie Mogen? Dziękuję panu. Nikt nie daje więcej? Po raz pierwszy, drugi i trzeci. Juljusz Cezar zatem staje się własnością pana Mogena.

Papa Chibou pogłaskał czule Cezara po plecach.

— Jesteś więcej wart, niż dwieście franków, bądź zdrów.

Stary poczuł przypływ świeżej energji. Jeżeli taki Juljusz Cezar, względnie nowy i niezniszczony kosztował tylko dwieście franków, to Napoleon, na którym ostatnie lata wycisnęły dotkliwe piętno, z pewnością pójdzie taniej.

Licytacja odbywała się szybko. Stary Mogen skupywał wszystko, niemal cały gabinet potworności. Nabył Marję Antoinettę, lwa i męczenników, oraz inne lalki. Papa Chibou stał obok Napoleona, drżąc z niepokoju i ciągnąc w dół osiwiałego wąsa. W końcu, gdy niemal wszystkie przedmioty stały się własnością handlarza, urzędnik zawołał:

— Panowie i panie! Tutaj jest jeszcze kilka przedmiotów, które sprzedamy hurtownie. Są one wszystkie objęte numerem 573, a składają się nań: wypchana sowa, nadjedzona przez mole, szal hiszpański, głowa apasza i stara woskowa figura Napoleona z uszkodzonem uchem. Co państwo dajecie za ten numer?

Serce przestało kołatać w piersiach papy Chibou. Położył znowu dłoń na ramieniu Napoleona i szepnął mu do ucha:

— Co za idjota! Zaliczył ciebie do rzędu takich rupieci, jak wypchana sowa, lub szal indyjski. Nie bierz tego jednak tragicznie. Być może, że nam obu głupota tego człowieka wyjdzie na dobre.

— Ile państwo dajecie? — powtórzył urzędnik.

— Sto franków — rzekł Mogen.

— Stopięćdziesiąt! — wykrzyknął papa Chibou, nie mogąc dłużej panować nad sobą.

Mogen pomacał materjał, z którego był uszyty surdut cesarski i rzekł:

— Dwieście franków.

— Kto da więcej? — zawołał urzędnik.

— Dwieście dwadzieścia! — szepnął papa Chibou zachrypniętym głosem.

Mogen spojrzał na niego z niechęcią, a potem podniósł w górę kościsty palec, na którym błyszczał brylantowy pierścień.

— Dwieście dwadzieścia pięć! — rzekł z powagą.

— Dwieście dwadzieścia pięć! — powtórzył znów urzędnik. — Kto da więcej?

Papa Chibou znienawidził w tej chwili świat i ludzi.

— A więc dwieście dwadzieścia pięć, po raz pierwszy, drugi i trzeci!... Numer 573 staje się własnością pana Mogena!

Stary dozorca był tak ogłuszony obrotem sprawy, że nie mógł zdobyć się na żadne słowo; jak przez mgłę posłyszał jeszcze handlarza mówiącego:

— Jutro przyślę wozy po te rupiecie.

— Rupiecie!

Przygnębiony, nieszczęśliwy wszedł papa Chibou z niszy, w której przez lat tyle sypiał tuż obok rzymskiej areny. Zapakował trochę nędznego odzienia, które stanowiło cały jego majątek. Na ostatku odczepił od czapki mosiężną blaszkę, którą lat tyle nosił, a na której widniał napis: Wyższy Dozorca. Tytuł ten napełniał go stale dumą, jakkolwiek nie odpowiadał prawdzie. Papa Chibou był bowiem jedynym dozorcą tego zakładu, obecnie zaś miał stać się niczem.

Nie mógł zdecydować się na opuszczenie swojej niszy. Dopiero pod wieczór zabrał manatki i przeniósł je do stancyjki na poddaszu, którą sobie poprzednio wynajął. Wiedział, że musi rozejrzeć się za nową posadą, odkładał jednak poszukiwanie do następnego dnia, sam zaś wślizgnął się do muzeum i usiadł na ławeczce obok Napoleona. W ten sposób przepędził całą noc, nie zmrużywszy oka. Dumał nad czemś głęboko, a myśli, które przepływały pod jego rozpalonem

czołem, napełniały przerażeniem jego samego. Gdy wstający dzień począł sączyć blady półmrok przez okna muzeum, papa Chibou wstał z ławki energicznym ruchem. W sercu jego w ciągu tej nocy rozegrała się ciężka walka, a ranek był świadkiem narodzin nieugiętego postanowienia.

— Napoleonie, — rzekł — byliśmy przez tyle lat przyjaciółmi, a teraz mamy się rozstać, ponieważ jakiś obcy człowiek dał za ciebie pięć franków więcej niż ja... Może to w porządku wobec prawa, ale nie jest to sprawiedliwie. My nie możemy zgodzić się na to.

Paryż budził się dopiero do życia, gdy papa Chibou przekradał się ostrożnie uliczkami do swego mieszkanka na poddaszu. Szedł z trudem i nawet przystawał kilka razy by zaczerpnąć tchu. W ramionach bowiem dźwigał z trudem Napoleona.

Tego samego popołudnia dwóch policantów przyszło zaaresztować byłego dozorcę muzealnego. Mogen zauważył brak Napoleona i podejrzenia jego skierowały się natychmiast przeciw papie Chibou. Wina jego zresztą była niezaprzeczalną. W kącie stancyjki starego stała woskowa figura, spoglądając z zadumą na morze dachów, widne z okienka poddasza. Policjanci zabrali oskarżonego dozorcę do więzienia, a wraz z nim Napoleona, który miał służyć, jako "corpus delicti".

I tak papa Chibou znalazł się w celi więziennej. Dla niego prawo, więzienie, sądy, policja, były jakiemiś widmami, pełnemi tajemnej grozy. Z trwogą zapytywał siebie, czy będzie zgilotynowany, czy też skazany na ciężkie roboty. Najbardziej przerażało go dożywotnie więzienie. O śmierci myślał dość spokojnie, jeżeli Napoleon i tak musi iść na szmelc?

Dozorca więzienny, który przynosił mu jedzenie, był pesymistą, a w dodatku lubił kpić sobie z przestępców, to też nieraz przemawiał do papy Chibou w sposób, który biednemu zbrodniarzowi odbierał resztki nadziei.

— Dobry z ciebie numer, — mówił — zachciało ci się kraść na starość i to w dodatku woskowe figury. Co ci też do głowy przyszło, żeby zrobić coś podobnego? Niedługo ktoś ukradnie wieżę Eiffla! Mieliśmy tu takiego, który skradł wagon tramwajowy, a nawet przypominam sobie złodziejaszka, który ściągnął z ogrodu zoologicznego hipopotama, ale żeby ktoś złakomił się na woskową lalkę i to w dodatku starą, bez ucha, tego jeszcze nie słyszałem.

— A jaka kara spotkała tego, co ukradł hipopotama? — zapytał papa Chibou, drżąc z trwogi.

Dozorca podrapał się za uchem.

— Nie przypominam sobie dokładnie, zdaje mi się, że został skazany na dożywotnią deportację do Maroka.

Czoło papy Chibou pokryło się zimnym potem.

— To była ogromnie śmieszna rozprawa — ciągnął dalej nieubłagany dozorca. — W skład trybunału wchodzili panowie: Bertouf, Goblin i Perousse, wszyscy trzej ogromnie dowcipni i żartownisie. Co oni wyprawiali z oskarżonym! Ja sam śmiałem się do łez. Sędzia Bertouf, ogłaszający wyrok, powiedział: "Wymierzamy panu, panie złodzieju hipopotamów, wysoką karę, która ma innym służyć jako przykład odstraszający. Inaczej każdy opryszek wziąłby się do kradzieży hipopotamów!" O! ci sędziowie, to doskonali kawalarze...

Papa Chibou zbladł jak ściana.

Wkrótce potem zjawił się znów dozorca, niosąc biednemu więźniowi nowe hiobowe wieści.

— A to masz szczęście, — rzekł — staniesz przed najsurowszym trybunałem w Paryżu, a w dodatku bronić cię będzie niejaki Jerzy Dufayel.

— Czy to zły adwokat? — spytał papa Chibou.

— On? Od sześciu miesięcy nie udało mu się nikogo obronić — dowodził dozorca takim tonem, jakby opowiadał więźniowi wesołą anegdotkę. — Jego obrony są tak zabawne, że można umrzeć ze śmiechu. Nie zajmuje się wcale tem, co mówi, tylko buja myślami gdzieś po świecie. Nie wkłada w obronę ani odbrobiny zapału, tylko mruczy coś pod nosem. Zgóry wiadomo, że jego klient musi być skazany, ale trudno, kto nie ma pieniędzy na zapłacenie dobrego adwokata, musi się pogodzić z tem, co mu los zsyła. Prawda, mój stary?

Papa Chibou westchnął ciężko.

— Poczekaj do jutra — mówił dalej dozorca — wtedy dopiero będziesz wzdychał.

— Ale ja także przecież będę mógł sam się bronić?...

— A to po co! Wina twoja, staruszku, jest jasna jak dzień. Ukradłeś figurę Napoleona. Lalka ta będzie zaniesiona na salę i będzie przeciw tobie świadczyć. Tak, tak. Nic ci nie pomoże, niema nic do powiedzenia na twoją obronę. No, do widzenia, do jutra. Śpij dobrze...

Ale papa Chibou nie spał dobrze tej nocy. Właściwie nie spał wcale i nazajutrz rano był tak osłabiony, że chwiał się na nogach. Ledwo dowlókł się do ławy oskarżonych, na której już siedziało kilku przestępców. Wielka sądowa sala i ponury nastrój otoczenia podziałały na niego przygnębiająco. Miał jednak na tyle przytomności, by rozejrzeć się wokół i spytać jednego z policjantów, który z panów obrońców, znajdujących się na sali, jest Jerzym Dufayel.

— Niema go jeszcze, — odparł policjant — on zawsze przychodzi bardzo późno, a jeżeli masz szczęście, to może wcale nie przyjdzie.

Papa Chibou padł napół martwy na ławę i spojrzał na swych sędziów. Widok ten nie dał mu wcale ufności. Przewodniczący, pan Bertouf był ogromnym mężczyzną, o twarzy wielkiej, czerwonej i brunatnej, noszącej ślady licznych

i obfitych libacyj, pan Goblin siedzący obok, przypominał zasuszoną mumję. Twarz żółtawa, pergaminowa, pokryta fałdami zmarszczek, wśród której kryły się małe oczka w czerwonej obwódce, miała wyraz chytry i przebiegły. Fizjonomja sędziego Perousse ginęła niemal całkowicie w gęstwie siwej brody, z której wyłaniał się tylko krogulczy nos i grube wargi. Spojrzał uważnie na papę Chibou i zwilżył usta językiem. W biednym przestępcy serce zamarło z trwogi. Poczuł się drobnym pyłkiem wobec jakichś strasznych potęg, które się zaprzysięgły na jego zgubę.

Wywołano pierwszą sprawę. Oskarżony był młodym chłopcem, obwinionym o kradzież jednej pomarańczy, ściągniętej przekupce.

— Ach! panie złodzieju, — rzekł sędzia Bertouf — teraz jesteś wesoły i nic sobie z niczego nie robisz, ale za rok, gdy wyjdziesz z więzienia, inaczej będziesz śpiewać. Następna sprawa!

Serce papy Chibou zadrżało z trwogi. Rok więzienia za jedną pomarańcz! A on, Chibou, ukradł przecież całego człowieka.

W tej chwili na salę weszło dwóch policjantów, niosących jakiś ciężar, który ustawili przed sędziami. Była to figura Napoleona.

Jeden z woźnych trącił papę Chibou w ramię.

— Twoja kolej — rzekł.

— Ale mój obrońca, pan Dufayel...

— Masz pecha, właśnie nadchodzi.

Papa Chibou ujrzał wysokiego, bladego młodzieńca, podchodzącego spiesznie do ławy obrońców. Poznał go natychmiast. Był to ów młody człowiek z muzeum, na którego przyjście czekał daremnie. Młodzieniec nie miał jednak tej pewnej, wspaniałej postawy, która go cechowała dawniej. Rzucił obojętne, przelotne wejrzenie na swego klienta i rzekł obojętnym głosem:

— Pan ukradł jakiś przedmiot, znaleziono go w pańskim pokoiku, więc nie warto zapierać się. Najlepiej przyznać się do winy, to sprawę ogromnie przyspieszy.

— Dobrze, — rzekł papa Chibou, — który stracił resztkę nadziei — ale niech pan poczeka, ja mam tu coś dla pana... pewną wiadomość.

Sięgnął do kieszeni i wydobył z niej małą karteczkę, wręczoną mu ongiś przez panienkę o ciemnych, błyszczących oczach. Podał ją adwokatowi.

— Ona kazała mi oddać to panu. Ja byłem dozorcą w muzeum Pratoucy, ona tam co dzień przychodziła i czekała na pana.

Młody człowiek pochwycił kartkę. Jego twarz zmieniła się nagle, a w oczach błysnął ogień.

— O! Boże, — szepnął — a ja zwątpiłem o niej!... O! dzięki, dzięki... ileż ja panu zawdzięczam... — pochwycił rękę oskarżonego.

Sędzia Bertouf chrząknął niecierpliwie.

— Czekamy na pańską mowę, panie obrońco!

— Za chwileczkę, panie sędzio! — odparł adwokat i zwrócił się do obwinionego.

— Prędko! — szepnął — powiedz mi pan, o co chodzi, co pan ukradł?

— Jego — rzekł papa Chibou, wskazując Napoleona.

— Tę figurę?

— Tak jest.

— Ale dlaczego pan to uczynił?

Oskarżony wzruszył ramionami.

— I tak pan tego nie zrozumie.

— Ale ja muszę wiedzieć, jeżeli mam pana bronić, co i tak będzie dość trudne wobec tych okrutników. Prędko! Dlaczego pan go ukradł?

— To był mój przyjaciel. Muzeum zbankrutowało i Napoleon został sprzedany na szmelc. To był mój przyjaciel. Czy mogłem go opuścić?

Oczy młodego adwokata zapałały dziwnym ogniem.

— Dosyć, — szepnął — już wiem wszystko.

Wstał i spojrzał na sędziów. Głos jego był cichy, ale nabrzmiały głębokiem wzruszeniem. Sędziowie zwrócili się ku niemu zdziwieni.

— Panowie sędziowie,—rzekł adwokat—mój klient jest winny. Powtarzam to, aby słowa te posłyszała cała Francja, wrogowie Francji i świat cały. Ten stary człowiek, dotąd nieskazitelny, ukradł figurę Napoleona, temu nie przeczę, ale zarazem stwierdzam, że jego przestępstwo napełnia mnie dumą.

— Jeżeli pański klient jest winny, to rozstrzyga o wszystkiem — przerwał sędzia Bertouf — i choć pan z tego jest dumny, co istotnie brzmi nieco dziwacznie, my go i tak zasądzimy...

— Niechże pan poczeka chwileczkę — rzekł z mocą obrońca — musicie mnie wysłuchać. Nim zasądzicie panowie tego człowieka, pozwólcie mi zadać sobie jedno pytanie...

— Więc?

— Czy pan jest Francuzem, panie Bertouf?

— Naturalnie.

— A czy pan kocha Francję?

— Nie ośmieli się pan utrzymywać, jakoby było inaczej.

— Nie, jestem nawet pewien pańskiej miłości dla ojczyzny, ale dlatego też musicie mnie panowie wysłuchać.

— Słuchamy pana.

— Powtarzam zatem: Hieronim Chibou jest winien. Jest winien wobec prawa, ale wobec Francji i wobec tych, którzy ją kochają, wina jego jest zmazana, a nawet przemieniona w czyn bohaterski...

Trzej sędziowie spojrzeli na siebie ze zdumieniem, a papa Chibou patrzył na swego obrońcę szeroko otwartemi oczami. Jerzy Dufayel mówił dalej:

— Przeżywamy teraz okres zamieszek w kraju. Dawne, dumne tradycje giną zaniedbane. Wrogowie nasi wewnętrzni i zewnętrzni pracują nad naszą zgubą. Młodzież współczesna niedba o chwałę kraju, o tę chwałę, która winna kształtować duszę narodu. Wielkie imiona prze-

padają w zapomnieniu, wielu ludzi żyje, nie pomnąc na to, co zawdzięczają bohaterom narodowym...

Są jednak i tacy, którzy, ożywieni uczuciem patrjotyzmu, zapomnieć o tem nie chcą!

I tu właśnie przed wami, sędziowie, siedzi jeden z nich... Ten stary człowiek pielęgnuje w sercu prawdziwy ogień miłości ojczyzny. Powiecie zapewne, że to prosty, niewykształcony chłop, powiecie może, że to złodziej...

Ja jednak twierdzę, a za mną powtórzy to cała Francja, że człowiek ten jest wielkim potrjotą. On kocha Napoleona... kocha go za to, co uczynił dla Francji i dla jej imienia, za tego ducha bohaterstwa, który wiódł wielkiego cesarza szlakiem chwały od zwycięstwa do zwycięstwa! Czy zresztą potrzebuję przypominać wam, panowie sędziowie, co Napoleon uczynił dla ojczyzny? Wiem, że to byłoby zupełnie zbędne. Czyż mam mówić o jego zwycięstwach? Pamiętacie je lepiej odemnie!

Mimo tego zwrotu adwokat wpadł w zapał i przeszło godzinę mówił o działalności Napoleona i roli, jaką cesarz odegrał we Francji.

— Wielu o tem zapomniało — kończył — ale ten starzec nie zapomniał! Siedzi on teraz przed nami, oskarżony o kradzież, gdyż w chwili, gdy bezmyślni handlarze gotowi kupczyć świętościami, podobiznę wielkiego cesarza, największego syna Francji chcieli rzucić na stos i unicestwić... on jeden wystąpił w jego obronie. Czyż to wy panowie zapobiegliście świętokradztwu? Czy może ja? Nie! To ten prosty człowiek, który Napoleona bardziej kochał niż siebie samego! Pomyślcie, panowie... Napoleon, cesarz Francuzów miał iść na szmelc! Ale znalazł się obrońca, którego dziś chcecie napiętnować hańbiącem mianem złodzieja, człowiek, który odważył się krzyknąć na całą Francję: precz świętokradcy! Żyje jeszcze we Francji patrjotyzm, ja, Hieronim Chibou, ocalę Napoleona! I ocalił go, panowie sędzowie!

Adwokat Dufayel otarł spocone czoło i mówił dalej, mierząc palcem prosto w oblicza sędziów:

— Możecie panowie posłać Hieronima Chibou do więzienia, ale jeżeli to uczynicie musicie wziąć na swe sumienie fakt, że skazaliście człowieka za jego miłość dla ojczyzny. Każdy, w czyjej piersi bije serce oddane Francji, zrozumie ten czyn Hieronima Chibou i każdy z szacunkiem głowę przed nim pochyli... Nałóżcie kajdany na to stare, niedołężne ciało, zamknijcie je w murach więzienia, a ujrzycie, że naród rozwali te mury, by uczcić w więzieniu tego, który ze swego życia i wolności złożył ofiarę na ołtarzu ojczyzny!

Adwokat skończył i usiadł na ławie obrońców. Papa Chibou spojrzał na sędziów.

Sędzia Perousse wytarł nos hałaśliwie, sędzia Goblin, udekorowany odznaką wojenną upuścił łzę do kałamarza, a sędzia Bertouf płakał oficjalnie i bez ceremonji.

— Hieronimie Chibou — odezwał się przewodniczący głosem złamanym od wzruszenia — wstań i wysłuchaj wyroku sądu!

Papa Chibou wstał, trzęsąc się na nogach i ujrzał wyciągniętą ku sobie rękę koloru bananów:

— Hieronimie Chibou — mówił przewodniczący — stwierdzam, że jesteś winien, winien najwyższego patrjotyzmu. Jesteś wolny! Pozwól mi uścisnąć twoją rękę, rękę szlachetnego i bohaterskiego Francuza.

— Niechże i nam pan pozwoli uściskać prawicę — odezwali się sędziowie Perousse i Goblin, podając ręce oszołomionemu papie Chibou.

— Pójdziemy dalej — rzekł przewodniczący — polecamy panu, byś nadal czuwał tak nad Napoleonem, jak to dotąd czyniłeś! W tym celu składam sto franków, abyś wykupił tę jego podobiznę i stał się prawym jej właścicielem.

— My również — zawołali dwaj jego towarzysze w togach.

Po chwili papa Chibou, Napoleon i adwokat Dufayel opuścili w triumfie salę sądową. Były dozorca muzeum zwrócił się ze łzami w oczach do swego obrońcy.

— Nigdy się panu nie wywdzięczę, panie Dufayel — rzekł.

— Ach! Głupstwo — przerwał mu adwokat.

— A możeby pan zechciał powiedzieć mi jeszcze i nazwisko Napoleona?...

— Jakto? Bonaparte... Przecież pan je zna...

— Nie, panie Dufayel, ja jestem prosty, głupi człowiek. Wcale nie wiedziałem, że Napoleon był tak wielkim człowiekiem...

— Więc cóż pan sądził? Za kogo go pan brał?

— Myślałem, że to jakiś opryszek czy bandyta — odparł papa Chibou zawstydzony.

Na jednem z przedmieść Paryża znajduje się piękna willa, otoczona dużym ogrodem. Mieszka w niej Jerzy Dufayel, młody, utalentowany adwokat, znany całej stolicy. Żona jego jest młodą, piękną osobą o ciemnych, błyszczących oczach. Aby dojść do willi, trzeba minąć bramę, obok której stoi domek odźwiernego. Odźwierny, to mały, drobny, stary człowieczek, o długim siwym wąsie.

Kto zajrzałby przez okno do wnętrza domku odźwiernego, ujrzałby w kącie drugiego małego człowieczka w szarym surducie i dużym kapeluszu na głowie. Nie porusza się on wcale, lecz stoi nieruchomo, założywszy jednę rękę za połę surduta z drugą opuszczoną wzdłuż spodni, z oczyma utkwionemi w głąb ogrodu. Czeka on przez cały dzień na papę Chibou, który po skończonej pracy wraca do domu i opowiada mu zasłyszane w ciągu dnia dowcipy i nowinki.

K. M.

BLONDYNKA

MAŁŻEŃSTWO już od czterech dni siadało do stołu powarzone. Umorusana Bibi robiła, co chciała, ze wszystkiemi nożami i widelcami; zupę rozlewała na płaski talerz, do solniczki, w doniczkę poza sobą i zaledwie trochę w siebie. Była rozpanoszona nagłą tolerancją rodziców i mięso soliła sobie zupełnie na biało, a potem się zapłakiwała, że nie może tego jeść. Nie robiono sobie z tego nic równo od poniedziałku, a dzisiaj był czwartek. Mama miała zapłakane oczy i proste bez ondulacji włosy, widać było, umyślnie spuszczała sobie na nos, maczała w herbacie, w zupie, w sosie na talerzu. Papa czytał przez cały czas obiadu dwie gazety naraz, żeby udawać głuchego na wypadek wczęcia przez kogokolwiek rozmowy.



Bibi doskonale wiedziała, o co chodzi. Mama chciała ufarbować włosy "na blondynkę" — koniecznie, za wszelką cenę, nawet "rozwodu"! Takie słowo usłyszała wczoraj Bibi w chwili, kiedy weszła do sypialnego pokoju, dać "buzi" na dobranoc. Narazie nie ma jeszcze pojęcia, co znaczy to słowo. Mogłaby się zapytać nianiusi, ale mama tyle razy krzyczała na nianię, że jest "plotkara". Bibi ma sześć lat, ale już wie, co to jest plotkarstwo, bo tyle razy papa gniewał się za to na mamę. To znaczy wogóle zaraz powiedzieć przez telefon komuś coś, co papuś prosił zachować przy sobie. Albo powiedzieć przez telefon, albo pójść gdzieś na chwilkę, a przyjść aż po herbacie.

Na stole, gdzie jeszcze przed chwilą pełno było słońca i wszystko wyglądało tak wesoło i ładnie — nagle się zachmurzyło. — Widocznie tak się "poukładały" chmury — pomyślała Bibi i kręciła dalej coraz większą kulę z chleba. W tej samej chwili pani Musia rozżaliła się już ostatecznie. Całe szczęście, że zdążyła odstawić talerz z klopsem, bo właśnie runęła poprostu swoją roztrzepaną główką (jeszcze jako szatynka) na stół.

— Nie! Ja już dłużej tak żyć nie mogę! Ty musisz mi powiedzieć już raz ostatecznie, w tej chwili.. słyszysz... w tej chwili. czy ja się mogę utlenić, czy nie? — poczem nastąpił wstrząsający do głębi szloch.

Odłożywszy obie gazety na kanapę, mąż nagle wstał. Bibi wsadziła palec w usta, już przygotowana do płaczu, i też wstała.

— Nie! groziłem ci rozwodem. kiedy koniecznie chciałaś się o-

strzyc. Ostrzygłaś się... darowałem ci to tylko ze względu na Bibi... Bibi wyjdź!... żal mi było dziecka... ale teraz... już dosyć! Żadnych ustępstw! Ja nie chcę, ja się nie zgadzam, ja nie cierpię blondynek!

— Tadziu! Miejże litość nademną! Tadziuniu! to już ostatnia prośba w życiu! Przysięgam ci!... Poprawię się, będę lepsza, no, zupełnie już inna tylko daj mi... zresztą przecież widziałeś sam... Bibi, tatuś ci mówił, wyjdź!... widziałeś... doktorowa, Zosia, Jadzia... wszystkie... Taduśku!...

— Nie! Nie spojrzę na ciebie! Nie będę ciebie chciał znać!... Bibi, bo dam w skórę!...

Bibi z płaczem, z gruszką, czemprędzej wyciągniętą z kompotu, wyszła.

W pół godziny potem wyszła z domu mama, o czem opowiedziała zaraz ta nieznośna plotkara, niania. Papa poszedł do swego pokoju i siedzi tam sam. W domu robi się powoli szaro, wreszcie ciemno. Bibi poszła z lalką do kuchni — tam jest niania i lampa. Zupełną ciszę w domu przerwał telefon.

—... Jedyny mój... to ty?... tu ja, Muśka. Słuchaj... wiem że się gniewasz, ale, ale... miałam wrażenie, że jednak mi przebaczysz... czy ty słuchasz?... Hallo? Dlaczego nic nie mówisz?... Więc, tego... Tadziu... ja jestem, wiesz, tam gdzieśmy mówili... u fryzjera i wiesz... słowo ci daję... będzie cudownie, jak się utlenię... zobaczysz... Hallo! Jesteś? Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że... tego... ponieważ nie pożegnaliśmy się, więc chciałam ci tylko powiedzieć: dowidzenia i... ucałuj odemnie Bibi... i ja niedługo wrócę... Tadziu! gniewasz się? Hallo!!

Położył słuchawkę. Wiedział, że tam poszła i że to zrobi. Nie było lekarstwa na upór tej miłej, kapryśnej kobietki... i na jego miłość... Usiadł głębiej w swoim wygodnym sędziowskim fotelu i w myśli zaczął kolejno ubierać ją we wszystkie szmatki, jako blondynkę.

W myślach dopasowywał, robił połączenia, dobierał do jasnego koloru włosów... Czas leciał. W całem mieszkaniu było ciemno, cicho i wyczekująco. Czekał... Oplatał się białym obłoczkiem dymu z papierosa i wywoływał przed półzamknięte oczy zjawę przyszłej blondynki... Czy jej tylko naprawdę będzie ładnie?...

U frontowych drzwi dzwonek, ale obcy i niepewny... to nie ona.

Słyszy, jak po przedpokoju biegnie zatęskniona, zadyszana Bibi otworzyć mamusi. Nikt nic nie mówi? Co to znaczy? Na progu gabinetu zatrzymują się drobne kroczki dziecinnych nóżek.

— Tatusiu... jakaś pani...

Wstaje. Co za głupie uczucie! Dlaczego mu bije serce? Bibi uczepiła się jego ręki i idą razem poomacku.



— Zapalić światło! Anno! Dlaczego się nie świeci? Gość...

Nagle chwyta go ktoś za ręce, obejmuje za szyję i zatrwożonym czegoś, tak dobrze znanym szeptem, mówi, tuląc twarz do jego twarzy:

— To ja... Taduśku, ale nie zapalaj jeszcze, nie zapalaj. Boję się!... Bo, bo wiesz... myślałam... marzyłam... chciałam i.. tyś mi wreszcie, zdaje się pozwolił... ale, ale... fryzjer, wiesz, ten najlepszy fryzjer w Warszawie, powiedział, że... tego... do mojej cery, do oczu, do zębów, że do mojej figury i wogóle... lepiej być ciemną brunetką... Tadziuniu, ja się tak strasznie ciebie boję i nie wiem, nie wiem, co teraz zrobić... bo ja się zgodziłam i... i teraz już nigdy nie będę blondynką!...

Cicho, ciemno i strasznie.

Stało się coś nieoczekiwanego zupełnie. Wszystkim trojgu, przytulonym do siebie, biją serca nierównem, zalęknionem tętnem..

— ...A... czy ci z tem ładnie?... — dał się słyszeć zduszony, słaby głos męski, już właściwie spokojny.

— Ach! Nie masz pojęcia... cudownie! — zrywa się nagle ożywiony, uszczęśliwiony głosik i pani Musia przysuwa swoje malutkie, pachnące usteczka do ust męża: — Tadziu... ja wiem, ty jesteś kochany, dobry, najlepszy w świecie i ty się już nie gniewasz.. Tak? powiedz, no powiedz, że się zgadzasz, że ja jestem...

— Tak... pogodziłem się... Bibi, zapal światło!

... I cóż?... Pani Musi było naprawdę ślicznie...

Tego wieczora Bibi w żaden sposób nie mogła zasnąć. W sypialnym pokoju u mamusi świeciło się ciągle i świeciło. Co oni tam robią? ach, prawda — jutro i tak dowie się wszystkiego od nianiusi.

— Józiowo! Wychylcie no się tu do mnie, coś wam powiem...

— No?!...

— U nas teraz "miodowe miesiące"... Wczoraj chyba z pół nocy przymierzał na niej wszystkie suknie i kapelusze, bo jest teraz ciemna broneta i zrobiła się podobna do tej... z drugiego piętra, co to na niego leci... Heca, powiadam Józiowej, taki zakochany! Dziś mówili nad ranem, jak się tam trochę kręciłam pod drzwiami, że ją teraz tak kocha, że jej zrobi nowe obicie w sypialni... takie do koloru włosów... zdaje mi się, że żółte... No, co pani Józiowa powie? I wierz tu mężczyznom!...

Bibi stała tu, niepostrzeżona od początku rozmowy między dwiema sługami wychylonemi do siebie przez balkon od podwórza, i nie czekając końca rozmowy — wyszła. Wiedziała teraz już wszystko: mamusia wkładała na tatusia wszystkie swoje suknie, zleciała jedna pani z drugiego piętra i przyjdą dzisiaj malarze, aha, i to jeszcze: — trzeba wierzyć mężczyznom.

— Ale jaka ta niania jest plotkara... żeby tylko mamusia się nie dowiedziała!

C. A. DAWSON SCOTT

 JAŚNIE PAN 

(Przekład z Angielskiego)

Zmrok zapadał. Wilhelm Legat siadł w wygodnym fotelu pod oknem, by skorzystać z ostatnich promieni zachodzącego słońca, i zagłębił się w interesującej książce. Powieść, którą czytał, była świetnie napisana i nadawała się w sam raz na poobiednią lekturę, ułatwiającą trawienie. Jakiż ten autor dowcipny i pogodny, jaką doskonałą rzecz napisał!... Mimo to chętnie i bez gniewu odłożył książkę, gdy jego gospodyni, która właśnie składała obrus do szuflady, przystanęła przed jego fotelem i coś mówić zaczęła:

— Co, Deboro? O co ci chodzi?

Spojrzał na jej twarz pełną zmięszania i onieśmielenia:

— Ja chciałam tylko powiedzieć jaśnie panu...

— Co takiego? Mów śmiało, moje dziecko.

— Że muszę odejść od jaśnie pana...

— Odejść?!...

Wilhelm Legat był tak zdumiony, jakby w tej chwili piorun przed jego dom uderzył, lub dach się nagle zawalił. Potem fala gniewu uderzyła mu do głowy. Wobec niego tak postąpić, wobec niego, który był idealnym służbodawcą... Jakaż to niewdzięczna kobieta! No, ale on jej pokaże... Przekona ją, że nie uda się jej tak łatwo porzucić go i zostawić samego...

Zmarszczył brwi i odpowiedział:

— Odejść? Co za głupstwo!...

— Ja też nie odchodzę z przyjemności — szepnęła nieśmiało, ale gorąco.

Ton jej głosu uspokoił go trochę.

— Więc poco opowiadasz mi tu jakieś niesłychane historje?

— Ja muszę utrzymać moją matkę, proszę jaśnie pana, a dostałam taką propozycję...

Wilhelm Legat znał oddawna matkę swojej służącej, a nawet chętnie dostarczał jej jarzyn i owoców ze swego ogrodu, teraz jednak poczuł, że jest skłonny do ofiar o wiele dalej idących, byle tylko Deborę u siebie zatrzymać.

— Chcesz większej pensji? To się da łatwo zrobić.

— Ale nie, nie chodzi tu wcale o wyższą pensję, tylko pan Hollman...

— Co? Hollman, nasz rzeźnik? — Legat zdziwił się do gruntu. — Chce się z tobą ożenić? — Rzucił ciekawe spojrzenie na niepozorną postać służącej i na jej zblakłą od ciągłego użytku suknię. Debora służyła u niego od lat dziesięciu, dbała o jego wygody, utrzymywała cały dom w najwyższym porządku, a jemu nigdy nie przyszło do głowy spojrzeć na nią jako na kobietę, nigdy też nie pomyślał, że ktoś może ocenić jej wielkie zalety gospodarskie i zapragnąć ją za żonę. Wilhelm Legat rzucił okiem wokół siebie. Do tej chwili czuł się zadowolony ze swego życia, mieszkania, otoczenia; teraz jednak miało zabraknąć tej żywej duszy ludzkiej, która troszczyła się o wszystkie drobiazgi i poprostu kłopot codziennego żywota zdejmowała mu z głowy.

— Więc chcesz iść za Hollmana? — zapytał.

— Chcieć, to nie, proszę jaśnie pana, ale Hollman jest porządnym człowiekiem, pobożnym, uczciwym, a ja mam matkę staruszkę, o której los muszę się troszczyć. Ja sama wolałabym zostać starą panną, co jednak mam zrobić?...

— A czy twoja matka myślała o zapewnieniu ci starości? — zapytał niecierpliwie Legat, miał bowiem takie uczucie, jakby ta stara kobieta wyrządzała mu osobistą krzywdę. Gniew w nim wzrastał. Co sobie te baby myślą? Jak taka Debora śmie wyjeżdżać tutaj ze swemi osobistemi kłopotami? Przez dziesięć lat o nich nie słyszał i nie troszczył się wcale o jej prywatne życie, a teraz oto przychodzi zawracać mu głowę i wnosić takie zamieszanie w jego dom.

— Owszem, proszę jaśnie pana, ona także myśli o mnie...

Wilhelm Legat mruknął z pasją raczej do siebie niż do niej:

— A więc pójdziesz za mąż poto, by matka miała spokojny kąt na starość, a i ty także naturalnie.

— Tak, proszę jaśnie pana— odparła Debora a po twarzy jej spłynęły łzy.

— Ale ja nie mogę się bez ciebie obejść, Deboro, i o ile nie chodzi tu o miłość...

Urwał i spojrzał na nią pytająco.

— Ja bardzo szanuję pana Hollmana, — odparł Debora, — ale go nie kocham...

— Więc, jeżeli nie chodzi o miłość...—głos Legata stracił gniewne brzmienie, — to przyrzekam ci, że zajmę się losem twojej matki.

Debora jednak nie była zachwycona tem rozwiązaniem:

— Jaśnie pan jest bardzo dobry, — rzekła, — ale wątpię, by matka moja chciała spaść panu na głowę.

— A czy będzie chciała spaść na głowę Hollmanowi?

— To co innego, jaśnie panie...

— Nie mamy się o co sprze-

czać, Deboro. Nie mogę obejść się bez ciebie, więc, jeżeli inaczej być nie może, to ja się z tobą ożenię.

Wilhelm Legat oczekiwał wybuchu radości, ale natychmiast zrozumiał, że się pomylił i że dostanie odkosza. Debora przeraziła się, struchlała, a gdy przyszła do siebie, oświadczyła stanowczo, że nigdy się nie zgodzi, aby jej pan tak się poniżył przez małżeństwo z osobą nieinteligentną. Ona zna dobrze swoje miejsce i nigdy się na coś podobnego nie zgodzi.

— Ależ ja chcę tego, ja pragnę tego z całego serca! — wykrzyknął Legat, skoro tylko pojął, o co jej chodzi.

— Pan tak mówi przez dobroć dla mnie i mojej matki,— odrzekła Debora — ale my nie możemy z niej korzystać.

— Głupstwo! — rzekł z powracającem rozdrażnieniem.— Ja zapewnię byt tobie i twojej matce, a ty będziesz nadal troszczyć się o mnie i mój dom. W ten sposób wszyscy powinni być zadowoleni.

Debora zalana łzami długo wzdragała się jeszcze, ale wkońcu zgodziła się na życzenie swego chlebodawcy, pod warunkiem, że jego bracia nie będą czynić żadnych trudności.

Nazajutrz w domu Wilhelma zjawili się dwaj jego bracia, Jerzy i Jan, obaj poczciwi, porządni mieszczanie. Debora przyjęła ich w przedpokoju, zaprowadziła potem do saloniku, a po chwili przyniosła doskonałe ciasteczka domowego wyrobu i znakomitą nalewkę, arcydzieło jej rąk. Goście zasiedli wraz z gospodarzem przy kominku i popijali smaczny napój, zachwycając się nim i jego twórczynią. Wtem Wilhelm odezwał się niespodzianie:

— Muszę wam powiedzieć, że postanowiłem ożenić się z Deborą. Jest ona doskonałą gospodynią i ja tak dalece przywykłem do niej, że nie mogę bez niej się obejść. A to najlepszy sposób zatrzymanie jej na zawsze w domu.

— Ale czy to rozsądnie, żenić się ze służącą, zamiast z osobą z przyzwoitej rodziny? — zapytał któryś z braci.

Wilhelm w odpowiedzi na to przedstawił im sytuację, wspomniał o ewentualnem zamążpójściu Debory i o tem, że żadna na świecie kobieta nie będzie chciała i umiała tak doskonale dostosować się do jego starokawalerskich nawyczków, jak ona właśnie.

— A czy pomyślałeś o twoim wieku?

Wilhelm wiedział, że już nie jest młody, ale starości swej nie odczuwał jeszcze boleśnie.

—Nie zmienimy w niczem naszego trybu życia — odparł. --Debora rozumie dobrze swoje stanowisko i nie ma pretensji do żadnych inowacji. Wszystko pójdzie tym samym trybem, co przez te ostatnie lat dziesięć. — Zatrzymał się, popatrzył na braci, a potem ciągnął dalej:

— Muszę także zrobić testament. Jestem zdania, że majątek nie powinien przechodzić w obce ręce, dlatego zapiszę wszystko waszym dzieciom. Urządzenie domowe także.

— Ale trzeba zabezpieczyć los Debory — zauważyli bracia.

— Dziękuję, żeście o tem pomyśleli. Zaasekuruję się na życie. Procenta od tej sumy wystarczą na utrzymanie Debory i jej matki.

Jan uśmiechnął się do brata serdecznie:

— Będziesz miał żonę skromną, dobrą, w dodatku doskonale znającą się na kuchni. Kto wie, może to dobry pomysł.

— Debora przypomina mi krzaczek lewandy, — dodał Jerzy. — Nie bije w oczy, ale zapach jego rozchodzi się daleko i oznajmia o jego istnieniu.

Alkohol rozgrzał serca i dobrze usposobił obu braci. Wezwano Deborę, by jej złożyć życzenia. Służąca czerwieniła się i dziękowała, kłaniając się nisko wszystkim trzem.

— Niech panowie będą spokojni, — mówiła, — ja znam swoje obowiązki i będę umiała je spełnić.

Wilhelm uśmiechnął się do niej serdecznie i spoglądał z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

* * *

Wilhelm Legat zapewnił wszystkich, że jego małżeństwo nie zmieni w niczem dotychczasowego trybu życia, a całe miasteczko czekało w napięciu, czy potrafi dotrzymać słowa. Wszyscy interesowali się tem bardzo, bo mężczyźni lękali się, że utracą dom, w którym nieraz przyjemnie spędzali wieczory, a ich małżonki znowu zgóry zastrzegały się, że nie chcą dopuszczać do towarzystwa osoby, która przez całe życie była zwykłą służącą. Okazało się jednak, że wszystkie obawy były płonne. Debora nigdzie się z mężem nie pokazywała, a gdy on urządzał przyjęcia, nie wychodziła wcale do gości.

Powoli wszyscy się do tego stanu rzeczy przyzwyczaili. Całe kółeczko przyjaciół poczęło się schodzić po dawnemu i nieraz zdarzyło się, że ktoś z częstszych gości zwracał się do niej po imieniu. Wszyscy natomiast zgodnym chórem podnosili jej znakomite prowadzenie domu i wyborną kuchnię.

W kościele jednak Debora z matką siadały w ławce mężowskiej, ponieważ Legata prawie nigdy na nabożeństwie nie było, przeto obecność tych dwóch skromnych kobiet nikogo nie raziła.

Także w domu nie zaszły zbyt wielkie zmiany. Matka Debory zamieszkała w kuchni i wedle sił pracowała wraz z córką, zadowolona, że nie je darmo zięciowskiego chleba.

Czasem wieczorem, gdy nie było gości, Debora przychodziła do saloniku i siadała z

robotą u boku męża. Gdy jednak tylko zjawił się ktoś obcy, znikała w kuchni.

Przez wszystkie lata swego małżeństwa Wilhelm Legat raz tylko mówił o swej żonie z braćmi. Było to na Sylwestra. Przyszedł on wieczorem do jednego z nich, by nowy rok powitać w otoczeniu rodziny. Czuł się trochę przeziębiony, wyszedł więc wcześniej niż zamierzał do domu. Może też nie chciał żony zostawić samej w takim dniu. Gdy znalazł się już na progu, rzekł do odprowadzających go braci:

— Jestem już stary i niewiadomo, co ze mną będzie. Proszę więc bardzo, abyście w razie jakiejś katastrofy zajęli się Deborą. Nasze małżeństwo z rozsądku było dobrym pomysłem i dało mi wiele szczęścia.

Wilhelm istotnie dnia tego czuł się niedobrze, więc spieszył do domu, by się oddać w opiekę żony. Debora nie spała jeszcze i sama drzwi mu otworzyła. Na pierwszy rzut oka poznala, że zaziębienie, rano jeszcze nieznaczne, pogorszyło się ogromnie. Przestraszona zaprowadziła go do łóżka, które poprzednio było już doskonale wygrzane, a następnie ułożywszy go i przykrywszy ciepło, przyniosła gorącego wina z korzeniami.

— Na przeziębienie najlepszym środkiem jest rozgrzanie się gruntownie i spocenie — zadecydowała.

Następnie wzięła krzesło i usiadła przy łóżku chorego.

— Moje dziecko, — rzekł Wilhelm, — idź spocząć, nie mogę przecież pozbawiać cię snu.

— Ja bardzo chętnie posiedzę przy panu — odpowiedziała i istotnie siedziała przy nim, póki nie wystąpiły poty i póki nie zasnął spokojnie.

Nie była to żadna niebezpieczna choroba. Trochę gorączki, nieco dreszczów, kaszlu i przesilenie nastąpiło. Zdrowie poczęło powracać. Po paru dniach domowy lekarz skonstatował, że humor pacjenta poprawił się znacznie, a Debora — dobry duch tego domu— oświadczyła, że nawet przestał kaprysić. Wszystko więc układało się pomyślnie, a chory począł nawet snuć plany wyjazdu na południe. Pewnego wieczoru Debora nie zjawiła się jak zwykle u jego łoża. W jej zastępstwie weszła matka, niosąc na tacce polewkę winną z sucharkami.

— Córka moja przeprasza jaśnie pana, że sama nie przychodzi, ale zrobiło się jej niedobrze i musiała się położyć.

Nie dodała jednak, że Debora niedawno zemdlała przy robocie i że w te chwili leżała w ciężkiej gorączce.

—Ma jednak nadzieję, — ciągnęła po chwili stara, — że do jutra będzie zdrowa.

—Cóż jej jest? — spytał z lekkiem zniecierpliwieniem Legat, uważał bowiem, że Debora nie powinna była kłaść się, póki on nie wyszedł ze stanu rekonwalescencji.

— Kaszle i kłuje ją w piersiach, a przytem ma gorączkę, ale prosi, żeby się pan nie niepokoił, bo to nic poważnego.

Legat odsunął tackę.

— Nie będą jadł, nie mam apetytu.

— O! jaka szkoda! Debora kazała zapytać, czy polewka smakowała panu.

Wobec czego rekonwalescent wmusił w siebie całą porcję i kazał zapewnić żonę, że jedzedzenie było wyborne.

Stara wyszła a Legat leżał długo bezsennie, trapiony niepokojem. Starał się jednak wyperswadować sobie wszelkie trwogi.

— Trochę kaszlu, trochę gorączki — to nic wielkiego. Debora jest jeszcze taka młoda— o wiele młodsza od niego. Organizm przezwycięży wszystko i jutro wstanie zdrowa jak zawsze.

* * *

Debora jednak dostała zapalenia płuc i walczyła ze śmiercią. Nigdy nie była zbyt zdrowa, a obecnie okazało się, że walka ta przewyższa jej siły.

Tego dnia Legat wstał z łóżka, odział się ciepło i wsparty na kiju, udał się do jej pokoju. Następnie wziął lekarza na bok, by żona nie słyszała rozmowy. Był to jednak trud daremny, Debora bowiem leżała zupełnie nieprzytomna.

Obaj mężczyźni stali w pustym, ciemnym korytarzu.

— To być nie może — powtarzał Legat z rozpaczą — abym ja, taki stary, wygrzebał się, a ona taka młoda... ona miałaby...

— Zawsze była wątła... — odparł doktór, który wiedział, że niema nadziei.

— Czy niema ratunku? Czy wszystko stracone? — Słowa te zabrzmiały echem w pustym korytarzu. Lekarz milczał.

Tę noc Wilhelm spędził u łoża żony. Czuł się bardzo osłabiony, nie chciał jednak odstąpić jej ani na jedną chwilkę. Nagle powieki chorej dźwignęły się w górę, a spojrzenie jej oczu padło na twarz męża. Usta zadrgały uśmiechem.

— Jaśnie pan, — szepnęła, — mój najdroższy...

Powieki jej opadły znowu. W tej ostatniej chwili życia wymówiła słowa, które lata całe nosiła w sercu, a których nie śmiała wypowiedzieć. Legat otworzył okno, by jej dusza łatwiej mogła ulecieć w nieskończoność ciemnego nieba, usianego rozbłysłemi gwiazdami.

Ta istota, która była treścią i podporą jego życia — odchodziła teraz od niego. Och! jakże musiał się spieszyć, by ją doścignąć na tych dalekich szlakach! W przeciwnym razie straci ślad i nie odnajdzie jej nigdy w ciemnościach tej nocy.

Nazajutrz znaleziono go na klęczkach przy łóżku żony z głową opartę o jej martwą rękę.

Jaśnie pan nie zwlekał długo. Odnalazł w ciemnościach nocy drogę, po której odeszła dusza jego żony.

Narkotyki i Wyobraźnia

WSZYSCY wiemy o tem, jak przepastne są skutki używania narkotyków. Opjum, morfina i inne środki odurzające stanowią drogę do moralnego i fizycznego zdegenerowania człowieka, do utraty woli, godności własnej, zdrowia. A jednak wiemy także, prawie z codziennych doniesień w gazetach, jak olbrzymią jest liczba ludzi stale trujących się temi narkotykami, jak wielkie są obroty temi przemycanemi towarami i jak trudna, niemal beznadziejna jest

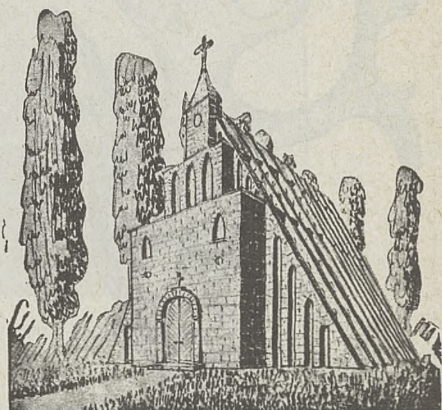


Demon ognia.

walka, prowadzona przez państwa całej kuli ziemskiej, poszczególnie i zbiorowo, by wytępić nałóg, od którego niemasz niebezpieczniejszego dla rodzaju ludzkiego.

Muszą istnieć niezwykle silne powody, jakie wciągają ludzi w otchłań takiego upadku, takiego zupełnego niszczenia zdrowia i życia. Są istotnie, a naczelnym z nich jest: ucieczka w kraj marzeń. Uwolnić się od oków rzeczywistości, pełnej małych kłopotów, ograniczonej ciasnemi ścianami, nasiąkniętej obowiązkami, a ulecieć w inny świat, w kraj nieskończonych przestrzeni, wolnych od wszelakiego obowiązku, w kraj nieokiełznanej niczem wyobraźni — oto jest syreni zew, za którym idąc, ludzie słabi i zrozpaczeni padają pod miażdżący walec morfinizmu.

Wyobraźnia jest rzeczą miłą głównie dlatego, że zdejmuje z nas wszelakie ciężary: nie potrzeba się troszczyć o prawdę, o zasady fizykalne i matematyczne. Dzieciak podniesie w wyobraźni całą kulę ziemską i jeszcze parę sklepień niebieskich w dodatku, paralityk będzie w wyobraźni fruwał w powietrzu jak kolibr, a ignorant będzie swą ognistą wymową poruszał miljony słuchaczów. Co więcej, bez wyobraźni wogóle nie moglibyśmy sobie wyobrazić ani na chwilę życia naszego codziennego. Wszakże mówimy do siebie więcej symbolami, znakami, półsłówkami, aniżeli całemi zdaniami, zawierającemi — jakby w notarjalnym układzie — całokształt tego, co mamy wyrazić.



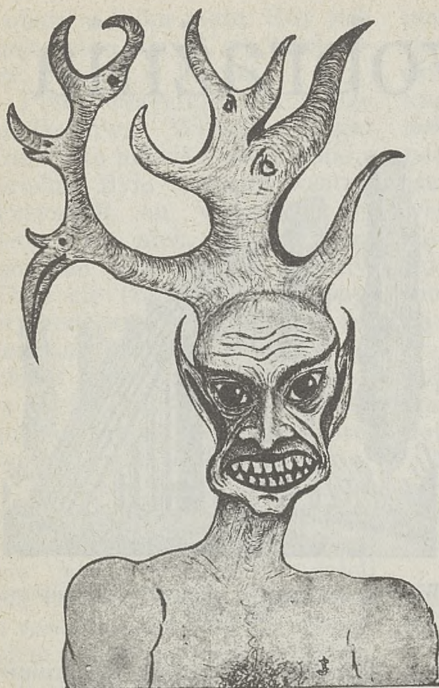
Widzenie po zażyciu narkotyku. Fantastyczna świątynia.

Narody starsze od nas, narody wschodnie, które już były "dorosłe", gdyśmy jeszcze byli w "powijakach" kultury, doszły dzisiaj do zgubnego używania rozmaitych sztucznych środków podniecania wyobraźni. W takich centrach ludzkiego życia rasy białej, tej młodszej siostrzycy owych dawno "dorosłych" żółtych braci, w takich centrach, gdzie życie kulturalne buja jak w gorącej atmosferze oranżerji, bujniej i szybciej, niż w umiarkowanej temperaturze naturalnego ogrodu, znajdujemy bardzo rozpowszechnione używanie narkotyków. W więzieniach amerykańskich — a więzienia są w wysokim procencie zamieszkałe przez morfinistów — odkrywano po wiele razy najwyszukańsze sposoby przemycania, a nawet często i całkiem uregulowany handel narkotykami za pośrednictwem samej straży więziennej. W tych wypadkach chodzi przeważnie o opjum, "biały proszek", jak go nazywają między sobą, albo "biały niuch".

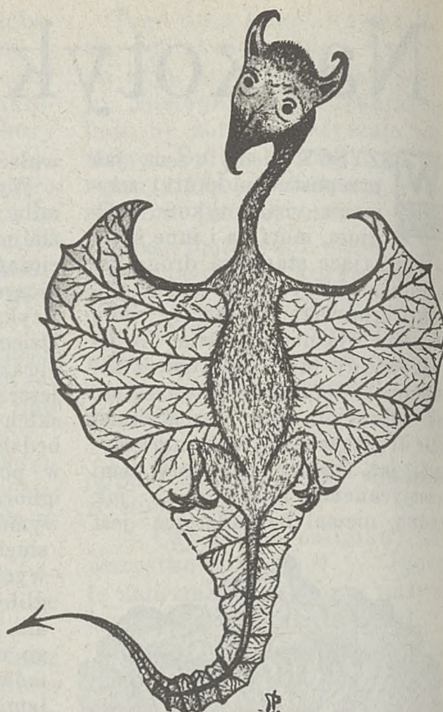


Liście z ludzkiemi oczami.

Rozmaite są stopnie, po których stacza się na dół ofiara takiej sztucznej ekstazy. Zanim dochodzi do zupełnego opuszczenia wszelkich przyjętych wartości moralnych, targuje się z sobą, krok po kroku. Są i tacy, którzy jedne sposoby podniecania narkotycznego uznają za niedozwolone, bo szkodliwe, a inne za zgoła nieszkodliwe. Takiego rozróżniania jaskrawy przykład mamy w wywodach Prospera Szmurły, który wyszczególnia haszysz i peyotl jako narkotyki nieszkodliwe. Jego spostrzeżeniom zawdzięczamy ilustracje, jakie zdobią niniejsze uwagi i przedstawiają zarysy postaci, widzianych w wyobraźni pobudzonej przez te środki.



Dziwoląg z rogami.



Liściozwierz.

Nie naszą jest rzeczą spierać się z wywodami Prospera Szmurły, który te próby przeprowadzał, podczas gdy piszący ich nie przeprowadzał. Z ogólnej zasady praw przyrodzonych wolno jednak nadmienić, że żadne nienaturalne przewrócenie równowagi normalnej nie odbywa się bezkarnie. Próby, jakie pan Szmurło poczynił z haszyszem i peyotlem, są bardzo nieliczne w stosunku do wyników, jakie widzimy na świecie z używania innych środków narkotycznych, które także do czasu wydają się używającemu nieszkodliwemi. Z tem przestrzeżeniem powtarzamy niektóre ze spostrzeżeń pana Szmurły.

Haszysz wyrabia się z konopi indyjskich. Nie ma on nic wspólnego ze szkodliwem dla zdrowia opjum, wyrabianem z soku makówek, i pochodzącą z tego samego źródła morfiną.

Peyotl, bardzo rzadki, trudny do zdobycia i od niedawna dopiero badany w Europie, jest to mały, trudno dostrzegalny wśród trawy kaktus, rosnący wyłącznie na wysokich płaskowzgórzach Meksyku.

Wizje haszyszowe i peyotlowe wywołują obrazy podobne do tych, jakie widujemy przy zamkniętych oczach przed zaśnięciem. Peyotl nawet rozprasza sen, nie powodując po tem żadnego zmęczenia wskutek bezsennej nocy, pozbawia apetytu, tłumiąc poczucie głodu, oraz wzbudza pewien wstręt do papierosów, podobno też odzwyczaja od innych narkotyków — powiada Szmurło. Wizje peyotlowe trwają znacznie dłużej niż haszyszowe, są daleko barwniejsze, więcej żywe, prawie realne, dotykalne. Często otaczają nas naokół, zniewalając niemal zapomnieć gdzie jesteśmy, choć otwierając oczy, w każdej chwili możemy się z tego czaru otrząsnąć. Czas wydaje się bardzo pojemnym, bo to co się przemyka przez pozornie długi czas, cały szereg zajść i wrażeń, trwa w istocie mgnienie oka, tak jak we snach, gdzie całe długie historje dzieją się w wyobraźni naszej w chwili niedłuższej niż odgłos huku lub uderzenia.

Wrażenia, odbierane przez poszczególne osoby w gronie pana Szmurły, były rozmaite. W pierwszem stadjum wrażenia są mniej więcej podobne, w późniejszem stadjum rozchodzą się stosownie do wrodzonych, często podświadomych upodobań lub uzdolnień. Pan Szmurło twierdzi, że naturalne jego umiejętności rysowania były rozwinięte lepiej pod wpływem odurzenia haszyszem lub peyotlem. Dla psychoanalityka byłyby prawdopodobnie zajmujące badania rodza-



Widziadło demona i twarzy ludzkiej.



Ponarkotyczne majaczenie. Dziwaczne ryby o ludzkich oczach.



Fantastyczny potwór wielooczny.

ju widzeń, jakie miewają rozmaici uczestnicy tych eksperymentów. Naprzykład wysnułby niewątpliwie pewne wnioski o rodzaju wyobraźni osoby tak opisującej swe widzenie:

"Widzę olbrzymi klomb ognistych kwiatów. Nie, to nie kwiaty, to jarzą się płomienie długich świec, trzymanych przez zebranych jakby w amfiteatrze czarnobrodych mnichów w czarnych, zlewających się z nocą habitach. Widzę nietylko ich trupio-blade twarze, lecz i całe postacie tylko dzięki temu, że czarne ich szaty i kaptury obramowane są fosforyzującą linją świetlaną. Wchłonęła ich jednak noc. Teraz wystawa jubilera: błyszczą brylanty, szmaragdy, rubiny. Sklep z zabawkami. "Kwiatoliść" —kwiat w kształcie liścia klonu. Olbrzymi tort na 300 osób, upiększony smażonemi owocami i marcepanowemi kwiatami, tańczącemi sarabandę i układającemi się w coraz to nowe desenie. Żaba wielkości cielaka wyłania się ze stawu i zalotnie robi do mnie 'oko'. Wybucham śmiechem, nie otwierając oczu."

Inny znowu obraz podświadomości okazuje się w opisie drugiego uczestnika, archeologa. Ten ujął w ręce ułamek jakiejś urny starożytnej i skoncentrował na nim całą swą uwagę. Zamknąwszy oczy, ujrzał najpierw nieuniknione w tych widzeniach kurytarze, ciągnące się w nieskończoność, wirujące gwiazdy i desenie, a potem mroczną przestrzeń, gdzieniegdzie — zwłaszcza u dołu czerwieniejącą się, jakby rozżarzoną, przed sobą zaś ciemniejsze sylwetki urn i garnków, słowem — wnętrze prastarego pieca garncarskiego. Obraz ten zmienił się wnet na obszerny plac, zapełniony ludźmi, przeważnie brodatymi blondynami o typie słowiańskim, w białych lnianych szatach i skórzniach. Wśród nich widać było stosy skór, szeregi garnków, prymitywne narzędzia. W jednem zaś miejscu otoczony ciekawymi stał we wschodnim stroju smagły mężczyzna o orlim nosie, w zawoju na głowie. Ujrzał przeto coś w rodzaju jarmarku, na który widocznie przybył cudzoziemiec. W istocie już w odległych, przedhistorycznych czasach kupcy arabscy docierali na okrętach, a potem na łodziach wzdłuż rzek, nawet podobno aż do Dźwiny.

Innym razem ten sam archeolog, trzymając jakiś przedmiot z kości, zobaczył całą osadę nadwodną na palach, jej mieszkańców i krwawą ofiarę podczas wbijania palów w dno jeziora; potem kilka scen ze średniowiecza, ówczesną dysputę publiczną i zapisał następnie z pamięci starodawnym sobie niewłaściwym stylem jednę z przemów usłyszanych.

Widzimy z tych przykładów, że pod wpływem sztucznego podniecenia nerwów zapomocą haszyszu lub peyotlu nasza wyobraźnia pracuje w sposób podobny do majaczenia w śnie lub w obłąkaniu. Poszczególne wrażenia, przeżyte lub zasłyszane, grupują się w kształty nieskładne, jak odłamki szkła w kalejdoskopie. Chwilowo nowość lub barwność tych uczuć może wydać się zajmującą i rozkoszną. Wątpliwości jednak ulegać nie może, że takie podniecenie jest chorobliwe i musi oddziaływać szkodliwie na organizm ludzkiego ciała i na zdrowie.



A. S.

ISLANDZKA ZEMSTA

NA wieży w Reykjavik biła godzina dwunasta w południe. Helga Helaason z sercem płonącem spieszyła do portu. Zerwała wszystkie mosty za sobą.

Na stole w jej dziewczęcej sypialni pozostał list, który matka znajdzie, skoro powróci z pralni przy gorących źródłach.

List był pełen skruchy i żalu, ponieważ matce musi zadać taki ból, a tchnął przytem radością i dumą, iż znalazła w sobie dość siły, aby wstąpić na własną drogę wiodącą ku szczęściu.

Ten obcy człowiek stał się jej życiem i przeznaczeniem... Dopiero od chwili, gdy Piotr Gamelin na swoim yachcie zawinął do portu i wyróżnił ją na balu u burmistrza — zrozumiała, co to jest szczęście i namiętność!... Czemże było wobec tego uczucie dla Arniego Einarssona, które dawniej brała za miłość?

Biedny Arni! Żal jej było tego dobrego, młodego chłopca. Ale szczęście wzywało ją— wielkie, upojne szczęście!... Za szczęściem iść musi się...

Znalazła się w porcie.

Yachtu już nie było.

Kilka statków kołysało się na kotwicy, wśród nich poławiacz wielorybów Arniego Einarssona, ale yacht Piotra Gamelin zniknął...

I Helga Helaason zrozumiała nagle — wszakże była nietylko najpiękniejszą, ale najmądrzejszą dziewczyną w Reykjavik — że przywiodło ją tu zaślepienie. Jej ukochany, jej bóstwo — uciekł w nocy jak złodziej!...

Padła na bruk opustoszałej ulicy i długą chwilę leżała tak bez ruchu. Z ust dobywał się jakiś bolesny, skomlący jęk.

Potem podniosła głowę. Miękkie jej rysy — zda się — skamieniały. Prastara krew Wikingów zawrzała w jej żyłach.

Silne zęby zgrzytały, jasne włosy powiewały wokół skroni, wokół ust i drgających nozdrzy rył się wyraz twardy i okrutny.

Wskoczyła do łodzi, kierując się w stronę małego poławiacza welorybów. Z kajuty statku dochodziły głosy. Zeszła po schodkach w dół, zwalczywszy w sobie krwawy wstyd.

— Kto tam chodzi po pokładzie?—zapytał głębokim, mrukliwym basem kapitan Jon Jonsson.

Arni Einarsson wykrzyknął radośnie zdumiony:

— Helga!... Ty!...

— Czem możemy pani służyć, panno Helaason? — rzucił znowu zapytanie kapitan Jonsson. — Bo tak pani wygląda, jak by pani potrzebowała pomocy.

— Muszę z tobą pomówić, Arni — wykrztusiła.

Arni zerwał się z ławy i stał przy niej.

— Chcesz mówić ze mną? Chodź, Helgo!...

I pociągnął ją za sobą po schodkach w górę. W jednej chwili zapomniał o bólu, jaki mu ta dziewczyna zadała... Miłość ogarnęła go płomieniem, skoro ona przyszła i chce z nim pomówić.

Gdy znaleźli się na pokładzie, Helga rzekła wprost bez żadnych wstępów i ogródek:

— Arni, przybyłam tutaj aby cię prosić o wielką przysługę. Wszak ty nie zniesiesz, aby mnie zelżono, krwawo zelżono!

— Zelżono?! Ciebie!... Kto się...

Żyła na jego szyi nabrzmiała niby błękitna lina.

— Arni, nie byłam dobrą dla ciebie... Wiem, zdradziłam moją młodzieńczą miłość... Ale teraz, kiedy chodzi o mój honor...

— Helgo! mów! — bezwiednie dotknął ręką noża za pasem, służącego do oprawiania wielorybów.

— Ten człowiek z białego yachtu.

— Ach!... — zacharkotało w krtani Arniego.

— Powiedział mi, że chce się ze mną ożenić...

Arni zachwiał się.

— Obiecał mi, że zabierze mnie z sobą do Francji...

Arni jęknął.

— I on mnie... Arni — tak — ja mu się...

— Helga!... Helga!... O! nie!... nie!...

— A jednak tak, Arni! Miałam zostać jego żoną!... Poprzysiągł mi to... A ja... ja mu wierzyłam...

Arni charczał jak człowiek trafiony strzałem w gardło.

— Dzisiaj o dwunastej miałam przybyć do portu, aby z nim uciec, ponieważ matka nie chiała zgodzić się na obcego...

— No i?!... no i?!... niema go?!... odjechał?...

Helga skinęła głową.

Teraz ryknął Arni:

— Hej! Jonsson!... hej!... przyjaciele!

Za chwilę był już przy nich i powiedział im wszystko.

— Pogonimy za nim!... — zawołał dziko.

— Wyprzedził nas znacznie — zauważył młody maszynista Thorlakson — wyjechał o szóstej rano... Widziałem go...

Arni objął stalowym uściskiem ramię maszynisty.

— Bjarni, zrobisz to w imię naszej starej przyjaźni... Ruszymy pełną parą... Yacht

idzie dobrze, ale za dziesięć godzin dogonimy!...

— A wtedy?... — zapytał stary Jonsson.

— Zdruzgoczemy!...

— Ależ to morderstwo!...

— To zemsta! — krzyknęła Helga — islandzka zemsta!...

— Tak! — krzyknął Arni.— Jonsson! tu o nasz honor chodzi!... o honor Islandji!...

— Słusznie... słusznie... pokiwał głową Jonsson — ten hultaj zasłużył na to, abyśmy mu poszukali żelazem wnętrzności... Ale co potem? więzienie?

— Niech się co chce dzieje!... — tupnął nogą Arni...

— Niebezpieczeństwo nie jest znowu tak wielkie — odezwał się Bjarni. — W nocy, pogasiwszy światła, najedziemy na yacht... Za dziesięć minut zatonie... I któż się potem zatroszczy o biały okręt, który zniknął bez śladu?

Jonsson zapytał k r ó t k o Helgi:

— Helgo Helaason , czy chcesz być na pokładzie?

— Tak! — odparła spokojnie a groźnie. — Chcę być obecną!...

W kilka minut mały parowiec płynął już po pełnem morzu. Kocioł huczał jak nigdy... statek pędził naprzód z całą możliwą szybkością...

Dzień chylił się już zachodowi.

Wczesny wieczór — szarym zmrokiem wypełzał ze spienionych fal morskich.

Helga Helaason trwała ciągle na pokładzie — wpatrzona w przestrzeń przed siebie.

Arni przyniósł jej garnuszek zupy.

— Helgo, jedz, — poprosił.

— Dziękuję, Arni. Nie mogę. Jak sądzisz, kiedy go dogonimy?

— Koło północy, Helgo, a może nawet wcześniej... Helgo! Jeżeli jesteś zmęczoną, połóż się. Przygotowałem ci moją kabinę...

— Dziękuję ci, nie chce mi się spać.

Po chwili dorzuciła:

— Żeby nas tylko nie zauważył za wcześnie!...

— Pogasimy wszystkie światła! A choćby nas zauważył — to mu nie pomoże!... Skoro go tylko zobaczymy, nie ujdzie nam już!...

Oczy zabłysły mu dzikim ogniem. Potem rzekł cicho:

— Zostawię ci zupę ciepłą, Helgo. Może zjesz później.

I dalej szalał ten pościg śmiertelny...

I nagle przez mózg Helgi Helaason przebiegła myśl... Uświadomiła sobie, że jeżeli yacht zostanie zdruzgotany — to zginie nietylko podły Piotr, ale i cała niewinna załoga...

Straszna trwoga ścisnęła serce dziewczyny.

Boże!... Boże!... za chwilę mogło błysnąć czerwone światło yachtu na horyzoncie... A potem zderzenie... łomot... krzyki konających... Nie... nie!... W ciemności wyciągnęła rękę, by pochwycić ramię Arniego.

—Arni!... nie!... nie chcę!... Tam są niewinni na pokładzie!...

— Wszyscy są winni!...

— Nie! Tylko on jest winien — on jeden!...

— Arni!... pomyśl... Cała załoga!...

— No więc co? — mruknął Arni przekornie i niecierpliwie.

— Czy nie można tak zrobić, aby tylko on jeden...

— Niepodobna.

— Gdybyśmy podjechali tuż — tuż blizko nich i zawołali i zagrozili... Zmusimy ich, aby nam go wydali... Jeżeli nie zgodzą się... wówczas... wówczas...

— Wówczas będzie zapóźno!

— Dlaczego? W jaki sposób ujść nam zdołają?

— Wyminą nas.

— Arni, ta zabawka, ten yacht luksusowy miałby wyminąć islandzkiego poławiacza wielorybów, który z mewą morską może iść w zawody!... Idź, Arni, powiedz Jonssonowi. Ja uprzedzę Bjarniego. Prędko!... prędko!...

W tej chwili wykryknęła:

— Tam!... tam!... czerwone światło!... to yacht!...

Pędem pobiegła do Thorlaksona.

— Bjarni!... na komendę zatrzymasz statek!...

I pospieszyła znowu na górę — na pokład.

Islandzki statek rybacki rozpacznym ostatnim wysiłkiem maszyny ścigał czerwone światło, które coraz bardziej się zbliżało... Już można było dokładnie rozróżnić łukową lampę... Coraz wyraźniej rysowały się szczegóły na pokładzie yachtu.

Na oświetlonym pomoście stało dwóch ludzi — kapitan i sternik...

Naprzód... naprzód...

Teraz mieli już łajdaka w swej mocy. Przymknęli niepostrzeżenie tuż pod yacht... yacht zachwiał się... Dwaj mężczyzni na pomoście rzucili okrzyk przestrachu w mrok nocy... Dwa statki przymknęły ku sobie na niebezpieczno blizką odległość...

Yacht zwolnił biegu, islandzki statek również.

Kapitan yachtu krzyknął przez tubę:

— Kto tam? ludzie czy djabły?!... Gdzie wasze światła?!

— Nie troszczcie się o nasze światła — zagrzmiał głos Jonssona — ale wyciągnijcie waszego pana na pokład!...

— Ktoście wy?!

— Nic wam do tego!... Pana nam tu dajcie!...

— Czy to statek rządowy?

— Nie pytajcie. Pana przyprowadźcie! Tylko prędko. Inaczej będzie nieszczęście.

Kapitan czuł dziwny lęk przed tym widmowym czarnym okrętem. Wysłał sternika do kabiny właściciela yachtu.

Za chwilę ukazał się Piotr Gamelin. Czarne jego włosy, rozburzone ze snu, opadały na ładną twarz. Postać owijał długi szlafrok. Na jego widok wściekły gniew zawrzał w piersi Helgi Helaason.

— Ty psie!... psie!... —

krzyknęła i plunęła z nienawiścią. Arni Einarsson z lodowatym spokojem stanął przy swojej armatce.

Kapitan, wskazując na czarny cień na morzu — mówił coś żywo. Piotr Gamelin spoglądał zdumiony, nie rozumiejąc co się dzieje.

— Człowieku — zawołał Jon Jonsson przez tubę — wsiadaj do łodzi. Jesteś naszym jeńcem.

Gamelin zadrżał. Poczucie winy ostrzegło go, kogo ma przed sobą. Przerażonym wzrokiem spoglądał, szukając pomocy.

— Spiesz się!...—mruczał groźny głos z widmowego okrętu. — Za trzy minuty będziesz tutaj albo zginiecie wszyscy!...

Cała załoga, zbudzona ze snu, wyległa na pokład. Jeden z marynarzy podał panu tubę. Piotr przyłożył ją do ust.

—Czego chcecie ode mnie?— zabrzmiał drżący trwogą głos.

— Dowiesz się o tem tutaj. Wsiadaj do łodzi!...

— Czy przybywacie z Reykjavik? — pytało niespokojne sumienie.

— Dajemy ci minutę czasu!...

Gamelin zawołał coś w kierunku pomostu. Motor zaczął pracować. Yacht próbował uciec, ale w przeciągu kilkunastu sekund Jonsson już go dogonił!...

— Hej! wy tam!... jeżeli wam życie miłe — dajcie spokój tym wykrętom!... Jeżeli on za dwie minuty nie będzie w łodzi — zginiecie!...

Na pokładzie yachtu zapanowało zamieszanie. Trwoga brała górę, instynkt samozachowawczy rozstrzygał. Kapitan zbiegł z pomostu. Wszyscy mówili i gestykulowali jeden przez drugiego.

— Jeszcze pół minuty! — zagrzmiało nieubłaganie w mroku nocy.

I nagle Gamelin w śmiertelnym strachu padł na kolana i błagalnie wzniósł ręce ku kapitanowi:

— Wszyscy udamy się za wami, dokąd zechcecie — zawołał kapitan.

— Zbyteczne. Chcemy tylko waszego pana!

Gamelin uderzył czołem o deski pokładu. Jego jęki niemęskiej trwogi dochodziły aż do statku Jonssona.

Helga odwróciła się ze wstrętem!... Nie! ten podły tchórz nie wart był tego, by dzielni ludzie plamili ręce jego krwią!...

— Zostawmy go—rzekła do Arniego. — Ten człowiek jest zanadto marnym na naszą zemstę!...

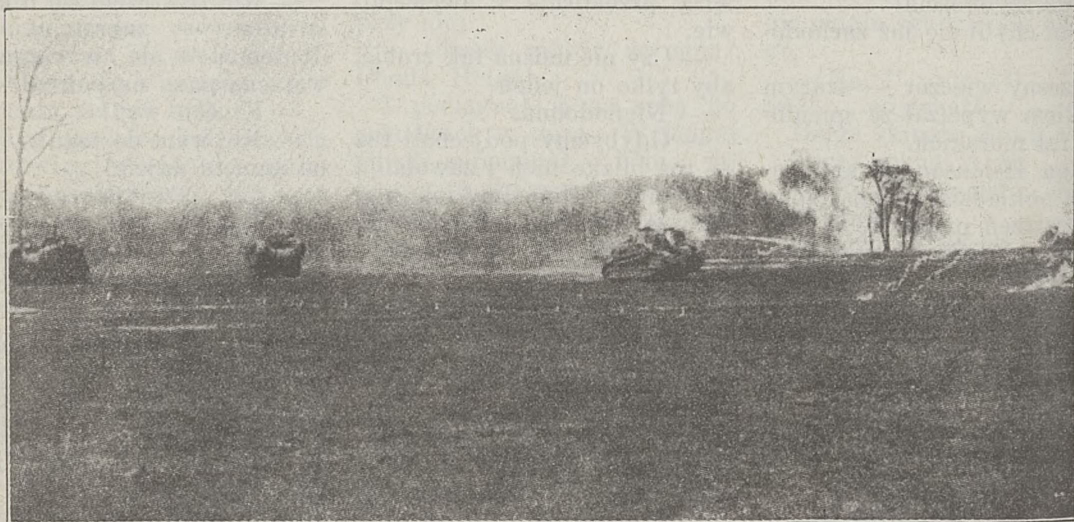
Ale Arni Einarsson odepchnął ją na bok!

— Nie! ten łotr nie będzie żył i nie będzie się przechwalał, że ciebie posiadał...

Czerwono — błękitnie żółto błysnęło Heldze w oczach... Piorun ogłuszający runął jej na głowę... Padła na deski pokładu bez przytomności... Straszny krzyk śmierci rozdarł ciszę nocną.

Arni Einarson umiał zarzucać harpun. Ostry stalowy hak utkwił w piersi Piotra Gamelin, przygwożdżając go do pokładu...

Gdy Helga odzyskała przytomność — mały poławiacz wielorybów, osłonięty ciemnością nocy, gnał już przed siebie jak szalony...



O. HENRY

ZEMSTA JUNAKA

NOWELA

CISCO KID zakatrupił sześciu osobników w mniej lub więcej prawidłowych rozprawach; zabił dwunastu skrytobójczo; pozatem skromność nie pozwala mu wymieniać liczby ofiar zranionych, ale niedobitych.

I za te wszystkie waleczne czyny kochała go kobieta.

Kid wyglądał na lat dwadzieścia, ale w istocie miał dwadzieścia pięć; żadne towarzystwo ubezpieczeń nie ubezpieczyłoby go do dwudziestego szóstego roku. Teren jego operacyj ciągnął się od Frio do Rio Grande. Pobudki do zabójstw były nieprzewidziane i wielce urozmaicone: zły humor, zwykła nuda, obawa przed uwięzieniem, wreszcie i przeważnie, sama rozkosz zabijania.

Jakże długo wymykał się wszelkim pościgom, dzięki zawrotnej szybkości strzału i niesłychanej rozwadze swego skarogniadego wierzchowca, który, jak żaden inny, umiał przekradać się pomiędzy krzakami, kaktusami i mesquitami, odnajdywać najwęższe ścieżyny na przestrzeni od San Antonio do Matamoras!

Tonia Perez, ukochana Kida Cisco, była napół Carmeną, napół Madonną, a co do reszty — albowiem kobiety tego pokroju zawsze posiadają jeszcze coś, co nie jest z ducha Carmeny ani Madonny — ta reszta była z niestałej i lotnej natury kolibra. Zamieszkiwała chatkę o darniowem pokryciu, jacal, nieopodal wioski meksykańskiej nad Rio Grande. Mieszkała ze starym dziadkiem czy pradziadkiem, Aztekiem czystej krwi, który z pewnością liczył sobie przeszło sto lat. Służył za pastucha i nigdy nie wychodził z marzycielskiego stanu upojenia mescalem. Za jacalem zaczynała się gęstwina ogromnych kaktusów; niektóre miały po dwadzieścia stóp wysokości i były tak ze sobą splecione, że chyba cudem tylko Cisco Kid mógł od czasu do czasu wyłaniać się z pomiędzy nich na swoim skarogniadym koniu. Gniazdko ich miłości było tak znakomicie zamaskowane, że pewnego razu Kid przez całą godzinę leżał na belce pod poszyciem chaty niby jaszczurka i przysłuchiwał się jak za drzwiami Tonia Peraz, bardziej niż zwykle Carmen, Madonna i koliber, opowiadała w swej słodkiej anglo-meksykańskiej gwarze szeryfowi i jego eskorcie, że od miesiąca już nie widziała kochanka.

Pewnego razu adjutant generalny stanu Texas, jako komendant straży granicznej, przesłał dość szydercze pismo kapitanowi Duval, dowódcy 10-ej kompanji w Laredo, w którem to piśmie zwracał uwagę swego podwładnego na wyjątkową bezkarność, jaką cieszą się grasujący w jego okręgu bandyci w ogólności, a w szczególności Cisco Kid.

Kapitan mocno się zarumienił po otrzymaniu tego pisma i przesłał je zkolei porucznikowi Sandridge, dowódcy plutonu straży granicznej, stojącego załogą nad jeziorem Nueces. Ale i porucznik spurpurował z przykrości, czytając raz po razu obraźliwy monit i zagryzł jasnego wąsika.

Nazajutrz rano udał się konno, bez eskorty, do wioski meksykańskiej Samotnego Wilka nad Frio, w odległości dwudziestu mil od Nueces.

Sześcio-stopowej wysokości, jasnowłosy jak Wiking, o parze błękitnych oczu, groźnych, jak para karabinów maszynowych, Sandridge krążył pomiędzy rozrzuconemi jacalami, wszędzie szukając wiadomości o Cisco Kidzie. Lecz Meksykanie obawiali się zemsty zuchwałego bandyty, poszukiwanego przez porucznika i obawiali się tej zemsty więcej, niż wszelkich następstw prawnych, jakiemi groził Sandridge za ukrywanie wieści o bandycie. Tu zaznaczyć należy, że jedną z ulubionych rozrywek Cisco Kida było zmuszanie spotykanych po drodze lub karczmach Meksykan do odtańczenia gwałtownego i długotrwałego tanga. Taniec taki był jeszcze i z tego względu przykry i niebezpieczny, że przygrywały mu kule z rewolweru bandyty, przelatujące ze świstem pomiędzy nogami tancerza. Nieszczęsny poczciwina uważał za szczęście, gdy ostatni pocisk nie ranił go lub nie rozciągał trupem u nóg bezlitosnego kata. Nietrudno stąd wywnioskować, że plemię o ogorzałej cerze nie dawało się pociągnąć za język na temat "postrachu okolicy". To też porucznik Sandridge otrzymywał w odpowiedzi na swe pytanie wzruszania ramionami, które nie posunęły go ani na krok ku odnalezieniu Cisco Kida.

Na szczęście w pobliżu brodu właściciel jedynego w wiosce sklepiku był Amerykaninem i nie bał się puścić pary z ust.

— Ci Meksykanie nic panu nie powiedzą, panie poruczniku — wyjaśnił. — Ja sam muszę być nadzwyczajnie ostrożny, gdyż nie jestem już tak skory do bitki jak niegdyś. Bandyta, którego przezywają Cisco Kidem — właściwe nazwisko brzmi Goodal — był tu dwa czy trzy razy. Bardzo być może, że spotka go pan w kierunku Rio Grande... Niech pan uważa... mogę zakomunikować panu coś bardzo ważnego. Kid często odwiedza małą meksykańską metyskę, która mieszka w pobliżu brodu, tuż za zagajnikim kaktusów. Przypuszczam, że to najodpowiedniejsze miejsce na czaty...

Nie zwlekając, Sandridge pocwałował w kierunku chałupy Perezów. Słońce zniżyło się ku widnokręgowi i jacal był już nakryty cieniem kaktusów, gdy porucznik zatrzymał konia. Zielony "corral" więził kozy, które właśnie wróciły z pastwiska. Stary pastuch spał już, marząc zapewne wśród dymu z mescalu o dobrych czasach, kiedy to pił z Pizarrem zdrowie zdobywców. Tonia Perez stała na progu chaty. Porucznik Sandridge patrzał na nią jak oczarowany.

Cisco Kid, równie próżny jak spragniony krwi ludzkiej, byłby nieprzyjemnie zdziwiony, gdyby się dowiedział, że dwie istoty, które — każda inaczej — myślały tylko o nim — po kilku sekundach tak nagle i zupełnie mogły o nim zapomnieć.

Tonia nigdy jeszcze nie widziała podobnego mężczyzny. Wydało się jej, że Sandridge jest utkany z promienia słonecznego i z miąższu cudownej róży. Uśmiech jego naświetlił zmierzch, jakgdyby znowy miał powstać dzień. Ludzie, których dotychczas widywała, byli zawsze ogorzali i niskiego wzrostu. Nawet sam Cisco Kid był niewiele wyższy od niej, miał długie, czarne, aż połyskujące włosy i twarz jak z marmuru, opalonego żarem południowego słońca.

A Tonia? — czy zda się na co próba jej wyglądu? Jej krucze, niemal granatowe włosy, rozdzielone pośrodku i melancholijny wyraz twarzy i oczu, nadawały jej wygląd Madonny, lecz ruchy i postawa okazywała niespożyty żar krwi, kipiącej w jej żyłach. To była Carmen. Koliber zaś gnieździł się w sercu i tu właśnie wyprawiał swoje kapryśne i wietrzne brewerje. Nazewnątrz tylko spódnica czerwona i błękitna bluzka przypominały jego upierzenie.

Półbóg raczył poprosić o trochę wody do picia. Tonia po chwili przyniosła dzbanek fajansowy. Jeździec zsiadł z konia, aby przyjąć napój z jej ręki.

Nie mam usposobienia inkwizytorskiego i byłoby mi przykro podpatrywać pierwsze spotkanie zakochanych. Wystarczy chyba powiedzieć, że nie upłynęło piętnaście minut, a porucznik Sandridge, siedząc przy Toni, uczył ją trudnej sztuki splatania rzemyka w lasso; ona zaś skarżyła się na wieczne osamotnienie, przerywane zrzadka czytaniem małej angielskiej książeczki, pożyczanej od "padre" i opiekowaniem się biednym psem domowym. Z tego można wnosić, że przywileje Cisco Kida były już poważnie zagrożone i że zalecenia generalnego adjutanta poszły w zapomnienie.

Albowiem, począwszy od tego dnia, porucznik Sandridge nabrał słodkiego przyzwyczajenia: prawie każdego dnia popołudniu przyjeżdżał do Toni Perez i uczył ją sztuki splatania rzemyków. Coprawda zapewniał i nadal otoczenie o niezłomnej woli pochwycenia Cisco Kida.

Porucznik uprzytomniał sobie, że Cisco Kid może każdej chwili przerwać brutalnie jego wizyty. To też z rewolwerem pod ręką nie spuszczał oka z gęstwiny ogromnych kaktusów. Kto wie zresztą, czy w ten sposób nie uda mu się łatwiej ubić okrutnego sępa, krążącego nad małym kolibrem?

Lecz gdy amator ornitolog był pochłonięty swemi studjami, Cisco Kid nie przerywał krwawych wyczynów. Któregoś dnia, będąc w złym humorze, zaczął siać dokoła siebie pustkę w barze w Quintena Creek i zabił burmistrza, który się niezręcznie nawinął. Zaczem oddalił się jeszcze bardziej ponury, bo cóż to za chwała zabić sześćdziesięcioletniego starca, który w dodatku, nie miał nawet czem się bronić.

W drodze Cisco Kid zwrócił się myślą ku pocieszeniu, jakiego nie skąpi namiętna czułość kochanki. W tej chwili chciałby wyczytać w pokornych jej oczach uwielbienie, którego był spragniony i usłyszeć, jak tchórzowski i zdradziecki czyn jego będzie uznany za bohaterskie junactwo. Oczyma wyobraźni widział ją, podającą mu dzbanek fajansowy z wodą, podczas gdy on grzecznie informuje się o zdrowie psa...

Skierował więc skarogniadego w stronę Samotnego Wilka, pojechał wzdłuż Arroyo Hondo i wkońcu zagłębił się w gęste zarośla kaktusów. Potulne zwierzę zarżało z radości, domyślając się celu podróży. Już czuło aromat "mesquita", wilgotny z rosy wieczornej, wyobrażało sobie, jak będzie objadać się tą rośliną, przytroczone do parkanu na czterdziestostopowym rzemieniu w tym czasie, gdy pan jego złoży swą głowę na kolanach pięknej Toni Perez.

Niepodobna sobie wyobrazić jazdy w warunkach trudniejszych i bardziej ponurych, niż pośród wysokopiennych kaktusów Texasu. Z przygnębiającą jednostajnością jedzie się powolutku pomiędzy gigantycznemi krzewami o djabelskich kształtach, wyciągających ku podróżnikowi ręce i żywe ramiona, poprzebijane męczeńskiemi kolcami. Ta dziwna roślina, obywająca się prawie bez ziemi i wody, zadręcza wzburzonego wędrowca okrutnym widokiem swych ciężkich, jasno-zielonych łap, nabrzmiałych gorzkim sokiem. Pozatem umie nęcić w gęstwinę, ukazując wolną ścieżkę pomiędzy krzewami, ale kilkanaście stóp dalej ścieżka ginie nagle, stawiając człowieka przed nieprzebytą ścianą kolców, a gdy wędrowiec wraca, nie może już znaleźć ścieżki, którą aż dotąd dotarł. Śmierć w gęstwinie kaktusowej to śmierć najgorszego łotra, przebitego tysiącami ćwieków i zadręczonego djabelskiemi przywidzeniami. Atoli Cisco Kid nie był wystawiony na to niebezpieczeństwo. Mądry jego koń, jak w labiryncie, którego sekret jest mu znany, umiał odgadywać zagadki niezliczonych meandrów i podjeżdżać najłatwiejszą drogą do upragnionej chatki w Samotnym Wilku. Oto dlaczego Cisco Kid śpiewał przez całą drogę.

Znał tylko jedną melodję i śpiewał ją na całe gardło; śpiew swój uprawiał jako ulubiony sport i kochał go, jak najmilszą kochankę. Człowiek ten miał upodobanie do swego głosu. I chociaż głos ten brzmiał jak wycie kujota po nocy, cóż z tego? Lubił słyszeć ten jedyny znany mu przyśpiew:

Nie zbliżaj się do mej kochanki,
Gdyż marny będzie twój los...

Zresztą śpiew podniecał konia do szybszej jazdy.

Już wkrótce miała się skończyć ta męcząca jazda między ogromnemi kaktusami. Już z pewnych znaków, tylko im wiadomych, jeździec i koń przekonali się o bliskości wioski. Jeszcze kilka chwil, a rośliny o wykrzywiających się gałęziach otworzą się przed nim, aby...

Nagle Kid gwałtownym ruchem ściągnął uzdę i stanąwszy na strzemionach, natężył wzrok. Oczy jego — ślepia dzikiego zwierzęcia — spostrzegły coś skroś kończące się kaktusy.

Ujrzał Tonię, jego Tonię, uważnie splatającą rzemień. Cóż z tego? Czyż dama jego serca nie szykuje czasem dla nieobecnego kochanka pięknego podarunku? Ale to nie wszystko: przy niej, a raczej u jej nóg, siedział wysoki mężczyzna z głową na jej kolanach i z ręką na jej pracującej dłoni.

Sandridge odwrócił się gwałtownie: zdawało mu się, że usłyszał szmer rewolweru wyciąganego z pochwy. Ale słaby odgłos zgasł i porucznik powrócił do swej trudnej i wdzięcznej lekcji.

W cieniu śmierci oboje kochankowie nawiązali z powrotem przerwaną rozmowę. W tem czystem powietrzu popołudnia lipcowego dnia wszystkie ich słowa dochodziły wyraźnie do zaczajonego Kida.

— Posłuchaj, mój drogi — rzekła Tonia — nie

przychodź tu, zanim ci nie napiszę. Czuję, że on już rychło powróci. Znajomy vaquero z wioski powiedział mi, że widziano go niedawno nad brzegami rzeki. Kiedy jest tak blisko, zawsze mnie odwiedza. Gdy cię tu spotka, napewno cię zabije. Jeżeli kochasz mnie, nie przychodź. Nie przychodź, dopóki cię nie zawezwę.

— A kiedy mnie zawiadomisz, co mam robić?

— Masz przyjechać natychmiast, natychmiast, z całym oddziałem i zabić go. Bo jeżeli on wam ujdzie, to potem wy mu nie ujdziecie...

— Wiem o tem — odparł porucznik — ten człowiek się nie podda. Z panem Cisco Kidem — albo zabić albo samemu zginąć...

— To on powinien zginąć — rzekła stanowczo. — Pomyśl o tych wszystkich, którzy umarli z jego ręki... Nie będzie spokoju, póki on będzie przy życiu. Przyprowadź jaknajwięcej ludzi i niech już będzie koniec...

— Powiedz mi — zapytał Sandridge — czyś go nigdy nie kochała?

— Tak, kochałam go kiedyś, ale wtedy jeszcze nie znałam ciebie, góro moja złota o promiennym szczycie! Jesteś tak silny, a jednak tak dobry i czuły... Któżby się zastanawiał, mając do wyboru jego i ciebie? Nie, on powinien umrzeć... Nie zaznam chwili spokoju, póki nie będzie zabity...

— Ale jak się dowiem, że przybył?

— Ilekroć wraca, zostaje u mnie na dwa lub czasem i na trzy dni. Gregorio, mały chłopak z pobliskiej chaty ma rączego kucyka. W stosownej chwili poślę ci list przez niego. A wtedy przybądź nie zwlekając i przyprowadź z sobą jaknajwięcej ludzi, albowiem grzechotnik nie jest tak szybki, jak El Chirato, jak go tu nazywają, gdy ma w ręku swój rewolwer.

— Cisco Kid umie trafiać i jest porywczy jak błyskawica — rzekł porucznik. — Wiem o tem, ale mimo to, przyjadę sam; albo sam się z nim rozprawię, albo wcale nie. Niedawno kapitan przysłał mi pismo, które nie przestaje drażnić mej ambicji. To będzie moja odpowiedź. Więc przyślij swego gońca, a ja zrobię, co do mnie należy.

— Zgoda — odpowiedział Tonia — we właściwym czasie Gregorio przyjdzie do ciebie. Wiedziałam dobrze, że jesteś równie odważny jak ten mały okrutnik, który nigdy się nie uśmiecha. Och, jakże mogłabym teraz kochać go lub choćby dbać o niego!

Trzeba było już wracać na placówkę. Porucznik Sandridge uniósł jedną ręką Tonię do góry, aby przycisnąć wargi do jej ust. Poczem dosiadł konia. Cisza przegrzanego powietrza ciężko obarczała zapadający zmierzch. Dym z kuchni wylatywał z komina pierwotnego kształtu. Żaden dźwięk, żaden ruch nie zakłócał martwego spokoju w pobliskim lesie kaktusów...

Podczas gdy Sandridge cwałował wzdłuż brzegu Frio, zmierzając ku swej placówce, Kid, zawróciwszy konia, jechał pomiędzy monstrualnemi zielskami. Ale nie ujechał daleko. Tonia wkrótce usłyszała jego chrapliwy głos, wyśpiewujący ulubiony przyśpiew i tętent konia coraz wyraźniejszy. Zgodnie ze zwyczajem podbiegła do miejsca, skąd zwykle wyłaniał się ten, którego tak długo nazywała panem swym i władcą.

Kid uśmiechał się bardzo rzadko, ale tym razem wyjechał z pośród krzewów z uśmiechem na ustach i z kapeluszem w ręku. Ledwie stanął na ziemi, Tonia zarzuciła mu ramiona na szyję. Wpatrywał się w nią z uwielbieniem, spotkanie wywołało na jego zwykle obojętnej twarzy wyraz tajemniczego zaciekawienia.

— Jak się miewa moja mała dziewczyna? — zapytał po pierwszych pocałunkach.

— Ta mała dziewczynka jest bardzo chora, ponieważ długo musiała być bez ciebie, zły człowieku — brzmiała odpowiedź. — Oczy moje zmęczyły się już badaniem tych piekielnych gąszczów kaktusowych. Ale teraz, skoro, jesteś, nie będę dręczyć cię wyrzutami. To bardzo brzydko jednak z twej strony, że nie odwiedzasz częściej swojej Toni. Ale co ja mówię, najprzód wejdź do chaty, a ja tymczasem przywiążę konia do parkanu. W dzbanku jest świeża woda...

Kid uścisnął ją czule.

— Wszyscy szeryfowie świata nie przeszkodzą mi zająć się osobiście moim konikiem. Nie jest to robota dla twoich delikatnych rączek. Ale jeśli chcesz być dobrą dziewczynką, to zagotuj wodę do kawy, którą razem wypijemy; idź więc moja droga...

Jedyną rzeczą, którą Cisco Kid cenił bardziej od trafności swego strzału, była grzeczność w stosunku do kobiet. Pod tym względem uważał się za człowieka rycerskiego, "muy caballero" jak się mówi w tamtych stronach. Miał dla kobiet tylko słodki język i grzeczne maniery. Zabijał bez skrupułów ich ojców, braci czy mężów, ale nigdyby za nic w świecie nie tknął kobiety twardą ręką. To też słabsza płeć w całym okręgu była o nim wcale pochlebnego zdania i nie bardzo wierzyła w opowieści o jego zbrodniach.

Nietrudno zrozumieć, jak podsłuchana rozmowa Sandridge'a z Tonią musiała podziałać na umysł Cisco Kida, nieprzygotowany do tego rodzaju zwrotów. Zemsta jego miała, bodaj po raz pierwszy w życiu, trafić kobietę. A przecież nie mógł nie mścić się.

Skoro noc zapadła, zasiedli we troje: Cisco Kidi, Tonia i stary pastuch do obiadu, składającego ze smażonego koźlęcia, z frojole, z brzoskwiń i kawy. Dymiąca latarnia oświetlała izbę. Stary dziad, wypaliwszy ostatniego papierosa, udał się na spoczynek, Tonia wesoło zmywała statki, które następnie Kid wycierał kawałkiem płótna, opowiadała o drobnych wypadkach swego jednostajnego życia. Poczem rzuciwszy się na hamak spleciony z ljan, zaczęła śpiewać swój repertuar i przygrywać sobie na gitarze.

— Więc kochasz mnie jak dawniej? — zapytał Kid, szukając zapałki w kieszeniach.

— Jak dawniej, jak zawsze — odpowiedziała Tonia, przypatrując mu się badawczo.

— Muszę iść po tytoń do Finka — zauważył Cisco Kid — widzę, że już wypaliłem wszystek. Będę z powrotem za piętnaście minut.

— Idź i wracaj prędko — rzekła Tonia pieszczotliwie — i powiedz mi, ile czasu zostaniesz ze mną? Chyba nie porzucisz mnie odrazu... Twoja biedna Tonia była tak długo opuszczona i sama...

— Och! — odrzekł Kid niedbale — będę dwa czy trzy dni; czuję potrzebę wypoczynku. Od pewnego czasu prześladują mnie ze wszystkich stron...

Przez pół godziny był nieobecny. Skoro wrócił,

Tonia, leżąc wciąż w hamaku, nuciła jakąś piosenkę.

— To dziwne — rzekł — czuję się dziś bardzo kiepsko. Wydaje mi się, że słyszę wokoło jakieś szmery i w świetle księżyca widzę, jak poruszają się kaktusy. Nigdy jeszcze nie byłem tak niespokojny. Powiedziano mi u Finka, że wszyscy są strasznie wzburzeni z powodu zamordowania burmistrza w Quintane Creek. Zdaje mi się, że będę musiał zwiać stąd skoro świt.

—Widzę jednak, że się wcale nie lękasz — zauważyła Tonia z dumą. — Nikogo się nie boi mój dzielny chłopak...

— Nie uchodzę za tchórza, moja mała, ale nie chcę bynajmniej znaleźć się w twojej chacie jak wilk w pułapce. Pozatem i ciebie może spotkać nieszczęście...

— No dobrze, jutro rano pomyślimy o tem.

Lecz przed wejściem do chaty zatopił badawcze spojrzenie na prawo w gąszcz kaktusów, a potem w lewo, gdzie połyskiwały ciche wody rzeki.

* * *

Punktualnie o północy jeździec pojawił się na placówce straży granicznej. Oznajmił wartownikowi, że nazywa się Domingo Salez z Samotnego Wilka i że przywiózł list do porucznika Sandridge'a. Stara Luiza, matka Gregoria z wioski, prosiła go, by zastąpił jej chorego syna, który miał odwieźć list.

W świetle lampy porucznik przeczytał następujące słowa:

"Drogi przyjacielu!

Zaraz po twoim wyjeździe przybył od strony zagajników. Z początku mówił, że pobędzie dwa lub trzy dni. Ale potem zaczął krążyć z kąta w kąt, jak wilk w klatce, nadsłuchiwać, wyglądać na dwór, nic nie mówiąc, ale z niespokojną miną. I nagle zapowiedział, że wyruszy skoro świt. A potem zaczął mi zarzucać, że nie jestem mu wierna. Przysięgałam mu raz po razu, że i nadal jestem jego Tonią, kochającą tylko jego na całym świecie... Wówczas zażądał, abym mu dała dowód miłości. Wydaje mu się, że straż zbrojna otoczyła dom i czatuje na niego.. Aby się wymknąć, zamierza przebrać się w moje ubranie: w czerwoną spódnicę, błębitną bluzkę i brązową mantylę. A pozatem, żeby mu dowieść, że nie jestem w zmowie z jego wrogami, mam włożyć na siebie jego bluzę, spodnie, kamizelkę i wielki kapelusz i pogalopować na jego koniu od domu do brodu i z powrotem. Widzisz więc, że nawet mnie przestał ufać... Wszystko to ma się stać na godzinę przed świtem. Widzisz więc, drogi przyjacielu, że masz tylko tyle czasu, aby przyjechać, zabić go i uratować Twoją Tonię. Nie usiłuj ująć go żywcem, zabij go momentalnie. Tak być powinno. Przyjdź zawczasu i schowaj się w szopie w pobliżu jacalu. Tam jest zupełnie ciemno. Nie zapomnij, że on będzie w mojej czerwonej spódnicy, błękitnej bluzce, z mantylą na głowie. Będziesz pamiętał? Ślę ci sto pocałunków. Celuj dobrze i trafnie...

Twoja Tonia."

Sandridge wydał swoim podwładnym odpowiednie instrukcje.

— Ale pan przecież nie pójdzie sam — protestowali jednogłośnie.

— Och, nie narażam się na najmniejsze niebezpieczeństwo — odparł oficer. — Już mi się Cisco Kid nie wywinie. Nie zdąży się obronić.

Porucznik natychmiast dosiadł konia i po dwóch godzinach jazdy dotarł do rzeki. W pobliżu brodu znalazł zagajnik, gdzie mógł ukryć swego wierzchowca. Poczem pieszo, cichym krokiem doszedł do jacalu Peraza. Spokój tu panował martwy, w blasku księżyca, zasłoniętego częściowo przez chmury. Z łatwością zakradł się do szopy. Zaczajony w kącie, ujrzał niedaleko kaktusów skarogniadego konia Kida.

Dopiero po godzinie dwa cienie ukazały się na progu chaty. Jeden w stroju męskim dopadł konia i oddalił się galopem ku brodowi. Drugi, w spódnicy, bluzce i mantyli, zatrzymał się na progu chaty, spoglądając za znikającym jeźdcem.

Sandridge postanowił skończyć ze zbrodniarzem przed powrotem Toni. Wysunął się z szopy, przyłożył karabin i krzyknął silnym głosem:

— Ręce do góry!

Sylwetka, nie podnosząc rąk, odwróciła się porywczo. Oficer, żywy jak błyskawica, z lekkiem sercem wysłał jedną, dwie, trzy, cztery kule w kierunku strasznego przeciwnika. Czyż mógł go nie trafić z odległości najwyżej czterdziestu stóp?

Stary Aztek obudził się na odgłos strzałów i straszliwy krzyk ludzki. Ledwie przywlókł się do progu chaty, gdy jakaś ręka pochwyciła go za kołnierz i zaciągnęła do izby. Na ścianie wisiała latarka.

— Perez! — zawołał oficer, rzucając na stół list. — Perez, powiedzcie mi, kto napisał ten list?

— Ten list? — rzekł starzec, bełkocąc z przerażenia. — Ten list, senor Sandridge, napisał El Chirato, narzeczony Toni, marny człek, jak powiadają. To on pisał, gdy Tonia spała. Dał mi następnie abym zaniósł do Dominga Salez, który miał go zawieźć do pana... Czy jest co złego w tym liście?

Nagle dostrzegł leżące przed progiem zwłoki w czerwonej spódnicy, błękitnej bluzce i mantyli.

— Wielki Boże... Tonia! — krzyknął Tonia!

I zaczął bełkotać jak nieprzytomny:

— Nie wiem, jestem tak stary, tak stary, a świat jest tak bardzo zły... i niema nic do wypicia w tym domu...

I wówczas Sandridge rzucił się na trawę i załkał z całego serca. Tak, nie ocenił i nigdy nie zrozumiał "delikatnej" zemsty prawdziwego caballero.

O milę stamtąd jeździec, który słyszał huk wystrzałów, pędził galopem, śpiewając na całe gardło:

Nie zbliżaj się do mojej kochanki,
Gdyż marny będzie twój los!



A. Kuprin

BEZ TYTUŁU

Nowela letniskowa

PRZED kilkunastu laty spędzałem miesiące letnie na letnisku, zdala od pełnego kurzu, przepełnionego krzątaniną, dusznego i hałaśliwego miasta, w cichej wiosce, zagubionej wśród gęstego lasu sosnowego, o kilka mil od stacji kolejowej.

Tam dopiero zaczęli się pokazywać pierwsi pionierzy kolonji letniskowej, która dziś w zupełności zapełniła to miłe, spokojne miejsce wytwornemi strojami letniemi, plotkami, przedstawieniami amatorskiemi, ćwiczeniami na fortepianie i flirtem. Teraz tam już niema ani poprzedniej taniości, ani dawnej ciszy, ani czarującej prostoty obyczajów.

Przedtem, bywało, wstanie się wczesnym rankiem z wschodem słońca, kiedy rosa jeszcze bieleje na trawach, a z lasu, z pomiędzy wysokich, czerwonych masztów sosen dobiega mocny, smolisty zapach. Nie myjąc się, człowiek w narzuconem na bieliznę palcie biegł do rzeki, w biegu rozbierał się już i z bielizny i z rozmachem rzucał się w lodowatą, różową od zorzy wodę, pociągniętą jeszcze lekką mgiełką, ku wielkiemu przerażeniu całej rodziny kaczej, która z trwożliwem kwakaniem i pluskiem śpiesznie rozpływała się w różne strony, uciekając z nadbrzeżnej trzciny.

Po kąpieli, drżąc z zimna ale z uczuciem zdrowia i świeżości w całem ciele, śpieszyło się na herbatę, do której nakrywano w gęsto zarosłym ogródku, w cieniu krzaków, bzu, tworzących nad stołem zieloną altanę. Na stole, obok błyszczącego samowara, dzbanuszek z doskonałą śmietanką, bochenek świeżutkiego chleba wiejskiego, znakomite masełko, plaster miodu na liściu łopianu i talerz wielkich, aromatyczną woń siejących malin. Przy stole krząta się córka gospodarza, Hanusia, czarnooka mocna wiejska dziewucha, zadzierżysta i sprytna.

Cały dzień włóczyło się z fuzją i psami po lasach okolicznych i błotach, łowiło się ryby i raki, słowem cały dzień a często i część nocy spędzało się na powietrzu. To też człowiek miał doskonały apetyt, zdrów był i wesół, rześki i pełen radości życia.

W teraźniejszych czasach niema już w tym uroczym zakątku dawnych, rozkosznych zwyczajów, niema nie podrabianego mleka, ani prawdziwego masła. W lesie pełno napisów, zabraniających polowania i zbierania jagód i grzybów, ścieżkami mkną długonodzy cykliści, na rzece tłoczą się dekoltowani sportsmeni w pasiastych kostjumach, a córki gospodarskie noszą niciane rękawiczki i pończochy ze sztucznego jedwabiu.

Kiedy pewnego lata przyjechałem na wieś i przy pomocy Hanusi urządzałem swój pokoik, Hanusia, między innemi nowościami, oznajmiła mi, że naprzeciwko u Komaryckich wynajęli pokój "jakichciś dwoje lokatorów", mąż i żona.

— Osipówna mówi, że oni już dziesięć lat temu się pożenili. On nie bardzo piękny, a ona taka śliczna, jak zorza jasna... Ot, sam pan zobaczy. On podobno jest w mieście nauczycielem. Codziennie koleją jeździ do miasta.

W dwie godziny potem, wyjrzawszy przez okno, ujrzałem moją sąsiadkę. Malutki, wesoły wychylający się z pośród drzew domek był wprost naprzeciw naszego. Siedziała przy otwartem oknie, zawieszonem do połowy lekkiemi tiulowemi firaneczkami, w białej bluzce i oparłszy się na desce okiennej, czytała książkę. Miała delikatną, zwykłą twarz, z rodzaju tych, obok których przechodzi się obojętnie, lecz po bliższem wpatrzeniu się, wywierających urok wyrazem słodyczy, pieszczoty i marzycielstwa. Wszystkich szczegółów tej twarzy z oddali nie mogłem dojrzeć, lecz zdążyłem zauważyć jej wspaniałe blond włosy, nie ufryzowane, a zarzucone w tył, w ten sposób, że czoło było zupełnie odsłonięte; bardzo delikatnie zakreślone brwi i malutkie, różowe uszka. Później przyjrzałem się jej bliżej: najpiękniejszym rysem jej twarzy były oczy — duże, podłużne, ciemno-szare i błyszczące.

Około godziny szóstej przyjechał mąż blondynki, jegomość lat czterdziestu, z typową powierzchownością nauczyciela, z roztarganą brodą, brunet, w złotych okularach, ze zmęczoną, miłą twarzą i szczupłą figurą. Przyjechał na chłopskim wozie, otulony przed kurzem w biały płócienny płaszcz z kapturem, zakrywającym głowę.

Nie zdążył jeszcze wysiąść ze swego niewygodnego siedzenia, gdy żona wybiegła na jego spotkanie, narzuciwszy na głowę białą chustkę fularową. Tu przyjrzałem się jej figurze: była wysoka, zgrabna i gibka, zupełnie jak dobrze rozwinięty podlotek, pomimo, że sądząc z twarzy, miała lat najmniej dwadzieścia pięć lub sześć. Podczas gdy mąż niezręcznie przekładał nogi przez wysokie drabiny wozu i ostrożnie zsuwał się na ziemię, ona coś z ożywieniem mówiła, śmiała się i wyjmowała z wozu jakieś paczki i zawiniątka.

W ślad za blondynką wybiegł z domku chłopczyk lat siedmiu, bardzo do niej podobny, szczuplutki, blady, prawdopodobnie chorowity. Z piskiem rzucił się ojcu na szyję, zawisł na niej, machając w powietrzu nóżkami, nagiemi po kolana. Wszyscy troje weszli do chaty.

Wieczorem znów ich zobaczyłem. Mąż w długiej, granatowej bluzie, w rodzaju takiej, jaką noszą przy pracy artyści, siedział w kuczki, nachylony nad jednym z malutkich klombów urządzonych w ich ogródeczku przed domem i coś tam dłubał. Domyśliłem się, że sadzi nasiona kwiatów. Synek jego stał obok, z założonemi za plecy rękoma i uważnie patrzył na robotę ojca. Zgrabna postać blondynki w białej sukni ukazywała się to w domu, to w ogrodzie, i ja mimowoli patrzałem z zachwytem na jej pełne wdzięku, zręczne ruchy. Raz podeszła do męża i on, nie wstając podniósł do niej spoconą i uśmiechniętą twarz i powiedział kilka słów, wskazując na swoją

robotę. Nachyliła się ku niemu, zdjęła z niego kapelusz i wytarła mokre jego czoło chusteczką. On chwycił ją przytem za rękę i pocałował.

— Nie, — pomyślałem, patrząc na tę czułą scenę — choć sąsiedztwo na letnisku daje pewne prawo do bezceremonjalnej znajomości, ja nie będę jej zawierać. Czyż o-śmielę, się nieproszonem wtargnięciem do rodziny odebrać temu zacnemu, dobremu z wyglądu człowiekowi choć najmniejszą cząstkę jego domowych rozkoszy? Zamiast spokojnego oddawania się pracy w ogródku, zmuszony byłby spędzać czas na rozmowach o kartach, o pogodzie, o chorobach, o zdrowiu, o tem wszystkiem, co jemu na pewno oddawna już sprzykrzyło się w mieście. I oprócz tego, kto wie, być może... ten miły człowiek o-każe się pedantem i pechowcem, a marzycielska blondynka wystąpi w skórze zwykłej plotkarki, pełnej pretensji i próżnej, jak nadęty pęcherz. Takie przemiany nie są rzadkością!

Postanowiłem tedy nie korzystać z praw sąsiedztwa i oddawałem się całemi dniami moim ulubionym zajęciom: polowaniu, łowieniu ryb, czytaniu i w przerwach zupełnemu lenistwu. Sąsiedzi również nie okazywali żadnych oznak pragnienia zawarcia znajomości ze mną.

Niemniej jednak mimowoli byłem świadkiem wszelkich drobnych szczegółów ich życia i, muszę przyznać, życie to budziło czasem we mnie smutne pragnienie posiadania swego własnego kącika i ciepłej, słodkiej kobiecej pieszczoty. Gdyby mi pozostawiono wybór, nie pragnąłbym lepszej żony, niż moja jasnowłosa sąsiadka — tyle było w niej kobiecości, wdzięku, wesela i troskliwości o męża.

Prawda, w mojej żonie nie chciałbym tylko jednej cechy mojej sąsiadki: czytała poprostu nieskończenie. Każdą wolną chwilę, ledwie oderwawszy się od zajęć, poświęcała książkom i dotychczas, kiedy ją wspomnę, rysuje się w moich oczach nie inaczej, jak siedząca przy otwartem oknie lub leżąca w hamaku koniecznie z książką w ręku. Ze sposobu jej czytania i z lekkomyślnych opraw książek byłem przekonany, że czyta marne tłumaczenia romansów. Wstawała późno, podczas gdy jej mąż, samotnie wypiwszy herbatę, odjeżdżał do miasta, a po jej bladej i trochę zmęczonej twarzy widziałem, że sypiała mało i źle.

Minęło kilka tygodni. W mieście skończyły się egzaminy i mąż blondynki ze wszystkiem zamieszkał na letnisku. Całemi dniami krzątał się w swoim ogródku: polewał, kopał, gracował, strugał jakieś paliki i wtykał je w ziemię. Widoczne było, że nauczyciel namiętnie lubił hodowlę kwiatów. W pokoju jego także zauważyłem na oknie wiele doniczek z rzadkiemi roślinami, które często wycierał gąbką, obkurzał, podcinał nożycami i podlewał.

Co sobotę do sąsiadów przyjeżdżali z miasta znajomi, z wyglądu również nauczyciele, z żonami i dziećmi.

Widać było, że goście i gospodarze stanowią dawno zżyte z sobą towarzystwo, gdyż zachowywali się w stosunku do siebie prosto i niewymuszenie. Gospodarz wynajmował proste wozy i całe towarzystwo z gwarem i śmiechem siadało na nie i odjeżdżało do lasu na zbieranie grzybów i jagód. Wieczorem grywali w karty, śmieli się i często pozostawali na noc, przyczem mężczyźni szli razem do szopy na siano.

Minęło już dosyć czasu od mojego przyjazdu na letnisko. Okwitły już drzewa i bzy, słowiki zaczęły przerywać swe nocne koncerty. Blondynka jak dawniej gospodarowała i czytała, mąż jej krzątał się cały dzień w ogródku, ja łowiłem okonie i płotki. Znajomość moja z sąsiadami nie posuwała się wcale naprzód.

Pewnego razu do furtki nauczyciela podjechała bryczka. Na niej siedział tęgi, wysoki jegomość. Nigdy nie widziałem go w liczbie gości sąsiadów. Z powierzchowności aktor lub śpiewak, wygolony, z grzywą kędzierzawych włosów, z wielkiem, kwadratowem czołem, z grubemi zmarszczkami w kącikach ust, dumnie wysuniętą naprzód dolną wargą, z oczyma pogardliwemi. Nie widząc nikogo, przyjezdny przez pewien czas siedział w milczeniu i rozglądał się na wszystkie strony.

Po chwili wyszedł z ogrodu nauczyciel w swojej granatowej bluzie, z łopatą w ręku. Zakrywając się ręką od słońca długo wpatrywał się w przyjezdnego. Potem widocznie poznali się wzajemnie. Przyjezdny zręcznym, zwinnym susem zeskoczył z bryczki, nauczyciel podbiegł na jego spotkanie i serdecznie się ucałowali.

Szczególnie wzruszony był tym przyjazdem nauczyciel. Krzątał się, biegał od swego przyjaciela do chłopa, zdejmującego z bryczki walizę i inne rzeczy przyjezdnego i od chłopa do przyjaciela, póki nie zaprowadził przyjezdnego do domku, poklepując go po szerokich barach i zaglądając w oczy. Za nimi chłop wniósł rzeczy.

Przyjezdny był wyższy od nauczyciela o całą głowę; szedł krokiem lekkim i sprężystym, właściwym ludziom, przywykłym do posadzki lub sceny. Na ganku spotkała ich blondynka. Z gestów nauczyciela, z ceremonjalnego ukłonu przyjezdnego i po nieśmiałym ruchu, z jakim blondynka podała mu rękę, wywnioskowałam, że nauczyciel przedstawia żonie swego przyjaciela.

Przed wieczorem, wszyscy troje, gospodarze i ich gość, pili w ogrodzie herbatę. Przyjezdny coś opowiadał z wielkiem ożywieniem, pomagając sobie pięknemi, wyszukanemi gestami. Naraz wśród rozmowy wstał, powoli skrzyżował ręce na piersi i twarz jego przybrała wyraz zamyślony i tragiczny. Widocznie deklamował i, sądząc z charakteru gestów, cośkolwiek bardzo tragicznego. Nauczyciel i blondynka patrzyli na niego uważnie. Kiedy skończył i ze sztucznem wyczerpaniem opadł na ławkę, nauczyciel kilkakrotnie poklepał dłonią o dłoń, jakby go oklaskując. Blondynka nie poruszyła się wcale. Trudno było powiedzieć, jakie wrażenie wywarła na nią deklamacja, lecz jej twarz, zresztą być może, wydało mi się to tylko tak z oddali, przybrała jeszcze bardziej marzycielski wyraz.

Aktor zamieszkał u moich sąsiadów i, widocznie na długo, gdyż przywiózł z sobą kilka letnich ubrań i cały zapas najróżnorodniejszej i najmodniejszej bielizny. Nie ulega wątpliwości, że musiał to być dawny serdeczny przyjaciel nauczyciela, który przypadkiem dowiedział się o miejscu jego pobytu i mając urlop, postanowił odświeżyć dawniejsze węzły przyjaźni.

. . . .

Przez dwa dni nauczyciel nie mógł się dosyć nacieszyć przyjacielem; nie odchodził od niego ani na krok, zabawiał rozmową, pokazywał mu w ogródku swoje kwiaty. A kwiaty te rzeczywiście wy-

rosły wspaniale i widać było, że nauczyciel zna się doskonale na ogrodnictwie i hodowli kwiatów.

Po kilku dniach, kiedy radość z powodu przyjazdu przyjaciela utraciła swą pierwotną świeżość i obecność jego w domu stała się zwykłem zjawiskiem, życie nauczyciela weszło w swą zwykłą kolej. Zupełnie tak samo jak przedtem, wstawał ze wschodem słońca, przynosił w polewaczce wodę z najbliższej studni, grzebał w ogródku, sadził, przycinał i kopał, zawsze w swej granatowej artystycznej bluzie.

Za to życie jego żony zmieniło się zupełnie z chwilą przyjazdu aktora. Zamiast poprzedniej białej bluzeczki z koronkami, obecnie widziałem na niej stale barwne staniczki, zdobione z wdziękiem wstążeczkami i wstawkami. Wspaniałe blond włosy, przedtem mile zaczesane w tył, teraz zaznajomiły się z karbówkami i przemieniły w falistą, kędzierzawą grzywę. Nawet i pod tym względem się zmieniła, że najwyżej godzinę dziennie poświęcała czytaniu, gdyż cały prawie czas spędzała z gościem. To chodzili obok siebie po wąskich, krętych ścieżkach ogródka, rozmawiając z ożywieniem, to ona leżała w hamaku, kołysząc się wolno i patrząc z odrzuconą w tył głową w niebo, a on siedział obok i czytał jej albo deklamował.

Opowiadania aktora i rozmowy z nim widocznie bardzo interesowały blondynkę. Nic bowiem nie pociąga tak bardzo ludzi niewtajemniczonych w życie aktorskie, jak opowiadania artystów o zakulisowych tajemnicach sceny. Często widziałem, jak idąc obok niej i mówiąc coś z piękną i ożywioną gestykulacją, aktor naraz zatrzymał się, zmuszał ją także do zatrzymania i odwrócenia się do niego twarzą i zaczynał, prawdopodobnie dla objaśnienia swych słów, wygłaszać z pamięci jakieś monologi. I za każdym razem, patrząc na jego piękną, potężną postać, na efektowną plastyczność jego gestów, coraz bardziej nabierałem przekonania, że to bynajmniej nie przeciętny artysta.

Pewnego razu przed wieczorem zrobiłem ważne odkrycie: aktor uczył ją sztuki scenicznej. Siedział w ogrodzie na ławce przed okrągłym, drewnianym stolikiem, na którym zwykle pili herbatę. Ona stała przed nim zmieszana i deklamowała coś z pamięci.

Kiedy blondynka skończyła deklamację szybko podbiegł do niej, schwycił jej obydwie ręce i z ogniem je ściskając, zaczął coś mówić. Widocznie wyrażał jej swój zachwyt. Ona odwracała się i odpychała ręce, lecz on nie wypuszczał ich i w dalszym ciągu mówił, starając się patrzeć jej w oczy.

Widocznie blondynka zakosztowała słodkiej trucizny pełnych zachwytu pochwał artysty, gdyż odtąd każdego wieczora bywałem świadkiem odbywających się w ogrodzie lekcyj deklamacji dramatycznej. Czy aktor był szczery czy nie, tego wiedzieć nie mogłem, lecz widziałem, że zabrał się do pracy z sposób jak najbardziej stanowczy.

Pod koniec miesiąca zrobiłem drugie odkrycie, lecz znacznie ważniejsze niż pierwsze. Zdarzyło się to również wieczorem, kiedy przeźroczyste powietrze już dostrzegalnie ciemniało i unosiły się w niem z głuchym szumem letnie owady. Blondynka leżała w hamaku, patrząc swoim zwyczajem w górę, że nie posłyszała kroków ostrożnie podchodzącego do niej aktora. Ten podkradł się zupełnie blisko do swej uczennicy, obejrzał się na wszystkie strony, pragnąc przekonać się, czy kto nie patrzy na niego i nagle, szybko się pochyliwszy, pocałował blondynkę w szyję. Ona drgnęła, lekko uniosła się w hamaku i naraz, ku mojemu najwyższemu zdziwieniu, zamiast rozgniewać się lub krzyknąć na aktora, delikatnym ruchem otoczyła rękami jego szyję, i przyciągnęła jego twarz do swojej i... pauza na trzy minuty...

Śpiesznie odwróciłem się. Choć wszystko, co widziałem nie dotyczyło mnie, poczułem do aktora straszną, pełną nienawiści zazdrość.

Tego wieczora nauczyciel pojechał do miasta. Blondynka i aktor odprowadzali go. Ściskali mu ręce, całowali i śmieli się w serdeczny i przyjacielski sposób. Nauczyciel uśmiechał się do nich i długo jeszcze, siedząc na bryczce, kiwał głową do stojących przy furtce żony i przyjaciela z dawnych czasów.

Następnego dnia, wstawszy wcześnie rano i wyjrzawszy przez kno, byłem zdumiony do tego stopnia, że nie wierzyłem własnym oczom. Przy furtce mojego sąsiada stała bryka naładowana rzeczami, w liczbie których poznałem cały bagaż, przywieziony przez aktora. Wkrótce wyszedł z domu i on w towarzystwie blondynki. Obydwoje byli w strojach podróżnych. Blondynka wydawała się zmęczona, twarz jej pobladła, powieki zaczerwieniły się; widać było, że tej nocy nie spała, a jednocześnie miała minę człowieka, który zdecydował się na jakiś fatalny, niepowrotny krok. Podtrzymywana pod ramię przez aktora, wsiadła na bryczkę. W ślad za nią wsiadł i aktor i rzekł coś do chłopa, siedzącego na koźle. Chłop uderzył batem konie, bryka zaturkotała po drodze i... naraz zatrzymała się.

Malutki nauczyciel w złotych okularach na nosie, stanął nagle na środku drogi i pochwycił konie za uzdy. Postać jego i ubiór były w nieładzie, wyglądał cokolwiek śmiesznie, lecz zdecydowanie. Krzyczał coś, czego dosłyszeć nie mogłem.

I naraz rzucił się jak kula na bryczkę, chwycił aktora za kołnierz i wyrzucił go na ziemię. Przyznam, że było to widowisko zdumiewające. Lecz to, co potem zaszło, było jeszcze dziwniejsze...

Spodziewałem się że aktor, ten wielki, imponujący i dumny człowiek, zacznie bić, opierać się lub chociażby będzie chciał wyjaśniać sytuację. Nie, pobiegł naprzód ze zdumiewającą szybkością, zgubił po drodze okrągły kapelusz i... zauważyłem to wyraźnie — podciągał cały czas pantalony! Jak Boga kocham, spodziewałem się wszystkiego, nawet przelewu krwi, lecz nie takiego wyniku awantury.

Koniec tej historji nie tylko mnie zdziwił, lecz wzruszył i prawie przeraził.

Obydwoje — nauczyciel i blondynka — przeszli obok moich okien w odległości kilku kroków ode mnie. I ja prawie widziałem jakiem szczęściem błyszczały jej oczy, widziałem i słyszałem, jak całowała jego nauczycielską, potarganą bródkę i słyszałem również, jak mówiła zadyszana:

— Nie, nie, nie! Nigdy w mojem życiu nic podobnego nie może się powtórzyć! On tylko udawał mężczyznę, a ty jesteś prawdziwy, śmiały, odważny i kochający mężczyzna!

Zamknąłem wówczas okno i więcej moich sąsiadów nie obserwowałem.

FAKIRYZM HINDUSKI



Zaklinacz wężów z Benares.



W INDJACH na tłumnych i hałaśliwych bazarach, w tajemniczych gajach, na drogach, podczas fantastycznych uroczystości ludowych, w górach, słowem wszędzie pojawiają się yogowie i fakirzy. Ci ostatni, zwykle napół nadzy, brudni do najwyższego stopnia, często oblepieni nawozem krowim i obsypani popiołem, zarośnięci, wzbudzający swym wyglądem odrazę i lęk, na równi z yogami są przez ludność szanowani i czczeni za wyrzeczenie się dóbr tego świata, za dobrowolne oddanie się życiu pokutniczemu i za wiarę fanatyczną. Tak yogowie jak fakirzy żyją wyłącznie z jałmużny, której nie skąpią im mieszkańcy Indyj.

Różnica między yogami i fakirami jest taka, jak naprzykład różnica między wielkim jubilerem, sprzedającym wspaniałe brylanty, i sprzedawcą ulicznym, ofiarującym przechodniom błyszczące kolorowe szkiełka. Yogowie są szanującymi się myślicielami i pokutnikami, podczas gdy fakirzy to poprostu zręczni kuglarze, którzy wyłudzają jałmużnę od łatwowiernych i chciwie zbierają grosze.

Yogowie dochodzą do godności cudotwórców przez uciążliwe i długotrwałe ćwiczenia, przez oddalenie się od rzeczy ziemskich i, jak powiada nauka braminów, przez złączenie swej duszy z duchem wszechświata. Fakirzy natomiast uczą się tylko efektownych i popularnych sztuczek, polegających zwykle na zamydleniu ludziom oczu lub na zręcznem oszustwie, pomagając sobie w tym procederze hipnotyzmem, sugestją lub medjumizmem i osłaniając się atmosferą "cudu", unoszącą się nad zabobonną ludnością Indyj.

Prawdziwy "Yogi" posiada większą władzę "cudotwórczą" niż przeciętny fakir, ale rzadko albo wcale z niej nie korzysta, nie popularyzuje się, o ile nie zachodzi potrzeba misjonarska, ratowania zbłąkanej duszy bliźniego.

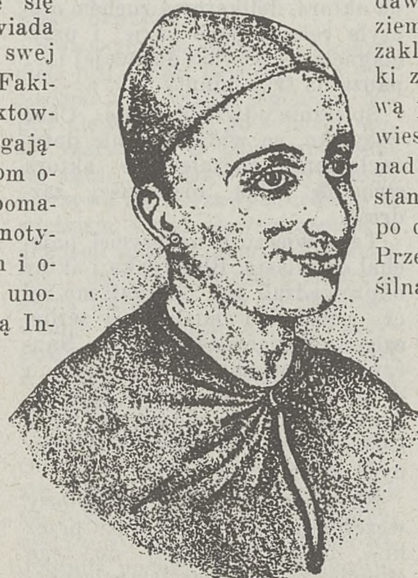
Fakirzy hinduscy posiadają przy sobie zawsze czarki gruszkowate lub woreczki na jałmużnę. Całe ich uzbrojenie fachowe składa się z pałeczki bambusowej z siedmioma sęczkami (symboliczna pałeczka kuglarza na pierwszej karcie staro-egipskiego "Tarota").



Pierwsza karta "Tartola".

Z długiego szeregu "cudów" a raczej sztuk, praktykowanych przez fakirów hinduskich na szczególną uwagę zasługują: cud drzewka Mango, cud z powrozem, pogrzebanie żywcem, materjalizacje i dematerjalizacje, jasnowidzenie, powstawanie zagadkowych instrumentów dźwiękowych, unoszenie niewidzialne przedmiotów, przechodzenie przez ogień i odporność na obrażenia zewnętrzne.

Cud drzewka Mango, według sprawozdania konsula farncuskiego Jacolliota i kilku innych podróżników i badaczy życia w Indjach, polega na tem, że fakir powoduje natychmiastowe wyrastanie rośliny z ziarna. W tym celu fakir napełnia doniczkę kleistą ziemią, pochodzącą z kopców pewnego gatunku mrówek, nasycających ziemię wydawaną przez siebie cieczą, zwilża tę ziemię i po odmruczeniu specjalnych zaklęć czy modlitw, wsadza do doniczki ziarno, wtyka swoją siedmiosęczkową pałeczkę bambusową i na niej zawiesza białą płachtę. Wyciągając ręce nad doniczką, fakir wpada powoli w stan kataleptyczny, z którego budzi się po dwóch godzinach i podnosi płachtę. Przez ten czas wyrasta w doniczce roślina wysokości około 8 cali.



Fakir hinduski, który po czterdziestu dniach spędzonych w grobie, powrócił do życia...

Tu trzeba zaznaczyć, że fakir dostaje ziarno od którejkolwiek osoby obcej. Że ziarno może być naznaczone i po wyrośnięciu roślinki, na pękniętej łupince widać zrobione znaki. Wszystko przemawia za tem że fakir dokonuje cudu. Wykluczone jest pozornie wszelkie szalbierstwo gdyż przez owe dwie godziny fakir znajduje się w stanie kataleptycznym i przez cały czas ramiona jego są

nieruchomo wyciągnięte nad doniczką.

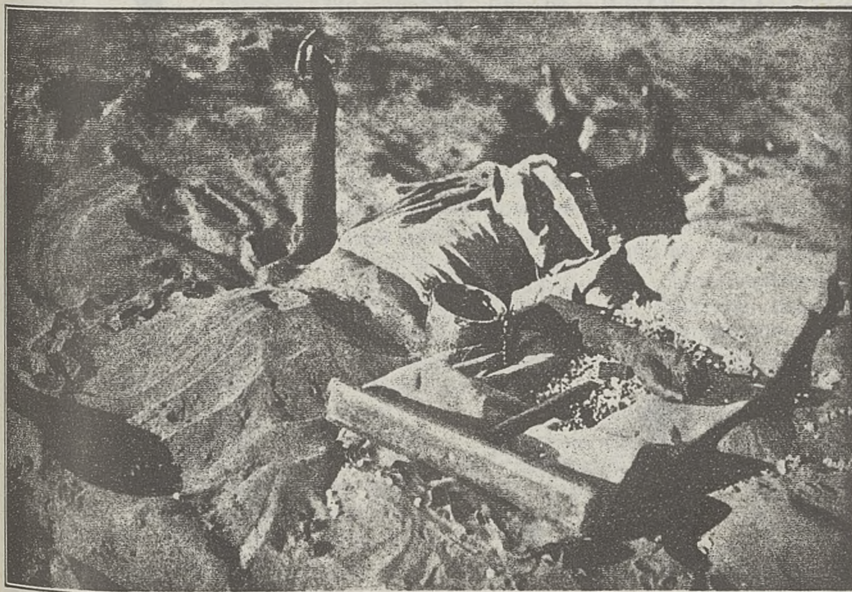
Na temat tego "cudu" poczyniono jednak zajmujące spostrzeżenia. Okazało się bowiem, że fakirzy w różnych miejscowościach Indyj posługują się rozmaitemi sposobami w swej cudotwórczości. W Benares, jak stwierdził jeden z uczonych badaczy, fakirzy zamiast drzewka Mango używają pewnego gatunku rośliny indyjskiej, tak zwanego drzewa gumowego, które da się bardzo ściśle sprasować, a po lekkiem wstrząśnieniu rozwija się, przypominając do złudzenia drzewko Mango. Otóż fakir ma w pogotowiu pewną ilość tych roślin i w odpowiedniej chwili, prawdopdobnie przed zapadnięciem w stan kataleptyczny zręcznie podsuwa je do doniczek i potem przedstawia widzom rozwinięte drzewko jako drzewko Mango.



Przygotowawcze długotrwałe ćwiczenia w gaju yogów.

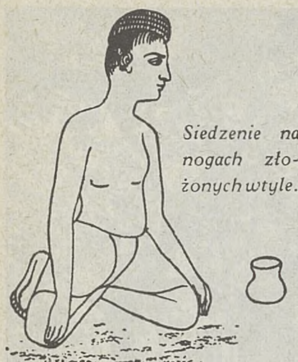
W innej znów okolicy amerykański inżynier Dittmar znalazł w piasku jedno z użytych już drzewek Mango. W okolicy tej fakirzy wszystkie swe sztuczki pokazują na placykach piaszczystych. Otóż na jakiś czas przed przedstawieniem ukrywają w piasku potrzebne do sztuk przyrządy. Znaleziony krzak mangowy był suchą gałązką drzewa mangowego. Wydrążone jej wnętrze było wypełnione małemi pasikonikami pozwiązywanemi za tylne nóżki. Fakir, nakrywając płachtą doniczkę z ziarnem, z którego na oczach widzów ma wyrosnąć w dwóch godzinach spora roślina, podsuwa nieznacznie rozwiniętą gałązkę mangową i równocześnie podsypuje troszkę proszku drażniącego owady. Pasikoniki zaczynają się wówczas niepokoić i trąc skrzydełka, sprawiają szelest, podobny do szelestu świeżych listów. Ponieważ widzowie patrzą na "cud" z pewnej odległości, mają złudzenie niezwykłej rzeczywistości.

Cudowny powróz jest nie mniej znakomitym pokazem, ale polega na jakiejś sztuczce fakirskiej, pomimo, że niektórzy badacze dopatrują się w tym "cudzie" jakiejś nadziemskiej tajemnicy. Na publicznym placu siada fakir i podrzuca wgórę zwiniętą linkę, która jakby zaczepia się gdzieś o jakiś niewidzialny hak w powietrzu i naciąga się jak struna. Po lince na rozkaz fakira wspina się wgórę chłopiec, który znika w powietrzu. Po chwili fakir go wzywa, by zeszedł, ale chłopiec nie posłucha rozkazu. Wówczas fakir srodze rozgniewany sam wchodzi po tej lince z nożem w ręku i także znika. Słychać w powietrzu krzyk i jęki i zgóry spadają poszczególne członki chłopca: okrwawione ręce, nogi, głowa i kadłub. Fakir zbiera wszystko w jakiś worek, potrząsa tym workiem, mamrocze jakieś zaklęcia i... ku zdumieniu zgromadzonej gawiedzi z worka wyskakuje żywy i nienaruszony chłopiec.



Hinduski fakir "cudotwórca" pogrzebany głową w piasku.

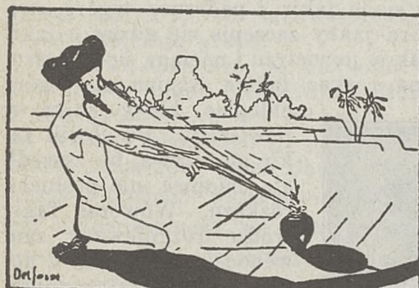
Co do tego cudu istnieją bardzo niepewne opisy, nie podające sposobu w jaki fakir to robi. Należy



Siedzenie na nogach złożonych wtyle.

przypuszczać, że fakir posługuje się po mistrzowsku przeprowadzoną sugestją tłumu.

Inny cud fakirów indyjskich, chodzenie po ogniu, bywa bardzo często pokazywany podczas ceremonij i uroczystości religijnych w Indjach. Sędzia indyjski Babu Prankumar Ghose opisuje ten "cud" jak następuje: Uczniowie świętego fakira wykopali dół średnicy czterech metrów, zgromadzili tam wielką ilość paliwa i rozniecili ogień. Kiedy żar był już tak silny, że nie można było doń przystąpić, zjawił się fakir, stał przez chwilę, patrząc na ogień i po chwili zrzucił z siebie okrywające go łachmany i nago wszedł w buchające płomienie. Zdawało się, że ciało jego zostanie pożarte przez straszny żywioł, ale fakir kilkakrotnie przeszedł przez olbrzymie ognisko i wyszedł bez najmniejszych śladów poparzenia. Potem uczniowie jego uczynili to samo. Następnie widzowie zostali zaproszeni do wykonania takiej przechadzki po ogniu. Znaleźli się wśród nich nawet Europejczycy, którzy zgodzili się i po obnażeniu swych ciał, dotknięci przez fakira, poczuli w sobie, według ich własnych słów, nieokreśloną radość i chęć wejścia w ogień. Jakoż niebawem chodzili po ogniu, chociaż jeszcze przed chwilą nie mogli znieść żaru.

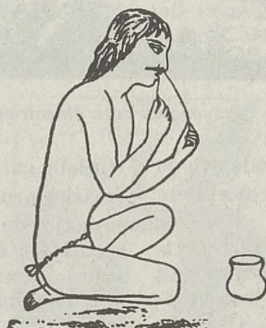


Cud drzewka Mango.

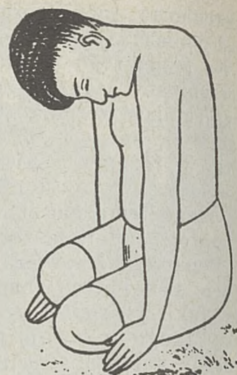
Przy badaniu tych eksperymentów na pierwszy plan występuje sprawa utraty czucia, a następnie osłabienie siły ognia. Nie są to już sztuczki szalbierskie, lecz fakty rzeczywiste, polegające na obniżeniu nieznaną nam drogą wrażliwości na ból.

Pochowanie żywcem. W Indjach zdarzały się wypadki, że fakirzy kazali się żywcem zakopać do grobu i po kilkanaście, a nawet czterdzieści dni pozostawali zakopani, poczem wykopywano ich i powracali do życia. Jeden taki wypadek był w swoim czasie bardzo głośny i zastanawiali się nad nim nietylko hinduscy, ale i europejscy uczeni. Do księcia Runjiht-Singh w Derbar zgłosił się czterdziestoletni fakir, który wyraził chęć zostania pogrzebanym żywcem, aby zmartwychstać po czterdziestu dniach. Książę zgodził się na propozycję i polecił w tym celu wybudować na płaszczyźnie między fortecą a zamkiem swoim solidny domek z jednem wejściem.

Przygotowanie fakira do pogrzebania żywcem trwało 20 dni, podczas których pił tylko mleko, stosując równocześnie środki przeczyszczające, żeby nic nie pozostało w jelitach. Po dwudziestu dniach nastąpiła ceremonja pochowania. Byli przy tem obecni wszyscy dostojnicy książęcego domu. Fakir pozalepiał sobie woskiem wszystkie otwory ciała prócz ust i ustami zaczął wciągać oddech do płuc. Po kilkakrotnem takiem odetchnięciu, padł i leżał z zamkniętemi oczami jak trup. Wszystkie objawy śmierci stały się widoczne, tylko czubek głowy był niezwykle gorący i tam tylko pulsowała krew z wielkiem natężeniem.



"Neit". Oczyszczanie nosa przez przeciąganie sznurka do jamy ustnej. Ma nadawać siłę cudotwórczą.



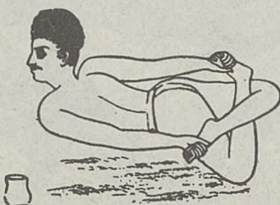
"Jalandhara". Zachowanie tej pozycji przez pół roku ma dawać yogom doskonałość i władzę czynienia cudów.

Włożono fakira do trumny, przymocowano wieko i zaniesiono trumnę do domku, w którym był już zawczasu przygotowany grób. Na trumnę położono deski, zasypano je ziemią, powierzchnię zrównano i posiano na niej ryż i pszenicę. Drzwi domku zostały zamknięte dwoma kluczami, z których jeden wziął skarbnik dworu, drugi jeden z generałów. Od czasu od czasu w obecności księcia kontrolowano stan grobu, do którego był wszelki przystęp surowo wzbroniony.

Nadszedł dzień czterdziesty. Odkopano mogiłę na której pszenica i ryż urosły już dosyć wysoko, otwarto trumnę i znaleziono fakira w stanie, w jakim był pochowany. Służący jego zabrał się natychmiast do budzenia swego pana. Upiekł placek i wyjąwszy go z pieca odrazu położył na czubek głowy fakira. Następnie zaczął rozcierać członki i otworzył woskiem pozalepiane otwory. Po chwili fakir otworzył oczy, objaw ten jednak był tylko odruchem, pozbawionym cech świadomości. Przygotowano gorącą kąpiel. Podczas dalszego rozcierania fakir powoli wracał do życia,



"Mandukimudża" Ćwiczenie fakira, polegające na ciągłem dotykaniu podniebienia językiem. Ma zachowywać stale czarny kolor włosów.



"Ustrasona" Praktykowane przez fakirów ćwiczenie.

wreszcie wstał.

Doświadczenie to jest godne głębszego zastanowienia. Fakirzy twierdzą, że taki stan niby śmierci odmładza organizm, wzmacnia nadwerężone komórki i przedłuża życie.

W jaki sposób ciało może istnieć tak długo bez dostępu powietrza? Otóż badacze tego eksperymentu przypuszczają, że pewna ilość powietrza, bardzo nieznaczna, potrzebna do oddychania, przedostawać się zawsze może przez porowatą powłokę świeżej mogiły i komunikacja ta ustala się z biegiem czasu. Poza tem przyroda dostarcza nam rozwiązania tej zagadki przez analogję snu zimowego niektórych zwierząt. Wprawdzie niektóre ssaki, obywając się przez całą zimę bez pożywienia, niepozbawione są dostępu powietrza, jednak płazy i inne wodne stworzenia, powtarzające na sobie dorocznie "cud pogrzebania żywcem", nie mają dostępu powietrza, a jednak z nastaniem wiosny budzą się do życia.

Tak czy owak, jakkolwiek liczne praktyki fakirów wzbudzają podejrzenie, a niekiedy i pewność, że polegają na oszustwie lub zręczności, jednak fakirzy i yogowie muszą osiągnąć doskonałość fizyczną do wykonywania tych eksperymentów. Osiągają ją zaś przez długotrwałe ćwiczenia, mające na celu czy to wstrzymanie oddechu na dłuższy czas, czy też układanie ciała w najniewygodniejszych, prawie niemożliwych pozycjach i trwanie w takich pozycjach. Yogowie i fakirzy ćwiczą się w 84-ech sposobach układania ciała a przy ćwiczeniach tych nieustannie powtarzają sylabę świętą "OM", co oznacza wszechmocne, nietykalne bóstwo. Praktyki te prowadzą zwykle do stanu ekstazy czyli transu. Tą drogą też osiągają jogowie moc czynienia "cudów". Co do fakirów, jeden z współczesnych uczonych hinduskich pisze: "Wszystkie cuda fakirów dadzą się sprowadzić do faktów, że operator wyszkolił wolę swoją i był w stanie zasugestjonować publiczności, przyglądającej się już z zapartym oddechem, widzenie niezwykłych zjawisk. Okoliczność, że przy wykonywaniu sztuk przez fakirów publiczność składa się z poszczególnych jednostek, które to samo myślą, wytwarza silny prąd psychozy, w znacznej mierze ułatwiający pracę fakirom".

BENEDYKT HERTZ.

KOŃ I PIES

W skwarze znojnym, słonecznym, po piasczystej drodze
Wlokła wóz ciężki chuderlawa szkapa.
Pianą cała pokryta, zmordowana srodze,
Pomimo sapa,
Resztek sił dobywa.
Tak ledwie idąc, nagle nieszczęśliwa,
Rada nierada —
Upada.
Skoczył człek z fury,
A tuż za nim pies.
— Bodajeś zczezł!
Chłop krzyczy, chwyta konia za uszy i dźwiga do góry.
Próżno wierzga niebożę,
Próżno rwie się i stęka — trudno — powstać nie może;
Więc człek po łbie się drapie i bezradny, choć w gniewie
Klnie, wymyśla; sam nie wie
Co począć.



Aż tu szkapie przed oczy
Wyskoczy
Pies.
— Ty leniu, darmozjadzie,
Ty bezczelny próżniaku! W biały dzień się to kładzie!..
Do roboty! A nuże!
Drasnę zębem po skórze —
Wnet będziesz zdrów!
A kiedy pies tak łaje,
Konisko, pełne trwogi,
Po okropnych wysiłkach nareszcie powstaje,
Wlecze się znów.



Kruczek panu do nogi
Łasi się, chwostem kiwa;
Człek po kudłach go gładzi...
— Dobra psina, poczciwa,
Chodź, pan cię na wóz wsadzi.
Wlazł Kruczek między paki, drzemie, a jeszcze mruczy:
— Kiedyż się toto bydło pracować nauczy?...

Roman Wolski

NITKA

NOWELA

MALEŃKI kawałeczek nitki, długości trzech centymetrów, błahostka, na którą nie zwraca się uwagi, a przecież... poniżej zobaczymy, ile może wyrządzić przykrości i krzywdy człowiekowi.

Pan Ksawery Liczyński, zajmujący posadę radcy w jednem z Towarzystw Kredytowych, śmiało mógł nazwać się szczęśliwym człowiekiem. Był bowiem średniego wieku, posiadał średnie wykształcenie, średnio mierny zapas rozumu, był średniego wzrostu, średniej tuszy i uchodził za średnio inteligentnego mężczyznę. A że pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny i otrzymał w spadku dosyć pokaźny mająteczek w postaci dwóch kamienic w Warszawie, więc też i posadę uzyskał dobrą i ożenił się z posażną a przystojną panną.

Wszystko byłoby dobre i przyjemne dla pana Ksawerego, gdyby nie jedna rzecz. Bo zawsze jakiś błąd, czy to większy czy maleńki znajdzie się w każdem stadle małżeńskiem, z czego optymiści są bardzo zadowoleni, dowodząc, że inaczej życie byłoby monotonne i nie miałoby żadnego uroku. Błędem tym na małżeńskim firmamencie pana Ksawerego była niezmierna zazdrość pani Aurelji, prawowitej jego małżonki.

Mąż jej bowiem, bardzo cichy i spokojny w domu, za to głośny i burzliwy w biurze, miał wielką słabość do niewiast i uchodził za kobieciarza, a choć nie posiadał zbyt wielkich grzechów na swem sumieniu, jednak koledzy burowi, a zwłaszcza podwładni mu urzędnicy, którzy go serdecznie nienawidzili, znając jego słabą stronę, wciąż urządzali mu najrozmaitsze intrygi, powodując w ten sposób sceny małżeńskie. W ten sposób mścili się za wszelkie przykrości, jakie odczuwali w biurze z jego strony.

Pani Aurelja, która co jakiś czas otrzymywała listy bezimienne, lub też jakieś tajemnicze przestrogi telefoniczne o rzekomych miłostkach i randkach pana Ksawerego, bacznie obserwowała każdy jego krok. Wrazie jakich domniemanych z jego strony uchybień, urządzała mu rozmaite sceny i histerje, których pan Ksawery bał się jak djabeł święconej wody. Sceny te bowiem były tak głośne w kamienicy, zamieszkiwanej przez państwo radcostwo, że oddźwięk tych przyjemności wraz z niezliczonemi komentarzami odbijał się w biurze, gdzie pan radca trzymał nieugięty "fason".

Pewnego razu pan Ksawery wszedłszy na ranną kawę do stołowego pokoju, w nowym eleganckim, granatowym garniturze i wspaniałym krawacie, z fantazją zawiązanym pod jedwabnym kołnierzykiem, starannie ogolony i wyświeżony, zastał swą połowicę siedzącą w wygodnym fotelu, ubraną w elegancki peniuar i pąsowe, zgrabne pantofelki, ślicznie pasujące na jej zgrabne nóżki, obciśnięte jedwabnemi, cieniutkiemi pończoszkami. Pani Aurelja właśnie nalewała z maszynki aromatyczną kawę, rozcieńczając ją wyborną śmietanką, a ujrzawszy wchodzącego męża, zapytała go ironicznie:

— Gdzież to pan dziś się wybiera, że się tak wystroił?

— Nigdzie, moja duszko. Spodziewamy się dziś w biurze na inspekcji prezesa, więc widzisz, chciałbym zawsze w jego oczach dobrze się prezentować — tłumaczył jej, spuszczając skromnie oczy, jak najniewiniejsza dziewica i całując w maleńką rączkę, o różowych, krogulczych paznokietkach, od których błyskotliwie odbijało się kilka pierścionków, połyskujących drogiemi kamieniami.

— Uhmmm... Pan prezes... Więc to dla niego trzeba się tak stroić? — zauważyła złośliwie pani Aurelja.

— Nie, kochanie. Wszak się nie stroję, a włożyłem tylko dlatego ten garnitur, że tamten trzeba odprasować. Krawat zaś zawiązałem ten, jako odpowiedni do koloru ubrania. Ogoliłem się zaś, bo przecież nie wypada inaczej pokazać się zwierzchnikowi — sumitował się dalej pan Ksawery.

— Dobrze już, dobrze, nie wysilaj się na tłumaczenia, a lepiej powiedz, o której godzinie mam się ciebie dziś na obiad spodziewać?

— Zapewne tak jak zawsze, około czwartej, a może kwadransik później, ze względu na inspekcję.

Gdy pan Ksawery wyszedł do biura, pani Aurelja, przeprowadziwszy według reguły rozmaite masaże, które miały utrwalać jej piękność, ubrawszy się w elegancki, jasny kosjum, dobrany do koloru i twarzy kapelusz i zapinając jasne, jedwabne rękawiczki, zadzwoniła na pokojówkę.

— Słucham panią! — rzekła wchodząc zgrabna panna, o zadartym nosku szatynka, podchodząc do swej pani, przeglądającej się w wielkiem lustrze, stojącem w pokoju.

— Zawołaj mi kucharkę!

I w dalszym ciągu czyniła w lustrze przegląd swej osoby.

Do pokoju wtoczyła się gruba, barczysta baba o czerwonej, mocno opasłej twarzy i dezwała się:

— Jestem, proszę pani.

— Niech Janowa dziś przygotuje obiad na pół do piątej.

— Słucham panią. A jaka dziś będzie legumina, proszę pani?

— Nie trzeba żadnej. Kompot z jabłek i kawa, to wystarczy.

Poczem pani Aurelja, wziąwszy zgrabny woreczek, poszła pieszo do miasta, nibyto po sprawunki, zobaczyć wystawę magazynu kapeluszy i sukien i kilka bławatnych sklepów. Po zlustrowaniu tych przybytków piękności, na które całe legjony mężczyzn w pocie czoła muszą pracować, pani Aurelja, spostrzegłszy na zegarku, że już pierwsza dochodzi, skierowała swe kroki do cukierni, gdzie wypiła filiżankę czekolady i schrupała parę kruchych makaroników, poczem wróciła do domu, by jeszcze przed obiadem przegrać kilka nowych utworów, których nuty nabyła.

Już czwarta wybiła na dużym zegarze w stołowym pokoju, a pani Aurelja, siedząc przy fortepianie, cała pochłonięta piękną melodją Liszta, zapomniała o bożym świecie, kiedy rozległy się ciężkie kroki i na progu bawialnego pokoju stanęła kucharka ze słowami:

— Proszę pani! Obiad gotów, pieczeń upieczona, a pana nie widać. Co mam robić?

— Niech Janowa odstawi od ognia, a jak pan przyjdzie, to proszę wstawić do piecyka i wtenczas dobrze podłożyć pod blachę...

I dalej oddała się przegrywaniu nowych nut.

Piąta biła na zegarze, gdy dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju. Pokojówka pobiegła otworzyć, a za chwilę doleciał tubalny głos pana Ksawerego:

— Gdzie pani?

— W salonie, przy fortepianie.

— Szykujcie obiad, bom głodny — rzucił pan Ksawery, zdejmując palto i zmierzając do saloniku.

— Jak się masz, Aurelciu! — wykrzyknął, podchodząc do niej i obsypując rączkę i główkę pocałunkami.

— Cóż to dziś tak długo każesz mi czekać na obiad?

— Wszak wiesz, kochanie, że dzisiaj mieliśmy prezesa.

— No, więc cóż takiego? Chyba zaprosił was gdzieś na śniadanie, gdyż w biurze tylko do trzeciej pracujecie.

— Nie, kochanie! Tylko przyszedł już po drugiej i na konferencji z nim tak czas zleciał.

— Oj, te konferencje! To też jest ciekawy problemat z takim numerem, jak ten wasz prezes.

— Ach, żebyś wiedziała, Aurelciu, aż w głowie się kręci. Dwie i pół godziny łamaliśmy sobie głowy nad kolumnami cyfr rozmaitych przedsiębiorstw mało intratnych, z których oni chcieliby ciągnąć jaknajwiększe zyski.

— O tak, szczególnie ten wasz prezes, który na prawo i lewo musi łożyć na swe "przyjaciółki". Zna go dobrze cała Warszawa!

— Ależ Aurelciu, to wieruntne kłamstwo. Powiadam ci, że porządniejszego i solidniejszego człowieka nie znajdziesz na całym świecie — przekonywał pan Ksawery małżonkę.

— Ta-ta-ta... Pogadaj do lampy. Tu wróble świegocą po wszystkich dachach, co wyprawia ten stary jeleń!

— Kochasiu, to wszystko nieprawda. Najlepszym dowodem, jak go kocha i szanuje jego żona.

— Bo głupia, jak szara gęś, która tylko siedzi na wsi i dalej swego nosa nie widzi. A on tu się rozbija w Warszawie.

— Moja kochana, co też ty mówisz? Wszakże oni zawsze razem bywają, chyba tylko w lecie, ona wcześniej trochę wyjeżdża na wieś do majątku. Lecz i on, jak tylko załatwi się z interesami, natychmiast do niej ucieka — tłumaczył pan Ksawery.

— Tak, właśnie z temi interesami! Jakie są te interesy, ja dobrze wiem — odrzekła pani Aurelja, kiwając ironicznie głową.

— Widzę, że ciebie nie przekonam, gdyż przedstawiasz sobie wszsytko tylko w czarnych kolorach.

— Właśnie. Szkoda twej wymowy, gdyż rzeczywiście wszystko we właściwych kolorach widzę.

Zjawiła się pokojówka.

— Proszę państwa, obiad podany!

Pani Aurelja powstała z krzesełka, złożyła nuty i, kierując swe kroki do stołowego pokoju, zmierzyła od stóp do głowy obok stojącego męża. Nagle zatrzymała się wpatrzona w jego dolne ubranie i nachyliwszy się, zdjęła z elegancko wyprasowanych spodni kawałek bawełnianej nitki, długości około trzech centymetrów. Obejrzawszy ją dobrze, podsunęła nitkę pod oczy pana Ksawerego z zapytaniem:

— A to co?! To ślady tego biura, do którego dziś się tak wystroiłeś! — krzyknęła cała purpurowa ze złości.

Pan Ksawery stanął, jak piorunem rażony. Naraz zbladł, potem znów poczerwieniał strasznie, przełknął parę razy ślinę i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć na swe usprawiedliwienie, gdy ona, tupnąszy swą małą nóżką, krzyknęła:

— Cóż nic nie odpowiadasz, łajdaku!

— Ależ bój się Boga, kobieto! Czego ty chcesz odemnie? — zawołał przerażony.

— Czego ja chcę? Chcę wiedzieć, gdzie byłeś i z kim spędziłeś tyle czasu, kiedy ja tu na ciebie z obiadem wyczekuję!

— Przecież mówię ci, że byłem w biurze.

— Łżesz! Łżesz i już! — wykrzyknęła ze złością.

— Więc nie wierzysz mi? To zapytaj się mych kolegów w biurze, o której godzinie, dziś przyszedłem do pracy i o której wyszedłem — usprawiedliwiał się pa nKsawery.

— Ha, ha, ha! Dobre świadectwo, niema co mówić, samych łajdaków i łgarzy! — krzyczała pani Aurelja.

Pokojówka zaś, stojąc w progu, przysłuchiwała cię całej scenie i sama nie wiedziała, czy ma czekać czy odejść, aż pan Ksawery ujrzawszy ją, odezwał się:

— Możesz odejść!

— Proszę pana, zupa już nalana, może ją zabrać do kuchni, żeby nie wystygła — zapytywała jeszcze służąca.

— Weź i rób co potrzeba, lecz daj mi pokój! — odpowiedział pan domu.

Pokojówka wyszła a pan Ksawery podszedłszy do żony, chciał ująć jej rączki mówiąc:

— Aurelciu, słowo honoru ci daję, że jestem wprost zaskoczony twem pytaniem i twem podejrzeniem...

— Zaskoczony! O tak! Zaskoczony, gdyż tobie się zdawało, że ja jestem tak naiwna i nic nie widzę!

— Ależ, kochanie! Cóż ty widzisz?

— Precz! Nie dotykaj mojej ręki, ty łajdaku je-

den! Ja wszystko widzę i wszystko wiem. Rozumiesz, ty szakalu! Ty świńtuchu jeden! — wykrzykiwała, pieniąc się ze złości.

— Moja kochana, uspokój się i nie narażaj nas na śmiech ludzi z całej kamienicy — odezwał się błagalnym głosem pan Ksawery.

— Niech wiedzą! Niech cała Warszawa wie, żeś łajdak! Żeś łotr, żeś zbrodniarz! — wrzeszczała coraz głośniej.

— Ależ co ty mówisz! Zastanów się tylko — perswadował pan Ksawery.

— Natychmiast mi powiedz, gdzie byłeś? Do której małpy takeś się wystroił? — krzyczała, tupiąc obiema nogami.

— Nic mi widać nie pozostaje, jak wyjść z domu — wykrzyknął wreszcie pan Ksawery, kierując się ku wyjściu. Pani Aurelja zaś zaczęła się drzeć na całe gardło:

— Oh! Oh! Oh! Ludzie, ratunku!

I jak długa grzmotnęła na podłogę, mając zaciśnięte pięści, sine usta i rozszerzone źrenice.

Pan Ksawery, ujrzawszy to, rzucił się do ratowania. Wpadł do sypialnego pokoju, złapał flakon wody kolońskiej i nachyliwszy się, zaczął nacierać jej skronie i głowę, a gdy i to nie przyprowadziło jej do przytomności, chwycił karafkę z wodą i jął żonę skrapiać. I to jednak nie dało wyniku. Pani Aurelja coraz większe miała źrenice lecz już nie krzyczała. Zadzwonił więc na pokojówkę i gdy ta weszła odezwał się:

— Pomóż mi położyć panią na łóżko.

Przeniósłszy żonę na łóżko, pan Ksawery jął całować i rozcierać jej ręce, pokojówka zaś przyłożyła jej do głowy chustkę, zwilżoną zimną wodą, a gdy i to nie pomogło, odezwała się:

— Proszę pana, trzeba wezwać doktora, bo dzisiaj pani ma atak większy, niż zawsze.

— Może to przejdzie. Trzeba dać pani kropli laurowych — odpowiedział pan Ksawery.

— Nie, proszę pana. To nic nie pomoże, ja się dobrze znam na tem, bo już u takich pań służyłam — zapewniała pokojówka.

— Gdzież tu jest najbliżej lekarz?

— Obok, w sąsiedniej kamienicy, proszę pana.

— Więc leć prędko i proś go, żeby natychmiast z tobą przyszedł.

Służąca pobiegła po lekarza, a pan radca, zdjąwszy buciki z nóg żony, ułożył ją dobrze na łóżku, okrył pledem i znów zaczął nacierać jej skronie wodą kolońską.

W kilkanaście minunt, gdy zadźwięczał dzwonek w przedpokoju, wybiegł otworzyć i wpuścił lekarza średnich lat o przyjemnym wyglądzie.

— Jestem doktór Z. Co się stało? — zapytał miłym głosem, rozbierając się w przedpokoju.

— Żona dostała jakiegoś ataku i już przeszło pół godziny jest nieprzytomna — odpowiedział pan Ksawery, przedstawiając się lekarzowi.

— A jaki jest wogóle stan zdrowia pańskiej żony? — zapytywał lekarz. — Czy cierpi na co?

— Nie. Ogólnie jest zdrowa, tylko bardzo nerwowa.

— A jaki był powód omdlenia? — dopytywał lekarz, wchodząc do salonu.

— Ot, wprost była między nami mała sprzeczka — tłumaczył pan Ksawery.

— To bardzo źle. Bo jak pan wie, że małżonka pańska jest zdenerwowana, nie należy jej drażnić.

— Ależ panie doktorze, nie drażniłem jej wcale, natomiast ona robiła mi wymówki, na które nie zasłużyłem i na tem tle powstała sprzeczka.

— A jakie podłoże miało nieporozumienie? — pytał lekarz.

— Wprost na tle zazdrości.

— Widzi pan, to już jest dowód, że żona pana kocha, nie trzeba dawać powodu do takich nieporozumień — zaznaczył poważnie doktór.

— Ależ panie doktorze! Nie dałem najmniejszego powodu i wprost uroiła sobie i nie mogłem jej wytłumaczyć.

— No, to trzeba było ustąpić, jak chorej kobiecie...

— Ustępowałem ciągle, lecz i to na nic się zdało.

— No, zobaczymy zaraz.

Lekarz wszedł za panem Ksawerym do sypialnego pokoju.

Po niedługich zabiegach pani Aurelja ocknęła się i przyszła do przytomności, a kiedy ujrzała nachylonego nad sobą lekarza i obok stojącego męża, zapytała:

— Co to jest? Co się stało?

— Nic ważnego, zwyczajne omdlenie z silnego zdenerwowania — odpowiedział lekarz.

— Ach! Ach! ach! — znów rozległy się głosy rozszalałej histerji.

— Niechże się pani uspokoi — prosił lekarz.

— Nie, panie! Nie! Nie! Nie! Nie mogę się uspokoić, kiedy ten łotr, nie chce mi prawdy powiedzieć! — wykrzykiwała na całe gardło.

— Ależ pani, to szkoda zdrowia. Państwo musicie te sprawy na zimno załatwić i dojść do porozumienia — tłumaczył zafrasowany lekarz.

— Nie, nie, nie, panie doktorze! Nie mogę pozwolić, żeby mnie oszukiwał! — wrzeszczała coraz głośniej.

— Niechże pan jako przeprosi czy też w inny sposób uspokoi żonę, gdyż inaczej będę zmuszony zrobić pani zastrzyk, a to ogromnie osłabia organizm — zwrócił się lekarz do pana Ksawerego.

— Aurelciu, kochanie, już wszystko ci powiem, co tylko chcesz, tylko uspokój się i nie choruj! — odezwał się pan Ksawery, składając błagalnie ręce i podchodząc do łóżka.

— No to mów, mów prędzej! — krzyknęła podnosząc się cokolwiek.

— Może ja przeszkadzam — wtrącił lekarz, chcąc wyjść z pokoju.

— Nie! Panie doktorze, niech ten łajdak wszystko opowie przy panu!

— A więc tak... Tak jakeś mówiła — odezwał się pan Ksawery, pokornie spuszczając oczy.

— Byłeś u tej szwaczki?! — wykrzyknęła gwałtownie.

— Tak! — powtórzył z pokorą głosem skazańca.

— Ale u której? U Malwiny czy u Anieli? — zapytywała. — No, gadaj! Zapewne u Malwiny!

— Tak! — jak echo odpowiedział zgnębiony pan Ksawery.

— Już dawno wiedziałam o waszym stosunku, lecz nie miałam dowodów, a teraz, jakeś się sam przyznał, mam już dosyć tego wszystkiego. Natychmiast wstaję, zrywam z tobą na zawsze i wyjeżdżam do

Krakowa do matki — wykrzykiwała pani Aurelja zrywając się z łóżka.

— Ależ Aurelciu! Uspokój się, na litość Boga, nie doprowadzaj do takich ostateczności — błagał pan Ksawery.

— Proszę pani, niechże pani uspokoi się, odpocznie trochę, a potem można wszystko rozważyć na zimno, bo szkoda zdrowie niszczyć — perswadował lekarz.

— Nie, panie doktorze! Uspokoję się wówczas, gdy opuszczę ten dom i nie będę widziała tego szakala!

— Aurelciu, Bóg mi świadkiem, że nie jestem nic winien — sumitował się pan Ksawery.

— Ja panią bardzo proszę nie wstawać i poleżeć parę godzin, a potem, rozważywszy wszystko, postąpi pani tak, jak jej rozum podyktuje — perswadował dalej lekarz.

— Dziękuję obu panom za rady i proszę pozostawić mnie w spokoju i wyjść sobie, gdyż muszę się ubierać — krzyknęła, zrywając się złóżka.

— Ależ kochanie, zastanów, się, zlituj się nade mną, przysięgam ci, że nie jestem winien — wołał zrozpaczony mąż.

— Won! Won! Ty łajdaku, paskudniku! Zbóju jeden! O niczem nie chcę słyszeć i natychmiast wynoś się stąd! — wykrzykiwała, zatkawszy sobie uszy, żeby nie słyszeć mężowskich próśb i usprawiedliwiania.

Doktór Z., widząc tak upartą i niesforną pacjentkę, której nie udało mu się uspokoić, i nie chcąc być świadkiem przykrych scen małżeńskich, pośpiesznie wyszedł z pokoju, a za nim podążył i pan Ksawery. W przedpokoju, gdzie lekarz ubierał się w palto, pan Ksawery, wręczając mu honorarjum, odezwał się:

— Panie doktorze, bardzo mi przykro, lecz całą tę scenę zawdzięczam panu doktorowi.

— Jakto? zapytał lekarz.

— Bo kazał mi pan przyznać się do niepopełnionej winy.

— Co?! Nic nie rozumiem... powtórzył doktór z ciekawością spoglądając na pana Ksawerego.

— Daję panu słowo honoru, że u żadnej szwaczki noga moja nawet nie postała.

— No to może u innej jakiej osoby? zapytał lekarz, uśmiechając się zlekka.

— Nie, panie doktorze, jako żywo, nie. Nigdzie dzisiaj nie wstępowałem, przyszedłem do domu prosto z biura — sumitował się pan Ksawery, bezradnie opuściwszy głowę.

— Więc dlaczegóż pan, do djabła starego, przyznał się żonie, żeś był u jakiejś Malwiny!

— A to widzi pan doktór, skądciś mi się wziął na spodniach kawałek nitki, którą dostrzegła żona, gdym wrócił z biura, no i zrobiła mi taką scenę, żądajac, żebym jej powiedział u której ze szwaczek byłem. Przyczyną zaś takiego podejrzenia były jakieś anonimy, które dostaje od czasu do czasu przez pocztę lub telefonicznie.

— Dlaczegóż pan mi tego wszystkiego nie powiedział? Sądziłem, że rzeczywiście jakaś wina ciąży na panu i że przyznaniem się złagodzi pan wybuch żony i nastąpi między wami zgoda...

— I cóż teraz robić, panie doktorze? Ona jest strasznie uparta, a ja ją przecież kocham całem sercem...

— Niech pan czeka. Ponieważ tak się stało, pójdę jeszcze do pańskiej żony i spróbuję mój błąd naprawić — rzekł lekarz, zdejmując palto i wieszając je ponownie.

Zapukał do drzwi sypialni i wszedł. Pan Ksawery zaś gorączkowo krążył po bawialnym pokoju, usiłując wsłuchiwać się w rozmowę doktora z żoną, lecz nie mógł dosłyszeć przez zamknięte drzwi, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazał się lekarz, czerwony jak burak.

— No, cóż, panie doktorze? — zapytał śpiesznie pan Ksawery.

— Na nic, szanowny panie, zdała się moja cała wymowa i przekonywania. Doszło do tego, że małżonka pańska obdarzyła mnie mianem takiego samego łajdaka jak pana i kazała się wynosić...

— I cóż teraz robić, panie doktorze? zapytał pan Ksawery.

— Nic. Na takie uparte niewiasty tylko jakiś wstrząs może wpłynąć. Tymczasem niech jedzie do matki, może ta jest rozsądną kobietą i potrafi ją ułagodzić, a później cała sprawa się wyjaśni. Przebojem nic robić nie trzeba, żeby jej gorzej nie drażnić — dowodził lekarz.

Usłuchawszy też rady doktora, pan Ksawery usunął się do swego gabinetu, po którym parę godzin chodził, potem kazał podać sobie gazetę i herbatę, a gdy dochodziła jedenasta wieczór, kazał posłać sobie na kanapie w gabinecie i znużony, zrozpaczony i wściekły, zasnął ciężkim snem nerwowym.

Nazajutrz rano, gdy miał wcześniej w sprawach służbowych iść do biura, kazał sobie podać śniadanie do gabinetu i przed dziewiątą wyszedł.

Pani Aurelja tego dnia już o godzinie ósmej rano była na nogach, co oczywiście bardzo rzadko jej się zdarzało. Pokojówka i kucharka też od samego rana były wyjątkowo czynne. Jedna wyjmowała suknie pani z szafy i pakowała do dużej walizy, kucharka zaś, która dostała dyspozycje, że nie będzie dziś obiadu gotować, pomagała pokojówce i wzruszała ramionami, ciągle mówiąc do siebie:

— Co się tu wyrabia, co się tu dzieje!

Kiedy już dwa kufry i dwie walizy zostały wypakowane bielizną i ubraniem pani Aurelji, wówczas kazała pokojówce zawołać dozorcę, aby się z nim umówić o odstawienie rzeczy na dworzec główny do pociągu, odchodzącego do Krakowa popołudniu.

Gdy pokojówka weszła do mieszkania dozorcy, z którego żoną była w dobrych stosunkach zawołała:

— Dzień dobry pani Dominikowej! Mam dla was dzisiaj niezły zarobek!

— A cóż to takiego? — zapytała tęga kobieta o miłej i sympatycznej twarzy.

— A to, żeby pan Dominik rzeczy naszej pani odwiózł na dworzec.

— Cóż to, jedzie na wieś? Do majątku? — zapytała dozorczyni.

— Nie, wyjeżdża ze wszystkiemi rzeczami! Rozchodzą się zupełnie z sobą — odrzekła z tajemniczą miną pokojówka.

— Eee! Co panna Andzia mówi? — wykrzyknęła Dominikowa.

— Serjo! I wiecie państwo o co? O kawałek nitki na portkach jego! — odpowiedziała Andzia, śmiejąc się na całe gardło.

— Jakto? Co panna Andzia mówi? — wołała Dominikowa. O kawałek nitki?!

Dominik zaś, honorowany w kamienicy, jako "pan dozorca", który akurat w kąciku zajadał kawałek wędzonki, przegryzając kromką chleba, odezwał się:

— Dobrze mu tak! Kiedy na ten przykład nie może dać rady swojej babie...

Tu Andzia szczegółowo opowiedziała o wszystkiem, jako, że była świadkiem, jak pani zdjęła nitkę z portek.

— Mogłabym nawet przysięgać w sądzie — dodała w zachwycie.

— Ola Boga! Toć ja najlepiej wiem o wszystkiem! — wykrzyknęła Domnikowa.

— W jaki sposób? — zapytała Andzia.

— Ot, co tu gadać, polecę do pani radczyni na górę, to wszystko jej wytłumaczę — zawołała Dominikowa, zdejmując fartuch.

— Et, nie bądź głupia i nie wtrącaj się w nieswoje rzeczy — odezwał się Dominik, zaciągając się dymem papierosa.

— Ach, ty chciwcze jeden, chciałbyś z każdej krzywdy ludzkiej korzystać! — zgromiła go małżonka.

— Ot, kużden człowiek na świecie żyć potrzebuje. A do takich burżujów, to najlepiej nie wtrącać się wcale — odpowiedział, przeciągając się.

— Dużo ty wiesz? Chyba tyle, co masz pod nosem — krzyknęła dozorczyni i wybiegła ze stóżówki, a za nią i Andzia pobiegła na górę.

Gdy Dominikowa weszła do sypialnego pokoju i zastała tam panią Aurelję, pakującą swój podróżny woreczek, podeszła do niej i ucałowawszy w obie ręce, rzekła:

— Proszę łaski wielmożnej pani! Ale dowiedziałam się od Andzi o wszystkiem i czuję, że mi sumienie nakazuje powiedzieć pani całą prawdę.

— Co takiego? Co wy mówicie? — wykrzyknęła pani Aurelja, wybałuszając oczy na Dominikową.

— A to, wielmożna pani, że niby pan radca wczoraj był u mnie.

— Co takiego? Kobieto, co wy wygadujecie?

— A tak, sumiennie mówię, boć nie mam potrzeby kłamać przed panią — odpowiedziała, ponownie całując ją w rękę.

— Więc mój mąż chodził do was? — zapytywała pani Aurelja z oburzeniem.

— No jużcić, jak miał interes, to czasem zaszedł.

— Jani miał wczoraj interes do was? — indagowała niespokojnie pani radczyni.

— A bo to niby wedle biurka — objaśniła Dominikowa.

— Jakiego biurka? Co takiego?

— A no, niby mój odnosił do stolarza, to pan radca prosił, żeby Dominik z powrotem przyniósł.

— No dobrze, ale cóż z tego?

— A no niby, jak pan radca do nas przyszedł, to ja akurat obszywałam kołdrę tem skubentowi, co u nas na czwartaku mieszka i musiała nitka upaść na spodnie panu radcy, bom sama ją widziałam, jak od nas wychodził, nawet chciałam za nim wybiec do bramy, ale akurat mój Michałek upadł ze stołka i zaczął płakać, to nim go uspokoiłam, pan radca już wyszedł.

— Co wy mówicie, Dominikowo? Czy to prawda? — podskoczyła do niej pani Aurelja. — Wielmożna pani, czyżbym śmiała kłamać?

— No, dobrze. Ale co was naprowadziło na myśl powiedzenia mi o tem wszystkiem? — indagowała pani Aurelja.

— A no, proszę pani, jakem się dowiedziała od Andzi o wszystkiem, takiem zaraz tu przyleciała pani wytłumaczyć. Chłop nie chciał mnie puścić. Krzyczał, że przezemnie zarobek straci, alem ja tu przyszła, żeby prawdę rzeknąć — recytowała poczciwa kobiecina.

Pani Aurelja, wpatrując się w nią, kiedy już wszystkiego wysłuchała, stała jeszcze parę minut, a potem podszedłszy do Dominikowej, rzekła:

— Bóg wam zapłać, dobra kobieto. Spełniliście szlachetny uczynek, za co wam serdecznie dziękuję. A tu macie dwadzieścia złotych, żeby wasz mąż nie robił wam przykrości, że przez was nie zarobił.

Poczem zawołała Andzię i kucharkę i kazała pokojówce, żeby rozpakowała walizy i kufry i poukładała rzeczy w szafach, a drugiej, żeby natychmiast brała się do gotowania obiadu, który ma być wyjątkowo smaczny i obfity.

Kiedy o pół do czwartej rozległ się w przedpokoju dzwonek, pani Aurelja sama wybiegła otworzyć i podskoczywszy do wchodzącego męża, złapała go za szyję ze słowami:

— Kochany Ksawciu! Wiem wszystko! Wiem! Nie gniewaj się na mnie za te awantury i daruj Mi!

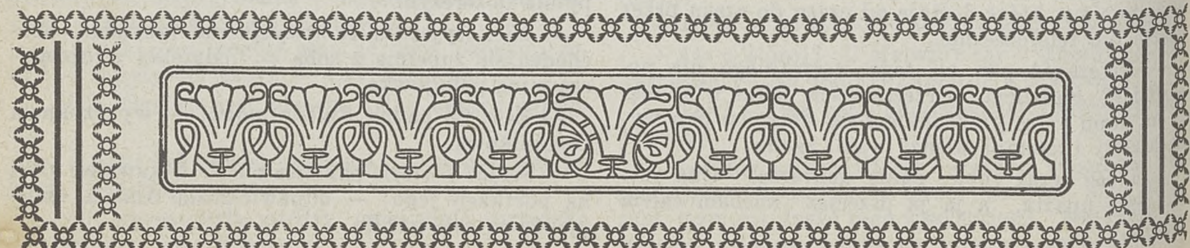
— Co znowu... co? — wykrzyknął, znów przelękniony, że powtórzy się atak histerji.

— Wiem, skąd wzięła się u ciebie nitka na spodniach, bo mi wszystko wytłumaczyła Dominikowa — i opowiedziała o wszystkiem, a gdy skończyła, pan Ksawery kiwając głową odezwał się:

— To dobrze, że tym razem jesteś przekonana, lecz kto zaręczy, że w przyszłości nie powtórzy się taka sama scena, a może nawet jeszcze gorsza i przykrzejsza?

— Nie, Ksawciu! Nie! Przysięgam ci, że to mnie przekonało nazawsze — odpowiedziała, tuląc się do jego piersi i całując go serdecznie.

I od tego dnia zapanowała między niemi zgoda i harmonja, lecz na jak długo, tego nikt nie odgadnie.



HUMOR
ŚMIECH—SATYRA

DOBRY OJCIEC

— Wszystko stracone... Powiedziałem twemu ojcu, że bez ciebie żyć nie mogę.

— A cóż ojciec na to?

— Przyrzekł pokryć koszty pogrzebu...

CIEKAWA

— Panie doktorze, mój mąż mówi przez sen.

— Niestety, na to niema lekarstwa...

— Nie chodzi o to. Ja bym chciała, żeby on mówił trochę wyraźniej.

KRÓTKA PAMIĘĆ

— Źle pan wygląda... Spał pan tej nocy?

— Nie — odpowiada zagadnięty. — Wczoraj, gdy miałem już położyć się do łóżka patrzę — mam węzełek na chusteczce. Przez całą noc myślałem o tem, co ten węzełek ma oznaczać. I dopiero o piątej rano przypomniałem sobie, a potem już nie mogłem zasnąć...

— No, i co to było?

— Ten węzełek miał znaczyć, żebym się wcześnie spać położył.

NIE POSKUTKOWAŁO

Gapski jest chory. Lekarz przepisał mu pięć pijawek. Na drugi dzień doktór przychodzi i pyta o zdrowie Gapskiego. Na to zapłakana żona odpowiada:

— Gorzej!

— Dlaczego? Pijawki nie pomogły?

— Gdzie tam! Trzy połknął, a dwóch to już nawet przypiekanych nie chciał zjeść.

LOGICZNE PYTANIE

Matka małej Ewuni hoduje kury. Jedną z kur, która przefrunęła płot i uciekła do lasu, pożarł lis.

— Widzisz, Ewciu, — tłumaczy matka — lis zjadł kurę, bo była niegrzeczna.

— A jakby była grzeczna — powiada po chwilowym namyśle Ewunia — mybyśmy ją zjedli sami? Czy tak, mamusiu?

BEZ KONTROLI

— Mogę zostawić mego buchaltera z całym spokojem bez kontroli. I tak wiem doskonale co będzie robił.

— No, cóż będzie robić dziś popołudniu, twojem zdaniem?

— Nic nie będzie robił, oczywiście.

NATURALNIE.

— Czy pan uważa, że długie narzeczeństwo jest dobre?

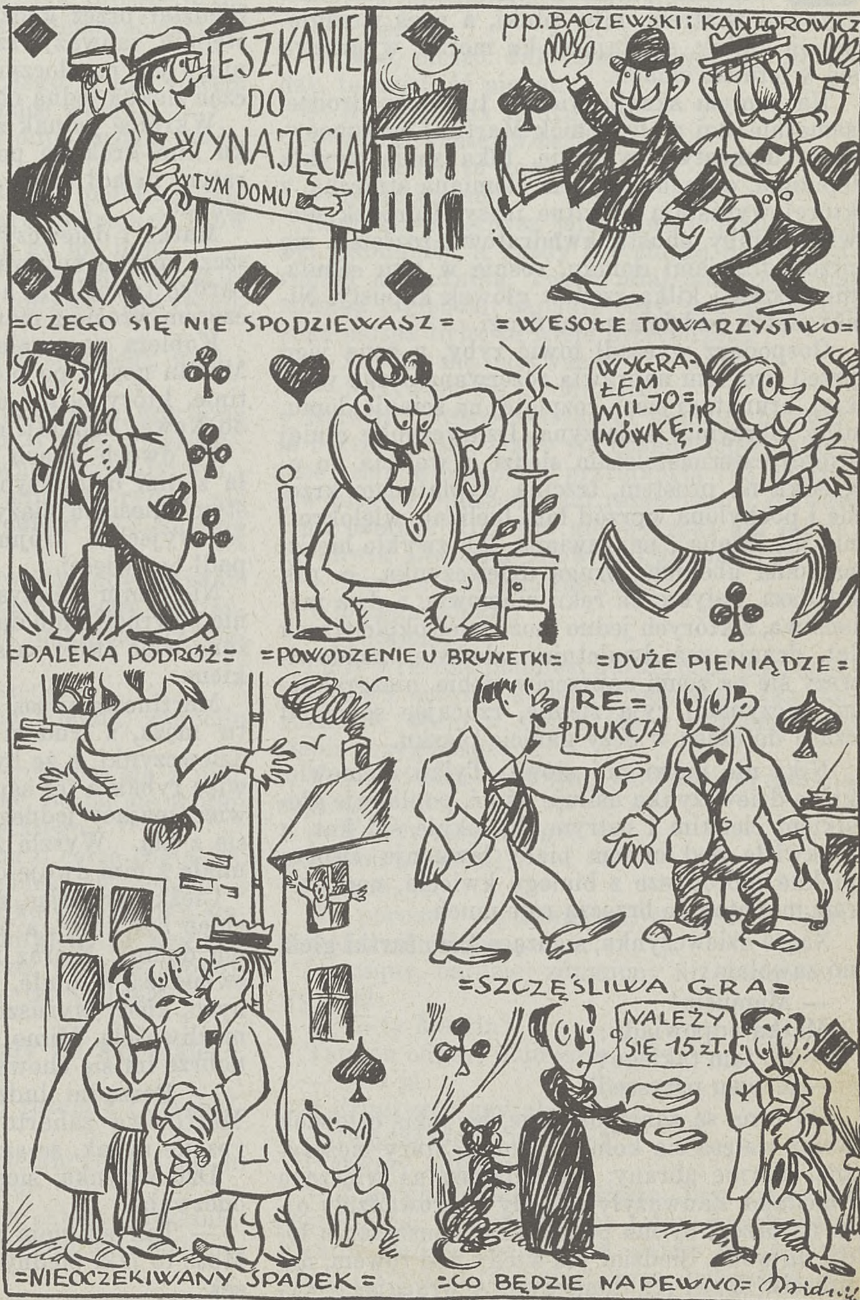
— Naturalnie. Im dłużej jest mężczyzna narzeczonym, tem krócej jest żonatym.

NIEPOPŁATNY GARB

— Biedaku, czy zawsze byłeś niewidomym?

— Nie, pani. W zeszłym tygodniu byłem garbaty, ale z tem mało co mogłem zarobić!

JAK SIĘ SPEŁNIAJĄ WRÓŻBY KARCIANE



Guy de Maupassant

POWRÓT

NOWELA (Tłumaczenie z Francuskiego)

MORZE uderza o brzegi krótką, jednostajną falą. Białe chmurki chyżo mkną po wielkim błękicie niebios, unoszone szybkim wiatrem, niby ptaki, a wieś w zagłębieniu doliny, spadającej ku morzu, wygrzewa się w letniem słońcu.

Na samym skraju wioski, tuż przy drodze, samotnie stoi mały domek Martin-Levesqueów. Małe domostwo rybackie, taka sobie zwykła lepianka, o dachu krytym słomianą strzechą, z której wyrastają błękitne irysy. Ogródek niewielki, niby chusta kwadratowa rozściela się przed drzwiami domku, rośnie w nim cebula, pietruszka i kilka rzędów główek kapusty. Niski płotek oddziela go od drogi.

Gospodarz wyszedł łowić ryby, a żona jego przed progiem naprawia rozerwane oczka wielkiej, brunatnej sieci, rozpiętej na ścianie domu, niby olbrzymia pajęczyna. Dziewczynka mniej więcej czternastoletnia siedzi u wejścia do ogródka na prostem, trzciną wyplatanem krześle i pochylona wprzód łata bieliznę, wielokrotnie już łataną i naprawianą, jak zwykle bielizna ludzi ubogich. Druga dziewczynka, o rok młodsza, kołysze na ręku niemowlę, a dwa maleństwa, z których jedno może mieć około trzech lat, drugie zaś dwuletnie zaledwie, usadowiwszy się na ziemi naprzeciw siebie, niezgrabnemi rączynami ryją ziemię, rzucając sobie od czasu do czasu w oczy garście piasku.

Nikt nie mówi ani słowa. Tylko niemowlę, które dziewczynka usiłuje uśpić, popłakuje głosikiem cienkim i ostrym. Na oknie śpi kot, a rozkwitłe pod oknem białe lewkonje tworzą piękne pióropusze z białego kwiecia, nad którem monotonnie brzęczą roje much.

Nagle dziewczynka, siedząca koło furtki głośno zawołała:

— Mamusiu!

Matka odpowiada:

— Co tam takiego?

— Znowu przyszedł.

Od rana są zaniepokojone, bo jakiś człowiek wciąż wałęsa się koło ich domu: stary mężczyzna, marnie ubrany, wyglądający na włóczęgę i biedaka. Zauważyły go, gdy odprowadzały ojca na brzeg, by mu pomóc przy spuszczaniu łodzi na wodą. Siedział już wtedy nad rowem, naprzeciw drzwi ich domostwa. A wracając z wybrzeża znów go tu spotkały. Wciąż jeszcze siedział i patrzył wciąż na ich dom.

Wyglądał na chorego i bardzo zbiedzonego. Siedział przez godzinę prawie bez ruchu; następnie, zauważywszy, że dziewczęta patrzą na niego jak na złoczyńcę, wstał i odszedł, powłócząc zlekka jedną nogą.

Wkrótce jednak zobaczyły, że powraca, idąc ku nim krokiem powolnym i znużonym. Tym razem usiadł nieco dalej, jakby je chciał podglądać.

Matka i dziewczynki były przerażone. Zwłaszcza matka uczuwała lęk, gdyż była z natury bardzo trwożliwa, a mąż jej miał dopiero wieczorem wrócić z morza.

Kobieta nazywała się Levesque. Nazwisko Martin nosiła po pierwszym swym mężu, Martinie, który będąc majtkiem, co lato wyruszał do Nowej Zelandji na połów stokfisza.

Po dwóch latach pożycia małżeńskiego miała z nim dziewczynkę, a była właśnie w szóstym miesiącu ciąży, gdy statek, którym mąż jej wyjechał, trójmasztowiec z Dieppe, przepadł bez wieści.

Nic o nim nie słyszano. Ani jeden z majtków nie powrócił i nie dał o sobie znaku życia, uważano więc okręt za stracony z ludźmi i wszystkiem.

Martinowa przez dziesięć lat czekała powrotu męża, z trudem wychowując swoje dwie dziewczynki, a że była kobietą dobrą i dzielną, więc rybak z tej samej wioski, Levesque, wdowiec, mający jednego synka, postanowił ożenić się z nią. Wyszła za niego i po trzech latach miała z nim dwoje dzieci.

Ciężko pracując, z trudem zarabiali na życie; chleb był drogi, a mięso prawie że nieznane w ich domu. Nieraz zapożyczali się u piekarza, zwłaszcza w zimie, podczas wichrów gwałtownych, kiedy wyruszenie na połów ryb było niemożliwością. Mimo to dzieci ich były zdrowe i dobrze im się chowały. We wsi mawiano:

— Porządni ludzie są ci Martin-Levesque. Martinowa zahartowana co się zowie, a Levesque rybak, że szukać drugiego jak on.

Dziewczynka, siedząca przy furtce znów się odezwała:

— Tak się nam przygląda, jakby nas znał. Może to jaki biedny z której z okolicznych wiosek...

Ale matka znała się na wyglądzie biednych okolicznych. Nie, to nie jest nikt z okolicy.

Gdy tak siedział przez długą chwilę, nieruchomy jak kamień, uporczywie wpatrując się w domek Martin-Levesque'ów, kobieta wpadła w złość i pod wpływem strachu zdobywając się na odwagę, chwyciła łopatę i wybiegła za furtkę ogrodu.

— Co wy tu robicie? — krzyknęła do włóczęgi.

Ochrypłym głosem odpowiedział:

— Łykam świeże powietrze. Czyż wam to przeszkadza?

Odparła:

— A dlaczego siedliście tak prosto przed moim domem, jakbyście nas szpiegować chcieli?

Odciął krótko:

— Nie robię nikomu nic złego. A nad rowem przydrożnym każdemu siedzieć wolno.

Nie znajdując już na to odpowiedzi, kobieta powróciła do domu.

Dzień wlókł się powoli. Około południa nieznajomy zniknął, ale po paru godzinach znów powrócił. Wieczorem jednak go nie było.

Levesque wrócił, gdy już się ściemniało. Kiedy mu opowiedziano całą sprawę, zawyrokował:

— To musi być ktoś na przeszpiegi, albo i złoczyńca.

I poszedł spać bez cienia niepokoju, gdy żona bezustannie myśleć musiała o tym włóczędze, który się jej tak jakoś dziwnie przypatrywał.

Nazajutrz wiatr był tak silny, że rybak, nie mogąc wyruszyć na połów, zabrał się z żoną do naprawiania sieci.

Dochodziła godzina dziewiąta, gdy najstarsza dziewczynka, z pierwszego jeszcze małżeństwa, wracając z chlebem od piekarza, przybiegła przerażona, wołając:

— Mamusiu, znowu przyszedł!

Matka dziwnie wzruszona i blada, zwróciła się do męża:

— Levesque, wyjdź-że i rozmów się z nim, żeby nas przestał szpiegować, bo mi się w głowie kręci już od tego wszystkiego.

Levesque, rosły mężczyzna o cerze ceglastej, brodzie suchej i rudej, niebieskich oczach z czarnym punkcikiem w środku, szyi tęgiej, stale owiniętej wełnianym szalikiem ze względu na wichry i deszcze na morzu, wyszedł spokojnie z mieszkania i zbliżył się do włóczęgi.

I zaczęli rozmawiać.

Matka i dzieci przyglądały im się zdaleka, drżące i strwożone.

Nagle nieznajomy wstał i razem z Levesqu'em szedł ku domowi.

Martinowa przerażona, chciała cofnąć się do izby. Mąż jej zaś rzekł głośno:

— Matka, daj mu kawałek chleba i szklankę jabłecznika. Od przedwczoraj nic w ustach nie miał.

I weszli obaj do mieszkania, a za nimi strwożona kobieta i dzieci. Włóczęga usiadł i zaczął jeść z głową zwieszoną, zmieszany pod tylu spojrzeniami.

Matka, stojąc naprzeciw uważnie mu się przypatrywała; dwie starsze dziewczyny, córki Martina, wsparte o drzwi, jedna z niemowlęciem na ręku, wlepiły w niego ciekawe spojrzenia, a dwoje maleństw, grzebiących w popiele koło komina, przestało się bawić czarnym kotem, jakgdyby również chciały się przyglądać obcemu człowiekowi.

Levesque, usiadłszy obok niego na krześle, zapytał:

— Z daleka przychodzicie?

— O, z bardzo daleka, aż z Marsylji.

— Pieszo?

— Ano, pieszo. Jak człowiek nie ma pieniędzy, to musi iść pieszo.

— A dokąd tak wędrujecie?

— Ta do waszej wioski.

— A znacie tu kogo?

— Może i znam...

Zamilkli. Przybysz jadł powoli, pomimo, że był zgłodniały, a każdy kęs chleba popijał odrobiną jabłecznika. Twarz miał pomarszczoną, steraną i głęboko zapadłe oczy, z których poznać można było, że wiele przecierpiał.

— A jakże się nazywacie?

—Nazywam się... Martin.

Dziwny dreszcz wstrząsnął kobietą. Postąpiła o krok bliżej, jakby się chciała lepiej przyjrzeć temu włóczędze i przystanęła tuż naprzeciw niego z opuszczonemi ramionami i rozwartemi ustami. Nikt już nie wyrzekł ani słowa. Po chwili Levesque znów podjął rozmowę:

— Czy wy jesteście tutejszy?

Włóczęga odparł:

— Tutejszy.

I gdy wreszcie podniósł głowę, oczy jego spotkały się z oczyma kobiety i pozostały tak nieruchome, wbite w siebie, jakby wzajemnie do siebie przygwożdżone.

Nagle głosem drżącym i zmienionym kobieta spytała:

— Toś ty mój chłop?!

Powoli wycedził:

— Ano, ja...

Nie poruszył się z miejsca, w dalszym ciągu powoli żując chleb.

Levesque, bardziej zdumiony niż wzruszony, wyjąkał:

— To ty Martin?

Tamten odparł poprostu:

— Ano ja.

A drugi mąż spytał:

— Skądże się tu wziąłeś?

Pierwszy odpowiedział:

— Z afrykańskiego wybrzeża. Tam się rozbił nasz statek. Trzech się nas tylko wyratowało, Picard, Vatinel, no i ja. A potem nas zabrali dzicy i trzymali u siebie przez dwanaście lat. Picard i Vatinel pomarli, a mnie wziął z sobą

jeden podróżnik angielski i przywiózł do Marsylji. Stamtąd tu się dostałem.

Martinowa zaczęła płakać, ukrywszy twarz w dłoniach.

Lvesque wyrzekł:

— Co teraz poczniemy?

Martin spytał:

— Toś ty jej chłop?

Levesque odrzekł:

— Ano, ja.

Spojrzeli po sobie i zamilkli.

Wtedy Martin, przyjrzawszy się dzieciom, otaczającym go półkolem, ruchem głowy wskazał dwie najstarsze dziewczynki.

— To moje?

Levesque potwierdził:

— Twoje.

Nie ruszył się z miejsca, nie uściskał ich, zauważywszy tylko:

— Boże święty, jak urosły!

Levesque powtórzył:

— Co teraz poczniemy?

Martin zakłopotany też nie wiedział co począć. Wreszcie oświadczył:

— Ja tak zrobię, jak ty będziesz chciał. Nie chcę twojej krzywdy. Ale z domem to ciężka sprawa. Ja mam dwoje dzieci, ty troje, no to każdy zostanie przy swoich. Matka — ba, niewiadomo, czy twoja, czy moja? Ja się zgodzę na to, co ty powiesz. Ale dom to już mój, bo mi go zostawił ojciec, tu się urodziłem i są na to papiery u notarjusza.

Martinowa wciąż płakała, szlochając po cichu, z twarzą ukrytą w błękitnem płócienku fartucha. Dwie starsze dziewczynki przybliżyły się powoli i z niepokojem przyglądały się ojcu.

Skończył jeść i teraz on kolejno spytał:

— Co poczniemy?

Levesque'owi strzeliła myśl do głowy:

— Chodźmy do księdza, niech on rozsądzi.

Martin wstał, a kiedy zbliżył się do żony, kobieta rzuciła mu się nagle na szyję, łkając:

— Mój mąż! Martin, mój biedny Martin! Toś powrócił!

Objęła go ramionami pod wpływem dawnych wspomnień, porwana uniesieniem, wskrzeszającem pamięć młodych lat i pierwszych uścisków miłosnych.

Martin, równie wzruszony, pocałował ją w czepiec. Dwoje dzieci pod kominem, na widok płaczącej matki zaczęło wyć w niebogłosy, a niemowlę na ręku młodszej Martinianki wtórowało przeraźliwym głosikiem, niby fałszywą piszczałką.

Levesque czekał, stojąc.

—Ano, chodźmy — rzekł — trzeba przecie załatwić tę sprawę.

Martin puścił żonę i spojrzał na swoje dwie córki. Matka zaś zwróciła się do nich, mówiąc:

— Pocałujcie przecie swego ojca!

Zbliżyły się obydwie równocześnie, ze suchemi oczyma, trochę zalęknione i jakby zawstydzone. A on chłopskim zwyczajem cmoknął je głośno w policzki. Widząc zbliżającego się nieznajomego człowieka, niemowlę na ręku zaczęło tak wrzeszczeć, że omal nie dostało konwulsyj.

Obydwaj mężczyźni wyszli razem z domu.

Gdy przechodzili koło karczmy, Levesque zapytał:

—A gdyby tak łyknąć po kieliszeczku?

— Ja tam nie od tego — oświadczył Martin.

Weszli tedy i zasiedli przy stole w izbie jeszcze pustej.

— Hej, Chicot, a dawajcie dwa kieliszki tej mocniejszej! Wrócił Martin, wiecie, ten pierwszy chłop mojej starej, no, pamiętacie przecie, ten co to zginął na morzu...

Po chwili szynkarz, czerwony, brzuchaty i opasły zbliżył się, niosąc w jednej ręce trzy kieliszki, w drugiej butelkę i z miną całkiem spokojną zapytał:

— Patrzcie no! Martin, to ty?

— Ano, ja!...

MARJA KONOPNICKA

Kochasz Ty Dom?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wskroś srebrnej mgły
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumem swych potężnych drzew
I duchów lęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co pośród burz w zwątpienia dnie,
Gdy duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

ZEGAR ASTRONOMICZNY W STRASBURGU

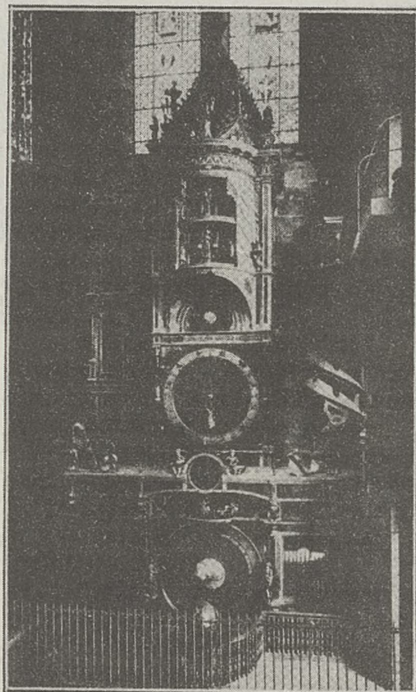
WIELKIE zegary elektryczne na nowoczesnych wieżach ratuszów i innych gmachów wielkich miast świata daleko odbiegły od tradycyj średniowiecza, kiedy astronomowie budowali dla ozdoby kościołów precyzyjne, szalenie skomplikowane zegary, które przez wieki całe budziły podziw i zachwyt.

Strasburg, Wenecja, Monachjum i kilka innych miast Europy, których dawną chwałę zachowała historja, posiadają dotychczas te wspaniałe arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej. Szczególnie Strasburg odegrał wybitną rolę w historji wyrobu zegarów wieżowych. Już przeszło pięćset lat temu zegarmistrze Strasburga otrzymywali zamówienia z całej Europy na kunsztowne zegary wieżowe.

Świetna tradycja Strasburga, jako środowiska wyrobu zegarów, nie zaginęła do dzisiejszych czasów. Stare firmy strasburskie, otrzymawszy w spadku po swoich dawnych mistrzach precyzyjne narzędzia i wzory, datujące się z przed setek lat, dalej się trudnią wyrabianiem zegarów wieżowych, które zamawiają u nich kościoły i władze miejskie z całego świata.

Jedna z firm, istniejących w Strasburgu od setek lat, otrzymała niedawno zamówienie na zegar kościelny, przeznaczony dla miasta Mesyny we Włoszech. Mesyna, która w roku 1908-ym całkowicie była zniszczona przez trzęsienie ziemi, odbudowała się zupełnie. Mimo, że podczas pamiętnej katastrofy, która świat cały pokryła żałobą, zginęło tam blisko 100,000 ludzi, Mesyna ma obecnie 200,000 mieszkańców, kótrzy zapragnęli ozdobić swe miasto wspaniałym zegarem, mającym na wzór zegarów średniowiecznych wydzwaniać i wskazywać godziny i kwadranse, wskazywać daty zaćmienia słońca, i tak dalej.

Praca nad wykonaniem tego wielkiego dzieła trwa już kilka lat. Zegar będzie ozdobiony olbrzymiemi postaciami, które



Zegar astronomiczny w katedrze strasburskiej

plastycznie wskazywać będą czas; postacie te, dzięki skomplikowanemu mechanizmowi poruszać się będą z regularnością zegara, którego średnica tarczy ma 5 metrów. Inna tarcza, umieszczona osobno, dawać będzie dokładny obraz nieba ze wszystkiemi planetami, których bieg zawsze będzie ściśle odpowiadać rzeczywistości. Gdy zegar ten zostanie ustawiony w Mesynie przy katedrze, stanie się bez wątpienia celem licznych wędrówek turystów, którzy z całego świata będą się zjeżdżać dla zobaczenia tego rzadkiego okazu zapomnianej już sztuki.

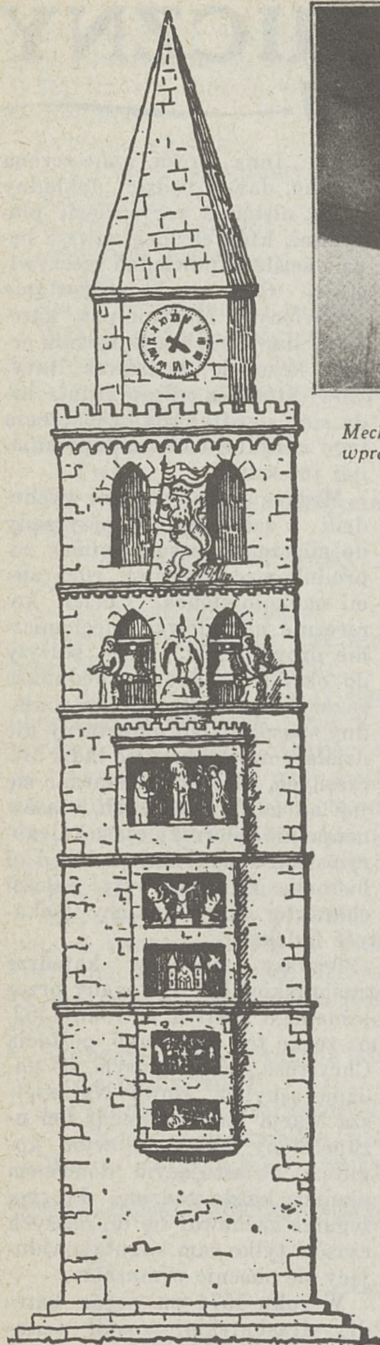


Hebrecht, twórca zegara kadedry strasburskiej

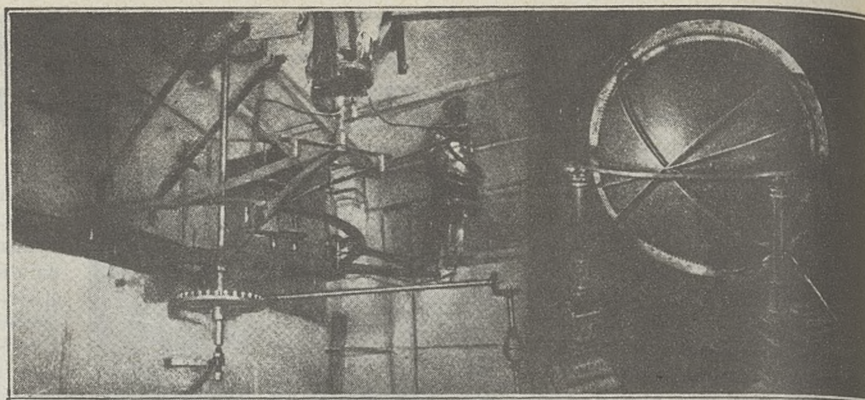
Mistrze średniowieczni wychodzili z założenia, że przyrządy do mierzenia czasu powinny reprodukować właściwy ruch ziemi naokoło słońca. Chcieli koniecznie naśladować mechanicznie drogi planet, które służyły do określenia czasu. Jednakże zegary reprodukujące w dokładny sposób układ planetarny nie działały na wyobraźnię ludzi ówczesnych, dlatego też starano się już od najdawniejszych czasów uzupełnić mierniki czasu alegorycznemi rysunkami z biblji i historji, które dawały całości charakter przyciągający ciekawość ludzką.

Pierwszy zegar w katedrze strasburskiej był wykonany przez nieznanego mistrza w roku 1352-im; zegar ten ozdobiono postacią Chrystusa, przed którym co godzinę schylała głowę Najświętsza Marja Panna. Zegar ten uzupełniony był metalowym kogutem, zwiastującym donośnem pianiem każdą godzinę. Po tym zegarze zachował się do naszych czasów tylko sam kogut, znajdujący się obecnie w muzeum.

W roku 1574-ym zegar katedry strasburskiej został zastąpiony innym, który przewyższał wszystko, co w tej dziedzinie do owej pory wykonano: wskazywał ruchy planet i zaćmienia słońca oraz dokładną datę. Obliczenia były dokonane na sto lat, po stu latach trzeba było zegar ponownie regulować na podstawie nowych obliczeń. Legenda głosi, że zegarmistrzowi, który zegar ten zbudował, wykłuto oczy, aby uniemożliwić mu wykonanie podobnego zegara w innych miastach. Oślepiony ze-



Zegar astronomiczny wykonany w ostatnich czasach dla miasta Mesyny



Mechanizm znajdujący się wewnątrz zegara, wprawiający w ruch cztery postacie, które co kwadrans ukazują się na cyferblacie.

Globus mechaniczny, znajdujący się obecnie w katedrze strasburskiej, a stanowiący część zegara astronomicznego.

garmistrz miał wyjąć niektóre części zegara, który odtąd nie działał już regularnie.

Zegar znajdujący się obecnie w katedrze w Strasburgu został naprawiony w roku 1842-im przez znakomitego zegarmistrza nazwiskiem Schwilgue, który zastąpił dawny mechanizm nowym, zostawiając zewnętrzny wygląd niezmieniony. Od tego czasu zegar chodzi regularnie, wskazuje nietylko czas i datę, ale i wszystkie zjawiska astronomiczne. Siedem dni tygodnia oznaczone są przez symboliczne postacie: Apolina, Djany, Marsa, Merkurego, Jowisza, Wenus i Saturna. W ciągu siedmiu dni postacie te robią jeden obrót dokoła swej osi w ten sposób, że o 12-ej w południe postać odpowiadająca danemu dniowi znajduje się na środku tarczy zegarowej. Pierwsze kwadranse wydzwania anioł, trzymający w ręku dzwonek, podczas gdy anioł z piasecznikiem w ręku wydzwania pół godziny i trzy kwadranse. Przy pierwszym kwadransie ukazuje się dziecko, przy drugim młodzieniec, przy trzecim rycerz, przy czwartym starzec. Postać śmierci wydzwania godziny.

O dwunastej w południe dwunastu apostołów ukazuje się w specjalnym otworze i defiluje, pochylając się, przez Panem Jezusem, a jednocześnie kogut, umieszczony na szczycie zegara, trzepoce metalowemi skrzydłami i donośnie pieje, otwierając dziób. Ruch alegorycznych postaci jest jednak najmniej skomplikowaną częścią mechanizmu. Daleko ciekawszą częścią zegara jest mechanizm, służący do oznaczania czasu średniego, czasu według południka w Strasburgu, położenia księżyca, ruchu planet naokoło słońca, kalendarza cywilnego i kalendarza kościelnego, wskazującego święta ruchome.

Na kilka minut przed godziną dwunastą w południe zbiera się w kościele tłum ciekawych, którzy chcą zaobserwować skomplikowane ruchy historycznego zegara. Zegar mieści się we wnętrzu katedry, w jednej z bocznych naw i jest dostępny dla wszystkich, którzy chcą oglądać to arcydzieło sztuki zegarmistrzowskiej.

Bardzo zbliżony do zegara strasburskiego jest zegar, mieszczący się na wieży na Marienplatz w Monachjum. O godzinie 1-ej popołudniu zegar ten gra średniowieczną piosenkę, której przysłuchuje się codziennie wielki tłum ludności miejscowej i turystów. Przed kilku laty piosenka ta była grywana o godzinie jedenastej przed południem, ale większa liczba ludzi, zalegająca plac i słuchająca dźwięków piosenki z zadartemi do góry głowami, przeszkadzała wzmożonemu o tej porze ruchowi ulicznemu. Zebrała się tedy rada miejska i po długich debatach, czy godzi się zmieniać porę tradycyjnej piosenki, postanowiła, żeby zegar uregulować w ten sposób, by piosenka zaczynała się o godzinie pierwszej po południu.

W porównaniu z dzisiejszemi maszynami, automatami i przyrządami mechanicznemi, średniowieczne zegary mogą wydawać się dziecinną zabawką. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że zegary te wykonywano bez pomocy dzisiejszych udoskonalonych narzędzi i instrumentów, bez maszyn, tylko wszystko trzeba było robić ręcznie, prostemi narzędziami, a jeżeli zegarmistrz potrzebował koniecznie jakiegoś precyzyjnego narzędzia, musiał je własnoręcznie zrobić. Dlatego też te zegary zasługują na podziw, a wykonawców ich można uważać za arcymistrzów w swoim zawodzie.

TELEPATJA

PRZEJMOWANIE CUDZYCH MYŚLI I WRAŻEŃ

TELEPATJA, czyli odczuwanie niezależnie od odległości cudzych myśli i wrażeń, należy do niewyjaśnionych jeszcze zdolności nadnormalnych. Każdemu niezawodnie zdarzało się nieraz powiedzieć lub usłyszeć od kogoś: "Właśnie i ja to samo miałem na myśli", co niezawsze jednak dowodzi o istotnem przeniknięciu cudzych myśli, bywa bowiem i telepatja pozorna. Gdy, naprzykład, wychodząc w towarzystwie z domu, zastaniemy na ulicy błoto i chłodny wiatr z mokrym śniegiem i jednocześnie powiemy: "cóż za wstrętna pogoda", albo, wszedłszy z kimś na szczyt wieży lub wierzchołek góry, zgodnie zawołamy: "jakiż widok rozległy!" — nie będzie to telepatja. Poprostu ten sam bodziec zewnętrzny wywarł na nas jednakowe wrażenie, wyrażone temi samemi słowami.

Doświadczenia telepatyczne, polegające na odszukiwaniu ukrytego przedmiotu lub wykonaniu zamyślonej czynności, gdy odgadujący trzyma za rękę osobę, której znane jest zadanie, nie są dla wielu dosyć przekonywujące. Istotnie, można przypuszczać, że mimowolne podświadome skurcze mięśni, nieuchwytne zmiany tętna, oddechu, wreszcie

TABLICA I.
RYSUNKI

Nadane myślowo w Antenach — *Wykonane jednocześnie w Warszawie* — *Nadane w Atenach* — *Wykonane jednocześnie w Warszawie*

TABLICA IV.

Wykonane w tej samej godzinie w Atenach i w Warszawie rysunki podobne, ale nie odpowiadające nadanym, świadczące o mimowolnej telepatji.

wyraz twarzy lub kierunek wzroku ułatwiają domyślanie się. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, jeżeli przychodzi nam raptem na myśl jakaś znajoma, niemal zapomniana i oddalona o setki mil osoba, wkrótce zaś potem otrzymujemy od niej list. Jest to bezsprzecznym dowodem działania myśli na odległość, bez pomocy oznak zmysłowo dostrzegalnych.

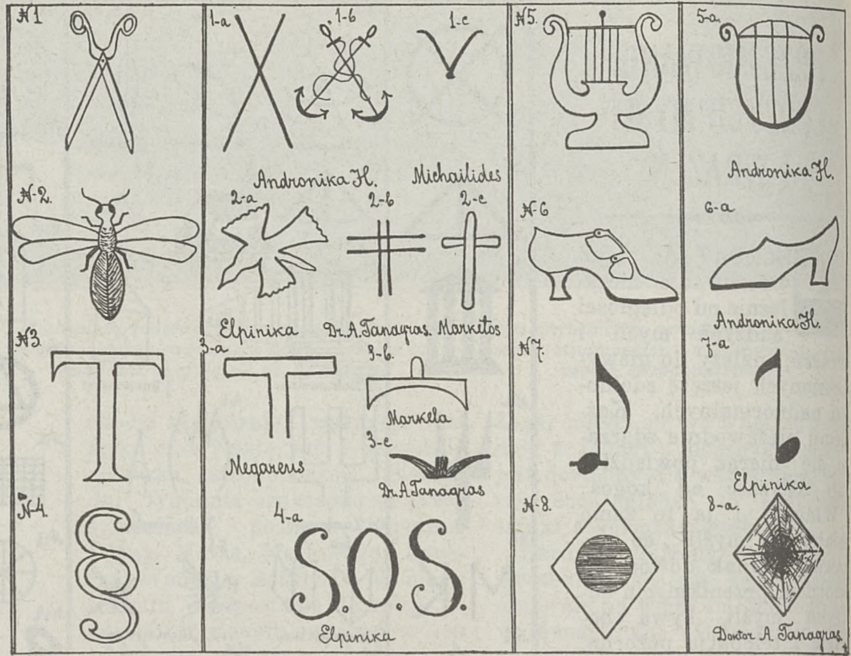
Daleko trudniejsza i rzadsza od takiej wypadkowej jest telepatja doświadczalna, między osobami nie znającemi się bliżej. Telepatja tego rodzaju oddawna już została niezbicie stwierdzona drogą licznych doświadczeń, prowadzonych od kilku lat przez osoby i towarzystwa, pod każdym względem wiarygodne, oddalone od siebie setkami mil i przeważnie nie znające się wcale osobiście. Doświadczenia takie, prowadzone między Warszawą i Atenami, odbywają się w następujący sposób: Raz w tygodniu o ściśle oznaczonej godzinie członkowie ateńskiej grupy telepatycznej wpatrują się z całą uwagą przez pięć minut w jakiś umieszczony przed nimi przedmiot. Jednocześnie w Warszawie członkowie grupy telepatycznej usiłują wprowadzić się w możliwie bierny stan psychiczny, zachowując w tym celu ciszę i zamykając oczy, żeby odgrodzić się ile możności od wszelkich wrażeń zewnętrznych. Po upływie pięciu minut otwierają oczy i każdy na osobnej kartce rysuje to, co choćby mglisto i niewyraźnie ujrzał, niekiedy przez część sekundy tylko, pod zamkniętemi powiekami.

Po krótkiej przerwie role się zmieniają: Warszawa w opisany sposób nadaje, Ateny zaś są odbiorcą przesyłanych im myślowo obrazów. Kopie owych rysynków, jak również obrazu nadawanego, przesyła się wzajemnie z Warszawy do Aten i odwrotnie tak, że listy krzyżują się w drodze.

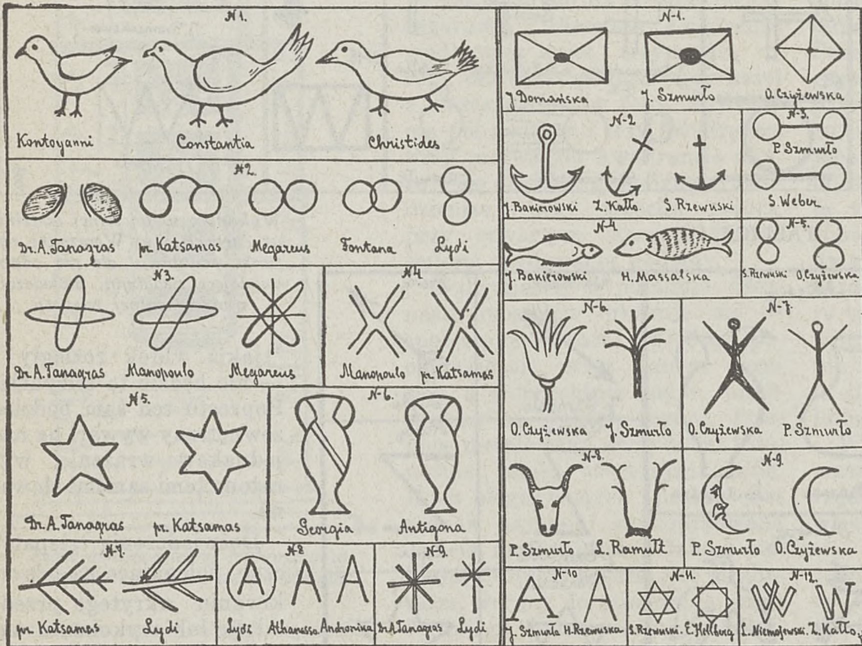
Gdyby ograniczyć na przykład, tylko do kart do gry i liter, łatwo byłoby obliczyć prawdopodobne szanse powodzenia bez udziału telepatji. Jeżeli bowiem odgadujemy jedną z kart, których w talji jest 52, szanse trafnej odpowiedzi będą jedna na pięćdziesiąt dwie. W do-

TABLICA II.
RYSUNKI

Nadane myślowo w Warszawie	*Wykonane jednocześnie w Atenach*	*Nadane w Warszawie*	*Wykonane w Atenach*



TABLICA III.



Rysunki wykonane jednocześnie przez różne osoby. Rysunki nie odpowiadają ściśle wzorom nadawanym, lecz są podobne do nich. Świadczy to o bezwiednej telepatji wśród jednej grupy.

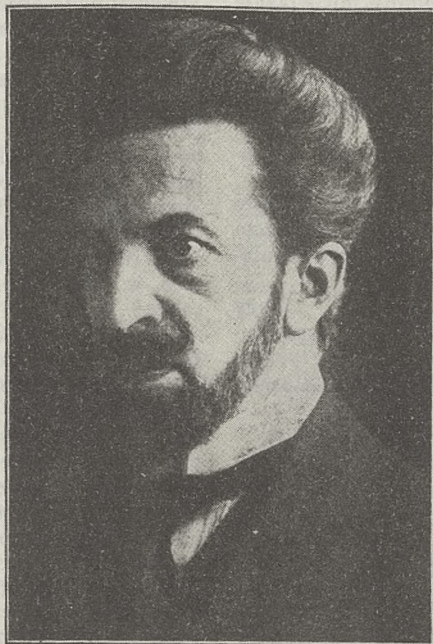
świadczeniech telepatycznych między Atenami i Warszawą ograniczeń jednak niema. Można nadawać i nadawało się najrozmaitsze figury geometryczne w przeróżnych kombinacjach, rysunki narzędzi, przedmiotów, części ciała, kwiatów, ptaków, zwierząt, cyfry, nuty, litery, karty i wszelkie dowolnie pomyślane przedmioty. Przypuszczając, że nadawało się jakikolwiek przedmiot czy znak z liczby 300. Według teorji prawdopodobieństwa na 300 prób zaledwie jedna powinna być udała, a gdyby tak było, trzebaby czekać na taką udatną próbę sześć lat.

Tymczasem każde z przeprowadzanych doświadczeń bywa mniej lub więcej udane, jak to widać na przedstawionych tablicach, pokazujących rysunki nadawane w Atenach i myślowo odbierane w Warszawie.

Doświadczenia telepatyczne w Warszawie odbywają się pod przewodnictwem znanego działacza w tej dziedzinie, Prospera Szmurły, którego podobizna jest przedstawiona w tym artykule. W Atenach zaś doświadczalnym posiedzeniom grupy telepatycznej przewodniczy generał doktór Angelos Tanagras, inspektor sanitarny marynarki greckiej.

Zależnie od stopnia umysłowości i innych właściwości psychicznych, nadawane myślowo obrazy wyczuwa się dwojako, bądź jakby wzrokowo, jako jakieś figury, nie rozumiejąc nawet niekiedy ich znaczenia, bądź też pojęciowo. W pierwszym wypadku nadana, naprzykład, osa, może być odtworzona jako krzyż o podwójnych ramionach i wtedy osoba odtwarzająca nie domyśla się co jej rysunek ma przedstawiać, w drugim zaś wypadku może się przekształcić u odbiorcy w orła, gołębia, samolot, wogóle w coś, co lata.

Bardzo ciekawą ilustrację powyższego stanowi rysunek 14-a na tablicy I, pani J. Domańskiej. Zupełnie niepodobny co do formy nadanego klucza, pojęcie jego jednak dotarło niewątpliwie do jej psychiki, zostało uświadomione i narysowane w postaci dziurki od klucza. To samo można mniej więcej powiedzieć o rysunku 9-b na tablicy I, wykonanym przez S. Rzewuskiego, który niezawodnie odczuł pojęcie krzyża niezwykłego kształtu (swastyki), inaczej jednak go narysował, zaś inna członkini grupy dokładnie odtworzyła



Prosper Szmurło, Prezes Warszawskiego Towarzystwo Psych-Fizycznego.

fragment owej swastyki, nie uświadamiając sobie jednak całości (rysunek 9-a, tablica I).

Osoby łatwiej wyczuwające pojęcia niż formę, mogą narysować parasol rozpięty zamiast złożonego, lub skrzypce zamiast harfy. Przyglądając się uważnie rysunkom wszystkich uczestników doświadczeń tepelatycznych dostrzega się wybitne podobieństwo, choć rysunki te są wykonane przez różne osoby. Jest to najwyraźniejszy wpływ telepatji, ale telepatji na mniejszą odległość, wśród uczestników tej samej grupy.

Porównywując uważnie rysunki wykonane w Warszawie i Atenach tego samego dnia i godziny, wśród rysunków błędnych napotyka się także widoczne podobieństwo, to jest, że nieudane ateńskie podobne bywają do nieudanych warszawskich i odwrotnie. Przejawia się w tem telepatyczne oddziaływanie myśli nie wywołane impulsem woli. Przykłady tego mamy na tablicy IV. W tym wypadku nadawcą była Warszawa, w Warszawie bowiem rysunki powstały błędnie podczas skupiania myśli nad tem, co zaświadomie wyczuto w Atenach. Potem wywołało to w Atenach u niektórych uczestników doświadczenia, gdy przymknęli oczy, takie same a przynajmniej bardzo podobne obrazy, jakie błędnie narysowano w Warszawie.

Widoczną jest tedy rzeczą, że nawet nasze myśli przelotne nie są przypadkowe, lecz jak wszysko, muszą mieć przyczyny, wśród których telepatja odgrywa główną rolę, i że ustawicznie podlegamy w większym lub mniejszym stopniu wpływowi myśli, wrażeń, niewypowiedzianych przekonań lub uczuć nieujawnionych odległych i nigdy może nie widzianych osób. W ten sposób można tłumaczyć rozpowszechnione w średniowieczu epidemje psychiczne, z niepojętą szybkością ogarniające tysiące ludzi, myśl bowiem zdaje się być zaraźliwą. Znane w historji wypadki jednoczesnego dokonania tego samego wynalazku zupełnie niezależnie przez dwie osoby, także świadczą za powyższem.

Wogóle telepatja jest poważnym, choć zupełnie jeszcze ignorowanym czynnikiem, przejawiającym się w życiu społecznem i codziennem każdego człowieka i będącym niekiedy ukrytą przyczyną wielu naszych trudnych do umotywowania przekonań, a nawet czynów.



Guy de Maupassant

DIONIZY

NOWELA

MARAMBOT otworzył list, podany mu właśnie przez służącego Dionizego i uśmiechnął się. Dionizy, służący u niego od lat dwudziestu, mały człowieczek, przysadkowaty, jowialny, w całej okolicy uchodzący za wzór służącego, spytał:

— Pan z czegoś kontent. Czy jaka dobra wiadomość?

Marambot nie był bogaty. Dawniej wiejski aptekarz, stary kawaler żył z niewielkiej renty, z trudem zdobytej na sprzedawaniu lekarstw ubogim wieśniakom.

— Tak, mój chłopcze, — odpowiedział. — Stary Malois cofa się przed procesem, którym mu zagroziłem. Zaraz jutro przyśle mi pieniądze. Pięć tysięcy franków to jednak znaczy wiele dla kieszeni starego kawalera...

Marambot zatarł ręce z radości. Był to człowiek o charakterze zrezygnowanym, raczej smutny, niż wesoły, niezdolny do żadnego trwalszego wysiłku, niedbały w interesach.

Miał przecież możność zdobycia większego majątku, gdyby, korzystając ze sposobości jakie mu się nieraz nadarzały, zajął miejsce i klientelę kilku swych kolegów aptekarzy, którzy albo umierali, albo wycofywali się z interesów w miejscowościach bogatszych i większych. Ale niechęć do przeprowadzki i myśl o różnych kłopotach, jakie zwykle zdarzają się z początku po zmianie miejsca pobytu, stale go powstrzymywały od takiego stanowczego kroku. Po kilku dniach namysłów i zastanowienia, postanawiał siedzieć na starem miejscu i mówił:

— Ba, zrobię to następnym razem. Nic nie stracę, czekając jeszcze trochę. Może właśnie nawinie się coś jeszcze lepszego.

Dionizy przeciwnie, zawsze parł swego pana do przedsiębiorczości. Z natury czynny i energiczny, powtarzał nieustannie:

— Ach, gdybym miał choć trochę kapitału na początek, z pewnością dorobiłbym się dużego majątku. Marny tysiąc franków gotówką, a dałbym już sobie radę.

Marambot uśmiechał się, nie dając odpowiedzi i wychodził do ogródka, gdzie z założonemi rękami przechadzał się wolnym krokiem, snując marzenia.

Tego dnia Dionizy, jakby upojony radością, bezustannie wyśpiewywał najrozmaitsze piosenki. Okazywał przytem niezwykłą pilność, czyszcząc zapamiętale cały dom i z zapałem wycierając szyby, przy dźwiękach śpiewanych przez siebie kupletów.

Marambot, zdumiony jego niezwykłą gorliwością i pracowitością, parę razy zauważył z uśmiechem:

— Jeżeli tak będziesz pracował, mój chłopcze, to jutro nie będziesz już miał nic do roboty.

Następnego dnia około godziny dziewiątej rano listonosz oddał Dionizemu cztery listy dla pana Marambota. Jeden z tych listów był bardzo ciężki. Marambot, odebrawszy je, zamknął się w swoim pokoju na kilka godzin i pisał. Późno popołudniu wręczył Dionizemu cztery listy z poleceniem nadania ich na pocztę. Jeden z nich był zaadresowany do pana Malois i, według przypuszczenia Dionizego, zawierał pokwitowanie z odbioru pieniędzy.

Służący nie zadawał dziś swemu panu żadnych pytań; od samego rana wydawał się smutnym i ponurym, w rażącem przeciwieństwie do wczorajszej wesołości.

Wieczorem Marambot o zwykłej porze udał się na spoczynek i wkrótce usnął.

Zbudził go jakiś niezwykły hałas. Szybko usiadł na łóżku i nadsłuchiwał. Nagle drzwi się otwarły i na progu ukazał się Dionizy, w jednej ręce trzymający zapaloną świecę, w drugiej wielki nóż kuchenny. Oczy miał nadmiernie rozszerzone i nieruchome, usta i policzki ściągnięte, jak człowiek w chwili strasznego wzburzenia, a blady był jak trup.

Marambot przerażony pomyślał, że jego służący znajduje się w stanie somnambulicznym i miał już wstać, by podbiec do Dionizego, gdy ten nagle zgasił świecię i rzucił się ku łóżku. Pan jego wyciągnął przed siebie obydwie ręce, a otrzymawszy pierwsze uderzenie, padł nawznak. Przekonany teraz, że Dionizy dostał nagłego napadu szału, usiłował pochwycić jego ręce, by uniknąć szybkich ciosów, jakie mu służący zadawał. Pierwsze pchnięcie nożem otrzymał w ramię, drugie w czoło, trzecie w piersi. Bronił się rozpaczliwie, wymachując rękami w ciemności, kopiąc nogami i krzycząc:

— Dionizy! Dionizy! Czyś ty zwarjował! Dionizy, co robisz!

Ten jednak, dysząc i sapiąc, coraz bardziej rozwścieczony, raz po razu uderzał na oślep. Odrzucony to kopnięciem nogi, to ciosem pięści, ponownie rzucał się na swą ofiarę. Marambot otrzymał jeszcze dwa pchnięcia: w nogę i w brzuch. Nagle myśl zbawcza błyskawicznie rozświetliła jego umysł i krzyknął:

— Dionizy, daj pokój! Ja nie dostałem pieniędzy!

Tamten natychmiast zaprzestał uderzać, a pan jego wśród ciemności posłyszał tylko jego świszczący oddech. Zaraz więc dodał:

— Nie otrzymałem pieniędzy. Malois odwołuje to, co przedtem pisał i chce się procesować. Dlatego wysłałem te listy na pocztę. Zresztą możesz przeczytać te, które dostałem. Leżą na biurku...

I ostatnim wysiłkiem sięgnął po zapałki i zapalił świecę.

Cały był pokrwawiony. Ściana obryzgana krwią. Pościel, firanki, dywanik przed łóżkiem, wszystko czerwone. Dionizy, stojący w środku pokoju, również ociekał krwią.

Zobaczywszy to wszystko, Marambot pomyślał, że zaraz umrze i stracił przytomność.

Pod wieczór dopiero odzyskał zmysły. Długo trwało zanim oprzytomniał, opamiętał się i otrzeźwiał. Odżyła w nim nagle pamięć o zamachu i ranach i zdjęła go trwoga tak okropna, że zamknął oczy, by nic nie widziać. Po kilku minutach uspokoił się trochę i począł się zastanawiać. Nie umarł odrazu, więc może jeszcze odzyskać zdrowie. Czuł się słabym, bardzo słabym, lecz bez żadnego dojmującego bólu, poza pewnemi częściami ciała, piekącemi, jak po silnem uszczypnięciu. Pozatem czuł, że jest cały zlodowaciały, mokry i ściśnięty, jakby obandażowany. Pomyślał, że wilgoć ta pochodzi z przelanej krwi i dreszcz przerażenia wstrząsnął nim na myśl o tej czerwonej cieczy, wyszłej z jego żył i zlewającej całe łóżko. Myśl, że znów mógłby się spotkać ze strasznym widokiem krwi, przejęła go najwyższą grozą. Gwałtem trzymał oczy zamknięte i drżał z obawy, by nie otworzyły się wbrew jego woli.

Co się stało z Dionizym? Zapewne zbiegł?

Co on jednak teraz pocznie? Wstać? Wołać o pomoc? Jeżeli wykona najmniejszy ruch, rany jego niewątpliwie zaczną znów krwawić i umrze wskutek upływu krwi...

Nagle usłyszał, że drzwi do jego pokoju cicho się otworzyły. Serce przestało mu bić na chwilę. To z pewnością Dionizy przychodzi, by się z nim uporać ostatecznie. Powstrzymał oddech, by morderca sądził, że wszystko już skończone, że krwawe dzieło spełnione należycie...

Czuł, jak podniesiono kołdrę i obmywano mu brzuch. Ostry ból w pobliżu biodra wprawił w drżenie całe jego ciało. Teraz bardzo ostrożnie i delikatnie obmywano go zimną wodą. Odkryto więc zamach i pielęgnowano go teraz, leczono... Porwała go radość szalona, ale kierując się rozsądkiem, nie chciał się zdradzić, że odzyskał przytomność i pomaleńku, z największą ostrożnością otworzył jedno oko.

Poznał Dionizego, który stał obok jego łóżka. Dionizego we własnej jego osobie! Boże miłosierny! Co śpieszniej przymknął oko...

Dionizy! Co on tu teraz robi? Czego chce? Jak straszny zamiar może jeszcze żywić?

Co robi? Ba, obmywa go dla zatarcia śladów zbrodni. A potem zakopie go w ogrodzie na kilka stóp głęboko w ziemi, by nie znaleziono zwłok... A może w piwnicy pod butelkami wina?

I Marambot zaczął drżeć tak gwałtownie, że wszystkie jego członki dygotały.

Powtarzał sobie w myśli: "Jestem zgubiony, zgubiony, zgubiony!" I rozpaczliwie przymykał powieki, by nie widzieć ostatniego pchnięcia nożem.

Nie otrzymał jednak tego pchnięcia. Dionizy podniósł go nieco i obandażował brzuch. Następnie z największą troskliwością opatrzył ranę w nodze. Umiał robić opatrunki, gdyż nauczył się tego jeszcze w czasach, gdy pan jego był aptekarzem.

Dla Marambota nie pozostawała już żadna wątpliwość: służący jego, który chciał go zamordować, teraz usiłuje uratować mu życie.

I głosem omdlewającym i drżącym pan Marambot udzielił Dionizemu praktycznej rady:

— Do przemywania ran używaj wody dystylowanej...

Dionizy odpowiedział spokojnie:

— Tak też robię, proszę pana.

Marambot otworzył teraz oczy.

Nigdzie ani śladu krwi: ani na łóżku, ani w pokoju, ani na mordercy. On sam leży na czyściutkiej, białej pościeli.

Pan i służący spojrzeli teraz na siebie.

Marambot rzekł łagodnie:

— Popełniłeś wielką zbrodnię...

Dionizy odparł:

— Chcę to teraz naprawić. Jeżeli mnie pan nie wyda, będę panu służył wiernie, jak przez te dwadzieścia lat.

Nie była to pora do drażnienia służącego, Marambot, przymykając znów oczy, rzekł pomału:

— Przysięgam, że cię nie wydam...

* * *

Dionizy uratował swego pana. Dnie i noce spędzał bez snu, nie opuszczając pokoju chorego, przyrządzając mu lekarstwa, napoje, badając puls i troskliwie licząc ilość uderzeń, pielęgnując go ze zręcznością zawodowego dozorcy chorych i z poświęceniem synowskiem.

Co kilka chwil zapytywał:

— I co, jak się pan czuje?

Marambot słabym głosem odpowiadał:

— Trochę lepiej, mój chłopcze, dziękuję ci.

A często, zbudziwszy się w nocy, widywał, jak służący jego, siedząc obok na fotelu, płakał w milczeniu i ocierał oczy chustką.

Dawny aptekarz nigdy w życiu nie był tak troskliwie pielęgnowany, pieszczony, otaczany tylu staraniami. Niemniej jednak myślał:

— Skoro tylko wyzdrowieję, zaraz pozbędę się tego łajdaka.

Było to jednak tylko z początku. Obecnie wchodził już w stan rekonwalescencji i z dnia na dzień odwlekał chwilę rozłączenia się ze swym niedoszłym mordercą. Rozważał, że nikt nie miałby dla niego tylu względów, co ten człowiek, żyjący przecież w ciągłym strachu. Uprzedził tylko Dionizego, że u notarjusza złożył testament, oddający go w ręce sprawiedliwości w razie ponownego zamachu.

Ta ostrożność zabezpieczała go, jego zdaniem, od nowego zamachu: zaczął się także zastanawiać, czy nie zrozsądniej byłoby zatrzymać przy sobie tego człowieka, by ciągle mieć go na oku.

Jak ongi nie mógł się zdecydować na nabycie znaczniejszej jakiejś apteki, tak i teraz żadną miarą nie mógł się zdobyć na stanowcze postanowienie.

— Na to jeszcze mam czas — mawiał do siebie.

Dionizy w dalszym ciągu zachowywał się wzorowo. Pan Marambot wrócił do zdrowia i zatrzymał go przy sobie.

Aż tu pewnego ranka, kończąc właśnie śniadanie, Marambot usłyszał dochodzący z kuchni wielki hałas. Pobiegł szybko i ujrzał Dionizego, wyrywającego się z rąk dwóch żandarmów. Starszy żandarm z wielką powagą zapisywał coś do swego notatnika.

Na widok swego pana Dionizy zaczął łkać gwałtownie, wołając:

— Pan mnie wydał, a przyrzekł pan, że tego nie zrobi. To nieładnie, panie Marambot, nie dotrzymał pan słowa. To haniebnie, szkaradnie!...

Marambot, osłupiały i zdziwiony, a przytem nie-

mile dotknięty, że Dionizy podejrzewa go o złamanie słowa, podniósł rękę do góry:

— Przysięgam przed Bogiem, że nie ja cię wydałem. Nie mam pojęcia skąd panowie żandarmi dowiedzieli się, że usiłowałeś mnie zamordować...

Starszy żandarm aż podskoczył.

— Panie Marambot, — zawołał, — powiada pan, że chciał pana zamordować?

Były aptekarz oszołomiony i zmieszany odparł:

— No, tak... Ale ja go przecie nie wydałem... Nikomu ani słowa o tem nie mówiłem. Mogę przysiąc, że nie mówiłem... A od tego czasu służył mi tak wiernie...

Starszy żandarm rzekł surowo:

— Przyjmuję do wiadomości pańskie zeznanie. Sąd rozpatrzy i tę sprawę, o której dotychczas nie wie. A teraz, panie Marambot, mam rozkaz uwięzienia pańskiego służącego za kradzież dwóch kaczek, które były własnością pana Duponda, na co są dowody i świadkowie. Przepraszam pana, panie Marambot, ale z zeznania pańskiego także zrobię użytek.

Zwracając się do swych dwóch podkomendnych, rozkazał:

— Dalej! Brać go i w drogę!

Żandarmi powlekli z sobą zapłakanego Dionizego.

* * *

Adwokat kończył właśnie obronę, dowodząc, że oskarżony jest niepoczytalny. Wykazał jasno i dobitnie, że kradzież dwóch kaczek da się wytłumaczyć jedynie chwilowym napadem obłędu, w którym to stanie popełnił też zamach na pana Marambot. Zanalizował subtelnie wszystkie fazy chwilowego zaćmienia władz umysłowych, które niewątpliwie minie po kilkomiesięcznej kuracji w odpowiednim zakładzie leczniczym. W pełnych zapału słowach mówił o bezgranicznem oddaniu się tego sługi, o pieczołowitości, jaką otoczył swego pana, którego zranił w chwili niepoczytalności, zatem bezwiednie i bez woli.

Do głębi serca wzruszony, pan Marambot uczuł, że łzy napływają mu do oczu.

Adwokat odrazu to zauważył i patetycznie wyciągając ramiona, rozwinął długie, czarne rękawy swej togi, niby skrzydła nietoperza i głosem pełnym wzruszenia zawołał:

— Panowie przysięgli! Spójrzcie na te łzy! Co więcej mógłbym jeszcze powiedzieć ku obronie mego klienta? Jakież słowa, jakie argumenty, jakie dowodzenia mogą się równać ze łzami jego pana? Łzy te są wymowniejsze ode mnie, wymowniejsze od martwej litery prawa! Łzy te mówią, krzyczą, błagają: "Łaski dla ofiary chwilowego szału!" Łzy te uniewinniają, rozgrzeszają oskarżonego od winy i kary!

Zamilkł i usiadł.

Wówczas przewodniczący sądu, zwracając się do pana Marambot, który złożył przedtem zeznania najkorzystniejsze dla oskarżonego, spytał:

— Ostatecznie, jeżeli pan nawet sądził, że ten człowiek działał w przystępie chwilowego obłędu, nie pojmuję, dlaczego zatrzymał go pan w służbie. Przecież taki napad mógł się powtórzyć. Narażał pan swoje życie...

Marambot, ocierając łzy, odparł:

— To prawda, panie prezydencie, ale w naszych czasach tak jest trudno o dobrego służącego... Nie byłbym znalazł nikogo na miejsce Dionizego...

Dionizy został uniewinniony i na koszt swego pana umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych.

MARJA KONOPNICKA.

— NASZ SZTANDAR —

Nasz sztandar tkała żywa moc,
co śmierci się nie lęka!
Przez chmurne dnie, przez głuchą noc
tkała go duchów ręka.
My jej drgającą snuli nić,
z serca, co żarem bije...
Ten tylko naród godzien żyć,
co czuje sam — że żyje!

Nasz sztandar powstał w jasność z dusz
na drzewcu z tego drzewa,
co korzeniami wszerz i wzdłuż
wrosło w tej ziemi trzewa.
I nikt, i nic, przez żaden trud
nie zerwie węzła tego,
co z ziemią wiąże wierny lud,
a ziemię — z duchem jego.

Nasz sztandar jedno hasło ma
i jedno zawołanie:
— W jedności, w pracy — żyje, trwa,
jest z klęski zmartwychwstaniem!
My go z czcią niesiem w życia chram
od ziemi, od macierzy —
Ten tylko wejdzie do jutra bram,
kto w jutro swoje wierzy!

J. A. Kuprin — BREGET — NOWELA

BARDZO żywo przypominam sobie ten długi, grudniowy wieczór. Siedziałem przy okrągłym stole w jadalni i przy jasnem świetle wiszącej lampy czytałem gruby rocznik "Północnej Pszczoły", ten sam zniszczony rocznik, zawsze mi miły, który niezmiennie zastawałem każdego razu i cierpliwie odczytywałem od deski do deski, przyjeżdżając na ferje Bożego Narodzenia do Różycznej. Wuj Wasyli Filipowicz siedział naprzeciw mnie w niskim, głębokim fotelu skórzanym, wyciągnąwszy wzdłuż miękkiej ławeczki podagryczne nogi, owinięte kocem tygrysiego koloru. Twarz jego ukryta była w cieniu, tylko straszne białe wąsiska i fajka między niemi wpadały w krąg światła i rysowały się wyraziście.

Od czasu do czasu odrywałem się od rocznika i wsłuchiwałem w poszum zamieci, szalejącej na dworze. Jest zawsze coś straszliwego, jakaś ponura groźba w tych dźwiękach, poczynających się od głuchego łkania, dochodzących do przejmującego pisku i nagle wkońcu cichnących. Drzewa chwieją się i szumią wierzchołkami, wiatr świszcze i wyje w kominku i przy każdym nowym porywie burzy zdaje się, że ktoś rzuca w okiennice garściami śniegu, suchego i miałkiego jak piasek. Kiedy przysłuchiwałem się temu djabelskiemu koncertowi, wpadło mi nagle do głowy, że oto teraz w starym, wiejskim dworze, rzucony w ponure, śnieżne pustkowie, siedzę twarzą w twarz ze zgrzybiałym, chorym starcem, zdala od miasta, od zwykłego mojego towarzystwa, i jęło mi się wydawać, że nigdy, nigdy już więcej nie skończy się to porywiste wycie wichury, ta dłużąca się nuda i monotonne tykanie zegarowego wahadła. . .

— Powiadasz, wypadki — odezwał się znienacka Wasili Filipowicz, zasłoniwszy twarz rękoma przed padającem nań światłem lampy i z trudem poruszając się w fotelu. — A czy wiesz, że życie takiego ci czasem figla spłata, że żaden powieściopisarz nic podobnego nie wymyśli. . .

Nie zrozumiałem z początku do czego odnosi się ta uwaga, dopiero później przypomniałem sobie, że podczas obiadu rozmawialiśmy o niewyczerpanej fantazji literatów i zapytałem:

— Dlaczego wuj to mówi?

— Tak sobie. . . siebzę teraz, cicho dokoła, na dworze niepogoda. . . no i rozumiesz. . . stare wspomnienia przychodzą do głowy. . . Przypomniało mi się jedno zdarzenie, dlatego to mówię. . .

Zamilkł i długo z denerwującem postękiwaniem opatulał nogi pledem. Potem zaczął:

— Zebraliśmy się razu pewnego u rotmistrza von Aschenberga na imieniny. Działo się to zimą. A my, trzeba ci wiedzieć, to jest nasz pułk huzarów, wrócił wtedy dopiero co z węgierskiej kampanji i władze rozkwaterowały nas w ohydnych, zapadłych wioskach. Nuda poprostu nie do wiary... Jeździliśmy, coprawda, do okolicznych popów, ale pomyśl sam, co w tem ciekawego? Pozostawało tylko jedno: bezustanna pijatyka i karty, karty i pijatyka. Przyjęliśmy więc za prawidło, że:

"...z tych dobrzy będą ułani,
co dwa razy na tydzień — pijani..."

Otóż właśnie zebraliśmy się. . . Przedewszystkiem podrotmistrz Iwanow. Teraz w wojsku skarżą się starsi, że niema porządnych oficerów, że młodzież jest do niczego.

Otóż i podrotmistrz Iwanow skarżył się na nas. A muszę ci powiedzieć, że z wieku był to najstarszy oficer w pułku i wszyscy wiedzieli, a pułk był dumny, że swego czasu z samym Denisem był na ty, a z Burcewem pił i awanturował się przez sześć miesięcy zrzędu. Potem był major Kożyn. Ten odznaczał się w lekkiej kawalerji swym zdumiewającym głosem. Do licha, co to był za głos! Zdarzało się, że podczas większej pijatyki weźmie szklankę, przyłoży do ust i wrzaśnie... At śmiejesz się, a jednak, słowo daję, zostawały mu tylko szczątki w palcach.

Wuj przestał na chwilę, poprawił pled i puszczając kilka kłębów dymu, ciągnął dalej:

— Byli dwaj porucznicy—Rieznikow i Biełago. Nazywaliśmy ich "inseparables", albo mężem i żoną, ponieważ nie rozstawali się nigdy i zawsze mieszkali razem. Potem był jeszcze kozacki esawuła Sirotko, albo inaczej "głowa jeża", gdyż do każdego zdania dodawał "jeża głowa". Dalej był kornet, hrabia Olchowski, taki sobie, cielęcina, jednak niczego, dobry chłopak i porządny, chociaż naiwny i głupawy; przysłano go do nas wprost ze szkoły junkierskiej. Był także w naszej kompanji porucznik Czekmarew, powszechny ulubieniec i benjaminek pułku. O nim nawet podrotmistrz Iwanow zwykł był mawiać niekiedy w przystępie dobrego humoru:

— O, ten chłopiec. . . jeszcze niczego sobie. . . ma łeb na karku. . . będzie z niego huzar, nie zawiedzie. . .

Wesół, szczodry, zgrabny, przystojny, znakomity tancerz i jeździec, słowem cudowny chłopak. I co szczególnie pociągało nasze twarde, żołnierskie serca ku niemu — to jakiś nie-

wytłumaczony wdzięk, kobiecość niemal w uśmiechu i obejściu. Prócz tego, muszę dodać, był bardzo bogaty i kieszeń jego zawsze stała otworem dla wszystkich.

Zebraliśmy się więc, wszyscy kawalerowie (w pułku było dwóch żonatych oficerów), i wypiliśmy zdrowo... Piliśmy za zdrowie gospodarza, wypiliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe kolejki, wezwaliśmy śpiewaków i piliśmy z nimi, wezwaliśmy orkiestrę pułkową i piliśmy z orkiestrą. . . Esawuła Sirotko "jeża głowa" dla każdej kolejki miał odpowiednie przysłowie: "dwa buty — para, bez Trójcy nie buduje się domu, bez czterech kątów domu się nie stawia, cztery koła u wozu i dyszel piąty" i tak aż do dwudziestu, a spora część tych powiedzonek była zgoła nieprzyzwoita.

Tymczasem ktoś, zdaje się jeden z "inseparables'ów" przypomniał sobie, że hrabia Olchowski pojechał poprzedniego dnia do jednego z okolicznych dworów na karty. Grał w "djabełka". Okazało się, że wygrał półtora tysiąca rubli, karego źrebaka i złoty zegarek — breget. Olchowski pokazał nam ten zegarek. Rzeczywiście dobry zegarek z inkrustacjami, z ozdobami, a gdy się u góry nacisnęło guziczek, bardzo melodyjnie wydzwaniał kwadranse i godziny. Staroświecki, ale bardzo ładny i kosztowny zegarek... Olchowski jął go wychwalać:

— To — powiada — jest bardzo rzadki okaz. Za nic w świecie nie puszczę go z rąk. Jest bardzo prawdopodobne, że podobnych zegarków niema na świecie ponad dwa lub trzy egzemplarze.

Czekmarew uśmiechnął się na to:

— Niech pan tak bardzo nie chwali tego zegarka. Mogę panu pokazać każdej chwili zupełnie taki sam. Wcale nie jest taką rzadkością, jak się panu zdaje.

Olchowski z niedowierzaniem potrząsnął głową:

— Skąd go pan dostanie? Wybaczy pan, ale wątpię.

— To już moja rzecz. Chce się pan założyć?

— Z przyjemnością. Kiedy pan pokaże mi taki sam zegarek?

Ale zakład wydał się towarzystu nieciekawy. Esawuła Sirotko wziął Olchowskiego za poły i odciągnął go na stronę ze słowami:

— Patrzcie no, jeże głowy, w jakieś głupstwa się bawią. Jak pić to pić albo jak nie, to przynajmniej grać w karty, a nie jakieś zakłady. . .

Pijatyka trwała w dalszym ciągu. Nagle Kożyn podał komendę swym straszliwym basem:

— Drabanty do djabła! (Drabantami nazywaliśmy ordynansów) Drzwi na klucz!

Służba została odrazu odprawiona, drzwi zamknięto, światła pogaszono. Umocowano głowę cukru nad trzema skrzyżowanemi szablami, pod któremi umieszczono olbrzymi kocioł. Rum zapłonął niebieskim płomykiem i podrotmistrz Iwanow zaintonował fałszywym barytonem:

> *"Gdzież huzarzy starych dni?*
> *Gdzie dzielni huzarzy?"*

Pomagaliśmy mu nieskoordynowanym chórem. Gdy doszedł do słów:

> *"I was pomnę, stara wiaro,*
> *Gdyście pili tęgie wino,*
> *U ogniska każdy z czarą,*
> *Nosy płoną krasno — sino!"*

głos jego wydał się jeszcze bardziej fałszywy ze wzruszenia.

Poncz jeszcze nie zdążył się wypalić, gdy nagle esawuła Sirotko uderzył się w czoło i zawołał:

— Bracia moi, głowy jeże! Całkiem zapomniałem, że mam przyjąć raport. Trzeba uciekać, chłopaki!

— Siedź, siedź, łżesz! — rzekł podrotmistrz Iwanow.

— Jak Boga kocham muszę... Puśćcie mnie, jeże głowy! O ósmej muszę być koniecznie. Zresztą... zaraz wrócę. Olchowski, która godzina? Zadzwoń-no!

Słyszeliśmy jak Olchowski szukał po kieszeniach. Nagle odezwał się zakłopotanym głosem:

— To ci dopiero zdarzenie. . .

— Co się stało? — zapytał von Aschenberg.

— Nie mogę znaleźć zegarka. Dopiero co położyłem go koło siebie, jak zdejmowałem ułankę.

— Zaświecić, panowie!

Zapalono światło, zaczęliśmy szukać zegarka, ale go nie znaleziono. Wszyscy czuliśmy się nieswojo i staraliśmy się nie patrzeć sobie w oczy.

— Kiedy go pan miał w ręku po raz ostatni? — zapytał von Aschenderg.

— Ależ teraz, przed chwilką, gdy zaledwie zamknięto drzwi. Gdy zdejmowałem mundur pomyślałem: położę go koło siebie, w ciemności będzie przynajmniej wiadomo, która godzina...

Zamilkliśmy wszyscy skonfudowani. Nagle Iwanow uderzył pięścią w stół tak, że stojące na nim szklanki zabrzękły i poprzewracały się.

— Do djabła! — krzyknął zachrypniętym głosem. — Szukajmy tego piekielnego zegarka! No, prędzej, żywo, chłopcy, właźcie pod ławki, pod stół. Żeby był natychmiast!

Szukaliśmy kilkanaście minut, lecz nadaremnie. Olchowski, oszołomiony, zawstydzony, powtarzał co chwilę:

— Ach, panowie, do djabła z zegarkiem! Do biesa z nim, panowie...

Ale Iwanow krzyknął nań, wytrzeszczywszy groźnie oczy:

— Głupcze! Pluję na twój zegarek. Ale czy ro-

zumiesz, że służby tu nie było!

Zmęczyliśmy się poszukiwaniem przeklętego zegarka i siedliśmy przy stole w ponurem milczeniu. Kożyn obwiódł nas wszystkich niespokojnie oczyma i zapytał ledwie dosłyszalnym głosem:

— Cóż teraz poczniemy, panowie?

— No, to już pańska sprawa, co robić, majorze — sucho odparł Iwanow. — Pan jest najstarszy rangą. Wiem tylko tyle, że zegarek musi się znaleźć.

Postanowiliśmy zgodnie, że każdy z nas pozwoli się zrewidować. Najpierw poddał się rewizji esawuła Sirotko, później podrotmistrz Iwanow. Twarz starego huzara pokryła się purpurą, a blizna po cięciu szablą, ciągnąca się poprzez całą siwą głowę, wyglądała niby, szeroka wstęga. Drżącemi rękoma wywracał kieszenie z taką siłą i furją, jakgdyby chciał je powydzierać z munduru i mruczał, kąsając wściekle wąsy:

— Hańba! Plugastwo! Pierwszy raz obszukują się huzary naszego pułku! Wstyd! Hańba moim siwym włosom!

W ten sposób zostali wszyscy przeszukami pokolei. Pozostał tylko Czekmarew.

— No, Fediusza, idźże... czego się ociągasz? — popchnął go z surową i smutną łagodnością Iwanow.

Ale ten stał, przywarłszy mocno do ściany, blady, z drżącemi wargami i nie poruszał się z miejsca.

— No, idźże, Czekmarew, — dodawał mu otuchy Kożyn. — Widzisz, wszyscy szli...

Czekmarew powoli potrząsnął głową. Nigdy nie zapomnę gorzkiego, strasznego uśmiechu, wykrzywiającego jego twarz, gdy z trudem wybełkotał:

— Ja... nie pozwolę... się rewidować...

Podrotmistrz Iwanow zaperzył się.

— Jakto, do licha! Pięciu starych oficerów pozwoliło się zrewidować, a ty—nie? Całą mordę, widzisz, mam pokiereszowaną i zęby wybito mi kolbą, a jednak mnie przeszukali... Co, czyś ty lepszy od nas?... Albo możeś drażliwszy na punkcie honoru? W tej chwili idź, słyszysz, Fedia?

Ale Czekmarew znów potrząsnął głową.

— Nie pójdę! szepnął.

Było coś strasznego w jego nieruchomej postawie, w obumarłem spojrzeniu jego oczu, w wymuszonym uśmiechu.

Iwanow zmienił nagle ton i przemówił takim łagodnym głosem, jakiego nikt nie spodziewał się po tym starym żołnierzu i hulace:

— Fediusza, mój kochany, nie rób głupstw... Wiesz przecie, że cię jak syna kocham... Rzuć do licha głupstwa, mój kochany, proszę cię... Możeś ty jakoś... no wiesz... tego... zażartował... spowodu tego twojego głupiego zakładu, co? No, dobrze, zażartowałeś i basta, no... proszę cię...

Krew rzuciła się do twarzy Czekmarewowi i odrazu spłynęła. Wargi mu drżały. Milcząc wciąż, z owym bolesnym uśmiechem na ustach, potrząsnął głową przecząco...

Zapanowała cisza tak przeraźliwa, że tylko gniewne sapanie majora Kożyna dziwnie jakoś rozlegało się po sali. Chwila była niesamowicie straszna.

Iwanow westchnął z całej piersi, odwrócił się bokiem do Czekmarewa i, nie spoglądając na porucznika, rzekł głucho:

— W takim razie, wie pan, panie poruczniku, że... chociaż nie wątpimy w pańską uczciwość... wie pan — szybko spojrzał w twarz Czekmarewowi — wie pan, że niewygodnie będzie panu pozostawać między nami...

Czekmarew zachwiał się na nogach. Zdawało się, że lada chwila runie na podłogę. Rychło jednak opanował się i, podtrzymując lewą ręką szablę, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem, niby lunatyk podszedł zwolna ku drzwiom. Rozstąpiliśmy się w milczeniu dając mu wolne przejście.

O dalszej pijatyce nie było co i myśleć i von Aschenberg nawet nie próbował nalegać. Zawołał ordynansów i kazał im sprzątać ze stołu. Wytrzeźwieni i smutni siedzieliśmy milcząc, jakgdybyśmy na coś czekali.

Nagle Bajdenko, ordynans gospodarza zawołał:

— Panie rotnistrzu, jakiś zegarek!

Rzuciliśmy się ku niemu. Na podłodze rzeczywiście leżał breget Olchowskiego, nakryty kociołkiem od ponczu.

— Do licha... — bełkotał zmieszany hrabia — musiałem go zapewne mimowoli podsunąć nogą pod kociołek...

Oddaliliśmy ponownie służbę, aby swobodnie przedyskutować całą sprawę. Młodzież stała po stronie Czekmarewa, ale starsi inaczej zapatrywali się na rzecz.

— Nie, panowie. Czekmarew obraził nas wszystkich, a wraz z nami cały pułk — rzekł grubym, stanowczym głosem major Kożyn. — Dlaczego my pozwoliliśmy się wszyscy zrewidować, on zaś stanowczo odmówił? Gdyby był obraził jednego oficera, rzecz byłaby skończona odrazu: piętnaście kroków, pistolety i basta. Lecz tu jest całkiem inna sprawa. Porucznik Czekmarew poprostu chciał nam okazać, że on jeden ma wyrobione pojęcie o honorze. Nie protestował, gdy daliśmy się rewidować, ale sam nie poddał się. Nie, panowie, Czekmarew musi opuścić nasz pułk i opuści go.

Von Aschenbreg, Iwanow i esawuła Sirotko, pomimo, że widocznie żałowali Czekmarewa, jednogłośnie podtrzymali zdanie majora. Sprawa jego była skończona. Zaczęliśmy rozchodzić

się na kwatery. Powoli, w milczeniu, jakby wracając z pogrzebu wyszliśmy na ganek i zatrzymaliśmy się aby pożegnać się uściskiem dłoni.

Jakiś człowiek biegł szybko w kierunku domu von Ashenberga. Podrotmistrz Iwanow odrazu poznał go. Był to Polenko, ordynans Czekmarewa. Biegł całym pędem, bez czapki, a na twarzy jego malowało się wyraźnie najwyższe przerażenie.

Ujrzawszy nas, biegł jeszcze szybciej i zatrzymawszy się, ledwie chwytając oddech zawołał:

— Panie rotmistrzu... nieszczęście! Pan porucznik Czekmarew zastrzelił się!

Pobiegliśmy co tchu do kwatery Czekmarewa. Drzwi były szeroko otwarte. Nieszczęśliwy porucznik leżał bokiem na podłodze. Cała podłoga była zbroczona krwią, wielki, pojedynkowy pistolet leżał w odległości dwu kroków od ręki zmarłego. Patrzyliśmy przerażeni na piękną twarz porucznika, na której zaczynały już tężeć rysy i pokazywały się znamiona śmierci. Przed oczyma majaczył mi ten sam bolesny, gorzki uśmiech na jego wargach...

— Poszukajcie, czy nie zostawił jakiego listu — odezwał się półgłosem jeden z nas.

List był rzeczywiście. Leżał na biurku, przyciśnięty — złotym zegarkiem, bregetem i, co najstraszniejsze, zegarek ów był jak dwie krople wody podobny do bregeta hrabiego Olchowskiego.

List ten do dnia dzisiejszego pamiętam dosłownie. Oto treść jego:

"Żegnajcie, drodzy koledzy. Przysięgam na Boga, przysięgam na mękę Pana Jezusa, że jestem niewinny. Nie pozwoliłem się zrewidować, gdyż miałem właśnie w kieszeni zupełnie taki sam zegarek breget, jaki posiada hrabia. Olchowski. Zegarek ten otrzymałem od nieżyjącego już dziadka mojego. Niestety, nikt nie żyje, kto mógłby dać świadectwo o tem, że ów breget dostałem w podarunku i dlatego nie pozostaje mi nic innego, tylko wybór między hańbą i śmiercią. Gdyby się zegarek hrabiego Olchowskiego znalazł i moja niewinność zostałaby tym sposobem dowiedziona, proszę podrotmistrza Iwanowa, aby wszystkie moje rzeczy, broń i konie rozdał na pamiątkę kochanym kolegom, a samemu sobie aby pozostawił breget. Czekmarew."

Wuj Wasili Filipowicz ukrył się zupełnie w cieniu abażuru. Bardzo długo wycierał nos i kaszlał pod osłoną cienia, wkońcu rzekł cokolwiek drżącym, przerywanym głosem:

— Ot, widzisz, mój chłopcze, w jakie wypadki obfituje życie...

BENEDYKT HERTZ.

Kaczor - Polityk

Bez pozycji w świecie,
wolność, chociaż miła,
jak wiecie,
niejednemu srodze dokuczyła.

W zoologicznym ogrodzie
żył na swobodzie
kaczor zwyczajny...
Chodzi, kwacze, w ściekach szpera
(kaczorów brzydka maniera),
szwęda się między klatkami,
włażąc czasami
w poszukiwaniu strawy, lub wody,
nawet w zagrody.
A że gość nieproszony, tedy — zwykła rzecz —
skubnie go ten lub owy, inny wygna precz.
Sprzykrzyło mu się wkońcu żyć bez stanowiska,
Więc za sztachety łabędzia się wciska
i rzecze:
— Witaj, kuzynie. Pana w ten sposób tytułować mogę,
bośmy obydwaj — ptactwo pletwonogie.
Przybywam tu z projektem. Chcę, by odtąd pieczę
nad losem tułaczy
wśród pływającego ptactwa
miało coś w rodzaju bractwa,
którego jaśnie Łabędź prezesem być raczy.
— Zgoda!
Tedy Kaczor z wizytą od święta
odwiedza Pelikana, wiceprezydenta.
Obszedł tak wszystkie wielkości,
porozdawał tytułów różnych bez ilości...
I odtąd, "dzierżąc pióro" instytucji nowej,
wszędzie bywał widziany jako swój, domowy:
Po łabędzich wodach pływał,
jadł, pił, używał.
Aż raz o wieczornej porze
spytała go Cyranka:
— Powiedz, mój Kaczorze,
czem się właściwie bractwa
działalność wyraża?
— Jakto? — odparł zdumiony —
toć ma sekretarza...

Zofja Kachel

PARTJA MAH-JONGA

NOWELA

WILLIAM po raz ostatni ogarnął okiem pokój, przygotowany do gry. Osób miało być niewiele — dwa stoliki, przyczem ten "ciekawszy" reprezentował sam gospodarz w towarzystwie Mabel i Normana, zaręczonych od kilku dni, oraz małej lady Sixton, z pochodzenia Szwedki z domieszką jakiejś południowej krwi, której odblask gorzał w jej nienaturalnie dużych oczach na drobnej twarzyczce.

Sąsiedni stolik był mało interesujący i urządzony poprostu dla wywołania nieco tłumniejszego nastroju.

Stevenson, stary wyga w przygotowywaniu poufnych "herbatek" i "czarnych kaw" swego pana, nadał pokojowi charakter jakiejś przypadkowej spelunki o komforcie podejrzanie egzotycznym.

Wszystko, cokolwiek raziłoby na tem tle istotną wartością artystyczną, rzetelnym stylem lub poprostu autentycznością, zostało bezlitośnie usunięte i zastąpione przedmiotami bezwartościowemi, ale wywołującemi wrażenie prawdziwej wschodniej komnaty. Lampiony o dziwacznych kształtach "made in Manchester" z tuszowemi napisami chińskiemi, niewybredne maty i czerwono lakierowane stołki dokoła kwadratowych stolików, ściany obite naprędce kolorowym papierem, zdobnym we frapujące pagody i karykaturki małych kobiet w kimonach, z wachlarzami i parasolkami. Trochę nieodzownych chryzantem i — nadewszystko — na tackach Mandarin Ginger, gorzki i żółty, jak pojęcie o dalekiem nańistwie Złotego Smoka.

Goście schodzili się opieszale i nieco hałaśliwie. Pierwszy przyszedł Jake ze swoją tancerką. Miewała stale jakieś "pasje", którym z trudem mogła podołać jej ptasia inteligencja. Potem Norris Brown samotny mężczyzna z rękami wyrobnika i czołem genjalnego myśliciela. Wteszcie Halpern, Żyd, usiłujący napróżno nadać sobie piętno rasowego Amerykanina, przez ciągłą, a bezskuteczną walkę z binoklami, spadającemi mu z nosa, od których czerwieniały małe jego oczy.

William niecierpliwił się nieznacznie. Pierwsza czwórka już grała, gdy Stevenson zbiegł nadół i z przesadną ceremonjalnością powitał małą lady i rozświergotaną parę narzeczonych. Narzeczona — Mabel — miała cudownie wydłużone ręce, i oczy o nieuchwytnym wyrazie bezsiły i despotyzmu razem. Dłońmi poprawiała krótkie, roztrzepane włosy, papląc coś bez przerwy do Normana, pochmurnego chłopca o wiele wiedzącym wyrazie twarzy. Z trudem udało się Williamowi doprowadzić ich do stolika i musiał dobrą jeszcze chwilę czekać, aż dźwięczny, dziewczęcy głos Mabel skończył jakąć nieważną sprzeczką z narzeczonym.

William przez ten czas nie spuszczał oczu z lady Sixton. Przypomniał sobie, że słyszał gdzieś — kiedyś przelotnie jej imię: Margit. Bawiło go to imię, dźwięczące, jak brzęk paru białych kamyków, rzuconych na metalową płytę. Nie wiedział nic o tej kobiecie poza tem, że była oddawna osią jego istnienia — najbardziej palącym i zupełnie narazie niedostępnym przedmiotem pożądania.

Poznał ją nagle, w jakiejś nieoczekiwanej chwili, w dancingu i naprawdę wtedy jedynie gotów był przez chwilę uwierzyć, że istnieją halucynacje. Doznał bowiem dziwnego wrażenia: że właściwie dzieje się to we śnie i że przez sen podaje rękę małej kobietce prawie nagiej, a przecież niepojęcie "ubranej i zapiętej aż pod szyję". Była w towarzystwie pań i panów: pań znanych w dzielnicy arystokratycznej z nieokiełznanych pomysłów, płynacych z rozpaczliwej nudy, i panów goniących za najmarniejszą przygodą i szukających jej w mizernych lokalach rozrywkowych, zbudowanych umyślnie dla tumanienia "towarzystwa", w stylu przybytków najprawdziwszych szumowin.

Z całej postaci Margity pozostało Williamowi wówczas jedno jedyne wrażenie: nieskończenie czystych, spokojnych, dziecięcych oczu, w których gorący południowy blask zdawał się mieszkać przypadkiem i był niewinny, jak złote, upalne słońce.

Zaimprowizował partję u siebie, skoro tylko dowiedział się, że lady Sixton gra. Nie pojmował zupełnie złożonego uczucia, jakie owładnęło nim przez tę chwilę, gdy w powietrzu tańczył jeszcze śmiech Mabel, a on patrzał na uparty czerwonawy blask czarnych włosów, pewno farbowanych henną, a jednak niemodnie długich i spiętych w węzeł nad karkiem. Lady Sixton siedziała naprost niego i pod małym stolikiem uczuł wyraźnie zdecydowane i obojętne oparcie jej kolan o swoje, jej drobnych kolan, prawie nagich pod cienką suknią i pończoszką — o swoje, rozpaczliwie starające się nie drgnąć kolana...

Było coś wprost podłego w spokoju tych jej smukłych nóg, nie wiedzących napewno nawet o tym kontakcie. I nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo i jak boleśnie pożąda tej kobiety i jak dalec odpycha go od niej jakaś nieuświadomiona jeszcze potęga.

Zaczęli grać i wkrótce zapanowała prawie zupełna cisza, w którą wpadały jakieś dziwaczne, dla graczy tylko zrozumiałe słowa. W przyćmionem świetle drgających od ciepła lampionów lśniły dziwnym blaskiem małe, prostokątne kostki z misternie rzeźbionemi smokami i kwiatami. Przez chwilę zamigotał w palcach Mabel malowany pęczek "bambusów" na kremowem tle galalitu. Oczy dziewczyny ze słodkim a sennym wyrazem spoczęły na Williamie. Odczuł to jak przychylne pozdrowienie i uśmiechnął się. Uśmiech ten był jakby odpoczynkiem w burzy namiętności, która go trawiła.

W całem jego życiu burzliwem, pełnem podróży i nieoczekiwanych wydarzeń, kobiety istniały tylko jako konieczny ornament, nie zawsze dostosowany to tła i epoki przeżyć. Ostatnio stał się bogaczem, dzięki jakiejś niepojętej łaskawości losu, i przygody miłosne nabrały dla niego banalności. Bez walki spotykał i opuszczał coraz to nowe "upojenia", zamknięte w białych, różowych i śniadych ciałach. Serce jego znało przyśpieszony rytm tylko w chwilach wysiłku fizycznego — pozatem trzydzieści dziewięć lat nauczyły go panowania nad sobą i stępiły jego wrażliwość na rzeczy nawet niecodzienne.

Aż do chwili, kiedy poznał Margit...

Stevenson podał likier, który popijali, nie przerywając gry. William obserwował przez sekundę wargi lady Sixton i spostrzegł, że były malowane karminem. Nie mógł znieść tego widoku i oczy czemprędzej odwrócił. Nie znosił farb na twarzy kobiecej...

Po raz drugi zalśniły kostki w palcach Mabel. Przymróżyła oczy i wypowiedziała nic nie znaczące zdanie, ot, aby coś powiedzieć:

— Kostki z galalitu zbyt prędko się rozgrzewają, a kość słoniowa jest zawsze chłodna.

Na razie nie odpowiedział nikt, ale po chwili Norris Brown od sąsiedniego stolika podniósł głowę i oznajmił pogodnie:

— Z kości słoniowej rzadko się spotyka Mah-Jong'i. Używają do tego wiele innych materjałów. Sądzę jednak, że zupełnie wszystko jedno, czy gramy temi kamykami czy też szanownemi, zżółkłemi ze starości i użycia kostkami, przechowywanemi w rodzinach czcigodnych mandarynów.

Wtedy William uczuł, jak kolana Margit odsuwają się od niego i zobaczył, jak cała jej drobna figurka przechyla się wtył na czerwonym malowanym stołku. Z wyrazem nieskończenie dobrotliwej ironji główka obróciła się ku Brownowi i miękki głos zaczął się sączyć z ust jej, niby krople płynnego miodu.

Margit Sixton, żona nieznanego bliżej lorda Sixtona, mówiła. Margit Sixton — uosobienie kobiecości, wdzięku i delikatności, krucha i wiotka Margit, kobieta o oczach, niewiadomo dlaczego zawsze gorących, Margit, w której William Irvington odnalazł i przeczuł po tylu latach czekania, słodką, białą duszyczkę — mówiła:

— Ach, czy nie myli się pan jednak, panie Brown? Czy naprawdę jest pan pewny, że to wszystko jedno? Te tutaj, gładkie, rozgrzane kawałki jakiejś fabrycznej masy, i tamte — w ciężkim mozole mądrych palców rzeźbione kosteczki? Czy nie sądzi pan, że jednak tamte mogą być milsze, jeżeli się pomyśli bodaj na chwilę, że zaklęta jest w nich fantazja i zaklęte w nich są myśli i może nawet miłość nieznanego jakiegoś artysty, któremu umilała pracę kolorowa maleńka pani w żółtych jedwabnych spodeńkach?

W pokoju powiał jakby prąd chłodnego powietrza. Ręce grających zatrzymały się. Przez niezasłonięte od ogrodu okna wpadła smuga księżycowego światła. Ktoś westchnął.

— Opowiem panu coś, fakt, który może pana przekonać, że nie wszyscy są pańskiego zdania. Że zdarzają się ludzie, gotowi ponad życie ludzkie przenieść posiadanie kochanych przedmiotów. Takim człowiekiem była moja przyjaciółka, Annabel Steele, żona pułkownika Gordona Steele'a, postaci wcale nie fantastycznej, lecz istniejącej kiedyś rzeczywiście w garnizonie wojsk Jego Królewskiej Mości w Delhi. Poznałam ją, bawiąc przejazdem w Indjach, skąd po tygodniu uciekłam przed falą upiornego gorąca. Annabel wyjechała razem ze mną i zdaje się, że jedyną chmurą, zasłaniającą nam radość tej ucieczki, była rozpaczliwa tęsknota sir Gordona.

Lady Sixton przestała na chwilę. Wszyscy obecni zaciekawieni w najwyższym stopniu, pozwracali się ku niej. Po chwili mówiła dalej:

— Pułkownik nie kochał żony — czcił ją i uwielbiał fanatycznie, czego dał dowód zezwoleniem na jej wyjazd. Należał do tych, którzy wiele potrafią poświęcić dla kochanej osoby. Annabel była śliczną, żywą kobietą, mądrą i kapryśną, odważną i rozpieszczoną, jak bywją pewne kwiaty, raniące i zachwycające zarazem. Zatrzymałyśmy się dopiero w Europie, a właściwie na mało europejskim półwyspie Krymskim, gdzie gnieździłyśmy się w wiszącej nad samem morzem chłodnej i przewiewnej willi, niby w szklanej kuli, zawieszonej między wodą i słońcem.

Wkrótce zawarłyśmy szereg znajomości i wybrałyśmy się któregoś wieczoru na nocny dancing do Odessy. Godne uwagi jest nagromadzenie wszelkiego rodzaju szumowin w tem mieście najbardziej chyba "portowem", ze wszystkich portów świata. Tańczyłyśmy do świtu prawie, poczem pod wodzą jakiegoś, nieokreślonej narodowości kapitana, zresztą człowieka dobrze wychowanego i eleganckiego, pojechało nasze kółko na prawdziwą chińską herbatę do małej herbaciarni w jakimś zaułku, tuż przy dokach.

Annabel nie była wesoła tego dnia. Rano otrzymała od pułkownika list, pełen tek gorącej tęsknoty i pragnienia, że mała moja przyjaciółka przez długą chwilę zagryzała wargi aż do bólu. Potem zaś skarżyła się na migrenę i oczy jej, zwykle płonące i przeźroczyste, tego dnia były chłodne i matowe.

Właściciel herbaciarni, Hu-tsing obiecał nam niespodziankę. Był to poprostu potwór. Brudne, zgarbione stare chińczysko z jakąś obmierzłą chorobą oczu, miał wykrzywione bezzębne usta, z kątów których ciekła mu wstrętna, żółta ślina z wieczystej prymki, o woni tak odrażającej, jak zgniła woda. Największem obrzydzeniem przejmowały mnie jego ręce: przypominały okropne szpony, nigdy nie myte, zarośnięte, ostre i drapieżne. Maleńkie oczki potrafiły spoglądać prosto w czyjeś źrenice tak okrutnie i ohydnie, że dreszcz wstrętu i grozy ogarniał patrzącego.

Blada twarzyczka lady Sixton nabrała w tej chwili tak cierpiącego wyrazu, że William, który nie spuszczał z mówiącej oka, odczuł wyraźnie ten sam dreszcz—dreszcz grozy i wstrętu. A mała Margit, założyła smukłe nogi na szczebel, łączący dwie nóżki jej czerwonego stołka i, oplótłszy rękami kolana, mówiła dalej:

— Poszedł do sąsiedniej izby, zawieszonej matą. Potrącał jakieś sprzęty, szukał czegoś, grzebał w rupieciach. Wrócił bardziej jeszcze zgarbiony, cuchnący i obrzydliwy, z dziwnym chichotem dźwigając w łapskach sporą szkatułkę, którą postawił na stole przed nami.

Było nas pięcioro i z pięciorga piersi wydarł się jeden okrzyk zachwytu: A oczy Annabeli zabłysły jak gwiazdy, jak kiedy nad jej prześliczną twarzą chyliły się bardzo kochane usta jej męża, pułkownika Gordona Steele'a. Skrzynka była niewielka, z drzewa bardzo starego i ciemnego jak dym. Rzeźbiona w setki i tysiące dziwacznych i potwornych smoków, liści, arabesek i liter chińskich, rzeźbiona tak cudownie, że wyglądała jak sen. — Czy nieprawda, panie Irvington, że najdroższe nasze zdarzenia przeżywamy czasami niby w śnie? — Skrzynka, o wieczku inkrustowanem siatką cieniutkich drucików srebrnych, zawierała grę Mah-Jong.

— Otworzył ją swemi szpetnemi dłońmi Hu-tsing i oczy nasze znów zapłonęły zachwytem: w skrzynce leżały małe, przepiękne płytki z kości słoniowej, o cudownej żółtawej patynie, niby powleczone promieniami słońca. Na nich zaś genjalny jakiś artysta, nocami chyba, bo w dzień takie bajki się nie rodzą, wyczarował kolorową, emaljowaną legendę "wiatrów", "charakterów", "bambusów" i cyfr. Delikatne, od używania zcieńczałe płytki, były zachwycające. A małe czworograniaste kostki leżały w oddzielnem puzdereczku, wyrzeźbionem z jednego kawałka kości słoniowej.

— Czy nieprawda, panie Irwington i panie Brown, że w podobnej rzeczy mogło się zakochać serce mojej małej przyjaciółki, słodkiej i szalonej Annabeli, kapryśnej, upartej i samowolnej? A czyż nie spełniłby każdy z was najmniejszej prośby jej, w zamian za jeden jedyny przeciągły pocałunek jej czerwonych ustek?

William odwrócił nagle oczy od ust mówiącej. Serce zabiło mu niespokojniej.

— Hu-tsing był stary i potworny. Był także lubieżny i drżał z pożądania na widok nagich ramion Annabeli. Porozumieli się szybko i dokładnie: tak jest, sprzeda jej grę Mah-Jong za cenę trzystu dolarów, ale pod warunkiem, że sama przyjdzie do niego z pieniędzmi nazajutrz o dziewiątej wieczorem. Służby nie trzeba — odeśle skrzynkę sprzedający przez swego służącego. Nie oszuka jej, niech tylko napewno przyjdzie...

Nie sądźcie zbyt surowo mojej przyjaciółki. Serce jej było temu winne, pokochała bowiem kwadraciki z kości słoniowej, malowane fantazją chińskiego artysty, tak, jak wy czasami kochacie kobiety — bezpamiętnie. Nic nie pomogły perswazje i błagania — Annabel nazajutrz wieczorem poszła odebrać swój Mah-Jong...

Lady Sixton umilkła na chwilę. W naprężoną ciszę wpadło drgające jak od bólu pytanie Williama:

— I?...

— I odebrała — powiedziała lady Sixton spokojnie, prawie leniwie. Sięgnęła równocześnie po cieńkiego papierosa i pałającemi oczami spojrzała dokoła siebie.

Wtedy podniósł się ciężki Norman, chłopiec o wiele wiedzących oczach, i podając jej zapaloną zapałkę, odezwał się, z trudem przełykając ślinę:

— Tak jest, droga lady Sixton. Ale nie skończyła pani opowieści, nie, napewno nie zna pani nawet jej zakończenia. Ja je znam...

Lady Sixton wbiła w niego jak sztylety, niesamowitym blaskiem pałające oczy. Wszyscy z niezmiernem zaciekawieniem zwrócili się ku Normanowi, który niskim swym głosem, ciężko i dobitnie mówił dalej:

— Pani Steele była osobą przewidującą. Ja zaś byłem przypadkowym świadkiem małej sceny, jaka rozegrała się owej nocy w Odessie i znalazła smutny epilog dopiero w kilka tygodni później, epilog, który długo rozbrzmiewał sensacyjnemi szczegółami w porcie.

Lady Annabel Steele nie poszła sama po odbiór szkatułki z Mah-Jongiem: zabrała z sobą swoją służącą, młodą dziewczynę, Rosjankę, stworzenie, jak się okazało, głupkowate, ale bezgranicznie wierne swej pani i bezgranicznie posłuszne. Annabel dała jej trzysta dolarów i kazała welonem zakryć twarz. Tak, służąca poszła do starego Hu-tsinga, a pani czekała na nią w zaułku na dokach. Gdy nieszczęśliwa dziewczyna po dwóch godzinach wróciła spłakana i w porozdzieranych szatach, Annabel odebrała od niej przedmiot swego pożądania, za który nie miała odwagi zapłacić pełnej ceny sama... W drodze do domu starała się pocieszyć dziewczynę i obiecywała jej sowite wynagrodzenie za to, co ją spotkało, gdy służąca, przechodząc nad głębokim kanałem, potknęła się, pośliznęła i wpadła w czarną toń.

Utonęła, nie wydawszy nawet jednego krzyku.

Annabel Steele powróciła do domu sama, niosąc z sobą ową cenną szkatułkę z grą Mah-Jong. Nazajutrz znaleziono zwłoki służącej i na tem byłaby się skończyła cała historja, gdyby nie gadatliwość i pyszałkowatość Hu-tsinga. Obrzydliwy Chińczyk pochwalił się przed swymi klientami, rekrutującymi się z pośród szumowin portowych, że sprzedał znaną szkatułkę za trzysta dolarów, a prócz tego otrzymał "dodatek" od damy z towarzystwa, prawdziwej damy angielskiej i do tego pułkownikowej...

Drugiej nocy nieznany jakiś sprawca, prawdopodobnie jeden ze stałych bywalców herbaciarni zamordował Hu-tsinga i zrabował cenę Mah-Jongu. Sprawa stała się głośna w całej Odessie.

Tymczasem sir Gordon Steele, pułkownik wojsk Jego Królewskiej Mości, stęskniony za żoną przybył właśnie do Odessy. Już w drodze ktoś usłużny powiedział mu o wszystkiem.

Gdy przybył do willi, w której mieszkała jego żona i ujrzał szkatułkę z Mah-Jongiem, nie chciał przeżyć strasznej świadomości. Zanim chwycił za rewolwer i skierował jego lufę w skroń, kaukaskim sztyletem przebił białą kochaną pierś żony...

Jednak przeznaczenie dość już miało śmierci, związanej z ową grą Mah-Jonga,—lady Steele uratowano. Wkrótce znikła z horyzontu i od tej pory nic o niej nie słyszano...

W pokoju było cicho, duszno i gorąco. Lady Sixton paliła papierosa w milczeniu.

Nagle podniosła się Mabel i wznosząc do góry ręce, wykrzyknęła swawolnie:

— Et, co tam! Dosyć tej gadaniny i bajek. Jedziemy na spacer, na powietrze!

Wesołość ogarnęła zebranych. Roześmiani, weseli i beztroscy rzucili się na dół do hallu, aby stamtąd wyjść przed dom, gdzie czekały ich samochody. Lady Sixton szła ostatnia, z tajemniczym uśmieszkiem na ustach, z oczami pełnemi tajemniczego żaru. I William Irvington, patrząc na nią, uczuł znów rozpaczliwe, namiętne pragnienie.

Nagle lady Sixton obróciła się i chciała coś powiedzieć do gospodarza, który postępował tuż za nią. Noga jej pośliznęła się na dywanie, wyścielającym schody i zanim Irvington zdążył powstrzymać ją od upadku, Margit runęła całym ciężarem ciała na twardą poręcz, uderzając głową o ostry kant narożnego słupa.

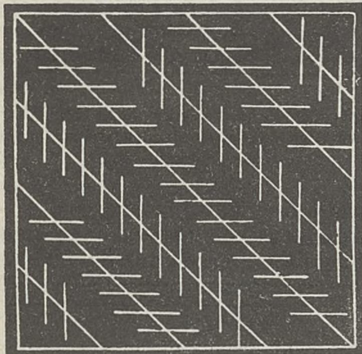
William zdrętwiał. Z czoła kobiety, która tak dziwnie działała na niego, sączyła się cienka nitka krwi. Lady Sixton zemdlała. Leżała bezwładnie na schodach, z głową w tył przechyloną, a z pod pękniętej bluzki, lśniły śnieżną białością cudownych kształtów jej piersi. Rzucił się, by ją podnieść, gdy wzrok jego dostrzegł między piersiami niewielką, ale wyraźną bliznę głęboką...

Wtedy zrozumiał. Zrozumiał także, że przez życie jego przeszła jeszcze jedna przygoda i wiedział, kim była lady Sixton, żona nieznanego bliżej lorda Sixtona.

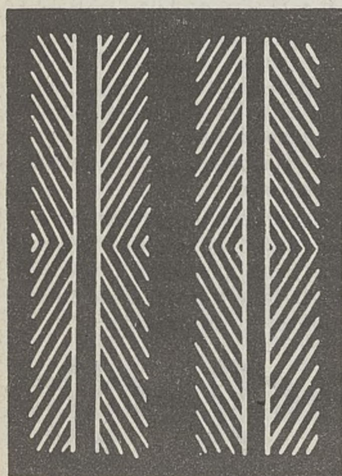


ZŁUDZENIA OPTYCZNE

NIERAZ słyszymy, jak ktoś zapewnia o jakiemś wydarzeniu, mówiąc: "widziałem na własne oczy" i uważa, że to jest już niezbity dowód. Tak samo mówi się: "słyszałem na własne uszy". Okazuje się jednak, że nie zawsze zmysły nasze mówią nam prawdę. Szczególnie wzrok człowieka często się myli i wprowadza w błąd. Popatrzmy na załączone tu ilustracje. Widzimy z całą pewnością, że na rysunku No. 1 jest siedem linij prostych, poprzecinanych krótkiemi linijkami. Długie linje są wyraźnie nierównoległe, tak nam przynajmniej powiada oko. Przecież dokładnie widać, że oddalenie końców z jednej strony jest inne niż oddalenie na drugiej stronie. "Na własne oczy widzimy" i moglibyśmy przysięgać, że linje są nierównoległe. Weźmy jednak linijkę i cyrkiel i zmierzmy dokładnie, albo poprostu podnieśmy "Jaskółkę" do wysokości pół twarzy, spójrzmy wtedy i zobaczymy, że długie linje są najzupełniej równoległe.



No. 1. Długie linje równoległe. Wyglądają zupełnie na nierównoległe.



No. 3. Długie linje są proste, czy wykrzywione?

Na rysunku No. 2 widzimy "na własne oczy", że długie linje na pierwszej połowie rysunku są w środku cokolwiek rozszerzone, na drugiej zaś połowie schodzą się ku sobie. Spojrzawszy z innego punktu widzenia, przekonamy się, że linje te są zupełnie proste. Otaczające je linijki pozałamywane sprawiają, że odnosimy wrażenie, iż długie linje są powyginane.

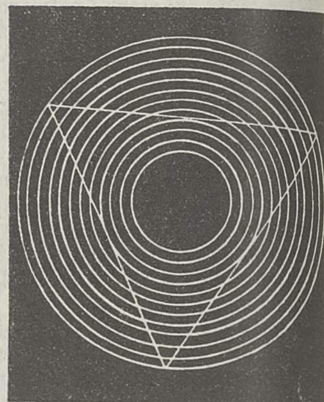
Na rysunku No. 3 jest trójkąt narysowany na szeregu kół. Wyraźnie widać, że boki trójkąta są powyginane ku środkowi. Tak przynajmniej widzimy "na własne oczy". Po przyłożeniu prostej linijki lub spojrzeniu z innego punktu widzenia okaże się, że boki trójkąta są zupełnie proste. Otaczające je koła sprawiają, że wyglądają na wygięte. Niezwykle wyraźnie ujawnia się złudzenie optyczne na rysunku No. 4. Widzimy tu dwa ugrupowania białych kulek. U góry rysunku mała kulka w otoczeniu sześciu większych, niżej większa kulka w otoczeniu sześciu mniejszych. Widzimy przecież wyraźnie, że kulka środkowa w dolnej grupie jest większa od kulki otoczonej większemi kulkami. Tymczasem obydwie środkowe kulki są jednakowej wielkości. Przekonać można się o tem, biorąc cyrkiel. Złudzenie na rysunku zostaje wywołane otoczeniem kulek.

Rysunek No. 5 nawet po bardzo dokładnem obejrzeniu, przedstawia naszym oczom linje równoległe, biegnące dokoła i tworzące coraz to mniejsze koła niezamknięte. Weźmy jednak ołówek czy pióro i zacznijmy przesuwać je po jednem z kół. Przekonamy się, że są to koła zamknięte, nie łączące się wcale jedno z drugiem.

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć tysiące. Widzimy więc, że nie zawsze można polegać w zupełności na tem, co "widzimy własnemi oczami".

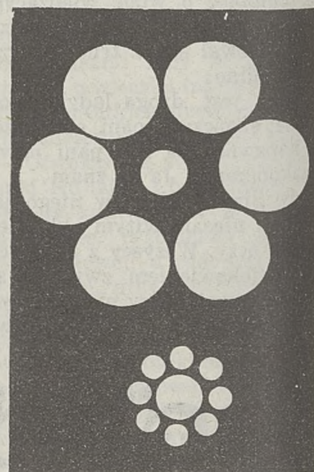
Jeden z najznakomitszych uczonych świata, Humboldt, twierdził, że gdyby mu jaki mechanik skonstruował aparat, tak zawodny jak nasze oko, nie przyjąłby takiej roboty gdyż nie mógłby polegać na akuratności i prawdomówności aparatu. Humboldt bowiem poznał rychło, że wiele rzeczy przedstawia się nam zupełnie inaczej, niż są w rzeczywistości.

Narząd wzrokowy człowieka słusznie można porównać z aparatem fotograficznym. Ma on bowiem z tem wszystkiem "co widzimy" tak mało do czynienia, jak



No. 2. Trójkąt o prostych bokach.

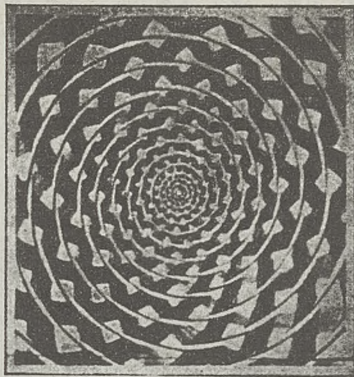
aparat fotograficzny z gotowemi już fotografjami. Oczy nasze bowiem nie widzą właściwie, tylko przyjmują znaki z naszego otoczenia, których świadome spostrzeżenie odbywa się dopiero w naszym mózgu. Nawet widzenie barw wcale nie jest pewne, a w wielu wypadkach bywa wprost mylne. Nie widzimy przecież kolorów takiemi, jakiemi one są w istocie, lecz tylko "wewnętrzne oko" nasze wyszukuje sobie z mieszaniny



No. 4. Która ze środkowych kulek jest większa? Oko nam powiada, że ta w dolnem ugrupowaniu. Zmierzyć.

barw najbardziej wysuwającą się i udziela siatkówce oka rozkazu, by ją jeszcze bardziej wysunęła, a w ten sposób wzrok nasz dla innych barw znieczuliła.

Skoro wzrok człowieka jest regulowany przez wewnętrzny nasz ustrój, nie może być mowy o objektywności naszych spostrzeżeń wzrokowych, tembardziej, że i wpływy zewnętrzne mogą oddziaływać na nasz wzrok. Patrząc na świat przez okulary niebieskie, widzimy wszystko w niebieskim kolorze, choć barwa przedmiotów, na które patrzymy wcale się nie zmieniła, a tylko kawałeczek szkła, którym zasłaniamy oczy, powoduje, że zatracają się dla naszego oka prawdziwe barwy.



No. 5. Koła koncentryczne. Oko nam mówi, że to linje równoległe, tworzące spiralny zwój.

Najwyraźniejszemi dowodami mylności naszego oka są niezaprzeczenie złudne obrazy, jakie podróżni nieraz widzą na wielkich pustyniach, tak zwane "Fata morgana". Oczom wędrowców, zmęczonych uciążliwą podróżą po pustyni, nagle ukazują się wspaniałe oazy, zarośnięte zielonemi, cienistemi palmami, strumyki płynące orzeźwiającą wodą i inne wspaniałości, które jednak znikają jak senne marzenie, są bowiem zwykłemi złudzeniami optycznemi. Zanim jednak ktokolwiek z czytelników "Jaskółki" będzie miał sposobność zapoznania się z mirażami pustynnemi, łatwo może sprawdzić prawdziwość powyższego artykułu, patrząc na załączone rysunki najpierw jak zwykle, a potem z odmiennego punktu widzenia.

BENEDYKT HERTZ.

KONCERT

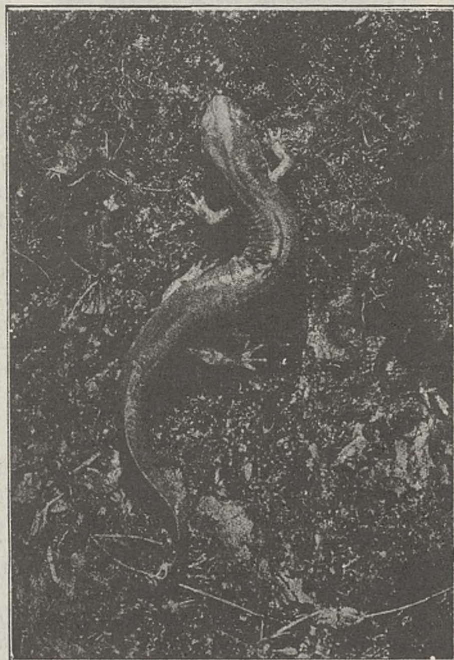
Raz do kwartetu
Osieł i Kogut szukali kompletu.
Pierwszy z nich trębacz, a drugi — że czysto
Śpiewa — więc jest tenorzystą.
Miał też Brysio wyć altem, lecz skoro odmawia,
Na trzeciego proszono od studni Żórawia,
Który, jak wiadomo, gdy nie jest przy chrypce —
Skrzypi, jak skrzypce.
Szło o czwartego. Myśleli, myśleli —
(Z byle kim Kogut sławy nie podzieli) —
Zdecydowano wkońcu bez osłonek,
Że zespołowi sprosta jeno mistrz Skowronek.
Ten z za granicy podwórka:
Z Osłem Kurem i Studnią, w sam raz będzie czwórka.
Nie dał się długo prosić i wnet ptaszę lube
Spieszy na próbę.
Kłapouch ogon zadarł i wrzask taki nagle
Powstał, jakby sto wyjców dostało się w magle.
Ryki, beki, świsty, piski,
Zda się — koniec świata bliski.
Jak dziesięć żydowskich fur
Skrzypi Żóraw. Drze się Kur,
Dobywając głosu z trzew. Osieł trąbi, szkli i chrząka,
Tylko nie słychać Skowronka . . .
W chór wtłoczony, zagłuszony
Jego rzewny zginął śpiew.
Kłapouch spuścił ogon.
— Tak, to na nic! — krzyczy.
W tym koncercie brak słodyczy;
A wina to oczywista.
Tego, kto w tonach tkliwych jest specjalista.
Jeszcze raz od początku! Ale jest proszony
Skowronek o mocniejsze akcenty i tony . . .
Więc powtarzają raz drugi i trzeci.
Jednak się całość nie kleci
I kakofonja wcale się nie zmniejsza:
Przeciwnie, coraz straszniejsza.
Zmartwiony Osieł wziął na bok Pietucha
I tak mu szepce do ucha:
— Nic z koncertu nie będzie — zespół źle dobrany,
Ten Skowronek stanowczo przereklamowany.

ZE ŚWIATA PŁAZÓW

PŁAZY, zwane inaczej zwierzętami ziemno-wodnemi, stoją, jak sama nazwa wskazuje, na pograniczu pomiędzy zwierzętami wodnemi i lądowemi. Twory te są więc bardzo ciekawe, gdyż wiadomo, że cały żyjący świat lądowy powstał z głębin morskich, a przez badanie ich można będzie odgadnąć, jakiemi drogami odbywała się ewolucja i przystosowanie zwierząt wodnych do życia lądowego. Płazy, jako zwierzęta, które pół życia spędzają w wodzie, drugie zaś pół na lądzie mogłyby dać światu odpowiedź na to trudne i ciekawe zagadnienie.

Ten rodzaj zwierząt najmniej jest dotychczas znany wiedzy ludzkiej. Są wprawdzie po muzeach i ogrodach zoologicznych liczne gatunki płazów, ale życie tych tworów, ich właściwości biologiczne i fizjologiczne są mniej znane niż u innych zwierząt.

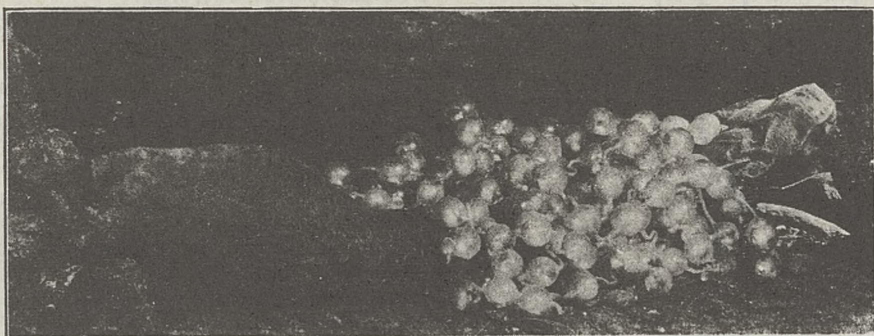
Jednym z bardzo ciekawych płazów jest Salamandra czerwona, pojawiająca się dosyć obficie w Stanach Zjednoczonych. Okres rozwojowy tej salamandry mało był do niedawna znany. Błyszcząca barwa świeżo przeobrażonej salamandry czyni z niej jeden z piękniejszych gatunków płazów. Zasadniczą barwą salamandry jest kolor koralowy, jasnoczerwony, grzbiet jej, głowa i szyja są gęsto usiane czarnemi plamkami. Brzuszek i boki są jaśniejszej barwy i zawierają niewiele ciemnych plamek. W niektórych miejscach skóra salamandry czerwonej jest tak przeźroczysta, że doskonale widać przez nią pulsacje serca i położenie ciemno-brunatnej wątroby.



Salamandra czerwona w pełnym rozwoju.

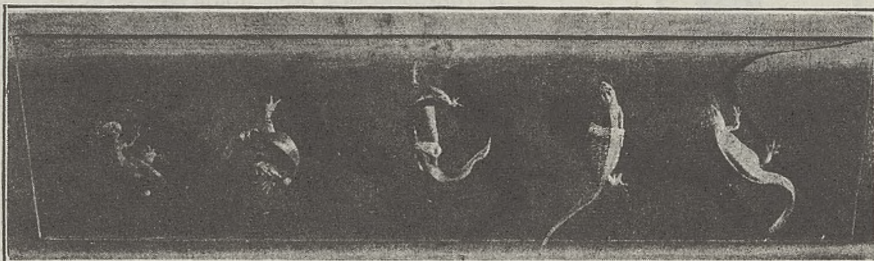
Pomimo tego żywego zabarwienie salamandra nie rzuca się w oczy, gdyż kryje się pod kamieniami strumieni lub pomiędzy gęstemi wodorostami. Spotkać w takich miejscach można ją przez cały rok, w zimie jest jednak powolniejsza i głębiej się chowa. W letnich miesiącach odbywa częste wędrówki na brzeg, szczególnie w porze nocnej, kiedy powietrze jest nasycone wilgocią, a jej cienka skóra nie jest narażona na wyschnięcie. Salamandra bowiem tego gatunku należy do niezmiernie ciekawej grupy biologicznej, która pozbawiona płuc, oddycha tylko przez cieniutką swą skórę i błonę śluzową gardzieli. Wyschnięcie skóry naraża ją na szybkie uduszenie.

W przeciwieństwie do salamander napotykanych w Polsce i innych krajach Europy, składających jaja na wiosnę lub wczesnem latem, Salamandra czerwona składa swój skrzek późną jesienią i potomstwo jej wykluwa się dopiero w zimie. Skrzek tej salamandry składa się z kilkudziesięciu jajek, otoczonych galaretowatą warstwą, dzięki której przylepia się do kamieni i wodorostów.



Skrzek salamandry czerwonej.

Wykluwający się zarodek stopniowo tylko upodabnia się do formy doskonałej. Najbardziej znamienne różnice występują w tkankach czaszki, tułowia i ogona. Następnie pojawiają się skrzela, dwie pary nóg i komórki, nadające skórze zabarwienie. Począt-



Salamandra czerwona, zmieniająca skórę.



Okolice Orlando (Florida), gdzie płazy i gady pojawiają się w wielkiej obfitości.

kowo skrzela ukazują się jako zwykłe wyrostki, ale zróżnicowanie następuje szybko i jedne wyrostki przetwarzają się w delikatne wiązki niteczek-skrzela, inne natomiast w kończyny nożne. z których pierwsza para rozwija się szybciej.

W momencie wykłucia się młoda salamandra mierzy zaledwie pół cala. Prócz utworzonych nóg wiele innych narządów pozostaje jeszcze w zawiązku. Jest to więc ślepe stworzonko, którego oczy zaznaczone są zaledwie ciemnemi plamkami, pyszczek jest jeszcze zrośnięty, ogon zaś zaopatrzony w płetwę. Stanowi on główny narząd ruchu i przy jego pomocy larwa uwija się pośród kamieni, szukając ciemniejszych miejsc.

Wobec braku otworu pyszczkowego natura zaopatrzyła larwę w woreczek, umieszczony na brzusznej stronie i wypełniony żółtkiem. Młode stworzonko wsysa pozostawione zapasy żółtka, które stanowi dla niego doskonały pokarm. Zresztą podczas najzimniejszego sezonu ukrywa się pod kamieniami, gdzie pozostaje aż do wiosny. Wtedy kijanka budzi się do prawdziwego życia. Zapas żółtka już się bardzo zmniejszył, należy więc pomyśleć o pożywieniu. W tym czasie pyszczek i oczy wykształciły się już w zupełności i poszukiwanie pożywienia nie spotyka wielkich przeszkód. Zaczyna się tedy polowanie na drobne larwy i robaczki, pływające masami wśród wodorostów i pożeranie smacznych kąsków

Tymczasem zmienia się brudnobiały kolor skóry, a larwa dosięga długości cala. Stopniowo nabiera cech formy dojrzałej. Barwa brunatna przechodzi w czerwoną, skrzela ulegają zupełnemu zanikowi a ogon zaokrągla się. Pojawiają się zęby, wargi i język i larwa o ściśle wodnym trybie życia przystosowuje się do życia lądowego.



Ropucha amerykańska.

Dorosła salamandra nie lubi towarzystwa. Żyje naogół pojedyńczo, a głównem jej pożywieniem są robaczki, owady, a nawet i inne salamandry. Nie dorasta nigdy rozmiarów ponad sześć cali długości.

Począwszy od wczesnych stadjów rozwojowych walczyć musi o byt i chronić się przed nieprzyjaciółmi. Nawet skrzek salamandry znajduje licznych amatorów wśród wodnych żyjątek, a na młode larwy polują zawzięcie owady i inne płazy.

Innym niezmiernie ciekawym okazem świata płazów jest pospolita w Stanach Zjednoczonych Ropucha amerykańska. Rozwija się i przetwarza zupełnie jak inne płazy, a oryginalność jej polega na tem, że samica hoduje liczne swe potomstwo przy sobie, w przetworzonych gruczołach skórnych i wypuszcza je na swobodę dopiero wtedy, gdy młode jej larwy są już zdolne do poszukiwania sobie pożywienia samodzielnie i potrafią skutecznie ukrywać się przed licznemi zwierzętami, czatującemi na nie jako na smaczne i pożywne kąski.

Płazy nie przedstawiają się efektownie i wzbudzają raczej wstręt w człowieku, ale przedstawiają wiele niezmiernie ciekawych problematów biologicznych i w wysokim stopniu przyczyniają się do rozjaśnienia tajemnic, przebytych przez świat zwierzęcy ewolucyj.

Najbogatsze na świecie zbiory okazów z ciekawego świata płazów posiada dział herpetologiczny Muzeum Zoologicznego w New Yorku. Dział ten istnieje dopiero dwadzieścia kilka lat a już posiada przeszło 60,000 okazów płazów i gadów. Na zbiór ten składają się zdobycze wypraw naukowych do Florydy, Alaski, Meksyku, republik Ameryki środkowej, Afryki, Azji i wysp morza Południowego. W Stanach Zjednoczonych obfituje w liczne gatunki płazów i gadów słoneczna Floryda.

KOŚĆ SŁONIOWA



OŚĆ słoniowa, dzięki swej piękności, swym licznym zastosowaniom w różnych dziedzinach sztuki, wreszcie ze względu na krew, często przelewaną przez tych, którzy ją zdobywali, może być śmiało uznaną za drogocenny materjał, równy złotu i drogim kamieniom.

Rzeźba w kości słoniowej jest jednym z najwcześniejszych przejawów artyzmu ludzkiego. Salomon, według licznych opisów, posiadał tron z kości słoniowej. Faraonowie egipscy na kilkanaście stuleci przed Chrystusem dostawali całe ładunki kości słoniowej z Abisynji, a posąg Jowisza Olimpijskiego, dłuta nieśmiertelnego Fidjasza był rzeźbiony z kości słoniowej i przybrany złotem.



Rzymianie tak wiele używali kości słoniowej, że w pierwszych latach ery chrześcijańskiej, źródła zdobywania tego cennego materjału były prawie zupełnie wyczerpane.

Z nastąpieniem okresu Odrodzenia i z rozwojem kultu piękna wzrosło znów zapotrzebowanie na drogocenny materjał, którego źródła odnaleźli Portugalczycy na ziemiach afrykańskich. W połowie XVII stulecia nastąpił ponowny kryzys na rynku kości słoniowej, aż dopiero Holendrzy odkryli nowe zasoby kości słoniowej w swych kolonjach.

Kły rosną u słonia przez cały okres jego życia, tak na zewnątrz, jak i wewnątrz przyczem część wewnętrzna stanowi mniej więcej jedną trzecią całej ich długości.

Największa ilość kości słoniowej dostarczała zawsze i dostarcza teraz Afryka. Miljony słoni ginie dla zaspokojenia chciwości ludzkiej, gdyż słoń musi być zabity przed wyjęciem kłów. Sama operacja wyjmowania kłów jest bardzo mozolna i dlatego najczęściej wystawiają trupy słoni na szereg dni na działanie powietrza i słońca, aby rozpoczął się proces gnicia, który ułatwia wyjmowanie kłów.

Największe kły słoniowe otrzymane dotychczas były zdobyte w roku 1898-ym w okolicy jeziora Tanganika w Afryce. Kły te ważyły po około 230 funtów każdy.

Obecnie największe partje kości słoniowej wysyła Kongo, Górny Sudan i Afryka Portugalska.

Pośród krajów, zużywających największe ilości kości słoniowej na pierwszem miejscu stoją Stany Zjednoczone, które masowo wyrabiają klawisze do fortepianu. Ośrodkiem tego przemysłu jest stan Connecticut.

Wyrób klawiszów fortepianowych i innych przedmiotów, jak kule bilardowe, broszki, medaljony i najrozmaitsze przedmioty galanteryjne, jest bardzo trudny z powodu zmienności słoja i własności fizycznych tego cennego materjału. Przemysł ten posiada mnóstwo sekretów zawodowych i wymaga specjalnie szkolonych robotników.

W dawniejszych czasach handel kością słoniową był związany ściśle z handlem niewolnikami. Arabowie, którzy za czasów niewolnictwa byli głównymi dostarczycielami murzynów z Afryki, otwarcie przyznawali, że handel żywym towarem opłacał im się tylko w połączeniu z handlem kością słoniową. Częste też były wypadki, że okręt wiozący transport niewolników, oprócz ludzkiego ładunku miał na dnie stosy kłów słoniowych, zdobytych przez tych właśnie murzynów, których podstępni i okrutni handlarze wieźli na sprzedaż do dalekich plantacyj, jakich właściciele bogacili się kosztem krwi i potu nieszczęśliwych czarnych.

W teraźniejszych czasach wiele przedmiotów, wyrabianych dawniej z kości słoniowej można wyrabiać z innych, mniej kosztownych, a równie odpowiadających celowi materjałów.

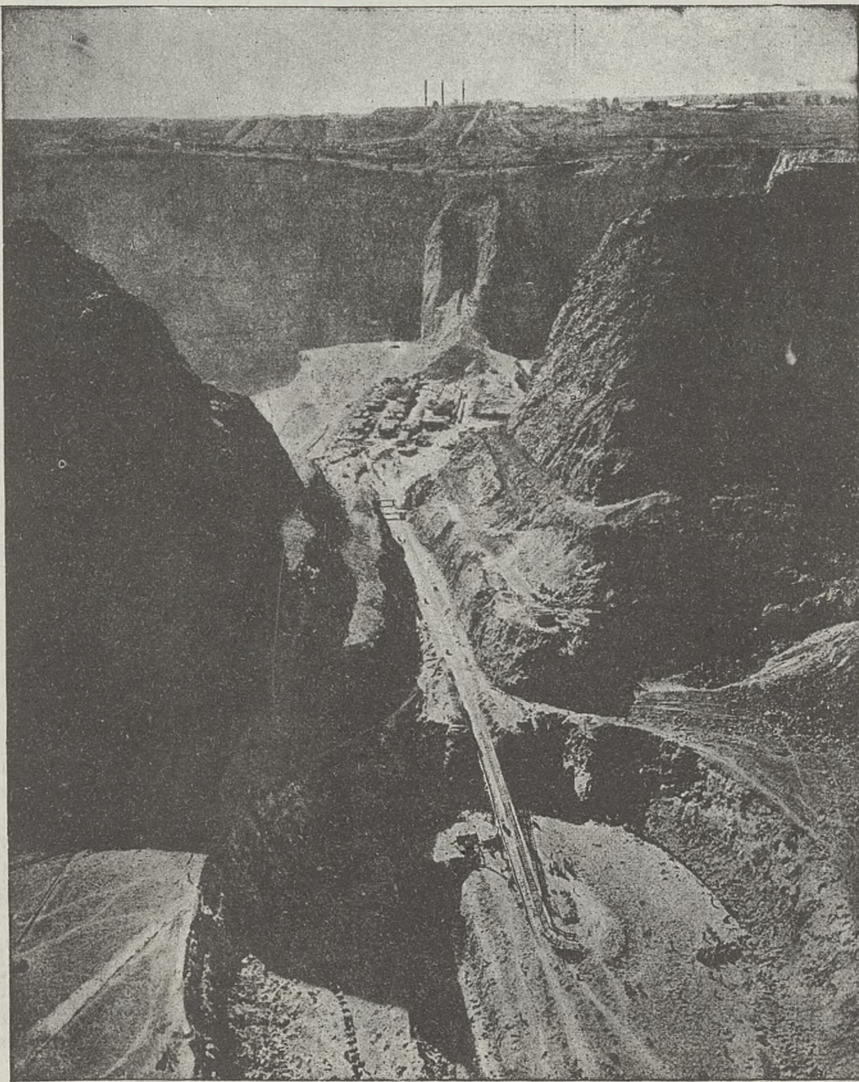
Bardzo wiele przedmiotów, które dawniej wyrabiano wyłącznie z kości słoniowej, wytwarzają teraz z kazeiny, wydobywanej z mleka, znakomicie nadającej się do celów przemysłowych, z celuloidu, wyrobywanego z drzewika, z tak zwanego "bakelitu", który jest rodzajem syntetycznej żywicy z podstawowym składnikiem karbolem, a nawet z kartofli, dających w przerobieniu chemicznem twardy i podatny materjał, podobny pod wielu względami do kości słoniowej. Wyroby z wymienionych materjałów nieraz do złudzenia naśladują kość słoniową, wykazując nawet owe delikatne żyłki i stoje, jakie znajdujemy w prawdziwych kłach słonia.

W OJCZYŹNIE DIAMENTÓW

W ROKU 1866-ym pewien wędrowny kupiec odwiedził znajomego osadnika w West Griqualand, w Południowej Afryce, i zwrócił uwagę na błyszczący kamyk, którym bawiła się mała córeczka gospodarza. Gość zainteresował się kamykiem i wziął go do odległego miasta, gdzie pokazał go jubilerowi. Okazało się, że ów kamyk był wspaniałym diamentem, przedstawiającym wartość kilku tysięcy funtór sterlingów. W całej okolicy zawrzał gorączkowy ruch. Rozpoczęto na wszystkie strony poszukiwanie diamentów. Ostatecznie po długich dochodzeniach co do pochodzenia diamentu, znalezionego u wspomnianego osadnika, ustalono, że kamień był znaleziony w żołądku strucia, upolowanego przez ojca dziewczynki. Wobec tego zaprzestano dalszych poszukiwań, gdyż struś mógł przywędrować z dalekich stron z kamieniem w żołądku.

W rok potem cały kraj został zelektryzowany wieścią, że na brzegu rzeki Vaal znaleziono olbrzymi diament, nazwany "Gwiazdą Południowej Afryki", wartości 25,000 funtów sterlingów.

I znów rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania tych kosztownych kamieni, tym razem uwieńczone nadspodziewanie dodatniemi wynikami. Odkryto "dolinę diamentów". Setki, a pod koniec roku, tysiące ludzi kopało gorliwie na brzegach rzeki.



Wielka kopalnia diamentów "Premier", w pobliżu miasta Pretorji w Afryce Południowej.

Dziwna to była kampanja. Olbrzymi koszt dojazdu, potrzeba zaprowiantowania się na czas nieograniczony, brak komunikacji, a przytem niepewne zyski wymagały znacznych środków pieniężnych, to też w skład pierwszych kopaczy diamentów wchodzili prawie wyłącznie ludzie zamożni i wykształceni. Profesorowie lub studenci na wakacjach, emerytowani oficerowie, urzędnicy, lekarze, inżynierowie i adwokaci ciągnęli do diamentowej doliny. Ręce, przyzwyczajone do pióra, do podpisywania czeków, manewrowania lancetem lub przewracania kartek książek, przesiewały żwir lub chwytały za oskardy i łopaty. Członkowie bogatych klubów, przyzwyczajeni do wszelkich wygód i zbytku, sypiali w lichych szopach na pryczach lub skąpo słomą wysłanych siennikach. Strój ich był strojem górnika, maniery wytwornych panów.

Takie było lato roku 1870-go. Niestety, diamentów nie znajdowano tyle ile się spodziewali poszukiwacze, a że były rozłożone bardzo nierówno, niejeden z poszukiwaczy odchodził zrujnowany i rozczarowany. Wtedy to rozeszły się pogłoski o odkryciu niezmiernie bogatych pól diamentowych w Kimberley.

W niesłychanie krótkim czasie pokryła się cała okolica dzisiejszego Kimberley płóciennemi namiotami, wozami, zastępującemi mieszkania i szałasami. Gromady kopaczy przesiewały bogatą w dia-

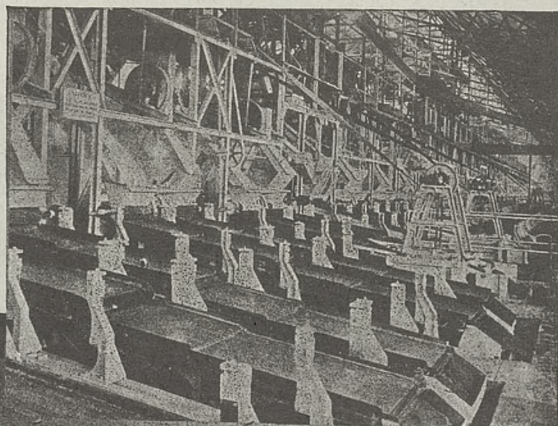
menty ziemię, a wśród nich uwijali się liczni spekulanci, którzy płacili zgóry za to, co inni dopiero mieli znajdować. Zjawili się też rychło angielscy kupcy, przemycający diamenty wbrew ustawom i zakazom. Spryt ich był wprost niewyczerpany. Używano wszelkich możliwych sposobów do przemycania kamieni. Ukrywano diamenty w papierosach, w fajkach, w mydle, w chlebie, w wydrążonych obcasach. Te wszystkie sposoby jednak rychło były odkrywane, więc przemyślni przemytnicy wykombinowali nową sztuczkę, mianowicie używali zwierząt do przemycania diamentów. Zgłodniałego psa karmiono mięsem, zawierającem diamenty, oddalano się z psem poza granice strzeżone przez straż urzędową i odzyskiwano kamienie po zabiciu zwierzęcia.

Wobec ogromnego zbiegowiska ludzi, pożywienie było sprzedawane na wagę złota, a brak wody był tak wielki, że jeżeli ktoś koniecznie chciał wziąć kąpiel, to brał ją w sprowadzanej zdaleka wodzie sodowej. Można sobie wyobrazić ile mogła kosztować podobna przyjemność.

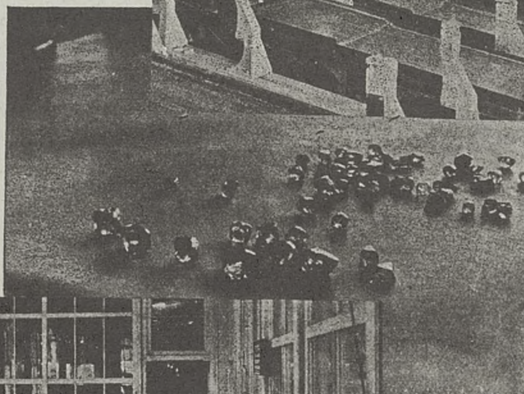
Na nowoodkrytych polach diamentowych praca odbywała się zupełnie inaczej niż w Vaal, gdzie nad rzeką diamenty, unoszone prądem wody, rozsypane na przestrzeni wielu mil, były trudne do znalezienia. W Kimberley, z przyczyn natury wulkanicznej znajdowały się żyły diamentowe, sięgające wgłąb ziemi. Gdy powybierano kamienie znajdujące się tuż pod powierzchnią ziemi, trzeba było sięgać głębiej, co powodowało znacznie większe koszty wydobywania diamentów. Stopniowo znikali pojedyńczy poszukiwacze i tylko połączeni więksi kapitaliści mogli prowadzić dalej roboty. Po kilkunastu latach powstały w Kimberley wielkie zakłady przemysłowe, które przy pomocy udoskonalonych środków technicznych wydobywały diamenty z kamienistego gruntu. W pierwszem dwudziestoleciu wydobyto w okolicach Kimberley 6 ton diamentów.

Dzisiejsze miasto Kimberley przylega do olbrzymiego terenu o pięciu kilometrach średnicy, na którym mieszczą się za ogrodzeniem z drutu kopalnie, domy mieszkalne, składy, warsztaty, szpitale, łaźnie i kuchnie, wszystko co jest potrzebne dla przedsiębiorstwa i 5,000 górników z plemienia Bantu. Są to ochotnicy, kopiący przez sześć miesięcy corocznie, aby potem wrócić do swego kraalu z pieniędzmi na płacenie podatków, kupno żony wyposażonej w bydło i nabycie harmonji lub choćby tylko organków.

W kopalniach Kimberley co tydzień wysadza się dynamitem 70,000 ton kamienistego kruntu. Następnie kruszy się wielkie bryły ziemi, a płynąca woda niesie ją do stalowych bębnów, w których siła wirowa rozdziela zbitą masę na drobne bryłki. W korytach z sitami woda zabiera jałową ziemię i pozostawia tylko kamyki i żwir. Te ostatecznie spływają na rodzaj stołów, pokrytych zgęszczoną ropą naftową. Do tej ropy przylepiają się diamenty, a wszelkie inne kamyki odpływają z wodą.



Koryta z sitami do przemywania ziemi zawierającej diamenty.



Surowe diamenty po przepłukaniu w kotłach z wrzącą wodą.



Sortownia diamentów. Specjaliści przy pracy.

Po tym całym procesie skomplikowanego przeszukiwania 70,000 ton ziemi ze złóż diamentowych pozostaje zwykle około 4 funty diamentów różnej wielkości i czystości. Zebrane z ropy diamenty dostają się do kotła z wrzącą wodą, skąd przenoszą je do sortowni. Tu odbywa się segregowanie diamentów według ich rozmiarów.

Pewien podróżny, któremu udało się zwiedzić sortownię diamentów w Kimberley opowiada, że na jednym tylko stole widział tam stos diamentów łącznej wagi 18,500 karatów, a więc wartości mniej więcej miljona dolarów. Oszołomiony tym widokiem turysta zapytał jednego z pracowników o wrażenie, jakiego doznaje przy pracy.

— Tak, jakbym groch łuskał — odpowiedział sortownik, ziewając lekko.

Okazuje się, że przez zbytnią poufałość z diamentami traci się dla nich szacunek.

Olbrzymia kopalnia Premier znajduje się w Transwaalu, o 40 mil od miasta Pretorji. W ciągu ćwierci wieku kopalnia ta dała 6 i pół ton diamentów, a w ich liczbie sławnego Cullinan'a, najwięk-

szego z diamentów świata. Diament ten mający 4 i pół cala długości i 2 cale szerokości został pocięty na 9 dużych kamieni i kilkadziesiąt małych. Ważył przeszło dwa funty. Obecnie części jego znajdują się pośród angielskich klejnotów koronnych.



Kopalnia diamentów w Kimberley.

Turysta, zwiedzający tę kopalnię, stojąc na brzegu olbrzymiego wąwozu, może obserwować niepowszedni widok wybuchów dynamitu w kopalni. Co jakiś czas rozlega się głośny dźwięk dzwonu, czerwona flaga wznosi się dogóry i tłumy robotników rozpraszają się momentalnie jak mrówki, szukając schronienia. Po chwili następuje kilkaset, nawet do 2,000 wybuchów i masy błękitnej ziemi lecą w powietrze. Wybuchy cichną, górnicy ukazują się nanowo, aby ładować bryły na wózki i przesłać je maszynom do pokruszenia.

W Afryce Południowej nierzadko rozchodzą się wieści o nowych złożach diamentowych. Wówczas tłumy ludzi śpieszą na pola, gdzie mają pojawiać się diamenty i tyczkami zaznaczają obrane miejsca. W przeciągu kilkunastu godzin pustkowie zamienia się na gwarne i rojne obozowisko, które, jeżeli wieść o diamentach okazała się prawdziwą, po niedługim czasie zamienia się na miasto o kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców. Rychło powstają blaszane domki, szopy, sklepy i posterunki policji.

Jednym się powiedzie, innych spotka zawód, ale wszyscy będą grzebać w ziemi i łudzić się zdobyciem majątku, dopóki nie rozejdzie się pogłoska o nowych terenach. Wówczas nowopowstałe miasto znika, by znaleźć się gdzieś dalej, na nowych obszarach, gdzie mają się znajdować drogocenne kamienie. Niektóre z takich osad poszukiwaczy diamentów pozostają jednak na stałe i przetwarzają się na prawdziwe miasteczka, których mieszkańcy częściowo trudnią się handlem, częściowo zaś biorą udział w poszukiwaniu diamentów w innych okolicach, pozostawiając swe rodziny w mieście.

Gorączka diamentów działa na ludzi zupełnie taksamo jak gorączka złota, ale tylko dopóty, póki poszukiwanie odbywa się przez jednostki, nie sposobem fabrycznym. Wtedy każdy poszukiwacz marzy o znalezieniu wielkiego kamienia, którzyby miał wartość setek tysięcy i z niezmiernym zapałem grzebie w ziemi. Gdy jednak powstanie zakład fabryczny, gdzie praca jest unormowana, a znalezione diamenty należy oddawać do wspólnej sortowni, wówczas ostyga zapał i miejsce rozgorączkowanych poszukiwaczy zajmują zwykli robotnicy, przeważnie rekrutujący się z okolicznych plemion tubylców.

Pomimo bacznego strzeżenia robotników w kopalni diamentów, częstych rewizyj i niedopuszczania obcych na tereny kopalni, często są wypadki przemycania cennych kamieni. Robotnicy mają swoje sposoby chowania znalezionych diamentów. Gdy uda się któremu znaleźć diament tak, że dozorca nie zauważył, kamyk dostaje się do jakiejś zgóry upatrzonej skrytki i w odpowiednim czasie trafia do rąk tajemnego handlarza, który za znikomą cenę nabywa nieraz kamień bardzo wysokiej wartości.

OR-OT (ARTUR OPMAN)

MOWO POLSKA! (Urywek).

Mowo polska! Wróg ci bluźnił męką,
chciał zabijać, jak Chrystusa zbir,
a tyś rosła pod zbójecką ręką
i słońcami ciskałaś na kir.
Dźwięk twój śpiewał i płakał i szlochał,
gorzał tęczą, rozkwitał jak kwiat,
a tak naród cię kochał, tak kochał,
jak się kocha swobodę z za krat!

Mowo polska! Orlico swobodna,
tyś wichr wzlotów, tyś krwawych miecz starć.
Mowo polska! Słoneczna i miodna,
tyś pachnąca ojczystych lip barć.
Mowo polska! Pacierzu i gromie,
tyś szept matki nad dziecka złym snem.
Mowo polska! Ojczyzno i domie,
i czem jesteś?
Jam sercem jest twem!...

KOPALNIE ASFALTU I SIARKI

NA SYCYLJI

Już przeszło sto lat temu odkryto w pobliżu miast Modica i Raguza na należącej do Włoch wyspie Sycylji, bogate złoża asfaltu i rozpoczęto wydobywanie tego minerału, który znajduje szerokie zastosowanie przy budowie ulic nowoczesnych w wielkich miastach świata, jak w Londynie, New Yorku, Berlinie, Kopenhadze, Warszawie i wielu innych. Od tego czasu do dziś dnia wre praca w kopalniach asfaltu i siarki na Sycylji, ale jakże różnią się owe kopalnie od nowoczesnych kopalń amerykańskich i europejskich, gdzie stosuje się cały szereg znakomitych środków technicznych, mających na celu ulżenie pracy robotnikowi i wzmożenie wydajności danej kopalni.

Praca w kopalniach asfaltu nie jest bardzo ciężka, gdyż łupanie stosunkowo miękkiego materjału i przepychanie zwykłych wagoników po względnie równych szynach nie wymaga specjalnych wysiłków. Pozatem kopalnie asfaltu są przeważnie płytkie i robotnicy mają możność oddychania niezepsutem powietrzem, dostającem się przez szerokie otwory do wnętrza kopalni i cieszyć się widokiem zawsze niebieskiego sycylijskiego nieba. Gorzej w kopalniach siarki. Tam praca jest nadwyraz ciężka i nużąca, a warunki, w jakich muszą sycylijscy górnicy pracować po kilkanaście godzin dziennie, są wprost straszne.



Modica — jedno z najpiękniejszych miast na Sycylji.



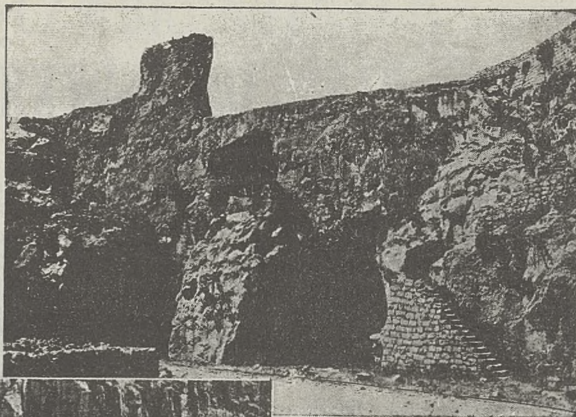
Miasteczko Caloscibeta w okręgu kopalń siarki i asfaltu na Sycylji.

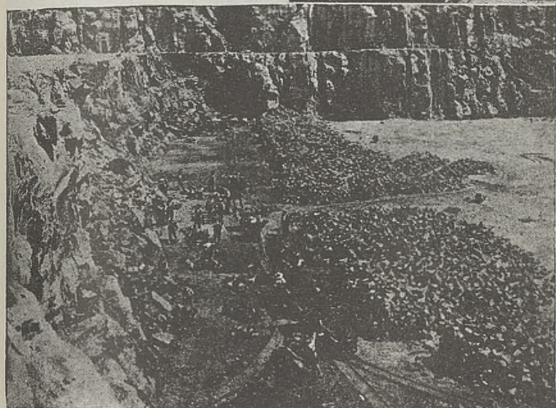
Główną przyczyną niskiego poziomu kopalń sycylijskich jest brak wszelkiego zrozumienia interesów własnych ze strony dzisiejszych ich właścicieli. Posiadacze poszczególnych kopalń żałują pieniędzy na ulepszenia i maszyny, usiłując zyskać jak najwięcej na pracy pony, usiłując zyskać jaknajwięcej na pracy poszczególnego górnika, którego wydajność nigdy nie dorówna wydajności górnika kopalni nowoczesnej, wyposażonej w dobre środki techniczne.

Drugą przyczyną kiepskiego stanu kopalnictwa sycylijskiego jest rozdrobnienie własności i brak odpowiedniej, sprawnie działającej organizacji. Właściciele małych kopalń asfaltu czy siarki, pracując każdy z osobna, nie mogą postawić swych szy-

bów na odpowiedniej stopie i prowadzą wieczną walkę z trudnościami finansowemi, co odbija się haniebnie na stosunku pracodawcy do robotnika. Wydaje im się, że jedynym sposobem osięgania jak największych zysków z kopalni jest utrzymywanie na jak najniższej stopie zarobku robotników pracujących w kopalniach.

Smutne i ciężkie jest ży-



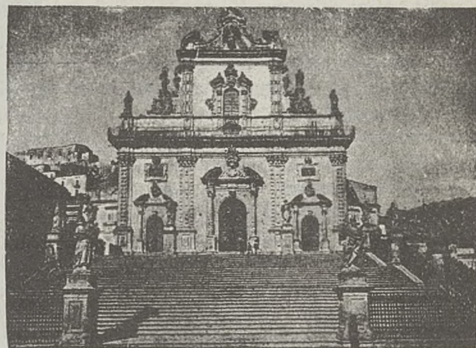


Fragmenty kopalni asfaltu w pobliżu Raguzy na Sycylji.

cie sycylijskiego robotnika w kopalniach siarki. Właściciele kopalń nie pozwalają swym górnikom używać wind do spuszczania się wgłąb kopalni, ani wydostawania się na powierzchnię ziemi, i górnicy, zamieszkali przeważnie w sporej odległości od miejsca pracy, w lichych wioseczkach, w oddaleniu od trzech do ośmiu mil angielskich, po przebyciu piechotą drogi z domu, muszą zstępować wgłąb szybów po niewygodnych i śliskich schodach w skale wykutych, a po skończeniu mozolnego dnia roboczego muszą się schodami wydobywać z głębokości tysiąca lub półtora tysiąca stóp.

Już u samego wejścia do szybu siarczanego rozchodzi się przykra i żrąca woń gazów, przeważnie bezwodnika kwasu siarkowego. Wmiarę zapuszczania się wgłąb kopalni powietrze staje się coraz cięższe i coraz gęstszemi przesiąknięte oparami, coraz przykrzejsze i uciążliwsze do oddychania. Od dna kopalni w równych kierunkach rozchodzą się liczne galerje. Wszystkie te przejścia są wąskie i niskie, duszne i słabo elektrycznością oświetlone. Po nierównych chodnikach posuwają się ku głównym przejściom zgięte, przygarbione ciężarem surowca postacie robotników, którzy wynoszą z bocznych galeryjek wydobyty minerał, by je ładować na wózki, odwożące wydartą ziemi siarkę ku dźwigowi. Wózki do zwożenia siarki są ciągnięte przez muły. Stworzenia teraz wwiezione do kopalni, nigdy już nie oglądają światła dziennego. Lata całe pełnią swą ciężką służbę, dopóki nie padną przy pracy. Wtedy dopiero wynosi je na powierzchnię ziemi maszyna dźwigowa.

Do drążenia w ziemi szczelin i wgłębień w kopalniach siarki używają dynamitu. W trującej atmosferze, nasyconej jeszcze dymem wybuchu, gromady półnagich i potem kroplistym zlanych górników, tak zwanych "picconierów", posuwają się śladami kapryśnie układającego się złoża i miarowem postukiwaniem kilofów, nową w skale wytykają galerję.



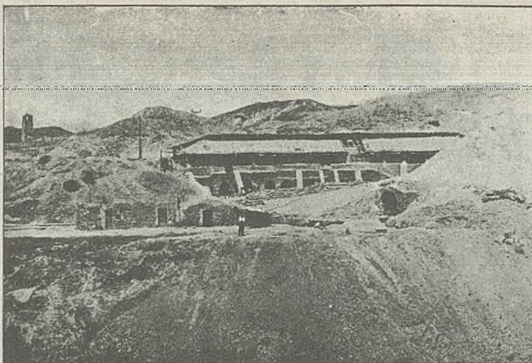
Jedna ze wspaniałych świątyń w Modica. Kościół "La Matrice".



Praca w kopalni asfaltu.

Pracując na akord i pragnąc jak największe z swej pracy osiągnąć zyski, robotnicy w sycylijskich kopalniach pozostają po kilkanaście godzin na dobę w podziemiach, chociaż urzędowo dzień roboczy ma tylko osiem godzin pracy. Ostatecznie w przeciągu ośmiu godzin mogliby wydobyć tyle, że wystarczałoby na pokrycie dniówki, która wynosi dla najciężej pracujących o-

koło dolara na dzień. Ale wiele godzin muszą tracić na zakładanie min i następujących po nich wybuchach i przygotowaniach do rzeczywistej p r a c y płatnej.



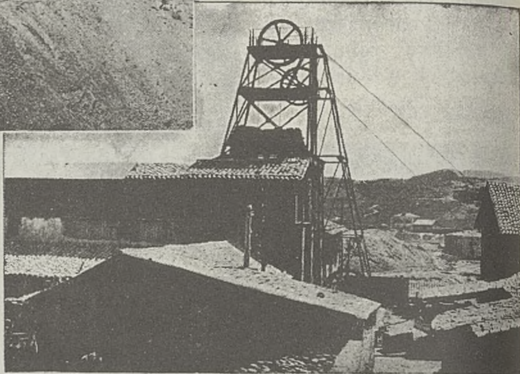
Widok zewnętrzny jednej z najbardziej nowoczesnych kopalń siarki na Sycylji.

Częste są też w kopalniach sycylijskich wypadki podczas pracy. Na każdym kroku czyha na robotnika z czeluści ciemnych śmierć lub kalectwo, a grozę położenia potęguje jeszcze brak wszystkich urządzeń, jakie mogłyby zapewnić robotnikom względne bezpieczeństwo. Jedynie tylko stacje doraźnej pomocy są urządzone wzorowo i w zupełności odpowiadają swemu przeznaczeniu, ale środków zapobiegawczych wypadkom niema wcale, a jeżeli są jakie, to bardzo pierwotne i nie dające pożądanych wyników.

Po mozolnej, całodziennej lub całonocnej pracy robotnicy kopalń siarki wyczerpani i zmęczeni do ostateczności muszą przebywać owe półtora tysiąca oślizgłych stopni schodów i wlec się resztkami sił do swych ubogich domostw.

Takie warunki w kopalniach sycylijskich sprawiły, że wydajność ich jest z każdym rokiem mniejsza. W okolicach Raguzy znajduje się około tysiąc kopalń, ale czynnych jest zaledwie około trzysta, w których pracuje niespełna 10,000 robotników.

Są nawet w Sycylji kopalnie, nie posiadające żadnych wind, nawet do wywożenia ciężarów. W kopalniach takich, wbrew obowiązującemu we Włoszech prawu o niezatrudnianiu małoletnich, starsi robotnicy zabierają z sobą do kopalni młodsze rodzeństwo, to jest wyrostków, liczących od dziesięciu do piętnastu lat, i ci na nierozwiniętych jeszcze barkach wynoszą ładunki wydobywanego przez ojców i starszych braci minerału. Na jakież niebezpieczeństwa są narażone te biedne dzieci sycylijskich górników w kopalni, gdzie każdy niepewny krok, każde poślizgnięcie się na śliskich schodach jest straszną groźbą czyhającego kalectwa lub śmierci! Zarządy kopalń niby nie wiedzą o p r a c y nieletnich dzieci, gdyż urzędnicy mają do czynienia tylko z dorosłymi, a raczej z ilością wydobytego minerału, a jaką drogą, jakiemi sposobami minerał wydostał się na powierzchnię ziemi, w to nie wchodzą. Kwestja ta jest palącem zagadnieniem faszystowskiego rządu włoskiego, gdyż liczne towarzystwa humanitarne ciągle alarmują odnośne władze o nadużyciach, mających związek z pracą nieletnich w kopalniach siarki.

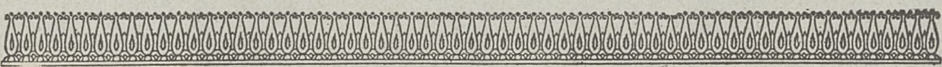


Kopalnia w Grottacalda.

Sycylja jest bardzo urodzajna i wydaje wiele owoców i jarzyn, masowo wywożonych do krajów europejskich. Nawet bawełna i banany rodzą się na bujnej ziemi sycylijskiej, a sycylijskie winogrona należą do najlepszych we Włoszech. Dawniej rolnictwo na Sycylji stało na bardzo niskim poziomie, dopiero dzięki energicznym zabiegom wychowanego w rygorze faszystowskim młodego pokolenia, powstały liczne spółdzielnie i związki rolnicze i wciągu ostatnich lat zaprowadzono całą sieć urządzeń irygacyjnych, które w razie posuchy zasilają wodą pola i winnice i chronią plony od wypalenia. Dawniej nieraz się zdarzało, że w połowie tamtejszego lata, to znaczy w lutym, dla braku wody i deszczów zasiewy na polach zamierały i ginęły.

Okolice, gdzie mieszczą się kopalnie asfaltu i siarki różnią się wielce od uroczych okolic Sycylji, porośniętych roślinnością bogatą i nadzwyczaj bujną. Od Raguzy, położonej na znacznej wysokości ponad poziomem morza, wyspa coraz bardziej dziczeje. Między wzgórzami pojawiają się coraz rzadsze osiedla ludzkie i krajobraz staje się coraz bardziej dziki i surowy. Szmaragdowa zieloność niżej położonych pól zastępują powoli niezmierzone przestrzenie słońcem wypalonych i zrudziałych stoków górskich. Tu i ówdzie można napotkać drzewa świętojańskie i charakterystyczne dla Sycylji, z nagich skał niemal wyrastające, olbrzymie, niby żywe jakieś potwory fantastycznie powykrzywiane opuncje, które w miarę wznoszenia się poziomu, karłowacieją i wreszcie zupełnie znikają. Prawie zupełny brak roślinności i życia znamionuje bliskość kopalń siarki. Pod zabójczem działaniem wyziewów kopalń, wszystko dokoła zdaje się zamierać. Krajobraz przedstawia smutny i niesamowity widok.

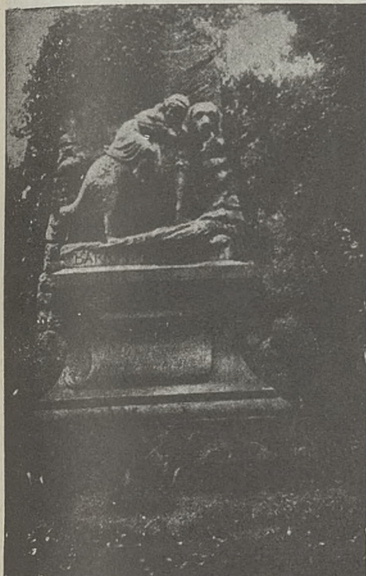
Wydobywany w okolicach Raguzy asfalt należy do najlepszego gatunku w świecie i ma zapewniony rynek zbytu wszędzie. Bogate złoża tego smołowca dostarczają rocznie setki tysięcy ton asfaltu i przetworów, jako to benzyny, ciężkich olejów i wielu innych rzeczy, znajdujących szerokie zastosowanie w przemyśle.


CMENTARZE CZWORONOŻNYCH PRZYJACIÓŁ CZŁOWIEKA



W SŁYNNYM parku Sans Souci, na wielkiej płycie kamiennej, kryjącej pod sobą ulubione charty Fryderyka Wielkiego, pruskiego króla-filozofa, widnieje napis: "Im więcej poznaję ludzi — tem bardziej kocham psy".



Pomnik psa "Barry" z góry świętego Bernarda, zdobiący paryski cmentarz psów.

Zbyt wiele żółci zawierają te słowa wyrzeczone prawdopodobnie w chwili zniechęcenia do rodu ludzkiego, ale też każdy się zgodzi na to, że pies, to prawdziwy i bezinteresowny przyjaciel człowieka. Daje on swe psie serce i płynące z niego szczere przywiązanie, daje nawet często swą wytężoną pracę, a wymaga za to wszystko jedynie pożywienia, potrzebnego do utrzymania go przy życiu. Pies okazuje wielkie zadowolenie, s ł y s z ą c miękkie wypowiedziane do niego słowa, raduje się każdą pieszczotą i zawsze pilnie spogląda w oczy swego pana, jakgdyby chciał każdą myśl jego wyczytać i zrozumieć. Poza dostarczeniem mu skromnych środków egzystencji nic nie wymaga, jest szczery, gardzi obłudą, jest wierny i nadwyraz przywiązany.

Są miejscowości na świecie, gdzie życie człowieka bez psa byłoby bardzo trudne, prawie niemożliwe, jak naprzykład na dalekiej północy w krajach wiecznego śniegu i lodu. Tam pies jest nietylko wiernym przyjacielem człowieka, ale pomocnikiem jego, ułatwiającym mu komunikację wśród niezmierzonych pól śniegowych. Gdzie żaden pojazd nie dotrze, tam dotrą saneczki ciągnięte przez cały szereg specjalnie wytresowanych psów. Na sankach takich jeżdżą ludzie i wożą na nich wszelkie towary i prowianty. A jakże skromne wymagania mają te poczciwe zwierzęta wzamian za swą ciężką pracę! Oto po przebyciu wielu mil wśród zasp śnieżnych, gdy nadejdzie pora spoczynku, dostają po odrobinie suszonego mięsa lub ryb i kładą się na noc w śniegu, w wygrzebanych przez siebie jamach, gdzie spędzają noc, aż do następnego ranka, by znów ciągnąć przez cały dzień ciężkie sanki.



Skupienie najokazalszych psich pomników cmentarza psiego w Paryżu.



U dołu: Widok alei centralnej na psim cmentarzu w Paryżu.

W wielu miastach Europy psy pełnią obowiązki pomocników człowieka w prawdziwem tego słowa znaczeniu. W mgle przedświtu spowity bywa jeszcze Bern i ledwie w niewyraźnem świetle brzasku majaczą kon-



Psi pogrzeb. Opuszczanie zwłok w dół.



Zasypywanie psiego grobu.

tury kolumn, podpierających sklepienia chodników tunelowych, gdy na jezdni ukazują się pierwsze pojazdy, zaprzężone w schyloną w kabłąk postać ludzką i sapiącego ciężko towarzysza-psa. Suną one na targ lub pod sklepy, rozwożąc nabiał, owoce i jarzyny. Podobny turkot dwukołowych wózków, zaprzężonych w psy, rozlega się w miastach nizinnej Flandrji, napełniając echem stare, drzemiące uliczki Brugji, Gandawy i innych miast i miasteczek, odbijając się od powierzchni wód licznych kanałów. Jest to wytrwały i pracowity, żyjący wśród ciężkich warunków miejskich typ pomocnika człowieka, odróżniający się znacznie od psa owczarza, którego liczne odmiany strzegą stad owiec i krów, szczególnie w okolicach górzystych. I tam pies jest wiernym i wydatnym pomocnikiem człowieka, jest stróżem stada, strzeże jego całości, wprowadza ład i posłuszeństwo, jest wykonawcą woli i rozkazów pasterza-człowieka.

Niezwykłemi zaletami odznacza się wysoce szlachetna rasa psów z góry świętego Bernarda. Znane są liczne wypadki, w których te piękne, wielkie i ofiarne psy ratowały życie ludziom zabłąkanym w górach. Inne znów psy są opiekunami niewidomych po miastach i wioskach. Prowadzają swych panów i strzegą przed wypadkami, o jakie nietrudno człowiekowi niewidzącemu.

Oprócz tych wszystkich psów, które są pomocnikami człowieka i pracują razem z nim, istnieje jeszcze bardzo liczna "psia arystokracja", której doskonale się na świecie powodzi. To pieski domowe, nie pełniące żadnych obowiązków, prócz przyjmowania smakołyków i pieszczot od swych pań i panów, rozlegiwania się na poduszeczkach i kanapach i płataniu figlów. A tych jest bardzo wiele, szczególnie w wielkich miastach świata. Takie pieski prowadzą życie próżniacze, otrzymują wyborowe pożywienie, kokardki na szyję i paltociki w chłodnej porze roku, odbywają spacery, oprowadzane przez panie lub służących, mają na wypadek choroby specjalistów weterynarzy, kliniki i szpitale, a nawet, gdy pożegnają się z tym światem, cmentarze.



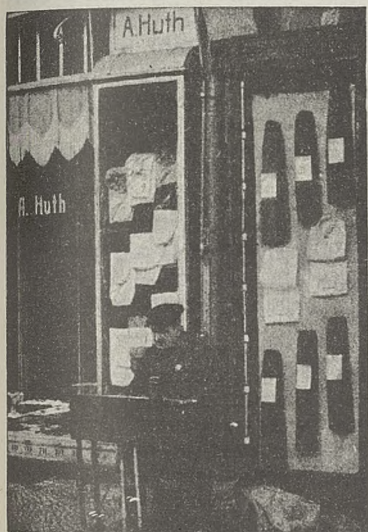
Cmentarz psi w Berlinie.

Paryż posiada wspaniały cmentarz psi w okolicy Asnières. Cmentarz ten znajduje się na wyspie, mierzącej 200 stóp szerokości i

około 1,400 długości. U bramy cmentarnej wznosi się piękny i wiele mówiący pomnik psa Barry z góry świętego Bernarda z napisem: "Uratował życie czterdziestu osobom, zginął zabity przez czterdziestą pierwszą". Jest to jeden z nielicznych nagrobków, stawianych psom-pomocnikom człowieka. Większość ogromnie przeważająca jest poświęcona pamięci psom faworytom bogaczy. Pomnik psa Barry rozpoczyna aleję Centralną, ciągnącą się wzdłuż części wysepki przechodzącą w dalszym ciągu w aleję Copee'go z placykiem przyjaciół zwierząt w środku. Równolegle po obydwu stronach alei Centralnej ciągną się ścieżki, dzielące cmentarz na kwartały. Tonąc w zieleni krzewów i drzew, pośród mozaiki kwiecia wznoszą się nagrobki najrozmaitsze tak co do wielkości jak wykonania. Począwszy od skromnych tabliczek, widzi się płyty betonowe, płyty z białego marmuru, najrozmaitsze fantastyczne urny, sarkofagi i rzeźby, a na każdym prawie nagrobku widnieje w medaljoniku fotografja pieska i napis, wychwalający zalety i zasługi spoczywającego pod nagrobkiem psa. Jakich imion tam niema! Ali Baba, Bio, Cyrano, Dan, Dog, Dick, Dorys, Ego, Igo, Pierrot, Pit, Pompon, Sarmento i tak przez wszystkie litery abecadła.



Pies pomocnikiem człowieka. Człowiek pchający wózek razem z psem. Codzienny widok na ulicach wielu miast Szwajcarji i Flandrji.



Pies opiekunem niewidomego.

Napisy na tych nagrobkach są także bardzo różnorodne. Na jednych znajdują się tylko proste słowa: "Diana, wierny i dobry piesek 1896—1908". "Karo — ulubieniec całej rodziny" bez daty. Inne odznaczają się maksymami w rodzaju: "Miette, 14 lat. Kochał mnie dla miłości, nic nie żądając wzamian". "Cezar — odznaczał się w wysokim stopniu cnotą zwierzętom właściwą — wdzięcznością." Tu i owdzie na wspaniałych nagrobkach marmurowych widać świeże pęki kwiatów, przeważnie róż czerwonych i goździków. To psy pań bogatych, które przez całe lata stale odwiedzają groby swych ulubieńców i nie żałują wydatków na świeże, cięte kwiaty.

Patrzącemu na bogato ubrane, eleganckie damy, znoszące na psi cmentarz bukiety kwiatów i wysiadujące godzinami przy nagrobkach, nasuwa się myśl, że nie każdemu człowiekowi przypada po śmierci tyle pamięci i dowodów przywiązania, co "zmarłym" tym zwierzętom.

Zupełnie inaczej przedstawia się berliński cmentarz dla psów. O ile w Paryżu widzi się przepych i zbytek na cmentarzu tych czworonogów, o tyle berliński psi cmentarz jest skromny i bardziej odpowiada swemu przeznaczeniu. Stolica Niemiec posiada cmentarz dla psów na przedmieściu Stahnsdorf. Spory kawałek ziemi, utrzymany w wzorowym porządku, ze smutno szumiącemi nad nim sosnami, nie ma tylu pięknych nagrobków i marmurów, ale bardziej jakoś odpowiada smutkowi właścicieli zwierząt, które tam spoczywają. Prostsze też są psie groby na berlińskim cmentarzu. Dla oszczędzania miejsca groby znajdują się bardzo blisko jeden drugiego. Są to kwadratowe, dosyć głębokie, kopane w miarę potrzeby jamy w ziemi, które zasypuje się i pokrywa przeważnie prostemi płytami cementowemi i zaopatruje odpowiedniemi napisami. Cały cmentarzyk jest podzielony na kwartały, otoczone obramowaniem z cementu. Wśród kwartałów widnieją tu i ówdzie krzewy i drzewka, a nad całością unoszą się gałęzie wysokich drzew sosnowych, zawsze zielone i zawsze smutne jakieś i rzewnie szumiące z każdym powiewem wiatru.



B. NOWINA

$ KOKOSOWY INTERES $

Nowela

RUCH niezmierny panował na ulicach miasta. Godzina była wieczorna, kiedy tłumy ludzi przelewały się chodnikami, dążąc do teatrów, kinematografów i dancingów. Nieprzerwane sznury błyszczących samochodów sunęły bezszelestnie jezdniami, zatrzymując się od czasu do czasu przed sygnałami elektrycznemi, regulującemi ruch uliczny. Tramwaje przeładowane publicznością, skazaną na posługiwanie się tym niezbyt wygodnym środkiem komunikacji, z łoskotem i hukiem pędziły we wszystkie strony, przeraźliwym głosem dzwonków torując sobie drogę.

Różnobarwne reklamy prześcigały się wzajemnie w pomysłowości i walczyły zwycięsko z olśniewającem światłem potężnych lamp elektrycznych, oświecających gęsto ulice. Olbrzymia łuna szeroko zawisła na granatowem tyle nieba, jako odbicie morza świateł, zalewającego potężne i ruchliwe miasto.

Było to w owych niezapomnianych latach, które nastąpiły po zakończeniu wielkiej wojny i zapisały się w historji Stanów Zjednoczonych jako lata niebywałego dobrobytu i pomyślności. Przemysł i handel kraju dosięgły niesłychanych rozmiarów. Olbrzymie majątki, zapoczątkowane w czasach wojny, rosły ciągle jak na drożdżach, dwoiły się, troiły, potęgowały kapitały bogaczy, wzrastała wartość domów i parcel budowlanych. Wszystkie fabryki szły dniem i nocą na trzy zmiany i płaciły robotnikom najwyższe w dziejach przemysłu amerykańskiego wynagrodzenie. Bezrobotnymi byli tylko ci, którzy pracować nie chcieli lub nie mogli.

Teatry, restauracje, wytworne lokale rozrywkowe, hotele, wszystko było zapełnione. Pieniądze krążyły wśród ludzi z gorączkową szybkością, przelewały się strumieniami, zapełniały skarbce niezliczonych banków, przyciągały do siebie nowe stosy złota. Dolar był panem dnia.

Przed wspaniały fronton wielkiego hotelu śródmieścia zajechała taksówka. Z przedsionka wypadło dwóch służących w liberji hotelowej. Jeden z nich otworzył drzwiczki samochodu, drugi stanął w pełnej oczekiwania postawie. Z taksówki wysiadło dwóch panów.

— Proszę wziąć rzeczy — rzucił jeden z nich, zwracając się ku umundurowanym posługaczom, i lekkim, elastycznym krokiem podążył wraz z towarzyszem ku wejściu do hotelu.

W ślad za nimi podążyli służący, dźwigając eleganckie skórzane walizy, zaopatrzone po rogach w złociste litery, widocznie inicjały imion i nazwisk właścicieli.

Obaj panowie byli ludźmi w średnim wieku, ubranymi z wyszukaną elegancją, cechującą dobrze opłacanych agentów handlowych, komiwojażerów czy zastępców poważnych i solidnych firm amerykańskich. Gładko wygoleni, o czerstwych, pełnych twarzach, w szarych ubraniach znakomitego kroju, nieskazitelnie leżących na ich proporcjonalnych postaciach, sprawiali wrażenie ludzi zamożnych, beztroskich i solidnych.

Witani uprzejmemi ukłonami szeregu służby hotelowej, szybko przeszli przez rzęsiście oświecony hall i stanęli przez biurem dyżurnego.

Tuż za nimi pojawili się służący z walizami.

— Czem mogę panom służyć? — zapytał z ukłonem dyżurny, oglądając okiem znawcy przybyłych gości.

— Zamówiliśmy telegraficznie apartament — odrzekł wyższy z nich. — Czy jest dla nas zarezerwowany?

Urzędnik hotelowy sięgnął do przegródki w stojącej za nim szafie i wyjął pęk depesz telegraficznych.

— Nazwiska panów, jeżeli mogę spytać? — uśmiechnął się szeroko, przebierając palcami w papierach.

— Franklin H. Summers — odrzekł ten sam, który pytał o apartament. — A to mój towarzysz, pan John C. Peterson. Wczoraj telegrafowaliśmy z New Yorku...

Dużurny wydobył z pęku depesz jedną, i potrząsając nią triumfalnie w powietrzu oznajmił radośnie:

— Jest, jest! Telegram panów przyszedł na czas. O parę minut później niebylibyśmy w stanie ofiarować panom żądanych pokojów. Na szczęście jednak były jeszcze wolne takie właśnie, jakich panowie sobie życzyli. Pierwsze piętro, dwa pokoje sypialne z łazienkami, salonik do przyjęć, wszystko połączone z sobą od wewnątrz. Widok na ulicę. Cena...

— Doskonale, — przerwał mu Summers. — Zaraz bierzemy w posiadanie ten apartament.

— Urzędnik rozłożył przed nimi wielką księgę hotelową i usłużnym ruchem podał pióro.

— Panowie będą łaskawi zapisać swe nazwiska. Bardzo rad jestem, że nie ominęła naszego domu sposobność goszczenia panów.

Franklin H. Summers i John C. Peterson zarejestrowali się w odpowiednich rubrykach. Jako miejsce skąd przybyli podali New York, zawód — agenci handlowi.

Po chwili znaleźli się wraz ze służącymi, niosącymi walizy, w elegancko urządzonym pokoju do przyjęć wynajętego apartamentu, oznaczonego numerem 33. Po obu stronach pokoju były drzwi do sypialń.

— Tak... — rzekł Summers, zacierając dłonie. — Postawcie, chłopcy, te walizy w sypialniach... moje są oznaczone literami F. H. S. — rzekł do służących, wręczając jednemu z nich banknot dwudolarowy.

— A moje, rzecz naturalna, mają znaki J. C. P. — odezwał się Peterson, obdarzając drugiego równowartościowym papierkiem.

— Służący wynieśli się w głębokich ukłonach.

Zainstalowani w hotelu panowie udali się każdy do swej sypialni. Wnet ozwał się w łazienkach szum puszczanej do wanien wody na znak, że nowoprzybyli goście postanowili odświeżyć swe ciało kąpielą, zanim udadzą się na kolację.

Jakoż po godzinie prawie równocześnie wyszli obaj panowie, poprzebierani w ciemne ubrania, wyświeżeni i wyelegantowani, jak przystało na dobrze sytuowanych businesmanów.

Porozmawiali z sobą półgłosem i razem wyszli z apartamentu na kurytarz. Po schodach, wysłanych kosztownym chodnikiem zeszli nadół, do hallu, skąd skierowali się do restauracji hotelowej. Z całego ich obejścia się znać było, że są przyzwyczajeni do przebywania w pierwszorzędnych hotelach i lokalach.

Zasiadłszy przy stoliku, zacienionym rozłożystą palmą, wezwali kelnera i zamówili wykwintną kolację. Zanim jednak kelner odszedł z zamówieniem, Summers mrugnął na niego znacząco i półgłosem spytał:

— No... ale przed jedzeniem, trzebaby... tego... tak coś z trzema gwiazdkami...?

Kelner spojrzał badawczo i widocznie egzamin wypadł pomyślnie, gdyż uśmiechnął się leciutko i rzuciwszy okiem na sąsiedni stolik, pochylił głowę na znak zrozumienia, poczem krokiem pełnym godności oddalił się w stronę kuchni.

Po kilku minutach kelner zjawił się powtórnie, niosąc tym razem tacę z talerzami, wśród których sterczały dwie cieniutkie szklaneczki. Zgrabnie poustawiał talerze na stoliku i zręcznym ruchem ręki wydobył ukrytą w serwetce płaską buteleczkę, napełnioną złotawym płynem. Położył ją także na stoliku i przykrył serwetką. Dopełniwszy tych czynności oddalił się znów, by powrócić z tacką zastawioną przeróżnemi zakąskami.

Summers wyjął spod serwetki butelkę z kalifornijską wódką, pamiętającą czasy przedwojenne, ostrożnie odkręcił srebrzystą główkę i nalał obydwie szklaneczki.

— W twoje ręce, John — rzekł uśmiechając się do towarzysza. — Wygląda wcale nieźle, może to naprawdę "Hennesy z trzema gwiazdkami".

Wypili i przekąsili, poczem zabrali się żwawo do jedzenia zamówionych dań, z któremi kelner czekał już w przyzwoitej odległości od stolika.

Summers zapłacił rachunek, zostawił na stoliku dolara dla kelnera i obydwaj towarzysze wyszli z restauracji.

Posiedzieli kilkanaście minut w hallu hotelowym, przeczytali gazety i wypaliwszy po cygarze, poszli na górę do swych pokojów.

Na drugi dzień rano już o godzinie ósmej wyszli z hotelu. W mieście bawili kilka godzin.

Tego jeszcze wieczora w trzech miejscowych dziennikach pojawiły się ogłoszenia jednakowo brzmiące, następującej treści:

"UWAGA. Gotówka za używane nożyki od maszynek do golenia. Płacimy po cencie za każdy przyniesiony do nas nożyk 'Gillette', o ile nie jest wyszczerbiony. Zgłaszać się pod adres: Hotel 'Universal' apartament 33, w godzinach od 8-ej rano do 4-ej popołudniu".

* * *

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że w żadnym kraju na świecie nie używają tyle maszynek do golenia co w Stanach Zjednoczonych, a szczególnie po większych miastach. Brzytwy należą już do rzadkości w Ameryce, bo któżby chciał skrobać się codziennie i narażać na zadrapanie, gdy można z całem bezpieczeństwem przejechać kilka razy po twarzy maszynką i w przeciągu kilku krótkich chwil pozbyć się utrapionego zarostu z wczorajszego dnia. W każdym więc domu, w łazience, w specjalnej szafce, znajduje się maszynka do golenia i zapas nożyków. A że każdym nożykiem można było śmiało i bezboleśnie ogolić się najmniej dwa razy, praktyczni i ekonomiczni Amerykanie dawno zarzucili mozolne brzytwy i maszynka "Gillette Safety Razor" rychło zdobyła prawo obywatelstwa w każdym domu.

Poniewierało się tedy po owych szafkach łazienkowych mnóstwo używanych nożyków, których nie opłaciło się dawać ostrzyć. Wyrzucano je poprostu do śmieci.

Przytoczone powyżej ogłoszenie niemały huczek wywołało zaraz w dniu ukazaniu się wśród chłopców szkolnych. Jaki taki nie wierzył własnym oczom, żeby trafiała się taka gratka. Toż używanych nożyków można było zbierać setkami, tak we własnym domu jak u sąsiadów i

znajomych. Że jednak ogłoszenie było wyraźne i w dodatku tłustemi czcionkami drukowane, należało przekonać się o jego prawdziwości. Tegoż więc wieczora w łazienkach tysiąca domów zapanował ruch niezwykły. Z szafek i szufladek powydobywali chłopcy wszystkie, spoczywające od niepamiętnych czasów używane nożyki i nie mogli doczekać się rana, żeby przed pójściem do szkoły pobiec do hotelu Universal i zdobyć zawsze upragnioną gotówkę.

Z wybiciem godziny ósmej portjer hotelu ujrzał w przedsionku gromadę chłopaków różnego wieku, którzy z właściwym amerykańskim dzieciom hałasem, wtargnęli do spokojnego i poważnego hallu.

Zastąpił im rychło drogę wspaniale umundurowany murzyn pytaniem, do kogo i poco przyszli.

— Numer trzydzieści trzy! — zawołał jeden z wyrostków. — Według ogłoszenia! — Pokazał murzynowi gazetę z zakreślonem w niej czerwonym ołówkiem ogłoszeniem.

— Zaczekać chwilę — oznajmił czarny szwajcar. — Dowiem się czy ci panowie są w pokoju.

Podszedł do biurka dyżurującego urzędnika i wskazując na baraszkujący tłum chłopców, rzekł:

— Panie Morrison, co mam robić? Ci chłopcy przyszli do naszych gości z apartamentu 33. Pokazali mi ogłoszenie z wyraźnie podanym naszym adresem.

— Hm... mruknął nazwany Morrisonem. — Trzeba ich wpuścić. Ale co to właściwie ma znaczyć? Bo ja sam widziałem w wieczornej gazecie takie ogłoszenie...

Murzyn machnął potężną łapą i wtulił głowę w ramiona.

— Jakiś interes — odrzekł pokazując białe zęby. — Nie moja rzecz!

Zbliżył się do chłopaków i wybrał trzech z nich, mówiąc, żeby szli na pierwsze piętro, resztcie zaś kazał czekać, aż pierwsi wrócą.

Nie upłynęło ani pięć minut, gdy na schodach ukazali się pierwsi trzej klienci panów F. H. Summersa i J. C. Petersona. Twarze mieli rozpromienione, a w rękach ściskali dolarowe papierki.

— No co? Kupili? Czy naprawdę płacą po cencie? — rozległy się pomieszane pytania chłopaków.

— I jak! Nie rachowali nawet, tylko zważyli i odrazu wybulili po dwa dolary. Mieliśmy po dwieście sztuk. Powiedzieli tylko, że to mało, że im trzeba tysiące razy więcej!

— Hurra! — ryknęła gromadka i ruszyła ku schodom z takim impetem, że zaledwie mogli ich wstrzymać zwabieni krzykiem służący hotelowi.

Przez cały dzień trwała istna procesja publiczności wszelkiego wieku, płci i koloru skóry. Drzwi pokoju 33 nie zamykały się wcale. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, jak w wielkim sklepie w dniu specjalnej wyprzedaży.

Zarządca hotelu i cała służba baraniemi oczami patrzała na te dziwy. Ostatecznie kilku numerowych wyszperało sporą paczkę używanych nożyków i wydelegowali najmłodszego wiekiem celem jej spieniężenia. Wrócił po chwili, niosąc dwanaście nowiutkich dolarowych banknotów.

* * *

— Coś niebywałego... Żeby za rzeczy, wyrzucane zwykle do śmieci, płacić tyle pieniędzy... — mruczał pod nosem stojący przy biurku dyżurnego zarządca hotelu. — Co to może być, Mike? — zwrócił się do urzędnika. — Na co im tyle ostrzy i to nie nadających się do niczego.

— Pojęcia nie mam — odparł Morrison. — Wiem tylko tyle, że płacą i nakupili tego już tysiące. W każdym razie musi to być dobry interes.

— Pieniądze mają i nie liczą się z dolarem — ciągnął jakby w zamyśleniu zarządca. — A i wypić lubią, bo przy każdym posiłku w restauracji każą podawać sobie butelczynę za osiem dolarów... Nic innego, tylko są przedstawicielami jakiejś bogatej firmy, która posiada tajemnicę robienia ze starych ostrzy nowych i puszcza je na rynek jako oryginalne nożyki. To byłby niezły interes, bo jak wiesz, zwykły nożyk kosztuje na sztuki dziesięć centów, a w paczkach po dziesięć — osiem i pół centa w drobnej sprzedaży. Jeżeli więc płacą po cencie za stary nożyk i odsyłają je do fabryki, przerabianie może kosztować najwyżej drugiego centa od sztuki, koszty handlowe także centa, więc firma może zarobić jeszcze po trzy centy sprzedając hurtownikom po sześć.

Morrison był szwagrem zarządcy hotelu. Obaj byli ludźmi stosunkowo zamożnymi i obaj ogromnie lubili dolary. Jakkolwiek pensje ich były znaczne, szwagrowie chętnie brali udział w najróżniejszych spekulacjach i interesikach, aby tylko pomnażać sumy, ulokowane w bankach na książeczkach oszczędnościowych. Po kilku latach wspólnej pracy rozporządzali każdy z osobna pokaźnemi sumami, gotowemi każdej chwili do podjęcia w razie, gdyby okazał się jaki zapewniający dobry zysk interes.

Interes taki węszyli właśnie w skupowaniu nożyków, dokonywanem tak sprawnie przez Summersa i Petersona. Nie mieli jednak pojęcia jak ten interes w rzeczywistości wygląda, jakie przedstawia ryzyko i jaki procent mógłby przynieść włożony weń kapitał.

Głowili się tedy nieustannie i z zazdrością obserwowali panów spod numeru 33, którzy dzień po dniu, od wczesnego rana do oznaczonej popołudniowej godziny siedzieli w swym apartamencie i przyjmowali klientów z nożykami. Każdego zaś dnia, po godzinie piątej popołudniu zajeżdżał przed hotel wóz towarzystwa przewozowego i zabierał po kilka sporych paczek, starannie poowijanych w mocny papier i umieszczonych w płóciennym worku. Kilka ra-

zy próbował Morrison dowiedzieć się o miejscu przeznaczenia wysyłek, ale mundurowany "expressman" udawał, że nie rozumie pytań i każdorazowo wynosił worek na wóz, nie dopuszczając ciekawego wzroku do wnętrza. Adres zatem pozostawał ciągle nieznany.

Codziennie przychodziło po kilka listów do gości spod numeru 33, ale na kopertach nigdy nie było nagłówka z adresem zwrotnym, a listy były zawsze polecone. Słowem cały interes był trzymany w najściślejszej tajemnicy.

Po dziesięciu dniach w pismach pojawiło się drugie ogłoszenie:

> "**Baczność!** Jeszcze tylko kilka dni potrwa sposobność sprzedania używanych nożyków! Za każdy dostawiony nożyk płacimy półtora centa! Zgłaszać się z nożykami, powiązanemi w paczki po 500 sztuk! Korzystajcie ze sposobności. Hotel 'Universal' Apt. 33".

Rychło znaleźli się spryciarze, którzy nie mogąc znaleźć w mieście większych ilości nożyków, poczęli rozjeżdżać się po okolicy i na swoją rękę skupować od służących hotelowych, chłopaków, służby wagonów sypialnych i zwozić je do hotelu Universal, gdzie z łatwością je odprzedawali ze skromnym zyskiem.

Morrison i jego szwagier aż pochudli z ciekawości. Nagabywali panów spod numeru 33 na wszelkie sposoby, zagadywali, uśmiechali się i żartowali, ale w odpowiedzi otrzymywali tylko wesołe uśmiechy i znakomite cygara, po pół dolara sztuka. Rachunki gości były regularnie płacone co pięć dni, a przy każdorazowej wypłacie służba i Morrison dostawali sute napiwki. Najwidoczniej Summers i Peterson robili znakomite interesy.

Znów upłynęło kilka dni. Pewnego wieczora, w porze kiedy Morrison pełnił nocną służbę przy biurku, gentlemeni, skupujący nożyki, wrócili do hotelu później niż zwykle. Wysiedli z taksówki i po zapłaceniu kierowcy, śmiejąc się głośno i rozprawiając, niepewnym jakimś krokiem przeszli przez hall i stanęli przed biurkiem Morrisona.

Summers podał dyżurnemu kilka cygar i przerywanym lekką czkawką głosem zapytał czy wieczorną pocztą nadeszły jakie listy.

Morrison spojrzał na odpowiednią przegródkę i wyjął z niej depeszę.

— Listów niema, proszę panów, ale przed godziną przyszła depesza. Oto jest — rzekł, podając Summersowi żółtawą kopertę.

— Aha... depesza... dobrze, panie... hik... — przerwała mu czkawka — bardzo dobrze... Zaraz przeczytam — bąkał Summers, najwidoczniej mocno podchmielony.

Odeszli wraz z Petersonem kilka kroków od biurka i Summers rozerwał kopertę.

Przebiegł papier szybko oczyma i podał Petersonowi. Ten także przeczytał i pokiwał głową, jakby chcąc powiedzieć "Spodziewałem się tego", poczem oddał papier towarzyszowi.

Summers, trzymając depeszę w palcach, wskazał drugą ręką na stojące wpobliżu głębokie fotele klubowe. Usiedli i ruchem ręki Peterson wezwał chłopca hotelowego.

— Przynieś nam, synu, blankiet telegraficzny — rozkazał.

Chłopak w jednej chwili podał mu żądany blankiet, przyniesiony z biurka Morrisona.

— Czekaj, zaraz zaniesiesz depeszę do nadania!

Wyjętem z kieszeni piórem Summers nakreślił kilka słów na blankiecie, zaadresował: "646 General delivery, New York" i podał papier chłopakowi, podczas gdy Peterson wręczył mu trzy dolary, mówiąc:

— Nadaj natychmiast. Reszta dla ciebie...

Uradowany boy popędził do biurka Morrisona i zameldował, że biegnie do najbliższej stacji telegraficznej.

Morrison skinął głową i powiedział kilka słów półgłosem.

Tymczasem gentlemeni spod numeru 33 rozmawiali z sobą, śmiejąc się i nie zwracając najmniejszej uwagi na słuchającego z całem natężeniem Morrisona.

— Wiesz, John — mówił Summers — że oni zbytnio się śpieszą. Po kiego djabła płacić aż tyle, kiedy można pomału dostać taniej? No co, nieprawda?

— Nie nasza rzecz. Przypuszczam, że chcą rozpocząć kampanję prędzej, niż było postanowione. Tak czy owak interes zrobią gruby. Ale wiesz, spać mi się chce djabelnie... Chodźmy na górę...

— A dobrze, bo i mnie oczy się kleją. Ale jutro i tak nie ogłaszamy nowej ceny, prawda, John?

Podnieśli się i skierowali ku schodom. Summers trzymał wciąż w ręku otrzymaną depeszę, a wchodząc na schody schował ją do bocznej kieszeni marynarki. Widocznie jednak ręka jego drżała, czy też minęła poprostu kieszeń, bo gdy weszli na stopnie, depesza wypadła na dywan. Nie zauważyli tego i poszli prost do swego apartamentu. Żółtawy arkusik jaskrawo odbijał się od ciemnego tła dywanu.

Gdy zniknęli za skrętem schodów, Morrison jak strzała wypadł z za biurka i pochwycił depeszę. Rzucił oczami dokoła siebie i przeczytał co następuje:

"Summers, Hotel Universal. Przyśpieszyć zakupy stop brak jeszcze trzy miljony stop je-

żeli konieczne podnieść cenę najwyżej do trzech centów podpis IA".

— Aha — mruknął. — Trzeba jeszcze trzy miljony... podnieść cenę do trzech centów... Hm...

Kiwnął palcem na stojącego opodal murzynka.

— Panowie spod numeru 33 zgubili ten papier, zanieś im to natychmiast!

Murzynek pobiegł na górę, a Morrison wrócił do biurka z twarzą rozpromienioną. W głowie układał już plan kokosowego interesu.

Po kilku minutach wrócił chłopak posłany z depeszą do nadania i podał Morrisonowi kwit i karteczkę papieru, na której znajdował się ołówkiem zrobiony odpis depeszy.

"Przyjęliśmy do wiadomości stop ale jeszcze kilka dni poczekamy stop teraz jeszcze po półtora od jutra po dwa stop podniesiemy do trzech dopiero po pierwszym. Summers".

Nazajutrz rano Morrison odbył długą konferencję ze szwagrem. Obliczali kilkakrotnie, dodawali, odejmowali jakieś sumy, aż wreszcie przyszli do porozumienia. W południe zarządca hotelu poszedł do banku i podniósł kilka tysięcy dolarów.

W wieczornych dziennikach pojawiło się znów ogłoszenie, zapowiadające, że nożyki używane od maszynek do golenia można sprzedać po dwa centy w hotelu Universal.

Następnego dnia panowie Summers i Peterson oznajmili będącemu na służbie dyżurnemu, że wyjeżdżają w nagłej sprawie na jeden dzień, ale apartament zatrzymują, gdyż pojutrze wrócą i dalej będą w nim mieszkać. Gdyby zaś zgłaszał się kto do nich, niech zatrzyma "towar" i przyniesie pojutrze w zwykłych godzinach.

Najwidoczniej ogłoszenie o płaceniu po dwa centy pobudziło nowych poszukiwaczy używanych nożyków do golenia, gdyż od wczesnego ranka do hotelu Universal zaczęli napływać sprzedający z całemi paczkami "towaru". Przynosili po tysiąc, po kilka tysięcy sztuk, byli nawet tacy, co dźwigali po dwie pełne torby podróżne, napełnione powiązanemi w paczki nożykami.

Służbę przy biurku miał tego ranka Morrison. On też rozprawiał się z przynoszącymi nożyki do sprzedania. Oznajmiał każdemu, że ci panowie, którzy je nabywają, wyjechali na niedługi czas, wobec czego, żeby zaoszczędzić ludziom zbytecznego trudu, każdy może otrzymać za przyniesione nożyki pełną cenę bez czekania i wracania na trzeci dzień. Wskazywał im więc drzwi jednego z pokojów na parterze, gdzie w zwykłym czasie mieściła się przechowalnia podręcznych bagażów gości, którzy opuszczali hotel. W pokoju tym siedział teraz szwagier Morrisona i odbierał przyniesiony towar, ważąc paczkę i wypłacając po dwa centy za sztukę. A sztuk tych było nadzwyczaj dużo tego dnia.

Rychło wyczerpały się pieniądze podjęte z banku i Morrison musiał kilkakrotnie posyłać zaufanego portjera po świeże zapasy dolarów.

Przez cały dzień trwały zakupy używanych nożyków. Gdy nadszedł wieczór, Morrison, zwolniony ze służby, z zadowoleniem stwierdził, że szwagier jego wypłacił około czterdziestu tysięcy dolarów. Stosy paczek z nożykami zawaliły wszystkie kąty pokoju.

— Tak — rzekł Morrison, ogarniając wzrokiem nagromadzone paczki. — Teraz poczekamy kilka dni i odstąpimy naszym gościom wszystek ten towar po trzy centy sztuka. Mamy około dwa miljony nożyków, a że na każdym zyskamy po cencie, czysty zysk wyniesie jakieś dwadzieścia tysięcy. Nie prędko zdarzy się druga taka gratka!

— Napracowałem się też niemało — odparł szwagier. — Przez tyle godzin ważyć i ważyć ten łom, a potem płacić i zapisywać ile już mamy zakupione! Ale opłaci się doskonale?

Spólnicy poszli razem na kolację i w dalszym ciągu omawiali korzyści, jakie odniosą z tego niezwykłego handlu.

— A przytem spodziewam się jeszcze dostać kilkaset bitych od Summersa za to, że oddamy im odrazu taką masę towaru bez straty czasu. To przecież także coś warte, prawda?

— Tak czy owak udało się nam znakomicie. Doskonale się stało, że oni właśnie dziś musieli gdzieś wyjechać, bo inaczej nie bylibyśmy mogli tyle nakupić. Wyobrażam sobie ich miny jak przyjadą, gdy niewielu będzie przychodzących z nożykami. Nie będą napewno czekać z ogłoszeniem, że płacą po trzy centy, skoro zobaczą, że nikt nie kwapi się sprzedawać po dwa. A wtedy my wystąpimy i zgarniemy forsę.

Długo jeszcze rozmawiali i cieszyli się tak korzystnie ubitym interesem.

Summers i Peterson, jak zapowiedzieli, wrócili następnego dnia. Okazali niemałe zdziwienie, gdy Morrison powiedział im, że tylko kilka osób zgłosiło się z nożykami podczas ich nieobecności, a Summers powiedział półgłosem, ale tak, żeby Morrison mógł dosłyszeć, że trzeba będzie ogłosić o podniesieniu ceny.

Tego wieczora jednak ogłoszenie nie ukazało się.

Na drugi dzień koło południa posłaniec z telegrafu przyniósł znów depeszę do Summersa. Morrison posłał go wprost na górę do apartamentu 33.

W pół godziny po nadejściu depeszy ukazali się przy biurku Morrisona obaj panowie i zażądali rachunku.

— Dostaliśmy właśnie wezwanie, aby natychmiast wracać do New Yorku — rzekł uśmiechając się Summers. — Dobrze nam było u panów i spodziewaliśmy się, że jeszcze dłuższy czas tu zamieszkamy. Ale skoro nas wzywają...

Morrison przełknął ślinę kilka razy i spojrzał błędnemi oczyma na mówiącego.

— Jakto? Panowie zaraz wyjeżdżają? A tu właśnie dostałem zawiadomienie, że jeden z moich znajomych przyjedzie za godzinę z ogromnym ładunkiem używanych nożyków, jakie panowie kupują. Zbierał przez cały tydzień, nająwszy do tego gromadę pomocników i chce właśnie...

Summers powolnym ruchem wyjął z kieszeni depeszę i pokazał ją Morrisonowi.

— Bardzo żałuję — rzekł, patrząc zlekka przymrużonem okiem na pobladłego urzędnika hotelu Universal — ale na skutek tego telegramu zaprzestajemy dalszych zakupów i najbliższym pociągiem odjeżdżamy. Ileż wynosi nasz rachunek?

Morrison drżącemi rękami przewracał kartki hotelowej księgi.

— Panowie płacili przed trzema dniami. Pozostaje zatem tylko trzy dni do zapłacenia... czterdzieści pięć dolarów... Ale czy panowie nie mogą kupić jeszcze nożyków od mojego znajomego? Postarał się o nie niezmiernym wysiłkiem i nakładem pieniędzy, gdyż sam je skupował dla panów w przekonaniu, że zyska na tem choćby niewielki procent. A nazbierał tego bardzo wiele, bo coś około dwa miljony sztuk...

Summers potrząsnął przecząco głową.

— Nie, kochany panie Morrison. Bardzo mi przykro, że pański znajomy naraził się na wydatki z naszego powodu, ale nie upoważnialiśmy nikogo do zakupów dla nas. Być może, że w przyszłości skorzystamy z jego oferty i zakupimy posiadany przez niego zapas, ale na razie nie mogę kupić ani jednego nożyka. Widzi pan że depesza wyraźnie powiada, żeby przestać kupować i natychmiast wracać do New Yorku. Proszę, oto jest czterdzieści pięć dolarów za apartament, a tu piętnaście dla pana na cygara.

Położył na marmurowej płycie sześć nowiutkich dziesiątek i zwracając się do służącego murzynka zawołał:

— Prędko, chłopcze, postaraj się, żeby nasze rzeczy były w tej chwili na dole i sprowadź dla nas taksówkę.

Murzynek wbiegł szybko na schody i po chwili wracał w towarzystwie starszego swego kolegi, dźwigającego walizy panów z apartamentu 33.

Obaj panowie przeszli wzdłuż szeregu nisko kłaniającej się uniformowanej służby hotelowej, powtykali w umiejętnie powyciągane ręce po papierku i za chwilę Morrison usłyszał trzask drzwiczek taksówki...

Szwagier jego bawił w tym czasie u znajomych, którym opowiadał, że w jednym dniu załatwił niezwykle szczęśliwy interes, który przyniósł jemu i Morrisonowi po dziesięć tysięcy dolarów bez najmniejszego ryzyka.

Gdy zarządca hotelu przyszedł po obiedzie do swego biura, zastał w niem szwagra, który do niepoznania zmieniony siedział na krześle i mamrotał coś do siebie. Na stole przed nim leżał arkusz papieru zapisany gęsto cyframi.

Jaka była rozmowa między nimi, nikt się nigdy nie dowiedział. Tylko służba hotelowa opowiada, że z biura zarządcy dochodziły odgłosy wymyślań i kłótni, a po godzinie, drzwi gabinetu otwarły się z trzaskiem i wypadł z nich Morrison, jakby gwałtowną jakąś siłą wyrzucony. Ktoś miał widzieć, jakoby zarządca wyrzucił szwagra z biura, ale wiary tej plotce nikt nie dawał. Stwierdzono tylko niezbicie, że przez długi czas obaj szwagrowie nie rozmawiali z sobą i nawet nie patrzyli na siebie.

W kilka dni po wyjeździe panów z apartamentu 33 wyniesiono z niewielkiego pokoiku, który dawniej służył za przechowalnię dla podręcznego bagażu opuszczających hotel gości, kilka sporych skrzyń drewnianych, mocno zabitych deskami i naładowano je na wóz handlarza starem żelaztwem. Handlarz podobno otrzymał trzy dolary za wywiezienie skrzyń za miasto i porzucenie ich na cmentarzysku pogruchotanych samochodów i blaszanych puszek od konserw.

Przez kilka dni jeszcze zjawiali się pojedyńczy klienci z nożykami do sprzedania, ale stojący w przedsionku szwajcar miał surowy rozkaz wyrzucania każdego z nich za drzwi.

Interes z nożykami, przeprowadzony tak szczęśliwie przez Morrisona ze szwagrem rozgłosił się rychło wśród znajomych obydwu spólników. Różne były przypuszczenia co do niespodziewanego, a tak tragicznego zakończenia. Spólnicy niechętnie dawali wyjaśnienia i przypisywali fatalny obrót sprawy niefortunnemu zbiegowi okoliczności. Mówiono im wprawdzie, że padli ofiarami wyrafinowanego oszustwa, ale nie chcieli w to wierzyć. Morrison zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy jeden jego znajomy, pełniący obowiązki magazyniera na stacji kolejowej, powiedział mu, że podczas pobytu Summersa w mieście nadeszło koleją pięć ciężkich skrzynek pod jego adresem, z których cztery zostały odebrane z kolei, a piąta którą otworzono w magazynie, chcąc przekonać się co zawiera, stoi dotychczas i czeka na odbiorcę. Zawartość tej nieodebranej skrzynki zastanowiła głęboko Morrisona, gdyż, jak powiedział mu przyjaciel, były w niej starannie popakowane w niewielkie paczki po pięćset sztuk, używane nożyki od maszynek do golenia. Morrison zaklął pod nosem i poprosił znajomego, żeby wiadomość tę zakomunikował także i jego szwagrowi.

Powiadają też, że obydwaj spólnicy kokosowego interesu nabrali takiego wstrętu do maszynek do golenia, że każdy z osobna ślubował, iż nigdy w życiu nie weźmie do ręki ani maszynki ani nożyka i od tego czasu podobno golą się starodawnemi brzytwami.

Jim Poker  # ANNIE  *Nowela*

— Yes, sir, odpowiedział kierowca taksówki z tą klasyczną, pozbawioną uniżoności, a jednak uznającą różnicę socjalną, uprzejmością, na jaką zdobyć się potrafią już tylko proletarjusze angielscy. I zamknąwszy za Lucjanem drzwiczki, ruszył w drogę, chociaż określenie: "Regents-Park" było również, a może nawet mniej dokładne, niż warszawski adres: "Mokotów".

Anglicy jednak niedarmo i wbrew temu, co u nas o nich sądzą, są idealnie sentymentalnym narodem. Szofer pojął w lot, że jeśli w upalne, niedzielne popołudnie człowiek wymawiający "Regents-Park" cudzoziemskim akcentem, wieźć się każe tam, dokąd żaden szanujący się gentleman o takiej porze udawać się nie zwykł — to musi w grę tu wchodzić... kobieta.

I zgadł.

Może zgadł jeszcze wiele innych rzeczy. Bo kiedy Lucjan, płacąc u bramy parku, i to bramy właściwej, omylił się o pół korony na swoją niekorzyść, szofer uśmiechnął się dobrotliwie i zwracając monetę, rzekł bez cienia poufałości:

— Good luck, sir.

* * *

Lucjan szedł aleją, w której spotkali się po raz pierwszy — Annie i on. Annie była smukłą, jasną blondynką o czarnych jak smoła oczach. Takie cuda trafiają się tylko w Zjednoczonem Królestwie Brytanji.

Poznali się bardzo prosto. Sfotografował ją, niby niechcący, kiedy karmiła czarnego australijskiego łabędzia. Leda... pomyślał sobie i uśmiechnął się zadowolony.

O dziwo! Rezultat przeszedł oczekiwania. Bo karmiąca łabędzia dziewczyna, na uśmiech też odpowiedziała uśmiechem — przyznać trzeba — szczerym i sympatycznym.

— Przyniesie pan odbitkę, nieprawdaż? — zagadnęła pierwsza, widząc jego zakłopotanie.

— Ależ tak — potwierdził skwapliwie.

I zaczęło się.

Analizując potem przeżyte w tym szczęśliwym kwadransie chwile, doszedł do wniosku, że gdyby w ten sposób odezwała się doń kobieta innej narodowości, wiedziałby o co chodzi. Miałby wówczas do czynienia albo z poszukiwaczką awanturniczych przygód, albo też z jakąś osóbką, uprawiającą "miłość zawodowo", od których roją się kawiarnie i parki stolic świata.

Tym razem jednak był pewny, że nie chodziło ani o osóbkę z półświatka, ani o taką właśnie, szukającą żeru lwicę. Miał przed sobą młodą, inteligentną pannę, tak śliczną, jakby dopieroco wykrojono ją z obrazka mistrza Gainsborough. Rozmowa potoczyła się gładko i pewnie.

Tak, bezwątpienia. Nie była to może żadna wielka arystokratka, córka lorda czy para. Ale panienka "well educated", należąca do londyńskiego towarzystwa. Radował się w duszy, bo takiej właśnie pragnął ze wszystkich sił...

— Dokąd dostarczyć pani zdjęcie? — zapytał, gdy u bramy parku podała mu rączkę na pożegnanie.

— Jutro o tej samej porze w tem samem miejscu — odparła, odpowiadając krzepko na shakehand.

Teraz każdy zrozumie, skąd to roztargnienie i dlaczego serce biło mu jak młotem, gdy owego niedzielnego popołudnia wchodził w aleje Regents-Parku.

Był zakochany.

* * *

Annie (już pierwszego dnia powiedziała mu swe imię) wybiegła mu naprzeciw naprawdę z wdziękiem młodej gazeli. Nie potrzebował kruszyć żadnych lodów, bo dziewczyna miała niewysłowiony wdzięk i czar prostoty. Nie czuł zupełnie lipcowego upału, ziejącego na nich z zakopconego londyńskiego nieba. Płonął wewnętrznie ogniem stokroć silniejszym.

Tym razem rozmawiali z półtorej godziny, które wydały mu się trzema sekundami. Annie pierwsza przerwała czarowny nastrój:

— Muszę już iść. W domu dadzą mi burę — zaśmiała się. — Proszę o fotografję i...

— I?! — z niepokojem zawisł na ustach, których zapewne nigdy nie dotknął karmin czy róż.

— ...jutro w tem samem miejscu — odparła przekornie. — A może nie ma pan czasu? — spytała, jakby przypomniawszy sobie, że przecież świat nietylko dla miłości jest stworzony.

— Dla pani czas mieć muszę — odpowiedział skwapliwie, uprzytomniwszy sobie z przerażeniem, że po angielskiej sobocie i niedzieli następuje zwykły poniedziałek. I, że jakkolwiek żaden jeszcze radca ambasady z przepracowania w Londynie nie umarł, to jednak wagarowanie w zwykły dzień... I tak dalej...

* * *

Gdybyście wysnuli z tego wniosek, że Lucjan uwodził śliczną, małą Annie, że mnożył spotkania i zaniedbywał się w obowiązkach jedynie

dlatego, żeby tę dziewczynę wliczyć w poczet — mówiąc delikatnie — zdobyczy miłosnych, to omylilibyście się bardzo. Dyplomata nasz bowiem był szczerze, gorąco i najgłupiej w świecie zakochany. Zakochany po uszy... On, współczesne wydanie Don Juana, wpadł tym razem, w myśl starego polskiego przysłowia: "Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka".

Właściwie nie tyle ponieśli, co... poniosło go rzeczywiście. Dzień istniał dlań tylko od trzeciej do piątej popołudniu, reszta doby to było tęskne wyczekiwanie trzeciej godziny, urozmaicone marzeniami, jakichby się Don Kichot czy Cyrano nie powstydzili. Kochał, a na to, ponoć od stworzenia świata, niema lekarstwa.

Czasem jednak rozum zaczynał się buntować.

— Co z tego wyniknie? — perswadował ten stary, doświadczony rozpustnik. — Przecież nie będziesz się chyba z nią żenił. Jest o piętnaście lat młodsza od ciebie, a przytem innej narodowości, majątku, przyzwyczajeń... Przyznaj się, łajdaku, że masz złe zamiary...

— Otóż nie — odpowiadał szczerze. — Nie to, co ci się zdaje. Kocham ją naprawdę i właśnie nie myślę wcale o tem co będzie... Ale na złość tobie, stary śledziemniku, gotówem się ożenić.

— Ona cię nie zechce — podrwiwał rozum. — Ot, tak zainteresowała się przelotnie cudzoziemcem, jak egzotyczną rośliną i nic ponadto...

— Zobaczymy, czy nie zechce — odpowiadał ze źle utajoną złością. — Tyle słodyczy nie może kryć żadnego podstępu... Mam wrażenie, że Annie mnie kocha. Ale jeśli nie, możesz być pewny, że nie popełnię żadnego głupstwa. Ot, poprostu odejdę i kochać ją będę zdaleka całe życie...

— Marzycielu! — chichotał rozum — idjoto! Co ci z tego przyjdzie? Jeśli już sądzisz, że jest ci wzajemna — nie bądź niedołęgą. Regents-Park kryje w cieniu swych drzew niejedną miłosną tajemnicę...

— Daj pokój, daj pokój, stary łotrze! — pienił się już nie na żarty. — To było dobre z tamtemi, ale tu, byłoby łajdactwem. Wara od tej słodkiej dziewczyny. Jedyna możliwość — małżeństwo... i to tylko, jeśli ona sama zechce...

Tak oto upajał się własnemi marzeniami i z coraz większem biciem serca chodził na randki. Był u szczytu szczęścia, kiedy aksamitną podłużną dłoń kładła mu na ręce, albo w wirze opowiadania wplatała ciepłe paluszki w jego spracowane palce. Tonął w rozkoszy, gdy oparta o jego ramię, niechcący muskała mu włosami skroń. Dotykał jej tak, jakby była nie kobietą z ciała i kości, ale jakąś bezcenną figurką z japońskiej porcelany.

O czem rozmawiali — nie byłby zdolny powtórzyć. Każde jej zdanie było dlań muzyką. Wsłuchiwał się w ich ciepły, nasiąkły jakimś sympatycznym fluidem ton. Treść pozostawała obojętna... Raz uchwycił, że jest córką wyższego oficera marynarki wojennej, który pływa gdzieś po świecie na okręcie Jego Królewskiej Mości. Słowo "the king" wymówiła z odpowiedniem namaszczeniem.

A pozatem mieszka z matką, siostrami i braćmi, jest najstarsza, obowiązki domowe z reguły rzeczy ciążą tedy na niej. Dlatego nie może mu poświęcić więcej czasu, chociaż go bardzo lubi...

— A ja kocham cię, Annie! — zawołał ze śmiałością straceńca. — I to ze wszystkich sił serca i duszy! — wyznał tak śpiesznie, jakby za wszelką cenę chciał się pozbyć dławiącego ciężaru.

— Wiedziałam o tem — uśmiechnęła się ślicznie. — Patrzysz na mnie takiemi roztargnionemi oczyma, jak na świętą.

— Bo jesteś nią dla mnie... bo kocham cię nad życie! — słowa płynęły mu już nie z gardła a prosto z serca. — I możesz być pewna, że miłość moja jest tak wielka...

— Nie sądziłam inaczej... — spojrzała mu poważnie w oczy. — Gdyby nie to, dawnoby mnie już tu nie było. A tak — tu srebrny jej głos spoważniał jeszcze, a oczy pociemniały ze wzruszenia — tak, dear, mogę ci z czystem sumieniem wyznać, że ja... też...

Oszalał z radości.

* * *

Jeszcze nie zdążyli nic uradzić, bo żyli chwilą. Ławka Regents-Parku była im milsza od apartamentów pałacu Buckinghamskiego. Świergot ptaków od wymyślonej przez ludzi muzyki. Uścisk dłoni czy muśnięcie wargami włosów od niewiem jakich rozkoszy miłości dokonanej.

Ale drugiego dnia Annie oświadczyła półsmutno, pół-wesoło:

— Darling, będziemy musieli rozstać się na kilka tygodni. Daddy ze swoim okrętem zawinął do Portsmouth. Jedziemy doń z mamą na wakacje...

Musiał zrobić strasznie zrozpaczoną minę, skoro zdołała się roześmiać. Zresztą w chwilę później znów spoważniała:

— Kocham cię bardzo za to, że mnie tak kochasz — rzekła tym głębokim głosem, jaki przybierała zawsze w chwilach wzruszenia. — Ale nie martw się, najdroższy. Za trzy tygodnie wrócę i będę znów twoją małą Annie.

Rozstali się w pogodzie ducha i szczęściu. Idąc potem ulicą, Lucjan uśmiechał się sam do siebie. A w ambasadzie, ni z tego ni z owego, spytał panny Elizy, swojej maszynistki, z którą, gwoli obyczajności i hierarchji, nie zamienił przedtem dziesięciu słów, poza służbowemi poleceniami:

— Dlaczego nie wychodzi pani zamąż, panno Elizo? Miłość jest tak piękna...

Spojrzała na niego, jak na warjata i odwróciła się z pogardą. Widocznie myślała, że pił zadużo whisky... A Lucjan był tylko pijany szczęściem...

W godzinę po powrocie do domu Lucjan my-

ślał już, jak pojechać w ślad za Annie do Portsmouth. Trzy tygodnie rozłąki wydały mu się torturą nie do zniesienia.

A nazajutrz o ósmej rano w przedziale kurjera, z szybkością 120 kilometrów na godzinę pędził ku największemu z angielskich arsenałów. Nie bez trudu udało mu się otrzymać trzydniowy urlop. Nad koniecznością dotrzymania terminu na razie się nie zastanawiał. Nie zastanawiał się też nad tem, jak odnajdzie Annie. Nie znał przecież ani jej nazwiska, ani nazwy okrętu, którym dowodził jej ojciec. Ale nie przewidywał żadnych trudności... cóż bowiem mogłyby one wobec potęgi uczucia, które nim owładnęło?

Po godzinie jazdy poszedł na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Szczęście zakochanym sprzyja. Bo oto w głębi wagonu ujrzał siedzącą przy stoliku Annie. Była w towarzystwie starszej tęgiej damy, ubranej według mody z czasów królowej Wiktorji. Wszystkie szanujące się matrony noszą się tak do dziś dnia no obu wyspach.

— Mama wygląda dystyngowanie — ucieszył się w duchu. — Przynam się, że sprawiłoby mi przykrość, gdyby matka okazała się istotą nie pod każdym względem idealną.

Annie tymczasem siedziała plecami do tej strony wagonu, w której jadł śniadanie. Jej smukła sylwetka, opięta w skromny granatowy kostjum, wyglądała czarująco... Pożerał ją oczyma, obliczając w duchu efekt spotkania i chwile upojnej rozmowy gdzieś na kurytarzu, pod rozkosznym dreszczykiem obawy, że mama zobaczy...

Nagle drzwi z przeciwnej strony wagonu otwarły się i wszedł komandor Mac Dougal, stary bywalec w salonach ambasady, wybitny oficer marynarki królewskiej, człowiek mimo swoich lat czterdziestu i kilku, zdatny do wszystkiego, dobry kompan a jeszcze lepszy kobieciarz.

Przechodząc obok Annie, skłonił się lekko, co nie sprawiło Lucjanowi specjalnej przyjemności. Potem dojrzał radcę ambasady i z wesołem: Hallo! przysiadł się. Po zwykłych powitaniach i klasycznym zwrocie o pogodzie, a także rzucie oka na pomykający za oknem pejzaż, Lucjan nie wytrzymał:

— Czy zna pan dobrze tę panią, której się pan kłaniał? — spytał z udaną obojętnością.

Szkot zmrużył oczy i dał mu potężnego kuksańca w bok.

— Hu, hu! — zaśmiał się. — Widzę, że pan ma dobry gust... Ta mała jest naprawdę prześliczna. Jeśli pan chce...

— Miałem już zaszczyt być przedstawiony miss Annie — zauważył radca oschle, niezadowolony z tonu towarzysza. — A propos, zapomniałem jakim to okrętem dowodzi jej papa? — usiłować dość niezdarnie ułatwić sobie zadanie.

Mac Dougal spojrzał nań zakłopotanym wzrokiem obywatela, którego źle wyrażający się cudzoziemiec pyta coś w niezrozumiałej formie. Naraz zarżał niby młody koń...

— Ta mała... córką dowódcy okrętu?... By Jove!... To dopiero odkrycie. Jak dotąd głowiliśmy się wszyscy, kto był jej ojcem, bo mama ma bar, albo coś w tym rodzaju... w Kensingtonie. — Umilkł i zaczął patrzeć na Lucjana badawczo. — Waiter! Whisky and soda! — zakomenderował, widząc, że radca blednie. — Niedobrze panu?

— Nic takiego — zebrał dyplomata całą siłę woli. — Więc powiada pan, że miss Annie nie jest córką dowódcy pancernika?

— Równie dobrze, jak ja nie jestem synem Dalaj-lamy.

— A pocóż jedzie w takim razie do Portsmouth? — zaryzykował ostatnim tchem Lucjan.

— Bardzo proste. Jutro powraca okręt szkolny z midshipami. Rozumie pan, że to gratka nielada w dzisiejszych kryzysowych czasach...

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że Annie ma między midshipami narzeczonego?

— O, święta naiwności dyplomatów! — stracił wreszcie nawet i poczciwy Szkot swą cierpliwość. — Ależ tak, ma! I to niejednego! Zapewne kilku. Po dwie gwinee za wieczór plus prezent dla mamy. Ja sam kiedyś... W Londynie...

Trudno byłoby Lucjanowi opowiedzieć, co było potem. W mózgu miał chaos. Chciał wyzywać na pojedynek poczciwego Mac Dougala, chciał wykoleić pociąg, chciał popełnić samobójstwo... W rezultacie zastąpił Annie drogę w kurytarzu. Tęga dama z wiktorjańskiej epoki usunęła się dyskretnie.

— Annie! Na miłość boską, powiedz mi, że to nieprawda!

— Oh, — przeciągnęła się zniechęcona — okropnie nie lubię historyj...

— Ale rozumiesz, tu o szczęście nasze chodzi... Odpowiedz, na litość...

— Więc tak — odparła patrząc swemi ognistemi oczyma prosto w jego źrenice. — To było kłamstwo... Proszę mi wybaczyć...

— Annie, najdroższa Annie! — dusił się z braku tchu, podczas gdy pociąg, jak oszalały, turkotał po zwrotnicach Exeter. — Annie, zrozum, że ja cię kcham i że za nic w świecie...

Warkot i szczęk przebiegającego w przeciwnym kierunku pociągu stłumił na chwilę jego słowa. Patrzała nań wciąż jakimś twardym, obcym, przeszywającym ciało aż do serca wzrokiem.

— Annie, wiedz, że nic się nie zmieniło. Kocham cię tak, jak przedtem, tak, jak w parku... Kocham ponad wszystko... Niechcę o niczem wiedzieć... I chcę, żebyś została moją żoną...

Ostatnie słowa wypowiedział trzęsąc się z uniesienia.

A ona spokojnie położyła mu rękę na ramieniu i rzekła spokojnym, acz może mniej twardym, jak uprzednio głosem:

— Nie bądź głupi...

Poczem odwróciła się szybko i weszła do sąsiedniego przedziału.

A potem już nigdy... już nigdy... Ta dziewczyna z londyńskiego baru, ta zabawka dla powracających z podróży midshipów, Annie, którą za dwie gwineje można było zaprosić, gdzie się chciało, Annie odmówiła. Nie chciała zostać żoną dyplomaty. Nie chciała tego, na co dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet zgodziłoby się wówczas z entuzjazmem.

Nie tak łatwo ustąpił z placu! O nie! Walczył zawzięcie. Ostatnią rozmowę wymusił na niej prawie gwałtem, bo zaczęła go unikać. Wyśledził ją, gdy szła nadbrzeżem w kierunku pewnego tearoomu, w którym zwykły się zbierać "przyjaciółki" oficerów marynarki. Zastąpił jej drogę...

— Annie — zaczął. — Annie, jeszcze parę słów i odjadę. Powiedz mi tylko, czy naprawdę niczego nie żałujesz? Czy tam w parku... grałaś komedję, kpiłaś ze mnie? Czy uważasz, że nie zasługuję na to, byś została moją żoną?...

Stała chwilę w milczeniu, podobna do sfinksa, który przyjął na siebie postać młodej dziewczyny.

Wreszcie odparła:

— Niczego nie żałuję, ale żoną twoją zostać nie mogę. I proszę cię, nie kręć się koło mnie, bo...

— Bo — warknął, straciwszy panowanie nad sobą — bo psuję ci interes! Czy tak?... Ot, tam na progu ten oficer czeka już... mnąc dwie gwineje w ręku...

— Let me alone — powiedziała groźnym szeptem, usiłując wydostać dłoń, którą trzymał. — Puść mnie!

Ale szatan opętał jego duszę, więc krzyczał:

— Nie jestem gorszy od innych! I ja też mam pieniądze! Masz tu dwie gwineje! Co mówię... dam ci trzy razy tyle!

I nerwowo zaczął szukać po kieszeniach.

— Ty?... Nigdy... — wyrwała się. Na chodniku zaczerniał wielki cień. To stojący na progu midship podszedł bliżej.

Lucjan nie miał więcej nic do roboty w przeklętem Portsmouth.

* * *

Minęło kilka lat. Na jakiejś garden-party spotkał Mac Dougala. Komandor poczęstował go klasycznem:

— Now, how do you do? — zarżał jak koń, zmusił do wypicia podwójnej porcji whisky, aż wreszcie zagadnął: — Pamięta pan tę małą Annie, w której kochał się pan platonicznie?...

Coś ukłuło Lucjana boleśnie w lewym boku... Skinął głową. Mac Dougal z olimpijskim spokojem prawił dalej:

— Wyszła zamąż za kupca ze Strandu. Co prawda staruszek, ale za to bardzo bogaty. Byłem u niej na tydzień przed ślubem. Rozumiesz...

— Poco to wszystko? — szepnął rozgoryczony.

— Zaraz. Kazała mi powiedzieć, że kochała pana naprawdę. Ale wziął ją pan za co innego... Za kobietę z towarzystwa. Więc...

— Nic nie rozumiem.

— Więc powiedziała mi: Słuchaj, Mac, jesteś dobry chłopiec, jeśli spotkasz go kiedy, powiedz mu, że tamto w parku nie było komedją. Pierwszy raz czułam się, jak lady, rozumiałam, że takie kobiety kocha się inaczej, niż dziewczyny uliczne, bo i one ze siebie coś innego dać mogą. Przeżywałam najpiękniejsze chwile mego życia. To taka rozkosz być kochaną, jako uczciwa kobieta. Marzyłam o tem, by zacząć nową egzystencję, ale to było bardzo trudne. Przedewszystkiem on nigdy nie powinien był o niczem wiedzieć...

— Dlaczegóż tedy — wybuchnął — popsuła wszystko?

— To pan popsuł wszystko, przyjacielu — z flegmą kontynuował Szkot. — Niepotrzebnie chciał pan zrobić więcej, niż trzeba. Gentleman nie robi nigdy więcej, niż trzeba.

— I co mówiła jeszcze?

— Że potem nie mogłaby już zostać pańską żoną, bo widziałby pan w niej dziewczynę wyciągniętą z rynsztoka. Uważałby się pan za filantropa. Może nawet po pewnym czasie wypominałby jej to wszystko... Jej przeszłość stałaby, jak groźny cień nad waszem szczęściem. A zresztą sądziła, że skoro pan już wie, to nie jest godną zostać żoną człowieka, który pokochał ją jako uczciwą kobietę. I odeszła...

— Waiter — whisky and soda — zakończył klasycznie swą przemowę, a widząc strapioną minę dyplomaty, dodał: — Nie martw się, stary druhu. Największe głupstwa robi się zawsze z najszlachetniejszych pobudek... Jeśli zaś kto nie umie pływać, to niech się lepiej kąpie w wannie — mruknął jeszcze, jakby sam do siebie.



ARCYDZIEŁA PRZYRODY



KTÓŻ nie kocha kwiatów! Kto nie podziwia misternych kształtów tych arcydzieł przyrody, które napróżno starają się naśladować ludzie, próbujący wyrabiać sztuczne kwiaty, jakie często widzimy, jako rzekomą ozdobę naszych mieszkań lub strojów kobiecych. Patrzymy na kwiaty codziennie i widok ich nigdy nie spowszednieje. Pisali o kwiatach wielcy pisarze wszystkich wieków, opiewali je poeci, malowali artyści. Kwiaty to niezrównane arcydzieło przyrody, w którem kształty, zapach, barwy i delikatność tworzą poemat, pisany promieniem słońca.

Gdy widzimy podobizny kwiatów, wymalowane przez jakiegoś znakomitego artystę, mówimy, że "są jak żywe" i w tem mieści się najwyższa pochwała dla mistrza, który potrafił uchwycić podobieństwo i przenieść je na martwe płótno. Malarz starał się naśladować artystyczną rękę przyrody i udało mu się to, ale tylko częściowo. Oddał wiernie kształt i barwę, ale nie dał im zapachu i życia. To już tylko sama przyroda może uczynić.

Chryzantemy czyli złocienie. Kolebką ich jest daleka Japonja, kraj wulkanów, kwitnących, a nie dających owocu wisien, i chryzantem. Posiadają szczególny zapach, raczej trawy niż kwiatu, ale kształty ich są bogate. Puszyste, spłaszczone kule o płatkach zwiniętych, jak loki jedwabistych włosów. Odmian chryzantem setki. Białe, złociste, czerwone, wszystkich prawie barw i odcieni. Z Japonji przeniosły się chryzantemy do wszystkich krajów świata i wszędzie zachwycają bogactwem barw i kształtów.

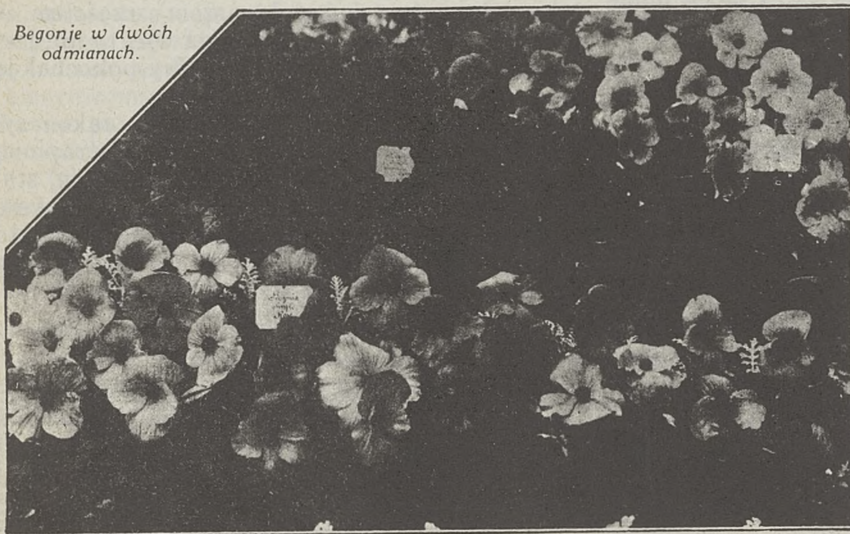


Chryzantemy (Złocienie).

Królową kwiatów jest róża. I tej istnieją niezliczone odmiany w najrozmaitszych barwach i kształtach. Pełne, wielkie róże sztamowe o pastelowych barwach i silnym zapachu, trudne do wypielęgnowania ale jakże wspaniałe, róże zwykłe o wiotkach płatkach złożonych symetrycznie w pełny kwiat, róże pnące się, maleńkie, średnie i wielkie, a wszystkie roztaczające dokoła siebie najcudniejszą woń, którą starają się naśladować fabrykanci perfum sztucznych.

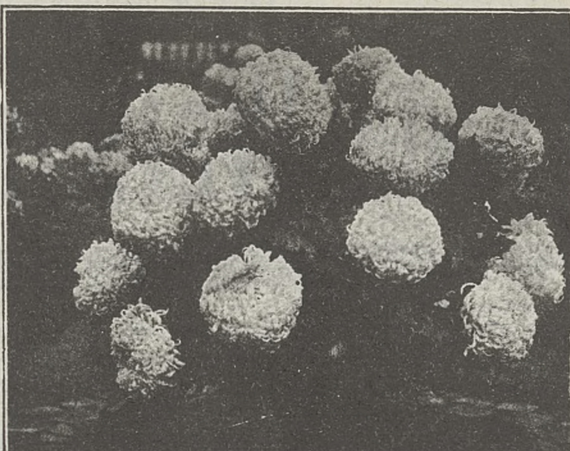
To znów storczyki czyli orchidee. Ojczyzną ich są kraje podzwrotnikowe, dżungle i puszcze Afryki i Ameryki południowej. W strefie umiarkowanej kwiat ten, posiadający tysiące odmian, nie pojawia się w stanie dzikim. Hodowany w cieplarniach, udaje się ale w rzadkich tylko wypadkach osięga naturalną swą piękność. Niezwykły ten kwiat przybiera najfantastyczniejsze kształty. Zdarzają się storczyki podobne do głów tygrysich, do dzbanuszków, malowanych w fantastyczne wzory, są podobne do motyli i ptaków, nawet do maleńkich pantofelków. Rozmaitość i zawiłość kształtów i barwy storczyków przekracza najśmielsze fantazje artystów. Zapach storczyka posiada całą skalę, począwszy od delikatnej, przyjemnej woni, aż do dławiącego, ostrego zapachu niektórych odmian. Storczyk jest pasorzytem w stanie dzikim. W cieplarniach hoduje się storczyki w specjalnych doniczkach, wypełnionych ziemią

Begonje w dwóch odmianach.



kompostową i mchem, a zawieszonych wysoko, w temperaturze ciepłej i przesyconej wilgocią.

Jako kwiat dekoracyjny i łatwy do hodowania na czołowe miejsce wysuwa się begonja. Pozbawiona zapachu, wynagradza ten brak obfitością kwiatów. Duże begonje o szerokim, pięknie zabarwionym liściu, wspaniale wyglądają na klombach i w rabatach. Drobne begonje, barwy zwykle różowej o pojedyńczych kwiatkach są znakomitem upiększeniem koszów, werand i szkrzynek kwiatowych przed oknami mieszkań.



Obok: Piękna odmiana złocieni.



Niżej: Wystawa dalij (georginij).

Niezliczone są odmiany kwiatów, a każda z nich ma swoje właściwości, odrębne kształty, odmienny zapach i barwy. Nietknięte ręką ogrodnika, leśne, dzikie odmiany kwiatów wcale nie ustępują pięknością i bogactwem barw i kształtów najkosztowniejszym odmianom kwiatów cieplarnianych i ogrodowych. Tak tu jak i tam główną wykonawczynią kwiatowych arcydzieł jest przyroda. Człowiek może tylko pomagać naturze w wytwarzaniu nowych odmian.

Ocenił też świat należycie piękno kwiatów i uważa je za najpiękniejszą ozdobę. W pałacach możnych, w rezydencjach bogaczów, w mieszkaniu robotnika i chacie rolnika, wszędzie napotyka się kwiaty. Wnoszą one radość i wesele, sprowadzają uśmiech słońca wszędzie gdzie się pojawią.

W wielkich miastach Europy i Ameryki od dawna już szeroko rozwinęła się kultura kwiatów dekoracyjnych. Na balkonach, przed oknami, na werandach domów, widzimy skrzynki i kosze z rosnącemi kwiatami, na trawnikach rozpościerają się klomby kwiatowe, jak barwne dywany pośród zieleni.

W miastach Polski wszelkie kwiaty stanowią poważny artykuł handlu ulicznego. Na każdym prawie narożniku ruchliwych ulic widzimy w polskich miastach przekupniów, ofiarujących na sprzedaż wszelkie rodzaje kwiatów ogrodowych i dziko rosnących, na które zawsze jest dosyć amatorów. W każdym domu muszą być jakieś kwiaty, a w braku tych, choćby gałązki zielone lub pęczki liści. Nawet ubodzy, którzy z każdym groszem muszą się ściśle rachować, znajdą zawsze kilka groszy na kupno kwiatka czy gałązki zieleni.

Jak wspomniano na początku, ludzie starają się naśladować kwiaty i zastępować je sztucznemi. Daleko jednak tym, wytwarzanym rękami ludzkiemi naśladownictwom, do przepięknych, tchnących życiem, barwą i wonią arcydzieł największej mistrzyni świata—przyrody.



Wystawa storczyków.

Guy de Maupassant

Przygoda Waltera Schnaffsa

BYŁO to w czasie wojny francusko - pruskiej 1870-go roku.

Od chwili, gdy wraz z armją najeźdźców stanął na ziemi francuskiej, Walter Schnaffs poczuł, że jest najnieszczęśliwszym z ludzi. Był to tęgi dryblas o płaskich stopach i grubych nogach, które go stale bolały, ciężki w ruchach i zawsze zziajany. Z usposobienia był człowiekiem spokojnym i flegmatycznym, któremu obce były górnolotne dążenia i zawadjackie porywy. Był przytem ojcem czworga dzieci, które ubóstwiał i mężem młodej blondynki, do której pocałunków, pieszczot i opieki tęsknił co wieczór.

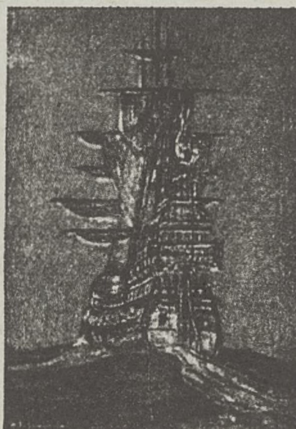
Schnaffs lubił kłaść się spać wcześnie, a wstawać późno, lubił dobrze zjeść i ciągnąć piwo po knajpkach. Wierząc zaś święcie w to, że te wszystkie przyjemności życia kończą się z chwilą śmierci, żywił w swem sercu straszną nienawiść, instynktowną i wyrozumowaną, dla dział, karabinów, rewolwerów.i szabel, a przedewszystkiem dla bagnetów, czuł się bowiem niezdolnym do władania tą bronią dość sprawnie, by zasłonić w razie potrzeby swój potężnie wystający brzuch.

Leżąc na ziemi wśród chrapiących donośnie kolegów i obwijając się szczelnie w płaszcz, Schnaffs długo w noc nieraz rozmyślał o pozostałej w domu rodzinie i o niebezpieczeństwach, któremi najeżona była jego droga. Co się stanie z jego dziećmi, gdy go zabiją? Kto nakarmi ten drobiazg i wychowa? A i teraz nie przelewa się tam u nich, chociaż, wyjeżdżając, zadłużył się nawet, aby zostawić im trochę pieniędzy. Nic więc dziwnego, że Schnaffs rozpłakał się nieraz gorzko, rozmyślając o tem wszystkiem.

Ilekroć wyruszał w pole, gdzie spodziewano się spotkać nieprzyjaciela, uczuwał odrazu w nogach takie osłabienie, że omal nie padał na drodze.

Mijały miesiące, a on żył w ustawicznej trwodze i niepokoju. Pułk, do którego należał, szedł w stronę Normandji.

Pewnego razu niewielki oddział, do którego włączono i Schnaffsa, został wysłany dla zbadania okolicy, poczem miał cofnąć się do pułku. Spokój panował, napozór, zupełny i nic nie wskazywało na to, by Francuzi w tem miejscu chcieli stawić opór. Zaledwie jednak oddział zaczął się wsuwać ostrożnie w maleńką dolinkę, poprzerzynaną głębokiemi wyrwami, gdy znagła rozległa się strzelanina, która zatrzymała oddział na miejscu, kładąc trupem dwudziestu ludzi. Z przyległego, małego jak dłoń lasku wypadła gromadka wolnych strzelców i natarła bagnetami na Prusaków.



W pierwszej chwili Walter Schnaffs jakby wrósł w ziemię. Tak był zmieszany i osłupiały, że nie myślał nawet o ucieczce. Jak tylko oprzytomniał, ogarnęła go z niepowstrzymaną siłą, chęć, by dać drapaka. Spostrzegł jednak odrazu, że, uciekając, poruszał by się jak żółw w porównaniu z ruchliwemi Francuzami, którzy, skacząc jak stado kóz, nacierali ze wszystkich stron. Na szczęście dojrzał o jakieś sześć kroków przed sobą szeroki rów, porosły wewnątrz krzakami, a zwierzchu pokryty chrustem; nie myśląc też wiele, skoczył w ten rów równymi nogami, jakgdyby z mostu skakał do rzeki. Przebił jak strzała warstwę pnących się roślin i ostrych cierni, które pokaleczyły mu twarz i ręce, i upadł ciężko na kamienne łożysko rowu.

Podniósłszy po chwili oczy, przez otwór w krzakach, który własnem ciałem wydrążył, ujrzał nad sobą niebo. Ten niebezpieczny otwór mógł go łatwo zdradzić; z jaknajwiększą zatem ostrożnością zaczął pełzać na czworakach po dnie rowu pod dachem splecionych gałęzi, oddalając się w ten sposób od pola walki. Gdy odczołgał się dalej od doliny, usiadł i siedział, skulony jak zając, pośród zeschłych chwastów. Przez jakiś czas słyszał jeszcze huk wystrzałów, krzyki i jęki. Stopniowo odgłosy utarczki zaczęły słabnąć, aż ucichły zupełnie i wokoło zaległa głucha cisza.

Nagle coś przemknęło koło niego. Zerwał się przerażony.

Był to jakiś ptak, który, usiadłszy na gałązce, poruszył zeschłe liście. Z godzinę potem serce Schnaffsa biło silnem, przyspieszonem tętnem.

Nadeszła noc, napełniając rów coraz gęstszym mrokiem. Żołnierz zaczął rozważać swoje położenie. Co robić? Co go tu czeka? Wrócić do pułku? Ale jak, którędy? Gdyby zaś to zrobił, będzie musiał znów prowadzić to okropne życie, pełne strachu, grozy, trudów i cierpień, jakie wiódł od początku wojny! Nie, nie! Nie miał już do tego odwagi. Nie starczyłoby mu już sił do marszów i do stawiania czoła coraz to nowym niebezpieczeństwom.

Więc co począć? Niepodobieństwem było zostać w tym rowie i kryć się w nim do końca wojny. Gdyby nie to, że przecież trzeba jeść, nie miałby nic przeciwko siedzeniu w rowie; ale cóż, kiedy jeść trzeba i to codziennie. Dreszcz wstrząsnął nim na myśl, że jest sam jeden, uzbrojony, odziany w pruski mundur, daleko od tych, którzy mogliby go obronić.

Raptem błysnęła mu myśl: "A gdybym tak dostał się do niewoli?"

Serce zabiło mu gwałtownie w niepohamowanem pragnieniu zostania jeńcem francuskim. Być wziętym do niewoli! Znaczyło to ocalić się, być nakarmionym, mieć dach nad głową w dobrze strzeżonem więzieniu, a przedewszystkiem być zdala od kul, szabel, wogóle od wszystkiego, co napawało go trwogą. Być jeńcem! Co za szczęście!

I Schnaffs powziął natychmiast decyzję:

— Pójdę i oddam się w niewolę.

Podniósł się, by nie zwłócząc ani chwili, zamiar ten wykonać. W tym samym jednak momencie znów go ogarnęła niepewność i trwoga. Bo dokądże miał pójść, aby się oddać w niewolę? W którą stronę? I jak to zrobić? Straszne obrazy, obrazy śmierci stanęły mu przed oczyma. Zrozumiał, że, tłukąc się w swej pikielhaubie samotnie po polach, naraziłby się na największe niebezpieczeństwa.

Mógłby spotkać chłopów... Ujrzawszy bezbronnego, zabłąkanego Prusaka, zabiliby go jak psa, włóczącego się samopas! Zakłuliby go widłami, zatłukli motykami, posiekali kosami i rydlami. Stłukliby go na miazgę i podrobili na gałki dla kur i kaczek z rozpaczliwą zajadłością zwyciężonych.

Mógłby też spotkać wolnych strzelców... Szaleńcy ci, nie znający prawa ani karności, rozstrzelaliby go poprostu dla rozrywki. I Schnaffs widział się już opartym o mur z twarzą zwróconą ku dwunastu karabinom, których małe, czarne wyloty zdawały mu się przyglądać!

A gdyby tak spotkał całą armję francuską? Przednie straże wzięłyby go za pruską forpocztę, za śmiałego, zuchwałego żołnierza, który odważył się sam dotrzeć tak daleko na zwiady. Byłby stracony. Zdawało mu się, że słyszy bezładną strzelaninę ukrytych w zaroślach żołnierzy, podczas gdy on, stojąc na gołem polu, widoczny dla wszystkich słania się, podziurawiony kulami jak rzeszoto. Czuł, jak kule przenikają jego ciało...

Schnaffs usiadł zgnębiony. Położenie jego wydało mu się bez wyjścia.

Tymczasem zapadła czarna, głucha noc. Schnaffs siedział nieruchomo, drżąc za każdym, choćby najlżejszym szelestem, który w ciszy nocnej dawał się słyszeć. Omal nie porwał się do ucieczki przed zającem, wysuwającym się ze swej nory. Hukanie puszczyka rozdzierało mu duszę, przejmując go lękiem bolesnym jak rana. Wytrzeszczył oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemności. Co chwila zdawało mu się, że ktoś krąży koło niego.

Długie, nieskończone godziny przetrwał tak, cierpiąc męki skazańca, gdy nareszcie przez sklepienie z gałęzi ujrzał jaśniejące niebo. Odetchnął z ulgą. Rozprostował członki, serce przestało tłuc mu się w piersiach, oczy skleiły się. Usnął.

Gdy się obudził, słońce było już w połowie swej drogi na niebie; było już koło południa. Żaden szmer nie zakłócał ponurej ciszy pól.

Walter Schnaffs poczuł silny głód, skręcający mu wnętrzności. Ziewnął. Slina mu naciegła do ust na myśl o kiełbasie, owej żołnierskiej, smacznej kiełbasie... Poczuł skurcz bolesny w żołądku. Podniósł się, postąpił kilka kroków, ale nogi się pod nim uginały; usiadł więc znowu i zaczął rozmyślać. Siedział tak ze dwie lub trzy godziny, rozważając dobre i złe strony swego projektu, zmieniając co chwila swe plany,— zgnębiony, nieszczęśliwy, targany najsprzeczniejszemi wątpliwościami.

Jedna wreszcie myśl wydała mu się rozsądną i praktyczną: wypatrzeć na drodze samotnego wieśniaka, idącego bez broni oraz bez takich narzędzi pracy, które mogłyby być użyte jako broń, wybiec naprzeciw niemu i oddać się w jego ręce, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że to jest oddanie się do niewoli. Rad z pomysłu, zdjął pikielhaubę, której spiczaste zakończenie mogłoby go zdradzić, i z największą ostrożnością wysunął głowę ponad brzegi rowu.

Żywej duszy nigdzie nie było widać. Niedaleko, u końca zacienionej alei, stał duży zamek o sterczących wieżyczkach.

Doczekał się wieczora, cierpiąc z głodu niewypowiedziane katusze, nie widząc nic prócz przelatujących wysoko kruków i nic nie słysząc, prócz żałosnych skarg własnych wnętrzności.

I znów noc zapadła nad jego głową. Wyciągnięty w głębi swego schronienia, usnął snem gorączkowym, pełnym męczących widziadeł, snem wygłodniałego człowieka.

O świcie Schnaffs, przebudziwszy się, wrócił do swoich obserwacyj. I tym razem jed-

nak nikogo nie było. Nowa obawa wkradła się teraz do jego umysłu, — obawa głodowej śmierci. Widział się, jak leży na wznak na dnie swej nory z zamkniętemi, martwemi oczyma. Zwierzęta i różne małe żyjątka ziemne zbliżają się do jego trupa i zaczynają go jeść, rozpoczynając ze wszystkich stron odrazu, wślizgują się pod odzież, by kąsać zimne ciało jego. A wielki kruk ostrym dziobem wykłuwa mu oczy.

To znów szał go ogarniał na myśl, że omdleje z osłabienia i nie będzie mógł się stąd ruszyć. I już, już gotów był rzucić się ku wiosce zdecydowany na wszystko, zdolny do wszystkiego, gdy nagle ujrzał trzech chłopów, idących polem z widłami, i ukrył się czemprędzej w swym rowie.

Dopiero z nadejściem wieczora, który otulił mrokiem pole, Schnaffs wygramolił się z trudem z rowu i, zgięty, wystraszony, z bijącem sercem puścił się ku zamkowi; wolał to, niż iść do wioski, która przejmowała go zgrozą, niby ostęp, pełen tygrysów.

W dolnych oknach zamku było jasno. Jedno z nich było otwarte. Wydobywała się zeń silna woń pieczonego mięsa, która w sposób gwałtowny łaskotała nozdrza Schnaffsa, wdzierała mu się do jamy brzusznej, wywołując tam bolesny skurcz, przyspieszała oddech i, nęcąc nie do wytrzymania, wlewała w jego żyły odwagę rozpaczy. Schnaffs, nie zastanawiając się nad tem, co czyni, stanął wprost okna, w pikielhaubie na głowie.

Dokoła wielkiego stołu siedziało przy obiedzie ośmioro służby. Raptem jedna z dziewcząt wypuściła z ręki szklankę, otwierając szeroko usta i oczy. Wszystkie spojrzenia poszły za jej wzrokiem. Wszyscy spostrzegli nieprzyjaciela.

Boże wielki! Prusacy atakują zamek!...

Rozległ się krzyk, jeden krzyk, złożony z ośmiu w różnej tonacji wydanych głosów, krzyk okropnego przestrachu, poczem wszyscy zerwali się z miejsc w popłochu i, tłocząc się i popychając, uciekali bezładnie ku drzwiom w głębi. Mężczyźni w ucieczce potrącali i przewracali na ziemię kobiety i deptali po nich. Nie minęły dwie sekundy, jak pokój opróżnił się zupełnie i przed oszołomionym, stojącym wciąż w oknie Schnaffsem widniał tylko stół, zastawiony obficie jedzeniem.

Po chwili wahania Schnaffs wgramolił się na parapet okienny i, zeskoczywszy do pokoju, rzucił się do stołu. Głód straszliwy trząsł nim jak febra, mimo to jednak nie śmiał jeszcze jeść, bał się. Słuchał. Cały dom zdawał się drżeć; słychać było trzaskanie drzwiami oraz odgłosy szybkich kroków. Zaniepokojony Prusak wytężonem uchem chwytał te hałasy, wśród których rozróżnił po chwili głuche uderzenia ciał ludzkich zeskakujących z pierwszego piętra na miękką ziemię tuż pod murem. Zaraz potem odgłosy wszelkie i krzyki umilkły i cisza grobowa zaległa w zamku.

Walter Schnaffs usiadł przed jednym talerzem, na którym nikt nie jadł, i zabrał się do jedzenia. Jadł olbrzymiemi kęsami, jakgdyby obawiał się, że lada chwila mu przerwą, nie dając mu się dostatecznie nasycić. Chwytał oburącz ogromne kawały mięsa i rzucał je w otwartą szeroko gębę, jak w otchłań. Tłoczył do żołądka nieprawdopodobne ilości jedzenia, które rozdymało mu po drodze gardziel, i, nieomal, dławiło go. Przestawał wówczas pchać w siebie, brał dzban z jabłecznikiem i przepłukiwał swój przewód pokarmowy, jak się przepycha zatkaną rurę. I jadł dalej.



W taki sposób opróżnił wszystkie talerze, wszystkie półmiski i wszystkie butelki. Opchawszy się i opiwszy bez miary, jak zwierzę, Schnaffs czerwony, wstrząsany czkawką, z omroczonym umysłem i napęczniałą gębą rozpiął mundur, który go uciskał i nie dawał swobodnie odetchnąć, i siedział niezdolny do poruszenia się z miejsca. Powieki zaczęły mu opadać, myśli— plątać się, ociężałą nagle głowę położył na skrzyżowanych na stole rękach i w poczuciu słodkiego dosytu stracił świadomość miejsca i rzeczy.

Błednący sierp księżyca rzucał z za drzew parku niewyraźne, nikłe światło. Była to owa chłodna, końcowa godzina nocy, poprzedzająca świt.

Po parku snuły się jakieś liczne, nieme cienie. Niekiedy w żywszym blasku księżyca zalśniło stalowe ostrze broni. W mroku nocy czerniała wielka sylweta zamku, w którym tylko dwa okna na parterze były oświetlone.

Nagle rozległ się jakiś grzmiący głos:

— Naprzód! Chłopcy do szturmu!

W jednem oka mgnieniu drzwi, okiennice i okna zamku runęły pod naporem fali ludzkiej, która, piętrząc się i łamiąc wszelkie zapory, wdarła się do zamku. Pięćdziesięciu uzbrojonych żołnierzy wskoczyło do kuchni, gdzie spoczywał, nie myśląc o oporze, Walter Schnaffs. Przyłożywszy mu do piersi pięćdziesiąt nabitych karabinów, powalili go na ziemię i skrępowali mocno sznurami. Schnaffs, okładany kolbami, ogłupiały ze strachu i nie-

rozumiejący, co się z nim dzieje, leżał, ciężko sapiąc, na ziemi.

Wówczas jakiś wojskowy w mundurze ze złotemi galonami postawił nogę na brzechu leżącego i zawołał:

— Jesteś moim jeńcem! Poddaj się!

Prusak zrozumiał tylko to jedno słowo "jeniec" i wystękał:

— Tak, tak, tak!

Podnieśli go z ziemi i przymocowali do krzesła. Zwycięzcy, sapiąc jak wieloryby poczęli go z zaciekawieniem badać. Kilku z nich, zmęczonych wzruszeniem i wysiłkiem, usiadło koło jeńca, który uśmiechał się swą tłustą gębą ze szczęścia, że nareszcie dostał się do niewoli.

Do kuchni wszedł oficer i zameldował:

— Panie pułkowniku, nieprzyjaciel cofnął się z pola walki. Zdaje się, że ma wielu rannych. Jesteśmy panami placu boju.

Gruby dowódca, który ocierał właśnie pot z uznojonego czoła, krzyknął:

— Zwycięstwo!

Wyciągnął z kieszeni mały notatnik i zapisał w nim: "Po zaciekłej walce Prusacy zostali zmuszeni do ucieczki; unieśli zabitych i ranionych, których liczą do pięćdziesięciu. Wielu też zostało w naszych rękach."

— Jakie rozkazy otrzymam, panie pułkowniku? — zapytał młody oficer.

—Cofamy się, — odrzekł pułkownik, — aby uniknąć nadejścia artylerji i przeważających sił nieprzyjaciela.

I dał rozkaz do odwrotu.

Kolumna uszykowała się pod murami zamku i odmaszerowała, otoczywszy ze wszystkich stron Schnaffsa, którego, pomimo że był związany, trzymało dziesięciu żołnierzy z gotowemi do strzału rewolwerami. Dla zbadania drogi zostały wysłane naprzód rekonesanse, za któremi posuwał się ostrożnie główny oddział, zatrzymując się od czasu do czasu. Tak dotarli o świecie do podprefektury w La Roche-Oysel, opisanego tu bowiem bohaterskiego czynu dokonała gwardja narodowa tego właśnie miasteczka.

Mieszkańcy zaniepokojeni, podnieceni, z niecierpliwością oczekiwali na ulicach na powrót gwardji. Gdy ujrzano pikielhaubę jeńca, podniosły się straszliwe okrzyki. Kobiety groziły jeńcowi pięściami, stare baby płakały, a jakiś dziad cisnął w Pruska kijem, trafiając prosto w nos jednego z żołnierzy konwoju.

Pułkownik krzyknął wielkim głosem:

— Czuwać nad bezpieczeństwem jeńca!

Dotarli do ratusza. Otworzono więzienie i wtrącono doń uwolnionego z więzów Schnaffsa. Dwunastu uzbrojonych gwardzistów stanęło na straży.

A Walter Schnaffs, pomimo dotkliwych objawów niestrawności, coraz silniej dających mu się we znaki, zaczął tańczyć w więziennej celi, tańczyć z niewypowiedzianym zapałem. Nieprzytomny z radości, wydając dzikie okrzyki zachwytu, podskakiwał i potrząsał rękami i nogami, aż padł zziajany pod ścianę.

Dostał się do niewoli! A więc był ocalony!

Oto w jaki sposób zamek Champigny został odebrany nieprzyjacielowi po sześciogodzinnem zaledwie oblężeniu.

Pułkownik Ratier, właściciel sklepu z suknem, który dokonał tego dzieła na czele gwardji narodowej z La Roche-Oysel, otrzymał order za waleczność.

Nie, To Skandal Jakich Mało!

— Nie, to skandal, jakich mało!
— Cóż się stało, mój kochany?
— Zmarzłem jak pies, to się stało.
A to dopiero bałwany!
Wystaw sobie, jestem w mieście,
Mróz, na niebie ani chmury,
Aż tu narodu ze dwieście
Stoi i patrzy do góry.
Patrzę i ja na kominy,
Na dachy, precz dookoła;
Patrzę z jakie pół godziny,
No i nic nie widzę zgoła.
Więc pytam się najbliższego
Tuż obok sąsiada,
Co tu się stało takiego?
"Nie wiem" — sucho odpowiada.
Pytam baby i ta nie wie.
Myślę sobie, pal ich licho!
Albo nie; ludzie się roją,
Poczekam chwileczkę małą;
Przecież jak głupcy nie stoją?
Oto co się pokazało:
Jacyś dwaj się założyli,
Że gdy kto stanie przed bramą
I spojrzy w górę — po chwili
Sto osób zrobi to samo.
I proszę cię, trzy godziny
Tłum stał tak na środku drogi,
Z łbem do góry, bez przyczyny.
Najbardziej mi zmarzły nogi.
Choć tłukłem jedną o drugą;
Bodaj ich djabli porwali!
— Dlaczego-żeś stał tak długo?
— A dlaczego inni stali?

M. Rodoć.

PAJĄCZEK

KAROL SNOP





PANIĄ Niutkę poznałem dzięki memu przyjacielowi i koledze ze szkolnej ławy, Zbigniewowi Radońskiemu, który mieszkał stale w swoim majątku, co miesiąc zaś przyjeżdżał na parę dni do miasta dla załatwienia interesów i dla "odświeżenia się", jak to sam nazywał.

Przyznać mu to trzeba, że pobyt w mieście zaczynał od załatwienia interesów, do których, zresztą, głowę miał dobrą i załatwiał je z porywającą szybkością i energją. Dopiero, gdy skończył z niemi, i mógł już o nich nie myśleć, wpadał do mnie jak bomba, wyciągał mnie z domu nawet siłą, jeśli tego było potrzeba, i przez parę dni z rzędu "odświeżaliśmy się"...

Wizyty, dancingi, teatry, kabarety, nocne knajpy, a potem jeszcze ku schyłkowi nocy "na dobranoc", jak mawiał Zbigniew, czarna kawa z likierami i papierosem w jakiemś eleganckiem, kawalerskiem mieszkanku, u mnie lub u któregobądź z naszej paczki, w towarzystwie pięknych a łaskawych przedstawicielek stołecznego baletu, następnego zaś dnia znów od początku: wizyty, dancingi... Zipnąć spokojnie przez te parę dni nie mogłem!

Zbigniew za to czuł się, jak ryba w wodzie. Kiedy zaś miał już tego dosyć, rzucał się na mnie, dusił mnie swemi pożegnalnemi uściskami tak, że mi, dosłownie, oczy na wierzch z braku tchu wychodziły, i znikał, zagrzebując się znów na wsi na parę tygodni, ja zaś przedewszystkiem zasypiałem na parę dni jak niedźwiedź, poczem wracałem do pracy, wiedząc, że za parę tygodni Zbigniew znów mnie od niej oderwie.

Serdeczny i kochany był to chłopak i chętniebym o nim obszerniej się tu rozpisał, gdyby nie to, że właściwie chciałem opowiedzieć o pewnym pająčzku, a raczej o pani Niutce...

Była to młoda wdówka, słynna w towarzyskich kołach stolicy z urody, wdzięku i zalotności. Choć spotkałem ją parokrotnie na balach publicznych, nie tańczyłem z nią nigdy i nie byłem jej przedstawiony. Nie starałem się o to, a nawet wprost przeciwnie — starałem się tego uniknąć. Dlaczego? Hm... Mój Boże, żebym ja sam wiedział, dlaczego? Może dlatego, że pani Niutka była zawsze taka wesoła, pogodna, ożywiona, tak uroczo przekomarzała się z rojem czarnych fraków, otaczających zwartem kołem jej krzesło, że, patrząc na to z drugiego końca sali, i mając z natury usposobienie melancholijne i sentymentalne, traciłem stopniowo te okruchy odwagi do zbliżenia się do tej ślicznej osoby, z któremi na bal się zjawiałem.

— Czy można się do niej dostać? — myślałem z pewną goryczą, patrząc na oblegających ją mężczyzn. — Nie można. Nie dadzą. A gdyby nawet, to jak tu mówić z nią, kiedy każdego słowa cała ta banda słuchać będzie. Żeby was skręciło!...

Zbigniew znał panią Niutkę osobiście, — bo kogóżby on nie znał! — ale jakoś nigdy ze mną dotąd o niej nie mówił, z czego, oczywiście, rad byłem, nie chciałem bowiem zdradzać się przed nim z sentymentu, jaki we mnie pani Niutka wzbudziła.

Aż raz...

Wpadł do pokoju, jak huragan, wygniótł swemi krokodylemi uściskami wszystek dech ze mnie, wywrócił zamaszystym ruchem ręki kałamarz na rozłożone na biurku książki i papiery, i kazał mi się czemprędzej ubierać.

— Idziemy z wizytą, — oświadczył.

Wiedziałem z doświadczenia, że opór na nic tu się



Kwiczoł... — powiedział Zbigniew.

nie przyda, podniosłem się więc z krzesła, pytając:

— Do kogo?

— Do pani Niutki.

We mnie jakby grom strzelił, tak nieoczekiwane było to, co usłyszałem. Poczułem, że mi się robi gorąco, a co gorsza, że się rumienię i usiadłem z powrotem.

Ma się rozumieć, że Zbigniew spostrzegł natychmiast wrażenie, jakie na mnie jego propozycja zrobiła.

— Cóżeś się tak wzruszył? — spytał, patrząc na mnie szelmowskiemi, drwiącemi oczyma.

— Wcale się nie wrzuszyłem, — zaperzyłem się z miejsca, szukając jednocześnie w myślach, czem mógłbym usprawiedliwić swoje idjotycznie zachowanie się. — Tylko... tylko... przecież ja jej nie znam...

— Co? — wytrzeszczył na mnie oczy, pełne zdumienia. — Nie znasz pani Niutki? I jakeś ty się dotąd uchował? Że też ja nic o tem nie wiedziałem! Ale w takim razie tembardziej musimy iść do niej, żebyś ją nareszcie poznał. No, ruszajże się prędzej. Ogolić się tylko musisz, boś zarośnięty jak małpa. Czekaj, pomogę ci.

Nie zdążyłem jeszcze dojść do jakiej takiej równowagi umysłu, zachwianej perspektywą poznania tej uroczej pani, widywanej przeze mnie dotychczas tylko zdaleka lub bądźmy szczerzy — w tajonych, słodkich snach o niej, gdy już miałem szyję okręconą ręcznikiem, po obu zaś policzkach moich Zbigniew jeździł pędzlem z wprawą urodzonego golibrody.

— Zbych! — próbowałem się jeszcze bronić, — nie możemy iść do niej. Dziś poniedziałek, ona nie przyjmuje. We czwartki przyjmuje.

— A skąd wiesz o tem, kiedy u niej nie bywasz?

— Coś takiego słyszałem... Ktoś mi mówił...

— Coś, ktoś, gdzieś... — przedrzeźniał mnie, drapiąc mnie niemiłosiernie brzytwą. — A ja ci mówię, że pójdziesz dzisiaj. Ależ masz tępą brzytwę!

— Cóż to, mus mi iść, czy co? — broniłem się jeszcze, ale już bez zapału, gdyż w rzeczy samej, projekt ten zaczynał mi się szalenie podobać.

— Ma się rozumieć, że mus! Co ty wart jesteś, jeżeli Niutki nie znasz? Szampańska kobieta, przekonasz się. Nóżki jej widziałeś? Cudo, nie nóżki! Możnaby je całować bez końca od stóp do... Co robisz? Warjat!... Byłbym cię zaciął!

Okrzyk ten Zbigniew wydał, gdyż odepchnąłem go nagle od siebie, zerwałem się z krzesła i z zaczerwienionym z oburzenia jednym policzkiem (na drugim miałem jeszcze mydło) zacząłem wykrzykiwać:

— To świństwo! Jak śmiesz tak o niej... Jak śmiesz? Jak o pierwszej lepszej...

Trząsłem się cały z irytacji. Czystą i nieskalaną widywałem ją w swoich snach i marzeniach, godną szacunku i najgłębszego uwielbienia... W najśmielszych tęsknotach swoich klękałem u jej stóp i przyciskałem do nich kornie swe wargi tak, jak niewolnik to czyni swej królowej... A ten cynik śmiał bluznąć na nią słowami, od których krew mi uderzyła do mózgu! Byłbym też pewnie zrobił awanturę, jakiej świat jeszcze nie widział, gdyby nie to wstrętne, łagodne usposobienie, jakiem mnie natura obdarzyła. Przecież to jest okropne nie móc się gniewać tak długo, jakby się tego pragnęło. A ze mną zawsze właśnie tak było. Każda moja awantura, jeżelim ją zrobił, nie trwała nawet minuty. Zaraz się we mnie coś załamywało, jakgdyby cofało się w głąb



mej istoty i nie mogłem, no, ani rusz nie mogłem się więcej gniewać!

Tak było i teraz. Po kilku okrzykach umilkłem. Byłem w dalszym ciągu do głębi duszy oburzony na Zbigniewa, ale cóż, kiedy z gniewem już był koniec. Natomiast wściekły byłem na siebie samego za to, że się uniosłem i w ten sposób zdradziłem się ze starannie dotąd ukrywanem uczuciem. Machnąłem tedy rozpaczliwie ręką i usiadłem z powrotem na krześle.

Zbigniew przez krótką chwilę mego uniesienia stał z podniesioną do góry brzytwą, przyglądając mi się z takiem zaciekawieniem, z jakiem w muzeum osobliwości oglądamy kurczę o dwóch głowach lub bliźniaki, tyłem ze sobą zrośnięte. Kiedy zaś już usiadłem na swem miejscu, wyszeptał: "On się w niej kocha..." — poczem, ile że szelma zawsze lubi się wygodnie urządzić, upadł jak długi na kanapę i zaczął się śmiać.

A on się śmieje... Boże, jak on się śmieje!

Zamknąłem oczy, zacisnąłem zęby i siedzę z jednym policzkiem ogolonym, z drugim namydlonym, a że mydło już przyschło, więc łaskotało mnie i drażniło nieznośnie. Nie wiem też, czy z tego, czy też wskutek śmiechu tego łajdaka, którego przyjaźnią Pan Bóg mnie pokarał, ale czułem, że łzy mi się w oczach zakręciły.

Nareszcie ucichł. Spokojny i swobodny, jakby się nic nie stało, zbliżył się do mnie i zaczął mnie mydlić na nowo. Otworzyłem oczy. Spojrzał w nie z bliska i powiedział tonem głębokiego przekonania:

— Kwiczoł...

Czemprędzej zacisnąłem znów powieki. Postanowiłem z nim nie rozmawiać. Nurtowało mnie jednak przezwisko, jakie mi nadał. Gdyby był powiedział: "dureń, błazen, idjota" — byłbym to rozumiał. Z jakiej racji mi wymyśla nie wiem, alebym rozumiał. Ale dlaczego: "kwiczoł"? Co on chce przez to powiedzieć? Nie mogłem wytrzymać...

— Cóż to ma znaczyć? Nie rozumiem...

A ten na to z całym spokojem:

— Niema potrzeby, żebyś rozumiał.

Jak on mnie traktuje, ten gałgan! Fala oburzenia podniosła się we mnie o parę stopni. Rzekłem z żywością:

— Proszę cię bardzo, żebyś, goląc mnie, nie brał mnie za nos, gdyż nie mogę wtedy oddychać, a powtóre to mnie obraża...

Prośba ta była cokolwiek spóźnioną, gdyż właśnie skończył mnie golić. Spojrzał znów mi wprost w oczy i powtórzył:

— Kwiczoł...

Ubraliśmy się w milczeniu i w chwilę potem, nic do siebie nie mówiąc, ale trzymając się pod rękę, szliśmy w kierunku mieszkania pani Niutki.

Dzień ten, istotnie, nie był dniem jej przyjęć, to też w salonie nie zastaliśmy nikogo. Oczywiście, byłem z tego bardzo rad. Byłem podniecony i serce biło mi przyspieszonem tętnem. Na Zbigniewa nie zwracałem najmniejszej uwagi, zresztą, on na mnie też. Zaledwie służąca oddaliła się, by nas zaanonsować, gdy w progu ukazała się pani Niutka.

Smukła, kształtna, z promiennym uśmiechem na ustach wydała mi się stokroć piękniejszą, niż na balu. Wyciągając obie ręce do Zbigniewa, zawołała z radością:

— Co za niespodzianka! Nareszcie pan przyszedł! Niedobry...

Zbigniew podniósł podane mu ręce do ust i kilkakrotnie je obie naprzemian ucałował, co, zdaniem mojem, stanowczo nie miało sensu. Potem, nie wypuszczając ich z rąk podniósł na nią śmiejące się, łobuzerskie oczy.

— Niedobry, dlatego że przyszedł?

— Ależ nie... Dlatego, że nie było go tak długo! Jak można...

Zrobiła nadąsaną, śliczną minkę. Stałem nieco z boku, zgięty w lekkim ukłonie oczekiwania, z wlepionem w nią spojrzeniem i czułem, jak słodki jakiś balsam wlewa mi się do duszy. Nagle przypomniałem sobie, że jak się bardzo na co zapatrzę, zaraz mi oczy na wierzch wyłażą i jest mi z tem paskudnie. Zmrużyłem więc gwałtem powieki.

— Leciałbym tu na skrzydłach... — tu Zbigniew po raz niewiadomo już który ucałował znów jej ręce, — gdybym był wiedział, że mnie tu chcą.

Pani Niutka przechyliła na bok główkę i patrzyła na niego z zalotną wymówką.

— To pan nie wiedział?

Zbigniew podniósł do góry oczy i dwa palce.

— Przysięgam! Nie śmiałem tego przypuścić... Natura już taka. Bojaźliwa... Marzyłem i schłem z tęsknoty...

O, błazen, łajdak! On marzył, on sechł z tęsknoty! Mógłbym ja coś o tem powiedzieć. Ale co on sobie



nareszcie myśli? Dokąd ja tu będę stał za nim, jak fagas? Umizga się w sposób, poprostu niesmaczny, a o mnie ani słowa! Żółć mi się burzyć zaczęła. Pewnę ulgę sprawiło mi, gdy się przekonałem, że pani Niutka zna go, widać, dobrze i na lep słodkich jego słówek wziąć się nie da. Dała mu lekkiego klapsa w rękę i, śmiejąc się, zawołała:

— Proszę nie kpić ze mnie! Co pan sobie myśli? Niedobry!

— Masz tobie! Znów niedobry? Muszę zatem jeszcze przeprosić...

I znów się przypiął do jej rączek. To już było prawie nie do zniesienia! Zdaje się, że zgrzytnąłem zębami... O mnie ani słowa. Jakby mnie nie było! Nagle słyszę:

— Ale za to mam dla pani niespodziankę...

Nareszcie! To napewno o mnie. Wyprostowałem się z gracją i... z lekkim, ale zupełnie wyraźnym trzaskiem, guzik od kamizelki, rzeczywiście, trochę przyciasnej, prysnął i upadł na podłogę. Psia krew! W takiej chwili! Oczywiście byłem przekonany, że mnie pani domu wyleje teraz na zbity łeb za drzwi. Gość, który na pierwszej wizycie pęka... Tfu! Wstręt i obrzydzenie miałem w tej chwili do siebie. Tymczasem Zbigniew obraca się w moją stronę i mówi:

— Mój najbliższy przyjaciel, Karol...

Pani Niutka, jakgdyby mnie w tej chwili dopiero zauważyła. Słuszniem mniemał, że to jest kobieta o wykwintnem sposobie postępowania. Z czarującym uśmiechem podeszła, i podając mi rączkę, rzekła:

— Jakże się cieszę... Ja też zaliczam się do przyjaciół pana Zbigniewa. Czy nie sądzi pan, że wobec tego powinniśmy być ze sobą również w przyjaźni?

Zdaje się, że coś na to odpowiedziałem i, kto wie, czy nie z sensem. Jeżeli tak naprawdę było, zawdzięczałem to nałogom mego towarzyskiego obycia, gdyż w owej chwili cała moja istota była całkiem nieprzytomna z upojenia, w jakie wtrąciło ją dotknięcie wargami tej białej, aksamitnej, pachnącej rączki. Jak we śnie zająłem wskazane mi miejsce. Byłbym szczęśliwy, gdyby ten sen trwał jaknajdłużej. Ale twarda rzeczywistość w osobie mego przyjaciela, którego, widać, tego dnia giez jakiś ukąsił, wróciła mię natychmiast do przytomności. Zdrętwiałem cały i włosy zaczęły mi się jeżyć na głowie, gdym usłyszał, co ten łotr zaczął wyplatać.

— Przyjaciel mój kocha się w pani oddawna, — mówił, — w czem, zresztą, nie jest wcale oryginalny, gdyż nie kochać się w pani, rzecz prosta, nie można.





Dzisiaj wyznał mi swoje uczucie, prosząc, bym go z panią poznał. Nie chciałem się na to zgodzić, nie widzę bowiem racji, dla której miałbym sam sobie spraszać rywalów. Ale błagał mnie, u nóg mi się czołgał... Ustąpiłem. Pani rozumie, taka przyjaźń, jaką mam dla niego...

— Łotrze! Bandyto! — syczałem w duchu, spoglądając jednocześnie na panią Niutkę z obawą, że ujrzę gniew na jej twarzy. Po chwili odetchnąłem z ulgą. Nie gniewała się, lekko się tylko zarumieniła i, śmiejąc się serdecznie, rzucała na mnie rozbawione spojrzenia. Najwyższy był czas, żebym się odezwał.

— Łaskawa pani... — zacząłem.

Zbigniew zerwał się z krzesła.

— Odchodzę...

— Już? — zawołała pani Niutka. W głosie jej dźwięczał żal.

— Chciałaby pani, — tu Zbigniew zmarszczył się ponuro, — żebym słuchał, jak ten będzie się pani oświadczał? Nie, tego nie zniosę, nie mogę! Tak daleko przyjaźń moja nie sięga. Niech pani spojrzy na jego minę, jaka uroczysta. On tu zaraz serce swoje przed panią na stoliku położy. Niech kładzie, ale niech ja na to nie patrzę...

— Łobuzie! — nadąsała się pani Niutka, — czy z panem wcale nie można na serjo rozmawiać? Wpadł, jak po ogień, a teraz znów przez pół roku się nie pokaże...

— Jutro przyjdę. Sam. Bez niego... — Tknął palcem w moją stronę, pochylił się do jej rąk, poczem, nie kiwnąwszy mi nawet, skierował się ku drzwiom, trzymając ją pod rękę i mówiąc coś do niej półgłosem. Rozważałem przez chwilę, czy cisnąć mu w głowę marmurowy przycisk, który stał tuż przy mnie na stoliku, czy lepiej rozbić mu w domu głowę karafką. Wybrałem to drugie. W domu zawsze będę swobodniejszy i z większą starannością będę mógł się tem zająć.

Odprowadziwszy Zbigniewa, pani Niutka usiadła obok mnie na fotelu. Nareszcie byłem z nią samą. Wyglądała prześlicznie. Zaróżowiona, z błyszczącemi oczyma, w których migotały iskierki błękitnego światła, wprost rwała oczy.

— Nieznośny jest ten pański przyjaciel! — oświadczyła tonem, w którym jeszcze drżał śmiech. — Nie cierpię go. Dobrze, że sobie poszedł...

Nie byłem pewien, czy mówi szczerze, ale wolałem uwierzyć, że naprawdę ma go dosyć gdyż to mi sprawiło przyjemność. Zaczęliśmy rozmawiać. Ma się rozumieć, że o moich uczuciach dla niej nie było wcale mowy. Mówiliśmy o literaturze, o sztuce, znaleźliśmy mnóstwo wspólnych znajomych, potem mówiliśmy o swoich usposobieniach, i poglądach na życie i pragnieniach, które, jak się okazało, były bardzo do siebie zbliżone... Rozmowa stawała się coraz swobodniejszą i poufniejszą. Pozbyłem się całkowicie poprzedniego skrępowania, pani Niutka zaś, miałem wrażenie, bawiła się doskonale. Gdym wreszcie wstał, by się pożegnać, czuliśmy się już, jak dwoje dobrych, starych znajomych.

— Proszę o mnie nie zapominać. Oficjalnie przyjmuję we czwartki, ale dla pana jestem zawsze w domu. Będzie mnie pan często odwiedzał, dobrze?

—Choćby codzień, — rzekłem gorąco. — Kiedy więc pani pozwoli mi przyjść?

Pani Niutka zastanowiła się.

— Pojutrze o czwartej.

Podała mi obie ręce. Czyż mogłem obu nie ucałować? Bez wahania pocałowałem każdą z nich dwa razy zrzędu, a ponieważ jakoś ich zaraz nie cofnęła, — potem jeszcze po dwa razy naprzemian. Wypadało mi przecież zaakcentować, że jesteśmy w przyjaźni. Uśmiechnęła się tak uroczo...

Wracałem do domu lekkim, rytmicznym krokiem. Dzień mi się wydał cudownym, spotkani ludzie byli tacy mili... Niedaleko domu ujrzałem w oknie cukierni Freda, jednego z naszej paczki. Uściskałem go serdecznie i oddałem mu dług, który mu byłem winien od roku, czego bowiem nie oddałby człowiek, który ma w duszy szczęście... Fred poprostu zdębiał ze zdumienia; przyjrzał mi się uważnie i ostrożnie położył mi palec na pulsie. Wróciwszy do domu, przypomniałem sobie Zbigniewa i odrazu postanowiłem, że mu przebaczę. On i tak biedny, skoro go pani Niutka nie cierpi.

Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu Zbigniew ani tego dnia, ani następnych wcale do mnie nie przyszedł. Nie wiedziałem, co o tem myśleć, choć, przyznaję, rad byłem z tego. Nie miałem ochoty "odświeżać się" z nim tym razem.

W środę punktualnie o czwartej zadzwoniłem do mieszkania pani Niutki. Służąca przeprowadziła mnie przez znany mi już salon i, wskazując drzwi, prowadzące w głąb mieszkania, rzekła:

— Pani jest w buduarze. Prosiła, żeby pan tam wszedł.

Zapukałem lekko do drzwi. Rozległ się głos: "proszę". Z bijącem sercem przekroczyłem próg buduaru.

Przed toaletką, z głową do drzwi zwróconą siedziała pani Niutka. Miała na sobie czarną, jedwabną suknię bez rękawów, głęboko wyciętą i miękko opływającą jej smukłą, kształtną postać. Nie była tak rozkosznie wesołą, jak poprzednim razem. Ujrzawszy mnie, powstała i łagodny uśmiech powitania spłynął ku mnie z jej zadumanej twarzyczki. Usiedliśmy na niskiej, miękkiej otomance, wysuniętej na pokój, a dotykającej wezgłowiem złoto-żółtej draperji, zasłaniającej okno.

— To bardzo ładnie z pana strony, że pan nie zapomniał o swej obietnicy odwiedzenia mnie dzisiaj, — rzekła jakimś smutnym, głębokim tonem.

— Ja mógłbym zapomnieć? — poruszyłem się oburzony, — ja przez ten czas tylko o pani myślałem!

Dopiero kiedy to powiedziałem, przestraszyłem się trochę, czy nie za obcesowo sobie poczynam.

— Prośba pięknej kobiety jest rozkazem, — łatałem sytuację komunałem, który, zresztą, miał w tej chwili dla mnie żywą treść.

— Nie dla wszystkich... — uśmiechnęła się, jak przez mgłę.

Oczy miała głębokie, ciche, zamglone. Wpół leżąc na poduszkach otomanki, była taka jakaś bezbronna jak dziecko... Serce moje wezbrało tkliwością i rozrzewnieniem. Nie myśląc już o tem, czy ją pogniewam, zacząłem jej mówić cichym głosem, jak bardzo tęskniłem do niej, jak nią tylko żyłem przez te dwa dni, ciesząc się, że Zbigniew gdzieś się zapodział i wskutek tego nikt mi tego złotego o niej snu na jawie nie mógł przerwać...

— To pan Zbigniew wcale u pana nie był? — przerwała mi nagle.

— Nie był. On już wyjechał, — powiedziałem prędzej, aniżelim się zastanowił, że pewnie kłamię, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa Zbigniew był jeszcze w mieście. Dlaczegom tak zrobił? — doprawdy nie wiem. Jakoś tak mi się wyrwało...

Pani Niutka nic na to nie odrzekła. Opuściła główkę i, podniósłszy do ust batystową chusteczkę, zaczęła ją targać ząbkami, jak kot. Widocznie w zamyśleniu nie spostrzegła tego, co robi, gdyż pogryzła prawie całą chusteczkę. Raptem ocknęła się, spojrzała na mnie i, wyciągnąwszy do mnie swą długą, pachnącą, obnażoną rękę, poprosiła:

— Niech pan mówi jeszcze... Jak przedtem...

Więc mówiłem... O tem, jak ją kocham... Właściwie, tylko o tem. Siedziała cicha, zasłuchana tak, że, widać, nie zauważyła, iż ręka jej pozostaje wciąż w moich dłoniach. Gładziłem ją pieszczotliwie. Było to strasznie przyjemnie, tylko że zaczęło mi się rwać opowiadanie. Wreszcie umilkłem i zacząłem posuwać się po tej rączce gorącemi, głodnemi wargami. Miałem wrażenie, że tego nie dostrzega, patrząc wprost przed siebie zadumanemi oczyma. Zwróciła potem wzrok ku oknu i drugą rączką ujęła brzeg draperji chcąc ją zapewne poprawić.

— Ach! — rozległ się nagle jej przeraźliwy krzyk. Zerwała się z miejsca i przypadła do mej piersi, tuląc się do niej gwałtownie.

— Co się stało? — pytałem zdumiony, ogarniając ją mocno ramieniem.

— Tam! Tam! — wyjąkała i, trzęsąc się jak liść, wskazywała palcem ku oknu.

Spojrzałem. Na odwiniętym brzegu draperji siedział mały, szary pajączek. Był niedaleko od nas, nie tak jednak, bym go mógł dosięgnąć. Zrobiłem ruch, żeby wstać.

— Boję się! Boję się! — chwyciła się kurczowo mych ramion. — Niech pan nie odchodzi....

Nie wiele myśląc, przechyliłem się, trzymając wciąż panią Niutkę w objęciach, na otomankę i, wyciągnąwszy się jak długi, dosięgłem pająka nogą. Przycisnąłem go wraz z draperją do ściany i zgnio-

tłem. Nie było to zbyt eleganckie wyjście z sytuacji ale cóż innego mógłbym zrobić? Pająk, widać, nie był tak mały, jak się zdaleka wydawał gdyż chrupło mi pod nogą obrzydliwie. Spostrzegłszy mój ruch, pani Niutka wyciągnęła w stronę pajączka rękę z takim wyrazem twarzy, jakby go chciała bronić. Nie zdążyła jednak. Załatwiłem się z nim błyskawicznie szybko. Zakryła sobie dłońmi oczy i upadła ponownie obok mnie na otomankę, tuląc twarz na mej piersi i powtarzając prędkim, bezładnym szeptem:

— To straszne... straszne... straszne...

Przycisnąłem ją mocniej do siebie.

— Pani droga, — mówiłem, — proszę się uspokoić... Już niema tego brzydkiego stworzenia. Cudna moja...

Miałem ją w swych ramionach ciepłą, garnącą się do mnie, rozkoszną. Upoił mnie i obłąkał mi zmysły jej zapach. Podniqsłem jej głowę i całowałem te nawpół przymknięte, jakby omdlałe powieki, te usta jej rozchylone, słodkie... Nie broniła mi ich. Nagle odwróciła główkę, szepcząc:

— Jak pan może tak... Jak pan może...

Zadrżałem. Tak. Jak ja się mogłem ośmielić... Nachyliłem się nad nią...

— Przecież... drzwi otwarte... — usłyszałem jej cichy, zdławiony szept.

Zamknąłem je.

....

Następne dwa dni przeżyłem jak w gorączce, targany rozpaczą, to znów kołysany nadzieją. Rozpalona krew uderzała mi do głowy, niosąc w sobie przesłodkie wspomnienia przeżytej rozkoszy i rysując obrazy szczęścia, które mnie czeka; wrodzona zaś niepewność napełniała mnie bolesnym lękiem przed skutkami zapomnienia, któregom się dopuścił.

Co ona myśli sobie o mnie? A może już nigdy nie zechce mnie widzieć? Na tę myśl zimny pot oblewał mi skronie. Przez dwa dni krążyłem po pokoju, jak zwierz w klatce. Nikomu nie otwierałem, nikogo nie chciałem widzieć. Gdyby Zbigniew był się zjawił, bez ceremonji wyrzuciłbym go za drzwi. Na szczęście, nie przyszedł. Za to drugiego dnia wieczorem otrzymałem depeszę. Treść jej była: "Dziś wyjeżdżam. Kwiczoł. Kocham cię zawsze. Twój Zbigniew." Szewcka pasja porwała mnie na tego draba. Też się uczepił tego kwiczoła! Porwałem w strzępy depeszę. Widać jednak tak proste uczucie, jakiem jest złość, otrzeźwiło mnie trochę, gdyż tej nocy po raz pierwszy od dwóch dni spałem jak kamień.

Obudziłem się wypoczęty i spokojniejszy. Po śniadaniu wyszedłem. Błąkałem się po mieście ze dwie godziny, bez celu. Miałem już wracać do domu, gdy wzrok mój padł na wystawę ptasznika, pełną najrozmaitszych okazów zwierząt i ptaków. Przypomniał mi się idjotyczny koncept mojego przyjaciela i wszedłem do sklepu.

— Czy mógłbym zobaczyć, jak wygląda kwi...

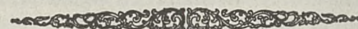
Urwałem w połowie słowa. Bo oto usłyszałem po za sobą głos, który poznałbym zawsze i wszędzie. Pani Niutka!... Stała, nie widząc mnie, odwrócona do mnie tyłem, i rozmawiała ze sklepową. Boże! Co zrobić? Podejść do niej? Poruszyłem się niezdecydowanie w jej kierunku, gdy nagle stanąłem jak wryty, a w sekundę potem, wybiegłszy ze sklepu, pędziłem ulicą jak warjat. Ale wraz ze mną biegły, nie odstępując mnie ani na chwilę, słowa, jej słowa, wypowiedziane dopiero co w sklepie:

— Ależ nie, proszę pani... Ja proszę o pajączka, małego, sztucznego pajączka. Takiego samego jak ten, którego brałam u państwa ostatnim razem, we środę...



CELINA MORSKA

MASKARADA





HALLO! Czy to numer 34-15?

— Tak.

— Tu Wirska. Czy mogę mówić z panią doktorową?

— Słucham cię, Romo. Nie poznajesz mnie?

— Ach, to ty jesteś? Nie poznałam... Zośka! Przyjedź do mnie natychmiast, mam ciężkie zmartwienie. Potrzebuję twojej pomocy.

— Co się stało? Przestraszasz mnie. Za chwilę będę u ciebie.

Piękna doktorowa Zofja Karlińska, zaalarmowana o niezwykle wczesnej porze telefonem swej przyjaciółki, równie pięknej pani Romy Wirskiej, była nie na żarty zaniepokojona. Ekscentryczność Romy była jej dobrze znaną, dziś jednak wyczuła w głosie Romy coś, co ją zastanowiło. Tknięta złem przeczuciem, pan Zofja zaczęła się pospiesznie ubierać i w niespełna pół godziny mknęła już sankami po ośnieżonych ulicach miasta.

Zastała Romę w stanie niezwykłego podniecenia.

— Wszystko skończone. Henryk mnie zdradza. Masz, czytaj, — oznajmiła przybyłej pani Wirska, podając jej jakiś list.

Treść listu, nadesłanego przez biuro prywatnych detektywów, była następująca:

"Szanowna Pani. Udało nam się stwierdzić, że mąż pani utrzymuje bliższe stosunki z pewną damą, której nazwiska dotąd, niestety, nie mogliśmy jeszcze ustalić. Zachowują się nadzwyczaj ostrożnie. Przypuszczenia Szanownej Pani są mylne, gdyż, naszem zdaniem, jest to osoba z towarzystwa. O rezultatach dalszych poszukiwań zawiadomimy niezwłocznie..."

Pani Zofja zbladła.

— Widzę, że i na tobie zrobiło to wrażenie. I cóż ty na to? — wybuchnęła pani Roma. — W pół roku po ślubie! A taki niby zakochany i zazdrosny! Ach, Zosiu! Żebyś ty wiedziała, jakie piekło przeżywam!

Tu głos jej zadrżał i zalała się łzami.

Pani Zofja milczała. Twarz jej mieniła się, z bladej stawała się purpurową i znów zbladła. Zdławionym głosem poprosiła o wodę, kiedy zaś uspokoiła się nieco, jęła perswadować przyjaciółce, że nie powinna się tem do tego stopnia przejmować, gdyż może tak wcale nie jest...

— Może oni się mylą, może są na fałszywym tropie... — mówiła.

Ale pani Zofja była niepocieszona. Perswazje przyjaciółki nie tylko nie uspokoiły jej, ale nawet pobudziły ją do tem większego płaczu. Widząc to, pani Zofja wyszła, zostawiając ją pogrążoną we łzach i rozgoryczoną.

— Zocha, widać, nie rozumie mnie, albo nie docenia tego, jak ja go kocham... — myślała spłakana.

Z jednej tylko rady przyjaciółki postanowiła skorzystać: nic o tem mężowi nie powie i nie da poznać po sobie, że wie o tem...

Zaledwie zamknęły się drzwi za panią Karlińską, gdy z klatki schodowej dał się słyszeć głos Wirskiego.

— Musieli spotkać się na schodach, — pomyślała pani Roma, — pewnie będzie zdziwiony tą wczesną wizytą. Coby mu tu powiedzieć?

Na szczęście, mąż sam ją wybawił z kłopotu.

— Spotkałem panią Zofję, — rzekł. — Nie chciała mi wyjaśnić, co ją tu tak wcześnie sprowadziło. Powiedziała, że to sekret.

— Istotnie.

— Czy to coś ważnego? — zapytał z lekką trwogą w głosie.

— Ale gdzieżtam! Głupstwo... Ot, nasze kobiece sprawy.

— Nie śmiem wdzierać się w ten zaklęty świat... — odparł żartobliwie i, pocałowawszy żonę w czoło, wyszedł z pokoju, unikając jej spojrzenia. Po godzinie usłyszała, że wyszedł z domu. Podbiegłszy do okna, ujrzała go na ulicy, śledząc go załzawionem spojrzeniem.

W ciągu tygodnia otrzymała pani Wirska z biura detektywów jeszcze trzy listy. Ostatni, datowany 5-ego lutego, zelektryzował ją: na maskaradzie, która



miała się odbyć za dwa dni, mąż jej miał wyznaczoną schadzkę z damą, ubraną w strój hiszpanki i mającą jedną różę żółtą we włosach, a drugą przy piersi.

Pani Roma drżała ze zdenerwowania. W jednej chwili plan działania dojrzał w jej głowie. Ona będzie tą damą w stroju hiszpanki! Powziąwszy tę decyzję, zakrzątnęła się zaraz koło jej urzeczywistnienia. Zatelefonowała do swojej krawcowej i obstalowała dla siebie kompletny strój hiszpanki, zastrzegając, że musi być gotowy na pojutrze, na maskaradę. Zabroniła go przysyłać sobie do miary do domu; ona sama zajdzie przymierzyć, gdyż jest to niespodzianka przed mężem...

W oznaczonym dniu, kwadrans przed dwunastą,— schadzka miała się odbyć o północy, — zajechała pani Roma przed rzęsiście oświetlony gmach opery, w którym zazwyczaj odbywały się maskarady. Oddawszy w szatni futro, weszła na salę i zaczęła się rozglądać wokoło. Henryka jeszcze nie było, natomiast po chwili ujrzała doktora Karlińskiego. Sam? — zdziwiła się, — bez Zochy? Co to znaczy? Czyżby i on, tak jak Henryk?

Jeszcze więcej był zadziwiony Karliński na jej widok.

— Pani Roma? Sama? A Henryk?

— Błagam pana, niech pan odejdzie i nic do mnie nie mówi. Jutro panu wszystko wyjaśnię.

Karliński zaśmiał się jakoś gorzko.

— Dobrze, odchodzę. Będziemy, zdaje się, mieli sobie jutro wiele do opowiedzenia!

Pani Roma, stanąwszy przed wielkiem zwierciadłem, przypięła sobie różę do piersi, drugą wpięła we włosy i zasłoniła twarz czarną, koronkową maską. dawszy w szatni futro, weszła na salę i zaczęła się przechadzać lekkim, zalotnym krokiem.

Punktualnie z uderzeniem dwunastej zjawił się Henryk.

Pani Romie serce zabiło, jak młotem. Resztką sił uspokoiła się. Widziała, jak Henryk przebiega oczyma salę. Spostrzegł doktora Karlińskiego. Nie rad był, widać, z tego, gdyż momentalnie cofnął się za filar i stamtąd wyglądał ukradkiem. Pani Roma zastanawiała się, co robić; zbliżyć się do niego, czy też czekać? Nagle drgnęła... W przeciwległym końcu sali stała pod filarem dama w stroju hiszpanki z dwoma żółtemi różami... Należało działać szybko. Podeszła do filaru, za którym stał Henryk, i, niby nie widząc go, stanęła tuż przy nim. W tej chwili poczuła, że ujmuje ją pod rękę.

— Jestem, — szepnął, — ale musimy stąd iść prędko. Tam jest twój mąż...

Pani Roma omal nie krzyknęła. Cios był tak silny i nieoczekiwany, że z trudem tylko zapanowała nad sobą. Henryk przyniósł jej z szatni futro i w chwilę potem, wyszli na ulicę. Henryk skinął na auto.

— Do Oazy! — rzucił szoferowi nazwę modnej restauracji.

Jechali przytuleni do siebie. Trzymał oburącz obie jej dłonie i szukał jej oczu poprzez koronkową maskę. Niezwykła sytuacja podnieciła ją i natchnęła odwagą. Śmiejąc się, odsuwała od niego głowę. Chciał ją schwycić w ramiona, ale zatrzymała go ręką, wskazując na szofera. Choć z grymasem niechęci, ale był jej posłusznym. Siedział już odtąd spokojnie, wdychając z lubością zapach jej mocnych, odurzających perfum.

— Dlaczego Roma nie ma takich? — wyrwało mu się półgłosem.

Słyszała to.

— Co pan mówi? — spytała.

— Że pachniesz jak kwiat... — odrzekł z uśmiechem.

W Oazie było gwarno. Smukła, wytworna hiszpanka wyróżniała się wśród obecnych tam kobiet zarówno pięknością kształtów, jak oryginalnością stroju. Ściągała na siebie wszystkie spojrzenia. Henrykowi zupełnie widocznie pochlebiało to. Siedział zadowolony i dumny ze swej towarzyszki. Potem poprosił ją do tańca.

— Jesteś czarodziejką, — mówił, przyciskając ją w tańcu do siebie. — Żadna kobieta na świecie tak, jak ty, nie tańczy...

Odpowiadała mu półuśmiechem, półszeptem...

— Dość już tej maskarady, — prosił. — Zerwij tę koronkę! I chodźmy stąd. Noc taka krótka!...

— Nie, — wzdrygnęła się mimowoli.

— Więc nie kochasz? — szeptał błagalnie. — Dlaczego odwlekasz chwilę szczęścia? Tak dawno proszę... Dlaczego zwodzisz mnie? Kiedyż nareszcie oddasz mi się zupełnie?...

Pani Romie znów serce załopotało, tym razem jednak z radości. Więc to tak?

— Dobrze, — rzekła cicho. — Dziś będę twoją. Pojedziemy do mnie.

— Co znowu? — żachnął się Henryk. — To szaleństwo!

Zamiast odpowiedzi przytuliła się w tańcu do niego. Wrócili do stolika.

— Płacić! — skinął Wirski na kelnera.

Wyszli na ulicę. Nie dała mu wziąć auta. Szli, trzymając się pod rękę, spiesznym krokiem. Od Oazy do domu, w którym mieszkali Wirscy, było kilkadziesiąt kroków. Gdy stanęli przed domem, pani Roma szybko przycisnęła dzwonek do bramy. Wirski odskoczył przerażony.

— Co ty robisz? Oszalałaś? Przecież ja tu mieszkam?

— Wiem, — odparła spokojnie. — Nie chciałeś iść do mnie, więc myślałam, że idziemy do ciebie. Może nie chcesz, żebym szła? W takim razie wrócę do domu.

— Czekaj, — schwycił ją za rękę, — nie odchodź. Ale, czy ty nie rozumiesz, że nie sam jestem w domu? Czy pomyślałaś o tem? Chodźmy gdzieindziej?

— Jeżeli nie do mnie i nie do ciebie, to gdzie w takim razie? Czy chcesz mi zaproponować pójście do hotelu? — spytała, prostując się i odsuwając się od niego.

Rozległ się zgrzyt klucza, którym stróż otwierał bramę.

— Decyduj się, Henryku, bo odchodzę...

Zrobiła ruch, jakby istotnie chciała odejść. Ujął ją pod ramię i poprowadził po schodach, powtarzając do siebie: "Szaleństwo! Szaleństwo!"

Jaknajciszej otworzył drzwi wejściowe. Posłuchał chwilę, poczem z zachowaniem największych ostrożności wprowadził ją do swego gabinetu, zamykając za sobą drzwi na klucz.

— Nie zapalaj światła, — szepnęła prosząco.

— Dobrze.

Zrzucił futro, zbliżył się do niej, zerwał jej z twarzy maskę i zaczął ją pokrywać namiętnemi pocałunkami. Poddawała się im, a po chwili sama zaczęła go również całować.





— Kocham cię... — szeptał. — O, jakąś ty słodka, czarująca!... Pozwól się widzieć... W tę naszą... naszą godzinę szczęścia...

— Dobrze! — krzyknęła Roma. — Podbiegła do ściany i przekręciła kontakt. Jasne silne światło zalało pokój...

— No, Henryku, — wyciągnęła ku niemu ręce, — nie spieszysz się do tej naszej godziny szczęścia?...

Wirski stał jak wryty, po chwili usiadł w fotelu i, zapalając papierosa, rzekł z lekkim uśmiechem na ustach:

— Toś ty, głuptasku, myślała, że ja nie wiem, iż to ty jesteś?...



HUMOR SATYRA

ŚMIECH

NIE JEST NA SŁUŻBIE.

Żona komisarza policji budzi w nocy męża:

— Jasiu! Ktoś chodzi po stołowym pokoju. To napewno złodziej!

— Daj znać do policji, — mówi mąż, odwracając się na drugi bok. — Nie jestem dziś na służbie.

TEŻ UCZCIWOŚĆ.

Klijent irytuje się:

— Proszę pana, kupiłem tu przed chwilą dziesięć bananów, a pan mi zapakował tylko siedem.

— Pan dobrodziej będzie łaskaw nie irytować się. Trzy z tych bananów były zepsute, więc zapakowaliśmy tylko siedem, bo jesteśmy za uczciwi na to, by klijentom dawać zepsuty towar!

ZNALAZŁ SPOSÓB.

— Zygmunt, urwisie jeden, — mówi nauczyciel. — Znowu nie uważasz na lekcji! Myślisz, że ci to niepotrzebne, bo taki jesteś mądry, jakbyś wszystkie rozumy zjadł? A jak cię o co zapytać, to się sianem wykręcasz! Ale wymyśliłem dla ciebie pytanie takie, że będziesz musiał sobie trochę głowy nałamać. Uważaj: jeżeli dam ci dziewięć jabłek, jak je podzielisz między jedenastu chłopców?

— Kompot zrobię, panie profesorze, — odpowiada bez namysłu Zygmunt.

BOHATER.

— Janku, byłeś u dentysty?

— Byłem, tatusiu.

— I nie płakałeś?

— Nie, tatusiu.

— A to zuch z ciebie! A co ci dentysta robił?

— Nic, tatusiu, bo go nie było w domu.

NIETUTEJSZY.

Sierżant pisze raport.

— Ty, szeregowiec Guzik, nie wiesz którego to dzisiaj mamy?

Guzik, który przyprowadził jeńca:

— Czterdziestego, panie sierżańcie.

— Głupiś, ja się pytam, którego stycznia?

— A to melduję, że nie wiem, bo ja nie tutejszy.

MOŻE I MA RACJĘ.

Ojciec gniewał się raz na syna, że się nie dość dobrze uczy.

— Co ja na to poradzę? — broni się chłopak. — Przecież ojciec widzi, że robię, co mogę.

— A wiesz ty o tem, — pyta ojciec, — że Washington w twoim wieku był pierwszym uczniem w klasie ?

— A wie ojciec o tem, — odpowiada chłopiec, — że Washington w ojca wieku był prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Ojciec zastanowił się i przestał się gniewać.

W SZPITALU.

Lekarz zapisał pacjentowi jaja i wino. Po kilku dniach zapytuje, jak mu smakuje jedzenie.

— Gdyby wino było tak stare, jak jaja, które mi każą jeść, jaja zaś tak młode, jak wino, które mi dają do picia, — jedzenie byłoby doskonałe...

PUNKTUALNA.

— Widzisz, mój drogi, jaka jestem punktualna? Umówiliśmy się o piątej i patrz: jest teraz akurat piąta!

— Tak, kochanie, tylko że umówiliśmy się na wtorek, a dziś jest czwartek, więc czekam na ciebie już całe dwa dni!

O. Henry

830 DOLARÓW

Nowela

OD północy stał policjant na rogu Dwudziestej trzeciej ulicy i małego zaułka, tonącego w gęstym mroku. Już drugą godzinę wybiły przeróżne zegary miejskie i drobny deszczyk mżył nieustannie.

Z ciemnej uliczki wyszedł śpiesznym krokiem mężczyzna w długiem palcie, w kapeluszu naciśniętym na czoło, z tajemniczym jakimś przedmiotem w ręku. Posterunkowy zatrzymał go ruchem grzecznym, ale pełnym zawodowego dostojeństwa. Późna godzina, zła reputacja dzielnicy, pośpiech przechodnia, tajemniczy przedmiot w ręku, wszystko to podsycało uzasadnioną ciekawość policjanta.

Przechodzień zatrzymał się, nie okazując po sobie przestrachu ani niechęci; zsunąwszy do tyłu głowy kapelusz, ukazał oczom policjanta w świetle łukowej lampy oblicze zupełnie spokojne, nos nieco za długi i niewzruszone czarne oczy. Prawą ręką wyciągnął żwawo z kieszeni bilet wizytowy. Policjant przeczytał:

CH. C. JAMES, M. D.

Adres wskazywał jedną z najlepszych dzielnic. Policjant, ostatecznie uspokojony, z zadowoleniem stwierdził również, że tajemniczy przedmiot w ręku "doktora", jest niewielką torbą podróżną o posrebrzanym zamku, zawierającą niewątpliwie instrumenty lekarskie.

— Dziękuję, doktorze — rzekł, przykładając rękę do czapki. — Pan doktór wybaczy, że go zatrzymałem, ale od kilku tygodni zdarzają się w tej dzielnicy tak często włamania, że wydano nam bardzo surowe instrukcje. Oczywiście wypada nam nieraz niepokoić spokojnych ludzi. Ale cóż robić, musimy stosować się do rozkazów.

Pożegnawszy policjanta serdecznem "dobranoc", doktór oddalił się szybkim krokiem. W przeciągu tej jednej godziny zatrzymywano go już w ten sposób trzy razy; za każdym razem musiał pokazywać kartę wizytową. Nikt nie podawał w wątpliwość tej legitymacji. Zresztą choćby nawet któryś z policjantów, bardziej nieufny od swoich kolegów, odprowadził go aż do samego domu, przekonałby się, że karta wizytowa nie skłamała, pod oznaczonym adresem bowiem mosiężna tabliczka na domu potwierdzała nazwisko i zawód przechodnia, a mieszkanie jego miało wszelkie cechy komfortowego home'u zamożnego i cieszącego się wzięciem i poważaniem lekarza.

Lecz tem większe byłoby zdumienie poczciwych strażników bezpieczeństwa publicznego, gdyby im przyszło na myśl rozejrzeć się w zawartości torby podróżnej lekarza. Albowiem torba, którąby odrazu każdemu wpadała w oczy, zawierała najdoskonalszą kolekcję przyborów chirurgicznych w zastosowaniu do kas żelaznych: a więc przeróżne wytrychy, łomy, świdry, bory i raki ostatnich modelów, wszystko z najlepszej, hartowanej stali i w najlepszym gatunku. W jednym z bocznych schowków znaleziono by również buteleczkę z nitrogliceryną, a na samem dnie torby paczkę banknotów i trochę srebra na ogólną sumę ośmiuset trzydziestu dolarów.

W kółku najbliższych przyjaciół doktór James był znany pod przydomkiem Gogusia-Greka; pierwsza połowa przydomku odnosiła się do jego niezwykłej elegancji i wytworności w ubiorze, druga zaś miała świadczyć o iście wschodniej zręczności, która dała mu nietylko przydomek, ale i kierownicze stanowisko w szajce złodziejskiej. Bo to on właśnie wskazywał "dobre interesy", on przygotowywał teren, on wreszcie czuwał nad wykonaniem, narażając się często na niebezpieczeństwa.

Do kwartetu zaprawnionych kryminalistów zaliczali się ponadto: Skitsie Morgan i Gun Decker, nieprawdopodobnie odważni i zręczni włamywacze, oraz Żyd rodem ze Śląska, Leopold Pretzfelder, który potrafił wyjątkowo sprytnie spieniężać plony wypraw złodziejskich. Każdy z nich, wierny i lojalny sprzymieniec, był gadatliwy jak sfinks egipski i niestały, jak słońce.

Tej nocy "robota" nie bardzo się powiadła. Wprawdzie bez wielkiego trudu rozbili kasę wielkiego domu agenturowego, ale wyniki były naprawdę opłakane. Należy sądzić, że jeden ze spólników przedsiębiorstwa, bardziej podejrzliwy od innych, zabrał do siebie na przechowanie z soboty do poniedziałku dwadzieścia tysięcy dolarów, zainkasowane w sobotę rano i zostawił w kasie biura zaledwie dwa tysiące pięćset dolarów. Trzej uczestnicy włamania podzielili między siebie ten nikły łup. Otrzymawszy po osiemset trzydzieści dolarów, pożegnali się markotni i rozczarowani.

* * *

Doktór James szedł więc ulicą Dwudziestą trzecią, która była zupełnie pusta o tej godzinie. Nawet aktorzy, zatwardziali lunatycy, błędne gwiazdy teatru wałęsające się zazwyczaj w tej dzielnicy, zdążyli już powracać do swych pokojów umeblowanych. Deszcz, gęsty i uporczywy, zalał chodniki kałużami. Wreszcie zerwał się ostry, mroźny i przenikający wiatr.

Doktór James mijał właśnie dom z czerwonych cegiełek, wyróżniający się lepszym nieco wyglądem od innych, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się nagle i otyła murzynka stoczyła się ze schodków, szepcząc do siebie, chwilami podnosząc głos, jakby wypowiadała rozdrażniony monolog. Była z typu starych i wiernych nianiek z południowych stanów: czarna twarz, naiwna i oddana, biały fartuch na prążkowanej spódnicy, na głowie związana fantastycznie chustka w krzyczących kolorach.

Ledwie ta dziwna zjawa stanęła na chodniku, naprost doktora Jamesa, potok słów urwał się raptem na widok torby podróżnej, która kołysała się w prawej ręce doktora.

— Dzięki Najwyższemu! — wrzasnęła murzynka. — Ani chybi, pan właśnie jest lekarzem?

— Tak, jestem lekarzem — brzmiała zwięzła odpowiedź.

— Panie konsyljarzu, niech się pan zlituje i niech pan wejdzie tu do nas: pan Chandler, mąż mojej drogiej panienki Amy, dostał ataku i leży w łóżku jak umarły. Miss Amy kazała szukać doktora... A gdzie ja go tu znajdę, matko Boska, o tak późnej porze!

Ach, gdyby żył jeszcze nieboszczyk starszy pan, już dawnoby huknął pięścią w stół i zrobił porządek z tem wszystkiem, co się u nas dzieje... Ale moje zacne jagniątko, moja biedna Miss Amy, co ona pocznie sama, samiuteńka na świecie?

Przerywając dość obcesowo chaotyczną mowę murzynki, doktór James rzekł oschłym tonem:

— Nie mam czasu słuchać tych bredni, moje dziecko. Ale jeżeli komu naprawdę jest potrzebny lekarz, to proszę mnie zaprowadzić do niego.

Murzynka otworzyła drzwi, wpuściła lekarza i po jasno oświetlonych i wyłożonych miękkim dywanem schodach, zaprowadziła go na pierwsze piętro. Na końcu długiego korytarza otworzyła drzwi do pokoju i zawołała:

— Miss Amy, jest pan doktór!

Lekarz, nie mówiąc nic, wszedł do pokoju. Ukłonił się uprzejmie młodej kobiecie, która stała u wezgłowia chorego.

Następnie położył na fotelu swoją torbę i nakrył ją paltem; zaczem, podszedłszy do łóżka, obejrzał uważnie pacjenta.

Chory leżał w ubraniu, nawiasem mówiąc, eleganckiem i znakomicie skrojonem. Prawdopodobnie dostał ataku znienacka. Ułożono go natychmiast na łóżku, zdążywszy jedynie zdjąć mu obuwie.

Pacjenci doktora Jamesa mówili o nim, że wnosi szczególną atmosferę siły, pewności siebie i energji, która odrazu dobroczynnie działa na chorego. Szczególnie kobiety ulegały tej przemożnej sile. Jakaś moc magnetyczna promieniowała z jego ciemno piwnych oczu. Opanowane ruchy, nieomylność skąpych wypowiedzeń, upodabniały go niejako do pocieszyciela i kapłana. Bardzo często już przy pierwszem zetknięciu budził w pacjentach instynktowne zaufanie bez zastrzeżeń. I zdarzało się nieraz, że zdradzali mu chorzy, sami tego nie spostrzegając, sekrety swoich schowków i szkatułek.

Doświadczone oko lekarza dosyć prędko oceniło jakość i zawarość umeblowania. Wypada stwierdzić, że było to naprawdę luksusowe i bardzo gustowne mieszkanie. A kobieta, która stała przed nim, była ubrana z dyskretną i kosztowną elegancją. Mogła mieć lat zaledwie dwadzieścia. Twarzyczka jej, niezmiernie sympatyczna i pociągająca była zaciągnięta głęboką melancholją, której nawet nagły wstrząs nie tłumaczył dostatecznie. Siniak na czole, dosyć jeszcze świeży, świadczył o uderzeniu, które musiało wydarzyć się pięć lub sześć godzin temu. Tak przynajmniej osądził lekarz.

Doktór James zbadał puls chorego. Potem spojrzał z zapytaniem w oczach na młodą kobietę.

— Jestem Robertowa Chandler — rzekła w odpowiedzi na nieme pytanie. Akcent jej miał miękką słodycz starych rodzin z południowych stanów. — Mąż mój dostał ataku dopiero dziesięć minut temu. To serce... nie pierwszy raz zresztą...

I domyślając się, że ubiór męża o tak późnej porze może budzić zdziwienie, dodała szybko:

— Mąż mój wyszedł dzisiaj sam, zdaje się, że miał zaproszenie na kolację...

Doktór zaczął badać pacjenta z drobiazgową skrupulatnością. Taki miał już zwyczaj i zasadę: cokolwiek czynił, czynił metodycznie i sumiennie. Zresztę wypadek ten zapowiadał się wcale interesująco.

Chory wyglądał na lat trzydzieści. Lecz twarz jego nosiła piętno rozwiązłego życia, jakkolwiek zachowała bardzo subtelne i dystyngowane rysy. Ubranie jego było przepojone zapachem wina.

Lekarz rozpiął mu kamizelkę i koszulę, przyłożył ucho do serca i długo nasłuchiwał.

— Zoogsja aorty — szepnął, prostując się.

Wkońcu, zbadawszy go wszechstronnie, szepnął znów jakby do siebie:

— Arterjoskleroza i semjologja hormonów.

I dodał głośniej, starając się nadać głosowi ton uspokajający:

— Bardzo być może, że...

W tej chwili pani Chandler ze stłumionym okrzykiem osunęła się na podłogę. Przez otwarte drzwi wpadła stara murzynka i podniosła swoją panią.

— O, moja droga, biedna panienko! — zawołała wśród łkań. — Więc dokazał swego, zabił ją wkońcu, to najdroższe dzieciątko starej Cindy! Oby Pan Bóg skarał tego okrutnika, który porwał kochaną panienkę z domu jej ojca, który złamał jej serce, który zostawia ją w nędzy...

— Proszę wziąć panią za nogi — rozkazał lekarz — ja potrzymam za głowę, zaniesiemy ją do jej pokoju.

— Tędy, tędy — rzekła murzynka, wskazując następne drzwi. — To jest właśnie pokój Miss Amy.

Ułożywszy ją na łóżku, doktór James stwierdził, że puls bije regularnie. Po kilku minutach ocknęła się z omdlenia i natychmiast zapadła w głęboki sen.

— Jest bardzo wyczerpana — orzekł lekarz. — Ale sen ją pokrzepi. Jak tylko się obudzi, proszę jej podać jajko wbite w czerwone wino. Proszę mi powiedzieć, co to za siniak na czole?

— Upadła, panie doktorze, potknęła się i upadła — rzekła prędko murzynka, ale poprawiła się natychmiast — nie, nie będę kłamać dla niego, dla tego zbója. Uderzył ją, panie doktorze, śmiał ją uderzyć, zranić ją, moją małą, drogą panienkę, moje dziecko, moją małą Amy...

Doktór bez dalszych komentarzy pouczył murzynkę, co ma robić:

— Niech pani pośpi jak najdłużej. Proszę zostać przy niej i po przebudzeniu podać jej to, co mówiłem. Jeżeli obudzi się i poczuje się gorzej, proszę mnie zawiadomić.

— Od pewnego czasu dzieją się w tym domu dziwne rzeczy — mruknęła murzynka. Doktór James dzięki swemu wpływowi na kobiety, bardzo łatwo i prędko uśmierzył jej irytację.

Pacjent był już przytomny i wydawał jakieś niewyraźne dźwięki, wśród których wprawne ucho doktora Jamesa uchwyciło słowo: "pieniądze... pieniądze". Więc, nachyliwszy się nad łóżkiem, zapytał pacjenta, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo:

— Czy słyszy pan mój głos i czy pan mnie rozumie? Jestem lekarzem, zawezwanym przez pańską żonę. Powiedziano mi, że pan jest panem Chandlerem. Stan

pana jest bardzo poważny i wszelki wysiłek jest bezwzględnie bardzo szkodliwy dla pana.

Oczy chorego spojrzały błagalnie na lekarza. Ten nachylił się jeszcze niżej i usłyszał słowa, wypowiedziane bardzo słabym głosem:

— Pieniądze... dwadzieścia tysięcy dolarów...

— Gdzie są te pieniądze? W banku? — zapytał lekarz.

Oczy chorego odpowiedziały przecząco. Poczem usta wybełkotały:

— Niech jej pan... powie, że jej pieniądze... dwadzieścia tysięcy... są...

Spojrzenie chorego obiegło pokój.

— Schował pan te pieniądze w tym pokoju? — spytał lekarz najbardziej ujmującym głosem.

Zdawało mu się, że chory mrugnął okiem twierdząco. Puls, który miał nieustannie pod palcem, bił bardzo nieuchwytnie.

I oto w duszy lekarza zbudził się instynkt jego drugiego niecnego zawodu. Postanowił wydostać tajemnicę skrytki z pieniędzmi za wszelką cenę, bodaj ze cenę ludzkiego życia.

Wydobył z kieszeni notesik, nabazgrał kilka słów na kartce, oderwał ją stanowczym ruchem i wyszedł z pokoju. Na ciche jego wezwanie murzynka wyjrzała na korytarz. Pani Chandler wciąż jeszcze spała, zapomniawszy o okropnościach swego losu i przeżyciach strasznej nocy. A na jej czole obok siniaka perliły się krople potu.

Posławszy służącą do bardzo oddalonej apteki po lekarstwo, zapisane na kartce, doktór James wrócił do pacjenta.

Nie omieszkał przedtem zamknąć uśpionej kobiety w jej pokoju. Dwukrotnie nawet przekręcił klucz w zamku, wsunął go do kieszeni, poczem spojrzał na zegarek. Tak, przynajmniej pół godziny nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Odszukał pierwszą z brzegu szklankę, nalał do niej trochę wody i dolał kilka kropel nitrogliceryny, którą miał w torbie, a którą jego koledzy po fachu nazywali "zupą". Wyjął również strzykawkę i napełnił ją do połowy przyrządzonym płynem.

Dwie godziny przedtem doktór James użył owego straszliwego lekarstwa w postaci nierozpuszczonej; wstrzyknął mocną dawkę do dziurki, którą przedtem wywiercił w kasie. Głuchy wybuch rozerwał zamek i wydał zawartość kasy trzem chciwym zbójom na pastwę.

Tym razem doktór James sam jeden i wyłącznie dla własnej korzyści szykował eksplozję, o ileż posępniejszą, bo eksplozję ludzkiego serca. O, tak, płyn, który za chwilę wstrzyknie do żył pacjenta, jest stymulantem działalności serca. Trzeba dwie uncje nitrogliceryny, aby zburzyć najdowcipniejszy mechanizm technika kasowego. Wystarczy pięćdziesiątej cząstki tej ilości, aby uciszyć na wieki bicie najcudowniejszego z narządów ludzkiego ciała.

Ale skutek nie będzie natychmiastowy. Bo i lekarzowi wcale o to nie chodziło, aby odrazu uśmiercić chorego. Musiał przedtem wykorzystać krótki stan podniecenia, który nastąpi wkrótce po zastrzyku. Krążenie krwi ożywi się; rozpocznie się z taką siłą, że w tym stanie, w jakim znajdował się chory, śmierć będzie musiała nastąpić po kilku minutach.

Obnażył klatkę piersiową pacjenta i dwukrotnie zatopił igłę strzykawki w ciało w okolicy serca. Nie zapomniał nawet o zwykłych środkach, stosowanych przy zastrzykach, i roztarł miejsca, w które zagłębiła się strzykawka.

Po dwóch minutach Chandler otworzył oczy i zapytał wyraźniejszym głosem, co się z nim dzieje. Doktór James uspokoił go czemprędzej.

— A żona moja... gdzie jest... moja żona? — zapytał pacjent.

— Zasnęła z wyczerpania — odpowiedział lekarz. — Lepiej jej nie budzić, chyba że...

— To zbyteczne — odrzekł Chandler, w którego żyłach krew zaczęła krążyć z szaloną siłą. — W każdym razie... nie dla mnie. Nie byłaby panu za to wdzięczna...

Lekarz usiadł koło łóżka; każda chwila była droga.

— Przed chwilą — odezwał się uroczystym tonem, licującym z chwilowym jego zawodem — zdaje mi się, że mówił pan coś w kwestji pieniędzy? Nie chciałbym pana niepokoić... Ale przypuszczam, że byłoby pożądane, aby pan, nie tracąc ani chwili czasu, rozporządził tą kwotą, o której pan wspomniał...

Chandler napróżno starał się odwrócić głowę. W każdym razie utkwił spojrzenie w oczach osobliwego lekarza.

—Czy mówiłem panu... gdzie... są te pieniądze?

— Nie — odpowiedział lekarz. — Ale zdawało mi się, że pan jest niespokojny o los tych pieniędzy. Wracając do rzeczy, czy one są schowane w tym pokoju?

Urwał nagle. Zdawało mu się, że dostrzegł cień zwątpienia, a może nawet i podejrzenie w układzie ironicznych warg chorego. Czyżby przeholował?

Chandler uspokoił go rychło:

— A gdzież one mogą być, jak nie w tej kasie, tam w kącie...

Idąc za spojrzeniem, doktór dopiero teraz ujrzał bardzo niewielką kasę, ukrytą za ciężką portjerą.

Podniósł się, zbadał puls pacjenta: krew nie pulsowała — biła mocno i nieregularnie.

— Podnieś pan rękę do góry! — rozkazał pacjentowi.

— Pan sam... wie... dobrze, że nie potrafię...

Doktór James podszedł do drzwi, otworzył je i przez krótką chwilę nasłuchiwał. Panowała wszędzie martwa cisza.

Nie starając się już upozorować gry, wrócił do pokoju i odrazu podszedł do kasy. Nędzna, polakierowana i pozłacana kasetka, którą możnaby z łatwością otworzyć scyzorykiem! Dla takiego specjalisty jak on, była to kwestja kilku chwil. Za parę minut zdobędzie dwadzieścia tysięcy dolarów. Trzeba ostrożnie otworzyć, żeby nie uszkodzić zamka.

Doktór James uklęknął i zaczął powoli kręcić guzikiem w poszukiwaniu sekretnej liczby. Po dziesięciu minutach natrafił na właściwe cyfry i nacisnął rączkę z całą pewnością siebie.

Kasa jednakże była pusta: nie było w niej ani pieniędzy, ani klejnotów, ani nawet drobnych. Nic, absolutnie nic.

Doktór James podniósł się i podszedł do łóżka. Zimny pot ciurkał powoli z czoła pacjenta. Lecz oczy jego były szeroko otwarte, a wyraz niewypowiedzianej ironji wykrzywił mu wargi.

— Nigdy nie widziałem... nic podobnego — wyjąkał z trudem. — Połączenie lekarza z... włamywaczem... Czy... to... się opłaca... drogi doktorze?

Nigdy jeszcze zimna krew doktora Jamesa nie była poddana tak okrutnej próbie. Jego pewność siebie i miłość własna były mocno urażone. Wyciągnąwszy z kieszeni zegarek, czekał na śmierć chorego. Ale tamten ciągnął dalej:

— Wydało mi się... przed chwilą... że pan za bardzo mnie... bada w kwestji... tych pieniędzy... Ale nic... absolutnie nic nie groziło im... ze strony... pana... Są zabezpieczone w najpewniejszem schowaniu... Cała suma... znajduje się w kieszeniach bookmackerów... Dwadzieścia tysięcy dolarów... posag Amy... Tak... grałem... przegrałem... Byłem łajdakiem... mój drogi... włamywaczu, przepraszam, mój drogi... doktorze. Ale zawsze spłacałem długi... karciane i... i... przyznać muszę, że nigdy, nigdy jeszcze nie spotkałem bandyty... tak znakomitego... jak pan... drogi doktorze, przepraszam, drogi włamywaczu... Czy macie panowie zwyczaj... dawać trochę wody... swoim ofiarom?

Nic nie mówiąc lekarz przyniósł mu szklankę wody. Chory wypił ją z niesłychanym wysiłkiem. Działanie lekarstwa objawiało się teraz w gwałtownych drgawkach, które następowały po sobie w odstępach czasu, krótszych od sekundy. Mimo to, konający zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i wypowiedział ostatnie słowo:

— Byłem graczem... rozpustnikiem... pijakiem... ale... ale nie byłem przynajmniej lekarzem... włamywaczem. Tfu!

Skupiwszy się, doktór James wymyślił wkońcu mściwą odpowiedź, która wskrzesiła w nim dawną jego dumę. Nachyliwszy się bardzo, bardzo nisko, aby zatrzymać na sobie ostatnie spojrzenie umierającego, wyciągnął palec w kierunku pokoju pani Chandler. Był to gest sędziego, ferującego wyrok... Poczem, bardzo wolno, głosem przebijającym jak ostrze sztyletu rzekł:

— Ale ja... nigdy nie biłem kobiety!

Piorunująca replika doktora Jamesa ugodziła, zdaje się, w resztki sumienia, które jeszcze drzemało w tej zburzonej duszy.

Był to akt łaski. Skoro tylko słowa te dotarły do uszu chorego, twarz jego zalała się purpurą, oddech nagle się urwał i Robert Chandler niemal bez agonji wyzionął ducha.

Ledwie wydał ostatnie tchnienie, wróciła z apteki murzynka. Weszła do pokoju z flaszeczką w ręku. Widziała, jak lekarz powoli przymykał zmarłemu oczy. Jakkolwiek nienawidziła kata swej "drogiej panienki", krzyknęła boleśnie i zalała się łzami.

— Umarł — mówiła wśród łkania — teraz jest w ręku Pana Boga, który jest sędzią złośników i podporą pokrzywdzonych.

I zaraz dodała:

— Gdyby Cindy wiedziała o tem, nie wydałaby na lekarstwa ostatnich groszy...

— To ma znaczyć, że pani Chandler została bez pieniędzy? — spytał oprysklliwie doktór James.

— O, od wielu, wielu dni jesteśmy całkiem bez pieniędzy. Kochana moja panienka od tygodnia już głoduje. Ona zemdlała nie ze wzruszenia, tylko z osłabienia, panie doktorze. Będzie temu z miesiąc jak sprzedała ostatnie swoje pierścionki. Cały posag, cały spadek — wszystko ten djabeł — ach, niech mnie Bóg skarze, że mówię tak o nieboszczyku — wszystko przehulał... Ten dom nie jest nasz: wynajmujemy razem z meblami; gospodarz codziennie awanturuje się o czynsz. Jesteśmy biedni, bardzo biedni...

I, korzystając z życzliwego polecenia lekarza, opowiedziała swoją historję, a raczej rzewną historję swej malutkiej pani, którą uprowadził z ojcowskiego domu rozpustnik i awanturnik. Właściwie chodziło mu tylko o jej pieniądze, bo na urodę jej rychło zobojętniał. Skoro zaś przetrwonił cały jej posag, znikł na dłuższy czas z domu, do którego sprowadziła go dopiero z powrotem wiadomość o dwudziestu tysiącach dolarów, otrzymanych w spadku przez żonę. Wrócił więc, udając skruszonego męża, ale i ta komedja nie trwała długo, to znaczy tylko dopóki starczyło pieniędzy.

I kiedy znowu zgrany do grosza wrócił do domu, zmiażdżyła go karząca ręka losu. W opowieści Cindy była wzruszająca nutka jakiejś niezwykłej, psiej wierności względem swej pani. Należało sądzić, że tylko czułość dawnej piastunki obroniła Amy od czarnych podszeptów rozpaczy.

Gdy wreszcie umilkła, doktór James zapytał, czy znajdzie się w domu trochę alkoholu.

— Tak — odpowiedział murzynka — mamy jeszcze buletkę whisky, zapomnianą przez pana...

Doktór James kazał przyrządzić gorący poncz, który podał zbudzonej wdowie. Po kilku minutach wprowadził ją do pokoju zmarłego, którego poprzednio nakrył prześcieradłem.

Pani Chandler rzuciła spojrzenie, tylko jedno, na zasłonięte zwłoki, poczem bez łez, jak gdyby długie cierpienia wysuszyły źródło jej wzruszeń — zbliżyła się do lekarza i głosem niezmiernie wzruszającym prosiła o opiekę.

Doktór stał gotowy do wyjścia z kapeluszem i paltem na ręku. Twarz jego, zawsze posłuszna żelaznej woli, wyrażała jedynie banalną i zawodową sympatję. Lecz godnym głosem zapewnił młodą wdowę, że za kilka godzin przyśle jej pomoc, niezbędną w takich okolicznościach.

— Jeszcze słówko — dodał — zanim panią pożegnam. W ostatnich chwilach swego życia nieboszczyk mąż pani przypomniał sobie coś ważnego i prosił mnie, abym otworzył kasę, stojącą tam w kącie. Nie pozwolił mi budzić pani. Ale powiedział, że w tej kasie są pieniądze. Prosił bardzo, aby pani za te pieniądze wróciła do ojcowskiego domu. Ostatnie jego słowa były poświęcone pani i wyrażały nadzieję, że kiedyś przebaczy mu pani jego winy.

Co rzekłszy wskazał palcem na stół, na którym leżały pieniądze.

— Tu jest dokładnie osiemset trzydzieści dolarów, które wyjąłem na prośbę nieboszczyka z kasy. Pozwoli pani, że zostawię bilet wizytowy na wypadek, gdy będzie pani potrzebna moja pomoc...

A więc ten okrutnik, ten zły mąż myślał o niej przed śmiercią?! Kłamstwo, które litość podyktowała sercu i wargom zatwardziałego przestępcy, pokrzepiło duszę biednej kobiety jak balsam i rozpaliło ostatnią iskrę młodzieńczej, tak niegdyś promiennej miłości. Zduszonym głosem wyszeptała:

— Robercie, Robercie!

I zalała się łzami litości i przebaczenia...

A doktór James, milczący i chmurny, wyszedł cichym, powolnym krokiem.

SPÓŁKA PANA DOMAGAŁY



Napisał M. Skiba

CZY to nie dziwne, że czasem żartem rzucona uwaga wzburzy niesłychanie człowieka, którego dotyczy, podczas gdy ten, co ją wypowiedział, nawet nie pomyślał przywiązywać do niej jakiegokolwiek poważnego znaczenia?

Coś podobnego właśnie wydarzyło się z panem Domagałą, kiedy jeden z jego przyjaciół, w czasie rozmowy, zauważył otwarcie:

— Jest pan bogatym człekiem, panie Domagała, i wkrótce stanie się pan miljonerem.

Mówiący nie miał wcale zamiaru powiedzieć Domagale coś nowego, albo niespodziewanego, a tymczasem zaskoczył go.

Ryszard Domagała pochodził z rodziny pechowców, w której nędza panowała z rodziny w rodzinę. Sam Ryszard całe życie walczył z nią i pozostawał w wiecznej obawie, że zostanie zwyciężony. Pracował nieustannie, nie pozwalając sobie na wypoczynek, ani nawet na obliczenie zysków swej pracy i w końcu został zaskoczony uwagą człowieka, co spowodowało zastanowienie się nad stanem swego majątku. Westchnął z ulgą, jak jeździec na wyścigach, kiedy pierwszy przybywa do mety, następnie pogrążył się w tak głębokie rozmyślanie, że nawet nie zwrócił uwagi na swojego kasjera, który wsunął głowę w drzwi i zapytał:

— Czy jestem jeszcze panu potrzebny, panie dyrektorze?

Domagała zerwał się, jak człowiek, który nie zrozumiał sensu zapytania, choć je słyszał z dnia na dzień, w ciągu wielu lat.

— Co... co pan chce przez to powiedzieć? — krzyknął pytająco.

Kasjer, mimo w i e l k i e g o zdziwienia, zbyt dobrze był wychowany, aby to okazać.

— Czy jestem jeszcze panu potrzebny, panie dyrektorze? — powtórzył.

— Ach, o to chodzi! Nie, panie Rożek, dziękuję, jest pan wolny.

— Dobranoc, panie dyrektorze!

— Co pan chce... Ach tak! Dobranoc, kochany Rożku!

Kiedy pan Domagała wyszedł na ulicę, wydała mu się ona całkiem inna, niż dawniej. Przyglądał się pięknym domom i myślał o sobie, że sam teraz jest w możności kupić taki sam; patrzał na przejeżdżające obok niego pojazdy i mówił sobie, że będąc teraz bogatym człowiekiem, mógłby sobie także sprawić taki powóz, gdyby mu taka do głowy przyszła fantazja. Ale fantazja taka nie mogła mu przyjść do głowy, a to dlatego, że nie wiedziałby co robić zarówno z pięknym domem, jak i ze wspaniałym powozem. Nie miał kogo osadzić w mieszkaniu i nie miał kogo wozić. W tem miejscu zastanowił się: istotnie, jakiż on samotny i opuszczony przy całem swem bogactwie! Przedtem nie miał kiedy myśleć o tem, a teraz, kiedy miał prawo korzystać z płodów swej długoletniej pracy — nie miał się nawet z kim podzielić majątkiem. Oczywiście, ma przecież przyjaciół, z którymi utrzymywał stosunki handlowe, ale wszyscy oni, po większej części, to ludzie rodzinni i nie wypada mu jakoś powiedzieć im: "Przyjmijcie mnie do swego domu, jestem taki samotny — niemam bliskiego człowieka, przyjaciela!"

Zresztą, gdyby go nawet i przyjęto, zaproszono, to nie wiedziałby, co z sobą robić. Tylko w biurze czuł się w swoim żywiole, salon — była to dla niego nieznana kraina i obyczaje światowego życia były dlań obce. Przy ciągłej walce z nędzą, stracił czas na nauki, a teraz było już zbyt późno na kształcenie się. Jeszcze wczoraj słyszał, jak jeden z młodszych urzędników, w rozmowie z kolegą, nazwał go "nasz stary"; naturalnie, mówiący te słowa nie wiedział, że w pobliżu był szef i mówił otwarcie. Domagała czuł się jeszcze silnym i młodym, dlatego epitet zmartwił go i długo nie wychodził mu z głowy.

Przechodząc teraz ulicami i oddychając pełną piersią, zdjął kapelusz i powiódł ręką po swych zbyt wcześnie posiwiałych włosach.

Przypomniał sobie przeszłość i przed jego oczyma stanął obraz dziewczyny, z którą chciał się żenić i z pewnością byłby się ożenił, gdyby mu starczyło odwagi oświadczyć jej się. Ale nie mógł się na to odważyć, ponieważ wczesny ożenek był przyczyną wszystkich nieszczęść pokolenia Do-

magałów, przeszkadzał im w wydrapaniu się z biedy i wielokrotnie był powodem, że pędzili życie niedostatku i biedy. On jeden stał się szczęśliwym wyjątkiem.

Dziewczyna ta wyszła za piekarza. A jakże to już dawno było! Istotnie, kancelista miał rację, mówiąc, że jest on już stary.

Nagle przez jego umysł przemknął obraz innej dziewczyny, dziewczyny współczesnej, zgoła niepodobnej do tej, która się stała piekarką. Była ona jedyną przedstawicielką rodzaju żeńskiego, z którą był znajomy, i z którą miał możność rozmawiać, a to dlatego, że pracowała ona w jego banku, jako maszynistka.

Panna Galska, naturalnie, była bardzo ładną dziewczynką. W kantorze wiedziano, że pochodzi ona z dobrej rodziny, i że wyjątkowe wypadki zmuszały ją do szukania zajęcia. Poczucie godności własnej miała w sobie tak wielkie, że zmuszało ono cały personal bankowy odnosić się do niej z szacunkiem.

Przekonawszy się, że pisanie na maszynie jest o wiele lżejsze i popłatniejsze, niż bieganie po lekacjach muzyki, poszła na posadę do banku pana Ryszarda Domagały, czem wykazała, że jest dziewczyną z rozsądkiem.

Ryszard Domagała usiadł na ławeczce i parokrotnie powiódł w zamyśleniu ręką po czole.

"Czemu miałbym nie zaryzykować? — rzekł do siebie. — Co mi może przeszkodzić? Czy starczy mi jednak śmiałości oświadczyć się?"

Mimo wątpliwości, postanowił wszakże nieodwołalnie uczynić to.

Następny dzień minął według ustalonego porządku. Przychodziły listy, czytano je i odpowiadano na nie. O zwykłej godzinie, do gabinetu pana Dmagały weszła panna Galska i zapytała, czy nie potrzeba jeszcze czegoś napisać. Dmagała zwlekał, znajdując, że gabinet bankowy nie jest miejscem dla wyznania miłości, ale jednocześnie wyczuwał, że nazewnątrz gabinetu byłby jeszcze nieśmialszym. Prócz tego nie wiedział pod jakimby pozorem udać się z wizytą do jej mieszkania, a zatem nie miał innego wyboru, jak tutaj, zaraz, albo — nigdy.

— Niech pani siada na chwilę, panno Halino — rzekł, — chciałbym się naradzić z panią, to jest, chciałbym usłyszeć pani zdanie w ważnej dla mnie sprawie.

Panna Halina, z ołówkiem w ręce, usiadła, położyła zeszyt na kolanach i pytająco spojrzała na dyrektora. Domagała, który z niepokoju nie mógł usiedzieć na miejscu, zerwał się i powiódł ręką po swoich włosach.

— Postanowiłem wstąpić do spółki z jedną osobą — zaczął po długiej pauzie. — Nasze interesy idą wspaniale, tak, że nawet lepiej życzyć sobie nie można!

— Tak? — odpowiedziała panna Halina.

— Tak. Znajduję, że to konieczne, ale wpierw chciałem porozmawiać z panią.

— Czy nie lepiejby było, aby pan o tem porozmawiał z panem Rożkiem? On się zna na tych sprawach lepiej odemnie; ale może bierze pan do spółki jego samego?

— Nie, nie, nie jego. Rożek jest doskonałym kasjerem, ale ale... Nie, nie, o nim nawet mowy być nie może.

— W każdym razie, mojem zdaniem, najlepiej panu będzie poradzić się z Rożkiem, albo wogóle z człowiekiem, który dobrze się na tych sprawach zna.

— W istocie, to ja nawet nie koniecznie potrzebuję czyjejkolwiek rady, ponieważ już postanowiłem wstąpić do spółki z tą osobą, to jest, naturalnie, jeśli ona się zgodzi.

Domagała zaczynał się rumienić. Sprawa okazywała się znacznie trudniejsza, aniżeli sądził.

— A zatem cała kwestja polega na wysokości kapitału, który powinien wnieść spólnik? — zapytała panna Halina, starając się mu pomóc.

— Nie, nie! Kapitał tu wcale nie jest potrzebny! Ja sam mam go dosyć, a interesy moje dają dochody, przewyższające wszelkie oczekiwania!

Dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Czy pan chce zawierać spółkę z takim człowiekiem, który nie wnosi kapitału? — zapytała.

— Naturalnie! Właśnie tego tylko pragnę, ponieważ powiedziałem już pani, że mam dosyć swojego kapitału.

— A, jeśli w ten sposób chce pan postąpić, to niech się pan lepiej naradzi z panem Różkiem, zanim się pan zdecyduje na ten krok!

— Różek tego nie zrozumie!

— Ale... obawiam się, że i ja pana zaczynam nierozmieć! Nie rozumiem, jak można myśleć o czemś podobnem... jeśli pan chce znać moją szczerą radę, to... przyznam się, życzenie to wydaje mi się więcej, niż naiwne.

— Tak! Niech pani będzie szczera! Proszę pani! Moje życzenie nie jest znowu tak naiwne, jak pani myśli. Powinienem się był już dawno na to zdecydować, a teraz nieodwołalnie postanowiłem i nie mam zamiaru więcej odkładać sprawy do dolnej szuflady.

— Istotnie, nie wiem dlaczego postanowił mnie pan pytać, skoro się pan już tak stanowczo zdecydował.

— Nie, w żadnym wypadku bez pani się nie obejdę! Obawiam się jedynie żeby moja propozycja nie została odrzucona.

— Jeżeli tylko osoba, której chce pan ją zrobić, jest przy całkowicie zdrowych zmysłach, to nie można nawet myśleć o odmowie. Nie każdy dzień przynosi podobną okazję! Może pan być zupełnie pewien, że każdy z radością zgodziłby się.

— O! czy tak pani myśli, panno Halino? Bardzo to miło słyszeć od pani. To, o czem chciałem z panią porozmawiać,

tyczy się wyłącznie formy mojej propozycji. Chciałbym to zrobić — jakby to pani powiedzieć — jak najdelikatniej, aby nie obrazić... i aby nie otrzymać odmowy.

— A więc chce pan, abym napisała list?

— Właśnie, właśnie o to mi chodzi! — zawołał Domagała, uradowany.

Choć wogóle nie miał zamiaru wysyłać listu, ale teraz wydało mu się to najlepszem wyjściem z krytycznego położenia.

— Czy pan już mówił z przyszłym spólnikiem o tej sprawie?

— Ze spólnikiem? O czem?

— No o pańskim zamiarze wejścia z nim do spółki!

— Nie... o... nie... Ja, ja, prócz pani, nikomu jeszcze nie powierzyłem swojego zamiaru!

— I stanowczo nie chce pan się naradzić z panem Rożkiem, zanim napisze pan list?

— Nie, Rożek do tej sprawy niema absolutnie nic!

— No, w takim razie zaczynam pisać — zakończyła panna Halina, biorąc zeszyt.

Z tonu jej można było wnosić, że jej szacunek dla umysłu pana Domagały mocno został zachwiany. Nagle podniosła głowę.

— Jaką cyfrą mam określić roczny dochód z pańskiego interesu? Albo też, uważa pan może, aby o tem wcale nie wspominać?

— Nie, niema potrzeby wspominania o tem, dlatego że, widzi pani, panno Halino, ja w żadnym wypadku niechciałbym zawierać naszej przyjaźni na warunkach pieniężnych!

— W takim razie na jakichże warunkach chce ją pan zawrzeć?

— Hm, tego nawet nie śmiem wyrazić! No, choćby na warunkach osobistego współżycia. Pragnąłbym, abyśmy się zeszli z obopólnej sympatji.

— A więc, jeślim dobrze pana zrozumiała, to chce pan spółkę tę oprzeć na warunkach przyjaźni?

— Tak, tak! Przyjaźni, istotnie na warunkach stosunków przyjacielskich! nawet więcej, niż przyjacielskich, dobrze mnie pani zrozumiała!

Panna Galska niepewnie obejrzała się dokoła.

—Czemuż nie chce pan lepiej napisać doń parę wierszy i poprosić go do siebie i rozmowić się z nim? Wszystko możnaby zrobić znacznie prościej.

Domaga przestraszył się.

— Ach, nie! — rzekł — z początku sam tak myślałem, ale niemożna, nie, stanowczo — to niemożliwe! Nie, najlepiej napisać list.

— Zdaje mi się, że tym razem nie potrafię panu dogodzić... to jest, nie napiszę tak, jakby pan sobie tego życzył. Będzie to zbyt trudne! Przecie taki list, to wyjątek!

— To prawda! Dlatego właśnie zwróciłem się do pani, panno Halino! Tylko pani jedna może mi pomóc. Jeżeli pani będzie zadowolona z mojego listu, to i ja z niego będę również zadowolony.

Panna Halina pokiwała głową, napisała parę wierszy i zapytała:

— Niech pan posłucha, czy tak będzie dobrze: — Szanowny Panie...

— Niech pani zaczeka!—zawołał Domagała. — Czy podobny zwrot nie wydaje się pani zbyt formalny? czy nie lepiej napisać: "mój przyjacielu!"

— Jak pan chce! — odrzekła panna Galska przekreślając napisane i ciągnęła dalej:

"Mój przyjacielu! Od dawna noszę się już z myślą zaproponowania ci wejścia ze mną do spółki. Pomyśl i dobrze zważ korzyści i braki mojej propozycji i następnie zdecyduj — czy zechcesz ją przyjąć. Od paru lat interesy moje idą bardzo dobrze, a ponieważ nie wymagam od ciebie kapitału, przeto mam nadzieję, że znajdziesz propozycję moją dobrą.. "

— Nie, czy niemożna jakkolwiek inaczej? — dodał Domagała. — Wynika z tego, że ja wystawiam na widok publiczny wszystkie korzyści dla mojego twarzysza, podczas gdy — hm!.. pani mnie rozumie?

—Ale przecie w interesach tak powinno być! — odrzekła panna Halina.

— Niech pani napisze lepiej, jak pani przedtem proponowała, panno Halino!

— Ja nic nie proponowałam, panie dyrektorze. Ale, zresztą będzie lepiej, jeśli mi pan podyktuje cały list. Ja wiem, że nie potrafię wyrazić tego, co pan zamierza powiedzieć!

— Nie, to zupełnie napróżno. Proszę sobie wyobrazić mnie na miejscu mojego przyszłego spólnika! Doskonale pani zredagowała list, tylko jego zakończenie nieco więcej przyjacielsko, cieplej, serdeczniej!

W parę minut później, panna Halina przeczytała:

"...dobrą i zgodzisz się przyjąć ją. Zwracam się do ciebie, jak do przyjaciela i mam nadzieję o tyle pozyskać twoje zaufanie, że nie odrzekniesz się wstąpć ze mną do spółki."

— Czy dodać jeszcze cokolwiek więcej? — zapytała.

— Wspaniale! Niech pani doda, z łaski swojej, że odmowa wyrządzi mi wiele przykrości i rozczarowania.

— Dobrze! — rzekło dziewcze, — ale jak podpisać: oddany, lub serdecznie oddany?

— Niech pani podpisze, z łaski swojej: "twój prawdziwy przyjaciel".

Panna Halina wyszła do sąsiedniego pokoju i w ciągu kilku minut słychać było stamtąd stuk maszyny do pisania, poczem panna Galska wróciła z gtowym listem.

— Czy skopjować ten list? — zapytała.

— Na Boga, nie! — odpowiedział Domagała, ocierając zroszone kroplistym potem czoło.

— On zapewne wszystko to chce ukryć przed Rożkiem, ponieważ podobna hsitorja całkiem nie odpowiada pracy handlowej! — pomyślała i rzekła głośno:

— Czy pan jeszcze mnie potrzebuje, panie dyrektorze?

— Nie, panno Halino, jest

pani wolna, bardzo dziękuję za list!

Następnego rana panna Halina, uśmiechając się, weszła do gabinetu pryncypała.

— Pan się widocznie omylił wczoraj wieczorem, panie dyrektorze, — rzekła, wyjmując list z kieszeni.

— Dlaczego tak pani myśli? — odrzekł, zrywając się.

— Zaadresował pan ten list do mnie. Otrzymałam go dziś rano i gdy rozpieczętowałam, domyślając się, że zapewne zwalnia mnie pan na dzień dzisiejszy od zajęcia, odrazu spostrzegłam, że włożył pan list nie do właściwej koperty. Może nie jestem panu dzisiaj potrzebna?

Z jego ust gotów był zerwać się frazes: "Pani mi potrzebna nietylko dzisiaj, ale zawsze, stale!" — ale nie rzekł nic i tylko w milczeniu wyciągnął rękę po list, jakby się chciał przekonać o swojej omyłce.

Następnego dnia panna Halina zjawiła się później, niż zwykle i z wystraszonym wyrazem na swej pięknej twarzyczce, położyła ten sam list na biurku przed panem Ryszardem. Przypuszczała, że biedny właściciel zwarjował, a przypuszczenie to zdawała się potwierdzać roztargniona twarz dyrektora, kiedy Halina rzekła:

— Powtórnie przysłał mi pan ten list, panie dyrektorze!

Pan Ryszard nagle skoczył i, uzbrojony rozpaczliwą stanowczością, zapytał nieco surowo:

— Dlaczego pani nie odpowiedziała na ten list?

Halina cofnęła się wystraszona.

— Dlaczego nie odpowiedziałam?... — mruknęła, nierozumiejąc nic.

— No tak! Jeśli człowiek dwukrotnie otrzymuje jeden i ten sam list, to obowiązkiem jego jest odpowiedzieć nań.

— Co pan przez to chce powiedzieć? — zapytała oszołomiona dziewczyna i wzięła za klamkę drzwi.

— To samo, co napisano w liście! Pragnę, aby się pani stała moim spólnikiem, lepiej: a-



by pani wyszła za mnie zamąż! A, niech to djabli wezmą te wszystkie handlowe terminy!

O! — zawołała Halina głęboko wzdychając i wybiegła. Schowała się w ostatnim pokoju, gdzie stała maszyna do pisania i zamknęła się na klucz.

Ryszard Domagała długo i niespokojnie chodził po swoim gabinecie, poczem zdecydowanie zastukał do drzwi, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wziął kapelusz i wyszedł na ulicę. Kiedy wrócił, bezcelowo spędziwszy parę godzin na ulicach, kasjer spotkał go ze słowami:

— Panna Galska wyszła, panie dyrektorze!

— Ach tak!

— Tak. Zostawiła panu dyrektorowi list, ale sama już nie wróci.

— Dobrze!

Wszedł do swojego prywatnego gabinetu i znalazł na stole list z dopiskiem na kopercie: "do rąk własnych". Pośpiesznie rozpieczętował go i przeczytał następujące, bardzo ładnie wypisane na maszynie:

"Rzucam swoje stanowsko maszynistki, ponieważ znalazłam lepsze. Zaproponowano mi spółkę w firmie Ryszard Domagała, więc zdecydowałam się przyjąć tę propozycję, nie dla korzyści finansowej, co mam zapewnione, ale dla przyjaźni i sympatji, które czuję do wyżej wymienionego pana.

"Dlaczego męczył mnie pan tym głupim listem? Czyż parę wypowiedzianych szczerych słów nie doprowadziłoby do tego samego i szybszego wyniku? Widocznie rzeczywiście brak panu przyjaciela! — Moja matka każdej chwili gotowa jest pana przyjąć, a adres nasz pan zna.

Halina Galska."

Na zimnej twarzy bankiera rozlał się błogi wyraz zadowolenia. Schował list do szuflady i rzekł sam do siebie:

— Zdaje mi się, że zrobiłem najlepszy interes w życiu!

MYŚLI

"Tak jak w szachach, by dojść do osaczenia króla potrzeba jest mieć pewną ilość pionków, pewną ilość figur, które się oddaje na zabicie — tak w życiu, by dojść do pewnego celu, potrzebne są figury. Co się z niemi stanie, to obojętne. W pewnym momencie potrzebna jest ich obecność, ich ruch. Mogą potem zginąć. Życie ludzkie nic nie jest warte. Ludzi jest dość. Zguba ilości potrzebna jest dla triumfu jakości, dla triumfu pewnych idei, dla spełnienia losów i przeznaczeń. Ludzkość nieprzerwanie się odradza. Niema obawy, by się przestały rozrastać narody. Ważnem jest, by był naród, nie stado, by żyła w nim świadomość, duma, wolność, siła życia i wzrostu, a czy ich będzie, ludzi w tym narodzie, o miljon mniej czy więcej, to wszystko jedno. Istnieje na świecie dwa miljardy ludzi. Każdy z nich czuje i ma swoją osobistą tragedję. Przejąć się wszystkiemi nie można. Dlaczegóżby się przejmować tylko pewną ich liczbą"!

Z powieści Gustawa Olechowskiego "WÓDZ".

POCHODZENIE OWOCÓW

WINOGRONA, najcenniejszy owoc strefy umiarkowanej, rozpowszechniły się w Europie w VI-ym wieku przed Narodzeniem Chrystusa. Ojczyzną winogron jest Kaukaz, gdzie przetrwały do dzisiejszych czasów dzikie krzewy, rodzące słodki owoc. Zależnie od warunków klimatycznych i gleby, winogrona rozrodziły się na liczne odmiany, znane obecnie. Egipcjanie, Grecy i niektóre narody azjatyckie uprawiały winogrona od niepamiętnych czasów. W Polsce hodują winogrona tylko w okolicy Zaleszczyk.



ŚLIWKI miały prawdopodobnie swój początek na Kaukazie. Pestki śliwek napotyka się nierzadko w wykopaliskach z epoki bronzowej oraz w przedhistorycznych grobowcach dokoła osiedli nadwodnych. Dzikie śliwki dotychczas rosną obficie w krajach Europy Południowej. Najszlachetniejsze odmiany śliwek rosną w południowej Francji i w niektórych okolicach Węgier. Stąd nazwa "Węgierki". Nie mniej cenione są odmiany francuskie, zielone i białe, tak zwane "renklody".



MORELE pochodzą według wszelkiego prawdopodobieństwa, z Armenji. Drzew morelowych w stanie dzikim nie znaleziono jeszcze w żadnym kraju na świecie. Rzymianie sprowadzili pierwsze drzewka morelowe z Armenji i przez szczepienie i troskliwą hodowlę otrzymali kilka znakomitych odmian. Z Włoch przedostały się morele do reszty krajów Europy południowej i środkowej. W Polsce morela dojrzewa tylko w okolicach Zaleszczyk, lecz i tam, chociaż owoc jest smaczny, to jednak jest drobny.



OLIWKI rosną do dzisiejszych czasów w krajach swego pochodzenia, a mianowicie w Azji Mniejszej i w krajach południowej Europy. Owoc ten dostarczający najlepszego tłuszczu roślinnego, jest błogosławieństwem Wschodu, a drzewa oliwne zawsze były w wielkiem poszanowaniu. W zwaliskach pałacu króla Minosa na wyspie Krecie znaleziono doskonale zachowaną olejarnię. W ostatniem stuleciu zaprowadzono drzewa oliwne w południowych stanach Ameryki Północnej i w niektórych Południowej.



GRUSZKA pochodzi z Azji Wschodniej, skąd przedostała się do Europy. W stanie dzikim pojawia się bardzo obficie na ziemiach Europy środkowej. W Polsce wiele zdziczałuch lub dzikich grusz rośnie na miedzach pól. Gdzie i kiedy zaczęto uszlachetniać ten owoc, nie wiadomo. Rzymianie znali już 35 odmian szczepionych gruszek, a Kartagińczycy przyrządzali z gruszek zaprawę, którą dolewano do wina, dla wzmocnienia aromatu. Najcenniejsze są odmiany zrywane późną jesienią.



BRZOSKWINIE zawdzięczamy Chińczykom, którzy zaczęli je uprawiać przed pięcioma tysiącami lat. Owoc ten ukazał się w Europie w czasach upadku cesarstwa rzymskiego. Posuwając się ze wschodu na zachód, rozpowszechnił się początkowo w Indjach, następnie z karawanami dotarł do Persji i morza Śródziemnego. Stąd łatwo już przedostał się do krajów europejskich i do Ameryki. W Polsce brzoskwinie dojrzewają tylko wyjątkowo, a hodowla na szerszą skale jest niemożliwa.



WIŚNIE sprowadził do Rzymu największy smakosz starożytności, Lukullus, z nad morza Czarnego. Drzewka wiśniowe rozpowszechniły się szybko po całej Europie i Ameryce i teraz corocznie powstają nowe odmiany tego owocu. Dzikie wiśnie istniały w czasach przedhistorycznych w Alpach i Pirenejach, jakoteż w lasach Ameryki Północnej. Czereśnie powstały prawdopodobnie z wiśni, na skutek szczepienia i przesadzania. Dzikie czereśnie pojawiają się dosyć obficie w lasach Europy środkowej.



JABŁKA, owoc znakomity i najbardziej rozpowszechniony po całym świecie, napotyka się w stanie dzikim po lasach od niepamiętnych czasów. Drogą przesadzania, szczepienia i krzyżowania powstało mnóstwo odmian jabłek. We Francji w roku 1650-ym znano już 600 odmian jabłek. Obecnie każdy sezon przynosi nowe, coraz lepsze i wykwintniejsze odmiany tego owocu, którego źródło pochodzenia jest dotychczas nieznane. Obecnie istnieje już blisko 2,000 skatalogowanych odmian jabłek.





PARAFIA ŚW. WOJCIECHA

Jedna z Najstarszych Parafii Polskich w Chicago



KSIĄDZ KANONIK KAZIMIERZ GRONKOWSKI, Proboszcz

Oraz Księża Wikarzy:

Ks. Ryszard Jung   Ks. Zygmunt Andryaszkiewicz   Ks. Jan Kalata

POLSKA FIRMA
IMPORTOWA
I EXPORTOWA

WALTER BOROWY

Wykonujemy najpiękniejsze wzory ręcznie haftowane, według waszych rysunków — dla Organizacji, Szkół, Klubów i t. p.—Polskie lub Amerykańskie sztandary, kurtki sportowe, pokrycia na poduszki, i t. p. po cenach najniższych w Ameryce.

WALTER BOROWY posiada na składzie w olbrzymim wyborze importowane z Dalekiego Wschodu przepiękne jedwabne artykuły, jak i cudnie haftowane japońskie męskie bonżurki, szlafroczki damskie po cenach od $6.00 do $15.00, które przedstawiają wartość podwójną.



PORTRETY

RĘCZNIE MALOWANE
Na czystym jedwabiu
Wykonujemy z fotografii
Od $5.00 i wyżej
SZKATUŁKI Z MUZYKĄ:
BALETNICAMI
Import. z Japonii i Niemiec

ZAPALNICZKI

Z różnych krajów,
wart. $3.00 po **89c**
Ręcznie malowane w przepięknych deseniach od $3.00 i wyżej.
TACE NA SZKLE
TALERZE Z BAWARII
Malowane ręcznie.

Importowane torebki damskie, perły i babuśki szwajcarskie oryginalne, maski japońskie,

Oraz wiele różnych przepięknych artykułów importowanych z Niemiec, Indii, Japonii, Grecji, — Włoch i t. d.



WSZYSTKIE ARTYKUŁY DO NABYCIA PO CENACH HURTOWNYCH

"CUCKOO" ZEGARY ŚCIENNE

Oryginalne ze Szwajcarii z kukułką i przepiórką ręcznie rzeźbione w drzewie, od $5.00 i wyżej.

ZEGARKI NA RĘKĘ

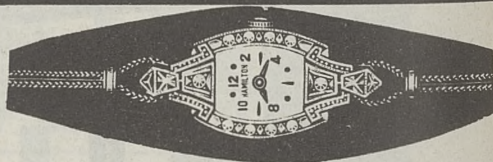
18 kar. złoto oraz stalowe męskie i damskie wprost ze Szwajcarii w wielkim wyborze, po drastycznie niskich cenach.

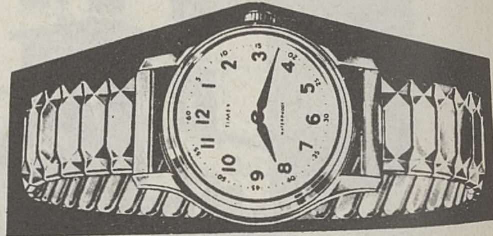
od **$6.00** i wyżej

WYSYŁAMY PACZKI PEKAO DO POLSKI I INNYCH KRAJÓW

Oraz paczki z Anglii i Danii.

Materiały na odzież, lekarstwa, żywność, materiały budowlane, węgiel, narzędzia rolnicze i t. d.





WALTER BOROWY

EXPORT
IMPORT

1514 West Chicago Ave., Chicago, Ill., Telefon CHesapeake 3-6688

UWAGA: WYSYŁAMY NASZ TOWAR PO CAŁEJ AMERYCE
DOSTARCZAMY TEŻ TOWAR DO SKŁADÓW DETALICZNYCH PO ZNIŻONYCH CENACH.





14th WARD
REGULAR DEMOCRATIC
ORGANIZATION

4713 South Halsted Street

SENATOR DONALD J. O'BRIEN
Ward Committeeman

JUDGE JAS. J. McDERMOTT

ALD. JOSEPH P. BURKE

JUDGE JOSEPH B. HERMES

FRANK SMITH
State Representative

JUDGE JOHN J. SULLIVAN, JR.





PEOPLES FEDERAL

SAVINGS and LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

1618 West 18th Street **Tel. HAymarket 1-5500**

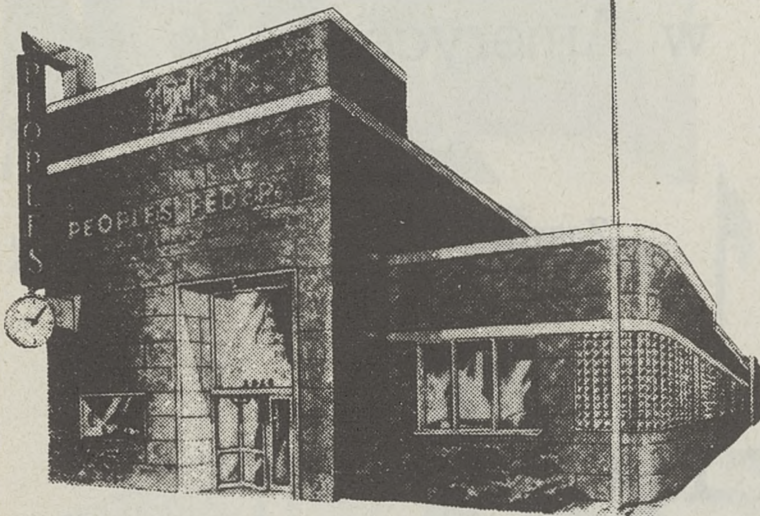


POŻYCZKA U NAS KOSZTUJE TANIEJ

KONTO OSZCZĘDNOŚCIOWE PŁACI 3%

OSZCZĘDZAJCIE W TEJ POPULARNEJ FINANSOWEJ INSTYTUCJI, GDZIE WASZE PIENIĄDZE SĄ ZAASEKUROWANE AŻ DO $10,000.00 PRZEZ RZĄDOWĄ AGENCJĘ STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

PEOPLES FEDERAL JEST JEDNĄ Z NAJWIĘKSZYCH INSTYTUCJI FINANSOWYCH, KTÓRA PROWADZI INTERES OD ROKU 1912 BEZ PRZERWY.



Można Otworzyć Konto Od $5.00 Do $10,000 Każdego Dnia

SAFETY DEPOSIT BOXES

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki, Wtorki i Piątki 9 rano do 3 popołudniu.
Czwartki 9 rano do 8 wieczorem.
Soboty 9 rano do 1 popołudniu.
Zamknięte w środy.

STANLEY W. ROPA, Prezes
AL. C. ROPA,, Egz. Wice-Prezes i Sekr.
JOSEPH F. ROPA, Wice-Prezes i Kasjer
MICHAEL WLEZIEN, Dyrektor
HENRY CZEKAJSKI, Dyrektor
WALTER A. ROPA, Dyrektor
STANLEY LESNIAK, Dyrektor
CHESTER J. DANKOWSKI, Adwokat
WALTER ROJEK, (Master-in-Chancery)

Peoples Federal
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION



1618 W. 18th Street
Przy Ashland Avenue
Chicago 8, Illinois

Chartered and Supervised by the
UNITED STATES GOVERNMENT

JOHN C. MARCIN

KLERK MIASTA CHICAGO

oraz

Demokratyczny Komityman 35-tej Wardy

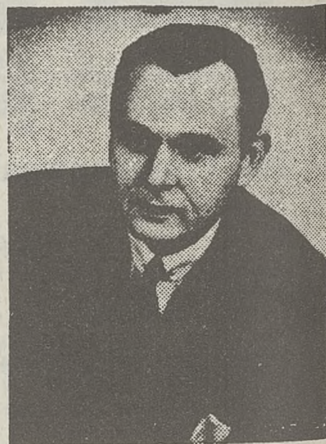
Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walka z gemblerką — są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego przyszłego lidera.

W roku 1955 na wiosnę został on wybrany na bardzo zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko Klerka Miasta Chicago olbrzymią większością głosów. Jest pewnym, że przyniesie on chlubę dla imienia polskiego. Szczęść mu, Boże, we wszelkich poczynaniach!

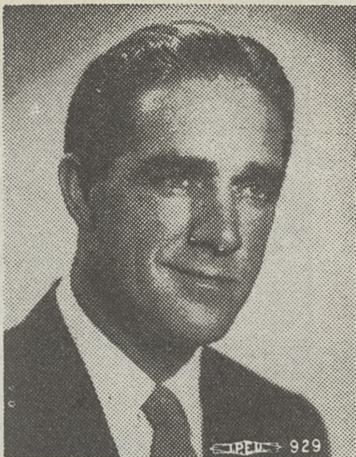
Cała Polonia chicagoska i amerykańska jest dziś dumna z niego. Jest pewnym, że zawsze poprze go, gdy będzie sięgał po najwyższe urzędy, godności i zaszczyty.



JAN C. MARCIN
Klerk Miasta Chicago i Komityman 35-tej Wardy



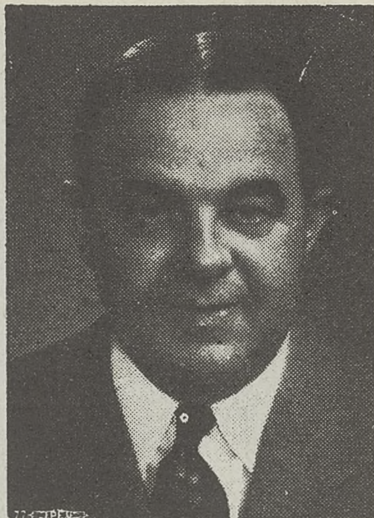
Buying Brand
Old Fashioned
Smoked POLISH SAUSAGE
Old Fashioned
Smokod POLISH
SLOTKOWSKI



T. P. SHEENAN

11th Congressional District
Chicago, Illinois

Congressman T. P. Sheehan
and The
41st Ward Regular
Republican Organization

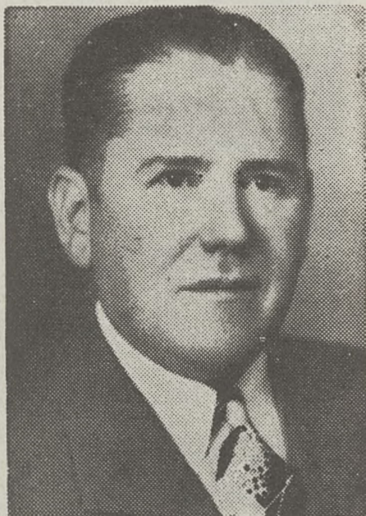


William G. Milota

BAILIFF OF THE MUNICIPAL COURT

Członke Związku Narodowego Polskiego
Freedom of Fatherland Society, Grupa 1574

Jest jednym z tych, który dzięki swym zdolnościom i uznaniu wybija się na coraz wyższe stanowiska. Teraz pełni zaszczytny urząd skarbnika miasta Chicago. Należy mu pogratulować i życzyć powodzenia.

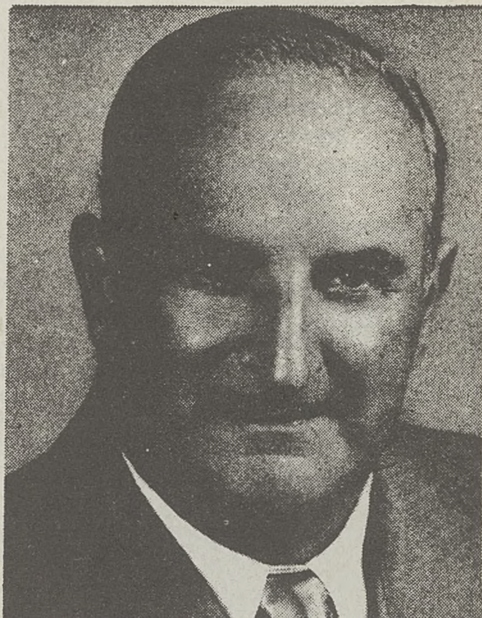


P. J. CULLERTON

ALDERMAN 38-EJ WARDY

Oraz Komityman Demokratyczny Tejże Wardy oraz Przewodniczący Komitetu Finansowego w Radzie Miejskiej Miasta Chicago.

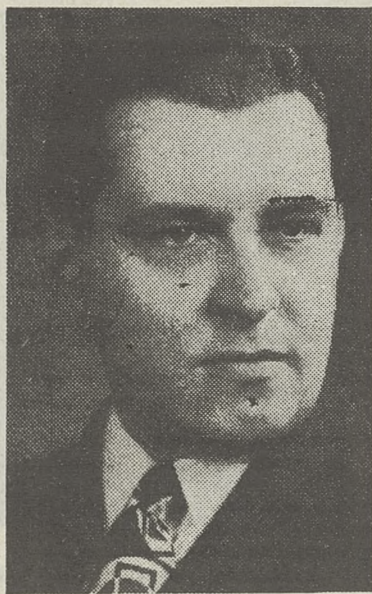
Wszystkim Moim Współobywatelom
Szczególnie Obywatelom Polskiego Pochodzenia
życzę
Niech wszystko to, do czego dążycie i staracie się stanie się dla Was rzeczywistością i osiągniętym celem.



POWODZENIA ŻYCZY

EMIL V. PACINI

ALDERMAN 10-EJ WARDY
I COMMITTEEMAN



SIGMUND J. STEFANOWICZ

SĘDZIA SĄDU MUNICYPALNEGO W CHICAGO



FRANCIS X. CONNEL

KLERK SĄDU OKRĘGOWEGO

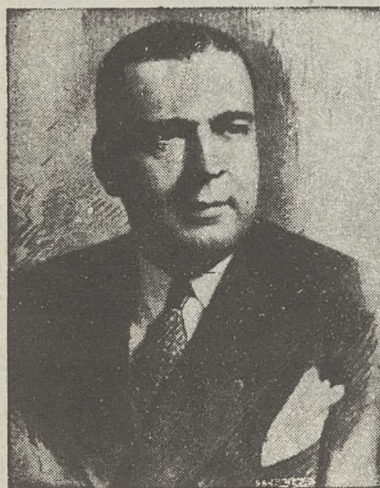
oraz Komityman 37 Wardy z Partii Republikańskiej

Znany jest on również jako jeden z tych, którzy nie słowem, ale czynem popierają sprawy naszej Polonii.

KAZIMIERZ GRIGLIK

TRUSTYS DYSTRYKTU SANITARNEGO MIASTA CHICAGO

Były Dyrektor Kongresu Polonii Amer.



Dzięki swej popularności podczas wyborów wybił się pod względem ilości otrzymanych głosów na jedno z pierwszych miejsc, i został wybrany na zaszczytne stanowisko Trustysów w Dystrykcie Sanitarnym miasta Chicago.

Polonia widzi w nim jednego z obrońców Spraw Ludu Naszego.



JOSEPH D. LOHMAN

SZERYF POWIATU COOK

Lenard's Restaurant

JEDYNA W SWOIM RODZAJU
SŁYNNA POLSKA CUKIERNIA
I RESTAURACJA W AMERYCE
Urządzona w Prześlicznym Stylu
Zakopiańskim



Zaprasza
Na Smaczne Polskie
Obiady i Kolacje

Przyrządzane przez
Kucharzy.
i Cukierników z Polski

Lenard's
Restaurant

1307 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.
Tel. HUmboldt 6-5614

WYSYŁAMY
CIASTA
NA CAŁĄ
AMERYKĘ

PRZYJMUJEMY ZAMÓWIENIA NA
WESELA, BANKIETY i WSZELKIE OKAZJE

Serdeczne Życzenia 1957

składają

JOHN O'TOOLE

Demokratyczny Komityman
15-ej Wardy

— i —

FRANK MICEK

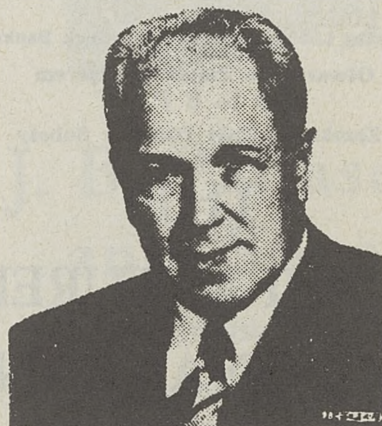
Alderman 15-ej Wardy



B. W. LESNIAK

REALNOŚĆ, HIPOTEKI, INWESTYCJE
ASEKURACJA—NOTARIUSZKA
PUBLICZNA, — BUDOWA
Biuro w Śródmieściu
188 WEST RANDOLPH STREET
Telefon Central 6-6152
Brighton Park:
4268 ARCHER AVENUE
Telefony Lafayette 3-5784-5785
Chicago, Illinois

Serdeczne Życzenia Jak Najlepszego
Rozwoju Z. N. P.
— składa —



Franciszek Peska

Poborca Cła Portu Chicagoskiego

Chicago, Ill.

RICHARD HARCZAK
Sausage Shop

oraz Domowej Roboty Sałaty i Pierogi
Wszelkiego Rodzaju Doskonałe Wędliny

7035 Higgins Road   Telefon RO 3-4111



ORAZ SYN

JOHN HARCZAK

Home Made Sausage and Frozen Foods

8115 MILWAUKEE AVE., NILES, ILL.

Tel. NIles 7-9788

Otwarte w każdą niedzielę. — Jeżeli jedziecie na wycieczkę, letnisko lub do jezior do północno-zachodniej części naszego stanu, tu możecie się zaopatrzyć w doskonałe wszelkiego rodzaju towary spożywcze i wędliny.

Sprawy polskie, sprawy Polonii amerykańskiej są nam zawsze bliskie i drogie dla nas wszystkich. W roku 1957 oby cele pracy i zamiary dla dobra Polonii i sprawy polskiej zostały osiągnięte.



Kazimierz R. Wachowski

139 NO CLARK ST.

Telefon FRanklin 2-5107

SERDECZNE ŻYCZENIA 1957



STANLEY J. NOWAKOWSKI

CZŁONEK GRUPY 328 Z. N. P.

Alderman 11-ej Wardy

Chicago, Ill.

Serdeczne Życzenia 1957



ANTHONY A. OLIS

PRESIDENT SANITARY DISTRICT



JAN KOWALSKI

Zawsze zachowuje staropolski zwyczaj· względem swych gości, mówiąc:

"CZEM CHATA BOGATA, TEM GOŚCIOM RADA"
Wstąpcie do

RITE LIQUORS

1649 W. DIVISION ST. CHICAGO, ILL.

Na Składzie Mamy Wszelkiego Rodzaju Tutejsze oraz Importowane: WÓDKI, LIKIERY, WINA i PIWA. Ceny Bardzo Przystępne Dla Wszystkich.



F. B.
RESTAURANT

PIERWSZORZĘDNA
POLSKA RESTAURACJA I CUKIERNIA

CIASTA I CIASTKA ZAWSZE ŚWIEŻE DO NABYCIA W KAŻDYM CZASIE

FRANCISZEK BARANOWSKI, właśc.

1219 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.
Telefon EVerglade 4-9509



Wesela, Srebrne Wesela, Urodziny, "Shower Party" Bankiety,

GRUP, TOWARZYSTW I ORGANIZACJI

w Przepięknej Mniejszej Sali
BLUE ROOM

SALI PUŁASKIEGO

1709 So. Ashland Ave.

Jest to jedna z najpiękniejszych i najbardziej nowoczesnych Sal na Polonii dopiero co wykończona. Zapewniamy Was, że tu urządzone dla Waszych gości przyjęcie, pozostawi na zawsze niezatarte wspomnienia.

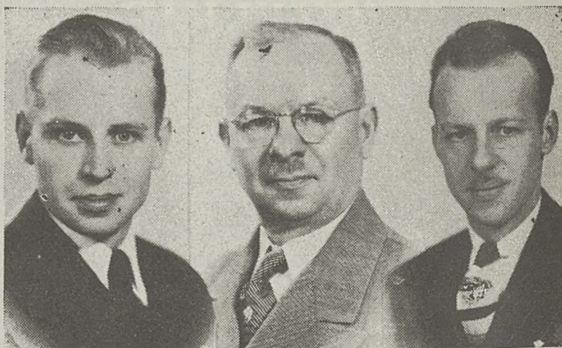
W dużej Sali zawsze są tańce w każdą sobotę i niedzielę.

W sprawie rezerwacji prosimy telefonować

HAymarket 1-9620

i zapytać się o panią Antoninę Błazończyk, właścicielkę

Szanownej Naszej Klienteli Dziękujemy za Poparcie Naszego Interesu, oraz Polecamy Sie Nadal Łaskawej Ich Pamięci



W. SZYJEWSKI i SYNOWIE

WŁAŚCICIELE EUROPEJSKIEGO

SKŁADU WĘDLIN

1941 W. DIVISION STREET
Tel. ARmitage 6-2911
Chicago, Illinois

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Ill.

SKŁAD ŻELAZTWA I PRZYBORÓW DOMOWYCH

W. T. CHOJNACKI & SON

PAINTS -- HARDWARE
ELECTRIC APPLIANCE

2900-02 So. 48th Court

Cicero 50, Ill.

Telefon OLympic 2-3205

Wszelkiej Pomyślności dla Członków Związku Narodowego Polskiego i Zarządu

SYRENA

RESTAURACJA

WRZESIŃSCY, Właściciele

CZŁONKOWIE GRUPY 768 Z. N. P.

Najpiękniejsza Polska Restauracja
Na Town Of Lake

OCHŁADZANE POWIETRZEM
SALE NA WESELA, ZABAWY
ORAZ WSZELKIE OKAZJE

1825 WEST 47-MA ULICA

Tel. VIrginia 7-2024 i VIrginia 7-9660

Chicago, Illinois



Acorn Roofing Supply Co.

2655 W. 48th St.
Chicago 32, Illinois

Washtenaw & 48th St.
Tel. YArds 7-5851

H. E. LENZ, Prezes

HURTOWNI DYSTRYBUTORZY

ASPHALT PRODUCTS

WŁAŚCICIELE DOMÓW! — Wasz Dom jest waszą chlubą. N zaniedbujcie go. Obsługujemy wielu odpowiedzialnych kontraktorów, którzy pomogą Wam w rozwiązaniu Waszych problemów w pokryciu dachów, siding i izolacji.

MIESZKAJCIE

w

YMCA



1621 W.
Division St.

w Samym Centrum Polonii
Wszelkie Nowoczesne Urządzenia jak:
Pływalnie, Prysznice, Parówki, Masaże,
Sale Gminastyczne, Rekreacyjne, oraz
Duża Kafeteria ze Smacznymi Polskimi
Potrawami

Pytajcie się o Nasze Wygodne Pokoje po bardzo przystępnych cenach

**Division Street Department,
Young Men's Christian Association
of Chicago**

**Division and Ashland Avenues
Chicago, Ill.**

HENRY G. HARTMANN
Chairman of the Board of Directors

WALTER S. BELL, Executive Secretary



KAROLINA BUDZ

Wiceprezeska Kongresu Polonii
Na Stan Illinois
Wiceprezeska Gminy 39 Z. N. P.
Kasjerka Tow. Białego Orła, Gr. 2727 Z. N. P.

Prowadząca Piękną Gospodę
5200 SOUTH WESTERN AVENUE

**Gdzie zaprasza wszystkich do swego Nowego Lokalu
Tam spotkacie swych Znajomych i Przyjaciół.
DOSKONAŁE NAPOJE TAK KRAJOWE
JAKO TEŻ IMPORTOWANE**

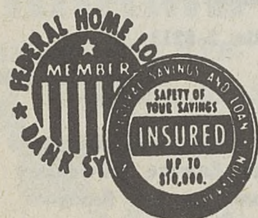
Tel. GRovehill 6-2046

CAPITOL FEDERAL
SAVINGS & LOAN ASS'N

3522-24 West 26th Street

Oszczędnością i Pracą Ludzie Się Bogacą
DLA DOBRA, BEZPIECZEŃSTWA i LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI WASZEJ CAŁEJ RODZINY OSZCZĘDZAJCIE W POLSKIEJ SPÓŁCE

Wasze Oszczędności Przyniosą Wam Dobry Procent Jako Dywidendę



UDZIELAMY
POŻYCZEK

Na domy, przy doskonałej obsłudze i dogodnych warunkach.

Telefon BIshop 7-6900

CHARLES T. SALAK
Prezes

Serdeczne Życzenia

1956 ROKU

składa

*Samuel
Sachnoff*

Wypełniamy Recepty Sumiennie Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA

WIECZOREK DRUG CO.

W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 **Chicago, Ill.**
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

KAZIMIERZ CABAŃSKI

APTEKA—PHARMACY

1147 N. Ashland Ave. **HUmboldt 6-9376**

RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY

Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA

EUGENE

PRESCRIPTION PHARMACY
Prescription Chemist
E. S. KWAŚNIEWSKI, R. Ph., właściciel
1620 W. 18-ta Ulica Tel. CAnal 6-9846

POLSKA APTEKA

Superczyński Pharmacy

3156 South May St. **Tel. VIrginia 7-9600**

V. H. Superczyński, właściciel

HARRY ADAMS

Właściciel Pierwszorzędnej Apteki
gdzie z całą dokładnością wypełniamy
wszelkie Recepty Lekarskie, a także i z Polski

2252 N. Western Ave. **Tel. HUmboldt 6-9455**

PARNELL PHARMACY

525 W. 123rd STREET **PUllman 5-6371**

PAN NIEZGODZKI, Właściciel

Wypełniamy europejskie recepty

POLSKA APTEKA

J. GAPIŃSKI PHARMACY

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

814 No. Ashland Avenue

Telefon HAymarket 1-9413

POLSKA APTEKA

MADURA PHARMACY

6001 W. Diversey Ave. **BErkshire 7-5929**

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA

Walter A. Kramarczyk

3101 Milwaukee Ave. **Tel. JUniper 8-9785**

Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski

POLSKA APTEKA

Jefferson Pk. Pharmacy

Dr. Frank Brykowski

4827 Milwaukee Avenue
Telefon KIldare 5-6794

POLSKA APTEKA

DUDEK PHARMACY

Wojciech Jerzy Dudek, właściciel

1801 WEST 35-ta ULICA. Tel. VIrginia 7-9611

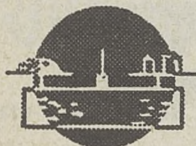
Wypełniamy Recepty Wszystkich Doktorów
Szybko dla Wysyłki do Polski

POLSKA APTEKA

NEW CITY DRUG CO.

TEOFIL KEMPA, właściciel

5258 So. Ashland Ave. **Tel. REpublic 7-3401**
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski



POLSKA APTEKA

MICHAŁ PIETRUSINSKI

8712 COMMERCIAL AVE.
Telefon SOuth Chicago 8-8923



Dr. P. J. ORZYNSKI

LEKARZ I CHIRURG

Długoletni Związkowiec

1033 West Chicago Avenue

Telefon HAymarket 1-6041

(Blisko Milwaukee Avenue i Ogden Avenue)

GODZINY PRZYJĘĆ:

Od 2-ej do 4-ej popołudniu i od 7-ej do 9-ej wieczorem, oprócz Środy, Soboty, Niedziel i Świąt.



SERDECZNE ŻYCZENIA
ZWIĄZKOWI NAR. POLSKIEMU
I POLONII
składają

Paulina Rytel, M. D.
Godziny od 2-ej do 4-ej popołudniu
2424 NORTH KEDZIE BOULEVARD

Aleksander Rytel, M. D.
WICKER PARK MEDICAL CENTER
1530 N. DAMEN AVE. CHICAGO, ILLINOIS

COMPLIMENTS OF

DR. S. M. KOZIOŁ

PHYSICIAN-SURGEON

1084 MILWAUKEE AVENUE

BRunswick 8-0280

DR. EDWARD F. DOMBROWSKI

1530 N. DAMEN AVENUE

BRunswick 8-2770 — Chicago, Ill.

Godziny Przyjęć: 2—4 popoł.; 7—9 wieczór,
Oprócz Środy, Niedzieli i Świąt

Dr. P. J. Kmieck

2616 West 14th Street
Cleveland. Ohio

Godziny: 4 do 8-ej wieczorem

DR. J. E. ZAREMBA

1922 West Division Street
Telefon HUmboldt 6-1757 Chicago 22, Ill.

Godziny biurowe: 10-12, 2-4 i 6-8 wieczorem
W Niedziele za umówieniem tylko

Dr. Henry C. Lewandowski

PHYSICIAN AND SURGEON

2800 W. 59-ta ULICA Tel. WAlbrook 5-0550

DR. S. V. MARKIEWICZ

LEKARZ i CHIRURG

5159 W. Fullerton Ave.

NAtional 2-1188 Chicago, Ill.

Godziny: od 1-ej do 3-ej i od 7-ej do 9-ej
Oprócz środy i soboty

 SERDECZNE ŻYCZENIA W ROKU 1957 

CAŁEJ POLONII AMERYKAŃSKIEJ

ZASYŁA

Związek Podhalan w Północnej Ameryce

RADA NADZORCZA

Franciszek Kwak, Cenzor
Kazimierz Tomasik, Sekr.
Ks. Walerian Pach, Kapelan
Ks. And. Wilczek, W. Kapelan

ZARZĄD GŁOWNY

Andrzej Rafacz, Prezes
Jan Kowalski, Wiceprezes
Helena Augustyn, Wiceprezeska
Maria Chlewnenko, Kasjerka
Andrzej Siuty, Sekr. Gen. i Korespondent
Józef Zygmuntowicz, Syndyk

DYREKCJA

Józef Kwak — Koła Jana Sabały
Karol Skupień — Koła Stow. Podhalan — 1-szy
Stanisław Kowalczyk — Koła Wł. Orkana
Jan Dzielawa — Koła Stow. Podhalan — 2-gi
Edward Derwinski — Koła Morskie Oko
Stanisław Jania — Koła Wł. Zamoyskiego
Anna Karkula — Koła Gen. Andrzeja Galicy
Anotnina Ciszek — Koła Tatry — Uniontown, Pa.
Jan Gromada — Koła Stow. Górali Tatrzańskich w Passaic, N. J.
Franciszek Labuda — Koła And. Ducha-Knapczyk
Jan Łuszczek — Kółko Lit. Dramatyczne

DYREKCJA

Józef Kwak — Koło Czarny Dunajec
Kazimiera Dąbrowska — Koło Maniowy

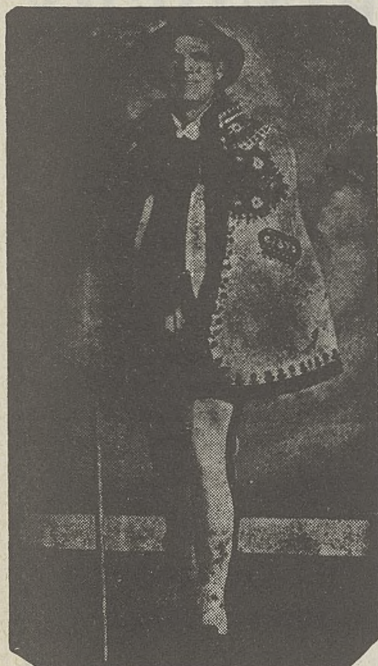
MARSZAŁEK

Maciej Zając

CHORĄZY

Antoni Swistak





SZCZERE ŻYCZENIA NA ROK 1957 ZASYŁA WSZYSTKIM CZŁONKOM ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO I CAŁEJ POLONII W AMERYCE I KANADZIE

ANDRZEJ RAFACZ

Prezes Związku Podhalan w Północnej Ameryce i Jego Rodzina









COMPLIMENTS

FROM



VICTOR'S

WOMEN'S APPAREL



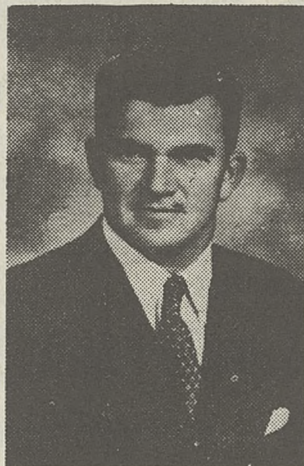
1318 Milwaukee Ave.

and

4854 W. Irving Pk. Rd.

ARmitage 6-1400

Dla pomyslności i rowoju Polonii chicagoskiej i amerykańskiej przesyłam również najserdeczniejsze życzenia dalszego pięknego rozwoju we wszelkich kierunkach i poczynaniach oraz kontynuowania tej pięknej i wzniosłej pracy dla dobra sprawy polskiej nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz wszędzie.



Kazimierz [Casey] Laskowski

ALDERMAN 35-ej WARDY

L. J. SHERIDAN & CO.

REAL ESTATE

APPRAISALS MANAGEMENT

111 W. WASHINGTON RAndolph 6-7744

Chicago, Illinois



VICTOR H. E. HAKANSON, M.A.I.

APPRAISER

MEMBER — THE AMERICAN INSTITUTE OF REAL ESTATE APPRAISERS

Stronica humoru

Przeciwnie...

— Cóż — pyta lekarz — czy poskutkowały te pigułki, które przepisałem mężowi na uspokojenie nerwów?

— Ale gdzie tam. Gdy się dowiedział, ile za nie zapłaciłam wpadł w szał i zrobił mi straszną awanturę.

Racjonalizatorski pomysł



— Wiecie, Gracyno, ten mój Wiluś to abo mądrala! Ten wom mo ale głowa.

— No, a cóż tam zaś wyszturyrował?

— Ano wiecie, wymyślył wom takie gniozdo lo kur. Kiej wom kura śniesie jajco, to sie dno uod tego gniazda uotwiero i jajco skulnie się do takiej szuflodki pod spodkiem. Kura się ugląda i widzi, że nie ma jajca. Myśli, że się uomyliła. Siodo se zaś na gniozdku i zaś znosi jajco, kiere zaś skulnie sie do szuflodki, i tak wom ciągiem się szydzi i skłodo, nieraz aż do kopy dociągnie.

Kolory ócz

— Mój syn ma piwne oczy.

— A mój ma szare!

— To wszystko nic! Mój był wczoraj na jakimś zebraniu i dziś ma jedno oko czarne, a drugie czerwono-fioletowe.

W sądzie

Sędzia do kobiety: — Okazała się pani przy ujęciu złodzieja bardzo śmiała i odważna, pani Ciecierska, lecz wcale niepotrzebnie tak mocno pokaleczyła go pani...

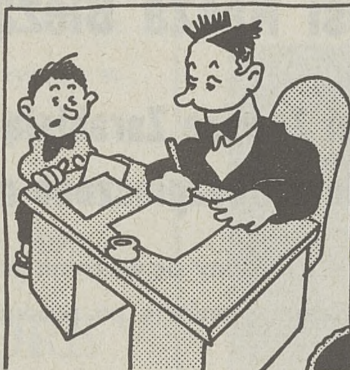
Ciecierska: — Niechaj pan sędzia wybaczy, ja tego wcale nie wiedziałam, że to jest złodziej. Ja czekałam przez trzy godziny na mego męża, który w karczmie siedział i myślałam, że to on wraca.

Złośliwe wytłumaczenie

Pacjentka: — Jakiż powód, panie doktorze, że ja wszystkie moje zęby tak rychło tracę?

Lekarz: — Ot, zdaje się, że pani za często językiem o nie trąca.

W szkole



Nauczyciel: — Powiedz, Wojtuś, jaki czas jest najodpowiedniejszy do zrywania owoców?

Wojtuś: — Kiedy pies ogrodnika jest na łańcuchu.

Emigrował, jak mógł...

W mieszkaniu samobójcy w Budapeszcie znaleziono list z następującym, cynicznym komentarzem:

„Każdy emigruje — jak może."

W restauracji

Gość (krając kurczę): — To napewno kurczę ze sztucznej wylęgarni.

Kelner: — Dlaczego pan tak sądzi?

Gość: — Żadne kurczę mające matkę nie może być tak chude.

Niemożliwe!



— Ile pani ma lat?

— Tyle na ile wyglądam...

— Eee... tyle to chyba pani nie ma...

Ogłoszenie matrymonialne

W pewnym dzienniku amerykańskim ukazało się ogłoszenie matrymonialne treści następującej:

„Farmer, lat 38, pragnie poznać pannę w wieku lat 30, posiadającą traktor. Cel matrymonialny. Uprasza się o załączenie fotografii traktora."

W sądzie

Sędzia (do oskarżonego): — Oskarżony, jak świadek powiada, miał mówić, że świadek wygląda niby małpa.

Oskarżony: — Nie mogę już tego na pewno sobie przypomnieć, panie sędzio, ale muszę przyznać, że pewnie on ma i rację.

WE WSZELKICH

POCZYNANIACH

 SZCZĘSC WAM 

BOZE

W 1957 ROKU!

Eugeniusz L. Wachowski

SĘDZIA SĄDU MUNICYPALNEGO

Otto F. Janousek

Alderman 22-ej Wardy i Komityman wraz z Całą

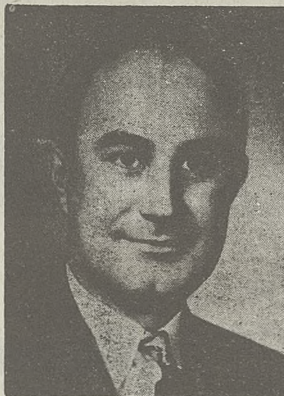
Regularną Demokratyczną Organizacją

— oraz —

Lillian Piotrowski

Reprezentantka Do Legislatury Stanowej 30-go Dystryktu



ROBERT GOLONKA HAYES

zamieszkuje

w Berwyn, Illinois, przy 6930 W. 34 St. Telefon: ST. 8-2409.

Urodził się w Chicago i uzyskał wykształcenie w parafialnej i publicznej szkole w powiecie Cook. Posiada on Ph. B. Degree z De Paul University i Master of Arts Degree w Szkole Administracji Uniwersytetu Loyola. Wykształcenie jego obejmuje dodatkowo przeszkolenie z zakresie prawa, medycyny i chemii na Uniwersytetach Chciago i Northwestern.

W kołach oświatowych Stanu Illinois znany jest jako doskonały wychowawca, administrator szkół i wybitny uczony. Jest on członkiem Illinois Education Association, National Education Association, of High School Driver Education, National Safety Council i American Association of School Administrators. Wymieniony jest polskiego pochodzenia.

P. Hayes mianowany został asystentem Superrintendenta Szkół w powiecie Cook w roku 1949. Od tego czasu z pożytkiem służył jako ogólny inspektor szkół elementarnych i wyższych w Township Lyons, Stickney, Palos i Lemont. W uzupełnieniu swych obowiązków inspektorskich, posiada on odpowiedzialność za zarządzanie programem komunikacyjnym szkół powiatu Cook, jest dyrektorem parafialnych i prywatnych wyższych szkół oraz dyrektorem Obrony Cywilnej i bezpieczeństwa wszystkich publicznych, prywatnych i parafialnych szkół powiatu Cook.

Na Wasze Rodzinne Uroczystości, Zabawy, Pikniki, Bankiety, Wesela i Inne Uroczystości, Możecie Zaopatrzyć Się w Wszelkiego Rodzaju Napoje

Bądźcie Pewni, Że Otrzymacie Duże Dyskonto — Dużą Zniżkę w Cenie

SOUTH SHORE LIQUORS, INC.

WHOLESALE LIQUOR DEALERS

3600 So. Racine Ave.

Telefon Cliffside 4-6000

Franciszek Bobrytzke

Komisarz Powiatu Cook



Nasz rodak Franciszek Bobrytzke, Komisarz Powiatu Cook, został wybrany na to stanowisko dużą większością głosów już po raz piąty.

Jest on Prezesem Polsko Amerykańskiej Demokratycznej Organizacji, Przewodniczącym Dyrekcji Manufacturers National Bank, wielce czynnym członkiem polonijnych organizacji, Związku Narodowego Polskiego i Zjednoczenia Polskiego Rzymsko - Katolickiego.

Dzięki jego wpływom i dwudziestoletniej pracy jako Komisarza Powiatowego w Powiecie Cook, bardzo wiele naszych rodaków skorzystało z wielu świadczeń z instytucji powiatowych. Przez fakt ten zaoszczędził on naszym rodakom poważne sumy pieniędzy.

Franciszek Bobrytzke jest niezrównanym pracownikiem na korzyść Polonji i wszędzie popiera wszystko, co jest bliskie i drogie sercu polskiemu.



Stronica humoru



Straszy...

— Słyszałem, że w tym mieszkaniu coś straszy?

— Tak, panie, tu mieszka moja teściowa!

W sądzie

Sędzia: — A więc stanowczo zaprzeczacie, żeście skarżyciela uderzyli w twarz?

Oskarżony: — Wcale go nie uderzyłem.

Oskarżyciel: — Kłamie, panie sędzio.

Oskarżony: — Stul pysk! Bo inaczej, to dostaniesz jeszcze raz w mordę!

Na nic się nie przydało

Pewien pan zawiesił płaszcz w garderobie, a chcąc się zabezpieczyć przed złodziejem, przymocował kartkę tej treści:

„Ten płaszcz należy do Schmelinga" (bokser).

Gdy powrócił płaszcza już nie było, a tylko wisiała kartka:

„Wziąłem, Nurmi" (biegacz).

U lekarza



Lekarz: — Czy pan już spożył pudełko pigułek, które panu zapisałem?

Chory: — Tak — odpowiada chłop — ale nie czuję żadnego działania, może pudełko się nie otworzyło.

Kobieta ma zawsze rację



On: — Widzisz, gdybyś się tak długo nie była ubierała, pociąg nie byłby nam uciekł!

Ona: — A gdybyś ty mnie tak nie był przynaglał, nie musielibyśmy teraz czekać tak długo na pociąg następny!

Uprzejma żona



— Moja kobieta jest tak uprzejma dla mnie, że sama mi buty z nóg ściąga.

— Napewno wtedy, gdy przychodzisz pijany z knajpy do domu — odpowiada jego przyjaciel.

— Nie, przeciwnie! Jak mam wyjść z domu do knajpy!

Nasze dzieci

— Skąd się biorą te nieustanne deszcze? — pyta ojciec, patrząc przez okno.

— Ja wiem skąd — odpowiada mały Bolo.

— Co ty mówisz?

— Biorą się z kości dziadzia.

— Co?

— Dziadzio zawsze powiada, gdy deszcz zaczyna padać: „Oho!... ja już od tygodnia czułem go w kościach".

U malarza

— Co pan właściwie maluje, mistrzu?

— To, co widzę.

— Jaka szkoda, że pan nie widzi tego, co pan maluje, mistrzu!

Nie wierzy

— Jedni mówią, że Hitler żyje, drudzy, że zginął...

— Ja tam nie wierzę, ani w jedno, ani w drugie.

Dobry pilot

— Ile potrzebował pan, aby nauczyć się prowadzić samolot?

— Dziesięć do piętnastu.

— Dni?

— Samolotów.

Spółka

Dobra spółka jest wtedy, powiadają ludzie,
Gdy wspólnicy się wzajem dopełniają w trudzie
Znałem takich; i krawiec i szewc wciąż był struty.
Ten temu kurtę krajał — ów wzajem szył buty...

Między filatelistami

— Widzi pan, ten znaczek tutaj miałby wartość 25 milionów franków, gdyby nie był... fałszywy.

WYRÓB I SPRZEDAŻ
PIERWSZORZEDNYCH WĘDLIN
i POLA PIEROGÓW

A. SZĄDZIEWICZ

3034 W. CERMAK ROAD
Telefon: YArds 7-6611
Chicago, Illinois

LOUIS TAVERN and HALL

KAROLINA OSIKOWICZ i SYNOWIE, Właściciele
1001-03 NORTH WOLCOTT STREET
Telefon ARmitage 6-4851
Wyborowe Wina, Likiery i Piwa
Odnowiona Sala do wynajęcia na wszelkie okazje
Jak Posiedzenia, Wesela i Zabawy

Z wesela, bankietu z rodzinnych uroczystości będą wszyscy wasi przyjaciele zadowoleni gdy je obsłuży

L. BEDNARSKI

Obsługa Wesel - Bankietów - Obiadów
1631 MILWAUKEE AVE.
Po wszelkie zamówienia telefonowac
CAPITOL 7-9007

BEST WISHES FROM THE

COMO INN

Chicago's Finest Italian Restaurant
546 MILWAUKEE AVE.
HAymarket 1-5222

Compliments of A FRIEND

Dr. Jerome Martin Furman

8800 COMMERCIAL AVE.
Tel.: BAyport 1-5551
LEKARZ-CHIRURG

POLSKA FIRMA WYKONUJE
WSZELKIE PRACE TAPICERSKIE
FACHOWO, SZYBKO I SUMIENNIE

K. SCIBOR UPHOLSTERING

9818 S. WESTERN AVE.
Tel. GArden 2-5296

PISARSKI I SYN

Pierwszorzędny
ZAKŁAD POGRZEBOWY
Dwie Kaplice
11739 SO. MICHIGAN ULICA
Telefon PUllman 5-3086



Rezerwacje na Najbliższą
WYCIECZKĘ DO EUROPY
SAMOLOTEM LUB OKRĘTEM
Którąkolwiek linią i kiedykolwiek
Róbcie już teraz
Przez Doświadczonych Agentów

BASTA-MUSIL & CO.

COMMERCIAL & TOURIST BUREAU
3919 West 26th St Chicago 23, Ill.
Tel. CRawford 4800-4801

Paczki z Darami i Certyfikaty do CAŁEJ EUROPY
Czeki Podróżne—Bilety—Affidawity—Asekuracja—
Notariusz. Załatwiamy rachunki za Gaz, Elektryczność, Telefon i za Wodę.

EUROPEJSKI SKŁAD
SMACZNYCH WĘDLIN



PIOTR SMOLUCH

1500 W. Division Ulica
Telefon HU 6-2493
Sprzedaż Hurtowna i Detaliczna
Chicago, Illinois



Zawsze Byłem
Dla Ludu
i z Ludem
Dlatego Osobiście
Zawsze Jestem
Na Wasze Usługi

JOHN G. FARY

Reprezentant
Do Legislatury
Stanowej
28-go Dystryktu

Compliments of

Morris B. Sachs



Stronica humoru



Środek na rozwój umysłowy

Żona: — Podobno spożywanie ryb wpływa dodatnio na rozwój umysłowy. Jak myślisz kochanie, jakie ryby są najlepsze?...

Mąż: — Jeżeli chodzi o ciebie, to uważam, że powinnaś spożywać... wieloryby.

Szczyt roztargnienia

Roztargniony profesor stanął przed gmachem dworcowym, wrzucił 10 franków do skrzynki pocztowej, spojrzał na zegar dworcowy i powiedział do siebie:

— Znowu przybyło mi dwa kilo.

Zdaje się...



Żona do męża, budząc go:
— Janku, wstań... Zdaje mi się że w pokoju jest mysz...

Mąż: — To niech ci się również zdaje, że w pokoju jest także i kot i śpij spokojnie dalej...

Drogi czas

— Pomyśl tylko, człowieku, ile to drogiego czasu traci się przy kartach...

— Masz rację!... zwłaszcza przy tasowaniu i rozdawaniu kart!

Pies a człowiek



— Jaka jest różnica między psem a człowiekiem?

— Pies obszczekuje nieznajomych, a człowiek znajomych.

W szkole

Uczenice między sobą: — Wiecie, nasz nowy profesor to podobno był w młodości zwykłym pastuchem.

Profesor, który przechodząc, słyszał te słowa, odrzekł:

— Tak jest, moje panienki i jestem nim do dziś dnia, bo i obecnie gęsi pasę.

Rekordy! Rekordy!



Pewien zwycięzca sportowy zachorował i ma silną gorączkę.

— 40 stopni gorączki... — mówi lekarz.

— A ile wynosi rekord światowy?... — pyta sportowiec.

Długotrwałe raty

Do sklepu z wózkami dla dzieci przychodzi klient:

— Chciałbym wpłacić ostatnią ratę za kupiony tutaj wózek.

Sklepikarz: — To bardzo pięknie... A jak się chowa dziecina?

Klient: — Dziękuje... Jutro wychodzi zamąż!

Sposobność

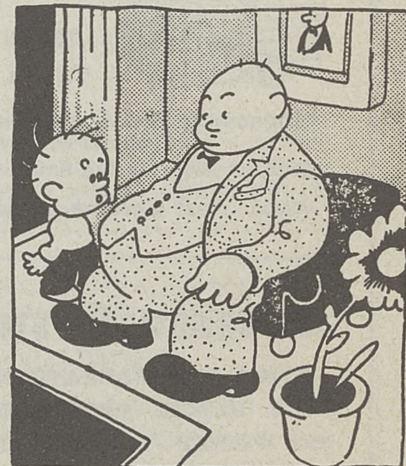
Przez miasto szedł człowiek o długich włosach, w sandałach, w gumowym płaszczu. Na plecach niósł tabliczkę z napisem:

„Wędruję naokoło świata"

Jakaś pani pobiegła do niego i wręczając mu sporą paczkę, rzekła:

— Może zechce pan oddać tę paczkę w Kalkucie memu kuzynowi i powiedzieć mu, że to od Amalii.

Boi się...



— Tatusiu, Stefek powiedział, że jestem podobny do ciebie...

— A coś ty odpowiedział?

— Nic, bo on przecież jest silniejszy ode mnie.

Powód

— Dlaczego dopisujesz na kopercie listu do Janka „do rąk własnych"?

— Chcę, aby przeczytała go jego żona.

COMPLIMENTS OF

DUDEK & BOCK

SPRING MFG. CO.

4014 WEST GRAND AVENUE

DICKENS 2-1020

WALTER J. LaBUY

Sędzia

Sądu Federalnego

Chicago, Illinois



W POLSKIM DOMU

POLSKIE TRUNKI

Możecie Otrzymać w Znanym Polskim Składzie w Wielkim Wyborze Po Przystępnych Cenach

KAZIMIERZ LENARD

właściciel

1172 MILWAUKEE AVENUE

Tel.: ARmitage 6-4246

BONDED BLEND WÓDKI, IMPORTOWANE KONIAKI, WINA



Polska Restauracja

J. & J.

Telefon EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA

Likiery i Wódki

1182 MILWAUKEE AVENUE



POLSKA PRALNIA

Alba Laundry

DRY CLEANING

738-40 No. Elizabeth

Telefon MOnroe 6-5071-2

Najnowsza Pralnia — Najnowsze Maszyny
Fachowi Pracownicy
Bielizna Bielutka Jak Śnieg. Grzeczna Obsługa

Właśc. Józef Kozdroń i Franciszek Kołodziej

Dla Sportu i dla Zdrowia
Dla Zdobycia Przyjaciół

PILSEN RECREATION



Kręgielnia o 12-tu Allach

AIR-CONDITIONED
REFRESHMENTS

1509 West 18th St. Tel. SEeley 3-9720

CHICAGO, ILLINOIS

ZDEFORMOWANE STOPY

MOGĄ BYĆ NAPRAWIONE PRZY UŻYCIU ORTOPEDYCZNEJ WIEDZY—W SPECJALNYM DOPASOWANIU OBUWIA.



W SKŁADZIE

BACHTA BOOTERY

1741 W. CHICAGO AVE.

Chicago, Illinois

ARTYSTYCZNE POMNIKI ORAZ NAGROBKI

Robota Gwarantowana





KUPER Monumental Works

6605 MILWAUKEE AVE.

Tel. NIles 7-9816

Chicago 31, Ill.

NAJWIĘKSZA POLSKA PIEKARNIA

W CHICAGO, ILLINOIS



Stanisław Grzegorczyk

ZDROWE I SMACZNE
PO STAROKRAJSKU PIECZONE

CHLEBY — CIASTA I TORTY

Znane są doskonałości po całym Chicago i Okolicy. Zapewniamy szybką obsługę na Wesela—Przyjęcia—Zabawy.

Na Każdym Polskim Stole Powinien Być P. W. Polski Chleb.

P. W. BAKING CO.

2500 W. Chicago Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7766
Chicago 22, Illinois
Członkowie Z. N. P.



Bolesław Mianowski

KOŚCIUSZKO

SALA i GOSPODA
oraz
FAMILY CATERERS PLACE

Józef i Stefania Kędzierscy, właściciele

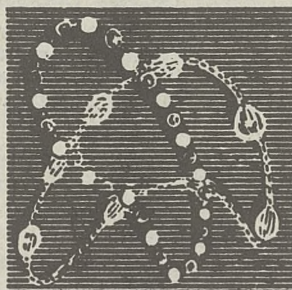
1758 West 48-ma Ulica
Telefon VIrginia 7-3898

Wypełniamy Zamówienia na Wesela, Bankiety, Przyjęcia Rodzinne w Naszej Sali Lub Też Gdziekolwiek

Podajemy do Stołów na Sposób Rodzinny
Piękna Sala na Posiedzenia, Bankiety, Wesela, Zabawy i Inne Rodzinne Uroczystości

Telefonujcie po rezerwacje

Modern Luggage & Case Co.



Wyroby Skórzane
Walizy
Torebki
Biżuteria
Kostiumowa

Telefon
ALbany 2-5729

2022 Milwaukee Avenue

P. Frankowski, Wł.

Chicago 47, Illinois

CAS' FLORAL SHOP

PLANTS and CUT FLOWERS
FOR ALL OCCASIONS

Flowers Telegraphed Anywhere

Telephone BRunswick 8-4738

2016 W. WEBSTER AVE.
Chicago 47, Ill.

C. L. BRZOZOWSKI



Józef P. Rostenkowski

Demokratyczny
Komityman
32-giej Wardy

Jeden z najpopularniejszych naszych rodaków. Sprawy naszej Polonji zawsze szczerze i życzliwie popiera z całego serca zawsze i wszędzie. Dlatego godny jest on naszego poparcia całej Polonii we wszelkich jego zamiarach.

Dr. Kazimiera J. Sajewska

oraz

Dr. Konrad Mazeski

BIURO OPTOMETRYCZNE

1212 NO. ASHLAND AVE.
Telefon HUmboldt 6-3227

Dokładna Egzaminacja Oczu
Przed Dobraniem Okularów

Długoletnie Doświadczenie

Pierwszorzędne Przyrządy do Badania Wzroku i Gruntowna Wiedza

Najnowocześniejszy Wybór Europejskich i Polskich Kiełbas i Wędlin

POREBSKI

Home Made Sausages

2706 W. CERMAK ROAD

Julian i Karolina Porebski, Właściciele
Pierwszorzędny Sklep Wędlin, Robionych Na Sposób Europejski — Specjalizujemy Się w Domowej Roboty Polskich Kiełbasach
Przyjmujemy Zamówienia Przez Telefon
Telefon: FRontier 6-3811

Stronica humoru

Koleżanki między sobą



— Czy nie wiesz, w jaki sposób Janka dostała zakażenia krwi?

— Przypuszczam, że ugryzła się sama w język .

A jednak pomogło

Mąż do żony: — Wiesz, te pigułki bardzo mi pomagają.

— Jak to? Przecież od dwóch tygodni nie zażywasz.

— Popatrz się, oto próżne pudełko; codziennie zażywam po dwie.

— Na Boga Edmundzie, przecież to były guziczki od mojej starej bluzki...

Niebezpieczny zawód

Sędzia: — Pański zawód?

Oskarżony: — Garbarz.

Żona tegoż (z płaczem): — Tak ale on mnie garbuje!

Rozmowa towarzyska

Elegancka pani do pewnego pana z towarzystwa:

— O czym rozmawiają mężczyźni, gdy są sami?

Pan: — O tym samym, co kobiety...

Pani: — To straszne!

U lekarza

Lekarz: — Musisz pan przestać pić piwo. To szkodzi! Pij pan mleko, bo tam znajdują się wszystkie składniki krwi ludzkiej.

Chory: — Ależ panie doktorze, ja wcale nie jestem żądny krwi ludzkiej. Zostawiam to dzikim zwierzętom, lub ludożercom.

Dlaczego kobiety kupują?

Pawien dziennik przeprowadził ankietę w sprawie pobudek, jakie kierują kobietami w dokonywaniu zakupów kapelusza, sukni, płaszcza itp.

Przeprowadzona ankieta wykazała, że kobieta kupuje dlatego ponieważ:

1. mąż jej mówi, aby nie kupowała;
2. kupiona rzecz uwydatnia jej linię i robi ją „młodszą";
3. artykuł pochodzi z Paryża;
4. jej koleżanki i znajome nie mogą sobie pozwolić na takie kupno;
5. nikt jeszcze tej rzeczy nie posiada;
6. wszyscy ją już mają;
7. rzecz jest bardzo oryginalną;
8. ona chce ją kupić i na tym... koniec!

Śledzie winny



Doktor do pacjenta, którego badał.

— Uoni mają zapalenie śledziony.

— Ja, padajom? A mogom mieć recht, panie doktór. Moja staro to mnie uostatnio jeny śledziami futrowała.

Nasze dzieci



Ojciec: — Zapamiętaj sobie, Stasiu, że proste nosy są greckie, garbate zaś rzymskie.

Staś: — A więc nasza ciocia Berta ma grecki nos a rzymskie plecy.

W szkole



Chcąc nauczyć dzieci gramatyki ,nauczyciel odmienia:

„Ja myję się, ty myjesz się, on myje się, my myjemy się.

— Powiedz mi Jasiu, jaki to czas?

— Sobota wieczór, proszę pana.



Stronica humoru



Odpowiedź



— Czym się pan zajmuje?

— Jestem trenerem pływackim.

— Gdzie?

— Ja kto gdzie? W wodzie.

Zawrotna kariera



— Jakże powodzi się synowi, pani Kasperkowa?

— Ano rozmaicie, droga pani Grzybkowa. Raz jest w górze, to znów na dole!

— Co pani mówi. O, cóż on takiego robi?

— Jest chłopcem przy windzie.

Proboszcz a parafianie

Proboszcz, mający zamożnych, ale skąpych parafian, zrobił raz po kazaniu taką uwagę:

— Gdy się patrzę na was z ambony, i widzę was wszystkich tak elegancko ubranych w drogie suknie, futra, kapelusze — to pytam sam siebie: gdzie to podziali się ubodzy, że ich tu nie ma... Kiedy zaś po nabożeństwie, spoglądnę na tacę, to myślę sobie: gdzież to podziali się ci moi zamożni i bogaci parafianie?...

Polecenie



— Byłem dziś u lekarza, którego mi pan polecił.

— Wspomniał mu pan, że to ja pana do niego posłałem?

— Owszem.

— No i co?

— Prosił, by naprzód zapłacić.

Nie pojmuje

Mała dziewczynka, będąc z rodzicami po raz pierwszy w zakładzie swego wuja, doktora, zobaczyła szkielet człowieka.

— Co to może być? — pyta zdziwiona.

— To są kości człowieka — brzmi wyjaśniająca odpowiedź.

Po krótkim namyśle dziecko pyta z niedowierzaniem:

— A więc tylko mięso idzie do nieba?

Nieprzyzwoitość



— Nie lubię Janka. On zna tyle nieprzyzwoitych piosenek.

— I śpiewa je w twojej obecności?

— Nie, gwiżdże.

W banku

Pani do dyrektora banku: — Wiele mi już o panu mówiono, panie dyrektorze...

Dyrektor banku: — Być może, ale niczego mi jeszcze nie udowodniono...

Humor krajowy

— Nie rozumiem, dlaczego ciągle brak jest nam pieniędzy? Ja zarabiam 1 000 zł, ty zarabiasz 800, za puste butelki po wódce mamy 500 zł i nigdy nie wystarcza nam do końca miesiąca.

* * *

— Chciałabym kupić dla męża jakieś stylowe krzesło.

— Ludwik?

— Nie, Moryc!

Hojny mąż

— To straszne! Żona moja domaga się pieniędzy rano, w południe i wieczorem!

— Cóż ona robi z taką masą pieniędzy?

— Nie wiem, bo nigdy nie daję...

Dwa Świetne Lekarstwa



Na Każdy Dzień i Na Każdy Wiek

TRINER'S GORZKIE WINO

z Witaminą B-1

Jeden z najlepszych w Ameryce niezawodnych, łagodnych środków przeczyszczających na żołądek, odznaczony złotymi medalemi na siedmiu Międzynarodowych Wystawach.

Joseph Triner Corporation

JOSEPH TRINER, Prezes

4053 WEST FILLMORE STREET

CHICAGO 24, ILLINOIS



CITIZEN

Savings & Loan Ass'n.

3919 West 26th Street

Tel. ROckwell 2-1264 Chicago, Ill.

Wypłacamy dywidendę po racie 3% na wszystkich kontach oszczędnościowych. Rządowa asekuracja na każdym koncie aż do $10,000.

UDZIELAMY DŁUGOLETNIE POŻYCZKI NA DOMY

Na Usługach Publiczności od 43 Lat
Zasobów Ponad Sześć Milionów Dolarów

GREETINGS FOR 1957

TO THE

POLISH NATIONAL ALLIANCE MEMBERS

APPRAISAL

FLOYD G. DANA

111 W. Washington Street

AN 3-2110

Chicago, Ill.

ELECTRICAL
WIRING

GRAJER ELECTRIC

Construction Co., Inc.

KONTRAKTORZY ELEKTRYCZNI I INŻYNIERZY

Dostarczają Siły—Światła—Przybory

GEORGE A. GRAJER, właśc.

2248 W. WALTON UL.

Telefon: HUmboldt 6-3807

Judge & Dolph, Ltd.

2037 N. Clybourn Ave. — "THE HOUSE OF SERVICE" Chicago 14 Illinois — Phone: GRaceland 7-6000

WAUKEGAN JUDGE & DOLPH, LTD.
521 South Elmwood Avenue — Waukegan, Illinois — Phone: ONtario 2-2440

FOX VALLEY JUDGE & DOLPH, LTD.
227 New York Street — Aurora, Illinois — Phone: AUrora 2-7681

THE FIVE FLEISCHMANN CHAMPIONS:

★ FLEISCHMANN'S PREFERRED, Blended Whisky—90 Proof
★ CHURCHILL "88", Straight Kentucky Bourbon—88 Proof
★ FLEISCHMANN'S BOND, Straight Kentucky Bourbon—100 Proof
★ FLEISCHMANN'S GIN, America's First Gin—90 Proof
★ BLACK & WHITE SCOTCH WHISKY—86.8 Proof



FLEISCHMANN PREFERRED



FLEISCHMANN BOND



CHURCHILL "88"



FLEISCHMANN GIN

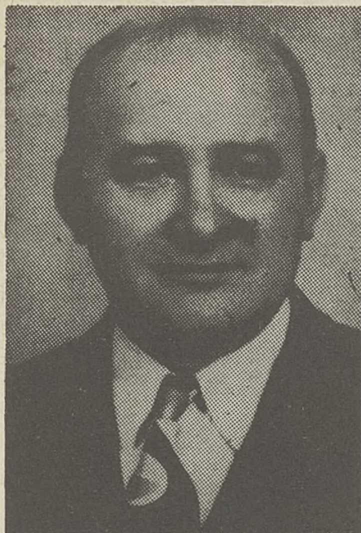


BLACK & WHITE

- FLEISCHMANN'S WHITE TAVERN VODKA
- NEW ENGLAND PILGRIM RUM
- KINSEY SILVER LABEL—86 PROOF
- KINSEY DISTILLED GIN
- OLD HICKORY STRAIGHT BOURBON
- OLD HICKORY BOND
- TEACHER'S SCOTCH WHISKY
- DAGGER JAMAICAN RUMS
- DON "Q" RUMS
- THREE STAR HENNESSY COGNAC
- IMP. CHATREUSE GREEN & YELLOW
- MOET & CHANDON IMP. CHAMPAGNES
- CORA VERMOUTH
- DUFF GORDON SHERRIES
- COCKBORN PORTS
- COSSART GORDON MADEIRAS
- COATES PLYMOUTH GIN
- DUFF GORDON BRANDY—10 YRS. OLD
- IMPORTED BISQUIT COGNAC
- SMIRNOFF VODKA
- HEUBLEIN'S CORDIALS & LIQUEURS
- HEUBLEIN'S CLUB COCKTAILS
- HEUBLEIN'S VATTED VERMOUTH
- BULLOCH & LADE SCOTCH
- OLD RARITY SCOTCH
- POMMERY & GRENO CHAMPAGNE
- IMPORTED VALLERINO CHIANTI
- IMPORTED VALLERINO VERMOUTH
- URQUELL STEINHAGEN (Westph. Gin)
- ASBACH "URALT" BRANDY
- C. DaSILVA FINE DOURO PORT—1927
- HOOPER STRUVE, IMP. QUININE WATER
- HOOPER STRUVE, IMP. GINGER BEER
- C. DaSILVA BRANDY—10 YRS. OLD
- DOMAIN DaSILVA WINE—13%
- COCK 'N BULL QUININE WATER
- COCK 'N BULL GINGER BEER
- GET FRERES PIPPERMENT
- ARROW—CORDIALS AND LIQUEURS
- GREAT WESTERN WINES & CHAMPAGNES
- MEIER'S WINES AND CHAMPAGNES
- IMPORTED SWEDISH AQUAVIT & PUNCH
- IMPORTED VIN FIN-GLOGG
- SOUTHERN COMFORT
- IMPORTED BASS' ALE
- ALMADEN WINES & CHAMPAGNES
- ALMADEN CENTENNIAL BRANDY
- DUBOUCHETT—CORDIALS
- METAXA BRANDIES

MAMY NA SKŁADZIE NAJRZADSZE IMPORTOWANE SPECJALNOŚCI

Jeżeli coś jest możliwe do nabycia — Judge & Dolph to mają.

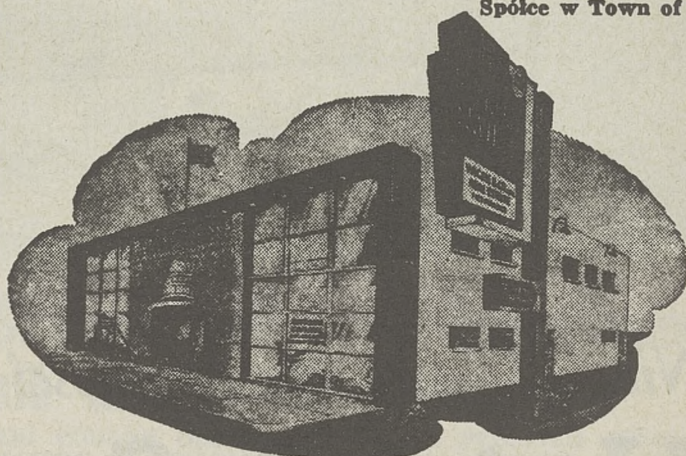


PIOTR P. KEZON
SEKR.-KASJER-ZARZĄDCA
DYREKTOR

SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

SKŁADA
SERDECZNE ŻYCZENIA
WSZYSTKIM ZWIĄZKOWCOM
I ZWIĄZKOWCZYNIOM, oraz CAŁEJ POLONII
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1957

Oszczędzajcie w Największej Polskiej Spółce w Town of Lake



BIEŻĄCA RATA
DYWIDENDY
3½%
ROCZNIE

SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-1755 West 47th Street   Chicago, Ill.   YArds 7-3895

PIOTR P. KEZON
Urzędnik Wykon. i Sekretarz
IG. SCIGALSKI
Prezes
PIOTR RADOCHONSKI
Wiceprezes
ANNA M. GLISTA
Skarbnik i Asyst. Sekretarza
IRENA S. KONECKA
Asyst. Skarbnika
JAN E. GIERUT
Asyst. Sekretarza
PAWEŁ KUBALICA
Dyrektor
JAN KRZYSKOWSKI
Dyrektor
FRANCISZEK PORADZISZ
Dyrektor
STANISŁAW JOSEK
Dyrektor
STEFAN DOMINSKI
Dyrektor
EDWARD KNYCH
Dyrektor
CZESŁAW T. NIEDZIALEK
Rachmistrz

FELICJA KIEBLES
Sekretarka Urzędnika Wyk.
CZESŁAWA MESEVICH
Kasjerka
LEOKADIA B. KALISKI
Steno-Kasjerka
VIOLETTA MASKOLIUNAS
Klerk
JOAN LASSA
Kasjerka
ARLENE TOMCZAK
Kasjerka
MARIA ANNA TABAK
Kasjerka
ELAINE KLINKENBERG
Kasjerka
ALICJA M. BEMBENEK
Kasjerka
MAŁG. BURGEHARDT
Switchboard-Operatorka
STANISŁAW JOSEK, JR
Kasjer
HELENA TOMASZKIEWICZ
Klerk
MAŁGORZATA DUGGAN
Klerk



ZASOBY PRZESZŁO
$19,500,000.00

Polska Gazeta Jest Twoim Przyjacielem!

Dziennik Związkowy Powinien Być w Waszym Domu!

Niezawodnie nieraz myśleliście o zaprenumerowaniu Dziennika Związkowego, najpopoczytniejszego pisma polskiego w Ameryce. Chcąc ułatwić rozpoczęcie prenumeraty już teraz, zwracamy się z naszą Ofertą Specjalną.

Dziennik Związkowy, omawia na swoich łamach najżywotniejsze kwestie polskie.

Dziennik Związkowy omawia codziennie zawiłe kwestie polityki światowej.

Dziennik Związkowy dociera do najdalszych zakątków Ameryki, a także jest czytany w Kanadzie, Europie, Brazylii i innych krajach Ameryki Południowej.

Dziennik Związkowy niesie najświeższe wiadomości w rodzimym języku i informuje dokładnie o wszystkim.

Poczta Dostarczy Wam Dziennik Do Domu!

Czytelnicy mogą prenumerować Dziennik Związkowy rocznie, półrocznie, lub kwartalnie i otrzymać Dziennik w domu regularnie przez pocztę!

Listonosz Przyniesie Wam Dziennik Związkowy Do Domu!

KUPON

DZIENNIK ZWIĄZKOWY,
1201 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.

Data..., 1953

Panowie:—Korzystając z oferty Panów zamawiam Dziennik Związkowy

na ☐ (½) roku $8.00	na ☐ (1) rok $14.00	na ☐ (2) lata $25.00
Chicago $8.50	$15.00	$27.00

na prenumeratę załączam sumę $.............................

Jako prezent proszę mi przysłać bezpłatnie Szklanki z Tańcami lub Książkę

(wymienić jaką)...

Imię i nazwisko ....

Numer Domu i Ulica..

Miasto.............................. Zone................ Stan..................

Załączam Przekaz Pieniężny na $....................................

Jak wysyłać pieniądze: Pieniądze na prenumeratę prosimy wysyłać przekazem pieniężnym lub gotówką w registrowanym liście.

Premie: Do każdej prenumeraty na rok dodajemy darmo książki wartości $1, nie dajemy jednak premii do rocznej prenumeraty sobotniego wydania tylko

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

1201 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO 22, ILL.

NAJWIĘKSZA POLSKA RESTAURACJA



JOHN C. KLUCZYNSKI
Kongresman 5-go Dystryktu
Stanu Illinois

SYRENA

JOHN C. KLUCZYŃSKI
Właściciel

CATERERS

ZAJMUJEMY SIĘ

BANKIETAMI, PRZYJĘCIAMI, WESELAMI, etc.
W EUROPEJSKIM i AMERYKAŃSKIM STYLU
SALE DO WYNAJĘCIA NA WSZELKIE OKAZJE
ZAMÓWIENIA WYKONUJEMY
WE WSZYSTKICH CZĘŚCIACH MIASTA

CZŁONEK GRUPY 183 Z. N. P.



4270 ARCHER AVENUE
CHICAGO
TEL. VIRGINIA 7-9564-9565